Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy literatura.net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

Karol May

Winnetou

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ROZDZIAŁ I

NAD WIELKĄ KOLEJĄ ZACHODNIĄ

Od wczesnego ranka przebyłem znaczną przestrzeń. Opanowało mnie pewne znużenie, które zwiększały jeszcze silne promienie słońca, dochodzącego już do zenitu. Postanowiłem więc zatrzymać się, ażeby odpocząć i spożyć obiad. Preria rozciągała się przede mną falista i bezkresna. Od pięciu dni, kiedy Ogellallajowie rozbili nasz mały oddziałek, nie zauważyłem żadnego zwierzęcia ani żadnego śladu człowieka i zatęskniłem w końcu za jakąś rozumną istotą, za której pośrednictwem mógłbym się przekonać, czy z powodu długotrwałego milczenia nie zapomniałem zupełnie mowy ludzkiej.

Ponieważ w tej okolicy nie było potoku ani żadnej innej wody, nie było też lasu ani zarośli, przeto nie potrzebowałem długo wybierać miejsca na postój, lecz mogłem stanąć, gdzie mi się podobało. Toteż w pierwszym zagłębieniu falistego gruntu, na które natrafiłem, zeskoczyłem na ziemię, spętałem .mego mustanga, zdjąłem zeń derkę i wyszedłem na wzniesienie, aby się tam położyć. Konia musiałem zostawić na dole, ażeby go nie dostrzegł zbliżający się nieprzyjaciel, dla siebie zaś obrałem punkt wyższy, by móc objąć wzrokiem całą okolicę. Nie obawiałem się, żeby mnie tam kto zobaczył, gdyż położyłem się od razu na ziemi.

Miałem dostateczne powody do ostrożności. Wyruszyliśmy znad brzegów Platty w liczbie dwunastu ludzi z zamiarem zejścia po wschodniej stronie Gór Skalistych do Teksasu. W tym samym czasie różne plemiona Siuksów opuściły swoje wsie, aby wywrzeć zemstę za to, że zabito w ostatnich czasach kilku ich wojowników. Wprawdzie wiedzieliśmy o tym, lecz pomimo całej naszej przebiegłości wpadliśmy im w ręce i po krwawej walce, w której pięciu z nas utraciło życie, rozproszyliśmy się na wszystkie strony.

Ponieważ po tropie, którego nie zdołaliśmy zatrzeć zupełnie, Indianie musieli poznać, iż udaliśmy się na południe, przeto nie ulegało wątpliwości, że będą nas ścigać. Trzeba było mieć się na baczności, jeśli się chciało uniknąć tego szczęścia, żeby owinąwszy się derką wieczorem, zbudzić się rano bez skalpu w wiecznych ostępach Wielkiego Ducha.

Położyłem się więc na ziemi, wydobyłem kawałek suszonego mięsa bawolego, natarłem je w braku soli prochem strzelniczym i spróbowałem doprowadzić zębami do stanu, który by pozwolił tę skórzaną substancję przenieść do żołądka bez niebezpieczeństwa dla zdrowia. Następnie wyjąłem z kieszeni „własnoręcznie" zrobione cygaro, zapaliłem je za pomocą punksu i zacząłem wydmuchiwać z dymu esy-floresy z taką przyjemnością, jak gdybym był plantatorem w Wirginii i palił skubane w rękawiczkach środkowe listki najprzedniejszego tytoniu.

Leżałem tak na kocu jeszcze przez jakiś czas, kiedy nagle obejrzawszy się przypadkiem poza siebie, ujrzałem na widnokręgu punkt zbliżający się ku mnie pod kątem ostrym do kierunku mojej drogi. Zsunąłem się wobec tego natychmiast ze wzniesienia tak głęboko, że mnie całkiem zasłoniło, i przypatrywałem się dalej ruchomemu punktowi, w którym wnet rozpoznałem jeźdźca, zwyczajem Indian siedzącego koniowi prawie na karku.

Zobaczyłem go w odległości może półtorej mili angielskiej. Koń jego wlókł się tak powoli, że potrzebował chyba z pół godziny, aby przebyć milę. Spojrzawszy ponownie w dal, w stronę skąd jeździec przybywał, zobaczyłem z przerażeniem jeszcze cztery punkty zdążające w ślad

za nim. Wyostrzyło to moją uwagę w najwyższym stopniu. Pierwszy jeździec był białym, czego niezbicie dowodziło jego ubranie. Czyżby tamci byli Indianami, którzy go ścigali? Wyciągnąłem moją lunetę. Nie pomyliłem się. Jeźdźcy zbliżali się i po ich uzbrojeniu i tatuażu mogłem rozpoznać dokładnie, że są to Ogellallajowie, najbardziej wojownicze i najokrutniejsze plemię Siuksów. Indianie mieli znakomite konie, gdy tymczasem koń białego wydawał się całkiem lichą szkapą. Biały zbliżył się wreszcie do mnie tak, że mogłem mu się dokładnie przypatrzyć.

Był to człowiek chudy i niskiego wzrostu, a na głowie miał stary kapelusz pilśniowy bez kresy. Na prerii szczegół ten mógłby ujść niezauważony, ale w tym wypadku odsłaniał on brak, który mnie niezwykle uderzył. Biały nie miał uszu, a miejsce, na którym znajdowały się niegdyś, świadczyło, że pozbawiono go ich przemocą. Widocznie poobcinano mu je bez litości. Z ramion zwisała mu ogromna dera, osłaniająca całkowicie górną część ciała tak, że wyzierały spod niej tylko niezmiernie chude nogi w osobliwych butach, z których w Europie śmiano by się do rozpuku, należały bowiem do rodzaju obuwia, jakie wyrabiają i noszą zwykle gauchowie[1] z Południowej Ameryki. Takie buty wyrabia się w ten sposób, że zdejmuje się skórę z nogi końskiej po odcięciu kopyta, wtyka się nogę ludzką w tę rurę, dopóki jest ciepła, i czeka się, aż ostygnie. Skóra przylega szczelnie do stopy i łydki, tworząc doskonałe obuwie, które ma tę tylko właściwość, że się w nim chodzi na własnych podeszwach. U siodła jeźdźca wisiało coś podobnego do strzelby, co jednak przypominało raczej patyk znaleziony przypadkowo w lesie. Klacz nieznajomego miała wysokie, wielbłądzie nogi, niepomiernie wielki łeb z przerażająco długimi uszami i była bez ogona, słowem – wyglądała tak, jak gdyby ją poskładano z końskich, oślich i wielbłądzich części ciała. Szła z głową spuszczoną ku ziemi, uszy zaś, jakby zbyt ciężkie, zwieszały się tuż przy samej głowie jak u psa rasy nowofundlandzkiej.

Niedoświadczony człowiek w innych okolicznościach uśmiałby się na widok tego jeźdźca, mnie jednak wydał się on, pomimo swej osobliwej postaci, jednym z owych westmanów, których trzeba wprzód poznać, zanim się oceni ich wartość. Nie przeczuwał widocznie, że tak blisko za nim podąża czterech najstraszliwszych wrogów preriowego myśliwca, bo nie jechałby tak wolno i beztrosko, lecz obejrzałby się przynajmniej od czasu do czasu za siebie.

Zbliżył się już do mnie na odległość stu kroków i natrafił na mój trop. Kto pierwszy ten trop spostrzegł, czy jeździec, czy jego klacz, nie mógłbym tego powiedzieć. Dość, iż zauważyłem, że klacz się zatrzymała, spuściła głowę jeszcze niżej i zaczęła zezować ku śladom mego mustanga, przy czym ruszała żywo uszami, to opuszczając je ku przodowi, to kładąc w tył, co wyglądało tak, jak gdyby jakaś niewidzialna siła chciała jej te uszy z głowy powykręcać. Jeździec zamierzał zeskoczyć z siodła, aby zbadać trop dokładniej, na co straciłby niepotrzebnie wiele cennego czasu. Toteż powstrzymałem go od tego okrzykiem;

– Halo, hej, człowieku! Jedźcie dołem i przybliżcie się trochę ku mnie l

Równocześnie zmieniłem swoją postawę, aby mógł mnie zobaczyć. Klacz podniosła głowę, wyprężyła uszy naprzód, jak gdyby się starała pochwycić w nie mój okrzyk jak piłkę, i wywijała przy tym pilnie krótkim, bezwłosym kikutem ogona.

– Halo, master! – odpowiedział jeździec, – Na drugi raz zapanujcie nad swoim głosem i ryczcie cokolwiek ciszej! Na tej starej łące nigdy się nie wie, czy tu lub ówdzie nie tkwią jakie uszy, które nie powinny nic słyszeć. Chodź, Tony!

Na skutek tej zachęty klacz wprawiła w ruch swoje niesłychanie długie nogi i potem stanęła obok mojego mustanga. Spojrzawszy nań wyniośle i z wielką niechęcią, odwróciła się do niego wprost niegrzecznie pewną częścią ciała, którą na okręcie nazywają rufą, należała bowiem do tych, nie rzadko na prerii spotykanych wierzchowców, które żyją wyłącznie dla swego pana, a wobec każdego innego stworzenia zachowują się nieufnie i z dezaprobatą.

---

[1] g a u c h o (hiszp.) — konny pasterz, pilnujący stad koni i bydła w stepach Ameryki Południowej

– Sam wiem dobrze, jak głośno wolno mi mówić – odparłem. – Skąd przybywacie i dokąd zmierzacie?

– To was diabelnie mało obchodził

– Tak wam się zdaje? Nie grzeszycie zbytnią uprzejmością. Takie świadectwo mogę wam już teraz wystawić z czystym sumieniem, chociaż zamieniliśmy zaledwie dwa słowa. Muszę wam się jednak szczerze przyznać, że jestem przyzwyczajony, do tego, żeby na moje pytania odpowiadano!

– Hm, tak, wydajecie mi się bardzo dostojnym dżentelmenem – rzekł patrząc na mnie lekceważąco. – Dlatego zaraz wam udzielę żądanego wyjaśnienia.

Po tych słowach wskazał ręką poza siebie oraz przed siebie, a potem dodał:

– Przybywam stamtąd, a tam zmierzam.

Ten człowiek zaczął mi się podobać. Uważał mnie pewnie za jakiegoś zabłąkanego, niedzielnego myśliwca, Prawdziwy westman nie troszczy się o swoją powierzchowność i okazuje szczerą niechęć do wszystkiego, co schludne. Kto latami włóczy się po Dzikim Zachodzie, tego wygląd zewnętrzny nie nadaje się do salonu. W każdym porządnie ubranym człowieku westman domyśla się greenhorna, po którym nie można się spodziewać niczego dobrego. Ja zaś właśnie niedawno zaopatrzyłem się w forcie Rondall w nową odzież, a broń zawsze lubiłem utrzymywać w porządku. Te dwie okoliczności sprawiały, że nie mogłem zyskać uznania w oczach sawannowego myśliwca. Dlatego też nie wziąłem za złe nieznajomemu osobnikowi tej lakonicznej odpowiedzi, lecz odrzekłem spokojnie, wskazując tak samo jak on przed siebie:

– To starajcie się dojść “tam”, ale uważajcie na czterech Indian, którzy dążą za waszym tropem! Nie spostrzegliście ich pewno dotychczas?

Obcy utkwił we mnie jasne, bystre oczka z wyrazem zdumienia i wesołości równocześnie.

–Nie spostrzegłem? Hi,hi,hi! Aż czterech Indian ja bym miał nie zauważyć! Wy, na przykład, wydajecie mi się wcale szczególną figurą! Ci poczciwcy jadą za mną już od rana, ale ja się za nimi nie potrzebuję wcale oglądać, gdyż sposoby tych panów są mi znane. Za dnia będą się trzymali w odpowiednim oddaleniu, a spróbują podejść mnie dopiero, gdy się ułożę na noc. Ale bardzo się przeliczą, gdyż okrążę ich wówczas i znajdę się na ich tyłach. Dotąd nie miałem jeszcze odpowiedniego terenu do tych manipulacji. Będę mógł to zrobić dopiero tu, między tymi falistymi wzgórzami. Jeżeli chcecie się nauczyć, jak stary westman zabiera się do takiej, zabawy z czerwonoskórymi, to zaczekajcie tu z dziesięć minut. Ale wy pewnie zaniechacie tego, gdyż człowiek waszego pokroju diabelnie nie miewa ochoty wciągać do nosa indiańskiego zapachu. Naprzód, Tony!

Nie troszcząc się więcej o mnie odjechał, a w pół minuty potem zniknął razem ze swoją sławetną klaczą pomiędzy wyniosłościami terenu.

Dobrze pojąłem jego plan, gdyż na jego miejscu postąpiłbym podobnie. Nieznajomy chciał zatoczyć łuk, aby dostać się na tyły swoich wrogów, i zbliżyć się do nich, zanimby na podstawie zmienionego kierunku drogi przejrzeli jego taktykę. Aby to uczynić, musiał oczywiście trzymać się falistego terenu. Najlepiej by było, gdyby zatoczył łuk tak krótki, żeby Indianie wyminęli go z przodu. Dotąd mogli go śledzić bardzo dokładnie, wiedzieli więc, że znajduje się daleko przed nimi, nie mogli zatem przypuszczać, że jest znowu blisko.

Ponieważ było czterech przeciwko jednemu, przeto przygotowałem się od razu na to, że będę musiał użyć broni. Zbadałem ją zatem i czekałem na dalszy przebieg wypadków.

Indianie z każdą chwilą zbliżali się coraz bardziej, jadąc ciągle gęsiego. Dojechali już prawie do miejsca, gdzie trop przybysza stykał się z moim, kiedy nagle jadący na przedzie zatrzymał konia i odwrócił się do towarzyszy. Wydało im się bowiem podejrzane, że ścigany przez nich biały gdzieś zniknął. Odbyli więc krótką naradę, podczas której stali tuż obok siebie. Kulą z mego sztucera mogłem ich już dosięgnąć, ale to było niepotrzebne, gdyż w tej sa-

mej chwili huknął jeden strzał, a zaraz po nim drugi. Dwaj Indianie spadli z koni bez życia, a równocześnie rozległ się tryumfalny okrzyk:

– 0-hi-hi-hiii!–wydany gardłowym głosem, podobnie jak to czynią Indianie przy ataku wojennym.

Ale tym razem nie wydał tego okrzyku Indianin, lecz mały myśliwiec, który wychylił się z dołu. Wykonał swój zamiar, zniknął poza mną, a obecnie ukazał się znowu, tym razem udając, że po swoich dwóch wystrzałach chce uciekać. Jego klacz zamieniła się teraz w całkiem inne zwierzę. Wyrzucała kopyta, aż trawa w górę wylatywała; strzygąc z zapałem uszami, zadarła łeb do góry, a każda żyła, każde ścięgno na jej ciele naprężyło się do ostatecznych granic. Jeździec i koń jakby się ze sobą zrośli. Myśliwy wywinął strzelbą i nabił ją w cwale z pewnością, która świadczyła o tym, że nie po raz pierwszy znalazł się w takim położeniu.

Za nim rozległ się trzask dwóch wystrzałów. Obaj Indianie strzelili do niego, lecz nie trafili. Wobec tego wrzasnęli wściekle, porwali za tomahawki i popędzili za nim. Aż do tej chwili ścigany nie oglądnął się na nich, teraz jednak, uporawszy się z nabijaniem, skręcił nagle konia. Zdawało się, że koń odgaduje myśli swego pana, bo stanął i wyprężył się jak kozioł do rznięcia drzewa. Jeździec podniósł strzelbę i szybko wymierzył. W następnej chwili błysnęło raz po raz, przy czym klacz ani drgnęła, a obaj Indianie spadli z koni z przestrzelonymi głowami.

Trzymałem przez cały czas broń gotową do strzału, lecz cyngla nie nacisnąłem, gdyż mały myśliwiec nie potrzebował mojej pomocy. Teraz zsiadł z konia, aby zbadać poległych, a ja zbliżyłem się ku niemu.

– No, sir, czy wiecie teraz, na przykład, jak się okrąża czerwonoskórych łajdaków? – zapytał.

– Dziękuję, master! Przekonałem się, że mogę się od was czegoś nauczyć.

Mój uśmiech musiał mu się jednak wydać trochę dwuznaczny, gdyż spojrzał na mnie bystro i rzekł:

– Może i wy bylibyście także wpadli na taki pomysł?

– Zatoczenie koła nie było tu tak bardzo potrzebne. Tam gdzie można się ukryć w falistym terenie, wystarczy ukazać się nieprzyjacielowi z przodu w większej odległości, a potem wrócić po prostu własnym śladem. Zataczanie koła jest odpowiedniejsze na równej, otwartej prerii,

– Patrzcie! Skądże wy o tym wiecie? Kto wy właściwie jesteście, hę?

– Piszę książki.

– Piszecie książki? – powtórzył i cofnął się o krok w zdumieniu, przybierając minę na pół podejrzliwą, a na pół litościwą. – Czyście chorzy, sir?

Wskazał przy tym na czoło. Oczywiście domyśliłem się od razu, o jakiej chorobie mówił.

– Nie – odrzekłem.

– Nie? To was chyba niedźwiedź zrozumie, ale nie ja. Ja strzelam do bawołu, bo muszę jeść, ale z jakiego powodu wy piszecie książki?

– Ażeby je ludzie czytali.

– Sir, nie weźcie mi tego za złe, ale ja twierdzę, że to największe głupstwo, jakie tylko można wymyślić! Kto chce czytać książki, niech je sobie sam pisze! Ja także zwierzyny dla nikogo nie strzelam! Aha, więc jesteście pismak? Ale w takim razie po co przyjeżdżacie na sawanny? Czy chcecie tu, na przykład, pisać książki?

– Czynię to zwykle dopiero po powrocie do domu. Opowiadam w tych książkach wszystko, co przeżyłem i na co patrzyłem, a tysiące ludzi czytają to i wiedzą potem zupełnie dobrze, co się dzieje na sawannach, i nie potrzebują sami udawać się na prerię.

– Czy i o mnie tam wspomnicie?

– Oczywiście!

Nieznajomy odstąpił jeszcze o krok, a potem podszedł tuż do mnie, położył prawą dłoń na rękojeści noża, a lewą na mym ramieniu i rzekł:

– Sir, tam stoi wasz koń. Wgramolcie się na niego i zabierajcie się stąd czym prędzej, jeśli nie chcecie, żeby się wam zakradło pomiędzy żebra kilka cali ostrego, zimnego żelaza. Nie można przy was słowa powiedzieć ani ręką ruszyć, żeby się cały świat o tym nie dowiedział. Niech was diabeł porwie jeden z drugim! Drałujcie sobie stąd czym prędzej!

Mały człowieczek sięgał mi zaledwie do ramienia, a mimo to groził mi nie na żarty. Bawiło mnie to oczywiście w duszy, choć tego po sobie nie okazywałem.

– Zapewniam was, że tylko dobrze o was napiszę! – rzekłem.

– Wynoście się! Powiedziałem i tak być musi!

– To dam wam słowo, że nic o was nie napiszę!

– To nic nie znaczy! Kto pisze książki dla drugich, to wariat, a wariat nigdy nie dotrzymuje słowa. A wiec wynoś się precz, człowiecze, bo mnie żółć zaleje i spowoduje coś, co może być dla was niemiłe!

– Co takiego?

– Zaraz zobaczycie!

Spojrzałem z uśmiechem w jego płonące gniewem oczy i powiedziałem spokojnie:

– No, to pokażcie

– A więc patrzcie! Jak wam się podoba ta klinga?

– Wcale, wcale! Zaraz wam tego dowiodę!

W jednej chwili pochwyciłem go i wykręciłem mu ręce w tył. Moją lewą rękę wsunąłem między jego grzbiet a dłonie I przycisnąłem je do siebie mocno, prawą zaś ująłem go w przegubach tak silnie, że wypuścił nóż z ręki. Ten niespodziewany napad tak stropił małego człowieczka, że zanim zdołał wykonać jakikolwiek ruch oporu, związałem mu ręce na plecach rzemieniem od worka z kulami.

– Niech to wszyscy diabli! – zawołał. – A wam co znowu? Co chcecie ze mną zrobić, na przykład?

– Halo, master! Zapanujcie nad swoim głosem i ryczcie cokolwiek ciszej! – odpowiedziałem mu podobnie jak on mnie poprzednio. – Na tej starej łące nigdy się nie wie, czy tu lub ówdzie nie tkwią jakieś uszy, które nie powinny nic słyszeć.

Puściłem go i szybkim ruchem pochwyciłem jego nóż i strze1bę, które odłożył podczas badania poległych Indian. Mały myśliwy próbował uwolnić sobie ręce, z wysiłku krew nawet nabiegła mu do twarzy, lecz nie udało mu się rozerwać rzemienia.

– Dajcie spokój, master! – poradziłem mu. – Będziecie skrępowani, dopóki ja zechcę! Chciałem wam tylko pokazać, że pismak zwykł tak przemawiać do ludzi, jak on do niego. Dobyliście na mnie noża, chociaż ja was nie obraziłem ani nie uczyniłem wam nic złego, podlegacie więc według prawa sawannów takiej karze, jaka mi się spodoba. Nikt mnie za to nie zgani, jeśli teraz to ostre, zimne że1azo zakradnie się wam między zebra, zamiast mnie, jakeście to przedtem chcieli zrobić.

Pchnijcie – odrzekł ponuro. – Najlepiej będzie, jeśli ze mną skończycie, gdyż pozwolić się jednemu człowiekowi – oko w oko, w biały dzień – pokonać i związać nie naruszywszy mu włosa na głowie, to hańba, której nie przeżyje Sans-ear[2].

– Sans-ear! Wy jesteście Sans-ear?! – zawołałem.

Słyszałem wiele, bardzo wiele o tym słynnym westmanie, którego nikt jeszcze nie widział w niczyim towarzystwie, ponieważ nie uznawał nikogo za godnego bliższej znajomości ze sobą. Przed wieIu laty musiał zostawić u Nawajów uszy, dlatego nosił to szczególne przezwi-

[2] s a n s (franc.) – bez; e a r (ang.) – ucho

sko „Bezuchy”, złożone z wyrazów pochodzących z dwóch języków. Pod tym nazwiskiem znano go jak sawanny długie i szerokie, a nawet i dalej.

Westman nie odpowiedział na moje pytanie. Dopiero gdy je powtórzyłem, odrzekł:

– Moje nazwisko nic was nie obchodzi! Jeśli jest złe, to nie warto go było podawać, a jeśli dobre, to należało je uchronić od obecnej hańby!

Przystąpiłem doń I rozwiązałem mu ręce.

– Macie tu swoją strzelbę i nóż. Jesteście wolni. Możecie odejść, gdzie wam się podoba!

– Nie róbcie głupich żartów! Czy mogę tu zostawić hańbę klęski poniesionej z rąk greenhorna? Żeby to był chociaż jakiś setny chłop, jak Winnetou, długi Haller lub sławni tropiciele, jak Old Firehand czy Old Shatterhand, wtedy, no wtedy...

Żal mi się zrobiło starego. Mój cios trafił go w samo serce. Było mi jednak przyjemnie, że mogę go pocieszyć, szczególnie teraz, kiedy wymienił swoje przezwisko, które cieszyło się dobrą sławą zarówno przy obozowych ogniskach białych, jak i w wigwamach Indian.

– Greenhorna? Czy naprawdę sądzicie, że nowicjusz potrafiłby wypłatać takiego figla wam, dzielnemu Sans-earowi?

– A któż wy jesteście? Wyglądacie tak, jak gdybyście wyszli prosto od krawca, a broń wasza jest pięknie wyczyszczona, niczym na maskaradę.

– Ale dobra! Możecie się zaraz przekonać! Uważajcie dobrze!

Podniosłem z ziemi kamień wielkości dwudolarówki, wyrzuciłem wysoko w powietrze, złożyłem się szybko i trafiłem go w chwili, w której siła rzutu i siła przyciągania ziemi pozwoliły mu osiągnąć największą wysokość.

Zdawało się, że kamień zawisł w powietrzu, a kula pchnęła go jeszcze wyżej.

Setki razy ćwiczyłem się dawniej w takim strzelaniu, zanim mi się to udało. Nie była to zresztą nadzwyczajna sztuka. Ale mały westman spojrzał na mnie z wyrazem zdumienia w oczach.

– Wielkie nieba! To był strzał! Czy to się wam zawsze udaje?

– Dziewiętnaście razy na dwadzieścia.

– No, to ze świecą szukać takiego strzelca! Jak brzmi, na przykład, wasze nazwisko?

– Old Shatterhand.

– Nie może być! Old Shatterhand musi być o wiele, wiele starszy, bo inaczej nie nazywano by go Starym Shatterhandem.

– Zapominacie, że słowa old używa się często nie tylko dla oznaczania wieku.

– To słuszne! Ale, hm! Nie weźcie mi tego za złe, sir! Old Shatterhand leżał raz pod burym niedźwiedziem, który go zaskoczył we śnie i zdarł mu skórę z pleców aż po żebra. Zraniony westman przylepił sobie potem szczęśliwie kawał rumsztyku, ale blizna z pewnością będzie widoczna, na przykład!

Na to rozpiąłem bluzę myśliwską i znajdującą się pod nią białą koszulę ze skóry jelenia.

– Popatrzcie!

– Do stu piorunów? A to was ładnie urządził! Było wam pewnie widać wszystkie sześćdziesiąt osiem żeber.

– Prawie. Stało się to nad rzeką Red River. Leżałem z tą okropną raną przez dwa tygodnie nad rzeką obok niedźwiedzia, zdany tylko na siebie samego, dopóki nie znalazł mnie wódz Apaczów, Winnetou, którego imię wypowiedzieliście przed chwilą.

– W takim razie jesteście jednak Old Shatterhand! Hm, posłuchajcie: czy sądzicie, że ja, na przykład, jestem okropnym głupcem?

– Nie, tak nie sądzę. Popełniliście tylko błąd biorąc mnie za greenhorna, i nic więcej. Ze strony nowicjusza nie spodziewaliście się takiego ataku. Sans-eara można zwyciężyć tylko zaskoczeniem.

– Oho! Wy nie potrzebowaliście stosować zaskoczenia, bo niewielu zapewne ludzi posiada taką bawolą siłę jak wy. Zresztą dać się przez was zaskoczyć nie jest hańbą. Moje imię i nazwisko brzmi właściwie Sam Hawerfield. Jeżeli chcecie mi zrobić przyjemność, to mówcie mi: Sam!

– A wy mnie Charley, jak mówią wszyscy moi przyjaciele. Oto moja ręka!

– Zgoda, niech tak będzie, sir! Stary Sam nie ściska od razu palców pierwszemu lepszemu, ale wam podaję rękę natychmiast. Proszę was tylko, nie zgniećcie mi jej na pudding. Potrzebuję jej jeszcze nadal.

– Bez obawy, Samie! Ta ręka niejedną mi jeszcze wyświadczy przysługę, tak samo jak i moja gotowa jest wam zawsze służyć. Ale teraz wolno mi chyba będzie zapytać powtórnie: skąd i dokąd?

– Przybywam po trosze z Kanady, gdzie dotrzymywałem towarzystwa drwalom, a chcę teraz, na przykład, udać się do Teksasu i do Meksyku, gdzie podobno tak dużo jest łotrów, że aż serce się śmieje na myśl o kulach i pchnięciach nożem, jakie tam można otrzymać.

– Moja droga także tam prowadzi. Jadę właśnie do Teksasu i do Kalifornii i wszystko mi jedno, czy zboczę nieco przez Meksyk. Mogę się do was przyłączyć?

– Dziwne pytaniel Naturalnie! Byliście już przecież na Południu, a takiego towarzysza mi właśnie potrzeba. Ale powiedzcie mi bez żartów: czy rzeczywiście piszecie książki?

– Tak.

– Hm! Skoro to robi Old Shatterhand, to niewątpliwie jest to coś innego, aniżeli sobie myślałem. Powiem wam jednak, że wolę wpaść niespodzianie w jamę niedźwiedzia aniżeli wepchnąć pióro w atrament. Przez całe życie nie zdołałbym sklecić nawet i jednego słowa. A teraz powiedzcie mi, skąd się tu biorą Indianie! To na pewno Ogellallajowie, przed którymi trzeba się mieć na baczności.

Opowiedziałem mu, co o tym słyszałem.

– Hm! – mruknął Sam. – Wobec tego nie jest wskazane zatrzymywać się tu długo. Natknąłem się wczoraj na trop, przed którym trzeba mieć respekt. Naliczyłem co najmniej sześćdziesiąt koni. Ci czterej musieli należeć do tego oddziału i byli pewno wysłani na zwiady. Czyście już kiedyś tu byli?

– Nie.

– Mniej więcej dwadzieścia mil na zachód stąd preria staje się zupełnie równa, a jeszcze dziesięć mil dalej jest woda, dokąd zapewne jechali Indianie, aby napoić tam konie. Zejdziemy im chyba z drogi i skierujemy się wprost na południe, chociaż tam natrafimy na wodę dopiero jutro pod wieczór. Jeśli wyruszymy natychmiast, dotrzemy jeszcze dzisiaj przed nocą do kolei biegnącej ze Stanów do krajów zachodnich, a jeżeli przybędziemy we właściwym czasie, spotka nas przyjemność zobaczenia, na przykład, pociągu, który będzie koło nas przejeżdżał.

– Jestem gotów do drogi. Ale co zrobimy z trupami?

– Co zrobimy? Nic. Zostawimy je tutaj, tylko najpierw zabiorę im uszy.

– Musimy je zakopać, gdyż mogą zdradzić naszą obecność.

– Niech je znajdą, Charley. Tego właśnie chcę.

Sam zaniósł zwłoki Indian na grzbiet wzniesienia i poukładał je obok siebie.

– Tak, Charleyl Zobaczą trupy i dowiedzą się, że był tu Sans-ear. Nie uwierzylibyście, jakie to nędzne uczucie, kiedy człowiek chce w zimie zmarznąć w uszy, a nie ma ich. Byłem raz o tyle niezręczny, że dałem się złapać czerwonoskórym. Kilku z nich zabiłem, a jednemu obciąłem tylko ucho nie trafiwszy go dobrze tomahawkiem. Dla szyderstwa obcięli mi za to uszy, odkładając moją śmierć na później. Uszu mnie wprawdzie pozbawili, lecz życia nie, bo Sam Hawerfield zabrał nogi za pas i zwiał niespodziewanie. Ale za moich dwoje uszu... no... policzcie tu!

Podniósł strzelbę i pokazał na niej nacięcia. Każde z nich kosztowało życie Indianina. Teraz wyciął cztery nowe kreski i mówił dalej:

– To sami czerwonoskórzy. Tu na górze jest osiem karbów dla białych, którzy zasmakowali moich kul. Za co, o tym wam kiedyś opowiem. Szukam jeszcze dwóch, ojca i syna, największych łotrów na tym świecie. Gdy ich odnajdę, zadanie mojego życia będzie spełnione.

Oczy jego zabłysły naraz wilgocią, a ogorzała twarz nabrała wyrazu rzewności, wzruszenia i miłości. Domyśliłem się, że serce starego myśliwca upomniało się także niegdyś o swoje prawa. Może jego, tak samo jak wielu innych, rzucił w objęcia dzikiej pustyni jakiś ból albo pragnienie zemsty.

Sam nabił na nowo strzelbę. Był to jeden z owych strasznych samopałów, jakie się nierzadko spotyka na prerii. Kolba straciła już swoją pierwotną formę. Karb siedział przy karbie, nacięcie przy nacięciu, a każde przypominało o śmierci jednego wroga. Lufa pokryta grubą rdzą wyglądała, jak gdyby się wyciągnęła. Nikt obcy nie potrafiłby strzelać z niej nawet znośnie. Natomiast w ręku właściciela strzelba taka nie chybia. Przywykły do niej przez całe życie, zna on wszystkie jej zalety i wady i gdy w nią wpuści kulę na proch, można się założyć o życie, że dosięgnie swego celu.

– Tony! – zawołał Bezuchy.

Klacz pasła się dotychczas w pobliżu. Na zawołanie przybiegła i stanęła przy swym panu tak wygodnie, że wystarczyło mu tylko rękę wyciągnąć, aby wskoczyć na siodło.

– Samie, toż wy macie znakomitego konia! Na pierwszy rzut oka nikt by dolara za niego nie ofiarował, ale przyjrzawszy się jednak, każdy pozna, że nie oddalibyście go za tysiąc suwerenów[3].

– Tysiąc? Pshaw! Powiedzcie: milion! Znam w Górach Skalistych miejsca, skąd mógłbym wybierać pieniądze łopatami i jeśli kiedyś spotkam człowieka, który zasłuży na to, żeby go Sam Hawerfield całym sercem umiłował, to pokażę mu te miejsca. Nie potrzebuję więc oddawać mojej Tony za pieniądze. Powiem wam tylko tyle, Charley: ten, którego teraz nazywają Sans-ear, był niegdyś całkiem inny, pełen szczęścia i radości życia, jak dzień jest pełen światła, a morze pełne wody. Był młodym farmerem i miał żonę, za którą byłby tysiąc razy życie oddał w ofierze, i dziecko, które przedstawiało dlań wartość dziesięciu tysięcy istnień. Tę żonę przywiózł do domu na swej najlepszej klaczy, zwanej Tony. Kiedy później klacz urodziła źrebię, zdrowe, żwawe i rozumne jak rzadko, czemu nie miało się ono także nazywać Tony jak jego matka? Czy nie mówię słusznie?

– Oczywiście – odrzekłem głęboko wzruszony dziecięcą naiwnością, która ujawniała się teraz niespodziewanie spod zewnętrznej skorupy szorstkości Sans-eara.

– Well! Potem przyszło owych dziesięciu, o których wam przedtem wspomniałem. Była to zgraja bandytów, którzy wtenczas grasowali po okolicy. Spalili moją farmę, zabili mi żonę i dziecko, zastrzelili klacz, której nie mogli użyć, ponieważ nie chciała nosić na sobie obcego. Tylko źrebię uniknęło śmierci dlatego, że wybiegło przypadkowo w pole. Powróciwszy z polowania, zastałem to zwierzę jako jedynego świadka mojego dawnego szczęścia. Cóż wam więcej powiem? Ośmiu z tych łajdaków padło z mojej ręki i od kul tej oto strzelby. Dwaj, którzy uszli z życiem, będą także moi, gdyż człowiek, na którego trop raz wejdzie Sans-ear, nie umknie mu, choćby nawet biegł aż do Mongołów. W tym właśnie celu udaję się do Meksyku i Teksasu. Z młodego i żwawego farmera zrobił się siwy wędrownik, który przebiega lasy i prerie myśląc tylko o krwi i zemście, źrebię zaś zmieniło się w istotę podobniejszą do kozła niż do dobrego konia. Lecz oboje są jeszcze dzielni i wytrzymają razem niejedną przygodę, dopóki nie świśnie celna strzała lub kula, dopóki nie przetnie powietrza tomahawk, któ-

[3] s u w e r e n – tu: złota moneta angielska o wartości 1 funta szterlinga

ry skróci życie jednemu z nich. Kto zaś pozostanie – człowiek czy zwierzę – zginie sam ze zmartwienia i tęsknoty.

Sans-ear przesunął dłonią po oczach, a potem skoczył na siodło i dodał:

– Tyle o dawnych dziejach, Charley! Jesteście pierwszym, któremu je opowiadam, chociaż was widzę po raz pierwszy, i będziecie prawdopodobnie ostatnim. Słyszeliście zapewne o mnie już często, a mnie także nieraz obiło się o uszy wasze nazwisko, ilekroć przyszło mi na myśl przysiąść się do jakichś ludzi przy ognisku. Dlatego chciałem wam okazać, że nie uważam was za obcego. A teraz zróbcie mi tę przyjemność i zapomnijcie o tym, że się wam pozwoliłem zaskoczyć! Będę się starał udowodnić, że stary Hawerfield potrafi zawsze uczynić to, co do niego należy.

Tymczasem i ja odwiązałem mego mustanga i wsiadłem nań. Sans-ear powiedział przedtem, że pojedziemy na południe, tymczasem ruszył prosto na zachód. Nie pytałem go o nic, gdyż z pewnością dobrze wszystko obmyślił. Nie powiedziałem również nic na to, że zabrał ze sobą włócznie czterech Indian. Przypominał mi żywo starego Sama Hawkensa, tym bardziej że obaj nosili to samo imię.

Przebyliśmy już dość dużą przestrzeń, nie zamieniwszy ze sobą ani słowa, kiedy nagle mały westman zatrzymał swego konia, zsiadł i wetknął jedną włócznię na szczycie pagórka, zapewne w tym celu, aby zostawić Indianom drogowskazy, które by ich zaprowadziły do zabitych, oraz by im pokazać, że zemsta Sans-eara porwała znowu cztery ofiary. Następnie wyjął z torby przy siodle osiem grubych szmat, z których cztery dał mnie.

– Charley, zsiądźcie tutaj i owińcie tym kopyta waszego mustanga! Na tego rodzaju gruncie nie pozostawią śladów, a czerwonoskórym będzie się zdawało, że odlecieliśmy drogą powietrzną. Teraz skierujecie się wprost na południe, dopóki nie dostaniecie się do kolei, gdzie na mnie zaczekacie. Ja zatknę jeszcze te trzy włócznie, a potem wrócę, na przykład, do was. Spotkamy się na pewno, a gdybyśmy się rozminęli o jakiś kawałek drogi, to sygnałem będzie w dzień krzyk sępa, nocą zaś wycie kujota.

W pięć minut potem straciliśmy siebie z oczu. Jechałem we wskazanym mi kierunku pogrążony w cichej zadumie. Owinięcie kopyt przeszkadzało koniowi w biegu, dlatego po przebyciu pięciu mil zsiadłem i zdjąłem mu szmaty, tym bardziej że chodziło tylko o ukrycie naszych śladów w pobliżu wbitych włóczni. Teraz mustang mógł biec prędzej. Preria stawała się coraz równiejsza, a tu i ówdzie zaczęły się na niej pojawiać małe krzaki leszczyny i dzikiej czereśni. Słońce stało jeszcze nad zachodnim nieboskłonem, kiedy na południu ujrzałem prostą linię, ciągnącą się ze wschodu na zachód.

Czyżby to był tor kolei, o której wspomniał Sans-ear? Chyba tak.

Skierowałem się tam i nie omyliłem się. Wkrótce zobaczyłem przed sobą nasyp, który dosięgał wzrostu człowieka, a na nim szyny.

Opanowało mnie szczególne uczucie: niejasne, a mimo to zrozumiałe. Oto znów po długim okresie czasu zetknąłem się z cywilizacją. Wystarczyło zaczekać na pociąg, dać ręką znak, wsiąść do wagonu i pojechać na wschód lub na zachód...

Przywiązawszy konia lassem do palika, zacząłem szukać w zaroślach suchego drzewa na ognisko. Na zboczu nasypu rósł krzak. Schyliłem się ku niemu, aby podnieść trochę gałęzi, i ku memu zdumieniu spostrzegłem na ziemi – młot. Leżał on tam niewątpliwie od niedawna, gdyż sam tłuczek błyszczał jasno, a na bokach i okuciu rączki nie było ani śladu rdzy, która musiałaby je pokryć, gdyby choć przez kilka dni był wystawiony na działanie rosy nocnej. To wszystko dowodziło, że tego dnia lub najdalej poprzedniego byli w tym miejscu jacyś ludzie.

Zbadałem najpierw zwróconą do mnie stronę nasypu, lecz nie znalazłem nic szczególnego. Następnie wydostałem się na wierzch nasypu i szukałem znowu przez jakiś czas – również bezskutecznie. Wtem zauważyłem kępkę wonnej, odznaczającej się krótkimi źdźbłami trawy, która zwróciła moją uwagę dlatego, że w tych stronach rzadko spotyka się taką trawę. Na niej

wyciśnięty był świeży jeszcze ślad stopy ludzkiej, pozostawiony najwyżej przed dwiema godzinami. Źdźbła, przygięte brzegiem podeszwy, już się podniosły, ale na wewnętrznej części odcisku widać było dokładnie szerokość pięty i palców. Ślad pochodził od mokasynu. Czyżby w pobliżu byli Indianie? Na co wskazywałby w takim razie młot? Ale czyż biali nie noszą także często indiańskich mokasynów? Czy nie mógł to być dróżnik kolejowy, który używał tego wygodnego obuwia? Takie pytania nasunęły mi się zaraz do głowy. Mimo to zdawało mi się, że nie powinienem zadowalać się żadnym domysłem. Trzeba było zyskać pewność.

Co prawda, badanie nasypu było rzeczą wysoce niebezpieczną. Po obu stronach za każdym krzakiem mógł się znajdować zaczajony nieprzyjaciel, a z wierzchu nasypu widać mnie było na dużą odległość. W innych warunkach ten młot nie zaniepokoiłby mnie tak bardzo, a byłbym też bezzwłocznie zaczął badania. Teraz jednak, wiedząc, że Ogellallajowie grasują w tych stronach, musiałem zważać na najmniejszą drobnostkę. Przewiesiłem rusznicę przez plecy i wziąłem w rękę tylko rewolwer. Skradając się od krzaka do krzaka, przesunąłem się po dość dużej przestrzeni, lecz bez żadnego wyniku. Powróciłem drugą stroną – także na próżno. Badanie to przeprowadziłem na zachód od miejsca, na którym pasł się mój koń. Potem ruszyłem na wschód, z początku także bez skutku. Wobec tego postanowiłem się przedostać przez nasyp i szybko przeczołgałem się w poprzek toru. Wtem wydało mi się, że słyszę pewien szczególny szmer, taki jaki powstaje wówczas, gdy się sypie piasek. Zwróciło też moją uwagę to, że piasek tworzył tutaj kolistą powierzchnię; wyglądał tak, jakby go ktoś rozsypał naumyślnie. Zacząłem skwapliwie grzebać palcami. Wnet z przerażeniem spostrzegłem, że ręka zabarwiła mi się krwawo, a piasek był także czerwony i wilgotny. Leżąc na ziemi zbadałem wszystko dokładniej i przekonałem się, że zasypano tu piaskiem dużą i głęboką kałużę krwi.

Domyśliłem się, że popełniono morderstwo, krwi zwierzęcej bowiem nie starano by się tak starannie ukryć. Na górze śladów nie było, gdyż na twardym gruncie nie pozostawały odciski, kiedy jednak rzuciłem okiem na drugą stronę, porosłą trawą bawolą, zauważyłem kilka śladów nóg ludzkich oraz dwa długie pasy, jak gdyby ciągnięto człowieka, którego nogi wlokły się po ziemi.

W tym miejscu było nader niebezpiecznie przechodzić z jednej strony nasypu na drugą. Krew nie wsiąkła jeszcze zupełnie w ziemię, a ślady były tak świeże i dobrze zachowane, że prawdopodobnie morderstwo zostało popełnione niedawno, a mordercy musieli znajdować się jeszcze w pobliżu. Dlatego zsunąłem się z nasypu, cofnąłem się o znaczną przestrzeń i dopiero tam przeczołgałem się przez nasyp na drugą stronę ku wschodowi.

Odbyło się to bardzo powoli, gdyż przy wszelkich ruchach i pozycjach ciała musiałem zastosować całą przebiegłość i zręczność, aby się nie dać zaskoczyć, gdyby niebezpieczeństwo było blisko. Szczęściem rosły tu gęsto krzaki, a chociaż musiałem ukrywać się starannie za każdym z nich i badać dokładnie wzrokiem następny, zanim się odważyłem przebiec dzielącą je przestrzeń, dostałem się przecież bez wypadku poniżej miejsca, gdzie przedtem zauważyłem krew na nasypie.

Naprzeciwko czereśni, pod którymi leżałem zaczajony, rósł krzak oddalony od nich o osiem metrów. Jakkolwiek czereśniowe zarośla przeszkadzały mi w swobodnej obserwacji, i pomimo iż ów krzak był bardzo gęsty, wydało mi się, że widzę pod nim coś, co przypominało kształtem ciało ludzkie. Przedmiot ten bowiem, starannie czymś okryty, tworzył ciemną masę, odbijającą od otaczających go krzaków, przez które dostawało się światło, i miał długość ciała ludzkiego, Czy porzucono tam zamordowanego, czy też był to może jeden z morderców? Postanowiłam odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Po cóż narażałem się na niebezpieczeństwo? Wszak mogłem zaczekać na Sama, a potem najspokojniej pojechać z nim dalej! Ale preriowy myśliwiec musi wiedzieć, jakiego wroga ma przed sobą, za sobą i obok siebie. Bada on sumiennie najdrobniejszą okoliczność, gdyż znajomość jej zwiększa jego własne bezpieczeństwo, choć nie przyszłoby to – być może – na

myśl najbystrzejszemu nawet uczonemu i profesorowi. Myśliwiec preriowy wyciąga wnioski nawet z najmniej ważnych szczegółów, które dla człowieka niewtajemniczonego nie mają żadnego znaczenia. Kto inny śmiałby się nawet może z tych wniosków, tymczasem one często okazują się słuszne. I oto jednego dnia przebywa westman na swym mustangu czterdzieści i pięćdziesiąt mil angielskich, a w ciągu następnego posuwa się naprzód zaledwie o pół mili, ponieważ musi dobrze zbadać, czy może uczynić krok dalej. Jeśli zaś sam z takiej ostrożności nie korzysta, to może swoim doświadczeniem przysłużyć się innym, może im dobrze poradzić, ostrzec ich i udzielić potrzebnych wyjaśnień. Oprócz tego tkwi w każdym człowieku chęć upewnienia się, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża, i chęć przeciwdziałania ze wszystkich sił wszelkiemu złu, pomijając już urok, jaki na każdą naturę wywiera śmiałe przedsięwzięcie.

Wziąłem leżącą nie opodal gałąź, założyłem na nią kapelusz i wywołując naumyślnie szelest, wysunąłem ją z krzaka czereśni. Z przeciwnej strony musiało to wyglądać tak, jakby ktoś usiłował się przedrzeć przez krzak. Po tamtej stronie nic się jednak nie poruszyło. Albo nie było tam żadnego nieprzyjaciela, albo miałem do czynienia z kimś zbyt przebiegłym i doświadczonym na to, żeby się dać wziąć na taki fortel.

Postanowiłem odważyć się na wszystko. Zsunąłem się z powrotem i skręciłem w bok. Dwoma skokami przebiegłem wolną przestrzeń i z nożem, gotowym do pchnięcia, wpadłem w zarośla. Pod połamanymi gałęziami leżał człowiek – wyczułem to od razu – ale był nieżywy. Podniosłem w górę gałęzie i ujrzałem zmienioną okropnie twarz. Był to biały, którego oskalpowano. W plecach tkwiło mu zaopatrzone w haczyki ostrze ułamanej strzały. Nie ulegało wątpliwości, że morderstwo popełnili Indianie znajdujący się na ścieżce wojennej. Świadczyły o tym owe zakrzywione haczyki.

Czy oddalili się, czy też zatrzymali się jeszcze w pobliżu? Musiałem się o tym koniecznie dowiedzieć. Ślady ich widać było stąd wyraźnie – prowadziły z nasypu kolejowego na prerię. Poszedłem za tymi śladami od krzaka do krzaka, przygotowany na to, że w każdej chwili dostanę strzałę lub będę musiał użyć noża. Ślady świadczyły, że było to dwóch mężczyzn i dwóch młodzieńców. Podczas gdy ja posuwałem się naprzód tylko na końcach palców rąk i nóg, co wymaga wielkiej wprawy i niezwykłej siły, oni nie starali się ukryć swego tropu, jak gdyby czuli się tutaj zupełnie bezpiecznie.

Wiatr wiał z południowego wschodu, a więc z tej strony, w którą zdążałem. Toteż nie przestraszyłem się zbytnio usłyszawszy parskanie konia, gdyż nie mógł mnie zwietrzyć. Poczołgałem się dalej i znalazłem się wreszcie u celu, to znaczy: zobaczyłem dość, aby się cofnąć. Przede mną stało w zaroślach sześćdziesiąt koni, z wyjątkiem dwóch wszystkie miały uprząż założoną na sposób indiański. Siodła były pozdejmowane, prawdopodobnie służyły w obozie za siedzenia lub poduszki pod głowę. Zwierząt strzegło tylko dwóch ludzi. Jeden z nich, młody jeszcze, miał na nogach buty z grubej skóry, które były prawdopodobnie własnością zamordowanego, znalazłem go bowiem prawie bez ubrania. Rzeczy jego rozdzielili mordercy pomiędzy siebie. Ten młodzik musiał zatem należeć do owych czterech ludzi, których trop przyprowadził mnie tutaj.

Indianin obcuje często z białymi, którzy nie rozumieją jego mowy. Z tego powodu wyrobił się między czerwonoskórymi a „bladymi twarzami" język mimiczny, a każdy, kto wyrusza na Dziki Zachód, musi rozumieć jego znaki i ich znaczenie. Wobec żywości temperamentów i podniecających okoliczności często się tak dzieje, że ktoś posługując się mową wzmacnia ją mimo woli gestami, których znaczenie jest potwierdzeniem wypowiadanych słów. Obaj wartownicy mówili o czymś, co ich bardzo żywo interesowało, gdyż, sądząc, że nikt ich nie widzi, gestykulowali w sposób, który ściągnąłby na nich zapewne naganę starych, poważnych wojowników. Pokazywali na zachód i naśladowali gestami ogień i konia, co oznaczało lokomotywę, zwaną przez Indian koniem ognistym, uderzali łukami o ziemię, jak gdyby rąbali lub

bili młotem, mierzyli jak podczas strzelania, wykonywali ruchy naśladujące pchnięcie nożem i rzut tomahawkiem. To mi wystarczyło, cofnąłem się więc niezwłocznie, starając się zatrzeć za sobą ślady.

Z tego też powodu upłynęło wiele czasu, zanim dostałem się do swego konia. Znalazł on tymczasem towarzysza, gdyż obok pasła się klacz Sama, który leżał sobie wygodnie w krzakach i żuł potężny kęs suszonego mięsa.

– Ilu ich jest, Charley? – zapytał mnie.

– Kogo?

– Indian.

– A wy skąd o nich wiecie?

– Stary Sans-ear wydaje się wam teraz greenhornem, jak wy jemu poprzednio. Mylicie się jednak grubo, hi, hi, hi!

Był to półgłośny śmiech, świadczący o pewności siebie, Jaki już raz u niego słyszałem. Sans-ear śmiał się tak, ilekroć czuł swoją przewagę. Pod tym względem był także podobny do Sama Hawkensa, który również wybuchał takim śmiechem.

– Pod jakim względem się mylę, Samie?

– Czy trzeba wam to dopiero mówić? Co byście zrobili, gdybyście, przyszedłszy tutaj, znaleźli obok konia ten młot zamiast przyjaciela?

– Zaczekałbym, dopóki by nie wrócił.

– Naprawdę? Niechętnie bym w to uwierzył, na przykład. Nie było was, kiedy nadszedłem. Ponieważ mogło się wam stać coś złego, przeto puściłem się za wami.

– Ja jednak mogłem zajmować się czymś, w czym wasza obecność tylko by mi przeszkodziła. Zresztą Old Shatterhand nie przedsiębierze niczego bez nieodzownej ostrożności. Jak daleko byliście za mną?

– Najpierw tu, potem tam, z tej i z tamtej strony, a wreszcie koło tego biedaka, którego zdmuchnęli czerwonoskórzy. Mogłem się poruszać szybko, gdyż wiedziałem, że jesteście przede mną. Ujrzawszy zabitego, pomyślałem, że pewnie poszliście na zwiady, i wróciłem tu, gdzie, na przykład, czekałem na was spokojnie. A zatem ilu jest Indian?

– Może sześćdziesięciu.

– Popatrzcie! A więc to oddział, którego trop wczoraj widziałem. Czy są na ścieżce wojennej?

– Tak.

– Czy obóz założyli na krótko?

– Pozdejmowali siodła.

– Do pioruna! W takim razie postanowili pewnie coś tutaj zrobić. Czy nie zauważyliście niczego?

– Chcą, jak mi się zdaje, wyrwać szyny, aby pociąg uległ katastrofie, a potem mają zamiar go ograbić.

– Czyście zwariowali, Charley? To byłoby straszne niebezpieczeństwo dla kolejarzy razem z ich podróżnymi. Skądże wy o tym wiecie?

– Podsłuchałem ich.

– A rozumiecie narzecze Ogellallajów?

– Tak, ale tym razem nie było to potrzebne, gdyż warta przy koniach rozmawiała wyraźną mimiką.

– Taka mimika czasami zawodzi. Opiszcie mi ją.

Uczyniłem to. Mały myśliwiec zerwał się z ziemi, lecz wnet pohamował się i usiadł z powrotem.

– A więc zrozumieliście dobrze. Musimy wobec tego ruszyć na pomoc pociągowi. Nie wolno nam jednak zbytnio się śpieszyć, gdyż nad tak poważnymi rzeczami należy się spokoj-

nie zastanowić i naradzić. A więc sześćdziesięciu? U mnie na kolbie zmieści się jeszcze najwyżej dziesięć karbów. Gdzie potem będę. nacinał?

Pomimo poważnej sytuacji omal nie roześmiałem się głośno. Ten mały człowieczek miał przed sobą sześćdziesięciu Indian i zamiast się bać ich przewagi liczebnej, troszczył się o miejsce na nacięcia na swej kolbie.

– Iluż zamierzacie położyć trupem? – spytałem.

– Tego sam jeszcze nie wiem, na przykład, chyba najwyżej dwóch czy trzech, gdyż na widok dwudziestu lub trzydziestu białych reszta ucieknie.

Sam brał więc w rachubę to samo, co ja: liczył, że przyłączy się do nas personel kolejowy i podróżni.

– Najważniejsze – zauważyłem – żebyśmy odgadli, na który pociąg chcą napaść. Byłoby źle, gdybyśmy obrali fałszywy kierunek.

– Z waszego sprawozdania wynika, że mają na myśli pociąg z Mountain, nadchodzący z zachodu i... to mnie dziwi. Pociąg ze wschodu wiezie zawsze więcej towarów i rzeczy przedstawiających wartość dla Indian. Nie pozostaje nam nic innego, jak rozdzielić się: jeden z nas pójdzie na wschód, a drugi na zachód.

– Musimy to istotnie zrobić, jeśli nie uda nam się zdobyć pewności. Gdybyśmy tak mogli się dowiedzieć, skąd i kiedy przejeżdżają tędy pociągi!

– Kto to może wiedzieć! Jak długo żyję, nie siedziałem jeszcze w tym, co się nazywa wagonem, gdzie człowiek ze strachu nie wie, jak nogi ułożyć. Ja lubię prerię i moją Tony. Czy nie spotkaliście jeszcze Indian przy robocie?

– Nie. Widziałem tylko konie. Z tego wszystkiego należy jednak wnosić, że Indianie wiedzą, kiedy pociąg nadejdzie, i zdaje się, że nie zabiorą się do roboty przed nocą. Do zmroku brakuje jeszcze najwyżej pół godziny. Potem podkradniemy się do nich i zdobędziemy potrzebne nam wiadomości.

– Well! Niech i tak będzie!

– Ale w takim razie trzeba, żeby jeden z nas zajął stanowisko tu, na nasypie. Czerwonoskórym może strzelić do głowy, żeby zabrać się do rzeczy z drugiej strony. Sądzę jednak, że wyrwą szyny z naszej strony, ponieważ muszą urządzić miejsce ataku między pociągiem a sobą.

– To niekoniecznie, Charley! Przypatrzcie się mojej Tony! Nie przywiązuję jej nigdy ani nie pętam, ale to sławnie mądre bydlę ma węch, któremu mogę zaufać. Czy widzieliście kiedy konia, który by nie parskał skoro zwietrzy nieprzyjaciela?

– Nie.

– No, to patrzcie na jedyny wyjątek pod tym względem, na moją Tony. Parskanie ostrzega wprawdzie pana, lecz równocześnie zdradza, gdzie jest jeździec i koń, oraz to, że jeździec został ostrzeżony. Toteż oduczyłem moją Tony parskania, a mądre zwierzę mnie pojęło. Puszczam ją zawsze wolno na paszę, a ona, skoro tylko zwietrzy nieprzyjaciela, przychodzi do mnie i trąca mnie pyskiem.

– A jeśli nic nie zauważy?

– Pshaw! Wiatr wieje prosto od Indian. Możecie mnie zastrzelić na miejscu, jeśli Tony nie wywęszy każdego czerwonoskórego na tysiąc kroków. Zresztą te draby mają oczy jak orły i mogą was zauważyć z daleka, nawet gdy się położycie na torze. Zostańcie więc spokojnie tutaj, Charley!

– Dobrze. Zaufam raz waszej Tony tak samo jak wy. Znam ją dopiero od niedawna, ale przekonałem się już prawie, że ona nigdy nie zawodzi.

Wyjąłem cygaro własnego wyrobu i zapaliłem. Sam rozwarł oczy, jak mógł najszerzej, potem usta, nozdrza zaś rozszerzyły mu się i wciągnęły pożądliwie woń ziela, a na twarzy jego odmalował się zachwyt. Westman nie często kosztuje dobrego tytoniu, a paleniu oddaje się zazwyczaj namiętnie.

– Cudowne!... Charley!... Czy to być może, że macie cygara?
– Oczywiście! Mam jeszcze tuzin. Chcecie zapalić!
– Dawajcie! Jesteście zuch, dla którego należy mieć całą dynię[4] szacunku!
Zapalił podane mu cygaro, połknął indiańskim zwyczajem dym z kilku pociągnięć i wydmuchnął go potem z żołądka. Twarz miał przy tym tak rozanieloną, jakby się dostał do siódmego nieba Mahometa.
– Precz z troskami! A to dopiero przyjemność! Czy mam zgadnąć, jaka to marka, Charley?
– No, zgadnijcie. Jesteście znawcą?
– Właśnie.
– No?
– Goosefoot z Wirginii lub Marylandu!
– Nie.
– Co! Wobec tego pomyliłem się pierwszy raz. To goosefoot, bo znam ten smak i ten zapach.
– Nie.
– W takim razie to brazylijskie legittimo.
– Również nie.
– Curassao z Bahii?
– Znowu nie.
– No, a cóż?
– Przypatrzcie się cygaru.
Wyjąłem nowe cygaro, rozwinąłem je i podałem mu środek i liść do owijania.
– Czy zwariowaliście, Charley? Rujnujecie takie cygaro! Każdy traper ofiaruje wam za to, zwłaszcza gdy długo nie palił, pięć do ośmiu skórek bobrowychł
– Za dwa lub trzy dni dostanę nowe.
– Za trzy dni? Nowe? Skądże?
– Z mojej fabryki.
– Co? Wy macie fabrykę cygar?
– Tak.
– Gdzie?
– Tam – rzekłem wskazując na mego mustanga.
– Charley, proszę was, strójcie ze mnie żarty tylko wtedy, kiedy są coś warte, na przykład!
– To nie żart, lecz prawda.
– Gdybyście nie byli Old Shatterhandem, pomyślałbym naprawdę, że macie w głowie czegoś za dużo albo za mało!
– Przypatrzcie się najpierw tytoniowi!
Sam Hawerfield zabrał się troskliwie do badania.
– Nie znam go, ale dobry, bardzo dobry.
– Teraz pokażę wam moją fabrykę. Podszedłem do mustanga, rozluźniłem siodło i wydobyłem spod niego małą poduszkę, którą rozwinąłem.
– Sięgnijcie tam!
Sam wyciągnął garść liści.
– Charley! Nie róbcie ze mnie błazna. To są przecież liście czereśni i lentysków!
– Słusznie! Dodajcie do tego trochę dzikich konopi, a liść zewnętrzny pochodzi z rośliny, którą wy tu nazywacie verhally. Ta poduszka jest rzeczywiście moją fabryką tytoniu. Ilekroć znajdę jeden z gatunków tych liści, zbieram tyle, ile mi potrzeba, wkładam do poduszki i wsuwam ją pod siodło. Powstaje ciepło, liście zaczynają fermentować i oto cała moja sztuka.

[4] traperskie określenie na „bardzo wiele”

– Trudno uwierzyć!

– A jednak to prawda! Takie cygaro jest wprawdzie tylko nędzną namiastką i nawet palacz z podniebieniem jak skóra bawola pociągnie najwyżej raz i wyrzuci je potem, lecz pobiegajcie sobie parę lat po prerii i zapalcie potem coś takiego, a wyda wam się, że to goosefoot. Sprawdziliście to przecież na własnym przykladzie!

– Charley, rośniecie w moich oczach!

– Tylko nie zdradźcie tego, gdy znajdziecie się między ludźmi, którzy nie znają jeszcze Zachodu! Uważaliby was za Tunguza, Kirgiza lub Ostiaka z natartymi dziegciem i smołą narządami smaku i powonienia!

– Tunguz czy Ostiak, wszystko mi jedno, jeśli tylko cygaro smakuje. Zresztą nie wiem nawet, gdzie można znaleźć ludzi tego rodzaju.

Ujawnienie mej tajemnicy nie popsuło mu bynajmniej smaku, przeciwnie, wypalił cygaro do końca, a wyrzucił tylko mały niedopałek, którego nie mógł już utrzymać w ustach.

Tymczasem słońce pochyliło się i zmrok już zaczął zapadać, a niebawem zrobiło się tak ciemno, że mogliśmy przystąpić do wykonania naszego zamiaru.

– Czy teraz? – zapytał Sam.

– Tak.

– W jaki sposób?

– Dojdziemy razem do koni czerwonoskórych, tam się rozdzielimy, zakradniemy się pod obóz, a potem znów się za nim spotkamy.

– Dobrze, a gdyby nas coś zmusiło do ucieczki, gdybyśmy się nawzajem stracili z oczu, to zejdziemy się znów nad wodą prosto stąd na południe. Dziewiczy las, spływający z gór, wysuwa tam na prerię najdalszą swą odnogę. Dwie mile od końca odnogi, na południowym skraju puszczy jest coś w rodzaju preriowej zatoki, gdzie się łatwo odszukamy.

– Dobrze! A więc naprzód!

Nie zdawało mi się prawdopodobnym, żeby nas miano rozdzielić, należało się jednak przygotować na wszelki wypadek.

Wyruszyliśmy w drogę.

Było już tak ciemno, że mogliśmy bezpiecznie przejść wyprostowani przez tor. Potem skierowaliśmy się na lewo i poszliśmy wzdłuż nasypu, trzymając w ręku noże na wypadek spotkania z wrogiem. Na prerii oko przyzwyczaja się bardzo prędko do ciemności; poznalibyśmy każdego Indianina na odległość kilku kroków. Obok zwłok zabitego białego dostaliśmy się na miejsce, gdzie przedtem stały konie. Były tam jeszcze dotychczas.

– Wy w prawo, a ja w lewo – szepnął Sam i odczołgał się cicho ode mnie.

Okrążyłem łukiem konie i znalazłem się w miejscu wolnym od zarośli, gdzie leżały ciemne postacie Indian. Nie rozniecili ognia i zachowywali się tak cicho, że można było słyszeć szelest chrząszcza w trawie. Nieco opodal ujrzałem trzy postacie siedzące i zajęte rozmową. Zacząłem się skradać ku nim możliwie najostrożniej.

Kiedy znalazłem się zaledwie o sześć kroków za nimi, w jednym z nich poznałem ku mojemu zdumieniu – białego. Co go łączyło z Indianami? Jeńcem ich nie był. To było jasne od razu. Może był to jeden z owych preriowych włóczęgów, którzy przystają bądź do czerwonoskórych, bądź do białych zależnie od tego, jak odpowiada to ich rozbójniczym zamiarom. Mógł to być także jeden z owych białych myśliwców, którzy dostawszy się do niewoli, ocalają swoje życie w ten sposób, że biorą sobie za żonę indiańską dziewczynę i należą polem do szczepu. Ale wówczas jego ubranie, które dobrze widziałem mimo ciemności, miałoby bardziej indiański krój.

Dwaj pozostali byli wodzami, na co wskazywały pióra przymocowane do wysoko podniesionego węzła włosów. Zeszli się tu zatem wojownicy dwóch różnych plemion lub wsi.

Wszyscy trzej siedzieli na skraju wolnego placu, tuż pod krzakiem, do którego się właśnie zbliżyłem, by podsłuchać choć kilka słów z ich rozmowy. Przysunąłem się do nich i położyłem się tak blisko, że mogłem ich prawie dosięgnąć ręką.

W ich rozmowie nastąpiła widocznie przerwa. Milczeli przez kilka minut, po czym jeden z wodzów zapytał myśliwca żargonem składającym się ze słów angielskich i indiańskich, jakim się posługuje Indianin w stosunkach z białymi:

– Czy mój biały brat wie, że właśnie tym najbliższym koniem ognistym nadejdzie mnóstwo złota?

– Wiem o tym – odrzekł zapytany.

– A kto mu to powiedział?

– Jeden z ludzi mieszkających w stajni konia ognistego.

– Czy złoto przywiozą z kraju Wajkurów[5]?

– Tak.

– I oddadzą ojcu bladych twarzy[6], który z niego chce zrobić dolary?

– Tak jest.

– Ojciec bladych twarzy nie dostanie z tego złota nawet tyle, ile potrzeba na pół pensa! Czy dużo mężczyzn pojedzie na koniu ognistym?

– Tego nie wiem, ale żeby ich było nawet jak najwięcej, mój czerwony brat i tak pobije ich wszystkich przy pomocy swoich dzielnych wojowników.

– Wojownicy Ogellallajów przyniosą do domu dużo skalpów, a ich żony i córki zatańczą z radości. Czy jeźdźcy konia ognistego będą mieli ze sobą dużo rzeczy, które by się przydały czerwonym wojownikom? Ubrania, roń?

– Wszystko to i wiele jeszcze innych rzeczy. Ale czy czerwoni wojownicy dadzą białemu bratu to, co mu przyrzekli?

– Mój biały brat otrzyma całe złoto i srebro, które przywiezie koń ognisty. My się tego zrzekamy, bo w naszych górach jest więcej nuggetów, niż potrzebujemy. Ka-wo-mien, wódz Ogellallajów – wskazał przy tym ręką na siebie – poznał swego czasu rozumną i mężna bladą twarz, która powiedziała, że złoto jest to śmiercionośny pył, stworzony przez złego ducha ziemi po to, by czynić ludzi złodziejami i mordercami.

– Ta blada twarz była strasznie głupia. Jak jej na imię?

– To nie był wcale głupiec, lecz bardzo mądry, waleczny wojownik. Synowie Ogellallajów byli nad wodami Broad Fork, skąd chcieli przynieść skalpy kilku traperów, którzy na ich terytorium złowili mnóstwo bobrów. Między traperami znajdował się pewien biały, którego wszyscy uważali za głupca, ponieważ przybył tylko po to, aby zbierać chrząszcze i rośliny oraz przypatrzyć się sawannom. Ale w jego głowie mieszkała mądrość, a w jego ramieniu siła. Strzelba jego nigdy nie chybiała, a nóż jego nie obawiał się szarego niedźwiedzia z Gór Skalistych. Ów mądry biały chciał swoim braciom dać rozum przeciwko czerwonym mężom, lecz biali wyśmiali go. Dlatego zginęli wszyscy, a skalpy ich zdobią do dzisiaj wigwamy Ogellallajów. On nie opuścił swych białych braci w ich nieszczęściu i położył trupem wielu czerwonych mężów, którzy jednak, jako znacznie liczniejsi, powalili go, chociaż stał jak dąb leśny, druzgocący wszystko, gdy pada pod siekierą drwala. Pojmano go i zaprowadzono do wsi Ogellallajów. Nie zabito go tu jednak, ponieważ był odważnym wojownikiem i niejedna dziewczyna z czerwonego narodu pragnęła jako skwaw pójść do jego wigwamu. Największy wódz Ogellallajów, Ma-ti-ru, gotów był oddać mu swą córkę i jej wigwam, lecz on pogardził kwiatem prerii, porwał konia wodza, wykradł swoją broń, zabił kilku wojowników i umknął.

– Kiedy się to stało?

---

[5] k r a j W a j k u r ó w (ind.) – Kalifornia

[6] o j. c i e c b l a d y c h t w a r z y – prezydent Stanów Zjednoczonych

– Słońce zwyciężyło od tego czasu cztery zimy.

– A jak się nazywał ten biały?

– Pięść jego była jak łapa niedźwiedzia. Gołą ręką roztrzaskał wiele czaszek czerwonych mężów, a wiele także i białych, dlatego nazywali go biali myśliwi Old Shatterhand.

Była to rzeczywiście jedna z moich dawniejszych przygód, o której przypomniał mi teraz Ka-wo-mien. Poznałem go dopiero w tej chwili, jak również siedzącego obok niego Ma-ti-ru, który mnie kiedyś wziął do niewoli. Opowiadający mówił prawdę, musiałem mu tylko w duchu zarzucić to, że o mojej osobie wyrażał się zbyt pochlebnie.

– Old Shatterhand? Ja go znam! – odrzekł biały. – Znajdował się swojego czasu w kryjówce Old Firehanda, kiedy wraz z kilku dzielnymi towarzyszami napadłem na nich, aby im zabrać skórki wydr i bobrów. Umknąłem wówczas tylko z dwoma ludźmi, dlatego bardzo życzyłbym sobie spotkać się jeszcze z tym łotrem. Zwróciłbym mu kapitał z obfitym procentem!

Tego również poznałem. Był to herszt bushheaderów[7], którzy uderzyli na nas nad południowym Saskaczawanem, gdzie jednak dostali taką odprawę, że tylko trzech z nich z życiem uszło. Był to więc jeden z owych rozbójników preriowych, których należy się obawiać bardziej niż najdzikszych Indian. ponieważ łączą w sobie wady obu ras w zdwojonej mierze. Ma-ti-ru, który milczał dotychczas, podniósł rękę i powiedział:

– Biada mu, jeśli jeszcze raz wpadnie w ręce czerwonych mężów! Przywiążą go do pala, a Ma-ti-ru odejmie mu każdy mięsień od kości. On zabił wojowników Ogellallajów, porwał najlepszego konia wodzowi i odepchnął od siebie serce najpiękniejszej z córek sawannów!

Gdyby ci trzej ludzie wiedzieli, że ten, przeciwko któremu miotali takie groźby, leżał za nimi zaledwie o kilka piędzi!

– Czerwoni mężowie nie zobaczą go już nigdy, ponieważ wyjechał daleko za morze do kraju, gdzie słońce pali jak ogień, gdzie piasek jest większy niż na sawannach gdzie ryczy lew, a mężowie mogą mieć po kilka żon.

Siedząc u ognisk obozowych, wspominałem nieraz przy sposobności, że zamierzam zwiedzić Saharę. Dokonałem tego i oto teraz podczas wyprawy na prerie dowiedziałem się ku mojemu zdumieniu, że wieści o tym dotarły aż do Indian. Tutaj, z nożem w ręku, udało mi się prędzej zostać znanym człowiekiem aniżeli w kraju za pomocą pióra.

– On powróci – rzekł Ma-ti-ru. – Kto przesiąknął tchnieniem prerii, ten zatęskni do niej, dopóki Wielki Duch życia mu nie odbierze!

Pod tym względem czerwony wódz miał słuszność. Jak góral tęskni na dolinach za górami, a żeglarz nie może rozstać się z morzem, tak samo dzieje się z każdym, kogo raz weźmie w swoje objęcia – preria. Nic więc dziwnego, że i ja na nią wróciłem.

Wtem Ka-wo-mien wskazał na niebo.

– Niech mój biały brat spojrzy na gwiazdy! Czas już udać się na drogę konia ognistego. Czy żelazne ręce, odebrane białemu słudze konia przez moich wojowników, są dość silne do przerwania jego drogi?

To pytanie wyjaśniło mi, kim był zamordowany. Niewątpliwie był to dróżnik kolejowy, który dla zbadania toru szedł wzdłuż jego trasy z narzędziami, określonymi przez wodza jako „żelazne ręce”.

– Są silniejsze od rąk dwudziestu czerwonych mężów – odrzekł biały.

– A czy mój biały brat umie się z nimi obchodzić?

– Tak. Niechaj czerwoni bracia pójdą za mną! Za godzinę nadejdzie pociąg. Ale niechaj moi bracia zważą raz jeszcze, że wszystko złoto i srebro będzie należeć do mnie.

---

[7] b u s h h e a d e r (ang.) – bandyta, rozbójnik

– Ma-ti-ru nigdy nie kłamie! – zapewnił dumnie wódz powstając z miejsca. – Złoto jest twoje, a wszystko inne wraz ze skalpami bladych twarzy stanie się własnością walecznych wojowników Ogellallajów.

– A wy mi dacie muły, które poniosą moje złoto, i ludzi, pod których osłoną udam się nad Canadian.

– Dostaniesz muły, a wojownicy Ogellallajów będą ci towarzyszyli aż do granic kraju Aztlan[8]. Jeśli zaś koń ognisty przywiezie dużo rzeczy, które spodobają się Ka-wo-mienowi i Ma-ti-ru, to zaprowadzą cię oni jeszcze dalej – aż do miasta Aztlan, gdzie, jak mówiłeś, czeka na ciebie twój syn.

Rzekłszy to wydał okrzyk, na który zerwali się Indianie. Wobec tego zacząłem się cofać. Niedaleko od miejsca, na którym leżałem, usłyszałem ledwo dosłyszalny szmer, jak gdyby lekki wiatr musnął trawę.

– Samie!

Tchnąłem raczej, aniżeli wymówiłem to słowo, mimo to uniosła się w odległości kilku kroków mała figurka mego towarzysza. Trwało to jednak tylko mgnienie oka, po czym równie cicho zabrzmiało:

– Charley! Poczołgałem się do niego.

– Coście widzieli? – zapytałem go.

– Niewiele, Indian, podobnie jak i wy.

– A słyszeliście?

– Nic, ani słowa, a wy?

– Bardzo wiele. Ale chodźcie! Oni wyruszą w każdym razie na zachód, musimy więc się spieszyć, żebyśmy się dostali na czas do naszych koni.

Pomknąłem naprzód, a on za mną. Dotarłszy do toru kolejowego, przeszliśmy przez nasyp na drugą stronę, gdzie zatrzymaliśmy się na chwilę.

– Samie, pójdźcie do koni i pojedźcie z pół mili wzdłuż toru, a tam zaczekajcie na mnie. Nie chciałbym opuścić Indian, dopóki nie zorientuję się dokładnie w sytuacji.

– A czy nie mógłbym ja wziąć tego na siebie? Wyście już tyle wyszpiegowali, że muszę się wstydzić, iż nic nie zrobiłem.

– To nie może być, Samie! Mój mustang was posłucha, a wasza Tony nie dałaby mi się ruszyć z miejsca.

– W tym macie, na przykład, wielką słuszność, Charley. Postąpię zatem wedle waszej wskazówki.

Po tych słowach poszedł wyprostowany swoją drogą, nie troszcząc się oczywiście w ciemności o ślady. Ledwie zniknął mi z oczu, ujrzałem, leżąc po tej stronie nasypu, Indian przemykających się szybko jeden po drugim.

Udałem się za nimi w ten sposób, że posuwałem się ciągle równoległe z nimi. Niedaleko miejsca gdzie znalazłem młot. zatrzymali się i zaczęli piąć się na wał. Wtedy cofnąłem się w zarośla i wkrótce doszedł moich uszu odgłos uderzeń młota. Widocznie więc bushheader zabrał się na dobre do dzieła i zaczął odebranymi dróżnikowi narzędziami odrywać szyny od podkładów.

Nadszedł już czas i dla mnie. Opuściłem przypuszczalny teren bitwy i pospieszyłem naprzód. W pięć minut potem dogoniłem Sama.

– Pracują nad szynami? – spytał mnie.

– Tak.

– Słyszałem to. Jeśli się przyłoży ucho do szyny, słyszy się, na przykład, każde uderzenie młota.

---

[8] A z t l a n (ind.) – Meksyk

– Teraz naprzód, Samie! Za trzy kwadranse nadejdzie pociąg, musimy się do niego dostać, zanim Indianie zdołają zobaczyć światła.

– Słuchajcie, Charley, ja nie pójdę z wami!

– Dlaczego?

– Jeśli obaj opuścimy to miejsce, to za dużo cennego czasu stracimy na nowe zwiady. Jeśli zaś ja wrócę do Indian, żeby ich śledzić, to powiadomię was dokładnie o wszystkim, gdy do mnie wrócicie.

– To prawda! A wasza Tony?

– Zaczeka na mnie tutaj.

– Dobrze! Wiem, że niczego nie popsujecie.

– Możecie mi pod tym -względem zaufać. A więc wynoście się, Charley! Znajdziecie mnie potem tutaj.

Dosiadłem konia i pojechałem naprzeciw pociągu tak szybko, jak na to pozwalała ciemność. Należało dotrzeć doń w takiej odległości, aby Indianie nie zauważyli, że się zatrzymał. Noc rozjaśniała się coraz bardziej. Wschodziły gwiazdy rzucając na prerię tyle łagodnego światła, że na kilka długości konia można było wszystko dokładnie rozróżnić. Z tego też powodu wzmagała się z każdym krokiem szybkość mojej jazdy, nie przerywanej żadną przeszkodą na przestrzeni może trzech mil angielskich.

W tej odległości od Indian zatrzymałem się, zsiadłem z konia, przywiązałem go i spętałem mu przednie nogi, gdyż hałas, spowodowany przez zbliżający się pociąg, mógł go spłoszyć i skłonić do ucieczki.

Następnie nazbierałem, ile tylko mogłem, zeschłej trawy i położyłem na nią trochę chrustu. Potem sporządziłem także pochodnię, przywiązawszy wiązkę trawy do kija, wyłamanego z zarośli. Tak przygotowany do zatrzymała pociągu, pościeliłem derkę na torze, usiadłem na niej i przykładałem co chwila ucho do szyn lub podnosiłem się, aby spoglądać w stronę, z której miał nadejść pociąg.

Już może po dziesięciu minutach czekania usłyszałem lekki turkot, który wzmagał się z każdą sekundą, potem spostrzegłem w dali mały, jasny punkt, wychylający się spomiędzy gwiazd na widnokręgu. Nie mogła to być jednak gwiazda, gdyż punkt powiększał się uderzająco i zbliżał szybko.

To nadchodził pociąg.

Wkrótce światło rozdzieliło się na dwa punkty. Teraz należało wziąć się do dzieła. Zapaliłem prędko kupę chrustu, który buchnął od razu w górę tak wysokim płomieniem, że musiano ogień zobaczyć z pociągu. Turkot wzmagał się ciągle. Wkrótce zobaczyłem klin świetlny, wywołany przez obydwie latarnie, którym lokomotywa rozbijała ciemności. Za chwilę pociąg mógł przelecieć obok mnie.

Wobec tego zapaliłem pochodnię i wywijając nią nad głową z całych sił, zacząłem biec na spotkanie pociągu. Maszynista poznał, że chcę pociąg zatrzymać, bo wkrótce zabrzmiały trzy przeraźliwe gwizdy jeden po drugim. W ślad za tym hamulce przywarły ze zgrzytem do kół, a powietrze napełnił rozdzierający uszy huk, turkot, syk i łoskot, po czym lokomotywa stanęła jak wryta tam, gdzie płonęło ognisko. Maszynista wychylił się ku mnie i zapytał:

– Halo, człowieku! Co to za znaki? Czy chcecie wsiąść do pociągu?

– Nie, sir. Ośmieliłbym się właśnie prosić was o coś przeciwnego. Wysiadajcie!

– Ani myślę!

– A jednak musicie to uczynić, gdyż na przedzie są Indianie, którzy zerwali szyny.

– Co? Indianie? Tam do diabła! Czy mówicie prawdę, człowieku?

– Nie mam powodu kłamać.

– Co się stało? – spytał teraz także konduktor, który wysiadł i podszedł do mnie.

– Podobno czerwonoskórzy są przed nami– odpowiedział mu maszynista.

– Naprawdę? Czy widzieliście ich?

– Widziałem i podsłuchałem. To Ogellallajowie.

– To najgorsi ze wszystkich! Ilu ich było?

– Około sześćdziesięciu.

– A do kata! Już trzeci raz w tym roku te draby napadają na pociąg, ale my ich pięknie odeślemy do domu, Już dawno pragnę znaleźć sposobność, by dać im trochę po łapach. Jak daleko stąd się znajdują?

– O jakieś trzy mile.

– W takim razie zakryjcie światła, maszynisto! Te hultaje mają bystre oczy. Słuchajcie, master, jestem wam niewymownie wdzięczny za to, żeście nas ostrzegli. Jesteście z prerii, jak świadczy wasze ubranie?

– Coś w tym rodzaju. Mam ze sobą jeszcze jednego towarzysza, który uważa na Indian, zanim my nie przybędziemy.

– To rozumnie z waszej strony. Miejsca, ludzie! Nie grozi nam żadne nieszczęście, przeciwnie – zapowiada się nawet przyjemność.

Z najbliższego wozu usłyszano naszą rozmowę i natychmiast pootwierano wszystkie drzwi. Podróżni powyskakiwali i cisnęli się, zasypując nas okrzykami i zapytaniami. Dopiero po napomnieniu konduktora zapanował jaki taki spokój,

– Czy wieziecie złoto i srebro? – zapytałem konduktora.

– Kto to powiedział?

– Indianie. Dowodzi nimi biały bushheader, któremu czerwonoskórzy obiecali wszystek kruszec jako udział w zdobyczy, a resztę wraz ze skalpami mają wziąć sami.

– Ach! Skąd ten łajdak mógł się dowiedzieć, jaki mamy ładunek?

– Zdaje się, że od jakiegoś urzędnika, chociaż nie wiem, w jaki sposób.

– Już my to z niego wydobędziemy, byleśmy go tylko dostali żywcem w swoje ręce, czego sobie bardzo życzę. Ale podajcie, master, swoje szanowne nazwisko, ażebyśmy wiedzieli, jak do was mówić.

– Mój towarzysz nazywa się Sans-ear, a ja...

– Sans-ear? Do stu piorunów, to tęgi zuch, który w tej sprawie potrafi zdziałać tyle, co tuzin innych! A wy?

– Mnie na prerii nazywają Old Shatterhand.

– Old Shatterhand, którego przed trzema miesiącami ścigało w Montanie przeszło stu Siuksów, który całą przestrzeń od Śnieżnej Góry aż do fortu Union po Yellow Stone przebiegł na nartach w przeciągu trzech dni?

– Tak.

– Sir, słyszałem o was niejedno i cieszę się, że was dzisiaj spotykam! Ale to szczególne! Czy nie ocaliliście już swego czasu pociągu, który chciał zniszczyć Paranoh, biały wódz Siuksów?

– Ocaliłem rzeczywiście. Był ze mną wtedy Winnetou, wódz Apaczów – Indianin tak słynny, jak daleko sięga preria. Czas jednak, sir, coś postanowić. Indianie wiedzą dokładnie, kiedy pociąg ma nadejść, i mogliby się czegoś domyślić, gdybyśmy się dłużej ociągali.

– Macie słuszność! Przede wszystkim więc trzeba wiedzieć, jakie zajmują stanowiska. Kto chce uderzyć na nieprzyjaciela, musi wiedzieć, co nieprzyjaciel przedsięwziął.

– Mówicie jak wielki dowódca, sir. Niestety, nie mogę wam dać odpowiednich wyjaśnień. Chcąc was ostrzec, nie mogłem czekać, dopóki Indianie ustawia się do boju. O tym wszystkim dowiemy się od mego towarzysza. Prosząc was o to, żebyście coś postanowili, chciałem się tylko dowiedzieć, czy jesteście skłonni podjąć z nimi walkę, czy też nie.

– Naturalnie, naturalnie, że ich zaatakuję – odrzekł skwapliwie. – Mam przecież obowiązek popsuć tym ludziom raz na zawsze apetyt na nasze towary. Wy i wasz towarzysz to za mało na sześćdziesięciu Indian, nie powinniście wcale puszczać się na...

– Pshaw, sir! – wtrąciłem. – Co nam wolno, a czego nie wolno, to wiemy sami lepiej od innych. Sans-ear zdmuchnął dzisiaj rano w biały dzień czterech czerwonoskórych w przeciągu dwu minut, a ja powiadam, że bez waszej pomocy wyślemy kilka tuzinów Ogellallajów do wiecznych ostępów Wielkiego Ducha. Mniej tu chodzi o liczbę, a więcej o inne rzeczy, które trzeba mieć w pięści i w głowie. Jeśli z mego sztucera wystrzelę w ciemności dwadzieścia pięć razy bez nabijania, to Indianie nie będą wiedzieli, czy mają przeciwko sobie dwóch czy dwudziestu przeciwników. Słuchajcie, ludzie, którzy z was są uzbrojeni?

Pytanie to było właściwie zbyteczne. Widziałem, że każdy z tych ludzi miał przy sobie coś na kształt strzelby, lecz konduktor zrobił taką minę, jak gdyby chciał objąć kierownictwo, a do tego nie mogłem dopuścić. Aby poprowadzić nocny atak na Indian, trzeba było umieć trochę więcej aniżeli to, co mógł umieć pracownik kolejowy, choćby nawet uchodził za nie wiem jak dzielnego i odważnego człowieka. Na moje pytanie odpowiedziano powszechnym: „Tak”, a konduktor dodał:

– Mam między podróżnymi szesnastu robotników kolejowych, którzy umieją doskonale obchodzić się ze strzelbami i nożami, oraz dwudziestu żołnierzy jadących do fortu Palwieh i uzbrojonych w karabiny, rewolwery i noże. Oprócz tego jest tu jeszcze kilku dżentelmenów, którym będzie przyjemnie poskrobać trochę głębiej pod skórą poczciwych Indian. Hej, kto z nami, ludzie?

Wszyscy bez wyjątku zgłosili swą gotowość do akcji, a chociaż niejednemu może brakowało odwagi, godził się mimo to na wszystko, żeby nie uchodzić za tchórza. Tacy ludzie jednak oczywiście nie na wiele by się przydali, dlatego wolałem ich zostawić. Toteż rzekłem:

– Słuchajcie, panowie! Jesteście dzielnymi ludźmi, ale sami widzicie, że wszyscy pójść nie mogą. Jest tu kilka dam, których nie wypada zostawić bez opieki. Jeśli nawet zwyciężymy, o czym nie wątpię, to mogłoby się zdarzyć, że zbiegowie, spośród rozgromionych Indian, przechodząc tędy, rzuciliby się na opuszczony pociąg. Dlatego musimy zostawić kilku odważnych ludzi dla ochrony. Kto by się chciał podjąć tego zadania, niech wystąpi!

Zgłosiło się ośmiu, którzy gotowi byli bronić pociągu z narażeniem własnego życia. Byli to mężowie trzech obecnych pań oraz pięciu podróżnych, którzy robili na mnie wrażenie, że daleko lepiej rozumieją się na cenach towarów żelaznych, wina, cygar i konopnego nasienia aniżeli na władaniu nożem. Pierwszym trudno było brać za złe ich postępowanie, bo mieli przede wszystkim obowiązki względem swoich żon.

– Pociąg nie może się obejść bez obsługi! Kto tu zostanie? – zapytałem konduktora.

– Maszynista z palaczem – brzmiała odpowiedź. – On też może objąć dowództwo nad tymi dzielnymi dżentelmenami. Ja pójdę oczywiście z wami i będę dowodził całym oddziałem.

– Dobrze, sir! Byliście już pewnie nieraz na wyprawie przeciw Indianom?

– Tu nie potrzeba żadnego przygotowania. Ci Yanbarikowie umieją tylko podstępem napadać na swych przeciwników. W otwartym i regularnym boju szukają zawsze ocalenia w ucieczce. Będziemy mieli łatwą robotę.

– Wątpię, sir! To Ogellallajowie, najchciwsi krwi ze wszystkich Siuksów, a dowodzą nimi słynni wodzowie Ka-wo-mien i Ma-ti-ru.

– Nie chcecie chyba napędzić mi strachu przed nimi? Jest nas tu przeszło czterdziestu mężczyzn, a sprawa bardzo prosta. Kazałem zasłonić światła, aby czerwonoskórzy nie zmiarkowali, że nas ostrzeżono. Teraz jednak zdejmiemy maski, a wy wsiądziecie na maszynę i każecie maszyniście dojechać tuż do uszkodzonych szyn. Tam zatrzymamy się, zeskoczymy i wpadniemy na tych opryszków tak, że ani jeden z nich nie ujdzie z życiem. Potem naprawimy tor i będziemy się starali nadrobić tę godzinę zwłoki.

– Muszę przyznać, że okazujecie zdolności godne wcale dzielnego pułkownika konnicy, który nie zna większej przyjemności niż tratowanie nieprzyjaciela. Ale tu potrzeba innych warunków! Jeśli wykonacie rzeczywiście swój zamiar, to zapędzicie swoich czterdziestu ludzi na pewną śmierć, a ja ani myślę brać w tym udziału.

– Co? Wy nie chcecie nam pomóc? Czy z tchórzostwa, czy też ze złości, że nie odegracie roli dowódcy?

– Tchórzostwo? Pshaw! Jeśli naprawdę słyszeliście kiedy o mnie, to fakt, że wymawiacie takie słowa, jest z waszej strony dowodem całkowitego braku rozwagi. Old Shatterhand mógłby mieć ochotę udowodnienia wam pięścią na czaszce, że przynosi zaszczyt swojemu nazwisku. Co zaś do złości, to jest mi obojętne, do kogo będą należały skalpy i pociąg – do was czy do Indian. Ale do skóry na własnej głowie mam wyłączne prawo, postaram się też zachować ją jeszcze przez pewien czas. Dobranoc, moi panowie!

Odwróciłem się, aby odejść, lecz konduktor ujął mnie za ramię.

– Stop, master! Tak nie można! Ja objąłem tutaj naczelne dowództwo ł wymagam posłuszeństwa. Nie zostawię pociągu w takim oddaleniu od pola walki, gdyż odpowiadam za każdą stratę. Przeprowadzę więc mój uprzedni plan: wy poprowadzicie pociąg na miejsce, a my nie opuścimy wagonów, dopóki się tam nie dostaniemy. Dobry wódz musi uwzględnić każdą okoliczność, a więc i tę, że może przegrać bitwę, W takim wypadku wagony będą dla nas bezpiecznym schronieniem, skąd będziemy mogli się bronić, dopóki nie otrzymamy posiłków z następnego pociągu z zachodu lub wschodu. Nieprawdaż, moi panowie?

Wszyscy przyznali mu słuszność. Nie było między nimi ani jednego westmana, a plan konduktora miał pozory praktyczności, które zrobiły na podróżnych dodatnie wrażenie. Zadowolony z tego wyniku, konduktor rzekł do mnie:

– A zatem wsiadać, sir!

– Bardzo pięknie! Wy rozkazujecie, ja słucham!

Jednym skokiem znalazłem się na mustangu, któremu podczas rozmowy rozpętałem nogi.

– O nie, kochasiu. Ja myślę o maszynie!

– A ja o koniu, sir. Nasze zdania tu się właśnie rozchodzą.

– Nakazuję wam zsiąść!

Pchnąłem konia ku niemu, pochyliłem się nad nim i odpowiedziałem:

– Człowieku, zdaje się, że nie zetknęliście się jeszcze nigdy z prawdziwym westmanem, bo w przeciwnym razie przemawialibyście do mnie innym tonem. Bądźcie tacy dobrzy i stańcie sami na lokomotywie!

Pochwyciłem go prawą ręką za piersi i podrzuciłem w górę. Jednym silnym ściśnięciem kolan podpędziłem mustanga tuż pod maszynę, a w następnej chwili kolejowy strategik znalazł się w budce lokomotywy, ja zaś odjechałem galopem.

Noc tymczasem tak pojaśniała od gwiazd, że zarośla nie przeszkadzały mi wcale w szybkiej jeździe. W niespełna pół godziny dotarłem do Sama.

– No? – zapytał, gdy zsiadłem z konia. – Myślałem, że sprowadzicie tu ludzi!

Opowiedziałem mu, dlaczego się to nie stało.

– Postąpiliście słusznie, Charley, bardzo słusznie. Taki kolejarz patrzy na takich jak my z pogardą, ponieważ się, na przykład, trzy razy dziennie nie fryzujemy. Oni oczywiście swój plan wykonają, ale będą się mieli z pyszna. Hi, hi, hi!

Śmiejąc się cicho, zrobił ręką ruch skalpowania i rzekł:

– Ale nie słyszałem jeszcze od was, o czym dowiedzieliście się przedtem u Indian.

– Ka-wo-mien i Ma-ti ru są ich dowódcami.

– Ach, w takim razie będzie to walka, którą uraduje się moje stare serce.

– Jest z nimi biały, który im zdradził, że pociąg wiezie złoto i srebro.

– On chce mieć to złoto i srebro, a im zostawić skalpy?

– Tak jest.

– Tak sobie myślałem. To pewnie bushheader?

– Ja go znam. Napadł kiedyś ze swoją bandą na kryjówkę Old Firehanda, musiał jednak dać spokój.

– Jak się nazywa?

– Nie wiem. Zresztą to nie ma żadnego znaczenia, gdyż ludzie tego rodzaju przybierają sobie codziennie inne nazwisko. Czy byliście na zwiadach?

– Tak. Czerwonoskórzy rozdzielili się i ustawili po obu stronach toru, mniej więcej w środku pomiędzy zniszczonym miejscem a swymi końmi, przy których zastałem znowu dwóch ludzi na straży. Ale co mamy zrobić, Charley? Czy pójdziemy, na przykład, z pomocą kolejarzom, czy też odjedziemy?

– Naszym obowiązkiem jest im pomóc, Samie. A może jesteście innego zdania?

– Wcale nie. Co do obowiązku macie zupełną słuszność, a oprócz tego pamiętajcie o moich uszach, za które im jeszcze w całości nie zapłaciłem. Stawiam w zakład moją Tony za zieloną żabkę, że jutro rano kilku nieżywych Indian będzie leżało obok toru bez uszu. Ale co teraz robić, Charley?

– Rozdzielimy się także i rozstawimy po obu stronach nasypu pomiędzy Indianami a ich końmi.

– Well! Ale posłuchajcie! Przyszła mi dobra myśl. do głowy. Co sądzicie o porządnym stampedo[9]?

– Hm! To byłoby dobre, gdybyśmy mieli przewagę i gdyby nam chodziło o wybicie Indian, ale na razie nie radziłbym tego robić. Kolejarze przegrają sprawę, a my dwaj nie zdołamy uczynić nic innego, jak zatrzymać Indian aż do najbliższego pociągu lub napędzić im tyle strachu, żeby zaraz umknęli. W każdym razie będzie lepiej, jeśli będą mieli możność się stąd oddalić. Jeśli jednak zabierzemy im konie, zatrzymamy ich tym samym w pobliżu. Czy nie słyszeliście nigdy o tym, że w pewnych okolicznościach trzeba nieprzyjacielowi budować złote mosty?

– Spotykałem dotychczas tylko drewniane, murowane i żelazne mosty. Jestem z całym szacunkiem dla waszego zdania, Charley, ale jeśli sobie, na przykład, wyobrażę, jakie miny zrobią czerwonoskórzy, gdy zechcą dosiąść koni, a nie znajdą ich, to czuję swędzenie we wszystkich palcach. A przede wszystkim, czy nie moglibyśmy ich przez to właśnie do szpiku kości przerazić, że wpędzimy na nich ich własne konie?

– To słuszne! Ale lepiej będzie zaczekać, aż się ta cała sprawa jakoś wyjaśni.

– Nie sprzeciwiam się, lecz jedno musicie mi przyznać w każdym razie!

– Co?

– Że warto by skończyć z tymi dwoma wartownikami. Nie?

– W zasadzie jestem stanowczym wrogiem rozlewu krwi, lecz w tym wypadku przyznaję wam słuszność; to smutna konieczność. Gdy nie będzie już stróży, konie znajdą się w naszej mocy. Zaprowadźmy więc najpierw nasze zwierzęta w bezpieczne miejsce, a potem do dzieła!

Oddaliliśmy się nieco, po czym ja uwiązałem mego konia tak krótko, że mógł się poruszać tylko na przestrzeni kilku kroków, a Sam uczynił to samo ze swoją Tony. Chociaż był jej pewny nawet na wypadek stampeda, to jednak spłoszona gromada indiańskich koni mogła popędzić w kierunku naszych wierzchowców i porwać je za sobą.

Następnie obeszliśmy Indian od tyłu. Świateł lokomotywy wciąż jeszcze nie było widać, co dowodziło, że albo plan konduktora znalazł przeciwników, albo że po prostu bano się przedsięwziąć wyprawy bez mojego przewodnictwa.

---

[9] s t a m p e d o (hiszp.) – masowa ucieczka koni

Dostawszy się do koni Indian, rozpoznaliśmy z łatwością sylwetki obu strażników, którzy nie stali teraz ani nie siedzieli spokojnie, lecz pojedynczo patrolowali teren dokoła. Jeden z nich zbliżał się powoli do krzaka, za którym się ustawiliśmy. W chwili kiedy koło niego przechodził, błysnęło ostrze noża i pogrążyło mu się w sercu tak, że nie zdążył nawet krzyknąć. Gdy nadszedł drugi wartownik, spotkał go ten sam los. Kto nie zna prerii, nie potrafi sobie wyobrazić, z jaką zawziętością zwalczają się biali i czerwonoskórzy, brodząc krok za krokiem we krwi swych przeciwników.

Odwracając się, aby nie patrzeć na upadek drugiej ofiary, rzuciłem okiem na stojącego najbliżej konia i zauważyłem na nim wygodne siodło hiszpańskie, jakiego używa się w Ameryce Środkowej i Południowej – z wielkimi sabotami miast strzemion. Koń ten zresztą osiodłany był nie na sposób indiański. „Czyżby należał do białego?" – pomyślałem sobie i podszedłem bliżej. Po obu stronach siodła wisiały kabury, w których znalazłem trochę papierów i dwie sakiewki.

Zawartości sakiewek nie mogłem na razie zbadać, wszystko to więc schowałem do kieszeni.

– Co teraz robić? – zapytał Sam.

– Ja pójdę w prawo, a wy w lewo. Ale stańcie i popatrzcie przed siebie!

– To pociąg, naprawdę pociąg nadjeżdża, na przykład! Zatrzymajmy się jeszcze, Charley, aby zobaczyć, co się stanie.

A wiec zdanie konduktora przeważyło! Ostre światła lokomotywy zbliżały się, lecz powoli, bardzo powoli, gdyż widocznie szukano uszkodzonego miejsca. Niebawem doleciał nas głośniejszy turkot kół, aż wreszcie pociąg stanął tam, gdzie się kończyły szyny.

Jakaż wściekłość musiała porwać dzikich, gdy zobaczyli, że główny warunek ich zwycięstwa spełzł na niczym! Odgadli zapewne, że ostrzeżono jadących przed niebezpieczeństwem. Pasażerowie pociągu postąpiliby teraz najrozsądniej, gdyby się zachowali cicho, ukryci w swych wagonach. Byłem niemal pewny, że to uczynią, lecz rozczarowałem się; niestety, wagony pootwierały się, a biali powyskakiwali, żeby ruszyć natychmiast do ataku. Skutki tego fałszywego kroku nie dały długo na siebie czekać. Pchając się naprzód, biali dostali się w krąg najsilniejszego światła lokomotywy, tworząc w ten sposób tak wyraźny cel, że Indianie nie mogli sobie życzyć lepszego. Huknęła jedna salwa, potem druga, a następnie rozdarło powietrze wycie tak okropne i wstrząsające, jakie trudno sobie wyobrazić.

Z wystrzelonymi strzelbami w ręku popędzili dzicy naprzód, lecz zastali tylko zabitych i rannych, gdyż reszta cofnęła się natychmiast, aby się schronić do wagonów. Kilku Indian pochyliło się chcąc poobcinać poległym skalpy, lecz wnet musieli tego zaniechać, gdyż z pierwszych wagonów zaczęto do nich strzelać.

W tym położeniu najrozsądniejszą rzeczą było ruszyć wstecz za pomocą tak zwanej kontrpary, ale to nie nastąpiło. Być może, iż maszynista i palacz siedzieli w wagonach razem z pasażerami.

– Teraz zacznie się, na przykład, regularne oblężenie – rzekł Sam.

– Wątpię! Czerwonoskórzy wiedzą, że mają czas tylko do najbliższego pociągu i spróbują pójść do szturmu, chociaż nigdy tego chętnie nie czynią.

– A my? Tu bardzo trudno postanowić coś właściwego.

– Postanowienie tylko wtedy jest coś warte, jeśli się je szybko wykonuje. Najlepszym środkiem zaczepnym jest ogień. Spieszmy do koni! Objedziemy je wielkim półkolem i zsiadając co pięćdziesiąt kroków podpalimy prerię. Przedtem jednak wywołamy stampedo, aby przeszkodzić nieprzyjaciołom w szybkim ataku i odjąć im możność ucieczki. W obecnych warunkach nie można zrobić nic lepszego.

– Do stu piorunów! Ten plan da się Indianom we znaki! Ale obawiam się, że spalimy przy tym wagony!

– Broń Boże! Nie wiem wprawdzie, czy zawierają materiały palne, jak olej i smołę, ale ich drzewo jest dość twarde, aby oprzeć się ogniowi trawy. Oprócz tego należy wziąć pod uwagę to, że Indianom pozostanie tylko jeden środek ocalenia przed usmażeniem się w ogniu. Muszą zapalić tak zwany przeciwogień i uczynią to w bezpośredniej bliskości pociągu. Ja, na przykład, starałbym się na ich miejscu dostać na szyny pod wagonami.

– A czy pomyśleliście nad tym, ile czasu będzie nam potrzeba do rozniecenia ognia za pomocą naszych powolnych punksów? Pochodni nie możemy użyć, bo zdradziłyby nas!

– Doświadczony westman musi być przygotowany na wszelkie wypadki. Ja zachowałem sobie na podobne okoliczności dostateczną ilość zapałek. Macie!

– Brawo, Charley! A więc teraz stampedo, a potem do naszych koni!

– Stać, Samie! Teraz widzę, że byłem głupi nie do wybaczenia! Wszak nie potrzebujemy na razie naszych koni, gdyż mamy pod dostatkiem innych. Ja biorę tego gniadego!

– A ja tego kasztana! Dalejże przeciąć lassa!

Uczyniliśmy to, pomykając szybko od jednego konia do drugiego. Potem zapaliliśmy znajdujące się za końmi zarośla i wskoczyliśmy na siodła. Płomień wysunął się na początku tylko na kilka cali w górę, dzięki czemu Indianie nie dostrzegli go, my zaś mogliśmy przystąpić do dzieła, bez obawy, by nas zauważyli.

– Gdzie się potem spotkamy? – zapytał Sam.

– Tam przy torze, tylko nie przed ogniem, lecz pomiędzy płomieniami. Zrozumieliście?

– Bardzo dobrze. A więc jazda, stary kasztanie!

Konie były podniecone już podczas przecinania pęt, i gdy teraz zwęszyły ogień, najeżyły grzywy. Kilka stanęło dęba, stado było gotowe każdej chwili rzucić się do ucieczki. Odjechałem na prawo w głąb prerii, zatoczyłem cwałem półkole o promieniu jednej mili angielskiej, zeskoczyłem pięć razy, aby zapalić trawę i znalazłem się znowu w bliskości nasypu. Przyszło mi wówczas na myśl, że dopuściliśmy się wielkiej nieostrożności. Oto w pośpiechu zapomnieliśmy o naszych własnych wierzchowcach.

Zawróciłem więc natychmiast konia i popędziłem w prostej linii ku miejscu, na którym zostawiliśmy je poprzednio. Ogniste koło oświetlało teraz każdy przedmiot. Z dala dolatywał od prerii tętent uciekających koni, a w pobliżu zabrzmiało takie wycie wściekłości, jakie może się wydobyć tylko z indiańskich piersi. Pod kołami wagonów zamigotało kilka małych płomyków. Nie pomyliłem się zatem, przypuszczając, że Indianie poszukają ocalenia w przeciwogniu. Na lewo stał mój mustang, obok długonogiej Tony, a z prawej strony nadjeżdżał Sam tak szybko, że koń jego niemal brzuchem dotykał ziemi. On także uprzytomnił sobie w ostatniej chwili nasze niedopatrzenie.

Ale równocześnie Indianie dostrzegli nasze konie i w kilkunastu ruszyli prosto ku nim. Dwaj najszybsi z nich znajdowali się od nas już tylko o kilka kroków. Przyciągnąłem silniej rzemień od strzelby, podniosłem się na siodle i pochwyciłem za tomahawk. W tygrysich nieomal skokach rzucił się koń mój naprzód i stanął na miejscu równocześnie z obu czerwonoskórymi. Jeden rzut oka wystarczył, aby ich poznać. Byli to dwaj wodzowie.

– Precz, Ma-ti-ru! To moje konie!

Wezwany odwrócił ku mnie głowę i poznał mnie.

– Old Shatterhand! Giń, płazie bladych twarzy! Z tym okrzykiem na ustach wyrwał zza pasa nóż i jednym skokiem znalazł się obok mego konia, by go pchnąć, lecz ugodzony moim tomahawkiem, runął zaraz na ziemię. Drugi wódz wskoczył tymczasem na grzbiet mego konia, nie zauważył jednak, że koń był spętany.

– Ka-wo-mien, ty rozmawiałeś przedtem o mnie z białym zdrajcą, teraz ja z tobą pomówię!

Wódz zrozumiał, że grozi mu zguba na koniu, którym nie można było kierować, i zsunął się z niego, aby zniknąć w zaroślach. Wtedy ja zamachnąłem się tomahawkiem, a ciężka broń tak uderzyła Indianina w ozdobioną piórami czaszkę, że upadł. Trzy strzały powaliły jeszcze

tyluż czerwonoskórych, tymczasem ogień tak się przybliżył, że już nie było czasu na dalszą walkę. Przeciąłem więc pęta mojego mustanga i wskoczyłem nań, Gniadosz zerwał się i popędził przed siebie.

– Halo, Charley, teraz w tę lukę między płomieniami! – zawołał Sam.

Dotarł właśnie w tej chwili na miejsce, zeskoczył z kasztana w pędzie, wsiadł na swoją klacz, pochylił się z siodła, aby jej przeciąć rzemienie, którymi była spętana, i popędził obok mnie ku wolnej luce, gdzie płomienie nie zdołały się jeszcze połączyć.

Przedostaliśmy się szczęśliwie, a skręciwszy na lewo poza płomienie, zatrzymaliśmy się natychmiast. Było to miejsce, gdzie zapaliłem ogień po raz trzeci. Ziemia była czarna od spalenizny i ochłodziła się już nieco. Przed nami i za nami widać było czarny pas wypalonej trawy. Po obu jego stronach szalało morze płomieni i rozchodził się żar, który tak dalece pochłaniał tlen z powietrza, że prawie nie można było oddychać.

Ten stan poprawiał się jednak z każdą minutą. Im dalej posuwał się ogień, tym bardziej oziębiało się powietrze, a pół godziny później już tylko horyzont gorzał purpurowymi barwami. Dokoła nas rozciągały się prerie tak czarne, że widziało się zaledwie o kilka kroków, gdyż.. gwiazdy przysłonił dym.

– Niech mnie wszyscy diabli... a to był skwar piekielny! – rzeki Sam. – Dziwiłbym się, gdyby pociąg nie odniósł żadnej szkody.

– Sądzę, że nie jest wcale uszkodzony. Wagony są odpowiednio zabezpieczone, ponieważ zdarza się często, że pociąg musi przebywać płonące lasy lub sawanny.

– Co teraz czynić, Charley? Indianie zauważyli nas i będą się mieli na baczności.

– Widzą nas i teraz jeszcze, ponieważ znajdujemy się pomiędzy nimi a jasnym horyzontem. Trzeba w nich wzbudzić mniemanie, że odchodzimy. Może pomyślą, że należymy do jakiegoś większego oddziału myśliwców i teraz do nich śpieszymy, aby ich sprowadzić na pomoc. Ruszymy więc cwałem na północ, skierujemy się potem na wschód i zawrócimy półkolem.

– Takie jest, na przykład, także moje zdanie. Sądzę również, że sprawa skończy się dla kilku czerwonoskórych utratą uszu. Wasz tomahawk, na przykład, także zrobił już, co do niego należało.

– Lecz ugodzeni mimo to nie zginęli – odrzekłem sucho.

– Nie zginęli? Co mam przez to rozumieć, na przykład?

– Zostali tylko ogłuszeni tomahawkiem.

– Tylko ogłuszeni? Czy jesteście przy zdrowych zmysłach? Jak można tylko ogłuszać Indianina, który zasługuje na rozpłatanie toporem? Będziecie znowu mieli z nimi do czynienia!

– A jednak są powody, z których przynajmniej jeden pojmiecie.

– Nie, ani jednego, Charley. Domyślam się, że to byli wodzowie, a tych właśnie nie należy oszczędzać.

– Byłem niegdyś ich jeńcem, którego mogli zabić. Lecz oni tego nie uczynili. Musiałem ich dobroć odpłacić wtedy niewdzięcznością, kiedy od nich umknąłem i dlatego teraz nadałem tomahawkowi tylko połowę rozpędu.

– Nie weźcie mi tego za złe, Charley, lecz to było z waszej strony okropną głupotą! Gdyby chociaż te draby umiały być za to wdzięczne! Tymczasem oni powiedzą co najwyżej, że Old Shatterhandowi brak siły w ręku na rozbicie czaszki czerwonoskórego. Sądzę jednak, że ogień naprawił wasz błąd.

Podczas tej rozmowy, którą prowadziliśmy, krzycząc jeden do drugiego, pędziliśmy obok siebie przez prerię. Stara klacz Sama tak dzielnie wyrzucała przy tym długie nogi, że dotrzymywała kroku memu mustangowi. Po upływie kilku minut dotarliśmy znów do toru w odległości może jakiejś mili od pociągu. Tu spętaliśmy i przywiązaliśmy konie i zaczęliśmy się skradać wzdłuż nasypu w stronę miejsca napadu.

Powietrze przepełnione było wonią spalenizny, a miałki popiół pokrywał całą równinę. Lekki wiatr unosił go w górę i pobudzał do kaszlu, który nas łatwo mógł zdradzić. Światła lokomotywy były całkiem wyraźne, ale ani po jednej, ani po drugiej stronie nasypu nie było widać dzikich. Przyczołgawszy się bliżej, spojrzałem bystrzej i przekonałem się, że rzeczywiście stało się to, co przypuszczałem. Oto Indianie schowali się przed ogniem na torze pod kołami wagonów. Leżeli tam ciasno jeden obok drugiego i nie śmieli się ruszyć ze strachu przed kulami białych.

Nagle wpadłem na pewien pomysł, Wykonać go było trudno, ale należało się spodziewać, że wywoła niezawodny skutek.

– Samie, wróćcie do koni, żeby nam ich Indianie nie zabrali!

– Pshaw! Oni się teraz cieszą, że mają bezpieczną kwaterę!

– A ja chcę ich z niej wypędzić.

– Czy za pomocą strzelby?

– Nie.

Objaśniłem mu mój plan, a on skinął głową uradowany.

– Well, Charley, to dobra myśl. Idźcież prędzej na górę, żeby was nie pochwycili podczas skoku. Ja, na przykład, będę we właściwej chwili z końmi pod ręką i hi, hi, hi, potem wpadniemy między nich jak bawół między kujoty.

Mały westman poczołgał się w tył, ja zaś popełzłem dalej przy samej ziemi z nożem w prawej ręce, aby w razie zaskoczenia być gotowym do obrony. Dostałem się szczęśliwie do miejsca, gdzie stała lokomotywa. Wielkie koła rozpędowe oraz fakt, że leżałem nisko przy ziemi, nie pozwalały mi zobaczyć, co się działo na torze. Posunąłem się jeszcze wyżej po zboczu i w dwu szybkich skokach znalazłem się na „koniu ognistym”.

Głośny okrzyk zabrzmiał pode mną. Ja zaś chwyciłem za korbę i w następnej chwili pociąg zaczął się cofać. Złożony z wielu głosów krzyk, wywołany w części bólem, a w części zdumieniem, rozległ się pod kołami. Ujechawszy ze trzydzieści kroków, zatrzymałem pociąg, a potem ruszyłem znów naprzód.

– Psie! – wrzasnął ktoś tuż koło mnie i jakaś postać z nożem w ręku usiłowała wspiąć się na górę.

Był to biały, którego natychmiast jednym silnym uderzeniem nogą w pierś zrzuciłem na dół.

– Charley, do mnie! – usłyszałem naraz. – Prędko! Po lewej stronie lokomotywy pędził Sans-ear na swojej Tony, trzymając jedną ręką za cugle mustanga, a drugą broniąc się przeciwko nacierającym nań dwóm dzikim. Przede mną biegli do swoich koni nie uszkodzeni przez koła Indianie w złudnej nadziei, że zwierzęta pomimo ognia nie opuściły swego dotychczasowego miejsca postoju.

Na wołanie Sama zatrzymałem natychmiast pociąg i podbiegłem ku niemu. Lecz obaj Indianie spostrzegli mnie i zaraz umknęli. Wobec tego wsiadłem znów na konia i niebawem znaleźliśmy się w największej gęstwinie uciekających. Wyczyn nasz nie był wszakże tak niebezpieczny, jakby się mogło zdawać. Indian opanował istotnie paniczny strach, a gdy w dodatku przekonali się, że im przepadły konie, rozbiegli się przed nami, jak gromada płochliwej zwierzyny, w którą wdarła się sfora psów myśliwskich.

Wtem usłyszałem głośny okrzyk Sama:

– Do wszystkich diabłów, to Fred Morgan! Giń, szatanie!

Zwróciłem głowę w tę stronę i ujrzałem przy świetle płonącego jeszcze na widnokręgu ognia, że Sam zamierzył się do potężnego cięcia, które jednak nie dosięgło celu, gdyż przeciwnik pochylił się w tej samej chwili i zniknął w gromadzie pędzących Indian.

Sans-ear dał ostrogę swej klaczy, która zrobiła niezwykły skok i znalazła się w samym środku uciekających. Nie mogłem jednak śledzić dalszego ciągu tego epizodu, gdyż wynu-

rzyło się przede mną kilku czerwonoskórych, którzy zaprzątnęli całkowicie moją uwagę na pewien czas, zanim nie zaczęli dalej uciekać.

Nie ścigałem ich, gdyż dość już krwi popłynęło i nie ulegało wątpliwości, że po tej nauczce nie przyjdzie im już na myśl powracać. Chcąc nakłonić Sama, żeby zaniechał pościgu, który oprócz niebezpieczeństwa żadnej korzyści przynieść mu nie mógł, zacząłem tak głośno, jak tylko potrafiłem, naśladować wycie kujota, po czym pojechałem na powrót do pociągu.

Cała obsługa wysiadła. Maszynista, wypuściwszy parę, szukał zabitych i rannych, konduktor zaś stał obok i przeklinał. Na mój widok rzucił się na mnie z wściekłością:

– Jakim prawem pozwoliliście sobie puścić w ruch lokomotywę i wypędzić nam czerwonoskórych, których mieliśmy już w ręku?

– Zwolna, zwolna, człowieku! Cieszcie się, że odeszli. Bardzo łatwo mogli oni was przytrzymać, zamiast wy ich. Nawarzyliście i tak dosyć piwa!

– Kto podpalił prerię?

– Ja.

– Czyście zwariowali? A przedtem porwaliście się na mnie! Czy wiecie, że mogę was zaaresztować i wydać w ręce sądu?

– O tym nie wiem, lecz zgadzam się na to, żebyście ściągnęli Old Shatterhanda z konia, zamknęli do wagonu i wydali sądowi. Ciekaw tylko jestem, jak się do tego weźmiecie.

Konduktor zakłopotał się widocznie.

– Ależ takiego zamiaru właściwie nie miałem, sir! Wprawdzie zrobiliście głupstwo, ale przebaczam wam.

– Dziękuję, sir. Człowiekowi robi się przyjemnie na sercu, gdy możni tego świata okazują skłonność do łaski i miłosierdzia. Cóż teraz uczynicie?

– Każę chyba naprawić szyny i rozpocząć dalszy ciąg jazdy. Czy grozi nam może ponowny napad Indian?

– Tego się nie obawiajcie, sir! Wasz atak został tak znakomicie obmyślony i przeprowadzony, że odeszła im ochota do powrotu.

– Sądzę, że chyba nie drwicie sobie ze mnie, sir! Gdyby tak było, musiałbym to sobie bardzo surowo wyprosić. Nie jestem przecież winien temu, że było ich tylu i że tak dalece przygotowali się na nasz atak.

– Ja was uprzedzałem. Ogellallajowie umieją doskonale obchodzić się z bronią. Z waszych szesnastu robotników i dwudziestu żołnierzy padło aż dziewięciu. Ja za to nie odpowiadam. Jeżeli zaś zważycie, że ja i mój przyjaciel, we dwóch tylko, zmusiliśmy do ucieczki całą zgraję, to wyobraźcie sobie, co by się stało, gdybyście mnie posłuchali.

Konduktor miał widocznie ochotę sprzeciwiać się jeszcze, lecz podeszli inni podróżni i przyznali mi słuszność. Wobec tego zakończył całkiem skromnie:

– Czy zostaniecie tu, dopóki nie odjedziemy?

– Jasne! Prawdziwy westman niczego nie robi połowicznie. Weźcie się do roboty, zapalcie kilka ognisk – zarośli jest tu pod dostatkiem – i postawcie kilku ludzi na straży na wypadek, gdyby czerwonoskórzy zechcieli powrócić.

– Wy byście się tego nie podjęli, sir?

– Czego?

– Pilnowania.

– Ani myślę. Dość już dla was uczyniłem i czeka mnie jeszcze niejeden trud, gdy tymczasem wy chcecie się urządzić tak, jak wam wygodnie. Wasz talent strategiczny powie wam, jak należy rozstawić warty.

– Ależ my nie mamy takich bystrych i wprawnych oczu jak wy!

– Wytężcie je, sir, wytężcie cokolwiek, a będziecie widzieli tak samo bystro jak ja. Cicho, ludzie! Posłuchajcie tu, na lewo! Czy słyszycie coś?

– Tak. To koń nadbiega. Pewnie dziki!

– Pshaw! Czy sądzicie istotnie, że Indianin, który chciałby na was napaść, nadjeżdżałby tak głośno? To mój towarzysz, którego radzę przyjąć uprzejmie. Sans-ear nie lubi żartów!

Rzeczywiście nadjechał Sam i zsiadł ze swojej Tony z taką miną, jak gdyby był obrażony na cały świat.

– Czy słyszeliście moje hasło? – spytałem go. Skinął tylko głową i zwrócił się do konduktora:

– Czy to wy umiecie obmyślać takie piękne plany strategiczne?

– Tak – odrzekł zapytany z taką naiwnością, że ledwie powstrzymałem się od uśmiechu.

– Well, sir, w takim razie moje uszanowanie, gdyż moja stara klacz ma więcej oleju w głowie, aniżeli wy widzieliście kiedykolwiek. Ale z was mogą jeszcze być ludzie. Uważajcie tylko, żeby was nie obrano prezydentem! Zostań, Tony, ja zaraz wrócę!

Kolejarz stał osłupiały, nie wiedząc, jak się wobec tego zachować. Gdyby zresztą nawet znalazł jakąś odpowiedź, nie miałby się do kogo z nią zwrócić, gdyż Sans-ear zniknął już w ciemnościach nocnych. Pytałem siebie w duchu, co mogło wprawić zacnego Sama w tak niezwykle zły humor, i nie mogłem znaleźć żadnej innej przyczyny niż osoba Freda Morgana, czyli owego białego rabusia, którego strąciłem z lokomotywy. Domyśliłem się, dokąd Sam się teraz udał, i uczyniłbym także to samo, lecz nie miałem dotąd na to czasu! W kilka minut potem mały westman powrócił. Usiadłszy na nasypie, zacząłem przypatrywać się przygotowaniom, jakie przy świetle ognisk czyniono do naprawy toru. Sam zajął miejsce koło mnie, ale twarz jego wcale się nie rozchmurzyła, przeciwnie, nawet stała się, jeżeli to jeszcze było możliwe – groźniejsza.

– No? – zapytałem.

– Co, no? – ofuknął.

– Czy nie żyją?

– Nie żyją? To śmieszne! Jak mogą nie żyć dwaj indiańscy wodzowie, skoro poskrobaliście ich po głowie jak muchę, którą swędzi pod skrzydłem. Czy słyszeliście, co powiedziałem konduktorowi?

– Co?

– Że moja Tony ma więcej oleju w głowie niż on.

– Cóż z tego wynika?

– Domyślcie się sami! Tony, na przykład, zabiłaby Ka-wo-miena i Ma-ti-ru całkowicie, a nie do połowy. Zdołali ujść z życiem.

– To bardzo miło!

– Miło? Toż to straszna rzecz, żeby takich dwóch łotrów puszczać wolno, skoro się już miało w ręku ich skalpy.

– Przedstawiłem wam moje powody, Samie! Przestańcie już piorunować! Powiedzcie lepiej, co wam tak popsuło humor!

– Well! Mogłoby to rozzłościć najobojętniejszego człowieka, a cóż dopiero mnie! Czy wiecie, kogo spotkałem?

– Freda Morgana.

– Zaiste! Kto wam to powiedział?

– Wykrzyknęliście głośno jego nazwisko, gdyście go poznali.

– Tak? Nic o tym nie wiem. Zgadnijcie, kto to?

– Chyba nie morderca waszej żony i dziecka?

– Naturalnie! Któż by inny?

Zerwałem się na równe nogi.

– O, to dziwny zbieg okoliczności! – rzekłem. – Czy zdołaliście go pochwycić?

– Uciekł mi ten drab, ten łotr, za góry i rzeki! Powyrywałbym sobie uszy ze złości, gdybym je tylko miał!

– Widziałem przecież, jak skoczyliście za nim na koniu w sam środek Indian.

– To już się na nic nie zdało. Straciłem go z oczu. Może tak przypadł do ziemi, że przejechałem obok niego? Ale i tak będzie mój! Muszę go znaleźć. Koni nie mają. Możemy się więc trzymać śladów stóp.

– To będzie trudne zadanie! Można wprawdzie łatwo odróżnić ślady białego od śladów Indianina, ale kto nam zaręczy, że nie jest on na tyle chytry, aby chodzić tak jak Indianie stopami do środka? A zresztą nie każdy grunt pozwala rozpoznać tropy.

– Macie słuszność, Charley. Cóż więc robić?

Sięgnąłem ręką do kieszeni i wydobyłem sakiewki i papiery znalezione przy koniu białego.

– Może tu znajdzie się jakaś wskazówka. Otworzyłem sakiewkę. Niedaleko nas płonęło ognisko, a blask jego padł właśnie na zawartość, którą zdołałem rozpoznać. Wydałem okrzyk zdumienia:

– Kamienie, prawdziwe kamienie, diamenty! Samie, wpadła nam w ręce ogromna fortuna!

Skąd miał je ten bushheader i jak dostały się z nim razem na dzikie sawanny? To pewne, że w uczciwy sposób ich nie zdobył, było więc bezwarunkowo moim obowiązkiem odszukać prawowitego właściciela.

– Diamenty? Tam do licha, naprawdę! Pokażcie no! Jeszcze nigdy w życiu nie trzymałem w palcach takiego, na przykład, drogiego kawałka królestwa tego świata.

Podałem Samowi sakiewkę, mówiąc:

– To brazylijskie. Przypatrzcie się!

– Hm! Co za dziwne stworzenia z tych ludzi! Przecież to tylko kamień, nawet nie rzetelny, dobry kruszec. Prawda, Charley?

– To węgiel, Samie, tylko węgiel!

– Węgiel czy koks, wszystko mi jedno. Ja nie oddałbym za ten cały kram mojej starej pukawki! Co zrobicie z tym śmieciem?

– Oddam prawowitemu właścicielowi.

– A kto nim jest?

– Na razie nie wiem, ale niewątpliwie się dowiem, gdyż tak ogromna strata nie przebrzmi bez echa i rozpiszą się o tym we wszystkich gazetach.

– Hi, hi, hi, w takim razie musimy od jutra zaabonować jakiś dziennik. Prawda, Charley?

– Może nie będzie potrzeba. Może w tych papierach coś znajdziemy.

– To przejrzyjcie je, na przykład, zaraz!

Uczyniłem to i znalazłem dwie bardzo dobre mapy Stanów Zjednoczonych oraz list tej treści:

Galveston, dnia . . .

Kochany Ojcze!

Bardzo mi jesteś potrzebny; przybywaj tak prędko, jak tylko możesz, bez względu na to. czy ci się sztuczka z kamieniami udała, czy nie. Wzbogacimy się w każdym razie. W połowie sierpnia spotkasz mnie w Sierra Blanka, tam gdzie Rio Pecos wypływa spomiędzy Skeitel Pik a Head Pik. Resztę omówimy ustnie.

Twój Patrick

Data obok Galveston była oddarta, wobec czego nie mogłem oznaczyć, kiedy list napisano. Przeczytałem go Samowi.

– Tam do licha! – zawołał, gdy skończyłem. – To się zgadza, syn jego, na przykład, nazywa się istotnie Patrick. Tych dwóch właśnie brakuje mi do dziesięciu, których muszę jeszcze pochwycić. Ale powiedzcie mi, jak się nazywają te dwie góry?

– Skettel Pik i Head Pik.

– Czy znacie je?

– Cokolwiek. Jeździłem z Santa Fé do gór Organos, a że w Sierra Blanka miały się znajdować niedźwiedzie, zboczyłem w tamte strony.

– Czy byliście także nad Rio Pecos?

– Oczywiście.

– W takim razie jesteście człowiekiem, jakiego mi właśnie potrzeba. Mieliśmy się udać do Teksasu i Meksyku, a tymczasem możemy zboczyć trochę w prawo. Zresztą zamierzałem udać się tam tylko dlatego, że spodziewałem się zastać tych ludzi, ponieważ jednak sami oznajmiają mi tak uprzejmie, gdzie ich szukać, byłbym głupcem, gdybym nie pokazał im Sans-eara i jego Tony. Czy pójdziecie ze mną, jeżeli nie znajdziemy jutro śladu Freda Morgana?

– Oczywiście! Ja go także potrzebuję, gdyż on wie, do kogo należą kamienie.

– Schowajcie zatem te rzeczy i zobaczmy, co robią nasi kolejarze!

Konduktor poustawiał straże stosownie do mej rady.

Obsługa kolejowa razem z robotnikami wzięła się do naprawy toru, a część podróżnych stała przypatrując się ich robocie, część zaś zajmowała się poległymi i rannymi. Spoglądali na nas dwóch z podziwem, nie śmiejąc przeszkodzić nam w rozmowie. Dopiero gdyśmy wstali, podeszło do nas kilku ludzi, aby nam wyrazić swoją wdzięczność za pomoc. Mieli widocznie więcej rozumu od konduktora. Nadto pytali nas, w jaki sposób mogliby nam okazać swoje uznanie w formie jakiegoś podarunku. Wtedy ja poprosiłem, żeby nam sprzedali trochę ołowiu, prochu, tytoniu, chleba i zapałek, jeśli mają te cenne artykuły. Wszyscy sięgnęli natychmiast do swoich zapasów i niebawem zaopatrzono nas aż nadto we wszystko, czegośmy potrzebowali. Zapłaty za to przyjąć nie chcieli, nie mogłem więc im się z tym dłużej narzucać.

Tak upłynął krótki czas, potrzebny do naprawy toru. Potem pochowano narzędzia, a konduktor zbliżył się do nas i zapytał:

– Czy wsiądziecie, panowie? Zabiorę was chętnie, dokąd wam się spodoba.

– Dziękuję, sir! Zostaniemy tutaj – odrzekłem.

– Skoro taka wasza wola, to nie będę nalegał. Będę musiał oczywiście uwiadomić o dzisiejszym wypadku moje władze i nie omieszkam wspomnieć z uznaniem o was. Wynagrodzenie was nie minie.

– Dziękuję. Na nic nam się to nie przyda, gdyż nie zostajemy w tym kraju!

– Do kogo należą zdobyte tutaj trofea?

– Wedle prawa sawannów własność zwyciężonego dostaje się zawsze do rąk zwycięzcy.

– My zwyciężyliśmy, możemy więc Indianom zabrać wszystko, co mają przy sobie. Dalej, ludzie! Każdy z nas musi sobie wziąć pamiątkę z dzisiejszej walki.

Na to wystąpił Sam i powiedział:

– Pokażcie nam, sir, Indianina, którego zwyciężyliście i zabiliście!

Konduktor spojrzał nań z pewnym zakłopotaniem.

– Jak to rozumiecie?

– Jeśli położyliście którego trupem, to wolno wam zabrać sobie jego własność, ale inaczej nie.

– Samie, zostawcie im tę przyjemność! – zwróciłem się do towarzysza. – Nam tego nie potrzeba!

– Skoro tak sądzicie, to dobrze – odpowiedział mi mały westman, a do konduktora rzeki: – Ale skalpów nie ruszycie!

– I weźmiecie do pociągu zwłoki zamordowanego dróżnika, który tam leży. To wasz obowiązek! – dodałem.

To życzenie zostało spełnione. Następnie kolejarze odszukali zabitych Indian, ograbili ich z broni i innych przedmiotów, po czym zabrawszy do wagonów ciała poległych białych, po

krótkim pożegnaniu ruszyli w dalszą drogę. Przez pewien czas dolatywał nas jeszcze turkot oddalającego się pociągu, aż w końcu zostaliśmy znowu sami na rozległych, cichych sawannach.

– Co teraz, Charley? – zapytał Sam.

– Spać.

– Myślicie, że Indianie nie zjawią się raz jeszcze po odjeździe tych „walecznych" ludzi?

– Wątpię.

– Mnie jednak dziwiłoby to, na przykład, bardzo, gdyby Fred Morgan nie wrócił, aby przynajmniej spróbować odszukać konia, a z nim razem drogie kamienie!

– To możliwe, lecz nieprawdopodobne. Kto znajdzie konia, który uciekł przed ogniem? Nadto wie on, że oprócz kolejarzy są tutaj jeszcze inni ludzie, którym się nie może pokazać, jeśli nie chce narazić się na największe niebezpieczeństwo.

– Ale on poznał mnie tak samo jak ja jego, dziwiłbym się przeto, gdyby nie miał ochoty wpakować mi kuli lub ostrego żelaza!

– To się jeszcze pokaże. Na dziś jednak jesteśmy bezpieczni. Mimo to radziłbym oddalić się od kolei tak, żebyśmy nabrali pewności, że nam nikt nie przerwie naszego odpoczynku.

– Well! A więc naprzód!

Wsiadłszy na konie, odjechaliśmy z milę angielską na północ. Zatrzymawszy się tam, spętaliśmy koniom nogi i zawinęliśmy się w koce.

Byłem rzeczywiście znużony i usnąłem niebawem. We śnie wydało mi się, że słyszę turkot pociągu, który biegł ze wschodu na zachód. Lecz nie ocknąłem się całkowicie i zasnąłem na nowo.

Gdy się zbudziłem, było jeszcze bardzo wcześnie. Mimo to Sam siedział już koło mnie, paląc z zadowoleniem jedno z cygar otrzymanych wczoraj od podróżnych.

– Dzień dobry, Charley! Widzę istotnie pewną różnicę między tym zielem a waszymi patentowanymi cygarami, których manufakturę trzymacie pod siodłem. Zapalcie sobie także jedno, a potem przystąpimy do dzieła. Śniadania musimy się wyrzec, dopóki nie natrafimy na wodę.

– Żebyśmy ją tylko wkrótce znaleźli; to konieczne dla koni, które nie mają się nawet gdzie popaść. Zapaliłem cygaro i rozpętałem konia.

– Jak pojedziemy? – zapytał Sam.

– Spiralą aż tam, gdzie stał pociąg. W ten sposób nie ujdzie nam żaden ślad.

– Ale nie obok siebie.

– Oczywiście. W odpowiednim oddaleniu. A więc naprzód!

Na miałkim popiele spalonej trawy ślady zbiegłych Ogellallajów odcisnęły się niewątpliwie bardzo wyraźnie, lecz wiatr tak je przez noc pozwiewał, że nie było nic widać. Wskutek tego przybyliśmy na miejsce bez żadnego wyniku.

– Czy widzieliście co, Charley? – zapytał Sam.

– Nie.

– Ja tak samo. Niech kaczka kopnie taki wiatr, który nadchodzi wtenczas, kiedy go najmniej potrzeba! Gdybyście nie znaleźli listu, nie wiedzielibyśmy doprawdy, co począć.

– A więc dalej nad Rio Pecos!

– Well, wpierw jednak muszę oznajmić czerwonoskórym, komu mają być wdzięczni za wczorajszą przyjemność.

Podczas gdy zsiadłem z konia i rozciągnąłem się na nasypie, Sans-ear zabrał się do dzieła, w którym ja nie mogłem uczestniczyć.

– A teraz jazda! – rzekł Sam. – Droga do najbliższej wody daleka, a ciekaw jestem, kto ją lepiej wytrzyma, wasz mustang czy moja stara Tony.

– Wasz wierzchowiec niesie mniejsze brzemię niż mój.

– Well, Charley, wprawdzie niesie on trochę mniejszego człowieka, lecz dużo oleju w głowie. Nie ja jestem winien, że mi uciekł ten Morgan, ale że wy nie zdołaliście wykończyć obu wodzów, to, na przykład, przebaczę wam dopiero wtedy, gdy mi pomożecie schwytać Morgana!

ROZDZIAŁ II

STAKEMANI[10]

Pomiędzy Teksasem, Arizoną, Nowym Meksykiem a terytorium indiańskim albo, mówiąc inaczej, pomiędzy odnogami gór Ozark, dolną i górną Sierra Guadelupe a górami Gualpa, leży otoczona wzgórzami – odgraniczającymi górny bieg Rio Pecos i źródła rzek: Red River, Sabina, Trinidad, Brazos i Kolorado – niezmierzona i okropna połać kraju, którą można by nazwać Saharą Stanów Zjednoczonych.

Puste płaszczyzny suchego, rozżarzonego piasku przeplatane skalnymi pokładami nie użyczają roślinności warunków potrzebnych do najkrótszego choćby życia. Zimna noc następuje tu nagle, bez żadnego przejścia po dziennym skwarze. Ani samotny dżebel[11], ani zieleniejące wadi[12] nie przerywa, jak na Saharze, martwej,jednostajnej pustyni, a cichy bir[13] nie wyczarowuje swą wilgocią żadnej oazy. Brak tu nawet przejścia w postaci stepu między porosłymi lasem terenami górzystymi a pustkowiem pozbawionym wszelkiego życia. Wszędzie staje przed oczyma śmierć, śmierć bez osłony w najstraszliwszej swej postaci. Tylko tu i ówdzie sterczy – nie wiadomo jaką siłą wydobyty i zachowany – samotny krzak mezkity z liśćmi barwy skóry, jak gdyby drwił sobie z oczu ludzkich spragnionych zieloności. Również ze zdziwieniem spotyka się gdzieniegdzie gatunek dzikich kaktusów rosnących pojedynczo, w grupach albo nawet gęsto pokrywających rozległe obszary. Gdy się je widzi, trudno odgadnąć i wyjaśnić sobie zagadkę ich bytu. Lecz ani mezkita, ani kaktus nie czynią na widzu przyjemnego wrażenia. Barwa ich jest szarobrunatna, a kształty brzydkie. Pokrywa je gruby pył piaskowy, a biada koniowi, którego nierozważny jeździec skieruje do takiej kaktusowej oazy. Twarde i ostre jak igły kolce tak mu poranią ścięgna, że już nigdy nie będzie mógł chodzić. Jeździec musi go się wyrzec i zwierzę ginie marnie, jeśli go sam właściciel nie dobije.

Na przekór tym wszystkim okropnościom, jakimi ta pustynia przeraża, człowiek odważył się przecież wkroczyć na nią. Wiodą przez nią gościńce do Santa Fé i Fortu Union, w górę ku Paso del Norte i w dół ku obficie nawodnionym preriom i lasom prowincji Teksas. Tamtejszy „gościniec" nie ma jednak nic wspólnego z bitymi drogami w krajach cywilizowanych. Czasem wprawdzie przejedzie przez pustynię w największym pośpiechu samotny jeździec lub rastreador[14]. jakieś towarzystwo zuchwalców lub podejrzana gromadka Indian, kiedy niekiedy zaskrzypi po beznadziejnym pustkowiu powolny jak ślimak, długi łańcuch wozów zaprzężonych w woły, ale na próżno szukałbyś tam drogi we właściwym tego słowa znaczeniu. Nawet nie widać wyjeżdżonych kołami śladów. Każdy jedzie tamtędy konno lub na wozie, własnym torem, dopóki widzi na ziemi jakieś oznaki tego, że posuwa się we właściwym kierunku. Oznaki te jednak nikną z czasem nawet dla najwprawniejszego oka, dlatego też zaznacza się kierunek wbijanymi w ziemię palikami.

Mimo to pustynia ta żąda o wiele liczniejszych, w stosunku do jej rozmiarów, i okropniejszych ofiar niż haracz, którym zadowala się afrykańska Sahara i środkowo-azjatycka Szamo. Trupy ludzi i zwierząt, resztki wozów i siodeł oraz inne, przerażające pozostałości leżą obok

---

[10] s t a k e m a n (ang.) – bandyta zmieniający w celach rabunkowych położenie palików oznaczających drogę

[11] d ż e b e l (arab.) – góra

[12] w a d i (arab.) – doliny bezwodne na pustyniach, powstałe przez erozję strumieni, które w czasie nawałnicy spływają na niższe części pustyni i giną w piaskach

[13] b i r (arab.) – źródło

[14] r a s t r e a d o r (hiszp.) – tropiciel

gościńca i zagradzają drogę, opowiadając nieme dzieje, niedostępne wprawdzie dla ucha, lecz tym wyraźniejsze dla oka i wyobraźni. A w górze unoszą się sępy, pożeracze padliny, śledząc z niepokojącą wytrwałością każdy ruch, jaki się pod nimi odbywa, jak gdyby wiedziały, że im nie ujdzie pewna zdobycz.

Jak się ta pustynia nazywa? Mieszkańcy położonych dokoła obszarów nadają jej rozmaite, bądź angielskie, bądź francuskie lub hiszpańskie, nazwy. W dalszych jednak stronach, z powodu palików wbitych dla oznaczenia drogi, znana jest pod nazwą Llano Estaccado[15].

W kierunku od dopływów rzeki Red River ku Sierra Blanca na straszliwie pomęczonych koniach jechali dwaj jeźdźcy. Biedne zwierzęta pochudły tak, że została na nich tylko skóra i kości, a sierść im się najeżyła jak pióra ptakowi, który nazajutrz ma paść martwy w klatce. Konie potykając się za każdym niemal krokiem, wlokły powoli bezsilne nogi i każdej chwili można było się spodziewać, że się przewrócą. Oczy nabiegły im krwią, a suchy język zwieszał się spomiędzy warg, które utraciły swoją prężność, Pomimo spieki nie wystąpiła na nie ani kropla potu, a u pyska ani płatek piany, co dowodziło, że oprócz krwi, zgęstniałej od słonecznego żaru, nie było w ich ciałach ani kropli innego płynu.

Końmi tymi była Tony i mój mustang, a więc jeźdźcami mogli być tylko Sam i ja – Old Shatterhand.

Już od pięciu dni jechaliśmy przez Llano Estaccado i z początku znajdowaliśmy tu i ówdzie wodę, teraz jednak zabrakło jej zupełnie. Jadąc w tej spiekocie ciągle myślałem o tym, jak praktyczną rzeczą byłoby sprowadzić na tę pustynię afrykańskie wielbłądy.

Mały Sam wisiał na szyi swojego konia, jak gdyby utrzymywała go na nim jakaś niewidzialna a dobroczynna siła. Usta miał otwarte, a w oczach ów tępy, bezduszny wzrok wskazujący na zbliżanie się zupełnego odrętwienia. Mnie samemu zdawało się, że ołów ciąży mi na powiekach, a krtań była tak wyschła, że nie próbowałem wymówić nawet jednego słowa, bojąc się, żeby najmniejszy dźwięk nie rozsadził mi gardła. Krew w żyłach parzyła mnie jak roztopione żelazo. Czułem, że najdalej za godzinę zsuniemy się z koni na ziemię i zginiemy z pragnienia.

– Wody! – stęknął Sam.

Podniosłem głowę, nie wiedząc, co na to odrzec. Wtem mój koń potknął się i stanął. Zadałem sobie niemało trudu, by go poruszyć z miejsca, lecz nadaremnie. Stara Tony poszła za jego przykładem.

– Zsiadać! – szepnąłem cicho, a mimo to każdy dźwięk tego słowa sprawiał mi niewymowny ból. Zdawało mi się, że cały przewód oddechowy od płuc aż do warg nadziany jest tysiącami szpilek.

Zlazłem z konia, wziąłem go za cugle i poszedłem dalej w milczeniu, Uwolnione od ciężaru zwierzę powlokło się za mną powoli. Sam ciągnął za sobą swego Rosynanta[16], lecz był widocznie jeszcze bardziej wyczerpany ode mnie. Zataczał się po prostu i za każdym krokiem zdawało się, że upadnie. Tak posuwaliśmy się jeszcze z milę, kiedy naraz usłyszałem za sobą westchnienie. Obejrzałem się i dostrzegłem poczciwego Sama leżącego na piasku z zamkniętymi oczyma. Podszedłem do niego i usiadłem obok, nie mówiąc ani słowa, gdyż żadne gadanie i tak nie mogło zmienić naszego położenia.

Taki więc miał być koniec mojego życia i moich wędrówek! Starałem się przypomnieć sobie rodziców i rodzeństwo w dalekiej ojczyźnie, starałem się zebrać myśli do modlitwy, ale na próżno. Wydało mi się, że mózg mi kipi. Padliśmy ofiarą sztuczki, którą niejeden już wędrowiec przypłacił życiem.

---

[15] L l a n o E s t a c c a d o (hiszp.) – pole wypalikowane

[16] R o s y n a n t – koń Don Kichota, bohatera słynnej powieści hiszpańskiego pisarza Miguela Cervantesa de Saavedra (1547–1616)

Od Santa Fé i przez Paso del Norte wracają często na wschód oddziały poszukiwaczy złota, którym sprzyjało szczęście w kopalniach kalifornijskich. Muszą oni przebyć Llano Estaccado, gdzie czyha na nich bez liku niebezpieczeństw, tkwiących nie tylko w warunkach klimatycznych i topograficznych, lecz także w wielu innych. Ci bowiem, którzy nie mieli szczęścia w kopalniach i stracili chęć do uczciwej pracy, osobniki podupadłe moralnie i materialnie, jakie wypluwa z siebie Wschód, ludzie pod każdym względem zwyrodnieni, schodzą się na skraju Estaccada i urządzają zasadzki na poszukiwaczy złota. Ponieważ są to przeważnie silni i zahartowani w bojach awanturnicy, którzy odwagę swoją wypróbowali już w tysiącznych potrzebach i walkach, przeto spotkać się z nimi jest zawsze niebezpiecznie. Ci rabusie wpadli na pomysł tak okrutny i niegodziwy, że gorszego nie podobna sobie wyobrazić. Oto wyjmują paliki, wskazujące drogę, i wbijają je w innym, fałszywym kierunku, tak że idąc za nimi podróżni trafiają w najstraszniejsze okolice pustyni i dostają się prosto w objęcia śmierci z głodu i pragnienia. Po czym rabusie przywłaszczają sobie ich mienie bez szczególnego wysiłku i niebezpieczeństwa. Wskutek tego kości setek ludzi bieleją w głębokiej samotności na słońcu, gdy tymczasem krewni na próżno oczekują ich powrotu lub przynajmniej skąpej wieści o ich losach.

Szliśmy dotąd z ufnością według owych pali i dopiero około południa zauważyliśmy, że jesteśmy na złej drodze. Nie wiedząc, kiedy zboczyliśmy z drogi właściwej, nie mogliśmy wracać, zwłaszcza że stan nasz czynił nam każdą minutę coraz droższą. Sam nie mógł już iść dalej, a ja uszedłbym także najwyżej milę, gdybym wytężył siły aż do ostatka. Choć żywi, czuliśmy, że znajdujemy się już w grobie, z którego mógł nas wyrwać tylko jakiś szczęśliwy przypadek, i to gdyby nastąpił możliwie prędko.

Wtem rozległ się nade mną jakiś ochrypły i przeraźliwy wrzask. Spojrzałem w górę i zobaczyłem sępa, który pewnie dopiero co zerwał się z ziemi, a teraz zatoczył nad nami koło, jak gdyby uważał nas już za swą pewną i niechybną zdobycz. Jego obecność tutaj wskazywała na to, że gdzieś niedaleko od nas musiała leżeć ofiara pustyni albo siedział zaczajony stakeman, jak nazywają rozbójników Estaccada. Rzuciłem więc wzrokiem dokoła, aby odkryć jakiś ślad.

Chociaż z powodu żaru słońca i gorączki krew nabiegła mi do oczu tak, że bolały mnie i groziły odmówieniem służby, zobaczyłem w oddaleniu mniej więcej tysiąca kroków kilka punktów, które nie mogły być ani kamieniami, ani żadnymi wzniesieniami gruntu. Wziąłem do ręki strzelbę i starałem się tam zbliżyć.

Nie uszedłem jednak ani połowy tej przestrzeni, kiedy rozpoznałem trzy kujoty, a nieco opodal kilka sępów. Zwierzęta te siedziały dokoła jakiegoś łupu. Musiał to być człowiek lub zwierzę, jeszcze nie całkiem martwe, gdyż inaczej kujoty i sępy już by się podzieliły zwłokami. Mimo wszystko widok kujotów napełnił mnie czymś w rodzaju nadziei, ponieważ nie mogą one długo obejść się bez wody i nie zapuszczają się zbyt daleko na wyschłe obszary pustyni. Zresztą trzeba było zobaczyć, co za łup otoczyły. Już uniosłem nogę, aby iść dalej, kiedy zaświtała mi myśl, pod wpływem której przygotowałem czym prędzej broń do strzału.

Byliśmy bliscy śmierci z pragnienia, a wody nigdzie nie było. Czy jednak krew tych zwierząt nie mogła orzeźwić nas choćby w nieznacznym stopniu? Złożyłem się więc do strzału, lecz z powodu osłabienia i gorączki ręce nie dopisały i wylot lufy chwiał się na kilka cali to w jedną, to w drugą stronę. Usiadłem więc na ziemi, wsparłem rękę na kolanie i w ten sposób dopiero wystrzeliłem.

Wypaliłem raz i drugi. I wnet dwa kujoty tarzały się już w piasku. Na ten widok zapomniałem o osłabieniu i pobiegłem pospiesznie do nich. Pierwszy wilk miał przestrzeloną głowę, ale drugi strzał był taki, że musiałbym się go wstydzić przez całe życie, gdyby nie usprawiedliwiał mnie mój stan i choroba. Kula strzaskała drugiemu zwierzęciu tylko przednie nogi, tak że wyjąc z bólu rzucało się po piasku.

Dobyłem noża, przeciąłem pierwszemu wilkowi naczynie krwionośne na szyi i zacząłem pić krew, jak gdyby to był nektar olimpijski. Następnie wyjąłem skórzany kubek, napełniłem go krwią i przystąpiłem do człowieka leżącego opodal na ziemi jak martwy. Był to Murzyn. Zaledwie rzuciłem okiem na jego twarz nie czarną teraz, lecz brudnoszarą, omal nie upuściłem kubka na ziemię.

– Bob!

Na ten okrzyk Murzyn otworzył lekko powieki.

– Wody! – westchnął.

Ukląkłem obok niego, podniosłem go i przytknąłem mu kubek do ust.

– Pij!

Murzyn rozchylił wargi, lecz wyschnięte gardło nie mogło już przełykać, wskutek czego upłynęło sporo czasu, zanim wlałem weń ten wstrętny płyn. Po czym Murzyn upadł twarzą w piasek.

Teraz należało pomyśleć o Samie. Zużytkowałem naumyślnie jako pierwszą krew śmiertelnie ugodzonego zwierzęcia, ponieważ ściełaby się prędzej aniżeli krew zranionego.

Mały westman leżał na ziemi zupełnie zobojętniały, ale podniósł się, gdy rzekłem:

– Samie, masz! Pij!

– Pić? Och!

Skwapliwie pochwycił kubek i wypróżnił go jednym łykiem.

– Krew! Brrr, a jednak to lepsze, niżby kto sądził. Wysączyłem resztę krwi i zerwałem się prędko, gdyż zbiegły przedtem trzeci kujot powrócił i pomimo obecności ocuconego Murzyna zajął się swymi martwymi towarzyszami. Nabiłem strzelbę na nowo, podszedłem bliżej i zastrzeliłem wilka. Murzyn wzmocnił się o tyle, że zaczął się ruszać i wkrótce całkiem oprzytomniał.

Wędrowiec miewa często spotkania, które nazwać można cudownymi, i takim było właśnie spotkanie Murzyna, którego znałem bardzo dobrze. Korzystałem w swoim czasie z gościny jego pana, jubilera Marshalla w Louisville, i polubiłem wiernego i wesołego Murzyna. Dwaj synowie jubilera zrobili ze mną wycieczkę myśliwską w góry Cumberlandu i odprowadzili mnie potem nad Missisipi. Byli to wspaniali młodzieńcy, z których towarzystwa bardzo byłem zadowolony.

Nie mogłem sobie wszakże wyjaśnić, w jaki sposób stary, siwowłosy Bob dostał się na tę pustynię.

– Czy już wam lepiej, Bob? – zapytałem.

– Lepiej, bardzo lepiej, całkiem lepiej – odrzekł poznawszy mnie widocznie dopiero teraz. – Massa, czy to być może? Massa Charley, bardzo wielki myśliwiec? Och, czarny Bob być bardzo szczęśliwy, że zetknąć się z massa, bo massa Charley ocalić massa Bern, który być zupełnie zabity, bardzo nieżywy.

– Bernard? A gdzie on?

– Gdzie być massa Bern? – Oglądnął się i wskazał na południe. – Massa Bern tam być! O, nie, być tam albo tam, albo tam!

Obrócił się przy tym dokoła własnej osi i pokazał na zachód, na północ i na wschód. Poczciwy Bob sam nie znał miejsca pobytu swego młodego pana.

– Co Bernard robi tu na Llano Estaccado?

– Co robić? Bob tego nie wiedzieć, gdyż Bob nie widzieć massa Bern. On odejść z wszystkimi innymi massa.

– Kto są ci ludzie, z którymi wędruje?

– Być myśliwcami, być kupcami, być... och, Bob nie wiedzieć wszystkiego!

– Dokąd chciał jechać?

– Do Kaliforn, do Francisko, do młodego massa Allan.

– A więc Allan jest we Francisko?

– Massa Allan tam być i kupić bardzo wiele złota dla massa Marshall. Ale massa Marshall nie potrzebować już złota, bo massa Marshall już nie żyć.

– Master Marshall umarł? – zapytałem zdumiony, gdyż jubiler trzymał się za mojej bytności jeszcze bardzo rześko.

– Umrzeć nie wskutek choroby, lecz wskutek morderstwa.

– Zamordowali go?! – zawołałem przerażony. – Kto?

– Bob nie znać morderców i nikt ich nie znać. Mordercy przyjść w nocy, pchnąć nożem w pierś massa Marshall i zabrać wszystkie kamienie, klejnoty i złoto massa Marshall. Kto być mordercą i dokąd pójść, tego nie wiedzieć ani szeryf, ani sąd, ani massa Bern, ani Bob.

– Kiedy się to stało?

– Przed wiele tygodni, wiele miesięcy; pięć miesięcy. Massa Bern zostać bardzo ubogi i napisać do massa Allan w Kaliforn, lecz nie otrzymać odpowiedzi i dlatego sam. pójść szukać massa Allan.

Była to zaiste straszna wiadomość. Morderstwo i rabunek zburzyły szczęście tej zacnej rodziny, pozbawiły życia ojca i wtrąciły w nędzę obu synów. Wszystkie kamienie i klejnoty zniknęły. Ta opowieść przypomniała mi od razu diamenty odebrane Fredowi Morganowi. Ale co mogło zapędzić sprawcę z Louisville na prerię?

– Jak odbywaliście podróż?

– Z Memfis do fortu Smith, a potem przez góry do Preston. Bob jechać i chodzić aż do wielka, straszna pustynia Estaccad, gdzie już nie znaleźć wody. Koń i Bob się zmęczyć, chcieć pić dużo wody jak Missisipi, Bob spaść na ziemię, koń uciec, a Bob zostać na ziemi. Potem straszna bieda, Bob prawie umrzeć z pragnienia, aż przyjść massa Charley i dać Bobowi krew do ust. O, massa, ocalić także massa Marshall, a Bob kochać massa tak bardzo jak cały świat, całą ziemię!

Było to zaiste życzenie, co do którego spełnienia nie mogłem mieć żadnej nadziei. Nie wiem, skąd pochodziła ufność Murzyna do mnie, ale zaspokoić jej niestety nie mogłem. Mimo to pytałem dalej:

– Ile ludzi liczyło wasze towarzystwo?

– Bardzo wiele: dziewięć ludzi i Bob.

– Dokąd zmierzaliście najpierw?

– Tego Bob nie wiedzieć. Bob zawsze jechać z tyłu i nie słyszeć, co massa mówić.

– Masz nóż i szablę. Czy wszyscy byliście uzbrojeni?

– Dużo flint, strzelb, nożów, pistoletów i rewolwerów.

– A kto był waszym przewodnikiem?

– Ten człowiek nazywać się Wiliams.

– Przypomnij sobie jeszcze raz dobrze, gdzie oni pojechali, kiedy spadłeś z konia?

– Nie wiedzieć już, tam i tam.

– Kiedy to było? O jakiej porze dnia?

– Być wkrótce wieczór i... ach, och, teraz Bob wiedzieć. Massa Bern pojechać prosto w słońce, kiedy Bob upaść z konia.

– Dobrze! Czy możesz już chodzić?

– Bob znowu biegać jak jeleń. Krew dobre lekarstwo na pragnienie.

Rzeczywiście, mnie także orzeźwił ten szczególny napój, tak że nawet gorączka znikła. Obok mnie stał już Sam, w którym również nastąpiła podobna zmiana. Przyszedł, aby się przysłuchać, i wyglądał znacznie lepiej aniżeli przed pięciu minutami.

Towarzystwo, w którym znajdował się Bernard Marshall, musiało być tak samo wyczerpane jak my, bo dzielny młodzieniec nie opuściłby wiernego sługi. Może pragnienie i gorączka tak szalały w jego wnętrznościach, że już nie był panem swoich myśli i zmysłów. Ostatnia

wskazówka Boba nasuwała przypuszczenie, że tak samo jak my podążał ku zachodowi. Jak jednak mieliśmy się dostać do niego, jak go ratować, kiedy nam samym tak bardzo potrzeba było pomocy, a konie nasze wypowiedziały nam służbę?

Długo nad tym myślałem, ale nie przyszła mi do głowy żadna zbawcza myśl, chociaż przypuszczałem, że towarzystwo to nie powinno być jeszcze zbyt daleko. Dlaczego jednak nie zostawili żadnych śladów?

Zwróciłem się do Sama z następującą prośbą:

– Zostań tutaj przy koniach! Może one o tyle się wzmocnią, że potem z milę ubiegną. Jeśli za dwie godziny nie wrócę, pójdziesz za moim śladem.

– Well, Charley! Nie polecisz daleko, gdyż ten łyk, na przykład, nie wystarczy na długo.

Nie mówiliśmy już teraz do siebie „wy", jak w pierwszym dniu znajomości, lecz „ty" – zwyczajem westmanów.

Zbadawszy dookoła teren przekonałem się, że ślady Boba wiodły od miejsca, na którym leżał, ku północy. Idąc za nimi, dostałem się w niespełna dziesięć minut na trop dziesięciu koni, które szły ze wschodu na zachód. Tu widocznie Murzyn musiał zsunąć się z wierzchowca, czego nie zauważono, gdyż pozostał w znacznej odległości od reszty oddziału. Ślady pouczyły mnie nadto, że koń jego pobiegł za tamtymi. Wszystkie zwierzęta musiały być bardzo znużone, gdyż potykały się często i wlokły tak, że suwały wprost kopytami po piasku.

Ta okoliczność sprawiła, że trop był nadzwyczaj wyraźny, dzięki czemu mogłem szybko podążać naprzód. Powiadam „szybko" i rzeczywiście tak było, chociaż dziś jeszcze nie potrafiłbym wyjaśnić, czy ten okropny napój, czy też troska o Bernarda Marshalla dała mi niespodzianie tyle sił.

Uszedłszy może z milę, ujrzałem kilka pojedynczo rosnących kaktusów, zeschłych zupełnie tak, że nabrały już żółtego koloru. Potem zobaczyłem je w coraz większych kępach, aż w końcu utworzyły nieprzejrzaną przestrzeń ciągnącą się daleko poza linię horyzontu.

Oczywiście trop, który badałem, nie prowadził pomiędzy niebezpieczne rośliny, lecz okrążał je dookoła. Poszedłem za nim, gdy wtem zaświtała mi myśl, która tchnęła we mnie nowe siły.

Gdy na rozżarzonych nizinach półwyspu Floryda spiekota, pochłaniająca wodę, tak się wzmoże, że ludziom i zwierzętom grozi śmierć z pragnienia, ziemia zaś ciągle jest jak płynny ołów, a niebo jak białe, rozżarzone żelazo bez jednej chmurki, wówczas zrozpaczeni ludzie zapalają trawy i suche zarośla. I wtedy nagle zaczyna padać deszcz. Sam widziałem to dwukrotnie, a kto choć do pewnego stopnia obeznany jest z prawami, siłami i zjawiskami przyrody, wyjaśni to sobie bez naukowych tłumaczeń.

O tym pomyślałem w tej chwili i równocześnie ukląkłem, aby wyciąć nożem potrzebne do zapalenia łodygi. W kilka minut potem buchnął ogień, który z początku zwolna, potem szybciej ogarniał coraz szerszą przestrzeń, aż wreszcie rozlało się morze płomieni, którego granic nie podobna było objąć wzrokiem,

Przeżyłem już kilka pożarów prerii, ale żaden nie posuwał się z takim grzmiącym łoskotem jak to piekło kaktusowe; kaktusy pękały z hukiem podobnym do huku wystrzałów tak silnym, jak gdyby cały korpus wojska stanął do bitwy. Płomienie buchały w niebo, a nad nimi unosiły się opary dymu, przez który przelatywały drzazgi z kaktusów, wyrzucane w górę jak strzały. Czułem, jak ziemia drży mi pod nogami.

To była najlepsza pomoc, jaką – przynajmniej teraz – mogłem dać Bernardowi Marshallowi i jego ludziom. Z tą myślą wróciłem nie troszcząc się już o to, czy potem rozpoznam ich ślady, czy nie. Nadzieja tak mnie pokrzepiła, że na drogę powrotną zużyłbym zaledwie pół godziny, tymczasem nawet to było zbyteczne, gdyż wkrótce spotkałem Sama i Boba z obydwoma końmi, które nabrały już nieco sił.

– Rany boskie, Charley, co się tam właściwie dzieje? Najpierw wydało mi się, że to trzęsienie ziemi, teraz jednak widzę, na przykład, że zapalił się ten piekielny piasek.

– Piasek nie, Samie, lecz kaktusy, których tam rośnie mnóstwo.

– Jak się zajęły? Ty chyba nie podłożyłeś ognia?!

– Właśnie że ja.

– Ależ, człowiecze, w jakim celu?

– Aby sprowadzić deszcz!

– Deszcz? Nie weź mi tego za złe, Charley, ale zdaje mi się, że dla odmiany dostałeś lekkiego bzika!

– Czy nie wiesz, że u niektórych dzikich wariaci uchodzą za bardzo rozumnych?

– Sam chyba nie sądzisz, że zrobiłeś coś mądrego. Gorąco podwoiło się teraz raczej, niż zmniejszyło.

– Gorąco się wzmogło i przez to w powietrzu będzie więcej elektryczności!

– Daj mi, na przykład, spokój z elektrycznością! Nie mogę jej ani zjeść, ani wypić i nie wiem w ogóle, co to ta jedna.

– Niebawem ją usłyszysz, gdyż wkrótce zerwie się burza, może nawet z piorunami.

– Przestańże! Charley, biedaku, dostałeś naprawdę bzika!

Spojrzał na mnie z wyraźnym i poważnym niepokojem. Ja zaś wskazałem ręką ku górze i zapytałem:

– Czy widzisz te zbliżające się opary wodne?

– Do stu piorunów, Charley! W końcu gotów jestem przypuścić, że nie zwariowałeś!

– Opary utworzą chmurę, która musi się gwałtownie wyładować.

– Charley, jeśli to się sprawdzi, to ja jestem osłem, a ty najmędrszym człowiekiem w Stanach Zjednoczonych i poza nimi!

– Nie przesadzajmy, mój Samie! Widziałem po prostu taki pożar na Florydzie i tutaj zastosowałem ten sam sposób, ponieważ sądzę, że nie zaszkodzi nam odrobina deszczu. Popatrz, oto masz już tę chmurkę. Skoro tylko kaktusy się spalą, zacznie się burza, a jeżeli nie wierzysz, to przypatrz się tylko swojej Tony, jak wywija kikutem ogona i rozdyma nozdrza! Mój mustang także wietrzy już deszcz, który co prawda obejmie tylko przestrzeń pożaru. Chodźcie naprzód, żeby się dostać w jego zasięg!

Poszliśmy pieszo, chociaż mogliśmy już pojechać, gdyż nasze wierzchowce okazywały żwawość, jak na swój stan całkiem niezwykłą, i pchały się po prostu naprzód. Instynktem poczuły, że znajdą upragnione orzeźwienie.

Proroctwo moje spełniło się rzeczywiście. W pół godziny potem owa mała chmurka rozszerzyła się tak dalece, że całe niebo nad nami było czarne. Po czym zaczął padać deszcz, ale nie zwolna jak w strefach umiarkowanych, lecz nagle, jak gdyby chmury były naczyniami, które teraz poprzewracano. Zdawało się, że ktoś grzmoci nas pięściami po plecach, i w przeciągu minuty przemoczyło nas tak zupełnie, jak gdybyśmy w ubraniach przepłynęli przez rzekę. Oba konie stały z początku cicho, a potem radosnym parskaniem zaczęły wykazywać swoje zadowolenie z gwałtownej kąpieli, wyprawiać przeróżne skoki i widać było, że odzyskały siły zupełnie. Nas również ogarnęło nader przyjemne uczucie. Rozłożyliśmy koce, by nałapać jak najwięcej drogocennej wilgoci, po czym to, czego nie zdołaliśmy wypić, wlaliśmy do skórzanych worów.

Największą radość okazywał Murzyn Bob. Zataczał koła, przewracał kozły i robił miny, które wskutek kontrastu barw: jego czarnej twarzy i siwych włosów, były nieopisanie śmieszne.

– Massa, massa, och, ach, woda, dobra woda, dużo wody! Bob zdrów, Bob mocny, Bob znowu jechać, biegać, chodzić aż do Kaliforn. Massa Bern będzie miał także wodę?

– Prawdopodobnie, gdyż wątpię, czy zdążył odjechać daleko poza pole kaktusowe. Ale pij, bo wnet przestanie padać!

Murzyn podniósł szeroko kresy kapelusza, przytrzymał go denkiem na dół, rozszerzył grube wargi tak, że powstała przepaść od ucha do ucha, odrzucił głowę wstecz i sączył orzeźwiający napój między zęby.

– Och, ach, przyjemnie, massa. Bob pić jeszcze wiele więcej! – Nadstawił znowu kapelusza, lecz rozczarował się srodze. – Ach, deszcz się skończyć, woda już nie przyjść!

Rzeczywiście, po ostatnim grzmocie deszcz ustał tak samo prędko, Jak się zaczął, co nie sprawiło nam już jednak przykrości, gdyż ugasiliśmy zupełnie pragnienie, a ponadto napełniliśmy wory.

– A teraz posilmy się trochę – rzekłem – potem zaś dalej w drogę, aby dotrzeć do Marshalla!

W ciągu kilku minut zjedliśmy po kawałku suszonego mięsa bawolego, a następnie dosiadłszy koni, pokłusowaliśmy naprzód. Bob okazał się przy tej sposobności tak doskonałym szybkobiegaczem, że z łatwością dotrzymywał nam kroku.

Ślady zatarły się oczywiście po deszczu. Znałem jednak ich kierunek i niebawem zauważyłem skórkę z harbuza, porzuconą prawdopodobnie przez jednego z ludzi jadących przed nami.

Pole kaktusowe ciągnęło się daleko ze wschodu na zachód, gdyż zdawało się, że czarne spalenisko nigdy się nie skończy. To mnie pocieszało, gdyż wnosiłem stąd, że deszcz orzeźwił także tych, których szukaliśmy. Wreszcie minęliśmy spalenisko, a poza nim ukazała się w dali grupa ludzi i zwierząt. Wziąłem do rąk lunetę i naliczyłem dziewięciu ludzi i dziesięć koni. Osiem osób siedziało na ziemi, dziewiąta zaś, dosiadłszy konia, oddzieliła się od towarzystwa i ruszyła cwałem wprost na nas. Wtem jeździec musiał nas dostrzec, gdyż osadził konia. Przypatrzywszy mu się lepiej, poznałem Bernarda Marshalla.

Odgadłem jego zamiar. Przedtem znajdował się prawdopodobnie w stanie takiego znużenia i zobojętnienia, że, tak samo jak inni, nie zauważył braku swego sługi. Dzięki jednak ożywczemu deszczowi odzyskał znowu energię i prężność i uznał za swój obowiązek odszukać Boba i przywieść go do reszty swoich ludzi. Domysł mój potwierdzała także ta okoliczność, że jeździec prowadził za sobą drugiego konia za cugle. To, że nikt się doń nie przyłączył, oburzyło mnie trochę. Byłbym się założył, że towarzystwo składało się z samych Jankesów, dla których życie Murzyna, zwłaszcza gdy nie jest ich sługą, znaczy tyle, co nic. Jeździec przypatrzył się nam dokładnie, zawołał ku swoim kilka stów i natychmiast wszyscy wsiedli na konie, wziąwszy broń do rąk.

– Naprzód, Bobie, wytłumacz im, kim jesteśmy! – rozkazałem Murzynowi.

Murzyn puścił się pędem, a my ruszyliśmy za nim wyciągniętym stępem. Skoro tylko Marshall poznał swego sługę, zniknęła jego nieufność, towarzystwo zaś zsiadło z koni i oczekiwało nas w pokojowej postawie. Bob wybiegł tylko cokolwiek naprzód, tak że usłyszeliśmy, co oznajmił głośno jubilerowi:

– Nie strzelać, nie rąbać; bardzo dobrzy, piękni ludzie! Massa Charley, który zabija tylko łotrów, ale pozwala żyć dżentelmenom i Murzynom!

– Charley! Czy to być może? – zawołał zaskoczony niespodziewanym spotkaniem Marshall i spojrzał uważnie na mnie.

W ojczyźnie jego ubierałem się bardziej elegancko, aniżeli to jest możliwe na sawannach. Poza tym twarz z małą bródką, którą się znało, nie łatwo poznać po kilku miesiącach, gdy okala ją dziko wyrosła, pełna broda. Ponieważ Marshall nie widział mnie jeszcze nigdy w mojej obecnej powłoce, przeto nie wziąłem mu tego za złe, że nie poznał mnie od razu z daleka. Teraz jednak w oddaleniu trzydziestu długości konia przekonał się, że Bob miał słuszność. W jednej chwili podjechał obok i podał mi z konia rękę.

– Charley, czy to prawda? Czy to ty rzeczywiście?

Wszak wybierałeś się do fortu Benton i w Góry Śnieżyste! Co cię sprowadziło tu na Południe?

– Byłem i tam, Bernardzie, ale wydało mi się za zimno, dlatego przeniosłem się na Południe, a teraz witam cię w Estaccado! Może mnie przedstawisz swoim towarzyszom?

– Oczywiście! Charley, zapewniam cię, że tysiąc dolarów nie sprawiłoby mi takiej przyjemności jak twoje przybycie. Zsiądź i chodź bliżej!

To rzekłszy zaznajomił mnie ze swoimi ludźmi, a potem zarzucił mnie tysiącem pytań, na które odpowiadałem, jak mogłem. Towarzystwo jego składało się rzeczywiście z samych Jankesów, dobrze uzbrojonych pięciu agentów ze Spółki Sprzedaży Futer i z trzech ludzi tak obwieszonych bronią, że trudno było uważać ich za westmanów. Przypuszczałem, że są to pewnie owi wspomniani przez Boba kupcy. Wyglądali jednak raczej na awanturników udających się na Zachód po to, by zdobyć szczęście – w uczciwy albo nieuczciwy sposób. Najstarszy z komiwojażerów, przedstawiony mi jako Wiliams, był dowódcą oddziału i wydawał się wcale znośnym „szopem", że użyję popularnego na Zachodzie wyrażenia. Gdy odpowiedziałem już na kilka nic nie znaczących pytań Bernarda, zwrócił się z kolei do mnie Wiliams. Mały Sam wyraźnie nie zrobił na nim zbyt wielkiego wrażenia.

– Wiemy już mniej więcej, kim jesteście, a teraz pragnęlibyśmy usłyszeć, dokąd zmierzacie.

– Może do Paso del Norte, a może gdzie indziej, sir. Zależy to od tego, co będziemy mieli do roboty.

Nie uważałem za stosowne powiedzieć mu więcej, aniżeli na razie było potrzeba.

– A czym się trudnicie?

– Rozglądamy się trochę po świecie.

– To jest praca, która nie nuży i nie męczy. Jesteście w takim razie zamożni, a może nawet bogaci. Widać to po waszej błyszczącej broni!

Jego przypuszczenie było niestety mylne, gdyż posiadałem właśnie tylko tę broń oprócz kilku drobnostek, które zostawiłem w domu. Pytanie jego nie podobało mi się wcale, a jeszcze mniej podstępny wzrok i na pół szyderczy, a na pół zdawkowy ton, w jakim je wypowiedział. Był to człowiek nieostrożny i pomimo swojej przyzwoitej powierzchowności wzbudził we mnie podejrzenie. Postanowiłem nadal mieć go ciągle na oku, a na razie odpowiedziałem, nie potwierdzając jego słów ani im nie zaprzeczając:

– Zdaje mi się, że na Estaccado to nie ma znaczenia, czy jestem ubogi, czy zamożny.

– Macie słuszność, sir. Jeszcze pół godziny temu byliśmy wszyscy bliscy śmierci i tylko cud nas ocalił, cud, jaki się rzadko zdarza w tych stronach.

– Jaki?

– Oczywiście ten deszcz. Ale wy może przybywacie z okolicy, w której nie padał?

– Owszem, padał i u nas, gdyż samiśmy go wywołali.

– Wywołali? Co chcecie przez to powiedzieć, sir?

– Ze bylibyśmy zginęli tak samo jak i wy, gdybyśmy nie doszli do przekonania, że nie ma innego środka ocalenia, jak spowodowanie chmur i piorunów.

– Słuchajcie, panie blagier, spodziewam się, że nie uważacie nas za ludzi, którym można mydlić oczy, gdyż w przeciwnym razie byłoby źle z waszą skórą. Byliście pewnie kiedyś w Utah nad wielkim słonym jeziorem i należycie do „świętych Sądu Ostatecznego", którzy także robią podobne cuda!

– Rzeczywiście byłem już i tam, lecz teraz nie mam do czynienia z Sądem Ostatecznym, lecz przede wszystkim z dniem dzisiejszym i z wami. Czy pozwolicie nam przyłączyć się do was?

– Owszem, zgadzamy się tym bardziej, że jesteście znajomym master Marshalla. Jak mogliście tylko we dwóch zapuścić się w Llano Estaccado?

Nieufność moja w stosunku do niego kazała mi udawać człowieka lekkomyślnego i niedoświadczonego.

– Na to nie potrzeba odwagi. Droga jest wytyczona, wchodzi się więc, a potem wychodzi szczęśliwie.

– Patrzcie go, prędko się z tym załatwiacie! Czy słyszeliście już co o stakemanach?

– Co to za ludzie?

– A więc tak! Nie chcę o nich mówić, aby nie wywołać wilka z lasu, to tylko powiem, że kto we dwójkę puszcza się na Estaccado, musi być zuchem jak Old Firehand czy Old Shatterhand albo być takim mądrym i przebiegłym westmanem jak pogromca Indian, stary Sans-ear. Czy słyszeliście kiedy o którymś z tych ludzi?

– Być może, ale wyszło mi to z pamięci. Jak długo trzeba jeszcze jechać, aby się wydostać z Estaccado?

– Dwa dni,

– Znajdujemy się oczywiście na właściwej drodze?

– A dlaczegoż miałoby być inaczej?

– Ponieważ wydało mi się, że pale zwróciły się nagle na południowy wschód, zamiast na południowy zachód.

– To może się wydawać wam, lecz nie takiemu staremu i wytrawnemu agentowi handlowemu jak ja. Ja znam Estaccado jak własną kieszeń.

Podejrzenie moje się wzmogło. Jeśli rzeczywiście był tak doświadczony, to musiał wiedzieć, że zboczył z właściwego kierunku. Postanowiłem wybadać go bliżej.

– Jak się to dzieje, że wasza spółka posyła was tak daleko na południe? Zdawałoby się, że na północy jest więcej futer.

– Jacyście mądrzy! Futro to skóra, a skóra to futro. Na południe udajemy się nie tylko dlatego, że i tutaj żyją czarne i bure niedźwiedzie oraz szopy i oposy, ale w tym celu, aby podczas wędrówki bawołów nagromadzić kilka tysięcy skór.

– Ach, tak! Sądziłem, że w rezerwatach i dokoła nich można nabyć mnóstwo takich skór z największą łatwością. Zresztą, jako agent, jesteście w bardzo dobrym położeniu, ponieważ nie potrzebujecie się obawiać Indian. Opowiadano mi, że spółka używa agentów równocześnie jako listonoszy i gońców, a taki list jest podobno najlepszym talizmanem przeciwko atakom Indian. Czy to prawda?

– Tak. Nie tylko nic nam nie grozi ze strony Indian, lecz nawet zawsze możemy liczyć na ich pomoc.

– To pewnie i wy macie takie listy?

– Naturalnie. Wystarczy mi pokazać pieczęć, a każdy Indianin użyczy mi pomocy.

– Zaciekawiacie mnie, sir... Pokażcie mi łaskawie taką pieczęć! Dobrze?

Zauważyłem, że się zakłopotał, lecz starał się to pokryć gniewną miną.

– Czy słyszeliście kiedy o tajemnicy listowej? Tylko Indianom wolno mi pokazywać listy.

– Nie chciałem poznać treści listu, a z waszej odpowiedzi widzę, że nie znajdujecie się chyba nigdy w tym położeniu, żebyście musieli legitymować się przed białymi !

– W tym wypadku legitymuję się strzelbą. Zapamiętajcie to sobie!

Udałem, że jestem bardzo strapiony tym jego ostrym wystąpieniem i zamilkłem, niby to strasznie zakłopotany. Mały Sam łypnął okiem, nie ku mnie – to by mnie zdradziło – lecz ku swojej Tony, jak gdyby zgadzał się z nią w najwyższym stopniu, ja zaś odwróciłem się do Marshalla:

– Bob opowiedział mi, dokąd i w jakim celu przedsięwzięliście tę podróż. Czy nie odnaleźliście śladu mordercy, który was pozbawił całej fortuny?

–Najmniejszego. Zresztą w tym morderstwie było niewątpliwie zamieszanych więcej osób.

– Gdzie znajduje się Allan?

– W San Francisko, przynajmniej stamtąd wysyłane były wszystkie jego listy.

– Well, w takim razie odszukasz go łatwo. Czy wyruszycie dzisiaj dalej, czy tu staniecie obozem?

– Ułożyliśmy się, że tu zostaniemy.

– W takim razie rozsiodłam mego konia. Podniosłem się, zdjąłem siodło i uzdę z mustanga i dałem mu trochę kukurydzy. Sans-ear zrobił to samo ze swoją klaczą. Unikaliśmy przy tym rozmowy, co zresztą było zbyteczne, gdyż rozumieliśmy się bez słów. Dwaj myśliwi obcujący z sobą przez kilka tygodni, odczytują nawzajem swoje myśli z wyrazu oczu. Do Marshalla nie przemówiłem także poufnie ani jednego słowa. Wśród zdawkowych rozmów upłynęła reszta dnia aż do wieczora.

– Rozstawcie straże, sir! – rzekłem do Wiliamsa. – Jesteśmy znużeni i chcemy się wyspać.

Wykonał to polecenie, ale dziwnym sposobem nie wyznaczył na podwójne posterunki ani mnie, ani Sama, ani Bernarda.

– Śpij pomiędzy nimi, żeby nie mogli rozmawiać z soba potajemnie! – szepnąłem do Marshalla, który spojrzał na mnie ze zdumieniem, ale usłuchał.

Konie pokładły się, ponieważ paszy nie było. Podczas gdy inni ułożyli się do snu z głowami wspartymi na siodłach, tworząc obszerne koło, ja ległem z boku, obok mojego mustanga, kładąc głowę na jego brzuchu jak na poduszce – uczyniłem to z ważnego powodu. Samowi wystarczyło jedno skinienie z mej strony, żeby się umieścić pomiędzy agentami, tak że mogli się ze sobą porozumiewać tylko na posterunkach.

Gwiazdy powschodziły, lecz może z powodu deszczu wisiała pomiędzy nimi a ziemią taka mgła, że nie świeciły tak jasno, jak to bywało innymi wieczorami. Dwaj kupcy odbywali pierwszą straż, która minęła zupełnie spokojnie. Druga warta przypadała na Wiliamsa i najmłodszego agenta. Gdy przyszła kolej na nich, nie spali jeszcze. Powstali i każdy z nich zaczął patrolować swoje półkole Zapamiętałem sobie dokładnie oba punkty, w których spotykali się regularnie. Jeden z tych punktów znajdował się w pobliżu konia Boba i to wydało mi się okolicznością korzystną, ponieważ należało przypuszczać, że Murzynowi nie dano dobrego preriowego konia, przed którego instynktem trzeba by się mieć na baczności,

Nie mogłem dostrzec, czy ci dwaj ludzie rozmawiali z sobą przy każdym spotkaniu, ale odgłos ich kroków pozwalał się domyślać, że stawali na chwilę, aby sobie coś szepnąć. W czasie pobytu na sawannach zaostrzyłem sobie bardzo słuch. Jeśli się tym razem nie myliłem, to mieliśmy tu do czynienia z bardzo szczwanymi ludźmi.

Poczołgałem się ostrożnie łukiem do konia. Był to widocznie bardzo cierpliwy i łagodny człapak, gdyż nie zdradził mego zbliżania się ani jednym parsknięciem, żadnym ruchem. Mogłem więc przylgnąć do niego tak szczelnie, że w żaden sposób by mnie nie odkryli.

Właśnie nadchodził Wiliams z jednej, a agent z drugiej strony. Zanim się odwrócili, doszły mnie całkiem wyraźnie następujące słowa:

– Ja jego, a ty Murzyna!

Słowa te powiedział Wiliams. Gdy powrócili, usłyszałem znowu:

– Oczywiście, że ich także!

Wydało mi się, że na przeciwległym punkcie stycznym agent zapytał Wiliamsa o mnie i o Sama. Gdy się znowu do mnie zbliżyli, usłyszałem słowa:

– Pshaw! Jeden mały, a drugi... to będzie przecież we śnie!

„Małym” był oczywiście Sam, a „drugim” – ja. Nie ulegało wątpliwości, że postanowili nas zamordować, chociaż nie wiedziałem, dlaczego. Gdy się znowu przybliżyli, usłyszałem dokładną odpowiedź:

– Wszystkich trzech!

Być może, iż po drugiej stronie padło pytanie, czy trzej kupcy mają także podzielić nasz los. A więc tych pięciu rzekomych agentów chciało się istotnie do nas zabrać! Było nas pięciu przeciwko pięciu, ale wynik tego przedsięwzięcia mógł się okazać nad wyraz korzystny... dla nich. Tak, byliby nas uśmiercili, nie skaleczywszy się nawet, gdyby nie przyszło mi na myśl ich podsłuchać. Teraz obydwaj rozbójnicy zeszli się znowu.

– Ani minuty wcześniej... Wszystko w porządku! – rzekł Wiliams do towarzysza.

Zajmująca rozmowa dobiegła końca. Ostatnie słowa odnosiły się oczywiście do chwili, w której czyn miał zostać spełniony. Teraz chodziło o to, kiedy to nastąpi – czy we śnie, czy dzisiaj, czy jutro? Prawdopodobniejszy był pierwszy termin, a ponieważ łotrzy mieli się jeszcze przechadzać co najwyżej kwadrans, przeto należało ich zamierzenia uprzedzić.

Przygotowałem się do skoku. Spotkali się znowu, nie zamieniwszy już ani słowa i odwrócili się równocześnie. Zaledwie Wiliams mnie minął, zerwałem się z ziemi tuż za nim, pochwyciłem go lewą ręką za gardło, by nie zdołał wydać głosu, a pięścią prawej uderzyłem go w skroń tak silnie, że obsunął się cicho na ziemię.

Po czym poszedłem zamiast niego i zetknąłem się na przeciwległym punkcie z drugim strażnikiem, który się niczego nie spodziewał i uważał mnie za Wiliamsa.

Schwyciłem go natychmiast za gardło i powaliłem na ziemię. Wiedziałem, że będą tak leżeć przynajmniej dziesięć minut, zanim odzyskają przytomność. Wobec tego poszedłem szybko do grupy śpiących. Dwóch tylko jeszcze ludzi nie spało, oczywiście Sam i Bernard, którego tak zaniepokoiła wyszeptana przeze mnie wskazówka, ze nie mógł zasnąć.

Odczepiłem lasso od pasa, Sam uczynił podobnie.

– Tylko tych trzech agentów! – szepnąłem, a potem zawołałem głośno: – Halo, wstawać, ludzie!

W jednej chwili wszyscy byli na nogach, nawet Murzyn Bob, ale równocześnie pętle naszych lass owinęły się dokoła rąk i ciał dwóch agentów. Druga pętla i rzemienie zacisnęły się tak silnie, że pojmani nie mogli nawet pomyśleć o ich rozerwaniu. Bernard Marshall prawie bezwiednie rzucił się na trzeciego i przytrzymał go, dopóki nie związałem go własnym jego lassem. Stało się to tak prędko, że było już po wszystkim, kiedy jeden z kupców poczuł nagle przypływ odwagi i krzyknął, chwytając strzelbę:

– Zdrada! Do broni!

Sans-ear zaśmiał się głośno:

– Zostaw no swoją ognistą sikawkę, mój chłopcze, mogłoby zabraknąć kapsli tobie i innym, hi, hi, hi!

Podczas gdy ja podsłuchiwałem, przezorny Sam pozdejmował kapsle z trzech karabinów, dowodząc tym, jak bystro mnie zrozumiał, chociaż nie zamieniliśmy z sobą ani słowa.

– Nie obawiajcie się, ludzie, nie stanie się wam nic złego! – uspokoiłem ich. – Oni chcieli nas i was zamordować. Dlatego unieszkodliwiliśmy ich na razie.

Pomimo ciemności widać było przestrach, jaki wywołały moje słowa. Nawet Bob podszedł czym prędzej do mnie.

– Massa, czy chcą zamordować i Boba?

– I ciebie także!

– To oni umrzeć, wisieć w Estaccad, wysoko na pal!

Jeńcy nie odezwali się wcale. Liczyli na pewno na pomoc straży.

– Bobie, tam leży Wiliams, a tam jego towarzysz. Przynieś ich! – rozkazałem Murzynowi.

– Już nieżywi? – zapytał.

– Tylko nieprzytomni.

– Ja przynieść ich!

Olbrzymi Murzyn przyniósł obu łotrów jednego po drugim na swoich szerokich barkach i zrzucił na ziemię, po czym ich natychmiast związano. Teraz mogłem już wyjaśnić kupcom,

dlaczego to uczyniliśmy. Kupcy wpadli w straszną wściekłość i domagali się natychmiastowej śmierci agentów. Musiałem się im oczywiście sprzeciwić.

– Sawanny rządzą się także swoimi prawami i ustawami. Gdyby stanęli przeciwko nam z bronią w ręku, kiedy życie nasze zależałoby od mgnienia oka, moglibyśmy ich powystrzelać, ale wobec tego stanu rzeczy nie wolno nam popełnić morderstwa. Musimy ich uprzednio osądzić.

– Och, ach, tak, sądzić – rzekł Murzyn, ciesząc siłę już z góry widowiskiem – a potem Bob powiesić wszystkich pięć!

– Teraz nie czas na to. Noc ciemna, a ognisk nie mamy, trzeba więc zaczekać do świtu. Jest nas siedmiu, pięciu więc może spać spokojnie, a dwóch będzie czuwało. O jeńców nie potrzebujemy się obawiać, dopóki słońce nie wzejdzie.

Kosztowało mnie sporo trudu, zanim postawiłem na swoim, doprowadziłem jednak do tego, że pięciu z nas ułożyło się znów na spoczynek, ja zaś z jednym z kupców stanąłem na straży. W godzinę potem zluzowano nas, a ostatniej warty podjął się Sans-ear sam jeden, gdyż w tym czasie zaczynało już szarzeć i para oczu wystarczała zupełnie do zapewnienia nam bezpieczeństwa.

Przez całą noc nie odezwał się żaden z pojmanych. Kiedyśmy jednak wstali, zauważyłem, że Wiliams i jego towarzysz już oprzytomnieli. Zjedliśmy najpierw śniadania i daliśmy koniom porcję kukurydzy. Potem przystąpiliśmy do rozprawy. Sam wskazał na mnie i oznajmił:

– Oto nasz szeryf; on, na przykład, niech przewodniczy.

– Nie, Samie, ty musisz objąć przewodnictwo.

– Ja? Ho! Ho! Co ci się stało? Hawerfield szeryfem! Kto pisze książki, ten się lepiej do tego nadaje.

– Nie jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych, oprócz tego nie byłem tak długo jak ty na sawannach. Jeśli się ty usuwasz, to Bob musi się tego podjąć.

– Bob szeryfem? To ci dopiero! Muszę się zatem zgodzić, jeśli, na przykład, ty nie przystajesz na inne załatwienie sprawy przewodnictwa.

Usiadł w odpowiedniej postawie i przybrał minę, z której wynikało, że w tym sądzie preriowym będzie się kierował tą samą co najmniej starannością i sprawiedliwością, jaką by się uważał za stosowne kierować w sądzie przysięgłych jakiejś cywilizowanej prowincji.

– Usiądźcie w koło, moi panowie! Wy wszyscy jesteście ławnikami, a Bob niech stoi, ponieważ będzie konstablem[17]!

Bob ściągnął mocniej rzemień od pałasza i starał się przybrać minę pełną jak największej godności.

– Konstablu, zdejm więzy z jeńców, gdyż znajdujemy się w wolnym kraju, niech więc nawet mordercy stają tutaj przed sędzią wolni od więzów.

– A jeżeli drapnąć wszyscy pięć, to... – ośmielił się zauważyć Murzyn.

– Słuchać! – huknął nań Sans-ear. – Nikt z tych ludzi nie umknie, gdyż odebraliśmy im broń, a zanimby, na przykład, zrobili dziesięć kroków, dosięgłyby ich nasze kule!

Zdjęto więźniom rzemienie, a oni podnieśli się, wciąż jeszcze milcząc. Każdy z nas miał strzelbę pod ręką i o ucieczce rzeczywiście mowy być nie mogło.

– Nazywają cię Wiliams – zaczął Sam. – Czy to twoje właściwe nazwisko?

Zapytany odrzekł z zawziętą miną:

– Nie będę wam odpowiadał. Wy jesteście mordercami, to wy napadliście na nas i sami powinniście stanąć przed sądem!

– Czyń, co chcesz, mój chłopcze. Masz wolną wolę, ale pamiętaj, że milczenie znaczy tyle, co przyznanie się. A więc, czy rzeczywiście jesteś agentem handlowym?

---

[17] k o n s t a b l (ang. constable) stopień policyjny w Anglii i Stanach Zjednoczonych

– Tak.

– Udowodnij to! Gdzie masz listy?

– Nie mam żadnych.

– Dobrze, mój chłopcze! To wystarczy zupełnie, aby wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Czy powiesz mi, o czym rozmawiałeś wczoraj na warcie ze swoim towarzyszem i co postanowiłeś?

– Nic! Nie zamieniliśmy ani słowa.

– Ten czcigodny mąż podszedł was i słyszał wszystko dokładnie. Nie jesteście westmanami, gdyż prawdziwy preriowy myśliwiec byłby się o wiele mądrzej zabrał do rzeczy.

– My nie jesteśmy westmanami? Do wszystkich diabłów, skończcie już raz tę komedię, a my wam potem pokażemy, że nie boimy się żadnego z was. Cóż wy za jedni? Greenhorny, które zaskoczyły nas we śnie, aby zamordować i ograbić!

– Nie rozdrażniaj się niepotrzebnie, mój synu! Dowiesz się jeszcze, co to za greenhorny, które cię mają sądzić na śmierć i życie. Ten mąż powalił was sam jeden pięścią, a dokonał tego tak poprawnie, że nikt nic nie zauważył, nawet wy sami. Właściciel tak pięknej pięści nazywa się Old Shatterhand. A teraz przypatrzcie się mnie! Czy może ktoś, komu Nawajowie obcięli uszy, nazywać się Sans-ear? Jesteśmy tymi dwoma ludźmi, którzy mogą się zapuścić sami w Llano Estaccado. Prawdą jest również to, że kazaliśmy wczoraj padać deszczowi. Któż bowiem inny mógł to uczynić? Bo czy słyszał kto kiedy, żeby deszcz dobrowolnie padał na Estaccado?

Brzmienie naszych nazwisk nie wywarło na tych pięciu ludziach zamierzonego wrażenia. Wiliams pierwszy zabrał glos. Rozważywszy sytuację, właśnie dzięki naszym nazwiskom wpadł na myśl, że nie potrzebuje się obawiać gwałtu z naszej strony.

– Jeśli rzeczywiście jesteście tymi, za kogo się podajecie, to spodziewamy się od was sprawiedliwości. Powiem wam prawdę. Nosiłem dawniej inne nazwisko, lecz to nie zbrodnia, gdyż wy właściwie także nie nazywacie się Old Shatterhand i Sans-ear. Każdemu wolno przybrać sobie nazwisko, jakie mu się podoba.

– Well! Toteż nie jesteś oskarżony o zmianę nazwiska!

– A morderstwa także nie możecie nam zarzucić. Rozmawialiśmy wprawdzie wczoraj wieczorem o morderstwie, ale czy wymówiliśmy przy tym wasze nazwiska?

Poczciwy Sam patrzył długo przed siebie, aż w końcu rzekł z niezadowoleniem:

– Tego nie uczyniliście istotnie, ale z waszych słów można było wszystko wyraźnie wywnioskować.

– Wniosek to jeszcze nie dowód oparty na rzeczywistych faktach. Taki sąd preriowy to rzecz bardzo chwalebna, ale może on sądzić tylko na podstawie faktów, a nie domysłów. Przyjęliśmy uprzejmie Sans-eara i Old Shatterhanda, a oni w nagrodę za to chcą nas zabić. Dowiedzą się o tym wszyscy myśliwi od Wielkiego Jeziora aż po Missisipi, od Meksykańskiej Zatoki aż do Rzeki Niewolników, a każdy powie, że ci dwaj wielcy westmani są zbójami i mordercami.

Musiałem w duszy przyznać, że ten łotr dobrze prowadził swoją obronę. Zaskoczyła ona Sama tak niespodzianie, że się poderwał z miejsca.

– Niech to diabli! Tego nikt nie powie, gdyż my was nie skażemy na śmierć. Jesteście wolni, moim zdaniem, a co wy na to, panowie?

– Są wolni – są niewinni! – rzekli trzej kupcy, których przekonanie o winie oskarżonych od początku nie było zbyt wielkie.

– Ja także nie mogę nic przeciwko nim zeznać – rzekł Bernard. – Kim są i jak się nazywają, to nas nic nie obchodzi, nasze oskarżenie opiera się tylko na domysłach, a nie na dowodach.

Murzyn Bob po prostu osłupiał, kiedy spostrzegł, że pozbawiono go nadziei powieszenia winowajców. Co do mnie, byłem z tego zwrotu sprawy dość zadowolony, przewidziałem go nawet i dlatego nie tylko doradzałem wczoraj zwłokę, lecz pozostawiłem dzisiaj Samowi przewodnictwo. On, jako myśliwiec, posiadał wprawdzie rzadką przebiegłość, lecz nie był zdolny wziąć mordercy w ogień krzyżowych pytań. Na prerii nie jest się nigdy pewnym swego życia, po cóż więc niszczyć pięć istnień ludzkich, skoro nie popełniono jeszcze żadnej zbrodni? W takim bowiem razie musiałoby się zabijać nieprzyjaciela za sam jego domniemany zamiar. Nie tyle zależało mi na śmierci tych ludzi, ile na naszym bezpieczeństwie, a pod tym względem można było zarządzić, co by się okazało potrzebne. Nie mogłem jednak całkiem puścić płazem Samowi tego, że pozwolił wymóc na sobie to, co powinno być aktem naszej łaski. Gdy więc zwrócił się z zapytaniem o moje zdanie, odrzekłem:

– Czy wiesz, Samie, co jest zaletą twojej Tony?

– Co?

– Że ma olej w głowie.

– Zaiste, przypominam sobie, a ty masz widocznie dobrą pamięć. Ale co ja jestem temu winien, że zostałem myśliwcem, a nie uczonym w prawie? Ty może potrafiłbyś wydobyć coś z tych ludzi, czemu więc nie przyjąłeś godności szeryfa? Teraz oni są wolni, gdyż słowo raz powiedziane nie może już być cofnięte.

– Oczywiście, moje zdanie nie może już teraz nic zmienić. Zwalnia się ich od oskarżenia o zamach morderczy, lecz to jeszcze nie koniec. Master Wiliams, zapytam was teraz o pewną rzecz, a od waszej odpowiedzi będzie zależało, co się dalej z wami stanie. W którym kierunku można najprędzej dostać się nad Rio Pecos?

– Prosto na zachód.

– W jakim czasie?

– W przeciągu dwóch dni.

– Uważam was za stakemanów, chociaż wczoraj sami nas przed nimi ostrzegaliście i chociaż razem z całym oddziałem, co prawda dopiero wówczas, gdy byliście już ostatecznie wyczerpani, trzymaliście się właściwego kierunku. Zostaniecie z nami przez te dwa dni jako nasi jeńcy. Jeżeli zaś po upływie tego czasu nie będziemy jeszcze nad Rio Pecos, to zginiecie, gdyż ja sam dam wam skosztować mojej kuli czy lassa lub odprawimy nad wami nowy sąd.-Teraz wiecie już, czego macie się trzymać! Przywiążcie tych ludzi do ich koni i naprzód!

– Ach, och! To być dobrze! – zawołał Bob. – Jeśli nie przyjść nad rzekę, to Bob powiesić ich na drzewie!

Już w kwadrans potem znajdowaliśmy się w drodze. Jeńcy, przywiązani do koni, jechali oczywiście w środku. Bob, nie chcąc widocznie złożyć urzędu konstabla, nie odstępował ich i trzymał pod najsurowszym dozorem. Sans-ear dowodził tylną strażą, ja zaś z Marshallem prowadziłem pochód.

Oczywiście przedmiotem rozmowy był wczorajszy wypadek. Ja jednak nie miałem ochoty zbytnio się nad nim rozwodzić. W końcu Marshall przerwał rozmowę o agentach i rzekł:

– Czy to prawda, co twierdził Sans-ear, że wywołałeś deszcz?

– Tak.

– To dla mnie niepojęte, chociaż wiem, że nie mówisz nigdy nieprawdy.

– Spowodowałem deszcz, żeby ocalić siebie i was.

I objaśniłem mu to proste postępowanie, za pomocą którego czarownicy i szamani niektórych dzikich ludów zdobywają u swych współplemieńców nadzwyczajny szacunek.

– Wobec tego wszyscy zawdzięczamy ci życie. Bylibyśmy zginęli z pragnienia tam, gdzie nas spotkałeś.

– Nie zginęlibyście z pragnienia, lecz z rąk morderców. Przypatrz się tylko derkom tych tak zwanych agentów, pod nimi znajdują się jeszcze pełne wory z wodą. Oni nie cierpieli naj-

mniejszego pragnienia. Byłbym ich bezwarunkowo wystrzelał, gdybym nie czuł wstrętu do przelewu krwi ludzkiej. Jak się nazywa najmłodszy z nich, który wczoraj stał na straży razem z Wiliamsem?

– Meercroft.

– Zapewne także przybrane nazwisko. Ten łotr wydaje mi się, pomimo swego młodego wieku, najbardziej podejrzany. Odnoszę nawet wrażenie, że podobną twarz już gdzieś widziałem w niezbyt miłych okolicznościach. Biada im, jeśli w oznaczonym czasie nie dostaniemy się nad rzekę! Teraz podaj mi bliższe szczegóły zamordowania i ograbienia waszego ojca!

– Nie ma żadnych bliższych szczegółów, Allan udał się do Francisko po zakup złota, a my zostaliśmy we czwórkę z Bobem i gospodynią, ponieważ robotnicy i czeladnicy mieszkali osobno. Ojciec wychodził codziennie wieczorem na przechadzkę, jak o tym wiesz, aż pewnego pięknego poranku znaleźliśmy jego trupa w zamkniętej sieni, pracownia zaś i sklep były otwarte, a wszystko, co przedstawiało jakąś wartość, zniknęło. Ojciec nosił przy sobie zawsze klucz, którym odmykało się wszystkie drzwi i dokonano rabunku.

– Nie nasunęło się wam żadne podejrzenie?

– Tylko jeden z czeladników mógł coś wiedzieć o kluczu, wszelkie jednak policyjne śledztwa nie przyniosły żadnego wyniku. Czeladników musieliśmy oddalić i zniknęli gdzieś bez echa. Pomiędzy zrabowanymi klejnotami znajdowały się znaczne depozyty, za które musiałem zapłacić. Pozostała kwota wystarczyła mi zaledwie na podróż do Kalifornii w celu odszukania brata, o którym nagle ucichły wszelkie słuchy.

– I nie masz żadnej nadziei, że pochwycisz kiedyś złodzieja i odbierzesz choćby część swojej własności?

– Żadnej nadziei! Sprawcy razem ze swą zdobyczą są już pewnie dawno poza granicami kraju, a chociaż umieściłem ogłoszenie o tym strasznym wypadku we wszystkich większych gazetach Europy i Ameryki i dodałem dokładny opis zrabowanych przedmiotów, na nic mi się to nie przyda, gdyż wytrawny złoczyńca znajdzie dość środków i dróg do zabezpieczenia się przed pościgiem.

– Chciałbym przeczytać to ogłoszenie!

– Możesz! Noszę przy sobie numer „Morning Heralda”, aby na wszelki wypadek mieć to ogłoszenie pod ręką.

Wydobył z kieszeni gazetę i podał mi ją. Jadąc dalej, przeczytałem opis i wpadłem znowu w podziw nad jednym z owych zrządzeń losu, który nazywamy często przypadkiem. Skończywszy czytać, złożyłem papier i oddałem Marshallowi, mówiąc:

– A co by było, gdybym ci wymienił sprawcę, a przynajmniej jednego ze sprawców?

– Ty, Charley? – zapytał pośpiesznie,

– I dopomógł ci do odzyskania przynajmniej części straty?

– Żarty na bok, Charley! Wówczas, kiedy popełniono ten czyn, znajdowałeś się na prerii. Jakże potrafiłbyś dokonać tego, co nie udało się ludziom najbardziej tym dotkniętym?

– Bernardzie, popatrz na to.

Wydobyłem i podałem mu sakiewkę. On wziął ją z gorączkowym podnieceniem, a gdy ją otwierał, ręce mu drżały. Zaledwie rzucił okiem na zawartość sakiewki, wydał okrzyk radosnego zdumienia:

– Boże, nasze diamenty! Tak, to one, to naprawdę te same! W jaki sposób...

– Spokojnie! – przerwałem mu. – Pohamuj się, młodzieńcze! Ci z tyłu nie potrzebują słyszeć dokładnie, o czym mówimy. Jeśli to wasze kamienie, to zatrzymaj je sobie, żebyś zaś mnie przypadkiem nie wziął za opryszka, to ci opowiem, w jaki sposób się u mnie znalazły.

– Charley, co ci na myśl przychodzi? Jak możesz sądzić, żebym ja...

– Sza! Krzyczysz, jak gdybyś chciał, żeby usłyszano naszą rozmowę aż w Australii!

Poczciwego Bernarda niespodziewana radość istotnie pozbawiła niezbędnego w takich razach spokoju. I ja cieszyłem się z całego serca jego szczęściem, żałując tylko, że razem z drogimi kamieniami nie podobna było zwrócić mu życia ojca.

– Opowiadaj, Charley! – prosił. – Ciekaw jestem, jak moje kamienie dostały się w twoje ręce.

– Sprawcę mordu i rabunku miałem już prawie w ręku. Był tak blisko mnie, że tą oto nogą strąciłem go z lokomotywy, na której stałem, a Sam ścigał go, choć bezskutecznie. Lecz spodziewam się, że dostanę go znowu w ręce, i to wkrótce – po drugiej stronie Rio Pecos. Łotr udał się tam zapewne z powodu jakiegoś nowego łajdactwa, na którego ślad również wpadniemy.

– Opowiadaj, Charley, opowiadaj!

Opowiedziałem mu o napadzie na pociąg, dokonanym przez Ogellallajów, i przeczytałem potem list Patricka do Freda Morgana. Bernard przysłuchiwał się z największą uwagą, a potem rzekł:

– Pochwycimy go, Charley, pochwycimy i dowiemy się także, gdzie się podziała reszta klejnotów!

– Nie zaczynaj znowu krzyczeć, Bernardzie! Zostawiliśmy wprawdzie naszych towarzyszy za sobą o kilka długości końskich, ale pamiętaj, że tu, na Zachodzie, należy się ukrywać z najdrobniejszą nawet rzeczą. Nierozwaga nigdy nie przynosi pożytku.

– Chcesz naprawdę oddać mi te kamienie bez żadnych warunków ani pretensji?

– Oczywiście, przecież są twoje!

– Charley, jesteś... lecz posłuchaj! – rzekł i sięgnąwszy do sakiewki, wyciągnął jeden z większych diamentów. – Zrób mi tę przyjemność i weź to na pamiątkę ode mnie!

– Pshaw! Ani mi się śni, Bernardzie! Zresztą nawet nie masz prawa mi tego podarować, gdyż te kamienie należą nie tylko do ciebie, lecz i do twego brata.

– AIlan zgodzi się na to, co ja uczynię!

– Być może, jestem nawet tego pewien; zważ jednak, że te kamienie nie są jeszcze wszystkim, coście utracili. Zatrzymaj zatem ten kamień, a kiedyś przy rozstaniu dasz mi coś innego, co was nic nie będzie kosztowało, dla mnie zaś będzie miłą pamiątką. Teraz jedź dalej w tym samym kierunku, a ja zaczekam tu na Sama.

Zostawiłem go sam na sam z jego szczęściem i zatrzymałem się, przepuszczając wszystkich obok siebie, dopóki nie nadjechał Sans-ear.

– Co nadzwyczajnego załatwiałeś tam na przedzie? – zapytał mnie. – Biliście rękami powietrze, jak gdybyście nam chcieli przedstawić balet na koniach.

– Czy wiesz, kto jest mordercą ojca Bernarda?

– No? Nie dowiedziałeś się chyba teraz o tymi

– Owszem!

– Chwacko zrobione! Tobie się wszystko udaje. Kto inny latami nieraz dobija się swego celu, a ty ruszysz ręką nawet we śnie i masz to, co chciałeś. No, któż to? Spodziewam się, że się nie omyliłeś!

– Fred Morgan!

– Fred Morgan? On? Charley, uwierzę we wszystko, ale nie w to. Morgan jest łotrem wśród westmanów, ale na Wschodzie nie buszuje.

– Nie będę się sprzeczał. Ale kamienie odebrane Morganowi były własnością Marshalla i już mu je oddałem.

– Ha, skoro to uczyniłeś, to widocznie jesteś tego całkiem pewny. Musiał się ucieszyć biedny chłopiec! No, to wobec tego jest nowy powód do zamienienia kilku słów z tym Morganem. Obym jak najprędzej mógł naciąć jego karb na mojej kolbie!

– A co zrobimy, gdy się z nim załatwimy?

– Co zrobimy? Hm, ja tylko z jego powodu wybrałem się na Południe i poszedłbym za nim aż do Meksyku, Brazylii i Kraju Ognistego. Jeśli go jednak tu znajdę, to mi wszystko jedno, dokąd potem powędrować. Może przyjdzie mi chęć wyjechać do starej Kalifornii, gdzie podobno nie brak okazji do wspaniałych przygód.

– W takim razie pojedziemy razem. Pozostaje mi jeszcze kilka miesięcy czasu, a nie chciałbym poczciwego Bernarda puszczać samego w tę daleką i niebezpieczną drogę.

– Well, masz moją rękę! Postaraj się jednak przedtem o to żebyśmy się wydostali z tego piasku i z tego towarzystwa, które mi się teraz jeszcze mniej podoba niż dzisiaj rano, a szczególnie nie przypada mi do gustu twarz tego młodego. To gęba, że tylko bić, i zdaje mi się, że widziałem ją już raz przy jakiejś paskudnej robocie.

– Tak samo mnie się zdaje. Może sobie nawet przypomnę, gdzie się z nim zetknąłem.

Jechaliśmy bez przeszkód aż do wieczora. Gdy się ściemniło, zatrzymaliśmy się, a zaopatrzywszy konie i zjadłszy po kawałku twardego, suszonego mięsa udaliśmy się na spoczynek. Jeńców skrępowano na noc, a straż pilnowała, żeby się nie uwolnili. Gdy nadszedł ranek, ruszyliśmy znowu naprzód i już około południa znaleźliśmy się na obszarze mniej jałowym. Kaktusy, napotkane po drodze, były soczystsze, a tu i ówdzie wystawały już z piasku kępki żółtozielonej trawy, którą konie żarłocznie skubały. Zwolna zaczęły się te kępki łączyć w szersze płaszczyzny, pustynia zmieniła się powoli w prerię, wobec czego musieliśmy pozsiadać z koni, żeby mogły zaspokoić swój głód. Rzuciły się też na zieleń z iście wilczym apetytem. Nie mogliśmy im jednak pozwolić na zbyt wiele, więc spętaliśmy je i przywiązali do palików, żeby pasły się najwyżej na długość lass. Teraz byliśmy pewni, że znajdziemy niebawem wodę, wobec czego nie oszczędzaliśmy już resztek tej, którą mieliśmy z sobą.

Gdyśmy się tak cieszyli, że straszna pustynia została już nareszcie za nimi, przystąpił do mnie Wiliams i zapytał:

– Sir, czy teraz wierzycie, że powiedziałem prawdę?

– Wierzę.

– Więc oddajcie nam broń i konie i puśćcie nas wolno. Nie zrobiliśmy wam nic złego i mamy prawo tego żądać.

– Być może, ale nie mogę sam rozstrzygnąć, muszę poradzić się mych przyjaciół.

Zasiedliśmy więc do narady, którą rozpocząłem z góry obmyślonym wstępem.

– Panowie! Pustynię minęliśmy szczęśliwie, a przed nami leży kraj urodzajny, Powstaje pytanie, czy mamy nadal pozostać razem. Dokąd zamierzacie się udać? – zwróciłem się przede wszystkim do kupców.

– Do Paso del Norte – brzmiała odpowiedź.

– My czterej pojedziemy do Santa Fé, więc drogi nasze się rozchodzą. A teraz drugie pytanie: co zrobić z tymi pięciu ludźmi?

Tę ważną sprawę załatwiono po krótkiej naradzie w ten sposób, że postanowiono wypuścić agentów na wolność, i to nawet nie następnego dnia, lecz niezwłocznie. Nie było to sprzeczne z moim planem, przeto jeńcy otrzymali z powrotem swoją własność i wyruszyli w drogę natychmiast. Na pytanie, w którą stronę się zwrócą, odpowiedział Wiliams, że ruszą wzdłuż rzeki Pecos aż do Rio Grande, aby tam zapolować na bawoły. W pół godziny po nich odjechali także kupcy i niebawem obie grupy zniknęły na widnokręgu.

Siedzieliśmy jeszcze jakiś czas w milczeniu, aż Sam przerwał ciszę słowami:

– Co myślisz o nich, Charley?

– Myślę, że nie pojadą wcale do Rio Grande, lecz zastąpią nam drogę do Santa Fé.

– Well, ja myślę tak samo. Roztropnie postąpiłeś, mówiąc im, iż właśnie tam się udamy. Teraz pytanie, czy mamy zatrzymać się tutaj jakiś czas, czy też zaraz wyruszyć dalej?

– Ja bym radził zostać. Za tamtymi łotrami pójść nie możemy, gdyż oni tego właśnie się spodziewają i będą dobrze uważali; ponieważ zaś czekają nas może trudy, którym nasze konie

na razie nie podołałyby, dobrze będzie, jeśli pozwolimy im do jutra odpocząć i napaść się do woli.

– A jeśli ci ludzie w nocy powrócą i napadną na nas? – zapytał Marshall.

– To zmusiliby nas, żebyśmy wreszcie pogadali z nimi tak, jak na to zasługują. Zresztą ja pojadę na zwiady. Biorę to na siebie, ponieważ mam najsilniejszego konia. Wy zostaniecie oczywiście tutaj aż do mego powrotu, który nastąpi prawdopodobnie dopiero wieczorem.

Dosiadłszy konia, pojechałem śladami agentów. Wiodły one w kierunku południowo-zachodnim w głąb urodzajnego kraju, gdy tymczasem trop kupców szedł bardziej ku południowi.

Jechałem kłusem. Agenci oddalili się wolnym stępem, potem jednak niewątpliwie przyśpieszyli jazdę, gdyż upłynęło z pół godziny, zanim ich zobaczyłem. Wiedziałem, że nie mają teleskopu, mogłem więc jechać za nimi swobodnie, nie spuszczając oczu z lunety.

Po upływie pewnego czasu jeden z nich odłączył się ku memu zdumieniu od reszty i zwrócił się prosto ku zachodowi, gdzie kępy zarośli wrzynały się w prerię niczym półwyspy, co wskazywało na obecność potoków. Co miałem zrobić i za kim podążyć? Czy za tymi czterema, czy też za tym jednym? Przeczucie mówiło mi, że właśnie ten jeden nosił się z jakimś planem wymierzonym przeciwko nam. Było mi właściwie obojętne, dokąd się udała reszta, ponieważ stale oddalali się od naszego obozu, ale wiadomość o tym, co zamierzał ten jeden, mogła się okazać nader pożyteczna. Ruszyłem więc za nim.

Po trzech kwadransach zniknął mi z oczu w zaroślach. Puściłem mustanga cwałem i zatoczyłem łuk, by się nie zdradzić, gdyby jeździec powracał tą samą drogą. Niedaleko od miejsca, w którym zniknął, wjechałem i ja także w zarośla, posuwałem się pośród nich jeszcze przez jakiś czas, aż dotarłem do małej, otoczonej krzakami, polanki porosłej soczystą zielenią. Tutaj, ku mojej wielkiej radości, tryskało źródło czystej wody. Zsiadłem z konia, przywiązałem go tak, by mógł się napaść i napoić, potem napiłem się znakomitej wody i poszedłem tam, gdzie spodziewałem się natrafić na trop agenta.

Znalazłem go wkrótce, a nawet zauważyłem, ku mojemu zdumieniu, że przejechało tędy kilku jeźdźców i że znajdowała się tu porządna ścieżka, którą widocznie często jeżdżono. Nie wszedłem na nią, gdyż mogła być strzeżona przez człowieka, który poczęstowałby mnie w każdej chwili kulą. Przeciskałem się więc równolegle do ścieżki przez krzaki, dopóki nie zwróciło mojej uwagi głośne parskanie.

Właśnie miałem zamiar wyjść zza krzaka, aby zobaczyć, gdzie stoi koń, który parskał, kiedy odskoczyłem błyskawicznie: tuż przede mną leżał na ziemi człowiek z głową ukrytą w zaroślach w ten sposób, że sam mógł się przypatrywać ścieżce, gdy tymczasem jego nie podobna było z niej zobaczyć. Była to zapewne straż, z której obecności należało wnosić, że w pobliżu znajduje się większe towarzystwo.

Człowiek ten ani nie spostrzegł mnie, ani nie posłyszał. Cofnąłem się o kilka kroków, żeby go obejść, i udało mi się to tak dalece, że w pięć minut zbadałem cały teren.

Ścieżka biegła ku szerokiej polanie, na której środku rosły gęste zarośla, poprzeplatane dzikim chmielem – trudno było przez nie coś dostrzec. Stamtąd doleciało mnie parskanie. Poczołgałem się skrajem polany, aby zobaczyć, czy w zaroślach znajduje się jakaś luka, lecz nie znalazłem żadnej. Niezawodnie zakryto ją sztucznie, gdyż w tej chwili właśnie odezwał się jeden, a potem drugi głos, zdradzając obecność większej liczby ludzi.

Czy miałem się odważyć i podejść ich, czy nie? Było to niebezpieczne, lecz postanowiłem to uczynić. W kilku szybkich skokach przedostałem się na drugą stronę polany, w miejscu, w którym strażnik nie mógł mnie spostrzec, bo zarośla znajdowały się pomiędzy nim a mną. Były zresztą tak gęste, że nie udało mi się przebić ich wzrokiem. Tylko w jednym miejscu, tuż przy korzeniach, można się było w nie wsunąć, leżąc na ziemi. Szło to wprawdzie powoli, bardzo powoli, lecz przecież dokonałem tego i zauważyłem, że zwarte od zewnątrz krzewy

były od wewnątrz wyrąbane i tworzyły w środku wolne miejsce średnicy mniej więcej trzydziestu łokci. Po jednej stronie tego placyku stało osiemnaście koni poprzywiązywanych tuż obok siebie. Nie opodal mojej kryjówki siedziało na ziemi siedemnastu mężczyzn obok kupy rozmaitych przedmiotów przykrytych bawolimi skórami. Doznałem wrażenia, że widzę jaskinię zbójecką, w której łotry gromadzą wszystko, co zabiorą ofiarom napadów.

Jeden z owych łotrów przemawiał właśnie do zebranych. Był to Wiliams. A więc to on oddzielił się od reszty agentów! Słyszałem każde jego słowo.

– Jeden z nich pewnie nas podsłuchał, gdyż nagle uderzono mnie pięścią w głowę i runąłem jak kłoda.

– Podsłuchano cię? – zapytał surowo drugi, odziany w dość bogaty meksykański strój. – Jesteś tuman, z którego nie mamy żadnego pożytku. Jak można się nie ustrzec przed podsłuchiwaniem, i to w dodatku na Estaccado, na którym nie ma się gdzie ukryć!

– Nie bądź zbyt surowy, kapitanie! – rzekł Wiliams. – Gdybyś wiedział, kto to był, przyznałbyś, że sam nie czujesz się wobec niego bezpiecznym.

– Ja? Czy mam ci kulą łeb roztrzaskać? A więc nie tylko pozwoliłeś, żeby cię podsłuchano, lecz nawet powalono, powalono gołą pięścią jak dziecko czy tchórza?

Żyły nabrzmiały Wiliamsowi na czole.

– Wiesz, kapitanie, że tchórzem nie jestem. Ten, który mnie pokonał, i ciebie rozciągnąłby jednym uderzeniem. Kapitan zaśmiał się głośno.

– Opowiadaj dalej!

– I Patrick, który przybrał teraz nazwisko Meercroft, runął pod jego uderzeniem.

– Patrick? Ten z czaszką byka? I kiedy to?

Wiliams opowiedział wszystko, co się stało, aż do chwili, w której wypuściliśmy ich na wolność.

– Łotrze, zastrzelę cię jak psa! Ten drab wraz z czterema moimi najlepszymi ludźmi dopuścił do tego, że go jakieś przybłędy podsłuchały, a potem powaliły i pojmały jak chłopaczka bez szpiku w kościach, który nie odstąpił jeszcze nigdy od matczynego fartuszka!

– Do pioruna, kapitanie, czy wiesz, kto byli ci dwaj ludzie, z których jednego zwano Charleyem, a drugiego z początku Samem Hawerfieldem? Gdyby ci dwaj weszli tutaj teraz tylko ze strzelbami w ręku i z nożami za pasem, niejeden z was nie wiedziałby, czy ma się bronić, czy poddać. To byli Old Shatterhand i mały Sans-ear. Dowódca zerwał się z miejsca i zawołał:

– Kłamco! Chcesz tylko tym usprawiedliwić swoje tchórzostwo!

– Kapitanie, przebij mnie nożem, a przekonasz się, że nie zadrga mi nawet powieka!

– Mówisz więc istotnie prawdę?

– Tak.

– Jeśli tak, to w imię wszystkich świętych obaj muszą zginąć, a razem z nimi Murzyn, gdyż na pewno nie spoczną, dopóki nas nie znajdą i nie zniszczą.

– Nic nam nie zrobią, gdyż uradzili jechać natychmiast do Santa Fé.

– Milcz! Jesteś tysiąc razy głupszy od nich, a mimo to sam nie powiedziałbyś im, dokąd jedziesz naprawdę. Znam dobrze obyczaje tych północnych myśliwców. Jeśli zechcą szukać naszych śladów, to znajdą je, choćbyśmy frunęli powietrzem. Nie możemy być nawet pewni, czy któryś z nich nie siedzi tu teraz w krzakach i nie podsłuchuje naszej rozmowy.

Nie mogę powiedzieć, aby te słowa nie wywarły na mnie wcale wrażenia. Kapitan zaś mówił w dalszym ciągu:

– Znam bardzo dobrze ich obyczaje, gdyż przez cały rok przebywałem ze słynnym Florimontem, którego biali nazywali Track Smeller[18], a Indianie As-ko-lah[19]. U jego boku pozna-

[18] T r a c k S m e l l e r (ang.) – Wywąchiwacz Tropów

łem wszystkie ich sztuczki. Zapewniam was, że ci ludzie nie udadzą się do Santa Fé ani nie opuszczą dzisiaj swego obozu. Wiedzą, że jeszcze jutro znajdą wasze ślady i że przede wszystkim konie ich muszą wypocząć. Jutro rano wyruszą za nami, wzmocnieni na duchu i na ciele, i chociaż my ich na pewno w końcu położymy trupem, to oni rozciągną przynajmniej połowę z nas na ziemi. Słyszałem, że Old Shatterhand ma strzelbę, z której może strzelać przez cały tydzień, nie nabijając. Diabeł mu ją sporządził, a on zapisał mu za to duszę. Wobec tego musimy na nich napaść jeszcze dzisiaj wieczorem, gdy będą spali pod osłoną jednego tylko wartownika. Jest ich na szczęście tylko czterech. Czy znasz dobrze miejsce ich obozu?

– Tak – odrzekł Wiliams.

– To bądźcie gotowi. Punktualnie o północy musimy być tam, ale bez koni. Podejdziemy i zaskoczymy ich tak, że zabraknie im czasu pomyśleć o obronie.

Zacny kapitan nie znał nas jednak tak dokładnie, jak sądził, gdyż wydałby zupełnie inne zarządzenia. Na prerii tak samo jak w cywilizowanych krajach zdarza się skłonność do przesady, która robi „z igły widły", jak to się mówi. Jeśli jakiś myśliwiec parę razy zachowa się dzielnie w obliczu wrogów, a w dodatku zdoła okazać przytomność umysłu, to zaraz głoszą o nim dziwy od obozu do obozu, wszędzie coś dodadzą, aż w końcu zostaje on bohaterem, a imię jego działa prawie tak samo jak jego broń. W ten sposób dostałem nawet "od diabła" strzelbę, z której podobno mogłem strzelać tydzień bez nabijania, a tym cudownym narzędziem był mój zwykły sztucer, który oddawał dwadzieścia pięć strzałów.

– Gdzie jest Patrick z resztą? – zapytał dowódca.

– Udał się do Head Pik, by tam poczekać na ojca, jak ci o tym sam doniósł. Przy tej sposobności dobierze się do tych trzech kupców, którzy mają bardzo ładną broń i wiozą ze sobą dużo pieniędzy.

– Odeśle mi więc zdobycz?

– Przez dwóch ludzi, a trzeciego weźmie z sobą.

– Najlepsze strzelby zabierzemy obydwu myśliwcom. Słyszałem, że ze strzelby Sans-eara można strzelać na odległość tysiąca dwustu kroków.

Wtem rozległo się w oddali szczekanie psa preriowego. Hasło było głupio obrane, gdyż w tych stronach nie ma wcale tych zwierząt.

– To Antonio z palami, które potem ma zanieść na Estaccado – rzekł kapitan. – Niech ich tam nie składa, lecz niech wejdzie tutaj. Od kiedy ci westmani znajdują się w pobliżu, musimy podwoić czujność.

Słowa te upewniły mnie całkowicie, że miałem do czynienia z dobrze zorganizowaną bandą stakemanów i że na ukryte pod skórami przedmioty składały się niezawodnie nagromadzone tutaj lupy, dawniej własność nieszczęsnych ludzi którzy swą stratę musieli jeszcze przypieczętować własnym życiem.

W tej chwili rozchyliła się tuż przede mną ściana zarośli, utworzona tylko ze zwisających lian, dzięki czemu łatwo mogła się podnosić. Przez otwór wjechało trzech jeźdźców, których konie wlokły za sobą znaczną ilość palików, przymocowanych rzemieniami po obu stronach siodeł na wzór indiańskich tyk namiotowych.

Przybycie tych trzech ludzi zaprzątnęło tak dalece uwagę obecnych, że mogłem się wycofać niepostrzeżenie. Postarałem się jednak o dowód, że tu byłem. Oto kapitan złożył przedtem za sobą pas z nożem i dwoma okutymi mosiądzem pistoletami. Jednego z nich mogłem dosięgnąć ręką. Zabrałem go więc i zacząłem powoli czołgać się wstecz, zacierając za sobą cal po calu ślady. To samo uczyniłem także poza ścianą zarośli, po czym przemknąłem szybko przez polanę i wpadłem znowu w zarośla. Stąd posuwałem się dalej na palcach rąk i nóg, aby znisz-

---

[19] A s-k o-l a h (ind.) – Niedźwiedzie Serce

czyć za sobą trop, dopóki nie oddaliłem się na tyle, że mogłem w wyprostowanej już postawie powrócić do mego konia. Odwiązawszy go, zrobiłem ogromny łuk, by stakemani nie mogli odkryć mojej obecności.

Kiedy przybyłem do towarzyszy, zaczął już zapadać mrok. Zauważyłem po ich minach, że się już o mnie niepokoili i z niecierpliwością oczekiwali mego powrotu.

– Massa Charley znów być tutaj! – zawołał Bob tonem, w którym odczułem niemały stopień przywiązania do mej osoby. – O, Bob być w strachu i wszyscy być w strachu o massa Charley!

Pozostali byli mniej wylewni. Kazali mi usiąść obok siebie, a potem Sam zapytał:

– No?

– Kupcy zostaną zamordowani.

– Przypuszczałem to! Ci agenci, a w rzeczywistości stakemani, zmienili kierunek i zamierzają napaść w nocy na swe ofiary, jeśli nie uczynili tego jeszcze za dnia.

– Zgadnij, kto to był ten Meercroft!

– Słyszałeś już nieraz ode mnie, że wolę borykać się z niedźwiedziem niż odgadywać coś, co mogę usłyszeć.

– Nazwisko Meercroft było fałszywe, a...

– Nie byłem też na tyle głupi, żebym w nie wierzył.

– ... a – skończyłem przerwane zdanie – ten człowiek nazywa się Patrick Morgan!

– Pa... trick... Mor... gan...! – zawołał Sam po raz pierwszy, od kiedy go znałem, z miną wielkiego zdumienia – Patrick Morgan! Czy to być może? O, Samie Hawerfield, ty stary szopie, jaki z ciebie osioł! Miałeś tego łotra już w ręku, byłeś szeryfem w sądzie, przed którym on stał jako oskarżony, i wypuściłeś go na wolność! Charley, czy wiesz na pewno, że to on?

– Na pewno. Pojmuję już teraz, dlaczego wydał mi się tak dobrze znany: jest podobny do swego ojca.

– Świetnie! Teraz mi się wszystko rozjaśnia! Z tego samego powodu i mnie przyszło także na myśl, że go już gdzieś widziałem. Gdzie on teraz jest? Ufam, że nie zdoła nam umknąć!

– Zamorduje owych trzech kupców, a potem uda się z jednym tylko towarzyszem do Skettel Pik i Head Pik, aby tam spotkać się z ojcem.

– W takim razie wstawajcie, ludzie! Ruszamy za nim!

– Wolnego, Samie! Wieczór już zapada, nie zobaczymy teraz jego śladów, a oprócz tego musimy się przygotować na pewne zaszczytne odwiedziny.

– Odwiedziny? Któż tu ma przyjść?

– Ten Patrick jest członkiem bandy stakemanów, którzy opodal mają swój obóz. Ich dowódca, Meksykanin, którego nazywają kapitanem, odbył niewątpliwie wcale niezłą szkołę pod starym Florimontem. Podsłuchałem tych rozbójników, gdy Wiliams opowiadał im o swojej przygodzie. Chcą na nas napaść punktualnie o północy.

– Przypuszczają więc, że tu zostaniemy?

– Istotnie.

– Well, w takim razie niech się spełni ich życzenie, gdyż teraz dopiero zatrzymamy się naprawdę i powitamy ich serdecznym „dobry wieczór!” Ilu ich jest?

– Dwudziestu jeden.

– To trochę za dużo na nas czterech! Wobec tego radzę zrobić tak: zapalmy ognisko, poukładajmy dokoła nasze bluzy, żeby je te łotry wzięły za nas, sami zaś ustawmy się nieco dalej, żeby napastnicy weszli pomiędzy nas a płomienie. W ten sposób będziemy mieli świetny cel.

– To dobry plan – oświadczył Bernard – i zdaniem moim jedyny, jaki się da zastosować w naszej sytuacji.

– Pięknie! W takim razie poszukajmy zaraz opału na rozpalenie ogniska, zanim się całkiem ściemni – rzekł Sam powstając.

– Siedź! – odrzekłem na to. – Czy sądzisz rzeczywiście, że w ten sposób możemy stanąć do walki z dwudziestu jeden ludźmi?

– Czemu nie? Uciekną zaraz po pierwszych strzałach, bo nie będą wiedzieli, kogo mają za sobą,

– A jeżeli ten kapitan jest na tyle mądry, że zrozumie nasz podstęp? Wtedy czeka nas ciężka przeprawa, w której zginiemy pomimo oporu.

– Na podobne rzeczy myśliwiec powinien być, na przykład, zawsze przygotowany!

– W takim razie musiałbyś także wyrzec się schwytania obydwóch Morganów!

– Nie wiem, jak ci podziękować! Masz rację! Z twoich słów widać, że najchętniej zabrałbyś się stąd po cichu i nie zaczepiał tych rabusiów.

– Rozumiesz mnie w tej sprawie całkiem błędnie. Ja mam inny plan i, zdaje mi się, lepszy.

– No, jaki?

– Uderzyć na ich kryjówkę i zabrać im konie oraz zapasy, gdy oni będą nas tutaj szukali.

– Przebóg, to niezłe! Ale mówisz o uprowadzeniu koni; skąd wiesz, że chcą na nas uderzyć pieszo?

– Wiem i z tego też wnoszę, że opuszczą swoją kryjówkę na dwie godziny przed północą, gdyż tyle czasu będą potrzebowali, aby się tu dostać.

– Czy tylko nie zawiodą cię twoje rachuby?

– Nie ma obawy! Czekając tutaj na nich, narażamy na niebezpieczeństwo nasze życie, jeśli zaś zabierzemy im żywność, amunicję i konie, to przynajmniej przez dłuższy czas nie będą mogli uprawiać swego rzemiosła, a nas nie będzie to kosztowało nawet jednego strzału.

– Ale oni zostawią pewnie kogoś na straży!

– Znam miejsce, w którym ukrywa się wartownik.

– Pomyśl, że będą nas ścigali!

– Uczyniliby niezawodnie to samo, gdybyśmy tu na nich czekali. Wtedy dopiero musielibyśmy umykać!

– Muszę ci przyznać słuszność! Kiedy ruszamy?

– Za kwadrans będzie już zupełnie ciemno. Wtedy się wybierzemy.

– O, to być pięknie! – rzekł Murzyn. – Bob jechać razem i wziąć wszystkie rzeczy, jakie leżeć u zbójców. To lepiej niż zostać i oni zastrzelić Boba!

Tymczasem zaległa taka ciemność, że było widać zaledwie na jakieś dziesięć kroków. Wyjechaliśmy więc, ja na czele, a reszta za mną wzorem Indian, jeden za drugim, gęsiego.

Oczywiście nie skierowaliśmy się prosto do kryjówki stakemanów, lecz zatoczyliśmy jak największy łuk i zatrzymaliśmy się na brzegu zarośli, w miejscu oddalonym może o milę angielską od ich obozu. Przywiązaliśmy tu konie i udaliśmy się pieszo ku kryjówce. Chociaż zarówno Marshall, jak i Murzyn nie mieli wielkiej wprawy w skradaniu się, mimo to dotarliśmy niepostrzeżenie na skraj polany naprzeciw zarośli, w których przedtem leżała warta.

Światło nad kryjówką dowodziło, że płonęło tam ognisko lub pochodnia; dokoła nas jednak było tak ciemno, że mogłem bez obawy przejść przez polanę w wyprostowanej postawie. Odnalazłem szczęśliwie to miejsce, z którego podsłuchałem poprzednią rozmowę. Zanim zdążyłem . się schylić, usłyszałem głos dowódcy. Przecisnąłem się pomiędzy korzeniami i ujrzałem wszystkich stakemanów. Stali w pełnym uzbrojeniu gotowi do drogi. Kapitan coś im prawił.

– Gdybyśmy znaleźli choć najmniejszy trop, należałoby przypuszczać, że jeden z tych dwóch myśliwców był tutaj, żeby nas podsłuchać. Ale gdzie się podział mój pistolet? Może zgubiłem go podczas jazdy dziś rano i nie zauważyłem tego, odkładając pas. Hoblyn, czy widziałeś rzeczywiście wszystkich czterech, siedzących razem?

– Wszystkich czterech! Było trzech białych i jeden czarny, a obok pasły się ich konie, z których jeden nie miał ogona i wyglądał jak kozioł bez rogów.

– To stara klacz Sans-eara, sławna jak on sam. Oczywiście nie dostrzegli ciebie?

– Nie. Podjechałem z Wiliamsem tylko na taką odległość, na jaką pozwalał wzgląd na nasze bezpieczeństwo, i podczołgałem się potem po ziemi, dopóki nie zobaczyłem dobrze wszystkiego.

Uczeń Florimonta był więc na tyle rozsądny, że wysłał patrol w naszą stronę, na szczęście dopiero wówczas, gdy byłem już z powrotem razem z przyjaciółmi.

– W takim razie wszystko dobrze pójdzie! Ty, Wiliams, jesteś znużony, więc zostaniesz tutaj, a ty, Hoblyn, obejmiesz wartę przy drodze. Reszta naprzód za mną!

Przy świetle niezbyt jasno płonącego ognia zobaczyłem, jak otwarto wyjście. Dziewiętnastu ludzi opuściło kryjówkę, a dwaj wymienieni zostali. Jeszcze nie wszyscy zniknęli na ścieżce, kiedy znalazłem się znów obok Sama.

– Jak tam, Charley? Zdaje mi się, że właśnie teraz wyruszają!

– Tak. Dwóch zostaje – jeden jako warta na drodze, a Wiliams w samej kryjówce. Wiliams nie jest uzbrojony, ale wartownik ma strzelbę w ręku. Teraz nie zaczniemy jeszcze, bo mogą wrócić, gdyby się okazało, że coś zapomnieli. Ale przygotujmy się tymczasem. Chodź, Samie! Wy dwaj zaczekajcie tutaj, dopóki was nie zawołamy lub nie przyjdziemy po was!

Po tym zarządzeniu podeszliśmy aż do drogi. Tam staliśmy z dziesięć minut, zanim się ukazał wartownik, który najwyraźniej nie obawiał się ani trochę o swoje bezpieczeństwo. Nie przeszło i pół kwadransa, kiedy się do nas zbliżył. Teraz można już było być pewnym, że nikt nie wróci, przeto nie należało już zwlekać.

Przycisnąłem się z jednej, a Sam z drugiej strony do krzaka. W chwili gdy wartownik znalazł się pomiędzy nami, Sam pochwycił go za gardło. Ja zaś oderwałem od jego bluzy dużą szmatę, zwinąłem ją w kłąb i wcisnąłem mu między zęby. Następnie własnym jego lassem skrępowaliśmy mu ręce i nogi i w tym stanie przywiązaliśmy go do krzaka.

– Teraz dalej!

Podeszliśmy do wejścia, gdzie odsunąłem trochę na bok gałęzie dzikiego chmielu. Wiliams siedział przy ogniu i piekł kawałek mięsa. Był zwrócony do mnie plecami, wskutek czego mogłem się do niego zbliżyć niepostrzeżenie.

– Trzymajcie wyżej mięso, master Wiliams, bo przypalicie! – odezwałem się nagle.

Stakeman odwrócił się, a gdy mnie poznał, zamarł na swoim miejscu.

– Dobry wieczór! Omal że nie zapomniałem przywitać się z wami, a dżentelmenom waszego pokroju należy się nie byle jaka grzeczność.

– Old... Old... Shat... Shatterhand! – wyjąkał wytrzeszczając na mnie oczy. – Czego tu chcecie?

– Chciałem odnieść kapitanowi pistolet, który dzisiaj zabrałem, kiedyście mu opowiadali o swojej przygodzie.

Wiliams skurczył jedną nogę, jak gdyby próbował się podnieść, i oglądnął się, chcąc się przekonać, czy może dosięgnąć strzelby, przy nim bowiem leżał tylko nóż.

– Siedźcie spokojnie, master, bo za najmniejszy ruch zapłacicie życiem. Po pierwsze: mam nabity pistolet waszego kapitana, a po wtóre: wystarczy wam spojrzeć ku wejściu, aby zobaczyć, że jest nas tu więcej!

Stakeman obrócił się i dostrzegł Sama, który mierzył do niego ze strzelby.

– Do pioruna... jestem zgubiony!

– Może jeszcze nie, jeśli będziecie posłuszni. Bernard, Bob, do mnie! Na ten okrzyk wezwani ukazali się w wejściu.

– Przy siodłach wiszą lassa, Bobie. Weź jedno i zwiąż tego człowieka!

– Wszystkie piekła! Żywcem mnie już drugi raz nie pochwycicie!

Z tymi słowy pchnął się Wiliams własnym nożem w serce i padł na ziemię.

– Boże, bądź miłościw jego duszy! – rzekłem.

– Na sumieniu tego łotra ciąży może więcej niż sto istnień ludzkich – odezwał się ponuro Sans-ear. – Nigdy jeszcze nóż nie trafił właściwiej, jak tym razem.

– Sam wymierzył sobie sprawiedliwość – odparłem. – Mamy szczęście, że nie potrzebujemy już tego czynić.

Następnie wysłałem Boba po Hoblyna, który też niebawem leżał przed nami na ziemi. Gdy mu wyjęto z ust knebel, odetchnął głęboko i ciężko i pełen przerażenia utkwił wzrok w zwłokach towarzysza rozbojów.

– Zginiesz tak jak on, jeśli nam nie udzielisz wyjaśnień.

– Powiem wszystko! – przyrzekł wylękły rabuś.

– Gdzie macie schowane złoto?

– Jest zakopane za workami z mąką.

Pozdejmowaliśmy bawole skóry i zaczęliśmy badać łupy. Było tam mnóstwo wszystkiego, co kiedykolwiek przewożono przez Estaccado. Broń wszelkiego rodzaju, proch, ołów, naboje, lassa, siodła, worki, derki, kompletne stroje myśliwskie, sukna i perkale, ozdoby, fałszywe korale i sznury pereł, noszone z upodobaniem przez Indianki, przeróżne drobne towary i narzędzia oraz wiele puszek pełnych konserw mięsnych i wszelkich innych środków żywności – wszystko to nosiło na sobie ślady grabieży.

Bob rzucał dokoła siebie workami, jak gdyby to były kapciuchy z tytoniem. Marshall wyszukał między narzędziami motykę i łopatę. Wzięto się do kopania i niebawem wydobyto tyle piasku złotego i złotych ziarnek, że można było dobrze objuczyć tym konia.

Zgroza mnie zdjęła na myśl, ilu biednych poszukiwaczy złota musiało zginąć, zanim nagromadzono tu taką ilość tego „śmiertelnego pyłu”, który słusznie zasługuje na to miano. Zazwyczaj jednak powracający poszukiwacze przynoszą z sobą do ojczyzny niewiele złota w naturalnej jego postaci, zmieniają bowiem najczęściej owoce swojej pracy na przekazy i kwity depozytowe albo na papierowe pieniądze. Pomordowani mieli niezawodnie wiele takich papierów przy sobie. Gdzie mogły się one w tej chwili znajdować?

– Gdzie są pieniądze i papiery, które zabraliście ograbionym? – zapytałem Hoblyna.

– W kryjówce, daleko stąd. Kapitan nie chciał ich tu przechowywać, gdyż byli wśród nas ludzie, którym nie ufał.

– Więc tylko on wie o tej kryjówce?

– On i porucznik.

– Kto jest porucznikiem?

– Patrick Morgan.

Teraz przemknęła mi przez głowę myśl. “Wzbogacimy się w każdym razie” – pisał ten człowiek do ojca. Czyżby zamierzał zdradzić swego towarzysza?

– Czy nie potrafisz określić, gdzie mniej więcej może się znajdować ta kryjówka?

– Nie. Przypuszczam, że kapitan nie dowierza nawet porucznikowi. Porucznik odjechał dzisiaj z jeszcze jednym towarzyszem do Head Pik nad Rio Pecos, ja zaś miałem z dwoma ludźmi udać się za nim jutro, żeby go śledzić.

– Ach! Wobec tego kapitan opisał ci dokładnie to miejsce?

Zapytany umilkł z zakłopotaniem.

– Powiedz prawdę! W przeciwnym razie zginiesz! Jeśli zaś nie skłamiesz – dostąpisz łaski, chociaż wszyscy zasłużyliście na stryczek.

– Dobrze się domyślacie, sir! Rzeczywiście polecono mi natychmiast po odjeździe stąd odszukać to miejsce i zastrzelić porucznika, gdyby się tam zbliżył. Jest to mała dolinka, którą znam bardzo dokładnie, ponieważ raz już tam byłem. Opis jej nie na wiele by się wam przydał, gdyż mimo to nie zdołalibyście jej znaleźć.

– Czy kapitan oznaczył ci tylko dolinkę, czy też wymienił jaki szczególny punkt?

– Punktu żadnego nie podał, kazał mi tylko ukryć się i posłać porucznikowi kulę w łeb, gdyby wszedł w dolinkę.

– To mi wystarcza. Darowuję ci życie, oczywiście pod tym warunkiem, że zaprowadzisz nas do tej doliny.

– Owszem, dopełnię tego warunku.

– Zapamiętaj sobie jednak, że pożegnasz się ze światem, jeślibyś usiłował nas oszukać. Teraz pojedziesz z nami, oczywiście jako jeniec.

– Well! – rzekł Sam. – Wobec tego nasze badanie można uważać za zakończone. Co dalej?

– Zabierzemy z sobą tylko złoto i te przedmioty, które są nam potrzebne jak: broń, amunicję, tytoń i żywność. oraz kilka drobnostek na podarunki dla Indian na wypadek, gdybyśmy się z nimi spotkali. Wy wybierajcie, a ja przypatrzę się tymczasem koniom.

Od razu wpadły mi w oko cztery krępe michigańskie kłusaki, które doskonale nadawały się do dźwigania ciężarów. Oprócz nich mogły nam się przydać jeszcze tylko trzy mustangi. Dwa z nich przeznaczyłem dla Bernarda i Boba, którzy jechali dotąd na lichych człapakach, a trzeciego dla Hoblyna.

Znalazły się także siodła juczne, podobne do tych, jakie noszą muły; przywiązałem więc po jednym z nich do każdego kłusaka. Następnie to wszystko, co mieliśmy z sobą zabrać, zostało owinięte w koce. Powstało w ten sposób osiem pakunków, po dwa na jednego konia. Resztę przedmiotów ułożyliśmy w wielki stos, umieściwszy na jego spodzie proch, któregośmy nie potrzebowali, oraz wszystkie łatwo zapalne materiały.

– Co zrobimy z tamtymi końmi? – zapytał Sam.

– Bob rozpęta je i wypędzi na prerię. Nie jest to wprawdzie najlepszy sposób pozbawienia stakemanów ich wierzchowców, ale żal mi zabijać niewinne zwierzęta. Ty prowadź orszak, a ja zostanę i podpalę stos.

– Dlaczego nie możemy uczynić tego zaraz? – spytał mnie Marshall.

– Ogień byłby widoczny z daleka. Stakemani, nie znalazłszy nas w naszym obozie, wrócą tu czym prędzej i mogliby nas pomimo ciemności doścignąć. Lepiej zatem będzie, jeśli odjedziecie dość daleko, a ja was wkrótce dopędzę.

– Well, masz rację, Charley, więc naprzód, boys! – zawołał Sam i ruszył przodem, prowadząc za cugle jednego z jucznych koni; za nim poszły trzy inne, a Bernard i Bob zamykali mały orszak, wiodąc między sobą przywiązanego do konia Hoblyna. Ja stanąłem przy swoim koniu i zaczekałem, aż ucichł odgłos kopyt wierzchowców moich towarzyszy. Wreszcie po upływie jeszcze jednego kwadransa, nie chcąc dłużej zwlekać, bo stakemani mogli mnie zaskoczyć niespodziewanie, wszedłem do kryjówki, by podpalić stos.

Z podartego koca sporządziliśmy przedtem rodzaj lontu, aby go można było zapalić, a samemu usunąć się z tego miejsca, zanim płomień dojdzie do prochu. Należało się także spodziewać wybuchu, ponieważ włożyliśmy do stosu mnóstwo naboi. Zapaliwszy więc lont, wziąłem konia za cugle i wyprowadziłem ścieżką na prerię. Przy kępie ostatnich zarośli wskoczyłem na siodło. Wtem dał się słyszeć straszny huk i trzask. To dowodziło, że ogień dosięgnął zawiniętych w koc naboi. Ścisnąłem konia ostrogami i odjechałem tak szybko, jak na to tylko pozwalała ciemność, aby wydostać się z kręgu światła płonącej kryjówki. Ogień pochłaniał tymczasem mienie stakemanów, zagrabione, nieszczęśliwym podróżnym.

ROZDZIAŁ III

POŚRÓD KOMANCZÓW

Tam gdzie się stykają obszary Teksasu, Arizony i Nowego Meksyku, a zatem nad dopływami rzeki Rio Grande del Norte, wznoszą się góry Sierra de los Organos, Rianca i Guadelupe, tworzące krainę pełną dzikich, bezładnie rozrzuconych pasm górskich. Wyglądają one na widnokręgu bądź jak olbrzymie, nagie szańce, bądź też są pokryte gęstą dziewiczą puszczą, a tu i ówdzie poprzerzynane kanionami o prawie prostopadłych ścianach lub łagodnie opadającymi dolinami, które wyglądają tak, jak gdyby od chwili swego powstania były odcięte od świata zewnętrznego. A mimo to wiatr przenosi pył kwiatowy i nasiona przez te grzbiety i granie, dzięki czemu krzewi się tam bujnie roślinność. I mimo to błądzi po skałach czarny i bury niedźwiedź, szukając w nich niedostępnego legowiska. Mimo to znalazł tu dziki bizon kilka przesmyków, którymi w stadach, liczących często tysiące sztuk, przeciska się podczas swoich wiosennych i jesiennych wędrówek. Mimo to także zjawiają się tutaj białe i miedzianoczerwone postacie, tak dzikie jak te okolice, a gdy znikną, nikt nie wie, co się z nimi stało, gdyż chropowate kamienne olbrzymy są nieme, puszcza dziewicza milczy, a człowiek nie rozumie dotąd mowy zwierząt.

Dociera tu czasem odważny myśliwiec, zdany tylko na siebie i swoją strzelbę; zapędza się zbieg, popadłszy w zatarg z cywilizacją; zakrada się Indianin, wypowiadający wojnę całemu światu, ponieważ cały świat grozi mu zagładą. W tych okolicach wychyla się spomiędzy gałęzi futrzana czapka trapera, to znowu szerokie sombrero Meksykanina, wreszcie – związana w węzeł czupryna dzikiego. Czego oni tu chcą? Co ich gna między te niedostępne wyżyny? Na to istnieje tylko jedna odpowiedź: wrogość względem innych ludzi i zwierząt, walka o byt, który nie zawsze można nazwać godnym tak zażartych zmagań.

W dole, na równinie, stykają się z sobą krainy Apaczów i Komanczów, a na tym pograniczu dokonują się bohaterskie czyny, o których milczy historia. Z powodu starć obu tych wojowniczych ludów niejeden rozbitek czy nawet cały pokonany oddział chroni się w góry, gdzie musi walczyć na śmierć i życie z potęgami, których pokonanie wydaje się niemożliwe.

Rio Pecos wytryska w Sierra Jumanes, z początku toczy swe wody w kierunku południowo-wschodnim, a potem płynąc poprzez Sierra Blanca zwraca się wprost na południe. Opuszczając to pasmo zakreśla ku zachodowi wielki łuk otoczony po prawej i po lewej stronie przez góry; góry te nie dochodzą do rzeki, tak że po obu jej brzegach ciągnie się to szerszy, to węższy pas prerii pokryty bujną trawą, niknącą dopiero w puszczy, która zdaje się spływać ze zboczy górskich.

Jest to teren wysoce niebezpieczny. W prawie nieprzerwanych ścianach gór mało gdzie przebija się szczelina lub wąwóz, a kto tu spotka się z wrogiem, niełatwo go wyminie, jeśli nie zechce zostawić konia, bez którego tak samo może zginąć.

Dostaliśmy się do tej właśnie doliny rzecznej. Przejeżdżałem nią już kiedyś, jednakże w liczniejszym i gwarantującym większe bezpieczeństwo towarzystwie. Teraz było nas tylko czterech, a siły nasze osłabiała jeszcze konieczność pilnowania jeńca, który wprawdzie okazywał nadzwyczajne posłuszeństwo, ale łatwo mógł chować zdradę w sercu.

Jechał on pośrodku obok Boba, Sans-ear prowadził pochód, a ja z Marshallem, który dzielnie się trzymał podczas całej drogi, zamykałem orszak.

Uciążliwość podróży zwiększała jeszcze ta okoliczność, że jakkolwiek była to połowa sierpnia, przez większą część doby dokuczał nam chłód, gdyż słońce zapadało poza ciemne

góry zaraz po południu. Nic też dziwnego, że dość rzadko zrzucaliśmy z ramion derki. W ciągu dnia Hoblyn jechał pomiędzy nami wolny, wiązaliśmy go tylko na noc. Za prawdziwość wiadomości, których nam udzielał, ręczył swoim życiem. Pewnego dnia przed południem zapytał mnie Marshall:

– Czy daleko jeszcze do Skettel Pik i Head Pik?

– Jutro może dotarlibyśmy do nich, gdybyśmy nie musieli przedtem zboczyć na prawo, co Hoblyn uważa za konieczne.

– Czy nie lepiej byłoby udać się najpierw w góry, żeby odszukać Freda Morgana?

– To właśnie byłoby niewłaściwe, gdyż Morgan mógłby nas spostrzec. On niezawodnie musi tam być, bo dzisiaj mamy już czternastego sierpnia. Zresztą skoro Patrick pojechał do doliny, możliwe, że znajdzie się tam i jego ojciec. Zresztą Patrick może być tylko o kilka godzin drogi przed nami, ciągle bowiem następowaliśmy mu na pięty. Dzisiaj w nocy obozował o sześć mil stąd, a jeśli wyruszył równocześnie z nami o brzasku, to jest teraz najwyżej o trzy godziny drogi od nas.

– Baczność! – zawołał w tej chwili jadący na przedzie Sam. – Tam na skraju lasu leży na ziemi zielona gałązka, którą niewątpliwie niedawno odłamano. Ktoś tu był na krótko przed nami.

Podjechawszy bliżej, zsiedliśmy z koni, Sam podniósł z ziemi gałązkę i obejrzawszy ją podał mi, mówiąc:

– Przypatrz się jej, na przykład, Charley!

– Hm, założyłbym się, że zerwano ją zaledwie przed godziną!

– Ja tak samo myślę.

Teraz ja pochyliłem się ku ziemi.

– Dwaj ludzie. Popatrz!

Wyjąłem z kieszeni dwa patyczki, które przyciąłem sobie podług śladów stóp, zbadanych na miejscu obora Patricka.

– To oni; miara dokładnie się zgadza! Nie możemy jechać dalej, Samie.

– Masz słuszność. Patrick nie powinien zauważyć, że ktoś jedzie za nim. Ale skoro ci rabusie zsiedli tutaj z koni, to chyba nie bez jakiegoś zamiaru. Tam konie ich skopały piasek, a ślady stóp prowadzą w las. Zobaczmy!

Kazaliśmy więc trzem naszym towarzyszom chwilę zaczekać, a sami weszliśmy po śladach do lasu. Po przebyciu nieznacznej przestrzeni, Sam, idący przodem, przystanął. Tuż przed nim ziemia była stratowana, a powłoka mchu rozluźniona – wyglądało tak, jakby pod nią kopano, a potem położono ją na dawnym miejscu. Pochyliwszy się, odsunąłem mech.

– Motyka! – rzekł Sam.

– Rzeczywiście! – potwierdziłem, zaskoczony. – Tu leżała motyka. Pod mchem ukazał się dokładny odcisk motyki.

– Zabrali ją z sobą. Ale skąd się ona mogła wziąć? – zapytał Sam.

– Na to pytanie bardzo łatwo odpowiedzieć. Gdy kapitan z porucznikiem, zakopawszy swój skarb, opuścili dolinę, porzucili tu motykę, ponieważ przeszkadzała im w drodze. Znajdziemy zapewne na skrajnych drzewach jakiś znak, zrobiony przez nich na wypadek powrotu. Niewątpliwie musieli się liczyć z tym, że motyka może się okazać potrzebna przy wydobywaniu skarbu z ziemi.

Przykrywszy ślad na powrót mchem, powróciłem, aby przypatrzeć się drzewom, i rzeczywiście po obu stronach tropu zobaczyłem na dwóch pniach ślady trzech nacięć, jednego nad drugim. Oprócz tego odłamano u obu drzew po trzy dolne gałęzie.

– O czym to świadczy, Charley? Jak sądzisz? – zapytał mnie Sans-ear.

– To nie trudno odgadnąć. Patrick rzeczywiście zamierza udać się do doliny.

– Trzeba koniecznie dostać się tam przed nim. Nasuwa się tylko pytanie, czy on skieruje się wprost do doliny, czy przedtem będzie chciał odszukać ojca.

– Zaraz się o tym dowiemy.

W tym celu zwróciłem się do Hoblyna z pytaniem:

– Czy daleko jeszcze do miejsca, w którym droga od rzeki skręca w dolinę?

– Najwyżej dwie godziny jazdy, jeśli sobie dobrze przypominam.

– Jedźmy więc tam. Jeśli Patrick obierze tę drogę, to znaczy, że podąża wprost do kryjówki, jeśli zaś zachowa nadal obecny kierunek, to będzie świadczyło, że chce przedtem pojechać do ojca. Zastosujemy się do tego, co on zrobi! Zresztą marudzili tu niewątpliwie bardzo długo, skoro Patrick jest zaledwie o godzinę drogi przed nami. Z tego powodu należałoby trochę zaczekać, by nas nie spostrzegł, gdyby się z jakiejś przyczyny zatrzymał.

– Świetnie, Charleyl Posłuchamy twej rady. Lecz nie bądźmy tacy nieostrożni jak on i nie zostawiajmy koni na otwartym miejscu. Zaprowadźcie je między drzewa i wyjmijcie z torby coś do jedzenia, gdyż ja, na przykład, nie miałem nic w ustach od wschodu słońca.

Postąpiliśmy zgodnie z propozycją Sama i ułożyliśmy się na mchu. Zaledwieśmy to uczynili, gdy nagle Hoblyn wydał cichy okrzyk wskazując ręką pomiędzy drzewa:

– Popatrzcie poza ten parów, panowie! Wydało mi się, że zobaczyłem tam na szczycie coś błyszczącego, podobnego do ostrza włóczni.

– To niemożliwe! – odrzekł Sam. – Kto by na taką odległość spostrzegł koniec włóczni?

– Niemożliwe to nie jest – odpowiedziałem – zwłaszcza jeśli wzrok spocznie przypadkiem na tym właśnie punkcie, w którym się ów przedmiot znajduje. Takie włócznie jednak noszą tylko Indianie, musieliby więc...

W tej chwili ja także ujrzałem błysk, najpierw w górze, a potem nieco niżej.

– Słuchajcie, ludzie – zawołałem – to mogą być tylko Indianie! Szczęście, że wleźliśmy tu w zarośla. Gdybyśmy pojechali dalej, byliby nas niewątpliwie dostrzegli, ponieważ mamy słońce naprzeciw siebie.

Wydobyłem lunetę i skierowałem ją na parów. Widok, który się ukazał moim oczom, zaniepokoił mnie w najwyższym stopniu.

– Przypatrz się, Samie, lepiej tym jeźdźcom! – rzekłem podając mu szkła. – Jest ich przynajmniej stu pięćdziesięciu.

Sam przyłożył lunetę do oka, po czym wręczył ją Bernardowi.

– Zobaczcie i wy raz czerwonoskórych, master Marshall! Czy mieliście już kiedy do czynienia z Komanczami?

– Nie. A czy to są Komancze?

– Tak. W tej okolicy można by się spodziewać także Apaczów, oni jednak noszą inaczej ułożone czupryny aniżeli ci, którzy tam oto nadchodzą. Czy widzicie czerwoną i błękitną farbę, którą pomalowali sobie twarze? To pewny znak, że są na ścieżce wojennej. Dlatego wypolerowali tak groty włóczni, a we wszystkich kołczanach tkwią zatrute strzały, z którymi dziś, na przykład, nie chciałbym mieć nic do czynienia. Co by było, Charley, gdyby tędy przeszli?

– Spostrzegliby nas niezawodnie.

– Żebyśmy tak mogli wyjść z zarośli, usunąć tę gałązkę i pozacierać nasze ślady! Ale to będzie trudno!

– To też by się na nic nie przydało, gdyż dalej, w górze, zobaczyliby nasz trop i doszliby po nim aż tutaj.

– To pewne, ale przynajmniej zyskalibyśmy czas na to, żeby stąd wyruszyć i uciec, zanim powrócą.

– To prawda. Ślady kopyt są zaraz tutaj, na samym skraju. Może się to da zrobić bez opuszczania naszej kryjówki.

Za mną stał zeschły, cienki świerk. Odciąwszy go, przyciągnąłem nim gałązkę. Następnie poszukałem suchego igliwia, a wziąwszy garść, przysypałem nim ślady, które co prawda tak były niewyraźne, że mogło je zauważyć tylko bardzo bystre oko Indianina.

– Ciekaw jestem, czy to co pomoże, Charley! Mnie nie wywiódłbyś tym w pole.

– Dlaczego?

– Czy klon ma sosnowe szpilki?

Rzeczywiście, tuż nad śladami kopyt stał klon, ale na to nie można już było poradzić, tym bardziej że całą naszą. uwagę zajęli Indianie, którzy doszedłszy do dolnej części parowu zatrzymali się i wysłali kilku wojowników na zwiady.

– Dobra nasza! Nie idą tutaj!- zawołał Sam z radością.

– Z czego to wnosicie? – zapytał Bernard.

– Wytłumacz mu to, Charley, ponieważ ty grasz wobec niego rolę nauczyciela!

– To bardzo proste. Z tych trzech wywiadowców dwaj jadą wzdłuż wzgórza z biegiem rzeki, a jeden ku wodzie. Chcą się zatem przeprawić, lecz nie pójdą w górę rzeki, gdyż w takim razie nie przeszukiwaliby terenu ku dołowi. Ci dwaj mają zlustrować to miejsce szukając tropów, to znaczy sprawdzić, czy jest ono bezpieczne, trzeci zaś zbada, czy można tutaj przepłynąć rzekę.

Niebawem wszyscy trzej wrócili do czekających i widocznie przynieśli zadowalającą wiadomość, gdyż oddział ruszył wprost ku rzece. Teraz mogliśmy ich policzyć gołym okiem, przy czym okazało się, że jest ich dużo więcej, niż przypuszczałem poprzednio. Byli to sami młodzi i silni wojownicy, którzy należeli prawdopodobnie do dwóch plemion lub wsi, ponieważ pochód prowadzili dwaj wodzowie.

– Czy ci dwaj z orlimi piórami to wodzowie? – zapytał Bernard.

– Tak.

– Słyszałem, że wodzowie zawsze jeżdżą na siwych koniach.

– Na siwkach, hi, hi, hi! – zaśmiał się Sam.

– Fałszywie ci powiedziano, Bernardzie! – rzekłem. – W Starym Kraju zdarza się, że wódz jeździ na siwym koniu, ale tu nie. Indianin w ogóle nie lubi koni jasnej maści i nawet na polowaniu nie używa siwka, ponieważ biel odstrasza zwierzynę. Tylko w zimie, kiedy ta barwa na tle śniegu jest zarazem maską, dosiada niekiedy, w pewnych wypadkach, siwego konia i narzuca na siebie białą opończę. Ja sam próbowałem już tego z dobrym skutkiem na Północy.

Tymczasem wszystkie konie weszły już w wodę, a chociaż rzeka miała tu rwący prąd, trzymały się tak dzielnie, że wylądowały po drugiej stronie zaledwie o kilka łokci niżej. Potem Indianie znowu zaczęli badać teren, aż wreszcie cały oddział ruszył w dół rzeki.

Całe nasze towarzystwo odetchnęło z prawdziwą ulgą, gdyż niebezpieczeństwo groziło niemałe. Sam pogłaskał po szyi swoją klacz, mówiąc:

– Jak sądzisz, stara Tony? Co by było, gdyby czerwonoskórzy obcięli mi dzisiaj uszy, a tobie ogon? Tak, tak, to się już kiedyś zdarzyło. Lecz, Charley, co będzie, na przykład, z Patrickiem i jego stakemanami? Wszak jego trop zobaczą Indianie na pewno!

– Nic mu nie zrobią – odrzekł Hoblyn.

– Nic? A to czemu?

– Bo go znają. To są Komancze z plemienia Rakurrojów. Kapitan i Patrick wypalili z nimi fajkę pokoju, gdyż wiele z tego, co nam zostawało z łupów, sprzedawaliśmy im.

– To źle, bo w takim razie gotów jeszcze coś z nimi wspólnie przeciwko nam przedsięwziąć.

– Musimy cierpliwie wszystko przeczekać, Samie – pocieszałem go. – Patrick nie weźmie ich chyba z sobą do doliny. Z uprzejmości może spędzić z nimi kilka godzin, aby wypalić z wodzami fajkę, a potem znów będzie mógł robić, co zechce.

Podszedłem na skraj lasu i wystawiłem głowę z gąszczu, ażeby śledzić dzikich, którzy byli już za najbliższym zakrętem rzeki i wkrótce zniknęli za górą. Zanim się odwróciłem, rzuciłem

mimo woli okiem w górę rzeki i... czym prędzej schowałem głowę między gałęzie. Sam zauważył ten szybki ruch wywołany przestrachem i zapytał:

– Co tam? Czy z góry nadchodzą także Indianie?

– Zdaje się, bo jeden stoi u wyjścia z górnego parowu.

Sans-ear miał jeszcze przy sobie lunetę i przyłożył ją do oka.

– Rany boskie, to prawda! Ale to tylko jeden, jeśli za nim nie ukryli się inni. Ale, co ja widzę! To Apacz, na przykład!

– Rzeczywiście?

– Tak, i to wódz. Jego długie włosy zwisają aż na grzbiet konia. Teraz zjeżdża ku wodzie.

– Daj no mi lunetę!

Lecz i przez szkło, niestety, nic nie zobaczyłem, gdyż Indianin znajdował się już w wodzie poza wyniosłością brzegu.

– Wiesz, co tu się święci, Charley? Komancze nie przypuszczają, że ścigają ich Apacze, a ten wódz ruszył przodem, żeby ich mieć stale na oku. Diabelnie mądrze sobie poczyna, gdyż nie trzymał się ich tropu, lecz obrał sobie drogę powyżej nich, przez góry, najbliższym wąwozem. Odstąpcie, bo ci hultaje cieszą się bystrymi oczyma! On w każdym razie tędy przejedzie, pochwyćcie więc konie za nozdrza, bo przywykły parskać, gdy się zbliża Indianin. Tylko moja Tony ma więcej oleju w głowie. No, cicho!

Nie mogliśmy go dojrzeć, jak zdążał ku nam, ponieważ znajdowaliśmy się w górnej części zakrętu doliny, ale nie minęło pięć minut, gdy doleciał nas tętent konia.

Towarzysze cofnęli się, tylko ja położyłem się za gęstym krzakiem. Indianin jechał zwolna, patrząc uważnie na ziemię. Czyżby spostrzegł kilka zdeptanych źdźbeł trawy lub jakieś inne nasze ślady? Widocznie tak było, bo nagle zatrzymał się naprzeciw mnie, rzucił okiem na igliwie, które przedtem rozsiałem, i w jednej chwili stanął na ziemi z tomahawkiem w ręku.

– Ognia, Charley! – zakomenderował z cicha Sam. Ja jednak skoczyłem równie szybko jak Indianin i rzuciłem się przez krzaki ku niemu. Muskularna jego ręka zamierzyła się do straszliwego ciosu.

– Winnetou! Czy wielki wódz Apaczów chce zabić swojego brata?

Czerwonoskóry opuścił rękę, a ciemne jego oczy zabłysły.

– Szarlih!

Z ust jego padło tytko to jedno słowo, lecz brzmiała w nim taka radość, jakiej dumni Indianie zazwyczaj wstydzą się głośno objawiać. Potem wziął mnie w ramiona i przycisnął do piersi. Ucieszony nadzwyczaj tym spotkaniem, zapytałem:

– Co mój brat robi tutaj nad Rio Pecos?

On zaś zatknął za pas tomahawk i odparł:

– Te psy, Komancze, opuściły swój obóz, aby oddać Apaczom swoją krew. Wielki Duch mówi, że Winnetou zabierze ich skalpy. A co sprowadza mego białego brata w tę dolinę? Wszak brat mój przed wieloma miesiącami twierdził, że pojedzie przez Wielką Wodę do wigwamu swojego ojca i swoich sióstr, a potem uda się na wielką pustynię, straszliwszą aniżeli Mapimi i Estaccado!

– Widziałem wigwam mojego ojca i byłem na Saharze, lecz duch sawannów wzywał mnie do siebie w świetle dnia i w ciemnościach nocy. Usłuchałem jego głosu.

– Brat mój dobrze postąpił. Serce prerii jest wielkie i szerokie, zawiera w sobie życie i śmierć, a kto raz tętno jego poczuł, choć odejdzie, zawsze wróci. Howgh!

Wziął konia za uzdę i wszedł ze mną pod drzewa. Tu zobaczył moich towarzyszy. Nie spodziewał się ich, gdyż nie uprzedziłem go o ich obecności. Mimo to nie okazał najmniejszego zdziwienia, a nawet zachował się tak, jak gdyby ich nie zauważył, bo sięgnąwszy ręką do torby przy siodle, wydobył fajkę i worek z tytoniem i usiadł z godnością na ziemi.

– Winnetou jeździł daleko na północ do Wielkiego Jeziora po świętą glinę do fajki, a Szarlih jest tym, który pierwszy tę fajkę zapali.

– Moi towarzysze także chcieliby wypuścić z niej dym pokoju wraz z moim czerwonym bratem.

– Winnetou pali tylko z walecznymi mężami, w których sercu nie gnieździ się fałsz, na których ustach mieszka tylko prawda, lecz Winnetou wie, że jego biały brat zadaje się tylko z takimi ludźmi.

– Czy wielki wódz Apaczów słyszał o dzielnym i rozumnym myśliwcu Sans-earze?

– Winnetou zna go, lecz go jeszcze nie widział. Sans-ear jest chytry jak wąż, roztropny jak lis, a mężny jak jaguar; pije krew czerwonych ludzi i zaznacza ich zgony na kolbie swojej strzelby, lecz oni wyrządzili mu wielką krzywdę. On zresztą zabija tylko złych. Widzę jego konia. Czemu on sam się nie zbliży, by wypalić z Winnetou fajkę pokoju?

Sam podniósł się i podszedł trochę zakłopotany obecnością człowieka, który znany był jako największy, najwaleczniejszy i najsprawiedliwszy wojownik prerii.

– Mój czerwony brat dobrze się wyraził; zabijam tylko złych, a dobrzy zawsze mogą liczyć na moją pomoc – rzekł skromnie.

Skinąłem także na Bernarda.

– Niech wódz Apaczów rzuci też jasnym okiem na tego wojownika, który niedawno jeszcze był bardzo bogaty, lecz za sprawą białych rabusiów stracił ojca, diamenty i dolary. Morderca jest tu nad Rio Pecos i wkrótce zginie z jego ręki.

– Winnetou jest jego bratem i pomoże mu schwytać mordercę ojca. Howgh!

Te ostatnie słowa były obietnicą, a obietnicy Winnetou zawsze dotrzymywał. Zyskałem więc dla Bernarda pomoc, o jakiej dotąd nawet nie marzyliśmy. Tymczasem Apacz napełnił już sobie fajkę i zapalił. Wydmuchnąwszy dym po trzykroć ku niebu i ku ziemi, uczynił to samo zwracając się ku wszystkim czterem stronom świata, po czym podał fajkę mnie. Ja powtórzyłem to także i wręczyłem fajkę Samowi. Kiedy i Marshall odprawił tę ceremonię, fajka wróciła do rąk Winnetou. Następnie Sans-ear spytał Apacza:

– Czy mój czerwony brat ma w pobliżu wielu wojowników?

– Uff!

Było to u Winnetou zawsze wyrazem zdziwienia. Sans-ear nie znał jeszcze zwyczajów Apacza, a otrzymawszy w odpowiedzi tylko to słowo, sądził, że został źle zrozumiany. Dlatego jeszcze raz powtórzył:

– Pytałem, czy mój brat ma w pobliżu swoich wojowników?

– Uff! Niech mi mój biały brat powie, ile niedźwiedzi potrzeba do stratowania tysiąca mrówek?

– Tylko jednego.

– A ile krokodyli do pożarcia stu ropuch?

– Tylko jednego.

– A ilu wodzów Apaczów do zabicia tych much Rakurrojów? Gdy Winnetou wykopie topór wojenny, nie bierze z sobą wojowników, lecz idzie sam. On nie jest wodzem jednego szczepu, lecz jest królem wszystkich Apaczów. Skoro wyciągnie rękę, czy tu, czy tam, pod jego rozkazy śpieszą tysiące wojowników. Ma on wiele języków, które mu donoszą, co czynią synowie Komanczów, i ma dość tomahawków i noży, by wytępić swoich wrogów.

Następnie zwrócił się do mnie:

– Wojownik powinien przemawiać tylko pięścią, lecz niech mi mój biały brat powie, co zamierza przedsięwziąć razem z tymi ludźmi, którzy są przy nim?

Zdałem mu krótko, ale dokładnie sprawę z wypadków, które sprowadziły nas nad Rio Pecos. Słuchał uważnie, a potem patrzył przez chwilę na ziemię. Wydmuchnąwszy dym po raz ostatni, wstał i schował fajkę do kieszeni.

– Niech moi biali bracia udadzą się za mną!

To rzekłszy, wyprowadził swego konia z zarośli i dosiadł go. Podjechałem do niego i szybkim stępem ruszyliśmy w dalszą drogę. Winnetou jechał na znanym mi już z dawniejszych czasów grubokościstym gniadoszu, który pozornie wyglądał na zajeżdżonego konia pociągowego, i tylko taki znawca jak Winnetou mógł go wybrać na swojego wierzchowca. W cwale był ten koń niedościgniony, w kłusie spokojny, w stępie szybki i niezmordowany, a jego płuca nigdy nie zawodziły. Roztropność jego nie ustępowała sprytowi klaczy Sama, ostrymi zaś i twardymi jak stal kopytami nieraz już zmusił do ucieczki nie tylko szarego wilka, ale nawet pumę. Gdy Winnetou wsiadał na siodło, zdawało się, że wierzchowiec i jeździec tworzą jedno ciało, jedną duszę, jedną wolę i jedną decyzję. Nie zdarzyło się też nigdy jeszcze, żeby temu zwierzęciu zabrakło siły, wytrwałości, odwagi albo zręczności.

Dojechawszy do tropu Komanczów, zorientowaliśmy się, że ta zgraja czuła się zupełnie bezpieczna, gdyż nie zadawała sobie najmniejszego trudu, ażeby zacierać swe ślady. Jechaliśmy tak z godzinę, zatrzymując się na każdym zakręcie drogi, aby rzucić okiem na leżący przed nami teren. Nagle na rogu lasu Apacz szarpnął konia w tył i wskazał prawą ręką przed siebie, a lewą dał znak, żebyśmy milczeli i byli ostrożni. Wyciągnąłem szyję i wytężyłem wzrok, lecz nic nie zdołałem zauważyć.

Winnetou powiesił strzelbę na kuli u siodła, wziął w rękę nóż, zsiadł z konia i nie rzekłszy ani słowa, zniknął między drzewami.

– Co to może być, Charley? – zapytał Sam.

– Nie wiem.

– To dziwna istota ten Apacz! Czy nie mógł wam powiedzieć, co zamierza zrobić?

– Czy nie słyszałeś jego zdania, że mąż powinien przemawiać tylko czynami? Widocznie zauważył coś podejrzanego i poszedł, by się przekonać o słuszności swych podejrzeń. Niewątpliwie sam się tego domyśliłeś, więc nie potrzebujesz osobnych wyjaśnień.

– Ale mógł powiedzieć, co spostrzegł.

– I my także niebawem to zobaczymy.

– Gdyby nie zataił przed nami swego zamiaru, to wiedzielibyśmy teraz, na przykład, czego się trzymać i jak mamy się zachować.

– To było zbyteczne, bo niewątpliwie mamy tu czekać, dopóki on nie powróci albo nie da znaku, żebyśmy ruszyli dalej. To przecież bardzo proste.

– Massa, och, ach, usłyszeć, massa? – przerwał Bob naszą sprzeczkę.

– Co?

– Jakiś człowiek krzyknąćl

– Gdzie?

– Tam, za rogiem!

Spojrzałem pytająco na pozostałych, lecz nikt nic nie słyszał. Mimo to Murzyn mógł mieć słuszność.

Wtem zabrzmiał – teraz nie uszło to niczyjej uwagi – głos ptaka przedrzeźniacza. Każdy inny człowiek wziąłby te dźwięki za głos prawdziwego wipp-por-willa, ja natomiast wiedziałem, że pochodziły z ust Apacza, gdyż jeszcze w czasie poprzednich naszych podróży obraliśmy go sobie za znak do porozumiewania się i używaliśmy go często.

– Wipp-por-will tutaj? – rzekł Sam. – Ciekaw jestem, na przykład, gdzie nie można spotkać tego stworzenia.

– To stworzenie widziałeś i słyszałeś dziś po raz pierwszy. To Winnetou na nas woła. Naprzód! On jest tam, na skraju lasu!

Wziąłem konia Apacza za cugle, a reszta towarzyszy ruszyła za mną. Winnetou stał w odległości kilkuset kroków na skraju lasu. Gdy ujrzał, że posłuchaliśmy jego wołania, zniknął w głębi. Przybywszy na to miejsce, zsiadłem z konia i wszedłem pomiędzy drzewa, gdzie zoba-

czyłem Apacza i leżącego u jego stóp młodego człowieka, skrępowanego własnym pasem. Miał oczy zwrócone, z nieopisaną trwogą, na Winnetou i jęczał z cicha.

– Niedołęga!

Rzuciwszy z pogardą to jedno słowo, odwrócił się Apacz dumnie od pojmanego. Był to biały. Na mój widok rozjaśniło się nieco jego oblicze, gdyż wobec tego, że należałem do jego rasy, wstąpiła weń znowu nadzieja. Nadzieja ta wzmogła się jeszcze w widoczny sposób, kiedy podszedł doń Sans-ear.

– Biały, i to Jankes! – zawołał mały myśliwiec. – Czemu mój czerwony brat postępuje z nim jak z wrogiem?

– Złe oko! – odrzekł krótko Winnetou.

Za nami zabrzmiał teraz okrzyk, a gdy się odwróciłem, ujrzałem Marshalla, który przypatrywał się jeńcowi z nieopisanym wyrazem twarzy.

– Holfert! Na miłość Boga, a wy skąd tutaj?

– Marshall! Master Marshall! – odrzekł zagadnięty, widocznie znajomy Bernarda. Jego zachowanie jednak świadczyło, że widok mego przyjaciela niemile go dotknął.

– Co to za człowiek? – zapytałem.

– Pochodzi z Knoxville, nazywa się Holfert i był czeladnikiem w naszym warsztacie – odrzekł Bernard.

Czeladnik Marshalla, i to w pobliżu miejsca, gdzie spodziewaliśmy się zastać Morgana! Od razu też przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Czy był on jeszcze u was, kiedy zwijaliście interes?

– Tak.

Zwróciłem się do jeńca z następującymi słowami:

– Master Holfert, szukaliśmy was już od dawna. Czy możecie mi powiedzieć, gdzie się znajduje wasz dobry przyjaciel, który się nazywa Fred Morgan?

Dawny pomocnik Marshalla przestraszył się niezmiernie, a po chwili zapytał:

– Czy jesteście detektywem, sir?

– Kim jestem, o tym dowiecie się we właściwym czasie, na razie tylko zaznaczam, że nie chciałbym załatwić się z wami urzędowo, bo przypuszczam, że jesteście tylko obałamuceni. A więc odpowiadajcie. Gdzie Morgan?

– Rozwiążcie mnie, sir, wtedy wyjawię wszystko.

Bernard zrobił taką minę, jak gdyby słuchał rzeczy niewiarogodnych.

– O rozwiązaniu więzów nie może być mowy, w najlepszym razie możemy je rozluźnić. Bobie, zrób to!

– Bobie, i ty tutaj? – zawołał Holfert zdumiony.

– Bob także tu, yes! Och, gdzie massa Bern, tam jego Murzyn Bob. Czemu massa Holfert nie zostać w Lu'ville, lecz pójść w góry? Dlaczego massa Holfert być związany?

Murzyn rozluźnił nieco jeńcowi więzy, tak że teraz Holfert mógł usiąść prosto, ja zaś prowadziłem śledztwo dalej:

– A więc po raz trzeci: gdzie Morgan?

– Na Head Pik.

– Jak długo byliście teraz razem?

– Przeszło miesiąc.

– A gdzieżeście się spotkali?

– On kazał mi przybyć do Austin.

– Kazał? Ach! Więc znaliście się przedtem?

Jeniec umilkł, ja zaś wydobyłem rewolwer.

– Przypatrzcie się tej zabawce! Wiem bardzo dobrze, z kim mam do czynienia, życzę sobie jednak, żebyście mi opowiedzieli o śmierci pryncypała i o zniknięciu jego mienia. Jeśli się

będziecie wzbraniali lub skłamiecie, dostaniecie kulą w łeb. Tu, na Zachodzie, ludzie załatwiają się z rozbójnikiem o wiele prędzej niż w Stanach.

– Nie jestem mordercą! – wyjąkał w najwyższym przerażeniu Holfert.

– Słyszeliście już ode mnie, że wiem dobrze, kim jesteście! Idzie teraz o to, czy mamy was uważać za zatwardziałego winowajcę, czy za człowieka skruszonego. A zatem, czy znaliście Morgana już dawniej?

– To jest mój krewny.

– A czy odwiedzał was w Louisville?

– Tak.

– Co dalej? Nie będę wam zadawał wielu pytań, gdyż możecie mówić i bez tego. Uważajcie na rewolwer!

– Jeśli master Marshall odejdzie, opowiem wszystko. Musiałem uwzględnić ten zrozumiały odruch odkrytego tak niespodzianie mordercy.

– Niech się stanie zgodnie z waszym życzeniem!

Skinąłem na Bernarda. Oddalił się bez protestu, lecz zrobiwszy łuk powrócił i stanął za plecami jeńca, pod drzewem.

– A zatem!

– Morgan bywał u mnie dość często i zachęcał mnie do gry.

– Czy odwiedzał was w waszym mieszkaniu?

– Tak, nigdy w sklepie. Z początku w grze sprzyjało mi szczęście, toteż grałem namiętnie dalej. Potem przegrywałem coraz więcej, aż zadłużyłem się u niego na kilka tysięcy dolarów. A ponieważ nie miałem czym zapłacić, zagroził mi doniesieniem, gdyż na wekslach, które mu dawałem, podrabiałem podpis pryncypała. Nie miałem więc innego wyjścia, jak powiedzieć mu, gdzie przechowywano klucz od sklepu.

– Czy wiedzieliście, po co Morgan chciał się tam dostać?

– Tak. Mieliśmy się podzielić zdobyczą i udać się potem do Meksyku. Przedtem jednak musieliśmy się rozłączyć w obawie przed pościgiem, on zaś oznaczył mi czas spotkania w Austin.

– Czy zdradziliście mu, że pryncypał nosił klucz przy sobie?

– Tak, ale nie przypuszczałem, że Morgan go zamorduje, gdyż zapewniał mnie, że go tylko ogłuszy. Obaj więc zaczailiśmy się, lecz on, zamiast tylko ogłuszyć pryncypała, pchnął go nożem. Potem otworzyliśmy bramę i położyliśmy zwłoki w sieni. Znalezione mienie rozdzieliliśmy od razu pomiędzy siebie.

– On zabrał diamenty, a wy resztę?

– Tak. Mnie, jako zawodowemu jubilerowi, nietrudno było zamienić moją część, oczywiście ze stratą, na pieniądze...

– A teraz... Ach, zgaduję! Owe pieniądze odebrał wam Morgan?

– Niestety.

– Jak mogliście być na tyle nieoględnym, żeby sądzić, iż taki zły człowiek postąpi z wami uczciwie? Wszak łatwo było sobie wyobrazić, że on tylko po to wyprowadził was tutaj, aby bezkarnie stać się panem całego łupu. W jaki sposób pozbawił was pieniędzy?

– Wczoraj wieczorem on odbywał straż, a ja spałem mocno. Wtem poczułem, że ktoś mnie dotknął, i zbudziłem się na szczęście jeszcze na czas! Morgan zabrał mi już broń i pugilares i właśnie zamierzał wbić mi nóż w serce. Strach dodał mi sił. Odepchnąłem napastnika, zerwałem się i uciekłem, Morgan puścił się za mną w pogoń, ale z powodu ciemności nie mógł mnie schwytać. Biegłem przez całą noc, gdyż przypuszczałem, że pójdzie moim śladem, skoro tylko nastanie dzień. Dopiero niedawno ośmieliłem się tutaj ukryć, aby się trochę przespać, lecz to mi się nie udało, gdyż przechodzili tędy Indianie. Wobec tego postanowiłem uciekać

dalej, kiedy nagle zobaczyłem tego czerwonoskórego, który mnie tu odnalazł, pomimo że starałem się ukryć przed jego wzrokiem.

Holfert był strasznie znużony. Chyba to tylko sprawiło, że się tak otwarcie do wszystkiego przyznał, gdyż w brzmieniu jego głosu nie było znać ani żalu, ani wewnętrznego wzruszenia.

Zwróciłem się do Bernarda:

– Ten człowiek należy do ciebie. Co z nim zrobisz?

Przejęty opowiadaniem o zgonie ojca, Marshall milczał. W sercu jego niewątpliwie chęć zemsty walczyła z litością. Zapytał jeszcze jeńca o to i o owo, a w końcu rzekł do nas:

– Ten łotr może i zasłużył na karę śmierci, ale puśćmy go wolno. Bóg go osądzi!

– To gorsze od szybkiej śmierci, Bernardzie, Bez broni i bez konia, bez pomocy i wszelkiego doświadczenia nie zajdzie stąd zbyt daleko.

– To zabierzemy go ze sobą, dopóki nie nadarzy nam się sposobność pozbycia się jego towarzystwa.

– Zawadzałby nam bardzo, zwłaszcza że mamy już jednego jeńca. Mogliby się łatwo porozumieć.

– To zawsze jeszcze będzie nas czterech przeciwko dwóm.

– Tu nie chodzi o to, że fizycznie będą dla nas groźni. Myślę o całkiem innych ewentualnościach, które mogłyby nas narazić na niebezpieczeństwo. Ja bym radził dać mu jednego z naszych koni jucznych i trochę broni. Zapytajcie Winnetou.

Apacz przysłuchiwał się z boku całej rozprawie. Teraz podszedł i odwiązał pas z rąk Holferta.

– Wstać!

Jeniec podniósł się, a Winnetou wskazał na jego rękę.

– Czy biały człowiek zmył ze swej ręki krew zamordowanego?

– Tak – odrzekł Holfert, przestraszony brzmieniem tego głosu.

– A więc była krew na tej ręce, krwi zaś nie zmywa się wodą, lecz także krwią. Tak chce Manitou i tego domaga się Wielki Duch sawannów. Czy biały człowiek widzi gałąź rosnącą tam, nad brzegiem rzeki?

– Widzę.

– Niech więc pójdzie po nią. Jeśli mu się uda ją zerwać, to będzie mu wolno żyć, gdyż gałązka jest oznaką pokoju i łaski.

Ten dziwaczny warunek zaskoczył nas wszystkich. Holfert poszedł ku brzegowi, oddalonemu o czterysta kroków. Spełnić ten warunek było bardzo łatwo, gdyż gałązka znajdowała się nie w wodzie, lecz tuż nad brzegiem. Jeniec doszedł tam i sięgnął po nią ręką. Wtedy Winnetou podniósł nagle swoją nabijaną srebrnymi gwoździami strzelbę. Huknął strzał i Holfert runął z przestrzeloną głową do wody.

Winnetou z zimną krwią na nowo nabił wystrzeloną broń.

– Biały człowiek nie przyniósł gałązki, musiał więc umrzeć. Duch sawannów jest sprawiedliwy i miłosierny, nie użycza więc łaski, która wiedzie do zguby. Białego mordercę zabiliby i tak Komancze, stakemani albo pożarłyby go kujoty!

Następnie Apacz dosiadł konia i odjechał, nie oglądając się za nami.

W milczeniu i w poważnym nastroju ruszyliśmy wszyscy za nim.

Ślady Komanczów w dalszym ciągu były wyraźne. Tego, że przedsięwzięli wyprawę wojenną, dowodziły ich pomalowane twarze, ale cel wyprawy był widocznie daleki, bo w przeciwnym razie zachowywaliby się ostrożniej. Winnetou znał niewątpliwie ich zamiary, ale zbyt lubił milczeć, żeby miał bez zapytania wypowiadać swoje uwagi! Właśnie miałem się do niego zbliżyć, kiedy nagle usłyszeliśmy przed sobą huk jednego, a potem jeszcze dwóch wystrzałów.

Wobec tego zatrzymaliśmy się natychmiast, Winnetou skinął, żebyśmy zawrócili, a sam pojechał do najbliższego zakrętu. Tam zsiadł z konia i wpadł w krzaki, ale niebawem wychylił się z nich i przywołał nas do siebie skinieniem ręki.

– Komancze i dwie blade twarze!

To rzekłszy, wczołgał się znowu w zarośla, a my trzej udaliśmy się za nim, Bob natomiast został przy Hoblynie i koniach.

Dolina rzeki rozszerzyła się tu przed nami w wielką kotlinę, w której ukazał się naszym oczom niespodziewany widok. Tuż nad prawym brzegiem rzeki zatknęli obaj wodzowie Komanczów swoje włócznie w ziemię, a tarcze oparli o drzewce. Sami siedzieli na trawie, paląc fajkę pokoju z dwoma białymi. Konie wszystkich tych czterech ludzi pasły się w pobliżu. Przed nimi zaś rozgrywała się wojownicza i dzika, a jednak pokojowa scena. To Komancze urządzili turniej, w którym zwykle okazują oni swoje mistrzostwo we władaniu bronią. Byli zbyt od nas oddaleni, by można było rozpoznać rysy twarzy wojowników, dlatego też przyłożyłem do oczu lunetę. Potem zaś rzekłem do Sans-eara, podając mu szkła:

– Hola, a to kto? Samie, zobacz no!

On zaś, wziąwszy ode mnie lunetę, popatrzył i zawołał cicho:

– Niech to wszyscy diabli! To Fred Morgan z synem! Skąd oni się wzięli tu, wśród Indian?

– To bardzo łatwo wytłumaczyć. Patrick był ciągle w niewielkiej odległości przed nami, a Morgan zapędził się tutaj za Holfertem i tak się widocznie spotkali. Słyszałeś także, że nie potrzebują kryć się przed Komanczami.

– Prawdopodobnie tak to istotnie było, ale to mnie bardzo martwi!

– Czemu?

– Jak wyrwiemy ich spomiędzy Indian?

– Przypuszczam, że się od nich odłączą, gdyż chyba nie będzie im zależało na tym, żeby Indianie dowiedzieli się o skarbie, który chcą odkopać.

– W takim razie zostańmy tutaj i uważajmy, co zrobią.

– Zdaje się, że nic nam tu nie grozi, gdyż czerwonoskórzy nie mają zamiaru wracać.

– A czy nie może nadejść Morgan, który ściga Holferta? – zapytał Marshall.

– Dowie się od swego syna i od Komanczów, że go nie spotkali, i pomyśli, że Holfert udał się inną drogą – odrzekłem. – Czy ukryjemy konie?

Winnetou skinął głową na znak zgody, ja zaś wyszedłem, aby się tym zająć. Ponieważ zanosiło się na dłuższy pobyt w tym miejscu, przeto zdjęliśmy ciężary z koni jucznych i zaprowadziliśmy je razem z innymi głębiej w las.

Gdy Hoblyn ujrzał dolinę, wyciągnął rękę i powiedział:

– Sir, tam na prawo biegnie parów, przez który wiedzie nasza droga.

– Tam? To bardzo źle!

– Czemu, Charley? – wtrącił Sam.

– Ponieważ nie możemy się tam dostać przed Morganami. Przecież to zupełnie jasne, że natychmiast po odejściu Komanczów ruszą obaj w drogę.

– Nie obawiajcie się, sir! – zauważył Hoblyn. – Tę drogę zna tylko kapitan i ja. Porucznik pójdzie inną, która biegnie dołem wzdłuż łożyska pewnego dopływu.

– W takim razie jestem spokojny. Możemy więc bez obawy przypatrywać się zabawie Indian.

Komancze, podzieleni na dwie części, udawali, że walczą z sobą bądź to w zwartych grupach, bądź rozsypani w pojedynkę. Okazywali przy tym zręczność i szybkość ruchów, które wprawiłyby w podziw każdego widza europejskiego. Nie używają oni w czasie takich popisów ani siodeł, ani nawet uździenic. Przywiązują tylko do grzbietu końskiego derkę, skórę lub rogożę, a po obu stronach tych przedmiotów – mocny, szeroki rzemień. Ilekroć jeździec zaczepiony jedną nogą o grzbiet konia chce się położyć na jedną lub na drugą jego stronę, prze-

tyka przez ten rzemień rękę. Dzięki temu szczególnemu sposobowi siodłania i ćwiczeniu, wojownicy ci mogą używać konia jako tarczy oraz zachowywać ogromną swobodę ruchów, posyłając nieprzyjacielowi strzałę albo kulę – gdy jeździec ma broń palną – sponad grzbietu konia albo spod jego szyi. Każdy z wojowników jest przy tym tak zręczny, że potrafi zależnie od potrzeby przerzucać się to na jedną, to na drugą stronę konia z szybkością i łatwością, która przyniosłaby zaszczyt niejednemu jeźdźcowi cyrkowemu. Konie idą zaś tak pewnie, że zarówno kule, jak strzała rzadko tylko chybiają celu. Rzemień, w którym zwisa ręka zaczepiona tuż przy ramieniu, przymocowany jest do grzywy u końca karku końskiego, toteż nawet gdyby derka się zsunęła, jeździec nie traci punktu oparcia. Jeśli wojownik dobrze przywiąże pętlę, może się obejść doskonale bez derki i siodła, gdyż stopy, ubrane w mokasyny, trzymają się grzbietu końskiego tak pewnie, jak gdyby był on pokryty skórą bawolą. Gdy ci niezwykli jeźdźcy strzelają spoza grzbietu końskiego, mierzą oczywiście z góry, gdy zaś spod szyi konia, nakładają strzałę z dołu, co dzięki nieustannemu ćwiczeniu przychodzi im tak łatwo, jak gdyby celowali w sposób zwyczajny.

Cała nasza uwaga tak była pochłonięta tą wojenną zabawą, bardzo podobną do arabskiej „fantazji[20]“, że tylko raz obejrzałem się poza siebie, i to – na nasze szczęście – akurat w porę! Zobaczyłem bowiem, z przerażeniem, dwóch jeźdźców, zjeżdżających skrajem lasu i przypatrujących się bardzo uważnie tropowi Komanczów.

– Baczność, panowie, tam nadchodzą ludzie! – ostrzegłem towarzyszy.

Wszyscy spojrzeli poza siebie, a Hoblyn zawołał:

– Kapitan z Conchezem!

– To on, naprawdę! Skryjmy się głębiej w las i zatrzyjmy ślady!

Zrobiliśmy to w dwie minuty. Wszyscy się cofnęli, tylko ja i Winnetou zostaliśmy na nieco wysuniętym miejscu, z którego mogliśmy śledzić ruchy przybyszów, nie pokazując się im oczywiście.

Byli już bardzo blisko nas i prawdopodobnie pojechaliby dalej, gdyby nie to, że Indianie podnieśli naraz okrzyk wojenny, który zabrzmiał jak wycie dzikich zwierząt. Obaj jeźdźcy osłupieli, rzucili ostrożnie wzrokiem poza zakręt drogi i zaprowadzili konie tam, gdzie przedtem stały nasze. Wtedy cofnęliśmy się do naszych towarzyszy.

Tuż za przybyszami stały blisko siebie dwa klony. Udało mi się doczołgać aż do tych drzew i podsłuchać prowadzoną półgłosem rozmowę. Na wszelki wypadek miałem przy sobie tomahawk.

– To Komancze – rzekł kapitan. – Nie potrzebujemy się ich obawiać. Musimy się -jednak wpierw dowiedzieć, co to za biali są z nimi.

– Z tej odległości ich nie rozpoznamy.

– Można by rozróżnić po ubraniu. Tego pierwszego nie znam, a drugiego zasłania mi wódz.

– Kapitanie, przypatrzcie się temu kasztankowi, tam między tymi czterema końmi! Co wy na to?

– Carajo! To kasztanek naszego porucznika!

– Ja też tak sądzę. Wobec tego jednym z tych białych będzie zapewne Patrick.

– Słusznie! Teraz nachyla się naprzód. Czy widzisz ten pstry kaftan? To on! Co począć?

– Gdybym wiedział, co właściwie chcecie z nim zrobić, wówczas dałoby się może coś wymyślić.

– Teraz muszę ci już wszystko wyjawić. Zakopałem w tych stronach najcenniejsze nasze skarby nie chcąc przechowywać ich w naszej kryjówce, gdyż jest między nami kilku ludzi,

---

[20] f a n t a z ja (arab. *fantasia)* – turnieje konne arabskich jeźdźców, o charakterze gry wojennej, których uczestnicy prześcigają się w zręczności i odwadze

którym nie można zbyt ufać. Miejsce, w którym te rzeczy leżą, znam tylko ja i porucznik. Czekał on na swego ojca i zamiast w naszym obozie umówił się z nim tu, nad Rio Pecos. To wzbudziło we mnie podejrzenie, a ponieważ po ostatniej wyprawie do Estaccado wyruszył wprost tutaj, nie odwiedziwszy mnie przedtem, nabrałem przekonania, że postanowił porwać nam skarby. Z Indianami na pewno spotkał się tylko przypadkiem. Nasuwa się teraz pytanie: czy udać się do nich od razu, by go ukarać, czy też śledzić go, a potem pochwycić na gorącym uczynku.

– To ostatnie jest chyba o wiele.lepsze. Jeśli bowiem teraz do niego podejdziemy, nie potrafimy dowieść mu złego czynu. Powie po prostu, że przybył tutaj po ojca, a kto wie, jakich potem jeszcze użyje dróg do osiągnięcia swego celu. Jest nas dwóch, ich także dwóch, a Indianom nigdy ufać nie można.

Conchez zadawał sobie widocznie trud, aby odwieść kapitana od pierwotnego zamiaru, niewątpliwie bowiem i jemu zależało na tym, żeby się dowiedzieć o miejscu, gdzie zostały ukryte skarby.

– Masz słuszność! Rakurrojowie są na wojennej wyprawie i zatrzymają się tutaj najwyżej godzinę. Potem Patrick wyruszy dalej. Musi bowiem jeszcze dość daleko jechać, zanim dotrze do miejsca, gdzie się znajduje kryjówka. Nie powinniśmy oczywiście pozwolić, żeby wziął to, na co ma ochotę, jeśli... jeśli... w ogóle skarb jeszcze się tam znajduje.

– Jeśli się tam jeszcze znajduje? Któż by go mógł zabrać, skoro tylko wy dwaj o nim wiecie!

– Hm, Sans-ear i Old Shatterhand, którzy nam zadali porażkę.

– Jak mogliby oni wpaść na trop tajemnicy?

– Całkiem po prostu. Chciałem wysłać za porucznikiem Hoblyna i byłem o tyle nieostrożny, że wydałem mu już odpowiednie wskazówki. Tymczasem on zniknął bez śladu i nie mogę pozbyć się myśli, że sprzymierzył się z tymi myśliwcami, aby ocalić własne życie.

– Hm, w takim razie byłoby może najlepiej...

– No, co?...

– Zwrócić się do Komanczów.

– I zdradzić im naszą tajemnicę, żeby zabrali nasz skarb? Mamy zresztą jeszcze czas do namysłu, gdyż, jak widzę, Indianie wyciągają worki z żywnością. Przekąśmy i my coś niecoś. Idź po mięso!

Conchez, idąc do konia, na pewno by mnie zobaczył, toteż cofnąłem się, jak mogłem, najśpieszniej, a po sekundzie usunąłem się z obrębu jego pola widzenia.

Przybywszy do towarzyszy, przedstawiłem im wynik podsłuchu.

– Czy nic, na przykład, nie powiedzieli o tych trzech agentach, którzy razem z porucznikiem pojechali za kupcami? – zapytał Sam. – Jeden z nich musiał chyba zostać z Patrickiem.

– O tym nic nie wspominali. Może Patrick zamordował swego towarzysza, aby mieć wolną rękę. Ale co zrobimy z tymi dwoma?

– Puśćmy ich spokojnie, Charley!

Na te słowa Winnetou potrząsnął głową i zauważył:

– Niechaj moi biali bracia pamiętają, że mają tylko jeden skalp na głowie.

– Któż by go nam miał zabrać? – odparł Sam.

– Te węże, Rakurrojowie.

– To im się nie uda. Zresztą wkrótce stąd pójdą, gdyż znajdują się na ścieżce wojennej.

– Mój biały brat jest roztropnym myśliwym i walecznym wojownikiem, lecz nie zna dróg Komanczów. Ci czerwoni mężowie zdążają do grobu swojego wodza Czu-ga-chaty[21], jak to czynią co roku, w dniu, w którym zabił go wódz Apaczów Winnetou.

---

[21] C z u-g a-c h a t a (ind.) – Ciemny Dym

Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego Winnetou śledził ten oddział.

– To wszystko jedno – rzekł Sam. – Jeśli są na takiej wyprawie, to po jakiego licha troszczyliby się, na przykład, o nas i o stakemanów?

– Ja także nie chciałbym plamić się niepotrzebnie krwią – dodałem od siebie.

– Niechaj moi biali bracia czynią, co im się podoba – rzekł Apacz. – Moi bracia oszczędzają wroga, który jest rozbójnikiem i mordercą, i oddadzą za to własną krew. Apacz powiedział. Howgh!

Było mi właściwie przykro, że musiałem sprzeciwić się Winnetou, lecz dzisiaj popłynęła już krew jednego człowieka i nie mogłem się pogodzić z myślą, by miała popłynąć znowu, nawet choćby to była krew morderców, jeśli tego nie nakazywała konieczność obrony własnej.

Jeszcze mnie zaprzątały te myśli, kiedy od obozu Komanczów zabrzmiały okrzyki, które świadczyły, że zaszło tam coś niespodziewanego i niezwykłego. Spostrzegliśmy, że na kapitanie i jego towarzyszu także wywarło to silne wrażenie. Pomknąłem prędko, zataczając łuk na skraj lasu, aby się dowiedzieć o przyczynie tego zgiełku.

Dostawszy się na miejsce, skąd roztaczał się swobodny widok, ujrzałem Komanczów stłoczonych nad brzegiem i przypatrujących się jakiemuś przedmiotowi, którego nie mogłem rozpoznać. Po jakimś czasie wrzucono go znowu do wody, a wszyscy wojownicy utworzyli krąg dokoła wodzów i obydwu białych. Potem nagle wszyscy dosiedli koni i ruszyli w dalszą drogę. Wtedy powróciłem do swoich.

– Co się tam stało? – zapytał Bernard.

– Znaleźli coś w rzece, może trupa Holferta?

Winnetou zaczął się uważnie przysłuchiwać naszej rozmowie, gdyż zrozumiał, że obecność nasza byłaby zdradzona, gdyby domysły okazały się słuszne.

– Czy mój biały brat sądzi, że ciało człowieka nieżywego może popłynąć tak daleko?

– To zależy od pewnych warunków. Rzeka jest tutaj głęboka, rwąca i ma gładkie brzegi, niełatwo więc na nich coś osiądzie.

Nie rzekłszy ani słowa, Apacz wstał i zniknął pomiędzy drzewami. Byłem pewny, że pójdzie pod osłoną lasu w górę rzeki tak daleko, żeby Komancze nie mogli go zobaczyć, a potem popłynie wodą na podejrzane miejsce, by się przekonać, jaki to przedmiot zwrócił na siebie ich uwagę.

Musiałem przyznać w duchu, że to przedsięwzięcie nie było bezpieczne nawet dla tak znakomitego pływaka, jakim był Winnetou. Po pierwsze, kapitan i Conchez mogli w tym samym celu udać się nad rzekę, po wtóre, nie było wykluczone, że Komancze nabiorą podejrzenia, wnosząc, że gdzie jest świeży trup z raną od strzału, tam musi się też znajdować ktoś, kto tę ranę zadał. Nie było też wykluczone, że oddalili się tylko po to, aby w stosownym czasie wrócić i poszukać mordercy zabitego. Jak w czasie wojny nie wolno zostawiać za sobą nie zdobytej, a przynajmniej nie oblężonej twierdzy, tak samo na Dzikim Zachodzie niebezpiecznie jest nie wiedzieć dokładnie, kogo się ma na tyłach.

Przestrzeń, którą miał przepłynąć Winnetou najpierw w dół, a potem w górę rzeki, wynosiła może pół mili. Jako dobry pływak, potrzebował na to najwyżej pół godziny, doliczywszy już do tego dziesięć minut drogi lądowej. Ale nie minął jeszcze kwadrans, kiedy kapitan z towarzyszem ruszyli z miejsca. Nie mogliśmy niestety ich zatrzymać.

Obaj, jak się tego spodziewałem, podjechali do miejsca postoju Komanczów i zwrócili się potem ku rzece. Wobec tego należało ochronić Winnetou, który wchodząc w wodę złożył niewątpliwie na brzegu broń i odzież i wziął ze sobą co najwyżej swój nóż. Trzeba było oczywiście zrobić to niepostrzeżenie.

– Zostańcie tutaj!

Z tymi słowy opuściłem kryjówkę i tak szybko, jak na to pozwalały gęsto rosnące drzewa, pospieszyłem skrajem lasu w dół rzeki aż tam, skąd można było kulą dosięgnąć punktu, w

którym wrzucono do wody ów tajemniczy przedmiot. Ale nie stanąłem jeszcze na miejscu, kiedy spostrzegłem, że kapitan podniósł strzelbę i wystrzelił w nurty rzeki. Dzięki niezwykłej zręczności Winnetou w nurkowaniu – nie trafił! W niespełna pięć sekund po wystrzale Apacz wyskoczył z wody jak ryba, dostał się na brzeg i rzucił się na kapitana. Wtedy Conchez podniósł swój karabin. Wówczas już i ja nie mogłem nie strzelać. Należało wszakże oszczędzać jego życie. Tymczasem Winnetou odwrócił się błyskawicznym ruchem od kapitana, skoczył ku Conchezowi i podbił mu w górę lufę w momencie, gdy łotr miał już pociągnąć za cyngiel, wskutek czego strzał poszedł w powietrze. Winnetou wyrwał mu strzelbę z ręki i ujął ją za lufę, by jej użyć jako maczugi. Potem zdążył jeszcze odskoczyć daleko w bok, gdyż kapitan zamierzył się nań właśnie kolbą z tyłu.

Winnetou gotował się już do walki przeciw obydwóm napastnikom, kiedy z dołu zabrzmiało głośne wycie. Potwierdziło się moje przypuszczenie: Komancze nie odjechali daleko i usłyszawszy strzał kapitana, wrócili cwałem.

Zaledwie Apacz Ich spostrzegł, wytrącił kapitanowi z rąk strzelbę, która szczęściem była tylko jednorurką, wrzucił ją do wody i popędził w górę rzeki potężnymi susami, jak ścigana pantera.

Wiedziałem, że w tego rodzaju biegu mógł Winnetou przez dziesięć minut iść w zawody z najlepszym szybkobiegaczem. On sam uczył mnie tych skoków, przy których należy rzucać się w powietrze, przenosząc punkt ciężkości zawsze na jedną nogę, służącą zarazem za sprężynę, a zmieniać nogę w chwili zmęczenia. W niespełna dziesięć minut powinien był dotrzeć do swego ubrania, po czym – był wszak mądry – pobiegnie jeszcze pewną przestrzeń, zanim skręci w las i powróci pod jego osłoną do nas.

Popędziłem co tchu do naszej kryjówki.

– Wstawać prędzej! Musimy uciekać!

– Niech to wszyscy diabli! A dokąd to, na przykład? – zapytał Sans-ear.

– Zaraz tu nadejdą Komancze, a obaj biali są także z nimi! Na szczęście, przebiegną obok nas i zajmą się szukaniem śladów Winnetou. Prędzej, konie na skraj lasu! Skoro nas tylko miną, pędźcie co siły w dół rzeki ich własnym tropem, żeby potem waszego nie odróżnili. Ja zostanę, żeby kryć odwrót, i zaczekam na Winnetou.

– Ty sam? – zapytał Sans-ear.

– Oczywiście – odrzekłem rzucając znacząco okiem na Hoblyna, któremuśmy nie ufali. – Nasi towarzysze nie są jeszcze na tyle doświadczeni. Muszę ich oddać tobie pod opiekę!

– Well! A więc naprzód! Te draby już przebiegły!

Rzeczywiście przemknął właśnie obok nas ostatni z Komanczów. Występ lasu był teraz między nami a nimi, wobec czego nie mogli nas dostrzec. Gdy Sans-ear z towarzyszami odjechał, zatarłem nasze ślady, o ile się tylko dało. Ledwie się z tym uporałem, kiedy zaszeleściło podszycie lasu i stanął przede mną Winnetou.

– Uff! Ci szakale, Komancze, szukają śladów Apacza. Gdzie towarzysze mojego białego brata? .

– Odjechali naprzód.

– Myśli mego brata są zawsze rozsądne. Blade twarze niedługo będą na nas czekały!

Włożył czym prędzej ubranie, które trzymał dotychczas w ręku, i wyprowadził swego konia na wolne pole. Jeden rzut oka w górę rzeki pouczył mnie, że na razie byliśmy bezpieczni przed Komanczami, dlatego spytałem:

– Co mój brat znalazł w rzece?

– Zwłoki bladej twarzy, Winnetou postąpił dzisiaj dwa razy bezmyślnie, jak chłopiec, lecz nie obawia się niczego i spodziewa się, że biali bracia mu przebaczą!

Było to wyznanie, jakiego dumny Apacz nie byłby pewnie uczynił wobec nikogo innego. Nic na to nie odpowiedziałem, gdyż Winnetou pędził już na swoim wierzchowcu, tak że mój mustang ledwie mógł za nim nadążyć.

Nasi zatrzymali się tam, gdzie droga wiodła na prawo w góry, odgałęziając się od tropu Komanczów. Sans-ear zsiadł, aby przy pomocy towarzyszy poowijać koniom nogi, przy czym musiano porozcinać kilka koców. Następnie ruszyliśmy naprzód parowem. Winnetou szedł z tyłu pieszo, aby pozacierać ślady, gdyby jeszcze jakieś pozostały.

Za pierwszym zakrętem parowu zatrzymałem się.

– Bernardzie, przytrzymaj mego konia – rzekłem – dopóki za wami nie przyjdę.

Ta prośba zastanowiła Sama, bo zapytał:

– A co chcesz uczynić, Charley?

– Zaczekać tutaj, by zobaczyć, co zrobią czerwonoskórzy – odpowiedziałem.

– Well, masz słuszność! W ten sposób dowiemy się, czy odgadli nasz podstęp.

Towarzysze pojechali naprzód, ja zaś wlazłem w zarośla. Już po niedługim czasie usłyszałem tętent. To Komancze powracali, ale nie wszyscy. Był to tylko mały oddziałek. A gdzie się podziała reszta? Spostrzegłem także między nimi obydwóch Morganów; kapitana i Concheza jednak nie było. Indianie posuwali się naprzód bardzo powoli, z wzrokiem utkwionym w ziemię. Tam gdzie zatrzymaliśmy się, żeby poobwijać koniom nogi, stanęli, a jeden z wodzów zeskoczył z konia, schylił się i podniósł z ziemi coś, czego nie mogłem rozpoznać. Po krótkiej naradzie obydwaj biali i jeden z wodzów odłączyli się od reszty oddziału i aby wejść w parów na piechotę.

Badając bystrymi oczyma nawet pozornie nic nie znaczące rzeczy, zbliżali się coraz bardziej. Były to dla mnie chwile bardzo niebezpieczne. Jednak dzięki naszej przezorności nie zdołali nic zauważyć. Gdy mnie mijali, zobaczyłem w ręku wodza ów przedmiot. Była to wełniana nitka, którą przy rozcinaniu koców któryś z nas rzucił niebacznie na ziemię. Życie nas wszystkich wisiało więc teraz dosłownie na tej nitce.

Wywiadowcy zapuścili się jeszcze trochę dalej w parów, ale wkrótce zawrócili, nabrawszy widocznie przekonania, że nikt tędy nie przeszedł ani nie przejechał. Wobec tego wyniku badań uznali, że nie potrzebują już milczeć.

– Tu nie było nikogo – usłyszałem słowa Freda Morgana. – Ślady końskie pochodzą od naszych własnych koni.

– Ale kto to był ten czerwonoskóry i dwaj biali, których nie znaleźliśmy jeszcze? – zapytał syn.

– Wkrótce się o tym dowiemy, ponieważ nie mogą nam ujść. Czerwonoskóry był nagi, trudno więc było rozróżnić, do jakiego szczepu należy.

– Wyrządził nam niezłą przysługę, jeśli to był rzeczywiście trup tego Holferta, o którym mi opowiadałeś.

– To nie ulega wątpliwości. Ale w jaki sposób dostał się ów Indianin na to miejsce, gdzie obozowaliśmy tak długo? Czy był tam już przedtem, czy przyszedł później? Ja sądzę...

Więcej nie słyszałem, ponieważ mnie minęli. Z podchwyconych słów wywnioskowałem, że na razie nic nam nie grozi i że kapitan wolał nie pokazywać się Komanczom, zapewne dlatego, że jedynie w ten sposób mógł złapać porucznika na gorącym uczynku. Wydało mi się to oczywiście wątpliwe, czy on i Conchez zdołają ujść bystremu wzrokowi Komanczów.

Na razie trzej wywiadowcy wrócili znów do swego oddziału, który po krótkim rozkazie wodza zawrócił i zniknął za drzewami. Osiągnąłem zatem swój cel, pośpieszyłem więc za towarzyszami, do których dotarłem dopiero w pół godziny, gdyż zdążyli już przebyć spory szmat drogi. Winnetou spojrzał na mnie pytająco, ja zaś opowiedziałem o tym, co widziałem.

– Well! – rzekł Sam. – Udało nam się spłatać im figla.

– Synowie Komanczów – dodał Apacz – mają oczy, a nie widzą, a uszy ich są tak zatkane, że nie słyszą kroków nieprzyjaciół. Niech moi biali bracia pozdejmują koniom mokasyny.

Posłuchano chętnie tej rady Winnetou, gdyż konie, mając poobwijane kopyta, tylko z wielką trudnością posuwały się wzdłuż parowu zasypanego złomami skał i drzewami, postrącanymi z obu stron przez starość lub burze. Z każdą chwilą wchodziliśmy w coraz dzikszą okolicę, a koło wieczora dotarliśmy do łańcucha gór, biegnącego równolegle z Sierrą z północy na południe. Przekroczywszy te góry, jechaliśmy jeszcze dalej, aż o zachodzie słońca znaleźliśmy znakomite miejsce na obóz.

Wieczór i noc upłynęły spokojnie, a krótki wyjazd na zwiady, podjęty rano przeze mnie, utwierdził mnie w przekonaniu, że nikt nas nie ściga.

Dalszą drogę odbywaliśmy przez okolice coraz uboższe w lasy, ponieważ zaczynało brakować wody, jak o tym świadczyło mnóstwo wyschłych łożysk rzecznych, których głębokość tylko przywodziła myśl o dawnej obfitości wód. Gdy kto zbliży się do jednego z takich łożysk, poplątanych między sobą jak sieć, na przeciwległym brzegu ujrzy dokładne odbicie gruntu, na którym właśnie stoi. Przy tym im dalej się jedzie, tym dokładniej oznaczają się warstwice, aż w końcu jeździec staje nagle nad przepaścią. Okropność tej przepaści łagodzi chyba tylko to, że na dnie jej jest tak samo jasno jak na górze, mimo to jednak strome jej ściany stanowią trudną do przebycia przeszkodę.

Przyjrzawszy się dokładniej tym dolinom, można poznać, że w porze deszczowej bywają one całe wypełnione wodą, gdyż w rozmaitych miejscach powstają na skałach znaki, które wskazują, jak wysoko woda podeszła. Oko widza spoczywa tu z przyjemnością na piętrzących się nad sobą wspaniale skałach o malowniczych, a często dziwacznych zarysach. Na ogromnym obszarze sterczą skalne piramidy i sześciany, wznoszą się potężne kolumny i łuki, a woda wymywa gdzieniegdzie tak szczególne zakręty i żłobi tak dziwne, podobne do ozdób kontury, że trudno uwierzyć, iż nie wykonała tego ręka ludzka.

Dna tych łożysk nie tworzą wklęsłych koryt, a zejść na dół ze stromych i wysokich brzegów jest nadzwyczaj trudno. Płaskowyż jednak jest tak gęsto poprzecinany takimi suchymi łożyskami, że idąc wzdłuż ich brzegu, spotyka się co chwila poprzeczne doliny boczne. Prowadzą one do łożyska głównego. Ponieważ ciągnie się ono zwykle w jednym, wyraźnym kierunku, przeto może służyć za gościniec, o tyle wygodny i bezpieczny, że podróżnego można zobaczyć jedynie z brzegu. Ma to jednak tę złą stronę, że i podróżny nie dojrzy nieprzyjaciela, dopóki ten nie stanie bezpośrednio przed nim.

Jechaliśmy taką właśnie doliną ciągle w kierunku zachodnim, a im dalej posuwaliśmy się naprzód, tym stawała się ona płytsza i tym mniej uchodziło do niej dolin bocznych, aż w końcu zarysowały się przed nami porosłe lasem wzgórza Sierra Blanca.

U stóp gór napotkaliśmy znowu liczne dopływy Rio Pecos, a wśród nich także ten, który wytryskał w poszukiwanej przez nas dolinie.

Dotarliśmy do tej doliny późno po południu. Zajmowała ona przestrzeń długą może na półtorej mili, a około pół mili szeroką. Okalały ją wzgórza pokryte lasem, a nad wijącym się na dnie potokiem widniała świeża zieleń. Niestety, nie mogliśmy tu popaść koni, gdyż zdradziłoby to od razu naszą obecność.

– Czy to na pewno ta dolina, o którą nam chodzi? – zapytałem Hoblyna, ponieważ łatwo się było pomylić.

– To nie ulega wątpliwości, sir. Tam w górze pod dębem nocowałem z kapitanem, gdy byłem tu po raz pierwszy.

– Radziłbym obejrzeć się za jakąś boczną doliną, gdziebyśmy mogli pod dozorem którego z nas zostawić konie. W ten sposób ułatwilibyśmy sobie robotę, bo mielibyśmy wolne ręce.

– To niezły pomysł – rzekł Sam – ale co byśmy poczęli, gdybyśmy nagle potrzebowali koni? Ja swojej Tony nie puszczę tak daleko od siebie!

– Well! W takim razie musimy poszukać kryjówki w lesie. Ja z Bobem zbadam tę stronę, a Winnetou tamtą. Wy, reszta, poczekajcie tu na nas.

Zsiadłem z konia, wziąłem rusznicę i udałem się z Murzynem w las, który pokrywał dość strome zbocze doliny. Z powodu powalonych drzew i rozrzuconych głazów niełatwo było wprowadzć tu konie. Szliśmy w pewnym oddaleniu, równolegle do siebie. Nagle, może w połowie zamierzonej drogi, Bob krzyknął głośno:

– Massa, och, ach, massa, przyjść prędko!

Zwróciłem się ku niemu i zobaczyłem, jak skoczył ku niewielkiemu bukowi, chwycił się najniższego konara i wspiął się na drzewo.

– Co tam, Bobie?

– Massa, przyjść prędko na pomoc czarnemu! O, nie przyjść! Biegnąć i sprowadzić wszystkich ludzi, aby zabić potwór!

Nie potrzebowałem pytać, jakiego potwora miał na myśli, gdyż ten wypadł właśnie z gęstego podszycia. Był to szary niedźwiedź z owego miłego gatunku, który myśliwi nazywają grizzli.

Słyszałem straszny głos lwa, który Arab nazywa "rad", czyli grzmot, słyszałem ryk bengalskiego tygrysa i serce mi wtedy zamierało, chociaż ręka musiała zachować pewność. Lecz głuchy, chrapliwy, złowrogi i demoniczny pomruk szarego niedźwiedzia przenika aż do szpiku kości i najodważniejszego nawet myśliwego przejmuje strachem, tak że zęby mu szczękają, tylko że strach ten odczuwa się nie tylko w żyłach, lecz w całym ciele.

Może na osiem kroków przede mną niedźwiedź wyprostował się na tylnych łapach i rozwarł paszczę. Było jasne, że jeden z nas musi zginąć. Wymierzyłem mu w oko i wypaliłem, a w następnej chwili wycelowałem w serce i wystrzeliłem powtórnie. Odrzuciwszy strzelbę, dobyłem noża i skoczyłem w bok, aby lepiej uderzyć. Olbrzymi zwierz wyprostowany jak świeca, jak gdyby obydwie kule przeleciały obok niego bez skutku, zrobił ku mnie jeden krok, drugi, trzeci, czwarty, ale w chwili, kiedy zamierzałem go pchnąć, opuścił wzniesione do góry łapy, wydał jakiś chrapliwy ryk, postał z minutę i runął nagle jak pod uderzeniem maczugi. Jedna kula wbiła mu się w mózg, a druga w serce – główne ośrodki życia. Pantera albo jaguar zwinąłby się po takim strzale jak kot, mój grizzli zaś kroczył sobie spokojnie dalej! Jeszcze dwa kroki, a byłoby już po mnie.

– Och, ach! Dobrze, pięknie! – zawołał Bob z drzewa. – Czy niedźwiedź być dobrze zabity, massa?

– Tak, zejdź!

– Ale czy on na pewno nie żyć, massa? Nie pożreć czarnego Boba?

– Jest już martwy.

Tak samo szybko, jak uciekł na drzewo, zlazł teraz Murzyn na ziemię, ale gdy się przybliżył, nogi mu zadrżały. Ja sam nachyliłem się nad niedźwiedziem bardzo ostrożnie i wbiłem mu kilkakrotnie nóż pomiędzy drugie a trzecie żebro.

– Och, ach, wielki niedźwiedź większy niż cały Bob! Czy Bob może jeść niedźwiedź?

– Tak, szynka i łapy są delikatne w smaku.

– O, massa dać Bobowi łapy i szynki, bo Murzyn także bardzo delikatny.

– Dostaniesz swoją część jak każdy z nas. Ale zaczekaj tutaj, ja zaraz przyjdę.

– Bob czekać tutaj? A jeśli niedźwiedź znowu dostać życie?

– To wskoczysz z powrotem na drzewo!

I rzeczywiście w chwilę potem siedział Murzyn na drzewie. Nie był on tchórzem, bo wobec ludzi zawsze stawał mężnie, ale szarego niedźwiedzia nigdy w życiu nie widział, dlatego rozumna jego ostrożność nie dziwiła mnie wcale.

Przeszukałem najpierw otoczenie, aby się przekonać, czy tylko ten jeden niedźwiedź wyszedł z kryjówki, czy też znajdowała się w pobliżu cała rodzina. Na szczęście znalazłem ślady tylko tego jednego zwierzęcia, co mnie znacznie uspokoiło. Zresztą ani Bob, ani ja nie byli-

śmy długo sami. Moje strzały usłyszeli oczywiście towarzysze, a ponieważ nie wiedzieli, co je wywołało, natychmiast ku nam pospieszyli.

Wszyscy uznali zabite zwierzę za jedną z największych sztuk, jakie dotychczas widziano, a Winnetou nachylił się, ażeby zanurzyć w jego krwi swój worek z lekami.

– Mój biały brat dobrze trafił. Dusza niedźwiedzia będzie mu wdzięczna, gdyż prędko i bez męki wyzwoliła się z okowów ciała, a teraz może pójść do wiecznych ostępów swoich ojców!

Indianie wierzą, że w każdym szarym niedźwiedziu mieszka dusza jakiegoś słynnego strzelca, która odbywa w ten sposób pokutę jak gdyby w czyśćcu. Apacz pomógł mi zdjąć skórę ze zwierzęcia i odciąć najcenniejsze kawałki mięsa. Resztę przykryliśmy gałęziami i kamieniami, ziemią i mchem, ażeby nie spostrzegły jej sępy, które mogłyby zdradzić naszą obecność.

Kiedy ja byłem zajęty walką z niedźwiedziem, Winnetou wyszukał po drugiej stronie doliny kryjówkę dla koni. Ponieważ był jeszcze jasny dzień, przeto odważyliśmy się rozniecić ogień, by upiec soczyste łapy niedźwiedzie, które wybornie nam smakowały.

Gdy się ściemniło, owinęliśmy się kocami, a po ustaleniu porządku straży ułożyliśmy się na spoczynek. Przez całą noc spaliśmy bez przeszkody, a większa część następnego przedpołudnia upłynęła także bez żadnego wypadku.

Każdy z nas pełnił po kolei straż u wejścia do doliny.

W oznaczonym czasie posterunek objął Sans-ear. Wkrótce potem wrócił i doniósł:

– Nadchodzą!

– Kto? – zapytałem.

– No, tego, na przykład, nie mogę dokładnie powiedzieć, bo jeszcze są za daleko.

– Ilu ich jest?

– Dwóch na koniach.

– Pokaż!

Udałem się z nim na wskazane miejsce i za pomocą lunety rozpoznałem obydwóch Morganów, których dzielił jeszcze od doliny z kwadrans drogi. Wszystkie ślady naszej obecności były skrzętnie zatarte, a ponieważ oprócz tego przeważaliśmy liczebnie, przeto mogliśmy z zupełnym spokojem oczekiwać ich przybycia.

Właśnie skierowaliśmy się z Samem z powrotem do doliny, kiedy nagle coś zatrzeszczało nad nami w zaroślach. Pomyślałem najpierw, że to może znowu niedźwiedź, ale uważniejsze nadsłuchiwanie przekonało nas, że to zbliżały się z góry jakieś dwie inne istoty.

– Niech to wszystko diabli, Charley, kto to może być?

– Zaraz zobaczymy. Chodźmy czym prędzej w krzaki!

Obaj ukryliśmy się tak, że gałęzie zasłaniały nas całkowicie, ale mimo to byliśmy każdej chwili gotowi do obrony, gdyby się zjawiły dzikie zwierzęta. W kilka minut potem poznaliśmy, że nie były to zwierzęta, lecz dwaj ludzie, którzy schodzili z góry, prowadząc konie za sobą. Byli to kapitan i Conchez. Po ich koniach znać było znużenie, a i powierzchowność jeźdźców dowodziła, że odbyli ciężką podróż.

Stanęli nie opodal naszej kryjówki, bo stąd otwierał się swobodny widok w dal.

– Nareszcie! – zawołał kapitan z westchnieniem ulgi. – To była jazda, jakiej nie życzyłbym sobie powtórzyć. Ale przybywamy przynajmniej na czas, bo widzę, że nikogo tu jeszcze przed nami nie było.

– Po czym to poznajecie? – zapytał jego towarzysz,

– Moja kryjówka jest jeszcze nienaruszona. Morganów tu zatem nie było, a nikt inny nie mógłby chyba dostać się w te odległe strony.

– Prawdopodobnie macie słuszność. Nie myślicie już zapewne o Sans-earze i Old Shatterhandzie?

– W istocie, nie biorę ich w rachubę. Gdyby ścigali Morganów, musieliby się natknąć na Komanczów, a to zniechęciłoby ich do dalszej podróży.

– Niepokoi mnie jednak sprawa z tym nieznanym nagim Indianinem nad Rio Pecos i białym trupem w wodzie.

– To nas teraz nic nie obchodzi. Nikt nam tu zaszkodzić nie może, gdyż za nami są Komancze. Każdy, komu by przyszło na myśl nas ścigać, wpadłby na nich.

– Sądzicie więc, że czerwonoskórzy są na pewno za nami?

– To nie ulega wątpliwości tak jak to, że stoję tu przy tobie. Zabili Indianina, jeśli był ich nieprzyjacielem – w co zresztą wątpię, gdyż Apacz nie zapędzałby się tak daleko – a potem ruszyli za nami. Spieszyliśmy się przecież tak bardzo, że musieliśmy zostawić ślady niczym stado bizonów.

– A jeśli nas tutaj znajdą?

– To nic strasznego. Jesteśmy przecież ich przyjaciółmi. Zdziwią się najwyżej, że nie daliśmy się im poznać, ale ja im to wytłumaczę w ten sposób, że opowiem im o poruczniku, który... – Carajo! Dam się powiesić, jeśli to nie on nadchodzi!

– To on!

– Dobrze! W takim razie mamy go nareszcie. Niech poczuje, co to znaczy oszukiwać kapitana i towarzyszy!

– Jest ich tylko dwóch, to znaczy, że Komancze idą za nami. Ale, kapitanie, czy naprawdę chcecie dzisiaj wydobyć skarb? W mojej obecności?

– Tak.

– Dla kogo?

– Dla nas.

– „Dla nas”, to może znaczyć dla całej naszej kompanii albo tylko dla nas dwóch.

– Co byś ty wolał?

– To łatwiej pomyśleć aniżeli powiedzieć. Jeśli jednak uprzytomnicie sobie, co się stało z naszą kryjówką, to wiecie, że lepiej chyba tam nie wracać. Po tak długich trudach i mękach, jakieśmy wycierpieli, pragnie człowiek w końcu trochę spokoju i wygód. Wy możecie sobie ten spokój zapewnić dzięki temu, co macie w swej kryjówce, a jest tego tyle, że wystarczy i dla mnie.

– Mówisz jak z książki. Teraz jednak idzie przede wszystkim o to, żeby tym dwom łajdakom dać dobrze po łapach! Chodźmy dalej w górę, tam jest miejsce jak wymarzone, a skarb znajduje się blisko.

Czyżby niespodziewający się niczego kapitan miał na myśli miejsce, gdzieśmy obozowali? Rzeczywiście, prowadząc za sobą konie, skierowali się prosto w tę stronę, nie troszcząc się o nic tak dalece, że nie spostrzegli śladów zostawionych przeze mnie i przez Sans-eara. Co prawda trzeba było mieć dobre oczy, aby je rozpoznać.

Nasi usłyszeli, że ktoś obcy się zbliża, i podnieśli się z ziemi. Jeszcze dziś pamiętam miny obu dżentelmenów, gdy wyszedłszy z krzaków, poznali Indianina, którego ścigali wzdłuż Rio Pecos. Ja omal się nie roześmiałem głośno.

– Hoblyn! – zawołał Conchez poznawszy swego kolegę.

– Hoblyn? – spytał kapitan, – Naprawdę! Jak dostałeś się do Sierra Blanca i kto są ci ludzie?

Wtem ja podszedłem do niego z tyłu i poklepałem go po ramieniu.

– Znajomi, sami znajomi, kapitanie. Zbliżcie się do nas, usiądźcie i rozgośćcie się swobodnie!

– A kto wy, senior? – zapytał.

– Przedstawię wam zaraz wszystkich, wobec czego na mnie przyjdzie kolej na końcu. Ten czarny master nazywa się Bob i był najlepszym przyjacielem niejakiego mr. Wiliamsa, dobrze

wam znanego. Ten biały dżentelmen to pan Marshall z Louisville. Ma on kilka słów do zamienienia z Morganami, którzy zamierzają wam wykraść jajka z gniazda. Ten czerwonoskóry dżentelmen nazywa się Winnetou. To nazwisko chyba już nieraz obiło się o wasze uszy, dlatego nie będę wygłaszał przy nim osobnej przemowy. Tego dżentelmena nazywają zwykle Sans-ear, a mnie Old Shatterhand.

Kapitan tak osłupiał ze strachu, że nie zdobył się na żadną odpowiedź, tylko wyjąkał:

– Czy to być może?

– Nawet bardzo! Siądźcie sobie przy nas wygodnie, tak jak ja to uczyniłem w waszej kryjówce, kiedy was podsłuchałem i wziąłem sobie wasz pistolet na pamiątkę. Przedwczoraj leżałem znowu obok was, kiedy podsłuchiwaliście Komanczów i wywnętrzaliście się serdecznie przed sobą. Bobie, odbierz broń tym panom i zwiąż im cokolwiek ręce i nogi!

– Senior! – wybuchnął kapitan.

– Dobrze już, dobrze! Pomówimy z wami jak ze stakemanami. Nie zadawajcie sobie nadaremnie trudu, gdyż zanim Morganowie dotrą do doliny, będziecie skrępowani, zakneblowani albo... martwi!

To wszystko spadło na nich tak prędko i niespodziewanie, że zapomnieli nawet o obronie.

– Senior capitano, gdzie się znajduje kryjówka, której się zachciewa Morganom? – zapytałem.

– Te rzeczy do was nie należą!

– Tak wy się na to zapatrujecie, ale ja sądzę, że będzie inaczej. Nie zmuszam was bynajmniej do wypaplania tajemnicy, lecz stawiam tylko jedno pytanie, na które żądam odpowiedzi: co się stało z tak zwanymi agentami handlowymi, którzy poszli z waszym porucznikiem i z kupcami, których ścigali?

– Kupca... hm, nie wiem...

– Well! Już wiem. A agenci?

– Dwóch zapewne wróciło do kryjówki, a trzeciego zamordował w drodze porucznik. Znaleźliśmy jego zwłoki.

– Ja tak samo myślałem! A teraz pozwólcie sobie spokojnie założyć kneble! To tylko po to, żebyście nie zdradzili nas przed Morganami!

Ledwie uporaliśmy się z nimi, kiedy u wejścia do doliny ukazali się obaj Morganowie. Zatrzymali się na chwilę i rozejrzeli w terenie. Potem Patrick ścisnął konia ostrogami i pojechał kłusem, a ojciec za nim, co wskazywało na to, że nie mieli zamiaru zabawić tutaj dłużej. Wprost naprzeciw nas, w odległości dwudziestu kroków, rósł młody krzak ożyny. Tam skierowali się obaj jeźdźcy.

– To tutaj, ojcze! – rzekł Patrick.

– Tu? Kto by przypuszczał, że tak niepokaźne miejsce kryje w sobie takie skarby!

– Musimy się prędko z tym załatwić! Nie wiadomo, kto byli ci dwaj biali i czy udało się Komanczom ich pochwycić.

Mówiąc to obaj jeźdźcy zeskoczyli z siodeł i przywiązali konie nad brzegiem potoku. Gdy spragnione zwierzęta piły wodę, opryszkowie uklękli, odłożyli broń i zaczęli usuwać nożami zarośla. Następnie wzięli się do rozkopywania ziemi.

– Tu – rzekł Patrick i pokazał wkrótce jakąś paczkę zaszytą troskliwie w skórę bawolą.

– Czy to już wszystko?

– Wszystko, ale jest tego dość: banknoty, depozyty. Trzeba prędko zasypać i zakryć dziurę i zniknąć stąd lotem błyskawicy!

– Może jednak zostaniecie trochę dłużej!

Te słowa wypowiedział Sans-ear, a równocześnie ja jednym skokiem znalazłem się pomiędzy nimi a ich bronią. Reszta naszych towarzyszy wymierzyła do nich z rusznic. Sans-ear podobny był do tygrysa gotowego rzucić się na swoją ofiarę. W pierwszej chwili zaskoczyło ich

to zupełnie, lecz opamiętali się rychło i chcieli chwycić za broń. Ale ja wycelowałem do nich z rewolweru i zagroziłem tymi słowy:

– Zatrzymajcie się tam, gdzie stoicie, gdyż pierwszy krok przypłacicie życiem!

– Kim jesteście? – zapytał Fred Morgan.

– To wam powie rzekomy mr. Meercroft, wasz syn.

– Jakim prawem napadacie na nas?

– Takim samym, jakim wy napadaliście na innych, na przykład na mr. Marshalla w Louisville, potem na pociąg, a dawniej jeszcze na farmę niejakiego Sama Hawerfielda, który stoi tu właśnie przed wami. Bądźcie łaskawi położyć się plackiem na ziemi.

– Tego nie zrobimy!

– Sądzę, że upór wasz zmięknie, gdy wymienię wam nasze nazwiska. Tu stoi wódz Apaczów, Winnetou, to jest Sans-ear, dawny Sam Hawerfield, a mnie znacie już zapewne z tego, co opowiedział wam wasz syn. Liczę do trzech, jeśli potem nie będziecie leżeli, zginiecie. Raz... dwa!...

Z zaciśniętymi zębami i pięściami Morganowie posłuchali rozkazu.

– Bobie, zwiąż ich!

– Bob związać bardzo pięknie, całkiem mocno, massa! – rzekł czarny zabierając się od razu do spełnienia swej obietnicy.

W czasie tego zajścia Bernard strzegł kapitana i Concheza. Teraz zastąpił go Bob, dzięki czemu Bernard mógł podejść do nas. Na jego widok Fred Morgan rozwarł oczy, jak gdyby zobaczył widmo.

– Marshall!

Bernard rzucił nań krótkie spojrzenie. Nie powiedział ani słowa, ale w spojrzeniu tym tkwiło zimne, spokojne postanowienie sprawiedliwego odwetu.

– Bobie, przyprowadź tamtych! – rzekł Sam. – Nie będziemy, na przykład, długo się tu zatrzymywać, ale krótko i węzłowato odprawimy nad tymi ludźmi sąd!

Murzyn sprowadził Concheza i kapitana, a za nimi przyszedł Hoblyn, który przez cały ten czas sprawował się lepiej, aniżeli można się było tego spodziewać po stakemanie.

– Kto zabierze głos? – zapytał Bernard.

– Charley! – rzekł Sam.

– Nie – zauważyłem. – My wszyscy jesteśmy stroną poszkodowaną, z wyjątkiem Winnetou. On jest wodzem prerii, niech przeto zabierze głos, abyśmy mogli załatwić tę sprawę.

Wszyscy zgodzili się na to, Apacz zaś skinął głową na znak zgody.

– Wódz Apaczów słyszy mowę ducha sawannów i będzie sprawiedliwym sędzią nad białymi. Niech moi bracia wezmą broń do rąk, gdyż jedynie mężowie mogą sądzić pojmanych!

Poszliśmy za tym indiańskim zwyczajem, a Winnetou zaczął:

– Jak się nazywa ten biały?

– Hoblyn – odparł Sam.

– Co on uczynił?

– Był stakemanem.

– Czy zabił któregoś towarzysza moich braci?

– Nie.

– Komu teraz dopomagał: stakemanom, czy moim braciom?

– Nam.

– W takim razie niech moi bracia rozstrzygają sercem, a nie strzelbą. Winnetou chce, żeby ten człowiek odzyskał wolność, lecz nie wracał już do stakemanów!

Wszyscy przyjęliśmy wyrok Apacza, który tak na mnie podziałał, że chwyciłem strzelbę i nóż Freda Morgana i podałem Hoblynowi, mówiąc:

– Weźcie sobie tę broń! Jesteście wolni.

– Dziękuję wam, sir! – rzeki uradowany Hoblyn. – Nie zrobię wam zawodu.

Widać było po nim, że miał szczerą chęć dotrzymania obietnicy.

Winnetou mówił dalej:

– Kto to jest to blada twarz?

– Dowódca stakemanów.

– To wystarczy; on musi umrzeć. Czy moi bracia tak. samo sądzą?

Nikt nie zaprzeczył, czyli wyrok zatwierdzono.

– A jak się nazywa ten człowiek?

– Conchez.

– To imię, jakie noszą fałszywi ludzie z Południa. Czym on był?

– Stakemanem.

– Czego szukał tutaj? Chciał własnym towarzyszom zabrać ich skarb. Ma dwie dusze i dwa języki. Niechaj również umiera!

I teraz nie podniósł się nikt dla obrony stakemana, wobec czego Winnetou mówił dalej:

– Ale nie zginą oni z ręki uczciwego męża, lecz z ręki takiego, który będzie również osądzony. Jak się nazywa ten człowiek?

– Patrick.

– Zdjąć z niego więzy, a on niech wrzuci stakemanów do wody! Żadna broń nie śmie ich dotknąć, niechaj utoną w wodzie!

Bob rozwiązał Patricka, a ten wykonał dany sobie rozkaz z gotowością, jaką okazać może tylko bardzo zatwardziały zbrodniarz. Widział, że jest zgubiony, ale odczuwał widocznie przyjemność wypełniając przedtem na swych towarzyszach funkcję kata. Skazańcy byli tak związani, że nawet nie próbowali się opierać. Mimo to odwróciłem głowę, by nie patrzeć na miejsce, gdzie dwóch ludzi miało zginąć dziesięciokrotnie zasłużoną, lecz gwałtowną śmiercią.

W dwie minuty było po wszystkim. Patrick pozwolił się znowu związać, gdyż w jego położeniu nie pozostawało mu nic innego.

– Kto są te dwie blade twarze? – zapytał Winnetou.

– Ojciec i syn.

– Jakie zbrodnie zarzucają im moi bracia?

– Ja – odrzekł Sam – oskarżam ich o mord popełniony na mojej żonie i moim dziecku.

– Ja oskarżam starszą bladą twarz o to, że zamordowała mego ojca – dodał Bernard.

– A ja go oskarżam o rozbójniczy napad na pociąg i zabicie jednego urzędnika kolejowego – dokończyłem. – Młodszą białą twarz oskarżam o zamach morderczy na mnie i na was. Te zbrodnie wystarczą do ich potępienia, choć można by ich przytoczyć o wiele więcej.

– Mój brat słusznie powiedział: to wystarczy. Niechaj umrą, a zabije ich czarny mąż.

– Stój! – zawołał Sam. – Do tego nie dopuszczę ja, który ścigałem ich od wielu lat. Krzywda, którą mi oni wyrządzili, jest ich najdawniejszą zbrodnią. Życie ich należy się mnie, a ich karby – mojej strzelbie. Gdy oni odpokutują za owe morderstwo, Sans-ear będzie wreszcie spokojny i wraz ze swoją Tony znajdzie odpoczynek w jakiejś szczelinie górskiej lub na prerii, gdzie bieleją kości tysiąca strzelców!

– Żądanie mego brata jest słuszne. Niech więc weźmie sobie morderców i postąpi z nimi, jak zechce!

– Samie! – powiedziałem po cichu, pochylając się ku niemu, by nikt oprócz niego nie usłyszał moich słów. – Nie plam się krwią morderców, strzelając do bezbronnych z zimną zawziętością.

Myśliwiec utkwił wzrok w ziemi i milczał. Aby mu dać czas do namysłu, przystąpiłem z Bernardem do konia Freda Morgana. W kaburach siodła znaleźliśmy tylko kilka pereł, które jubiler rozpoznał jako swoje. Wobec tego zbadaliśmy jeszcze samego mordercę i znaleźliśmy

przyszytą z jednej strony do jego bawolej bluzy paczkę, która zawierała banknoty niemałej wartości. Była to niewątpliwie część odebrana Holfertowi. Bernard schował tę paczkę.

W tej chwili, z miejsca gdzie stały nasze konie, doleciało mnie trwożne parsknięcie, które, jak mi się zdawało, wydał mój mustang. Zaniepokojony tym podszedłem do konia i zobaczyłem, jak z podniesioną grzywą i z iskrzącymi oczami starał się wyrwać z rzemienia. To zachowanie się wskazywało na to, że w pobliżu muszą się znajdować drapieżne zwierzęta albo Indianie. Uświadomiwszy to sobie, krzyknąłem, aby ostrzec towarzyszy, ale oni mnie już nie dosłyszeli, gdyż w tej samej chwili zabrzmiało w dolinie okropne wycie.

Skoczyłem czym prędzej na skraj zarośli i spojrzałem przez gałęzie. Oczom moim przedstawił się straszny widok. Cały plac roił się od dzikich. Trzech czy czterech klęczało nad Samem, którego powalono na ziemię. Dwóch innych zarzuciło lasso na szyję Winnetou i wlokło go za sobą. Hoblyn leżał na ziemi ze strzaskaną czaszką, a Bernarda nie mogłem wcale dojrzeć, tylu się nań rzuciło napastników.

Rakurrojowie udali się więc rzeczywiście śladami kapitana, podeszli nas niepostrzeżenie, kiedy odprawialiśmy sąd, i wpadli tak niespodziewanie, że wszelki opór był niemożliwy. Co mogłem uczynić dla przyjaciół? Nic, chyba tylko ocalić siebie. Bardzo łatwo zastrzeliłbym z pół tuzina czerwonoskórych, ale komu by to było przyniosło korzyść? Oprócz Hoblyna wszyscy jeszcze żyli, a znając Komanczów, spodziewałem się, że zabiorą napadniętych, aby dopiero w swojej wsi zadać im powolną śmierć męczeńską. Wróciłem więc do swego konia, odwiązałem go i ciągnąc za sobą, zacząłem się wspinać na górę, jak tylko mogłem najszybciej. Na uratowanie czegoś więcej nie było czasu, gdyż dzicy niewątpliwie widzieli, jak wchodziłem w zarośla, gdybym zawrócił – usiłowaliby mnie pochwycić.

Wspinałem się wraz z koniem z wielką trudnością, ponieważ zbocze było strome, gdy jednak dostałem się na szczyt, skończył się las, który mi przeszkadzał w ucieczce. Tam wskoczyłem na siodło i puściłem się wzdłuż grzbietu z takim pośpiechem, jak gdyby mnie ścigała cała zgraja Indian. Po jakimś czasie zjechałem znowu w inną dolinę. Śladów swoich nie starałem się bynajmniej ukryć, bo wiedziałem, że prześladowcy i tak je na pewno odnajdą i pójdą za nimi. Chciałem tylko wywieść czerwonoskórych w pole.

Na takiej nieprzerwanej jeździe w kierunku zachodnim upłynęła mi część dnia, po czym dostałem się nad brzeg rzeczki. Woda płynęła tu w skalistym łożysku, dzięki czemu kopyta końskie nie zostawiały żadnych śladów. Tam więc zawróciłem konia i pojechałem przez dłuższy czas pod prąd, aby znużyć moich prześladowców. Po krótkim odpoczynku obwiązałem koniowi nogi szmatami i drogą okrężną wróciłem tam, skąd rozpocząłem ucieczkę.

Słońce już zaszło, kiedy ujrzałem pasmo górskie, za którym leżała nieszczęsna dolina. Dalej nie mogłem się już zbliżyć tego samego dnia, wyszukałem więc w lesie miejsce pokryte mchem i stosowne na nocleg. Mój wierzchowiec był tak wyczerpany z powodu jazdy z owiniętymi nogami, że nawet nie miał ochoty paść się, lecz położył się natychmiast obok mnie na ziemi.

Co za zmiany zaszły w naszej sytuacji! Nie byłem jednak usposobiony do rzewnych rozmyślań. W tym położeniu można było coś zdziałać tylko czynami, a do tego potrzebowałem przede wszystkim spoczynku i snu. Zamknąłem oczy, a kiedy otworzyłem je na powrót, słońce stało już wysoko na niebie.

Najpierw rozejrzałem się za paszą dla konia, przywiązałem go i wybrałem się, aby obejrzeć pole wczorajszej walki. Był to wprawdzie zamiar bardzo niebezpieczny, ale musiałem się nań odważyć, jeśli chciałem pomóc moim towarzyszom. Skradałem się na górę powoli, krok za krokiem, przez co na drogę, którą zwykły piechur przebyłby w dziesięć minut, potrzebowałem dwóch godzin. Potem z jeszcze większą ostrożnością zacząłem schodzić z góry. Gdy już prawie mijałem potężny stary dąb, usłyszałem jakiś szczególny głos:

– Pst!

Oglądnąłem się, lecz nic nie dostrzegłem.

– Pst!

Wydało mi się, że głos pochodził z góry, toteż spojrzałem w tym kierunku.

– Pst, massa!

Ach! W górze nad pierwszą gałęzią czerniała wypróchniała dziupla, a z niej krzywiła się do mnie w uśmiechu twarz Boba.

– Czekać, massa, Bob zejść! – szepnął.

Zaraz potem z cichym szelestem rozstąpiły się przede mną gałęzie leszczyny rosnące dokoła pnia.

– Massa wejść do pokoju; żaden Indianin nie znaleźć tu mądry Bob i massa!

Poszedłem za jego radą i znalazłem się we wnętrzu spróchniałego drzewa, którego otwór zakrywała zupełnie leszczyna.

– Tam do licha, jak to odkryłeś?! – zapytałem.

– Bydle uciekać przed Bobem, wleźć w drzewo i patrzeć z okna u góry. Bob zrobić tak samo.

– Jakie to było zwierzę?

– Bob nie wiedzieć. Być wielkie, mieć cztery nogi, dwa oczy i ogon.

Z tego równie dokładnego jak bystrego opisu domyśliłem się, że to był szop.

– Kiedy znalazłeś to drzewo?

– Zaraz kiedy przyjść Indian.

– A więc siedzisz tutaj od wczoraj? Co słyszałeś przez tan czas i co widziałeś?

– Bob słyszeć i widzieć dużo Indian.

– Więcej nic?

– Czy to nie dość?

– Czy tutaj dzikich nie było?

– Być tu, ale nie zauważyć Bob. Potem oni zrobić ogień, kiedy przyjść wieczór, i piec szynka z niedźwiedzia, którego massa zabić. Czemu wolno im jeść nasz niedźwiedź?

Oburzenie poczciwego Murzyna było wprawdzie usprawiedliwione, ale fakt pozostawał faktem.

– Co dalej?

– Potem być rano i Indian odejść.

– Ach, odeszli! Dokąd?

– Bob nie wiedzieć, bo nie móc iść za nimi, ale widzieć, jak dużo Indian opuścić dolinę. Małe okno w górze, można śledzić wszystko. Być także massa Winnetou i massa Sam, i massa Bern! Mieć dużo sznurów i rzemieni na rękach.

– A potem?

– Potem Indian kręcić się tam i sam, chcieć schwytać Bob, ale Bob być mądry.

– Ilu tu ich jeszcze zostało?

– Bob nie wiedzieć, ale znać miejsce gdzie.

– No?

– Tam gdzie niedźwiedź. Bob patrzeć przez okno. Spojrzałem w górę i przekonałem się, że pustym wnętrzem drzewa można było rzeczywiście wydostać się na górę, czego zresztą dowiódł Bob. Wylazłem więc aż do otworu w pniu, który Murzyn nazywał oknem, a stamtąd mogłem istotnie rzucić okiem ku przeciwległemu zboczu doliny. Pod pniem buka, na który uciekł Bob przed niedźwiedziem, spostrzegłem ze zgrozą siedzącego w kucki Indianina. Widocznie więc po odprowadzeniu jeńców rozstawiono potajemnie posterunki, aby nas pojmały, skoro tylko wrócimy.

W niepewności, co należałoby teraz począć, zlazłem znów na dół i powiedziałem do Murzyna:

– Tam jest tylko jeden, Bobie!

– Gdzie indziej być jeszcze jeden i jeszcze jeden, ale Bob nie wiedzieć dokładnie, w którym miejscu.

– Zaczekaj tutaj na mnie!

– Massa chcieć iść? O, massa, zostać tu z Bobem!

– Musimy dołożyć wszelkich starań, żeby ocalić naszych przyjaciół.

– Ocalić? Ocalić massa Bern? O, to być bardzo pięknie, bardzo dobrze! Bob także ocalić massa Bern i massa Sam, i massa Winnetou!

– Więc zachowuj się cicho, żeby cię nie schwytano!

Opuściłem wypróchniałe drzewo. Cieszyłem się bardzo, że przynajmniej jeden z towarzyszy wyszedł cało. Musiałem Indianom przyznać, że sprytnie postąpili zostawiając straż przy niedźwiedzim mięsie, które mogło mieć dla nas siłę przyciągającą i przyprawić nas o zgubę.

W godzinę potem znajdowałem się po drugiej stronie doliny, nie dalej jak o trzy łokcie od Indianina. Indianin stał nieruchomy jak posąg, bawiąc się dwoma palcami zawieszoną na szyi piszczałką, którą można naśladować głos sępa. Takich piszczałek używano często dla tajnego porozumiewania się. Było więc prawdopodobne, że i tym razem ustalono taki sygnał.

Indianin był jeszcze młody, mógł mieć zaledwie osiemnaście lat. Może po raz pierwszy brał udział w wyprawie wojennej? Ozdoby jego głowy i czystość ubrania oraz dobra broń dowodziły, że był synem wodza. Czy miałem go zabić, czy miałem zniszczyć to młode, pełne nadziei życie? Nie!

Przysunąłem się do niego cicho i pochwyciwszy go lewą ręką za gardło, zadałem mu prawą pięścią cios tak lekki, że dorosłemu wojownikowi nic by się nie stało, jego jednak ogłuszyło to natychmiast. Potem go skrępowałem, zakneblowałem mu usta i przywiązałem do drzewa tak, że otoczony zewsząd zaroślami był wprost niewidoczny. Odebrałem mu piszczałkę, a ukrywszy się przyłożyłem ją do ust i świsnąłem. Natychmiast zaszeleściło naprzeciwko mnie w zaroślach i wyszedł stamtąd stary Indianin, który ruszył prosto na mnie. Jedno uderzenie kolbą rozciągnęło go na ziemi. On również nie zginął, lecz padł ogłuszony, nie miałem bowiem zamiaru go zabić, a chciałem tylko chwilowo unieszkodliwić.

W pobliżu było niezawodnie więcej Indian aniżeli dwóch czy trzech, zwabiać ich zaś za pomocą piszczałki i ogłuszać w ten sposób jednego po drugim było niemożliwe. Przede wszystkim musiałem się dowiedzieć, gdzie są ich konie. Jakkolwiek było to dość niebezpieczne, wydałem z siebie głos naśladujący rżenie ogiera i stamtąd, gdzie przedtem stały nasze konie, otrzymałem kilkakrotną odpowiedź.

Teraz zdałem się na los szczęścia. Związawszy starego Indianina jego własnym lassem, wziąłem młodego na barki i pobiegłem pod osłoną drzew dokoła zakrętu, tworzącego tylną ścianę doliny, ku miejscu, na którym znajdowały się konie. Było ich sześć, co dowodziło niezbicie, że jeszcze czterech Indian pilnowało doliny. Ci jednak niewątpliwie zajęli stanowiska bliżej jej wylotu, dzięki czemu miałem dość czasu na swoje przygotowania. Najpierw więc udałem się do Boba, który, wdrapawszy się w górę wydrążenia dębowego, patrzył przez swoje okno. Ujrzawszy, że się zbliżam, zsunął się na dół i wyjrzał spomiędzy leszczyny.

– Massa, ach, złapać Indianina! Massa zabić Indianina?

– Nie. Trzeba go tylko przytrzymać tutaj. Czy pomożesz mi w ocaleniu massy Bernarda?

– Czy Bob ocalić massa Bern, kochany, dobry massa Bern? Jak to Bob zrobić?

– Weźmiesz tego Indianina i poniesiesz go w górę, a potem prosto w dół, aż dojdziesz do wielkiego klonu. Tam złożysz go na ziemi i zaczekasz na mnie.

– Bob tak zrobić, massa!

– Ale nie dotkniesz jego więzów. Gdyby się uwolnił, byłbyś zgubiony!

– Bob nie chcieć być zgubiony!

– To dobrze. Więc dalej do dzieła!

Olbrzymi Murzyn zarzucił sobie Indianina na plecy i ruszył w górę, ja natomiast powróciłem do koni Komanczów. Właściwości terenu nie pozwalały na to, żeby usunąć stamtąd wszystkie sześć zwierząt, to znaczy wyprowadzić je z doliny na górę, a potem na dół. Sam jednak mogłem tego dokonać prędzej aniżeli z pomocą Murzyna, ponieważ znałem konie indiańskie. Pozwolą wprawdzie wsiąść na siebie Murzynowi, ale żadną miarą nie pójdą za nim, gdy zechce je prowadzić za uzdę.

Sprawdziło się teraz to, co zauważyłem już przedtem. Skarby nasze, zarówno te, które wywieźliśmy z kryjówki, jak też odebrane obydwom Morganom, przepadły. Złoto raz jeszcze okazało się „śmiercionośnym pyłem". Ze stu ludzi, udających się na poszukiwanie złota na Dziki Zachód, ginie dziewięćdziesięciu. Blask i dźwięk uwodzicielskiego kruszcu budzi złowrogie demony i jego błogosławiona potęga objawia się tylko pod opieką prawa.

Zdjąwszy z koni popręgi, poprzywiązywałem jednego do drugiego głową do ogona tak, że tworzyły nieprzerwany szereg. Następnie wziąłem pierwszego za cugle i ruszyłem w górę po stromym zboczu. Oporne zwierzęta sprawiały mi niemało kłopotu i pozostali czterej Indianie musieli znajdować się rzeczywiście daleko, skoro nie usłyszeli parskania i tupotu. Mimo tych trudności dostałem się wraz z końmi szczęśliwie na górę i po drugiej jej stronie – w dół. Komancze, pozbawieni w ten sposób wierzchowców, nie mogli już doścignąć swoich towarzyszy, a zarazem udaremniony został ich główny zamiar ujęcia mnie i Boba.

Murzyn siedział pod oznaczonym drzewem i pilnował młodego Indianina. Było mu widocznie nieswojo w tym sam na sam z nieprzyjacielem, bo odetchnął na mój widok z radością i ulgą.

– O, pięknie, że przyjść massa. Indian robić oczy jak diabeł, mruczeć i chrząkać jak bydlę, a czarny Bob dać mu klapsa na gębę, że cicho być.

– Nie powinieneś go bić, Bobie, tak nie wolno. Oprócz tego jest to obraza, za którą Indianin płaci jedynie śmiercią. Gdyby kiedyś wydostał się na wolność i spotkał się z tobą, byłbyś zgubiony!

– Czarny Bob zgubiony? Och, ach, massa! W takim razie lepiej zaraz zabić Indianina, żeby on nie wydostać się na wolność!

Dobył rzeczywiście noża i przytknął jego ostrze do piersi Komańcza.

– Stój, Bobie, nie morduj! Jeśli go zostawimy przy życiu, przyda nam się bardzo. Lepiej pomóż mi przywiązać go do konia.

Wyjąłem knebel z ust Indianina.

– Niech mój czerwony brat oddycha, ale nie wolno mu mówić, dopóki go nie zapytam!

– Ma-ram będzie mówił, kiedy mu się spodoba – odparł Indianin. – Blada twarz i tak mnie zabije i zabierze mój skalp, choć będę milczał.

– Ma-ram będzie żył i zachowa swój skalp, gdyż Old Shatterhand zabija wroga jedynie w walce.

– Blada twarz jest Old Shatterhand? Uff!

– To prawda. Ma-ram nie jest już moim wrogiem, lecz przyjacielem. Old Shatterhand zaprowadzi go do wigwamu jego ojca.

– Ojcem Ma-rama jest To-kej-chun[22], wódz Rakurrojów. On zabije Ma-rama za to, że został jeńcem bladej twarzy.

– Czy mój brat chce być wolnym?

Indianin spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Czy Old Shatterhand może puścić wolno wojownika, którego życie i skalp należą do niego?

[22] T o-k e j-c h u n (ind.) – Rogaty Byk

– Jeśli mój młody czerwony brat przyrzeknie mi, że nie umknie, lecz towarzyszyć mi będzie do wigwamów swojego plemienia, to rozwiążę go, dam mu konia i broń jego, wiszącą u siodła.

– Uff! Old Shatterhand ma silną pięść i wielkie serce i nie jest podobny do innych bladych twarzy. Ale czy jego język nie jest podwójny?

– Ja zawsze mówię prawdę. Czy mój czerwony brat będzie mi posłuszny, dopóki nie staniemy przed obliczem To-kej-chuna?

– Ma-ram podda się woli Old Shatterhanda!

– Niechaj więc weźmie z rąk moich ogień pokoju a, który go pochłonie, jeśli nie dotrzyma swoich słów.

Przyprowadziłem ze znajdującej się opodal kryjówki mojego konia i wyjąłem z torby dwa cygara, zabrane z zapasów stakemanów. Znalazły się także zapałki, wkrótce zatem po uwolnieniu Indianina z więzów, zapaliliśmy cienkie "habanos" zachowując zwykły ceremoniał.

– Czy blade twarze nie mają Wielkiego Ducha, który by kazał róść świętej glinie na fajkę pokoju? – zapytał Ma-ram.

– Biali mają ducha większego od wszystkich duchów. On im dał wiele gliny, ale oni palą fajki tylko w swoich wigwamach, a na prerii "jedzą dym pokoju" z cygar, które nie zabierają tyle miejsca co fajka.

– Uff! Sikarr! Wielki Duch bladych twarzy jest mądry. Sikarr łatwiej nosić niż fajkę.

Bob zrobił zdziwioną minę, widząc, że w pobliżu tak strasznych wrogów palę cygaro z Indianinem, którego jeszcze przed chwilą miał przywiązać do konia.

– Massa, Bob także zapalić pokój! – powiedział.

– Masz tu cygaro, ale pal na koniu, bo musimy już ruszać!

Komańcz wybrał spomiędzy owych sześciu koni swojego i wsiadł nań. Na tyle dotąd poznałem Indian, że nie obawiałem się, by Ma-ram mi uciekł. Bob dosiadł drugiego konia. Resztę powiązałem cuglami tak, żeby je można było wygodnie prowadzić, po czym wsiadłem na mego mustanga i ruszyliśmy w drogę.

Między wgłębieniem terenu, w którym znajdowaliśmy się obecnie, a ową nieszczęsną dla nas doliną ciągnęło się wzgórze, opadające ku równinie. Puściliśmy się najpierw ku temu wzgórzu, potem objechaliśmy je dokoła, aby w ten sposób dostać się na trop Indian. To nam się wprawdzie udało, ale podczas tego spostrzegli nas pozostawieni w dolinie indiańscy wartownicy i zaczęli wściekle wyć. Nie troszczyliśmy się jednak o to, a Ma-ram panował nad sobą na tyle, że nawet nie drgnął i nie próbował obejrzeć się poza siebie.

W milczeniu odbywaliśmy dalszy pochód tropem Indian aż do wieczora. Wieczorem dotarliśmy do Rio Pecos, gdzie znaleźliśmy miejsce odpowiednie na nocleg. W derkach indiańskich znajdowało się sporo suszonego mięsa, dzięki czemu byliśmy zabezpieczeni przed głodem i nie musieliśmy strzelać do zwierzyny. Od owych czterech Komanczów zaś byliśmy tak daleko, że nas w nocy doścignąć nie mogli.

Ma-ram położył się natychmiast spać, ja zaś na przemian z Bobem czuwałem. O świcie zdjąłem z czterech luźnych koni wszystko, co miały na sobie, i wpędziłem je w rzekę. Konie przepłynęły przez wodę i zniknęły w lesie na drugim brzegu, Indianin patrzył na to, nie rzekłszy ani słowa.

Trop, po którym posuwaliśmy się dalej, był bardzo wyraźny, co dowodziło, że Komancze nie obawiali się żadnego niebezpieczeństwa. Trzymali się ciągle prawego brzegu i jechali z biegiem rzeki aż do miejsca, gdzie Rio Pecos wkracza w górną Sierra Guadelupe. Tu trop się rozdzielił, ku mojemu zdumieniu. Większa część dzikich zwróciła się ku górom, a reszta zachowała dotychczasowy kierunek.

Wobec tego zsiadłem z konia, by zbadać ślady. W drugim z wymienionych tropów dostrzegłem odciski kopyt starej Tony, które znałem zbyt dobrze, żebym się mógł pomylić.

– Synowie Komanczów udali się w góry, by odwiedzić grobowiec wielkiego wodza? – zapytałem Ma-rama przerywając dotychczasowe milczenie.

– Mój brat powiedział prawdę.

– A ci – rzekłem wskazując na drugi trop – chcą zaprowadzić jeńców do wigwamów Komanczów.

– Tak polecili obaj wodzowie Rakurrojów.

– Synowie Rakurrojów mają także u siebie skarby bladych twarzy?

– Zatrzymali je, gdyż nie wiedzą, do której z bladych twarzy należą.

– A gdzie Komancze rozbili swoje wigwamy?

– Na sawannach położonych nad tą wodą i nad rzeką, zwaną przez blade twarze Rio Grande.

– A więc na sawannach pomiędzy tymi dwoma łańcuchami gór?

– Tak jest?

– W takim razie nie pojedziemy tym tropem, lecz wprost na południe.

– Niech mój brat czyni, jak mu się podoba, lecz niech wie o tym, że tam nie ma wody ani dla niego, ani dla koni!

Spojrzałem mu ostro w oczy.

– Czy mój czerwony brat widział kiedy góry położone nad wielką rzeką, a pozbawione wody? Każda rzeka otrzymuje wodę z gór.

– Mój brat zobaczy, kto ma słuszność, on. czy Komańcz!

– Ja domyślam się, dlaczego Ma-ram nie chce iść w góry.

– Niechaj mi to mój brat powie!

– Synowie Rakurrojów jadą z jeńcami wzdłuż rzeki, która płynie łukiem. Jeśli obiorę kierunek wprost na południe, doścignę ich, zanim się dostaną do swoich wigwamów.

Czerwonoskóry zamilkł, czując, że go przejrzałem. Śladów, jak się o tym przekonałem, było szesnaście. Znaczyło to, że trzynastu Indian prowadziło Winnetou, Sama i Bernarda. Jeńcy byli zapewne mocno związani, dlatego, nawet gdybym ich doścignął, prędzej mogłem ich ocalić podstępem niż siłą.

Skręciłem więc na południe, przynaglając konie do jak największego pośpiechu. Była to jazda bardzo uciążliwa, ponieważ nie znałem okolicy, a od Ma-rama trudno się było dowiedzieć czegoś pewnego. Ale mimo to już do następnego południa szczęśliwie przebyliśmy góry i ujrzeliśmy przed sobą ciągnące się daleko sawanny. Po lewej stronie błyszczały wody Rio Pecos, ku której teraz zdążaliśmy.

Z gór zjechaliśmy przez gęsty las, który towarzyszył nam jeszcze dalej na znacznej przestrzeni wzdłuż rzeki. Nad jednym z potoków, wpadających do Rio Pecos, natrafiliśmy znowu na ślady Komanczów, zostawione tam w przeddzień w południe, a nie opodal, nad drugim potokiem, znaleźliśmy miejsce po obozie, w którym czerwonoskórzy wypoczywali oczekując, aż przeminie największy skwar dzienny.

Postanowiłem także odpocząć tu nieco, nie zatrzymałem się jednak nad samą rzeką, lecz dalej w zaroślach, aby się zabezpieczyć przed niepożądanym okiem. Niebawem ten środek ostrożności okazał się bardzo skuteczny. Zaledwie bowiem usiedliśmy obydwaj z Ma-ramem, wrócił Bob, który poszedł napoić konia, i zawołał:

– Massa, och, ach, jeźdźcy się zbliżać; jeden, dwa, pięć, sześć jeźdźców. Uciekać, massa, czy zabić jeźdźców?

Skoczyłem na skraj zarośli i ujrzałem rzeczywiście sześć koni, jeden za drugim, w dwóch grupach po trzy, pędzących ku nam w górę rzeki. Cztery konie były czymś objuczone, a na dwóch siedzieli jeźdźcy. Mieliśmy więc do czynienia tylko z dwoma nieprzyjaciółmi, jeśli to rzeczywiście byli nieprzyjaciele, gdyż mimo oddalenia poznałem, że to byli biali.

Ale za tymi jeźdźcami pędziło pięciu ludzi, a to mogli być tylko Indianie, którzy już, już doganiali uciekających białych. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że to był pościg. Aby więc zorientować się, jak należy się w tej sytuacji zachować, przyłożyłem lunetę do oczu.

– Rany boskie – wyrwało mi się z ust mimo woli, gdyż pierwszym jeźdźcem był... Fred Morgan, a drugim jego syn, Patrick.

Wyłoniło się więc od razu pytanie, czy zabić ich, czy też pochwycić żywcem. Postanowiłem jednak nie plamić się krwią tych rozbójników. Wziąłem strzelbę do ręki i czekałem. Uciekający przybliżali się do nas coraz bardziej, a Indianie byli od nich najwyżej o pięćset kroków. Słyszeliśmy już nawet parskanie koni – chwila jeszcze, a uciekający miną naszą kryjówkę! Lecz zanim to się stało, wypaliłem dwa razy, mierząc w głowy wierzchowców, wskutek czego oba padły. Konie juczne, które były do nich przywiązane, przestraszone strzałami, usiłowały się uwolnić. Jeźdźcy znaleźli się oczywiście na ziemi, ja zaś zamierzałem już rzucić się na nich, gdy wtem nadbiegający czerwonoskórzy, do których przyłączył się także Ma-ram, wydali wojenny okrzyk. W jednej chwili otoczono mnie, a trzy tomahawki i dwa noże błysnęły nad moją głową.

– Uff!–zawołał Ma-ram wyciągając rękę.–Ta blada twarz jest przyjacielem Ma-rama.

Napastnicy odstąpili ode mnie wprawdzie, lecz skutków ich napadu nie podobna już było naprawić, bo obaj uciekający jeźdźcy, którzy spadli z koni, mieli czas wstać i uciec w krzaki. Konie juczne stanąwszy dęba na okrzyk Indian, porwały rzemienie i jak szalone pobiegły do rzeki, wskoczyły do niej i wnet zatonęły, gdyż były ciężko obładowane. Były to nasze konie juczne.

Czterej Indianie popędzili za zbiegami, a piątego zatrzymałem na chwilę przy sobie.

– Niech mi mój czerwony brat powie, czemu wojownicy Komanczów ścigają swoich białych przyjaciół? – zapytałem go.

– Biali mają usta jak węże, a języki o dwóch końcach. W nocy zabili straż i uciekli ze skarbami.

– Ze złotem?

– Zabrali kruszec i wszystkie czarodziejskie kartki zaszyte w skórę.

Po tym wyjaśnieniu zostawił nas, a sam pobiegł za towarzyszami. Z jego słów wynikało, że obaj Morganowie obawiali się, czy Komancze oddadzą im skarby, i uciekli z nimi. Owymi „czarodziejskimi kartkami" były naturalnie kwity depozytowe i banknoty, które chcieliśmy Morganom odebrać. W tym właśnie miejscu, gdzie konie wskoczyły w wodę, rzeka tworzyła nagły zakręt, a nieco niżej niebezpieczny wir. Utraciliśmy przeto wszelką nadzieję wydobycia pochłoniętego przez rzekę "śmiercionośnego pyłu".

Co należało teraz czynić? Troska o przyjaciół była oczywiście większa od chęci schwytania obu wrogów, tym bardziej że podjęło się tego aż pięciu Komanczów, na których można było spokojnie zdać pościg.

– Dlaczego mój biały brat strzelał do konia, a nie do jeźdźca? – zapytał Ma-ram. – Czy Old Shatterhand nie nauczył się mierzyć?

– Dlaczego Old Shatterhand nie zabił Komańcza Ma-rama, nad którego sercem unosił się już jego nóż? Położyłem trupem konie, aby pomówić z jeźdźcami.

– Old Shatterhand pomówi z nimi, ponieważ będzie ich ścigał ze swoimi czerwonymi braćmi.

Omal nie roześmiałem się z jego usiłowania, żeby mnie odwieść od dalszego śledzenia tropu.

– On nie będzie ich ścigał – odpowiedziałem. – Wojownicy Komanczów są rozumni i mężni; pochwycą złe blade twarze i sprowadzą do swoich wigwamów. Niech Ma-ram dosiądzie konia i jedzie za mną!

To zdarzenie odebrało mi wszelką chęć wypoczynku. Zbliżyło zarazem chwilę spełnienia moich zamiarów. Dotąd strzegło naszych przyjaciół trzynastu jeźdźców, po odliczeniu zaś obu Morganów, pięciu Komanczów i zamordowanego wartownika zostało do pilnowania ich tylko pięciu Indian. W tych warunkach łatwiej ich było ocalić.

Puściwszy więc znów konie szybszym biegiem, dojechaliśmy o zmroku do miejsca, w którym, jak to wykazało dokładne badanie tropów, ów mały oddział Komanczów odpoczywał około południa.

Chociaż Ma-ram ciągle rozglądał się za miejscem na nocleg i domagał się wypoczynku, musiał jeszcze jechać cztery mile angielskie, dopóki się nie ściemniło tak dalece, że nie można już było rozpoznać śladów. Wtedy dopiero pozwoliłem zsiąść z koni i ułożyć się do snu. Ledwie zajaśniał świt, ruszyliśmy w dalsza drogę.

Trop prowadzał teraz w dół rzeki na sawannę. Tu i ówdzie napotykaliśmy ścieżki bawole, którymi posuwaliśmy się naprzód. Wygląd śladów świadczył, że zbliżamy się ciągle do ściganych. Była chwila, kiedy myślałem, że natknę się na nich około południa, tymczasem stało się inaczej. Oto przybyliśmy na miejsce stratowane przez wiele koni, skąd wiodły dalej ślady co najmniej czterdziestu kopyt.

– Uff! – zawołał Ma-ram.

Nie powiedział nic więcej, tylko w oczach jego zabłysła radość, gdy tymczasem rysy twarzy pozostały nieruchome. Zrozumiałem go dobrze. Eskorta, która prowadziła naszych towarzyszy, zetknęła się w tym miejscu z jakimś oddziałem Komanczów i pod jego osłoną pośpieszyła do obozu.

– Jak daleko jeszcze do obozu Komanczów? – spytałem Indianina.

– Rakurrojowie nie mieszkają w obozie, lecz we wsi, która jest większa od miast bladych twarzy. Jeśli mój brat pojedzie prędko, dostanie się tam, zanim jeszcze słońce skryje się poza trawami prerii.

Ma-ram miał słuszność, gdyż rzeczywiście pod wieczór ukazało się na widnokręgu kilka ciemnych linii, w których przez lunetę rozpoznałem długie szeregi namiotów.

Była to znaczna osada, założona prawdopodobnie dla polowań na bawoły. Przybycie jeńców tak widocznie zajęło Komanczów, że chociaż byliśmy dość blisko obozu, nie spotkaliśmy nikogo.

Wstrzymałem konia i zapytałem Ma-rama:

– Tam są wigwamy Komanczów?

– Tak, to one – odrzekł Indianin.

– Czy będzie tam wielki wódz, To-kej-chun?

– Ojciec Ma-rama jest zawsze przy swoich dzieciach.

– Może mój czerwony brat pojedzie tam z wiadomością, że Old Shatterhand chce odwiedzić wielkiego wodza.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Czy Old Shatterhand nie będzie się bał tylu wrogów? Wprawdzie kładzie on trupem bawołu i niedźwiedzia, ale nie zdoła zabić Komanczów, których jest tak dużo jak drzew w lesie.

– Old Shatterhand zabija zwierzęta w lesie, ale nie swoich czerwonych braci. Nie obawia się Siuksów, Keiowehów, Apaczów ani Komanczów, ponieważ jest przyjacielem wszystkich dzielnych wojowników, a kulę posyła tylko złoczyńcom i zdrajcom. Old Shatterhand tu zaczeka. Niech mój brat idzie!

– Ale Ma-ram jest jego jeńcem! Co będzie, jeśli umknie teraz memu bratu?

– Ma-ram nie jest już moim jeńcem. Ma-ram jadł ze mną dym pokoju, jest więc wolny!

– Uff!

Z tym słowem na ustach Indianin ścisnął konia ostrogami i odjechał cwałem. Ja i Bob zsiedliśmy z koni, ułożyliśmy się na ziemi, a zwierzęta puściliśmy na paszę. Poczciwy Murzyn przybrał minę nader stroskaną.

– Massa, co Indian zrobić z czarnym Bob, jeśli go massa zabrać do Indian?

– To dopiero zobaczymy.

– Dopiero zobaczyć niedobrze. Czy Bob ma czekać, aż Indian spalić go przy palu?

– Może nie będzie tak źle, jak sądzisz. W każdym razie musimy udać się do Komanczów, jeśli chcemy ocalić twojego massę Bernarda.

– Och, ach, tak, czarny Bob ocalić massa Bern, dać się upiec, zgotować, pożreć, jeśli tylko Indian uwolnić massa Bern.

To heroiczne postanowienie przypieczętował taki grymas, że Indianom na pewno odeszłaby wszelka chęć zjedzenia Murzyna. Po czym Bob wziął sobie kawał suszonego mięsa, aby przed męczeńską śmiercią skosztować jeszcze życiowych rozkoszy.

Nie czekaliśmy długo na rezultat naszego poselstwa, gdyż wkrótce przybył do nas liczny oddział jeźdźców. Otoczywszy nas, utworzyli wielkie koło, a potem dziko wyjąc i potrząsając bronią tak zaczęli zacieśniać to koło, że zdawało się, iż nas stratują. Następnie zbliżyła się pełnym galopem grupa czterech wodzów i przeskoczyła przez nas. Bob padł na wznak, ja zaś pozostałem spokojnie na miejscu, nie poruszywszy głową ani o włos.

– Och, ach, Indian stratować na śmierć Bob i massa! – ryknął Murzyn podnosząc ostrożnie głowę, by się przekonać, co się koło niego dzieje.

– Bądź o to spokojny. Oni próbują tylko, czy jesteśmy odważni, czy też się ich boimy.

– Próbują? Och, niech Indian tylko przyjść, Bob być odważnym, dużo odważnym!

Po tych słowach wyprostował się na powrót z miną straszliwą, i to w sam czas, gdyż wodzowie zsiedli właśnie z koni i szli prosto ku nam. Najstarszy z nich odezwał się pierwszy:

– Czemu biały mąż nie powstanie, skoro się do niego zbliżają wodzowie Komanczów?

– Chce im w ten sposób okazać, że wita ich chętnie – odparłem. – Niechaj moi czerwoni bracia usiądą obok mnie!

– Wodzowie Komanczów mogą zająć miejsce tylko obok wodza. Gdzie biały mąż ma swoje wigwamy i swoich wojowników?

Na to wziąłem tomahawk w prawą rękę.

– Wódz musi być mocny i dzielny. Jeśli czerwoni mężowie nie wierzą, że jestem wodzem, niech walczą ze mną, a wtedy dowiedzą się, czy mówię prawdę.

– Jak bladej twarzy na imię?

– Czerwoni i biali wojownicy oraz myśliwi nazywają mnie Old Shatterhand.

– Biały mąż zapewne sam sobie przybrał to imię!

– Jeśli wodzowie Komanczów chcą ze mną walczyć, mogą wziąć tomahawki i noże, a ja stanę do walki z pustymi rękami. Howgh!

– Biały mąż wypowiada dumne słowa; będzie mu wolno udowodnić, czy jest odważny. Niech wsiądzie na swego konia i pojedzie z wojownikami Rakurrojów!

– Czy ci wojownicy wypalą ze mną fajkę pokoju?

– Wprzód muszą się naradzić, czy mogą to uczynić.

– Mogą, gdyż przybywam do nich w pokoju.

Dosiadłem więc mojego konia, a Bob wdrapał się z trudem na swego. O Murzyna Indianie nie troszczyli się, mnie natomiast wzięli wodzowie w środek. W szalonym cwale ruszyliśmy ku wsi obozowej i przejechaliśmy pomiędzy szeregami namiotów. Przed największym namiotem dzicy zatrzymali się i zsiedli, każąc mnie zrobić to samo.

Boba nie widziałem, ponieważ wszyscy wojownicy otoczyli mnie szczelnie dookoła. Wódz, który przedtem do mnie przemawiał, chwycił za moją strzelbę.

– Niech blada twarz wyda nam swoją broń!

– Zatrzymam ją, ponieważ jestem u was dobrowolnie, a nie jako jeniec.

– Mimo to biały mąż złoży nam swoją broń na ten czas, dopóki czerwoni mężowie nie dowiedzą się, czego od nich chce.

– Czyżby czerwoni mężowie obawiali się mnie? Kto żąda oddania mojej broni, boi się mnie najwidoczniej!

Wódz poczuł się urażony w swym honorze wojownika i rzucił na resztę pytające spojrzenie. Dostrzegł widać w ich oczach uspokajającą odpowiedź, gdyż rzekł:

– Wojownicy Komanczów nie znają trwogi ani bojaźni! Biały mąż może zatrzymać swoją broń.

– Jak się nazywa mój czerwony brat?

– Old Shatternand stoi przed To-kej-chunem, przed którym drżą nieprzyjaciele.

– Proszę mego brata To-kej-chuna, by mi wyznaczył chatę, w której mógłbym zaczekać, dopóki wojownicy Komanczów nie rozmówią się ze mną!

– Twoje słowa są dobre. Blada twarz zamieszka tymczasem w namiocie, zanim wojownicy Rakurrojów nie naradzą się, czy mają zapalić z nią fajkę pokoju.

Skinął ręką i ruszył przodem, ja zaś wziąłem mego mustanga za cugle i udałem się za nim. Indianie utworzyli szpaler, wśród którego przeszliśmy wygodnie. Ujrzałem przy tym niejedną starą i niejedną młodą twarz kobiecą patrzącą z podziwem na białego, który poważył się wejść do jaskini lwa. Szczęściem nie było to owo plemię Komanczów, z którym w swoim czasie walczył Winnetou.

Namioty i chaty były tu tak samo ustawione jak u Indian północnych, u których podobne wsie widywałem już dawniej. Pracę nad ich budową wykonują tylko kobiety, ponieważ Indianin nie zna innego zajęcia prócz wojny, polowania i rybołówstwa, a resztę prac zwala na barki tej pici, którą u nas nazywają słabszą.

Kobiety zbierają skóry, które mają być użyte na ściany namiotów, rozkładają je na słońcu i oznaczają na nich węglem formę, po czym wykrawują kawałki i zszywają cienkimi rzemykami. Następnie znoszą tyki oraz inny materiał na miejsce, gdzie ma stanąć wigwam. Tam wykopują za pomocą najprymitywniejszych narzędzi kolisty rów na dwie stopy głęboki, a w środku umieszczają, stosownie do wielkości namiotu, mniej lub więcej tyk, wysokich przynajmniej na tyle, ile wynosi średnica wykonanego rowu. W górze zgina się tyki ku sobie i związuje wikliną lub młodą leszczyną. Praca to niełatwa. Kobiety i dziewczęta muszą się wspinać na tyki, a podczas wiązania utrzymywać się na nich tylko palcami nóg. Gdy rusztowanie jest gotowe, zaczyna się najtrudniejsza część budowy, czyli pokrywanie skórami. Rusztowanie oparte jest w środku swej wysokości na tykach zakończonych widłami i przywiązanych rzemieniami do tyk pionowych. W ten sposób powstaje wewnątrz pierwszego koła – drugie, dzieląc całą przestrzeń na dwie części. Obydwa koła tyk pokrywa się potem skórami w ten sposób, że w górze pozostaje otwór na dym ogniska płonącego pośrodku namiotu. Oba koliste pomieszczenia można za pomocą plecionek albo skór dzielić stosownie do potrzeb właściciela na dowolną ilość mniejszych pokoików.

Namiot, do którego mnie wprowadzono, był mały i chwilowo nie zamieszkany. Przywiązałem konia z zewnątrz, odsunąłem zasłonę wejściową drzwi, złożoną z dwóch skór, i wszedłem do środka, nie troszcząc się dalej o wodza, który zresztą nie wszedł za mną.

Już w dwie minuty po moim wejściu rozsunęła się zasłona, a w drzwiach ukazała się stara Indianka. Zrzuciwszy z pleców grubą wiązkę chrustu, wyszła, a po chwili wróciła z dużym, lecz nadbitym garnkiem, w którym znajdowało się mięso i – jak mi się zdawało – coś jeszcze. Roznieciła ogień i wstawiła weń ten garnek.

Rozciągnąłem się na ziemi i jąłem się jej w milczeniu przypatrywać, wiedząc o tym, że według pojęć indiańskich splamiłbym swój honor, gdybym rozpoczął z nią rozmowę. Wie-

działem również, że znajduję się tu niejako na cenzurowanym, i że w tajemnicy przede mną zagląda tu przez różne szpary wiele innych jeszcze oczu.

Woda w garnku zaczęła się gotować, a po namiocie rozszedł się zapach rosołu. W godzinę później postawiła stara przede mną garnek z wrzątkiem, dając tym samym znak, że mogę jeść, po czym opuściła namiot. Zaraz też zabrałem się do jedzenia i muszę przyznać, że zmiatałem z apetytem znaleziony w garnka kawał polędwicy bawolej, nie gardząc i rosołem, pomimo że czystość naczynia nie zdołałaby zadowolić nawet najbardziej niewymagającego pod tym względem gościa. Cała potrawa przyrządzona była oczywiście bez soli, o której Indianin nie życzy sobie nic wiedzieć.

Chcąc być sprawiedliwym, musiałem przyznać, że obchodzono się ze mną nadzwyczaj wytwornie. Co się zaś tyczy owego garnka, to dziś jeszcze mógłbym się założyć, że był on jedynym w całym obozie.

Posiliwszy się dostatecznie, rozciągnąłem się znowu na ziemi, podłożyłem sobie koc pod głowę i oddałem się rozmyślaniom, które spędziły mi sen z powiek. Toteż zdołałem zauważyć, że nakarmiono także mego konia oraz że dwaj ludzie chodzili cicho na straży dokoła mojej chaty. Wreszcie ogień się wypalił, a wkrótce potem zasnąłem. Stałem wprawdzie (a raczej leżałem!) w obliczu ważnych wypadków, ale nie przespana noc na nic by mi się nie przydała. Dopiero rano zbudziło mnie jakieś chrząkanie. Gdy otworzyłem oczy, ujrzałem znowu starą Indiankę. Roznieciwszy ogień, postawiła nad nim znany mi już garnek.

Starucha pełniła swoje obowiązki w milczeniu, nie rzuciwszy nawet okiem na mnie, ja zaś nie miałem powodu skarżyć się na tę obojętność. Spożywszy śniadanie z niemniejszym apetytem jak wczorajszą wieczerzę, postanowiłem wyjść przed namiot. Zaledwie jednak wychyliłem głowę przez drzwi, skoczył ku mnie jeden ze strażników z włócznią, jak gdyby chciał mnie na nią nadziać.

Nie mogłem na to oczywiście pozwolić, jeśli nie chciałem raz na zawsze utracić swojej powagi w oczach moich gospodarzy! Ująłem przeto włócznię oburącz tuż przy grocie, odepchnąłem ją od siebie, a potem znowu przyciągnąłem tak nagle, że czerwony wojownik nie zdołał jej utrzymać, lecz puścił ją i padł jak długi tuż pod moje stopy.

– Uff! – ryknął zrywając się i chwytając za nóż.

– Uff! – powtórzyłem ja także, dobywając noża, a lewą ręką wrzucając włócznię do namiotu.

– Niech mi blada twarz odda włócznię!

— Niech ją sobie czerwonoskóry sam weźmie!

Z miny jego poznałem, że mu się moja rada nie wydała ani bezpieczna, ani dobra, wnet jednak otrzymał pomoc w osobie drugiego strażnika, który tymczasem obszedł namiot dokoła i rozkazał szorstko:

– Niech biały mąż wejdzie do środka!

On także przysunął mi włócznię tak blisko do twarzy, że nie mogłem się oprzeć pokusie, by nie powtórzyć z nim wykonanego poprzednio szczęśliwie eksperymentu. W jednej chwili leżał on w tym samym miejscu, co pierwszy strażnik, a włócznia jego wpadła również do namiotu. Ale tego było im już za wiele. Wydali okrzyk, który poruszył cały obóz.

Naprzeciwko mego namiotu stał większy od Innych wigwam, a o ścianę jego oparte były trzy tarcze. Na krzyk straży rozchylono zasłony, a z namiotu wyjrzała Ciemna głowa dziewczęca, zapewne, aby zbadać przyczynę hałasu. Na małą chwilę spoczęła na mnie para czarnych, ognistych oczu i główka znowu zniknęła. W dwie sekundy potem wyszli ku nam z namiotu czterej wodzowie. Na rozkazujące skinienie To-kej-chuna strażnicy odstąpili na bok.

– Co blada twarz robi tutaj przed namiotem?

– Czy dobrze słyszę? Mój czerwony brat chciał pewnie zapytać, co ci dwaj czerwoni wojownicy mają tutaj do czynienia!

– Uważają, żeby bladej twarzy nie stało się nic złego, i dlatego niech biały mąż pozostanie lepiej w swojej chacie!

– Czy w orszaku To-kej-chuna znajdują się tak źli ludzie, czy też rozkaz jego znaczy tak mało, że musi aż strażą otaczać swego gościa? Old Shatterhand nie potrzebuje opieki, gdyż potrafi sam roztrzaskać pięścią każdego, kto by knował przeciwko niemu coś złego lub myślał o kłamstwie. Moi czerwoni bracia mogą spokojnie wrócić do swego wigwamu, ja zaś obejrzę wieś, a potem przyjdę z nimi pomówić.

Wstąpiłem na powrót do chaty, aby zabrać z sobą strzelby, których oczywiście nie mogłem im zostawić, kiedy jednak znowu chciałem wyjść na dwór, najeżył się przede mną tuzin włóczni. A więc niewola! Czy miałem się bronić, czy też nie? Po krótkim namyśle podszedłem ku tylnej ścianie namiotu, uderzyłem w nią tomahawkiem i wyrąbałem w twardej skórze otwór, przez który mogłem się wydostać. Kiedy się ukazałem po przeciwnej stronie namiotu, ujrzałem przed sobą osłupiałe twarze, po czym podniósł się taki ryk, jak gdyby tysiąc niedźwiedzi spuszczono z łańcuchów. Wodzowie, którzy wrócili już do swego namiotu, wyszli zeń znowu z pośpiechem, mało licującym z ich zwyczajną godnością, i przecisnęli się przez wojowników ku mnie, jak gdyby chcieli mnie pojmać.

O zbrojnej obronie trudno było myśleć, bo byłbym sam zgubiony, a moi towarzysze razem ze mną. Wyjąłem więc z kieszeni lunetę, rozdzieliłem ją na dwie części ł wymierzyłem je ku nim groźnie.

– Stać, bo zginą wszyscy synowie Komanczów!

Odskoczyli istotnie, gdyż nie znając przyrządu o tym wyglądzie, nie wiedzieli, jakie skutki mogło wywołać jego użycie.

– Co biały człowiek chce zrobić? – zapytał To-kej-chun. – Czemu nie siedzi w wigwamie?

– Old Shatterhand jest wielkim czarownikiem u bladych twarzy – odrzekłem. – On pokaże czerwonym mężom, że potrafi zabić wszystkie dusze Komanczów.

Schowałem lunetę na powrót i wziąłem do ręki sztucer Henry'ego.

– Niechaj czerwoni mężowie popatrzą na ten pal, tam przed namiotem!

Wskazałem na tykę, stojącą przed jednym z dalszych namiotów, po czym podniosłem strzelbę i wypaliłem; kula przedziurawiła górny koniec tyki, a dokoła dał się słyszeć pomruk uznania. Wiadomo, że dziki ceni odwagę i zręczność nawet u największego swego wroga. Przy drugim strzale kula wcisnęła się o cal niżej pod pierwszą, a trzecia w tym samym oddaleniu pod drugą, Tym razem nie usłyszałem jednak pochwały, gdyż Indianie znali tylko dwururki, a nie mieli pojęcia o własnościach wielostrzałowego sztucera. Po czwartym strzale cały tłum stał bez ruchu, po piątym, szóstym i siódmym zdumienie wzmogło się jeszcze bardziej, a potem przeszło w przerażenie, widoczne na wszystkich twarzach. Ja zaś powiesiłem spokojnie strzelbę na ramieniu i rzekłem:

– Czy czerwoni mężowie widzą teraz, że Old Shatterhand jest wielkim czarownikiem? Kto by mu wyrządził coś złego, musiałby umrzeć. Howgh!

Po tych słowach przeszedłem przez tłum i nikt już nie próbował mnie zatrzymać. Po obu stronach ulicy, utworzonej przez dwa szeregi namiotów, stały przed ich drzwiami niewiasty i dziewczęta, wytrzeszczając na mnie oczy jak na jakąś wyższą istotę. Byłem zadowolony z wrażenia, jakie wywarła na nich ta niewinna blaga.

Przed jednym z najbliższych namiotów stała straż, co dowodziło, że znajdował się tam więzień. Kto to mógł być? Namyślałem się, czy zapytać o to strażnika, kiedy z wnętrza zabrzmiał dobrze mi znany głos:

– Massa, och, ach, wypuścić Murzyn Bob! Indian złapać Bob, zabić i zjeść!

Na te słowa podszedłem do namiotu, otworzyłem drzwi i wypuściłem Murzyna. Straż była tak przerażona, że nie próbowała stawiać mi oporu, a także wśród idących za mną dzikich nie podniosły się żadne głosy sprzeciwu.

– Czy wsadzono cię tu zaraz, gdy przyszliśmy do obozu? – zapytałem czarnego.

– Tak, massa, Indian zdjąć Bob z konia i zaprowadzić do chaty, tam Bob siedzieć do teraz.

– W takim razie nie masz pojęcia, gdzie może być twój massa Bernard?

– Bob nic nie wiedzieć i nie słyszeć o massa Bern.

– Chodź i trzymaj się tuż za mną.

Zaledwie minęliśmy kilka dalszych namiotów, gdy spotkaliśmy znów owych czterech wodzów w licznym towarzystwie. Wyprzedzili nas oni ostrożnie poza namiotami, aby mi przeszkodzić w przechadzce. Położyłem więc rękę na kolbie sztucera, lecz To-kej-chun dał mi z daleka znak ręką, że nie zbliża się we wrogich zamiarach. Wobec tego stanąłem i zaczekałem na niego.

– Dokąd się mój biały brat wybiera? Niechaj przyjdzie na miejsce narady, gdzie pomówią z nim wodzowie Komanczów!

Dotychczas byłem dla To-kej-chuna „białym mężem" albo „bladą twarzą", teraz nazwał mnie swoim „białym bratem". Ta zmiana wskazywała, że szacunek Indian wobec mojej osoby zwiększył się w wysokim stopniu.

– Czy moi czerwoni bracia zapalą ze mną fajkę pokoju?

– Najpierw pomówią z nim, a jeśli słowa jego będą dobre, stanie się on synem Komanczów.

– To niechaj czerwoni bracia zaprowadzą Old Shatterhanda na miejsce narady.

Ruszyliśmy znów z powrotem i przeszliśmy obok mojego namiotu. Nieco dalej ujrzałem Tony Sans-eara przywiązaną do pala, obok niej zaś konie Winnetou i Bernarda. Jeńców jednak w pobliżu nie było, gdyż. musiałbym zauważyć wartę.

Wkrótce przybyliśmy na miejsce, gdzie rząd namiotów rozszerzał się i tworzył prawie kolisty plac, otoczony kilku szeregami Indian. Tam zapewne miała się odbyć narada.

Wodzowie podeszli ku środkowi placu i usiedli, a pewna część dzikich, widocznie z jakiegoś tam powodu uprzywilejowanych, usadowiła się półkolem naprzeciwko nich. Ja nie myśląc wiele usiadłem także i dałem znak Bobowi, żeby uczynił to samo. Postępowanie moje nie spodobało się jednak wodzom.

– Czemu biały mąż siada, gdy ma się odbyć sąd nad nim? – spytał To-kej-chun.

Na to ja zrobiłem ręką ruch lekceważenia i odpowiedziałem:

– A czemu czerwoni mężowie siadają, kiedy Old Shatterhand chce ich sądzić?

Jakkolwiek twarze ich były nieruchome, to jednak zauważyłem, że zaskoczyły ich moje słowa.

– Język białego męża jest żartobliwy. Pozwalamy białemu mężowi siedzieć. Ale dlaczego uwalnia on czarnego męża i sprowadza go na naradę? Czy biały mąż nie wie, że Murzynowi nie wolno siedzieć przy czerwonym mężu?

– Ten Murzyn jest moim służącym. Gdy każę mu usiąść, posłucha mnie, chociażby tysiąc wodzów patrzyło na to z niechęcią. Ale ja jestem już gotów. Narada może się zacząć!

Ratunek swój widziałem tylko w takim zuchwałym sposobie postępowania – unikałem jednak oczywiście wyraźnej obrazy. Czułem, że tylko zuchwalstwem wzbudzę w Indianach poszanowanie dla siebie, gdy tymczasem bierne posłuszeństwo mogłoby mnie przyprawić jedynie o zgubę.

To-kej-chun zapalił fajkę i podał ją siedzącym dokoła Indianom, tylko mnie pominął przy tej ceremonii. Potem podniósł się i zaczął mówić. Wobec obcych Indianie są nadzwyczaj milczący, wówczas jednak, gdy chodzi o to, by dobrze przemówić, wykazują wymowność, nie ustępującą w niczym gadatliwości panującej na europejskich zgromadzeniach. Są między nimi wodzowie, słynni szeroko z krasomówstwa, którzy zabierają się do dzieła z taką samą retoryczną zręcznością jak wielcy mówcy cywilizowanych narodów w dawnych i nowych czasach. Ich kwiecisty język przypomina wtedy bardzo sposób wyrażania się ludów wschodnich.

To-kej-chun rozpoczął zwykłym wstępem, czyli oskarżeniem skierowanym przeciwko całej rasie bladych twarzy.

– Niechaj biały mąż słucha, gdyż przemówi wódz Komanczów, To-kej-chun! Ubiegło już wiele słońc od czasu, kiedy czerwoni mężowie mieszkali sami na ziemi pomiędzy obydwiema Wielkimi Wodami. Budowali oni miasta, sadzili drzewa i polowali na bizony. Do nich należał blask słońca i deszcz, do nich rzeki i jeziora, do nich lasy, góry i wszystkie sawanny wielkiego kraju, Mieli oni żony i córki, braci i synów, byli bardzo szczęśliwi. Wtem zjawiły się blade twarze, których skóra jest jako śnieg, lecz serce jako sadza. Przyszli w liczbie niewielkiej, a czerwoni mężowie przyjęli ich do swoich wigwamów. Oni jednak przywieźli z sobą broń ognistą i wodę ognistą, sprowadzili innych bogów i innych kapłanów, przynieśli zdradę, choroby i śmierć. Przybywało ich coraz to więcej przez Wielką Wodę. Języki ich były fałszywe, a noże ostre. Czerwoni mężowie wierzyli im, a za to byli oszukiwani. Musieli im oddać kraj, w którym leżały groby ich ojców, wypędzano ich z wigwamów i myśliwskich ostępów, a kiedy się bronili, zabijano ich bez miłosierdzia. Blade twarze, chcąc zwyciężyć czerwonych, siały niezgodę wśród ich plemion, które giną teraz jak kujoty w pustyni. Niech na nich spadnie przekleństwo po tylekroć, ile jest gwiazd na niebie, ile liści na drzewach w lesie!

Głośne wyrazy zadowolenia nagrodziły ten okrzyk wodza. Mówił on tak donośnie, że wszyscy dokoła mogli go wyraźnie usłyszeć.

– Jedna z tych bladych twarzy – ciągnął dalej – przybyła do chat Komanczów. Ten biały ma skórę kłamców i język zdrajców. Ale czerwoni wojownicy posłuchają jego słów i osądzą go sprawiedliwie. Niechaj zabierze głos!

To-kej-chun usiadł, a po nim wstawali inni wodzowie jeden po drugim, przemawiali podobnie, a kończyli swe oskarżenia białej rasy wezwaniem, żebym się usprawiedliwił. Ja zaś podczas tych mów wydobyłem szkicownik i starałem się narysować siedzących przede mną wodzów wraz ze stojącymi na dalszym planie wojownikami i namiotami.

Po czwartej przemowie To-kej-chun skinął na mnie ręką, pytając;

– Co robi biały mąż, gdy wodzowie Komanczów przemawiają?

Wydarłem kartkę i podałem mu.

– Niechaj wielki wódz Rakurrojów sam zobaczy, co robiłem!

– Uff! – zawołał głośno, rzuciwszy okiem na kartkę.

– Uff, uff, uff! – dało się słyszeć jeszcze po trzykroć, gdy trzej inni wodzowie spostrzegli rysunek.

– To są jakieś czary – rzekł To-kej-chun. – Biały człowiek zaklina dusze Komanczów na tej białej skórze. Tu jest To-kej-chun, tutaj jego trzej bracia, a tam wojownicy i namioty. Co blada twarz z tym uczyni?

– Czerwony mąż zaraz to zobaczy!

Wziąłem kartkę z jego ręki i pozwoliłem popatrzeć na nią stojącym za nim wojownikom. Potem zmiąłem ją na kulkę i włożyłem do lufy.

– To-kej-chunie, sam powiedziałeś, że zakląłem dusze wasze na tym papierze, a teraz oto tkwią one w lufie mej strzelby. Czy mam je wystrzelić w powietrze, żeby je wszystkie wichry rozniosły, tak aby nigdy nie dotarły do wiecznych ostępów?

Ten figiel wywołał o wiele silniejsze wrażenie, niż się spodziewałem. Wszyscy czterej wodzowie zerwali się z ziemi, a dokoła zabrzmiał wielki okrzyk zgrozy. Starając się ich uspokoić, odezwałem się w te słowa:

– Niechaj czerwoni mężowie usiądą i zapalą ze mną fajkę pokoju. Skoro staną się moimi braćmi, oddam im z powrotem ich dusze.

Wodzowie usiedli znowu czym prędzej, a To-kej-chun pochwycił za swoją fajkę. Wtem wpadł na pomysł, za pomocą którego mogłem jeszcze bardziej zmienić ich wrogie usposobienie na pokojowe. Oto jeden z wodzów miał na bluzie myśliwskiej jako szczególną ozdobę

dwa mosiężne guziki wielkości talara. Podszedłem więc do niego i poprosiłem, żeby mi pożyczył na chwilę tej ozdoby, zapewniając, że otrzyma ją zaraz z powrotem. Nie czekając jednak na jego odpowiedź, oderwałem guziki i cofnąłem się o kilka kroków, zanim zdołał temu przeszkodzić.

– Moi czerwoni bracia widzą tu, w moich palcach, te dwa guziki, po jednym w każdej ręce. Niechaj dobrze uważają!

Udałem, że rzuciłem oba guziki w powietrze i pokazałem im próżne ręce.

– Niechaj moi bracia popatrzą! Gdzie są guziki?

– Nie ma ich! – zawołał właściciel z wzrastającym gniewem.

– Poleciały w górę ku słońcu. Niechaj je mój czerwony brat stamtąd zestrzeli!

– Tego nie dokaże żaden biały ani czerwony mąż, ani nawet czarodziej!

– A ja to zrobię! Niechaj czerwoni bracia uważają, gdy guziki będą spadały!

Ponieważ w mojej strzelbie tkwiła kartka z rysunkiem przedstawiającym wodzów, przeto wziąłem do tego starą dwururkę, leżącą obok To-kej-chuna, wymierzyłem prosto w górę i wypaliłem. W kilka sekund potem coś twardego uderzyło o ziemię tuż przed nami. Właściciel guzika przyskoczył i wydobył go nożem z ziemi.

– Uff, to mój guziki

Kiedy wszyscy przypatrywali się guzikowi, który w dziwny sposób spadł ze słońca, włożyłem drugi guzik do wylotu lufy i podniosłem strzelbę. Huknął strzał, a każdy z obecnych spojrzał w górę. Wtem Bob wrzasnął przeraźliwie, zerwał się z ziemi i zaczął się pocierać po ramieniu.

– Och, ach, massa mnie trafić, strzelić w ramię czarny Bob!

Guzik uderzył rzeczywiście o jego ramię, a teraz leżał obok niego na ziemi. Wódz podniósł go i schował prędko oba odzyskane klejnoty, przy czym zrobił taką minę, jak gdyby postanowił nigdy już nie pozwolić na rzucanie ich do słońca. Ta mała sztuczka wywarła nadzwyczajne wrażenie. Wszyscy nie mogli wyjść z zadziwienia, że rzuciłem guzik na słońce, a potem zestrzeliłem go stamtąd. Guziki były istotnie w górze, w przeciwnym bowiem razie jeden z nich nie wbiłby się tak mocno w ziemię, a drugi nie nabiłby Bobowi sińca. Wodzowie siedzieli cicho, nie wiedząc widocznie, jak się wobec tego zachować, a ich otoczenie z ciekawością czekało na to, co nastąpi dalej. To ich zaciekawienie postanowiłem zaspokoić w sposób trochę niebezpieczny. Obok To-kej-chuna leżała jeszcze fajka i skórzany worek z tytoniem, pomieszanym, jak zwykle u Indian, z liśćmi konopi. Wziąłem tę fajkę, napełniłem tytoniem i trzymając w ręce, w postawie możliwie najdumniejszej, tak zacząłem mówić:

– Moi czerwoni bracia wierzą w Wielkiego Ducha i mają słuszność, a ich Manitou jest także moim Manitou. On jest panem nieba i ziemi, ojcem wszystkich narodów i chce, żeby wszyscy ludzie żyli z sobą w pokoju i zgodzie. Czerwonych mężów jest tylu, ile źdźbeł trawy pomiędzy tymi namiotami; blade twarze zaś dorównują liczbą ilości źdźbeł wszystkich prerii i sawannów. Biali przybyli tu przez Wielką Wodę i wypędzili czerwonoskórych z ich myśliwskich ostępów. Niewątpliwie źle zrobili, ale czerwoni mężowie żywią nienawiść względem wszystkich bladych twarzy. Czy czerwoni mężowie nie wiedzą, że jest dużo narodów bladych twarzy i że nie wszystkie usuwały czerwonych wojowników z ich siedzib? Czy Komancze chcą popełnić tę niesprawiedliwość i potępić niewinnych razem z winnymi? Old Shatterhand nie należy do tych, którzy by czerwonym wojownikom uczynili kiedykolwiek coś złego. Niechaj moi czerwoni bracia przypatrzą się Old Shatterhandowi, który stoi przed wami! Czy widzą u jego pasa jaki skalp czerwonego męża? Czy znajdą na jego włóczni, jego spodniach i mokasynach włosy swoich braci? Kto może powiedzieć, że on zanurzył rękę w krwi czerwonych ludzi? Old Shatterhand leżał w lesie ze swoimi przyjaciółmi, kiedy wojownicy Rakurrojów palili fajkę pokoju z dwoma jego wrogami, a mimo to ani jeden włos nie spadł im z głowy. On pojmał Ma-rama, syna wielkiego wodza, To-kej-chuna, jednak nie zabił go, lecz

zwrócił mu jego broń i zaprowadził go do wigwamu ojca. Mogąc pozbawić życia sześciu wojowników Rakurrojów, nie wyrządził im nic złego, przywiązał tylko do drzewa jednego z nich, ażeby jego bracia mogli go znaleźć i odwiązać. Czy nie mógł on pójść za wojownikami, którzy udali się w góry, zadać śmierć wielu z nich i znieważyć grobowiec wielkiego wodza? Czy nie strzelał do owych bladych twarzy, które zamordowały straże Komanczów i umknęły ze złotem? Wszak Old Shatterhand trzyma w lufie dusze Komanczów, a mimo to nie chce ich zgubić; może wszystkie ich święte worki z lekami rzucić na słońce, żeby już więcej nie spadły, a mimo to pragnie zostać bratem Rakurrojów i wypalić z nimi fajkę pokoju. Wodzowie Komanczów są mężni, mądrzy i sprawiedliwi. Kto w to nie uwierzy, tego Old Shatterhand zabije rurą, z której wylatuje tysiąc kuł. Na znak tej gotowości zje teraz z nimi dym pokoju.

Zapaliłem fajkę, pociągnąłem dymu i wydmuchnąłem go dwa razy ku niebu i ziemi, potem na cztery strony świata i z kolei podałem fajkę To-kej-chunowi. Na szczęście udało mi się rzeczywiście moją przemowę oszołomić go, bo wziął fajkę, pociągnął z niej sześć razy i podał ją dalej. Ostatni wódz zwrócił mi ją, po czym usiadłem znowu, lecz tym razem już w środku, pomiędzy nimi.

– Czy mój biały brat odda nam teraz nasze dusze? – zapytał jeden z wodzów.

Musiałem odpowiedzieć bardzo ostrożnie.

– Czy jestem już pośród czerwonych mężów jako syn Komanczów?

– Old Shatterhand jest naszym bratem. Dostanie dla siebie chatę i będzie mógł czynić, co mu się spodoba.

– Którą chatę mi odstąpicie?

– Old Shatterhand jest wielkim wojownikiem, otrzyma więc namiot, który sam sobie wybierze.

– W takim razie niechaj moi czerwoni bracia pójdą ze mną, ażebym w tym celu mógł się przypatrzeć namiotom.

Wodzowie spełnili ochoczo moje życzenie. Poszedłem więc wzdłuż rzędu namiotów, aż do tego, przy którym stało czterech wartowników. Tam, przyłożywszy ręce do ust, zawyłem jak kujot, na co dała się słyszeć z wnętrza namiotu taka sama odpowiedź. Wtedy skoczyłem ku drzwiom i zawołałem:

– Tu będzie mieszkanie Old Shatterhanda! Wodzowie spojrzeli na siebie w najwyższym zdumieniu, gdyż nie przypuszczali, że mój wybór padnie właśnie na ten namiot, chociaż to można było łatwo przewidzieć.

– Tego namiotu mój brat nie dostanie.

– Dlaczego?

– On należy do nieprzyjaciół Komanczów.

– Kto są ci nieprzyjaciele?

– Dwaj biali mężowie ł jeden czerwonoskóry.

– Jak się nazywają ci ludzie?

– Czerwonoskórym jest Winnetou, wódz Apaczów, a jednym z białych Sans-ear, zabójca Indian.

Ta odpowiedź ogromnie mnie zastanowiła, gdyż wynikało z niej, iż Komancze nie wiedzieli wcale o tym, że ja byłem towarzyszem pojmanych. Wprawdzie ja sam nie wspomniałem o tym Ma-ramowi ani słowem, ale Patrick niewątpliwie musiał ich o tym uwiadomić.

– Old Shatterhand chce zobaczyć tych ludzi! Z tymi słowy wszedłem do środka namiotu, a wodzowie niezwłocznie poszli w moje ślady.

Jeńcy leżeli na ziemi z powiązanymi rękami i nogami, przymocowani do tyk namiotowych. Poznali mnie oczywiście, ale nie rzekli ani słowa i żaden z nich nie okazał nawet odrobiny zadowolenia, jakie musiało im sprawić moje zjawienie się.

– Co ci ludzie zawinili? – zapytałem.

– Zabili wojowników Komanczów.

– Czy mój czerwony brat widział to na własne oczy?

– Wiedzą o tym wojownicy Rakurrojów!

– Wojownicy Rakurrojów będą musieli tego dowieść. Ten namiot należy do mnie, a ci trzej ludzie są przeto moimi gośćmi!

Dobyłem noża, aby rozciąć jeńcom więzy, gdy wtem jeden z wodzów ujął mnie za ramię.

– Ci ludzie muszą umrzeć! Mój biały brat nie może ich uważać za swoich gości!

– Kto mi tego zabroni?

– Czterej wodzowie RakurrojówI

– Niech się ośmielą!

Po tej groźbie stanąłem pomiędzy nimi a jeńcami, a potem zwróciłem się do Murzyna, który wszedł za wodzami do namiotu:

– Bobie, porozcinaj sznury, najpierw Winnetou! Murzyn podkradł się już tymczasem do swego pana, ale posłuchał mnie, zrozumiawszy również, że w tej chwili Winnetou może się bardziej przydać niż Bernard.

– Niech czarny człowiek schowa swój nóż! – zawołał ten sam wódz, lecz Winnetou był już wolny od więzów.

– Uff! – wrzasnął wódz widząc, że zlekceważono jego rozkaz, i chciał rzucić się na Boba, który klęczał już nad Samem.

W tej chwili zastąpiłem mu drogę, on zaś dobył noża i ugodził mnie. na szczęście, tylko w ramię, gdyż zdążyłem odskoczyć w bok. Indianin nie miał już czasu własnoręcznie wyjąć noża z rany, gdyż powaliłem go pięścią na ziemię – najpierw jego, potem jego sąsiada, wreszcie porwałem za gardło trzeciego. Winnetou pomimo opuchłych od więzów rąk chwycił To-kej-chuna.

Zabrzmiało tylko to pierwsze jedno jedyne „uff!” Na dworze stali indiańscy wartownicy, lecz mimo to w dwie minuty byliśmy już panami chaty, a wodzowie leżeli na ziemi związani i zakneblowani.

– Wielkie nieba! To się nazywa pomoc! – rzekł Sam rozcierając sobie członki znieruchomiałe wskutek bólu i zatamowania krwi. – Charley, jak tego dokazałeś, na przykład?

– Później wam to wyjaśnię, a teraz uzbrójcie się przede wszystkim. Ci czterej mają dość broni na sobie.

Na wszelki wypadek otworzyłem także moją ładownicę i nabiłem sztucer na nowo. Podczas tego wytłumaczyłem przyjaciołom mój pian, który polegał na natychmiastowym unieszkodliwieniu czterech wodzów, gdyby Komancze poważyli się nas zaatakować. Potem wyszedłem z chaty. Straże odsunęły się nieco z uszanowania dla wodzów. Opodal stała znaczna ilość Komanczów, którzy podeszli pod chatę za wodzami ciekawi dalszego przebiegu przygody. Zwróciłem się najpierw do wartowników:

– Czy moi bracia słyszeli, że zostałem bratem Komanczów?

Zapytani spuścili oczy na znak potwierdzenia.

– Niechaj tedy czerwoni wojownicy dobrze pilnują .namiotu i nie pozwolą wejść nikomu, dopóki wodzowie nie rozkażą inaczej.

Potem zwróciłem się do pozostałych:

– Niechaj moi bracia zwołają wszystkich na miejsce. gdzie się zwykle odbywają narady.

Komancze rozproszyli się, ja zaś udałem się również na oznaczone miejsce. Kto nie zna zwyczajów Indian, ten zapewne osądziłby moje zachowanie jako zbyt ryzykowne, ale nie miałby słuszności. Indianie nie są bynajmniej tymi „dzikimi”, za jakich się ich uważa. Mają oni swoje niewzruszone prawa i obyczaje. Kto umie je wykorzystać, nie naraża się znowu na tak wielkie niebezpieczeństwo. W tym wypadku zresztą szło o życie lub śmierć, niczego więcej zatem aniżeli życia nie mogłem wystawić na szwank, przez najgorsze nawet zuchwalstwo.

Po drodze udało mi się zatrzeć ślady lekkiego skaleczenia mego ramienia, po czym usiadłem tam, gdzie przedtem siedziałem. W dziesięć minut cały plac zapełnił się wojownikami. W środku pozostało wolne miejsce, gdzie usadowiła się starszyzna, która już uprzednio tam siedziała. Zwykle takiemu zgromadzeniu towarzyszy wielki zgiełk, teraz jednak nie padło ani jedno słowo. Wszyscy przyszli poważnie i cicho, wyszukali sobie miejsca i stali potem bez ruchu jak posągi, czekając na to, co miało nastąpić.

Skinąłem na starszyznę, żeby się do mnie zbliżyła. Wojownicy usiedli wokoło mnie ciasnym półkolem, wtedy zabrałem głos:

– Old Shatterhand został bratem Komanczów. Moi bracia już o tym zapewne słyszeli.

– Wiemy o tym – odrzekł jeden za wszystkich.

– Miał on, jako wielki wojownik i wódz, otrzymać chatę, która się jemu spodoba, a on wybrał sobie namiot, w którym znajdowali się jeńcy. Czy ten namiot był już wtedy jego własnością?

– Należał już do niego!

– A mimo to zabroniono mu objąć go w posiadanie. Czy wodzowie Komanczów są kłamcami? Jeńcy zażądali ochrony od Old Shatterhanda! Czy mógł im tego odmówić?

– Nie.

– Wziął ich tedy w opiekę, mówiąc, że są jego gośćmi. Czy było mu wolno tak uczynić?

– Miał do tego prawo i nawet obowiązek, ale nie może ich chronić wówczas, gdy będą mieli stanąć przed sądem. Wolno mu tylko bronić ich i umrzeć z nimi.

– Ale może rozwiązać ich pęta, jeśli swoją osobą za nich zaręczy?

– Oczywiście.

– Old Shatterhand uczynił więc tylko to, do czego miał prawo, a mimo to jeden z waszych wodzów chciał go zabić. Nóż ugodził go jednak tylko w ramię. Jak wolno postąpić Komanczowi, jeśli drugi człowiek zechce go pozbawić życia we własnym jego namiocie?

– Wolno mu zabić go.

– I wszystkich, którzy chcą pomóc mordercy?

– Wszystkich!

– Moi bracia są mądrzy i sprawiedliwi. Czterej wodzowie Rakurrojów usiłowali mnie zabić, lecz ja darowałem im życie. Grzmotnąłem nimi tylko o ziemię. Teraz leżą związani w mojej chacie, a goście moi stoją przy nich na straży. Krew za krew, łaska za łaskę! Żądam uwolnienia moich gości w zamian za wolność dla tych, którzy mnie zdradziecko napadli Niech się moi bracia naradzą, a ja zaczekam. Ostrzegam jednak, żeby moi bracia zostawili w spokoju moich gości, gdyż oni zabiją wodzów, jeśli wejdzie do chaty kto inny niż Old Shatterhand.

Ani jednym rysem twarzy nie okazali Komancze wstrząsającego wrażenia, jakie musiała na nich wywrzeć ta przemowa. Cofnąłem się od nich tak daleko, żeby nie słyszeć ich narad. Na skinienie przywódców zbliżyło się kilku ludzi, którzy z kolei, jak się zdawało, powiadomieni o stanie rzeczy donieśli o tym reszcie zgromadzonych na placu. Ta wiadomość wywołała pewien ruch w zebraniu, ale mnie przy tym nic nie groziło. Potem nastąpiła bardzo długa narada, wreszcie wstali trzej Indianie i zbliżyli się do mnie.

– Czy nasz biały brat trzyma w swej chacie w niewoli wodzów Rakurrojów?

– Tak jest.

– On wyda ich wojownikom Komanczów, gdyż ma się nad nimi odbyć sąd.

– Moi bracia zapominają, że wojownicy nie mogą nigdy sądzić swojego wodza, chyba gdyby się okazał tchórzem w walce. Wodzowie Rakurrojów napadli w złych zamiarach Old Shatterhanda, znajdują się w jego wigwamie i tylko on może ich ukarać.

– A co z nimi uczyni?

– Zabije ich, jeśli nie uzyska uwolnienia swoich gości.

– Czy Old Shatterhand zna tych ludzi, których uważa za swoich gości?
– Nawet bardzo dobrze.
– To Sans-ear, zabójca Indian.
– Czy moi bracia widzieli, żeby pozbawił życia którego z Komanczów?
– A Winnetou, który setki Komanczów wysłał do wieczystych ostępów Wielkiego Ducha?
– Czy który z Rakurrojów zginął z jego ręki?
– Zaiste, nie. A kto jest ten trzeci?
– Człowiek z północy, który nigdy nie wyrządził krzywdy żadnemu synowi czerwonej kobiety.
– Jeśli mój brat zabije wodzów, to zginie także sam razem ze swoimi gośćmi!
– Moi bracia żartują! Kto chce zabić Old Shatterhanda? Czyż on nie ma dusz Komanczów w swojej strzelbie?
Czerwoni znaleźli się w kłopocie i musieli się namyślić. Nie mogli przecież wydać nam na pastwę swoich wodzów!
– Niech mój brat zaczeka, dopóki nie wrócimy.
Oddalili się i narada zaczęła się na nowo. O ile zdołałem dostrzec, to nie zauważyłem w żadnej twarzy śladu nienawiści lub wściekłości na mnie. Broniłem się odważnie i ufałem im, nie było więc to dla nich wstydem, że prowadzili ze mną układy. Nie minęło pół godziny, gdy przyszli do mnie znowu trzej wysłańcy i oświadczyli:
– Dajemy wolność Old Shatterhandowi i jego gościom na czwartą część słońca!
Wpadli więc na stary indiański pomysł sprawienia sobie szczególnej przyjemności: wypuściwszy pojmanych, chcieli urządzić potem na nich zajmujące polowanie. Było to z ich punktu, widzenia o tyle korzystne, że oddalali wszelkie niebezpieczeństwo od wodzów. Zostawili nam więc sześć godzin czasu. To było trochę za mało. Gdybyśmy jednak wyruszyli przed wieczorem, termin ten rozciągnąłby się na całą noc, gdyż w ciemnościach nie mogliby nas ścigać. W naszym położeniu byłoby głupotą, gdybym nie przyjął tych warunków.
Musiałem to jednak uczynić z odpowiednią powściągliwością.
– Old Shatterhand zgadza się na ten czas, jeśli goście jego otrzymają z powrotem broń, którą im odebrano.
– Dostaną ją.
– I wszystko, co mieli z sobą?
Słowem “wszystko” obejmowałem głównie skarby, które wiózł przy sobie Bernard, gdyż nie wiedziałem, czy mu je odebrano.
– Wszystko!
– Moich białych gości pojmano, chociaż nie zrobili Rakurrojom nic złego. Wodzowie zaś mają odzyskać wolność, mimo że usiłowali mnie zabić. To nierówna zamiana!
– Czego więc nasz brat jeszcze żąda?
– Za pchnięcie mnie nożem w ramię dadzą wodzowie trzy konie, które ja sam sobie wybiorę. Zostawię im za to trzy nasze.
– Mój brat jest mądry jak lis. Wie, że jego konie są zmęczone, ale stanie się wedle jego życzenia. Kiedy Old Shatterhand wypuści wodzów ze swojego wigwamu?
– Gdy będzie odjeżdżał od czerwonych braci.
– A wyda nam dusze, które tkwią w lufie jego strzelby?
– Nie wystrzeli ich w powietrze.
– Niechaj więc rusza, dokąd mu się podoba. Jest on wielkim wojownikiem i chytrym szakalem. Zmysły wodzów były widać przyćmione, że palili z nim fajkę pokoju. Howgh!
Tak skończył się targ i mogłem odejść. Stojący dokoła czerwonoskórzy przepuścili mnie nie stawiając przeszkód, ja zaś powoli, bez pośpiechu, udałem się do mojego wigwamu. Tam

czekali na mnie towarzysze, oczywiście z wielką niecierpliwością. Gdy się zjawiłem, poznali od razu, że dobrze pokierowałem sprawą.

– No? – spytał Bernard, nie mogąc z ciekawości wytrzymać ani chwili dłużej.

– Czy odebrano wam diamenty i papiery?

– Nie. Dlaczego o to pytacie?

– Gdyż musieliby wam je zwrócić. Mamy wolność na sześć godzin.

– Wolność, massa! – zawołał Bob. – Być wolny Bob i massa Bern? Ale tylko sześć godzin, a potem Indian znowu złapać massa Bern i Bob?

– Well! – rzeki Sam. – To przechodzi nasze najśmielsze nadzieje. Wpadliśmy, na przykład, we wściekle diablą historię. A co tam z Tony?

– Otrzymasz ją i wszystko, co twoje. Reszta koni jest bardzo znużona. Jakkolwiek niechętnie wyrzekam się mego zacnego mustanga, to jednak ugodziłem się z nimi, że wybiorę sobie z koni wodzów trzy najlepsze.

– Dobra nasza, Charley! – śmiał się Sam. – Sześć godzin czasu i pięć dobrych koni to wystarczy dla takich trzech starych wygów jak my. Sądzę bowiem, że nie wybierzesz chyba capów zamiast koni!

Teraz musiałem im opowiedzieć, co przeżyłem od tego czasu, kiedyśmy się tak nagle i nieszczęśliwie rozstali, Nie skończyłem jeszcze, kiedy ze dworu zabrzmiało jakieś niewyraźne wołanie. Wyszedłszy zobaczyłem starą, która gotowała mi jedzenie.

– Niechaj blada twarz idzie!

– Dokąd?

– Do Ma-rama.

Było to szczególne poselstwo. Zawiadomiwszy o tym towarzyszy, udałem się do chaty położonej naprzeciwko mojego wczorajszego mieszkania. Stały przed nią dwa konie, a na jednym z nich siedział Ma-ram.

– Niechaj mój brat wybierze sobie konie! A więc o to chodziło!

Dosiadłszy konia, pojechałem z Ma-ramem na prerię, gdzie znajdowała się znaczna ilość spętanych koni. Młody Indianin zaprowadził mnie wprost do karego ogiera i rzekł:

– To najlepszy koń Rakurrojów. Ma-ram otrzymał go od ojca i darowuje go Old Shatterhandowi za to, że mu nie zabrał skalpu.

Ten bogaty, wspaniały wprost dar był dla mnie wielką niespodzianką. Na takim koniu nie podobna było mnie doścignąć. Oczywiście dar przyjąłem, a dla Bernarda i Boba wziąłem także dwa konie, z których mogli być zadowoleni.

W drodze powrotnej Ma-ram zatrzymał się przed swoim namiotem.

– Niech mój biały brat zsiądzie i wejdzie!

Nie mogłem odrzucić tego zaproszenia, wstąpiłem więc do środka, gdzie skosztowałem kołacza przyrządzanego świetnie przez Indian. Gdy, pożegnawszy się, wyszedłem z chaty, zobaczyłem ciemnooką dziewczynę, którą zauważyłem już rano, zajętą przy moich koniach. Pakowała nam żywność i pokraśniała, kiedy ją zaskoczyłem.

– Kto jest ta córka Rakurrojów? – spytałem.

– To Hi-la-dih[23], córka wodza To-kej-chuna. Ona prosi cię, żebyś przyjął to, co ci ofiarowuje, ponieważ oszczędziłeś jej brata Ma-rama.

Podałem dziewczynie rękę, mówiąc:

– Niechaj Manitou użyczy ci wiele szczęścia i wielu słońc, kwiecie sawannów. Twoje oko jest jasne, twe czoło czyste. Oby także twoje życie było tak niezamącone i czyste!

Wskoczyłem na siodło i zaprowadziłem konie do przyjaciół. Wszyscy, a szczególnie Sam, wpadli w zachwyt na widok karego ogiera.

---

[23] H i-l a-d i h (ind.) – Czyste Źródło

– Charley! – rzekł Sans-ear, – On wart prawie tyle, co moja Tony, tylko że ona ma nieco krótszy ogon i dłuższe uszy. No, w porządku, ci czerwoni hultaje dali nam wszystko, czego nam brakowało. Ale już pewnie szósta godzina! Ruszajmy, a potem, na przykład, zobaczymy, czy nas dostaną po raz drugi.

Wpakowaliśmy na konie to, cośmy jeszcze mieli zabrać, i uwolniliśmy z więzów naszych jeńców.

– Massa, teraz precz – upominał Bob – bardzo prędko precz, żeby Indian nie nadejść i nie złapać massa Bern, Sam, Charley i Winnetou!

Uwolnieni z więzów, wodzowie nie ruszyli się z miejsc, dopóki znajdowaliśmy się w namiocie. Wreszcie dosiedliśmy koni i puściliśmy się w drogę. Ulica była pusta. Nie pokazał się ani jeden Indianin, chociaż z pewnością zewsząd się nam przypatrywali. Wydawało mi się tylko, że w namiocie To-kej-chuna czworo oczu wyzierało przez szparę w zasłonie Sto serc oczekiwało z utęsknieniem pory, kiedy będzie można rozpocząć za nami pościg. Ale dwa serca życzyły sobie, żeby się nam udało szczęśliwie umknąć!

ROZDZIAŁ IV

W KALIFORNII

Drogą przez Rio Kolorado przebyliśmy szczęśliwie obszary Pahuta i zbliżaliśmy się do wschodnich odnóży gór Nevada, gdzie nad jeziorem Mona zamierzaliśmy zatrzymać się na kilkudniowy odpoczynek. Od kraju Komanczów aż do tych okolic jest dość daleko. Trzeba było przejechać przez nieskończone na pozór sawanny, niebotyczne góry, a potem rozległe płaszczyzny słonej pustyni. Chociaż więc nasze konie i jeźdźcy byli bardzo silni, to przecież takie tarapaty nie pozostają bez wpływu ani na zwierzęta, ani na ludzi.

Co zniewalało nas do odbycia tej dalekiej drogi, która prowadziła do Kalifornii? Po pierwsze, Bernard Marshall chciał odszukać tam swojego brata; po wtóre, przypuszczaliśmy, że obydwaj Morganowie, utraciwszy tak nagle nad Rio Pecos całą swoją zdobycz, udali się również do tego kraju pełnego złota.

Był słuszny powód do tego przypuszczenia.

Kiedy wyjechaliśmy wówczas ze wsi Komanczów, nie przerywaliśmy jazdy przez cały wieczór i całą noc, a nazajutrz w południe ujrzeliśmy przed sobą Górną Sierra Guadelupe. Klacz Sans-eara i człapak Winnetou trzymały się doskonale, pomimo ogromnego wysiłku, a nowe nasze konie były tak wypoczęte, że nie potrzebowaliśmy się o nie obawiać. Udało się nam przejść przez góry Guadelupe, nie zauważywszy ani śladu pościgu, a gdy w kilka dni potem przeprawiliśmy się przez Rio Grande, byliśmy już zupełnie bezpieczni.

Na zachód od Rio Grande Kordyliery wysuwają z Sonory ku północy liczne odnogi wzgórz, do których dostaliśmy się bez szczególnych przygód. Tu jednak zdarzył się nam ważny wypadek.

Odpoczywaliśmy raz około południa na górskiej przełęczy, a Winnetou czatował na skale ponad nami, skąd mógł objąć wzrokiem całą drogę przed nami i za nami.

– Uff! – zawołał nagle owym gardłowym głosem, właściwym Indianom, położył się na skale i zsunął się szybko do nas.

Pochwyciliśmy oczywiście natychmiast za broń i zerwaliśmy się z ziemi.

– Co tam? – zapytał Marshall.

– Czerwoni mężowie.

– Dużo ich jest?

– Tylu!

Podniósł przy tym w górę pięć palców prawej ręki i trzy lewej.

– Ośmiu? Z jakiego szczepu?

– Winnetou nie mógł zobaczyć, ponieważ ci ludzie odłożyli wszelkie odznaki.

– Czy znajdują się na wyprawie wojennej?

– Nie mają na twarzy czerwonego i niebieskiego znaku, ale są uzbrojeni.

– Jak daleko są jeszcze?

– O czwartą część tego czasu, który blade twarze nazywają godziną. Niech się moi bracia podzielą. Winnetou pójdzie z Sans-earem naprzód, a Marshall z czarnym mężem cofnie się wstecz, aby się ukryć między skałami. Mój brat Szarlih zostanie tutaj przy swoim koniu.

Pozostałe cztery konie Winnetou wziął za cugle i zaprowadził za skały, gdzie nie można ich było zauważyć, po czym on i pozostali trzej towarzysze udali się na swoje stanowiska. Ja usiadłem zwrócony na poły w tym kierunku, z którego mieli nadejść czerwonoskórzy, a strzelba leżała koło mnie w pogotowiu.

Upłynął zaledwie kwadrans, kiedy dał się słyszeć tętent. Udałem, że nic nie zauważyłem, ale mimo to wpatrywałem się spod oka w tych ośmiu Indian, którzy mnie już spostrzegli i zatrzymali swoje konie. Zamieniwszy z sobą kilka słów, zbliżyli się potem do mnie. Grunt był tutaj skalisty, śladów na nim nie było znać, więc przybyli nie mogli wiedzieć, że nie jestem sam.

Wstałem spokojnie i wziąłem do ręki strzelbę, oni zaś stanęli o dziesięć kroków ode mnie, a pierwszy z nich zapytał:

– Co blada twarz robi w tych górach?

– Biały mąż spoczywa po długiej drodze.

– Skąd przybywa?

– Znad brzegów Rio Grande.

– A dokąd zdąża?

– Uff! – zawołał nagle drugi, – Wojownicy Komanczów widzieli tego białego męża nad wodą Pecos. Był tam razem z Ma-ramem i strzelał do bladych twarzy, które moi bracia ścigali.

Ten Indianin zatem należał do owych pięciu Komanczów, którzy napadłszy na mnie, spowodowali ucieczkę Morganów, Nie poznałem go od razu, ponieważ miał wówczas wojenne barwy na twarzy.

– Dokąd udała się potem blada twarz z Ma-ramem? – spytał dowódca po moim wyjaśnieniu.

– Do wigwamów Komanczów.

– Jak biały mąż spotkał się z Ma-ramem?

– Pojmałem go w dolinie, w której został, gdy wojownicy Komanczów napadli na Winnetou, Sans-eara i leszcze jedną bladą twarz oraz Murzyna.

Na tę odpowiedź przybysze pochwycili za noże.

– Uff! – zawołał dowódca. – On schwytał Ma-rama! Gdzież była reszta czerwonych mężów?

– Nie uczyniłem im nic złego. Jednego z nich związałem, a czterej inni nie mieli oczu ani uszu, aby zobaczyć i usłyszeć, że zabrałem z sobą syna wodza.

– Ale Ma-ram nie był związany, kiedyśmy go widzieli przy bladej twarzy – zauważył ten, który mówił poprzednio.

– Uwolniłem go, ponieważ mi przyrzekł, że uda się ze mną spokojnie do wsi Komanczów.

– Uff! Czego biały tam szukał?

– Chciał wyswobodzić wodza Apaczów i Sans-eara. Wziąłem do niewoli czterech wodzów Rakurrojów i wydałem ich w zamian za tamtych jeńców. Pozwolono mi z nimi odejść, a na ucieczkę dano mi czas czwartej części słońca.

– I jeńcy uszli?

– Tak jest.

Bawiło mnie to, że wspominaniem tych zdarzeń pobudzałem ich do gniewu.

– Wobec tego blada twarz musi umrzeć!

Po tych słowach dowódca pochwycił swą strzelbę, jedyną, jaką Indianie mieli, gdyż towarzysze jego uzbrojeni byli tylko w łuki i strzały.

– Czerwoni mężowie zginęliby, zanimby podnieśli swą broń, gdyż ja nie obawiam się ośmiu Indian. Ale wojownicy Komanczów nic mi nie zrobią, skoro im powiem, że mogą dzisiaj pochwycić Winnetou, Sans-eara i tamtych dwóch.

– Uff! Gdzie?

– Tutaj! – odpowiedziałem, wskazawszy na prawo i na lewo. – Tam stoi Winnetou z Sans-earem, a tu mąż biały i mąż czarny.

Wymienieni wystąpili o kilka kroków z tej i z tamtej strony i wymierzyli ze strzelb. Równocześnie ja odskoczyłem także o kilka kroków i wycelowałem do dowódcy Indian.

– Czerwoni mężowie są naszymi jeńcami. Niech zsiądą z koni! – rozkazałem.

Było ich o trzech więcej niż nas, ale my mieliśmy nad nimi przewagę pięciu strzelb. Uciekać oczywiście nie mogli, nie zdziwiłem się więc, gdy dowódca odjął rękę od strzelby i spytał:

– Czy mój biały brat nie widzi, że czerwoni mężowie nie znajdują się na wojennej ścieżce?

– A mimo to chcieli mnie zabić! Ale biały człowiek nie pożąda krwi czerwonoskórych. Niech moi bracia zsiądą z koni i zapalą z nami fajkę pokoju!

Indianie nie posłuchali jednak od razu tego wezwania – mógł się za nim kryć podstęp.

– Jak się nazywa mój biały brat? – zapytał dowódca.

– Old Shatterhand.

– Uff! W takim razie możemy zaufać jego słowu. Niech moi bracia zsiądą z koni!

Dowódca wziął fajkę z siodła i usiadł przy mnie, a jego ludzie poszli za jego przykładem. Moi towarzysze przystąpili także i zajęli miejsca. Napchano fajkę tytoniem i puszczono ją dokoła, przy czym Bernard popełnił ten błąd, że podał ją także Winnetou, lecz ten jej nie przyjął, usprawiedliwiając się w ten sposób:

– Wódz Apaczów siedzi obok Komanczów, ponieważ mój brat pragnie z nimi pokoju, lecz nie zapali fajki z ich rąk. Niechaj oni rozmówią się z moimi białymi przyjaciółmi, gdy jednak skończą, niech się wystrzegają spotkania z Winnetou, gdyż on połączy ich z martwymi szakalami pustyni!

Bernard powinien był to przewidzieć. Komancze udali, że tych słów nie dosłyszeli, ja zaś zwróciłem się do ich dowódcy:

– Czy czerwoni mężowie ścigali obydwóch białych zdrajców?

– Mój brat już słyszał!

– I dopędzili ich?

– Nie. Zdrajcy dostali się do kraju nieprzyjaciół Komanczów, skąd musieliśmy wrócić.

– Jak mogli umknąć, nie mając koni?

– Ukradli je Komanczom.

– Ach! Czyż Komancze nie mają oczu, by zobaczyć złodzieja, ani uszu, by posłyszeć jego kroki?

– Byli zgromadzeni dokoła mogiły wodza, a kiedy powrócili do koni, zastali straż już zabitą i brak dwóch najlepszych wierzchowców.

To była istotnie dla Morganów jedyna droga ocalenia, ale trzeba było nie lada zuchwalstwa, żeby zapuścić się w góry Komanczów i porwać konie, kiedy prześladowcy siedzieli im prawie na karkach. Ci zbóje byli naprawdę odważnymi ludźmi, których, jako przeciwników, nie należało lekceważyć. Ale musieliśmy ich dostać w nasze ręce, choćbyśmy mieli ścigać ich dokoła ziemi! Toteż spotkanie z Komanczami było mi bardziej na rękę niż z kimkolwiek innym.

Komanczowie zatrzymali się tylko na krótki odpoczynek. Przed ich odjazdem zapytałem:

– Gdzie moi czerwoni bracia widzieli po raz ostatni ślad białych ludzi?

– O dwa słońca stąd. Czy mój brat chce za nimi podążyć?

– Tak. Gdy ich spotkamy, będą zgubieni.

– Uff! Biały mąż mówi po myśli Komanczów. Niechaj więc jedzie ciągle na zachód, dopóki po upływie jednego słońca nie dostanie się do wielkiej doliny, która ciągnie się z południa ku północy. Tą doliną niech mój biały brat jedzie ku północy aż do miejsca, na którym było ognisko zdrajców, a potem niechaj przejedzie przez górę aż do wody płynącej na zachód i podąża wzdłuż niej. Na drodze napotka dwa razy popiół i miejsca po ogniskach bladych twa-

rzy. Stamtąd musieli zawrócić wojownicy Komanczów, ponieważ zaczynały się tam już obszary myśliwskie Nawajów.

– Jak daleko od ściganych byli moi bracia, kiedy musieli zaprzestać pościgu?

– Niespełna o pół słońca. Czerwoni wojownicy poszliby dalej za nimi, ale w dolinie zobaczyli wigwamy nieprzyjaciół, a tam naraziliby się na niechybną śmierć.

– Wojownicy Komanczów mogą oświadczyć To-kej-chunowi i pozostałym trzem wodzom, że Winnetou, Sans-ear i Old Shatterhand dostaną w swe ręce obydwóch zdrajców. Ma-ram zaś niech zachowa w pamięci Old Shatterhanda, gdyż Old Shatterhand również go mile wspomina.

– Czy Apacz Winnetou będzie ścigał Komanczów?

– Nie. Wprawdzie jest on ich wrogiem, lecz Komancze wypalili fajkę pokoju z jego przyjaciółmi, dlatego on pozwoli im odejść.

Dosiadłszy koni, Komancze odjechali swoja drogą, a my także ruszyliśmy w dalszą podróż. Oni nieśli na wschód wieść o spotkaniu z nami, my zaś zwróciliśmy się na zachód, teraz już pewni, że prędzej czy później dostaniemy Morganów w ręce.

Po drodze znaleźliśmy wszystko tak, jak nam to opisali Komancze. Ponieważ Nawajowie żyli w przyjaźni z Apaczami, przeto mogliśmy zajechać do nich w towarzystwie Winnetou. Tu dowiedzieliśmy się, że zbiegowie zabawili tylko kilka godzin i pytali o najbliższe drogi do Kolorado. Wspominali także o jeziorze Mona. Chociaż więc dzieliło nas od nich kilka dni drogi, ślady ich były tak wyraźne, że spodziewaliśmy się ich nareszcie dogonić.

Skierowaliśmy się ku Sierra Nevada i jechaliśmy szeroką równina, na której widniały liczne tropy bawołów. Pragnęliśmy bardzo ubić choć jedno z tych zwierząt, gdyż od dawna spożywaliśmy już tylko suszone mięso; a jakkolwiek nasze zapasy mogły wystarczyć jeszcze na kilka dni, to przecież świeża polędwica lub udziec byłyby nie do pogardzenia.

Z tego to powodu razem z Bernardem, który nie uczestniczył jeszcze nigdy w polowaniu na bawoły, zboczyłem na prawo, gdzie wszelkiego rodzaju zarośla kazały się domyślać obecności wody i zwierzyny. Było to właśnie około południa, a w tym czasie spragniony bawół chętnie idzie chłodzić się do wody lub w jej pobliżu przeżuwa pożywienie.

Nadzieja moja miała się istotnie spełnić, gdyż na widnokręgu wynurzyła się grupa złożona z czworga zwierząt. Ruszyliśmy tam natychmiast. Niestety, wiatr dął w tym samym kierunku, toteż bawoły wkrótce nas zwietrzyły. Musieliśmy więc puścić się pędem, a przy tej sposobności odznaczył się świetnie mój kary ogier, pędził bowiem z taką łatwością, jak gdybym miał przepisową wagę dżokeja. Koń Bernarda został daleko w tyle. Te wielkie zalety mego wierzchowca skłoniły mnie do wypróbowania i innych jeszcze jego cech. Postanowiłem nie posługiwać się przy polowaniu strzelbą, lecz lassem. Moje lasso miało zamiast ucha pierścień, przez który pętla prześlizguje się o wiele pewniej i lepiej aniżeli przez używaną u Indian skórzaną kluczkę.

Nie opodal zarośli dotarłem do małego stada. Był to tęgi byk i trzy krowy; wybrałem sobie jedną z krów której wygląd zdawał się świadczyć o delikatności mięsa. Odegnałem ją od reszty zwierząt i trzymając się obok niej, zarzuciłem pętlę. Mój ogier okazał się na wysokości zadania. Skoro tylko lasso świsnęło w powietrzu, skoczył wstecz, zaparł się nogami w ziemię, pochylając się naprzód całym ciałem. Pętla zacisnęła się wokoło krowiej szyi. Gwałtowne szarpnięcie posadziło niemal mego konia na tylnych nogach, ale kary wytrwał i naciągnął, jak mógł najbardziej, rzemień przywiązany do łęku siodła. Krowa upadła, ja zaś zeskoczyłem z konia i wbiłem jej silnie nóż w kark, co spowodowało natychmiastową śmierć. Dzielny ogier śledził za mną oczyma i dopiero teraz rozluźnił lasso. Podszedłem do niego, pogłaskałem go pieszczotliwie po szyi, za co z wdzięczności potarł mnie głową po ramieniu.

Teraz zdjąłem pętlę z krowy i zamierzałem właśnie rozpłatać jej brzuch, kiedy nadjechał Bernard.

– Za późno! – skarżył się. – Czy mam dalej?...

– Nie. Jedna sztuka wystarczy. Pomóż mi teraz.

Marshall zsiadł z konia, a ja przewróciłem krowę na drugą stronę, przy czym zauważyłem na jej skórze wypalony znak.

– Ach! Krowa ta należy do trzody jakiejś hacjendy albo rancza.

– Czy wolno nam było ją zabić?

– Owszem. Bydło w tych stronach przedstawia tylko wartość skóry. Zgodnie ze zwyczajem każdy podróżnik może zabić jedną sztukę dla swoich potrzeb, ale skórę musi oddać właścicielowi.

– W takim razie trzeba go poszukać!

– To zbyteczne. Jeśli w pobliżu znajduje się jakaś zagroda, wystarczy, że doniesiemy, gdzie skóra się znajduje. Podczas wielkich polowań dorocznych nie da się uniknąć, żeby jeden właściciel nie ubił czasem nawet kilku zwierząt drugiemu. W takich razach wymieniają tylko skóry.

Krowa leżała najwyżej o pięć kroków od zarośli. Ledwie skończyłem moje wyjaśnienie, usłyszałem ostry świst i równocześnie prawie krzyk Bernarda. Odwróciwszy wzrok spostrzegłem, że ktoś wlecze biednego Marshalla na lassie przez zarośla. W jednej chwili porwałem strzelbę, przebiegłem przez krzaki i zobaczyłem jeźdźca w meksykańskim stroju, który cwałował, ciągnąc za sobą Bernarda na lassie.

Nie było czasu do namysłu, bo Bernard mógł w każdej chwili ponieść śmierć. Wymierzyłem więc z rusznicy do konia i wypaliłem. Zwierzę zrobiło jeszcze kilka kroków i runęło na ziemię. Ja zaś podbiegłem zaraz do jeźdźca, lecz on na mój widok zostawił wszystko i uciekł.

Ścigać go nie mogłem, wziąłem się więc prędko do opatrzenia Bernarda. Pętla tak mu przycisnęła ręce do ciała, że stracił wszelką zdolność ruchów. Gdy rozluźniłem pętlę, podniósł się, na szczęście, od razu na nogi.

– Do stu piorunów! A to była sanna, Charley! Czego chciał ten hultaj?

– Nie wiem.

– Czemu nie strzeliliście do niego, lecz do konia?

– Po pierwsze, dlatego, że to człowiek, a po wtóre, śmierć jego nie na wiele by się wam przydała, gdyż, jak widzicie, lasso przymocowane jest do siodła i koń wlókłby was dalej bez jeźdźca.

– Powinienem był sam się tego domyślić – rzekł badając swoje członki, czy są nie uszkodzone.

– Wróćmy do krowy. Musimy się z nią prędko uporać, gdyż tu widocznie nie jest zupełnie bezpiecznie.

– Ja sądzę, że nic nam tu nie zagraża, ponieważ terytorium Indian leży już poza nami.

– Mylicie się bardzo. Znajdujemy się właśnie na terenie niebezpiecznym, gdzie zamiast Indios bravos[24], jak ich nazywa Hiszpan, grasują meksykańscy rozbójnicy i łotrzykowie amerykańscy. Wkrótce zobaczycie ich i usłyszycie o nich.

Zabraliśmy tylko najlepsze części zwierzęcia, włożyliśmy je pod siodło i pośpieszyliśmy za naszymi. Zrównaliśmy się z nimi prędko, ponieważ się zatrzymali. Bob, spostrzegłszy zapas mięsa, zawołał z daleka:

– Och, ach, massa jechać z befsztykiem. Bob zaraz przynieść drzewa i upiec szynkę z bawołu.

Zgodziliśmy się na to chętnie, a tymczasem opowiadaliśmy sobie o dzisiejszej przygodzie. Gdy pieczeń zarumieniła się należycie, pokaźne jej kawałki zaczęły szybko znikać za grubymi

[24] I n d i o s b r a v o s (hiszp.) – dosłownie: dzielni Indianie; tak nazywano w Ameryce Indian, którzy nie chcieli się poddawać wpływom białych i prowadzili koczowniczy tryb życia utrzymując się polowania i rabunku

wargami Murzyna. Bob tak się pogrążył w tej miłej czynności, że nie usłyszał nawet okrzyku Sama:

– Uwaga! To jeźdźcy, czy tylko konie?

Spojrzawszy przez lunetę, odpowiedziałem:

– Jeźdźcy – trzej, czterej, pięciu, ośmiu... Tak, ośmiu.

– Czy nas dostrzegą?

– Naturalnie. Dym już niewątpliwie dawno zauważyli.

– Co to za ludzie?

– Meksykanie w szerokich kapeluszach i na wysokich siodłach.

– To weźmy, na przykład, broń do ręki, gdyż te odwiedziny pozostają może w związku z właścicielem lassa.

Oddział zbliżał się ciągle i zatrzymał się nie opodal. Byli to sami Meksykanie, pan i służący widocznie, a w jednym z nich poznałem tego, któremu zastrzeliłem konia. Naradzali się przez chwilę, potem rozjechali się na dwie strony i utworzyli koło, którym nas otoczyli.

– Zdaje się, że ci dżentelmeni chcą z nami mówić, hi, hi, hi! – prychał mały Sam, jak zwykle, gdy był rozbawiony. – Ja, na przykład, sam się tego podejmę.

Koło wokół nas zacieśniło się tak, że jego promień wynosił zaledwie dwadzieścia długości konia, po czym wysunął się naprzód o kilka kroków dowódca i odezwał się do nas używaną w tamtych stronach mieszaniną języka angielskiego z hiszpańskim:

– Kto jesteście?

Na to odrzekł za nas Sam:

– Mormoni[25] z wielkiego miasta nad Słonym Jeziorem, a jedziemy jako misjonarze do Kalifornii.

– Ostrzegam, że niewiele tam wskóracie! Kto jest ten Indianin?

– To nie Indianin, lecz Eskimos z Nowej Holandii, którego będziemy pokazywali za pieniądze, gdyby nam się źle powodziło.

– A Murzyn?

– To także nie Murzyn, lecz adwokat z Kamczatki, który jedzie na proces do San Francisko.

Poczciwy Meksykanin nie był lepiej obeznany z geografią niż większość jego rodaków.

– To ładne towarzystwo! – odpowiedział. – Trzej mormońscy misjonarze i obcy adwokat kradną mi krowę i usiłują zamordować mojego waquera. Ale ja was nauczę. Zabieram was jako jeńców do mego rancza.

Sans-ear odwrócił się do mnie z szelmowską miną.

– Czy pójdziemy, Charley? Może w ranczu będzie więcej do jedzenia aniżeli tutaj?

– Możemy spróbować. Jeśli to nie jest hacjendero z kilkuset poddanymi, lecz mały ranczero, to nic nam nie będzie mógł zrobić.

– Well. Zrobimy sobie tę przyjemność!

Potem zaś zapytał Meksykanina:

– Czy rzeczywiście chcecie się trudzić z nami dla takiej drobnostki, senior?

– Nie jestem żaden senior. Należy mi się tytuł: don[26], ponieważ jestem grandem[27]. Nazywam się don Fernando de Venango e Colonna de Molynares de Gajalpa y Rostredo. Zapamiętajcie to sobie.

---

[25] m o r m o n i – członkowie amerykańskiej sekty religijnej, założonej w 1827 r. przez „proroka" Mormona; wierzenia mormonów są mieszaniną wielobóstwa i chrześcijaństwa, do r. 1882 panowało wśród nich wielożeństwo

[26] d o n, d o n i a (hiszp.) – pan, pani; honorowy tytuł szlachecki w Hiszpanii

[27] g r a n d (hiszp.) – tytuł przysługujący arystokracji hiszpańskiej

– Ho – ho, to z was wielki pan. Będziemy więc musieli was posłuchać, ale spodziewam się, że okażecie się dla nas łaskawi.

Zaniechawszy wszelkiego oporu, powstaliśmy i po zagaszeniu ognia dosiedliśmy koni. Przy tym Bob zaśmiał się wesoło:

– Och, ach, pięknie! Murzyn Bob być adwokat z... –

Bob już zapomniał skąd. – W ranczo być dużo dobre jeść, pić i Bob mieszkać tam bardzo dużo pięknie.

Wzięto nas w środek, po czym ruszyliśmy wyciągniętym cwałem, gdyż Meksykanie nie są przyzwyczajeni do innego tempa jazdy. Po drodze miałem dość sposobności do przypatrzenia się ubraniu tych ludzi.

Jest ono tak romantycznie piękne jak w mało którym kraju. Głowę ocienia niski kapelusz z szerokimi kresami, tak zwane sombrero, zrobiony z czarnego lub brunatnego filcu albo z owej delikatnej trawy, znanej także w Europie, ponieważ tego rodzaju okrycia na głowę przychodzą do nas pod nazwą kapeluszy panama. Kapelusz seniora, to znaczy pana, czy to hacjendera, ranczera, czy też rozbójnika, jest zawsze z jednej strony założony, a złota lub mosiężna agrafa, wysadzana drogimi kamieniami lub kolorowymi szkiełkami, przytrzymuje kresę i pióro, którego wartość jest różna zależnie od majątku właściciela. W każdym razie pióra nigdy nie może brakować.

Meksykanin nosi krótką bluzę z szeroko rozciętymi rękawami, które, podobnie jak część bluzy na piersiach i jej szwy z tyłu, ozdobione są zwykle bogatym haftem ze sznurków wełnianych, jedwabnych lub bawełnianych oraz nieszlachetnych kruszców lub nawet ze złota i srebra.

Szyję owija mieszkaniec Meksyku czarną chustą związaną pod brodą w węzeł. Końce takiej chusty dosięgałyby pasa, ale zwyczaj każe zarzucać je na plecy, co noszącemu ją nadaje dużo malowniczości.

Spodnie mają także swój specjalny styl. Przylegają szczelnie do pasa, leżą gładko na biodrach, od kroku jednak rozszerzają się ku dołowi coraz bardziej, wskutek czego koło kostek są szersze niż na najgrubszej części uda. Nadto spodnie te mają na końcach rozcięcia, ozdobione frędzlami i haftem, a miejsca wyglądające spod rozcięcia wypełnia jedwabna materia o barwie dobranej w ten sposób, że odbija żywo od barwy samych spodni,

Hafty zdobią także buty, szyte z pięknie lakierowanej skóry Butów tych nie można sobie wyobrazić bez pary ogromnych ostróg, które bywają wyrabiane ze srebra, stali, kiepskiego mosiądzu lub nawet z rogu, a opatrzone są zawsze kościanym kolcem, zdolnym biednemu koniowi wywiercić porządną dziurę w boku. Rozmiary tych ostróg przewyższają wszystko, co kiedykolwiek nosili średniowieczni rycerze. Razem z imadłami na but są, skromnie licząc, długie na dziesięć cali, z czego przynajmniej sześć przypada na trzon z “kołem” zębatym. To, co u nas nazywa się “kółkiem” i wielkością swoją przypomina grosz, jest u Meksykanina dwunastopromienną gwiazdą o sześciu calach średnicy. Cała ostroga waży dwa funty, a częstokroć nawet więcej.

Meksykanie dosiadają zawsze dobrze wytresowanych, bardzo gibkich i wytrwałych na wszelkie trudy koni. Są to ludzie bardzo zręczni we władaniu bronią, którą odkładają tylko na noc, a gotowi są robić z niej użytek przy byle sposobności.

Ze szczególną wprawą władają długim pistoletem z gwintowaną lufą, tak urządzonym, że za jednym pociśnięciem można go połączyć z kolbą od strzelby, przez co pistolet zmienia się w strzelbę o krótkiej lufie. W ręku Meksykanina taka strzelba niesie śmierć na odległość stu pięćdziesięciu kroków, ponieważ skręty w lufie są bardzo krótkie, skutkiem czego kula wiruje dokoła swej osi i nie może tak łatwo zboczyć z nadanego jej kierunku. Nadto do strzelby takiej potrzeba stosunkowo bardzo małej ilości prochu, dzięki czemu przy strzale prawie nie odrzuca, jest więc po prostu prawdziwym skarbem w ręku wprawnego strzelca. Konie meksy-

kańskie są przy tym tak wytresowane, że można strzelać, zarówno wtedy, gdy się jest zwróconym twarzą do nieprzyjaciela, jak i wtedy, gdy się jest od niego odwróconym tyłem. Podczas jazdy nie strzela się nigdy w bok, lecz zawsze albo w przód, albo za siebie. Jeśli jednak koń stoi, można posługiwać się strzelbą we wszystkich kierunkach. Wystarczy pokazać koniowi strzelbę, a rozumne zwierzę stanie na kilka sekund tak nieruchomo jak wykute z kamienia albo odlane z brązu.

Jeszcze niebezpieczniejszą bronią Meksykanina jest lasso, ów straszny rzemień, za pomocą którego można schwytać i zabić rozbieganego bawołu, czarną panterę w skoku, a człowieka zarówno, kiedy naciera, jak i kiedy ucieka. Jest to rzemień długi na trzydzieści łokci, zaopatrzony na końcu w pętlę. Rzuca się nim przeważnie w cwale, a zaledwie raz na dziesięć tysięcy razy zdarza się, że lasso minie przeznaczonego na śmierć nieprzyjaciela, W rzucaniu lassem ćwiczą się w Meksyku już małe dzieci. Dlatego wydaje się, jak gdyby lasso zrosło się z Meksykaninem. Słucha ono nie tylko ręki, lecz nawet, że się tak wyrażę, myśli i leci do swego celu bez względu na to, czy się to dzieje w czasie zabawy, czy też w trakcie poważnej walki.

Gdy Meksykanin siedzi na koniu, z kuli u jego siodła zwisa „ponczo”[28], czyli koc, którym można okryć cale ciało. W środku znajduje się otwór na głowę, tak że połowa poncza zasłania plecy, a druga piersi.

Zarówno ubranie jeźdźca, jak rząd na konia są bardzo kosztowne. Na siodle i na uździe pełno wszędzie srebra, a czasem nawet złota. U bogatych ludzi wędzidło bywa zrobione z cienkiego srebra, a zdobiące je łańcuszki nie z dętego lecz litego złota. Takie ozdobne wędzidło kosztuje czasem pięćdziesiąt eskudów[29], a cała uzda dochodzi do wartości pięciuset eskudów.

Konie noszą słynne albo raczej osławione hiszpańskie siodła, o tak niezwykłej wysokości, że trudno z nich spaść, gdy się już raz dobrze usiądzie Jeśli zaś jeździec jest choć trochę zręczny, to koń nie zdoła go z siebie zrzucić. Oparcie sięga jeźdźcowi aż po krótkie żebra i przylega zupełnie do grzbietu, przednia część jest również wysoka, a mosiężny kłęb, przedstawiający często głowę końską, dochodzi aż do kości piersiowej.

Od siodła aż do podogonia ciągnie się kawał grubej skóry chroniącej resztę grzbietu i boki zwierzęcia. Jeźdźcy współcześni zostawiają zwykle ten rodzaj czapraka w domu, biorą go jednak do większych podróży głównie dlatego, że zaopatrzony jest w mnóstwo torb i kabur. Ten pancerz nazywa się zabawnie cala de pato – kaczy ogon.

Strzemiona, wiszące często na srebrnych łańcuchach, są zazwyczaj zrobione z drzewa, a w dawnych czasach były one prawdziwym obuwiem, które okrywało nogę, chroniąc ją przed każdym uszkodzeniem. Drewniane buty zarzucono, ale zachowano drewniane strzemiona. Do osłony nóg służą jednak przymocowane do przedniej części strzemienia – skórzane pokrywy (tapageres), ozdobione drucianą siatką. Bardzo bogaci ludzie miewają strzemiona z wycinanej blachy stalowej, bardzo kosztownej roboty, podobne do egzemplarzy spotykanych jeszcze po starych zbrojowniach. Ponieważ jeźdźcy starają się zabezpieczyć pod każdym względem, przeto po obu stronach łęku umieszczają jeszcze tak zwane armas de pelo. Są to koźle skóry przewrócone włosem na zewnątrz, które w razie deszczu kładzie się na kolanach. Podczas przeciskania się przez cierniowe zarośla są one doskonałą ochroną dla nóg.

Po niespełna półgodzinnej jeździe wynurzył się przed nami dom. Domyśliliśmy się od razu, że to ranczo. Wjechawszy na obszerny dziedziniec, zsiedliśmy z koni.

– Seniora Eulalia, seniorita Alma, chodźcie tu i zobaczcie, kogo prowadzę! – zawołał ranczero donośnym głosem, zwracając się do głównego budynku.

---

[28] p o n c z o -- hiszp *poncho*

[29] e s k u d o (hiszp. *escudo*) – dawna moneta hiszpańska

Na ten okrzyk wybiegły z niezwykłym pośpiechem dwie niewiasty, jak słyszeliśmy: seniora i seniorita, przy których jednak zwykła dziewka od krów wyglądałaby jak wielka dama. Obie były bose i z odkrytymi głowami, a czy osobliwa plątanina na ich głowach była włosami, tego na razie rozróżnić nie mogłem. Krótkie spódnice sięgały im do kolan, a dalej zasłaniał nogi brud, który wyglądał jak buty z cholewami. Górną część ciała okrywała tylko koszula, biała może przed laty, ale obecnie podobna do ścierki, której używa się do czyszczenia kominów.

Obie kobiety wypadły na próg i wytrzeszczyły na nas oczy, otwarłszy przy tym szeroko usta.

– Kogo nam tu sprowadzacie, don Fernando de Venango e Colonna?! – krzyknęła starsza. – Ileż to będzie roboty, gdy pięciu całkiem nie znanych gości zechce jeść i pić, grać, palić i spać? Tego nie zniosę i nie zgodzę się na to. Wolę uciec i zostawić was z całą waszą zgrają w tym nieszczęsnym ranczo. Żałuję teraz, że dałam się namówić do opuszczenia mego pięknego San Jose.

– Ależ, matko, czy nie widzisz, że ten don jest taki podobny do naszego don Allana? – rzekła młodsza wskazując na Marshalla.

– Niechaj sobie będzie nie wiem jak podobny, ale to nie on! – odpowiedziała tamta, rozgniewana, że wstrzymano potok jej wymowy. – Kto są ci ludzie? A kto będzie musiał ich obsługiwać? Ja, nikt inny! A to coś znaczy, jeśli się ma już tyle roboty, co przy naszym wielkim gospodarstwie. Już i tak często głowy nie czuję, a tu zjawia się jeszcze pięciu obcych gości!

– Ależ, senioro Eulalio, to nie są bynajmniej goście – przerwał jej ranczero.

– Nie goście? A któż, don Fernando de Venango e Colonna?

– Jeńcy, senioro Eulalio!

– Jeńcy? A za co ich pojmano, don Fernando de Venango de Molynares?

– Zabili nam krowę i trzech waquerów, moja kochana senioro Eulalio.

Jego bezczelność w mnożeniu naszych potwornych zbrodni zadziwiła nas niemało.

– Krowę i trzech waquerów! – zawołała, załamując umorusane ręce, tak głośno, że aż nasze konie jęły strzyc trwożnie uszami. – To straszne, to okropne, to woła o zemstę do nieba! Czy pochwyciliście ich na gorącym uczynku, don Fernando e Colonna de Gajalpa?

– Nie tylko na jednym uczynku, lecz na wszystkich, senioro Eulalio. Oni nie tylko zabili nam krowę, lecz nawet upiekli ją i zjedli!

Oczy donii otwarły się jeszcze szerzej.

– Upiekli i zjedli? Krowę, czy waquerów, don Fernando de Gajalpa y Rostredo?

– Najpierw krowę, senioro Eulalio.

– Najpierw. A potem, don Fernando y Rostredo de Venango?

– Potem? Potem nic. Schwytaliśmy ich i przywlekliśmy tutaj, senioro Eulalio,

– Schwytaliście i przywlekliście. O, cały świat wie o tym, jak dzielnym jesteście rycerzem. Któż są ci ludzie, don Fernando de Molynares e Colonna?

– Ci trzej biali to misjonarze z miasta mormonów, którzy udają się do San Francisko, aby nawrócić Kalifornię.

– Pomocy, ratunku! Misjonarze, którzy kradną i zabijają krowy i chcą zjadać waquerów! Mówcie dalej, don Fernando y Rostredo de Venango!

– Ten czarny, podobny do Murzyna, jest adwokatem z... z... stamtąd, gdzie mieszkają tubylcy z Kraju Ognistego. On jedzie do San Francisko, aby wykraść spadek, senioro Eulalio!

– Spadek wykraść? W takim razie nic dziwnego, że wykradł krowę i trzech waquerów! A ten ostatni, don Fernando e Colonna de Gajalpa?

– Wygląda jak indiański rozbójnik, ale jest Hotentotem z.. z Grenlandii. On będzie pokazywał misjonarzy za pieniądze.

– O! O! O! Cóż zrobicie z tymi ludźmi, don Fernando de Molynares de Gajalpa de Venango?

– Każę ich powiesić i zastrzelić. Zwołajcie wszystkich moich ludzi, senioro Eulalio.

– Wszystkich waszych ludzi? Przecież wszyscy są tutaj z wyjątkiem starej Murzynki, Betty, która zresztą także już tutaj lezie. Ale właśnie przychodzi mi na myśl. że nie brakuje nikogo, a przecież mówicie, że ci ludzie pozbawili życia trzech naszych waquerów, don Fernando y Rostredo e Colonna!

– To się jeszcze okaże, senioro Eulalio! Zamknijcie wszystkie drzwi i bramy, aby więźniowie nie pouciekali. Ja odprawię zaraz nad nimi surowy sąd.

Brama była tylko jedna, a zamknięto ją na zasuwę tak mocno, że mieliśmy w ręku zacnego don Fernanda razem ze wszystkimi jego seniorami.

– Tak! – rzekł ranczero. – Teraz przynieście mi krzesło. Konie nasze przywiązać do pali i możemy zaczynać.

Nie przeszkadzaliśmy nikomu w wykonywaniu tych rozkazów. Kiedy konie odprowadzono na bok, zyskaliśmy więcej miejsca, dzięki czemu nie potrzebowaliśmy bynajmniej obawiać się owego strasznego sądu.

Tymczasem przyniesiono trzy krzesła. Na środkowym usiadł don Fernando, a po obu jego bokach – seniora Eulalia i seniorita Alma we wspomnianych „sędziowskich togach”. My stanęliśmy blisko siebie, a waquerowie wzięli nas do środka.

– Najpierw zapytam was o nazwiska – zaczął ranczero. – Ty jak się nazywasz?

– Bob – odrzekł Murzyn, do niego bowiem wystosowane było pytanie.

– Jak prawdziwy łotr. A ty?

– Winnetou.

– Winnetou? To nazwisko jest skradzione, gdyż nosi je tylko wódz Indian, najsłynniejszy ze wszystkich, jacy są. A ty?

– Marshall.

– Widzisz, że ma również jego nazwisko! – wtrąciła pośpiesznie seniorita, zwracając się do matki.

– To nazwisko jankesowskie – zauważył ranczero – a one wszystkie są nic nie warte. A ty?

– Sans-ear.

– Także skradzione, gdyż tak się nazywa myśliwiec, znany wszędzie jako najdzielniejszy pogromca Indian. A ty?

– Old Shatterhand.

– Także nieprawnie przywłaszczone. Z tego widzę, że nie tylko jesteście rozbójnikami, ale także zuchwałymi kłamcami.

Teraz wysunąłem się cokolwiek naprzód i stanąłem tuż przy tym waquerze, który wlókł po ziemi Bernarda, czym zasłużył sobie na pamiątkę.

– My nie kłamiemy. Czy mam to udowodnić?

– Udowodnij.

W tej chwili moja zaciśnięta pięść spadła na głowę waquera, który runął nie wydawszy z siebie głosu.

– Czy to nie grzmocąca ręka Old Shatterhanda?

– Trzymaj mnie, Almo, bo mdleję, mam wapory, dostałam tężca! – zawołała seniora Eulalia, otworzyła ramiona i upadła zacnemu don Fernandowi na piersi.

On chciał się zerwać, lecz nie mógł się uwolnić od słodkiego ciężaru, który trzymał się mocno jego osoby. Pozostały mu więc jako jedyny środek obrony krzyk i przekleństwa, w czym wtórowała mu seniorita Alma. Meksykanin walczy bardzo dobrze na koniu, lecz tym gorzej pieszo. Waquerowie nie stanowili wyjątku z tej reguły, gdyż wyraźnie nie wiedzieli, co

począć, kiedy towarzysze natychmiast po moim uderzeniu podnieśli strzelby na znak, że gotowi są mnie bronić.

– Nie bójcie się, seniores – starałem się ich uspokoić – nic złego was nie spotka, jeśli będziecie rozumni. Chcemy tylko zwrócić waszą uwagę na pewną pomyłkę, a potem będzie wam wolno zrobić z nami, co wam się spodoba.

Zbliżyłem się potem do krzeseł, a ukłoniwszy się możliwie najniżej i z największym uszanowaniem, przemówiłem:

– Donio Eulalio, uważam się za wielbiciela piękności i pełen jestem podziwu dla cnót niewieścich. Racz się obudzić j obdarzyć mnie spojrzeniem swych oczu!

– Achchch!

Równocześnie z tym przeciągłym westchnieniem donia Eulalia otworzyła swe małe bazyliszkowe oczka i nadała swej żółtej twarzy wyraz, który miał być zalotny, choć świadczył o trwodze i zakłopotaniu.

– Piękna donio, słyszeliście zapewne o dawnych cours d'amour, owych trybunałach miłosnych, w których zasiadały damy, a każdy musiał się poddać ich wyrokowi. Nie jest rzeczą możliwą, żeby don Fernando osądził nas sprawiedliwie, ponieważ on sam jest stroną. Prosimy go zatem, żeby swą władzę złożył w wasze delikatne rączki, bo dopiero wasz wyrok, o czym nie wątpimy, dosięgnie rzeczywistego złoczyńcy.

– Czy istotnie sobie tego życzycie, senior? – pisnęła tak, jak gdyby jej wiązadła głosowe znajdowały się między dwiema szczotkami do szorowania.

– Myślimy całkiem poważnie, senioro Eulalio. Wprawdzie trudno jest nam złożyć wam uszanowanie, odpowiednio do waszych zalet, gdyż od wielu miesięcy podróżujemy po Dzikim Zachodzie, ale dobroć jest największą ozdobą niewiast, przeto tuszymy, że spełnicie naszą prośbę.

– Czy jesteście rzeczywiście tymi, za których się podajecie?

– Rzeczywiście!

– Słyszycie, don Fernando de Venango de Gajalpa? Ci słynni seniores zrobili mnie sędzią nad sobą. Wiecie, że nie znoszę żadnego oporu. Czy godzicie się na to?

Meksykanin skrzywił się, ale widocznie uznał siebie za mniej powołanego do pełnienia tej funkcji od swojej donii, bo odetchnąwszy jakby z ulgą i zadowoleniem, odpowiedział:

– Obejmijcie urząd, senioro Eulalio. Jestem pewien, że skażecie tych hultajów na powieszenie.

– Jeśli na to zasłużyli, don Fernando e Colonna de Molynares!

Następnie zwróciła się do mnie:

– Udzielam wam głosu, senior.

Skorzystałem oczywiście z jej łaskawości i zacząłem:

– Przypuśćmy, donio Eulalio, że wy jesteście głodnym, znużonym podróżnym i znajdujecie na sawannach krowę, której mięsem moglibyście zaspokoić głód. Czy byłoby wam wolno zabić tę krowę pod warunkiem, że skórę zostawicie jej właścicielowi?

– Byłoby wolno. Taki zwyczaj panuje wszędzie.

– Nie, tak nie jest wszędzie... – chciał jej przerwać ranczero, lecz donia powstrzymała go prędko:

– Cicho, don Fernando! Ja mam tu teraz rozkazywać. Będziecie mówili wtedy, gdy was do tego zawezwę.

Meksykanin usiadł z rezygnacją na krześle, a miny waquerów pouczyły mię, że seniora Eulalia była rzeczywistą panią rancza.

– Taka była cała nasza zbrodnia, o donio! – podjąłem dalszą obronę. – Wtem pojawił się nagle ten oto waquero, który leży teraz na ziemi, zarzucił lasso na seniora Marshalla, który tu

stoi przed wami, pociągnął go za sobą i byłby go pozbawił życia, gdybym nie zastrzelił w porę jego konia.

– Marshall. To nazwisko jest mi drogie. Niejaki senior Allano Marshall mieszkał u mojej siostry w San Francisko.

– Allan Marshall? Czy może z Louisville w Stanach Zjednoczonych? – zawołałem zdziwiony.

– Właśnie, właśnie. On to właśnie, nikt inny. Czy wy go znacie?

– Rozumie się. Ten oto senior Bernard Marshall to jego rodzony brat, jubiler.

– Santa Lauretta! To się zgadza! Tamten także był jubilerem i miał brata Bernarda. Almo, nie zawiodło cię twoje serce! Pójdźcie w moje ramiona, senior Bernardo. Witam was jak najuprzejmiej.

Temu nagłemu wylewowi radości brakło co prawda nieco wyjaśnienia i chociaż Bernard bardzo się ucieszył niespodzianą wiadomością o tym. którego szukał, wolał jednak tylko ucałować rękę seniory aniżeli dać się jej uścisnąć.

– Przybyłem tutaj – rzekł – w tym właśnie celu, żeby odszukać brata. Gdzie on się teraz znajduje, donio Eulalio?

– Moja córka Alma była niedawno u mojej siostry. Kiedy miała już powracać, senior Allano gotował się w drogę do kopalń Czy ci wszyscy ludzie to wasi przyjaciele, senior Bernardo?

– Wszyscy. Zawdzięczam im bardzo wiele, bo wolność i życie. Ten oto senior Old Shatterhand uwolnił mnie z rąk stakemanów i z niewoli u Komanczów.

Donia znów klasnęła w dłonie.

– Czy to być może, żebyście przeżyli takie przygody? Musicie nam o tym wszystkim opowiedzieć. Ale jakim sposobem wy jesteście mormonem, skoro wasz brat nim nie jest?

– Nie jesteśmy mormonami, donio Eulalio. Myśmy sobie tylko tak zażartowali.

Donia odwróciła się czym prędzej do ranczera.

– Czy słyszycie, don Fernando de Venango de Gajalpa? To nie są ani mormoni, ani rozbójnicy. Uwalniam ich od wszelkiej, winy. Będą odtąd naszymi gośćmi i zostaną u nas, dopóki sami zechcą, Almo, pobiegnij prędzej do kuchni i przynieś flaszkę basilikjulepu[30]. Musimy się napić na powitanie.

Na słowo basilikjulep rozjaśniła się twarz ranczera. Zdaje się bowiem, że tylko w szczególnie uroczystych chwilach miał z tą flaszką do czynienia. Toteż trudno mu było wziąć za złe, że ucieszył się, iż nasze przybycie uznano za taką uroczystą okoliczność. Julep miał się okazać najlepszym środkiem do sprowadzenia zgody między nim a nami.

Seniorita Alma pobiegła tak szybko, że omal jej brud nie popękał na nogach, i równie prędko wróciła z brzuchatą flaszką i szklanką odpowiedniej wielkości. Kto wie, jak nędzny samogon pod nazwą julepu przywożą w owe strony Jankesi, ten zapewne przypuszcza, że ledwie zamoczyliśmy w nim usta, a damy wcale go nie skosztowały. Tymczasem, przypuszczając tak nie pomyliłby się tylko co do nas, bo obie damy wychyliły po szklance z taką rozkoszą, jak gdyby to był najprawdziwszy nektar. Winnetou, wierny swojej zasadzie, nawet nie popatrzył na wodę ognistą, ranczero zaś dolewał sobie tak długo, dopóki mu rezolutna gospodyni nie odebrała flaszki.

– Zostawcie już, don Fernando de Venango y Rostredo e Colonna. Wszak wiecie, że mam tylko dwie flaszki tego gatunku. Teraz zaprowadźcie seniores do ich pokoju. Damy zrobią najpierw toaletę, a potem wspólnie coś niecoś przekąsimy, by zaspokoić głód. Chodź, Almo. Adios[31], seniores.

---

[30] b a s i l i k j u l e p (biszp.) – napój wyskokowy

[31] a d i o s (hiszp.) – żegnaj

Damy zniknęły w otworze muru, za którym znajdowała się widocznie ich garderoba czy kuchnia albo jedno i drugie równocześnie, nam zaś ranczero wskazał pomieszczenie, które seniora zaszczyciła mianem „pokoju". Był tam tylko stół i kilka ławek, pozbijanych z nie ociosanych tyk, mieliśmy więc na czym usiąść. W porę przy tym zauważyliśmy, że waquerowie bardzo gorliwie zabrali się do naszych koni, aby zbadać zawartość naszych torb przy siodłach. Wobec tego musiałem wyjść, by zabezpieczyć ich zawartość, pomny znanego powiedzenia, które głosi, że najlepszy waquero może być zarazem największym łotrem. Po czym kazałem Bobowi zostać przy koniach, które pasły się przed domem. Poczciwy Murzyn uskarżał się gorzko na to zarządzenie.

– Massa teraz jeść dużo, piękne, dobre rzeczy przy stole. A czemu Murzyn Bob musieć pilnować koni?

– Ponieważ jesteś silniejszy i dzielniejszy od Winnetou i Sans-eara. Dlatego też spokojnie powierzam ci nasze konie.

Zadowolony z tego uznania, Bob zawołał:

– Och, ach, to być słusznie! Bob być mocny i odważny i patrzyć, żeby nikt nie ruszyć koni.

Uspokoiwszy Boba powróciłem do pokoju, gdzie prowadzono już dość ożywioną rozmowę. Nareszcie zjawiły się panie, w porównaniu z poprzednim swoim wyglądem zmienione nie do poznania. Ubrane były jak damy na Alamedzie[32] w Meksyku,

Ubrania pań meksykańskich tylko w drobnych szczegółach przypominają stroje europejskie. Nawet najwybredniejsze strojnisie nie znają kapeluszy ani czepców. Powszechnie używane jest „rebozo", czyli szal, długi na cztery metry, służący zarazem za okrycie na głowę. Będąc w towarzystwie, przewieszają go panie zwykle przez ramię, tak mniej więcej, jak się go nosi u nas. Na ulicy jednak, w odwiedzinach albo na wieczornej przechadzce, wkłada się rebozo na głowę w ten sposób, że z tyłu głowa jest zakryta, a twarz odsłonięta. Ponieważ zaś rebozo jest zawsze delikatny jak welon, przeto można go także używać jak welonu, przy czym nie tylko twarz, lecz także ramiona i cała figura są nim osłonięte.

Rebozo wytwornej Meksykanki musi pochodzić z rąk indiańskich. Ponieważ się je tka, a raczej wyplata, a robota wymaga nieraz dwóch lat czasu, przeto cena osiemdziesięciu piastów nie jest wygórowana. Są jednak reboza, które kosztują dwa razy tyle.

W takich rebozach ukazały się nam teraz obie panie. Umyły sobie twarz i ręce, a na nogach miały pończochy i trzewiki. Gdybym ich nie widział przedtem w ich codziennym stroju, mogły, zwłaszcza młodsza, wywrzeć dodatnie wrażenie.

Usiadły obie przy stole, aby pełnić „honory domu", a obsługiwanie stołu aż do najdrobniejszych szczegółów pozostawiły starej Murzynce. Uderzało mnie, że wspominały ciągle o seniorze Allanie, co obudziło nawet we mnie podejrzenie, że seniorita Alma „polowała" trochę na przystojnego jubilera i jeszcze teraz całkiem o nim nie zapomniała.

Potrawy były prawdziwie meksykańskie: wołowina z ryżem zabarwionym na czerwono pieprzem meksykańskim, potrawy mączne z czosnkiem, suszone jarzyny z cebulą, baranina czarna od zwykłego pieprzu, kurczęta z cebulą i z czosnkiem, a w końcu polędwica z hiszpańskim pieprzem, cebulą, czosnkiem i zwykłym pieprzem. Nic dziwnego też, że zapieprzyłem sobie całe usta, zacebuliłem przełyk i zaczosnkowałem cały żołądek.

Panie były mniej wrażliwe niż Old Shatterhand i podsycały rozkosz częstymi łykami basilikjulepu, po którym następował nieunikniony papieros.

Aby Bob nie zaznał krzywdy, jeden z waquerów donosił mu wszystkie potrawy na rogóżce słomianej, używanej jako taca. Nie żałowano mu również basilikjulepu.

O dalszym ciągu podróży trudno było tego dnia myśleć. Seniorita Alma nie opuszczała poczciwego Bernarda, a ja, nieszczęsny westman, za swoją wyrachowaną uprzejmość skazany

[32] A l a m e d a – nazwa ruchliwej, eleganckiej ulicy w mieście Meksyk

byłem na wyłączne towarzystwo seniory Eulalii, która o ile przedtem niewiele różniła się od jędzy, o tyle teraz każdym słowem zaznaczała swą przychylność wobec mnie. Z Old Shatterhanda awansowałem wkrótce na „seniora Korlosa", potem "don Korlosa", a gdy Bernard opowiedział swoje przejścia, wprost na jej „zacnego i dzielnego Karlosa". Kiedyśmy wstali od stołu, zapytała „swego kochanego Karlosa", co weźmie na pamiątkę dla narzeczonej. Na to chytre pytanie nie mogłem jednak odpowiedzieć nieprawdy, toteż oświadczyłem, że nie mam prawa przywozić żadnej pamiątki z podróży, gdyż w spisie obywateli widnieję jako „mężczyzna stanu wolnego". Ale aby jej dłużej nie przeszkadzać w domowych zajęciach, wyszedłem do Boba, usprawiedliwiając się tym, że chcę zajrzeć do koni.

Podczas wieczerzy, którą spożyliśmy znów w pokoju, seniora szepnęła do mnie:

– Don Karlosie, mam wyjawić wam pewną tajemnicę.

– Jaką?

– Nie tutaj. Gdy wstaniemy od stołu, przyjdźcie zaraz tam pod trzy jawory.

A więc schadzka! Nie odmówiłem, spodziewając się, że może doniesie mi o czymś godnym uwagi. Podczas wieczerzy wprowadzono konie na dziedziniec, lecz brama była jeszcze otwarta. Wyszedłem i ułożyłem się pod wskazanymi drzewami. Niedługo jednak rozkoszowałem się tą wygodną pozycją, gdyż Eulalia nie kazała na siebie czekać.

– Dziękuję wam, don Karlosie! – zaczęła. – Musiałam was prosić o chwilę rozmowy, ponieważ chcę was o czymś uwiadomić w tajemnicy przed tamtymi. Mogłam wprawdzie powiedzieć to także tamtym, ale was właśnie wybrałam, bo...

– Bo siedzieliśmy najbliżej siebie, dlatego najłatwiej wam było posłać mnie tutaj po cichu. Prawda, donio Eulalio?

– Zaiste. Oto senior Bernardo opowiadał mi o dwóch rozbójnikach, których ścigacie. Oni byli tu w naszym ranczo.

– Ach! Kiedy?

– Onegdaj rano odeszli.

– Dokąd?

– Przez Sierra Nevadę do San Francisko. Rozmawiałam z nimi wiele o seniorze Allano, bo oni pragną go odwiedzić.

To była rzeczywiście bardzo cenna wiadomość, dzięki której odgadłem zamiary Morganów. Seniora tak jak z każdym rozmawiała i z nimi o Allanie, oni zaś pochwycili w lot sposobność zemszczenia się na Bernardzie i ograbienia jego brata, wyposażonego w znaczne środki materialne.

– Czy wiecie na pewno, że to byli oni. donio Eulalio?

– Oni, bo wszystko się zgadza, choć przybrali inne nazwiska.

– Wypytywali was bardzo dokładnie o waszą siostrę i seniora Allana?

– Tak. Musiałam im nawet dać znak, że u mnie byli.

– Na czym ten znak polegał?

– Był to list pisany do mnie ongiś przez męża siostry do San Jose.

– Czy on jeszcze żyje?

– Tak. Jest właścicielem hotelu „Valladolid" na Sutterstreet i nazywa się Enrico Gonzalez.

– Kiedy seniorita Alma wyjechała od niego?

– Przed trzema miesiącami.

– Może byście mi opisali tych dwóch ludzi, którym daliście list?

Z jej opisu nabrałem pewności, że to istotnie byli obydwaj Morganowie. Jakkolwiek mogła mi to powiedzieć otwarcie przy stole, to jednak wobec ważności informacji nie gniewałem się na nią, że wyciągnęła mnie na tę przechadzkę. Podziękowałem jej więc najserdeczniej, po czym seniora Eulalia wróciła do domu.

Wkrótce potem i ja wszedłem do pokoju, gdzie już na mnie czekano, gdyż przed udaniem się na spoczynek mieliśmy wylosować, kto ma czuwać. Nawet tutaj, w ranczu, uważaliśmy to za konieczne. Dopiero po wylosowaniu położyliśmy się spać.

Aby sobie zdać sprawę z tego, jak spędziliśmy ową noc, trzeba zapoznać się z wnętrzem rancza. Budynek taki ma zazwyczaj jedną izbę mieszkalną, a u don Fernanda była nią ta, którą seniora Eulalia nazwała „pokojem". Tu mieszka i śpi wszystko, co należy do domu, w sposób patriarchalny razem z gośćmi. Przez to, „co należy do domu", rozumie się często także dojne krowy, ujeżdżone konie, owce, świnie, kury, psy i koty. Podłogę tworzy mocno ubita glina pokryta odrobiną trawy i mchu, w którym przebywają, żyją i rozwijają się skorpiony, pająki, stonogi i inne robactwo. Siano i mech służą w nocy za pościel, a zamiast kołdry używa się zazwyczaj poncza.

Tak samo było i w naszym ranczu. Don Fernando de Venango, seniora Eulalia, seniorita Alma, stara Murzynka i wszyscy waquerowie, a wreszcie i my leżeliśmy obok siebie jak w wiejskiej karczmie, gdzie gość za trzy grosze ma prawo spać na słomie i podłożyć sobie pod głowę przewrócone krzesło zamiast poduszki. Wolałbym wyszukać sobie na dworze miejsce na nocleg, ale nie chciałem ryzykować tego wykroczenia przeciwko prawom gościnności, bo byłbym śmiertelnie obraził gospodarzy.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy dalej, obsypani życzeniami szczęśliwej drogi przez wszystkich mieszkańców rancza. Nawet ten waquero, którego powaliłem uderzeniem pięści, musiał z uprzejmości dla seniory Eulalii, chcąc nie chcąc, wtórować w tym ogólnym chórze życzliwych głosów.

Don Fernando de Venango e Colonna de Molynares de Gajalpa y Rostredo odprowadził nas konno znaczną przestrzeń i zawrócił dopiero około południa. Widocznie niechętnie rozstawał się z mormońskimi misjonarzami, chociaż przez nich utracił całą flaszkę basilikjulepu.

Z powodu wiadomości otrzymanej od seniory Eulalii nie musieliśmy trzymać się pierwotnego planu podróży, toteż dotarłszy do jeziora Mona, stanęliśmy tam na czas krótszy, aniżeli to pierwotnie zamierzyliśmy. Mogliśmy zresztą pozwolić sobie na to, gdyż konie nasze wypoczywały w ranczu prawie cały dzień.

Przejechawszy w szybkim tempie Sierra Nevadę, udaliśmy się potem na dół do Stokton, a stamtąd do San Francisko.

Miasto to leży na samym końcu wydłużonego półwyspu. Na zachodzie ma za sobą wielki ocean, na wschodzie pyszną zatokę, a od północy wejście do niej. Port w San Francisko jest najpiękniejszym chyba i najlepszym portem na całym globie, a zarazem jest tak obszerny, że mógłby pomieścić floty całego świata. Wszędzie widać tu ruch handlowy i nieopisane przemieszanie najróżnorodniejszej ludności. Z Europejczykami wszelkich narodowości spotykają się dzicy i półcywilizowani czerwonoskórzy, którzy znoszą tu swoją zwierzynę i po raz pierwszy może otrzymują za nią mniej więcej sprawiedliwą cenę. Malowniczo ubrany Meksykanin przechodzi tu obok skromnego Niemca, znudzony Anglik – obok ruchliwego Francuza. Indyjski kulis w białym, bawełnianym ubraniu spotyka się z ubogim Żydem z Polski, elegancki dandys – z nieokrzesanym mieszkańcem puszczy, handlarz Tyrolczyk – z poszukiwaczem złota, którego cera jest ogorzała, włosy nie uczesane, a zmierzwiony zarost zakrywa wszystko, co nazywamy ludzką fizjonomią. Przewijają się tu obok siebie Mongoł z wyżyn azjatyckich, Pers z Azji Mniejszej lub z Indii, Malajczyk z Wysp Sundyjskich i Chińczyk znad brzegu Jangtsekiangu.

W ogóle „synowie Państwa Środka" stanowią najpoważniejszy odłam obcokrajowców wśród tutejszej ludności. Wszyscy są podobni. U wszystkich widzi się krótkie, zadarte nosy, wszystkim wystaje nieco naprzód dolna szczęka, wszyscy mają kanciaste, wystające kości policzkowe, skośne oczy, identyczną barwę skóry, brunatnawozielonawą bez żadnych odcieni, bez śladu zaróżowienia policzków ani jaśniejszego zabarwienia czoła.

Chińczycy są najpilniejszymi i niemal jedynymi robotnikami w San Francisko. Te małe, okrągłe, dobrze odżywione, a mimo to nadzwyczaj ruchliwe figurki, jak rzadko kto, zdolne są robić wszystko, co wymaga zręczności rąk i cierpliwości. Rzeźbią w kości słoniowej i w drzewie, toczą z kruszcu, wyszywają na suknie, skórze, bawełnie, płótnie i jedwabiu, dziergają i tkają, rysują i malują, plotą z pozornie najmniej giętkich materiałów i wykonują osobliwe, podziwu godne roboty, zapewniające im odbiorców wśród miłośników wszelkich osobliwości.

Do tego należy dodać, że Chińczycy są skromni i zadowalają się najmniejszym zyskiem. Żądają zrazu bezczelnie dużo, ale każdy wie, że może się z nimi targować, i w końcu godzą się nawet na trzecią i czwartą część żądanej ceny. Ich wynagrodzenie dzienne jest także mniejsze od wynagrodzenia białych robotników, a mimo to jest ono jeszcze dziesięć razy większe od tego, które Chińczycy otrzymują w swej ojczyźnie. Ponieważ są nadzwyczaj skromni w wymaganiach i oszczędni, przeto jeszcze nienajgorzej na tym wychodzą. Toteż Chińczycy zagarnęli w swe ręce wszystkie drobne rzemiosła, a pranie bielizny jak też obsługa domów i kuchni należy wyłącznie do ich żon i córek.

Ale nie tylko Chińczycy są tu bardzo czynni. Wszyscy mieszkańcy miasta rozwijają bajeczną wprost ruchliwość, zapatrzeni w jeden cel: zarobić jak najwięcej i jak najprędzej. Każdy jest przekonany o tym, że czas to pieniądz, że kto zatrzymuje drugiego, przeszkadza samemu sobie, a ponieważ nikt nie pozwala siebie zatrzymywać. przeto wszystko odbywa się bez zastojów. Każdy stara się, jak tylko może, ustępować z drogi drugiemu, aby tylko mieć wolne przejście dla siebie.

Tak jest w domach i na dziedzińcach, tak jest też, na ulicach i placach publicznych. Blada, szczupła Amerykanka, dumna, czarnooka Hiszpanka, jasnowłosa Niemka, elegancka Francuzka i kobiety różnokolorowe chodzą, drepcą i spieszą to tu, to tam. Bogaty bankier we fraku, w cylindrze i w rękawiczkach trzyma w jednej ręce szynkę, a w drugiej kosz z jarzynami; ranczero zarzuca na plecy sieć z rybami, które transportuje do domu, aby uświetnić nimi jakąś uroczystość, oficer milicji ściska w ręku tłustego kapłona; kwakier[33] niesie w odwiniętych połach długiego surduta kilka potężnych homarów, a wszyscy wymijają się sprawnie, śpiesząc tam i z powrotem i nie przeszkadzając sobie nawzajem.

Wjechaliśmy do metropolii kraju złota i nie zaczepieni przez nikogo przeszliśmy przez rojowisko ludzkie, aż do Sutterstreet, gdzie niebawem znaleźliśmy hotel „Valladolid". Był to zajazd w stylu kalifornijskim – wąski i długi budynek drewniany o jednym piętrze.

Oddaliśmy nasze konie stajennemu, który zaprowadził je zaraz do małej szopy, sami zaś weszliśmy do izby gościnnej, która pomimo olbrzymich rozmiarów tak była pełna, że z trudem zaledwie zdołaliśmy zdobyć wolny stolik. Jeden z barmanów zauważył nas dość prędko i podszedł ku nam pośpiesznie. Każdy z nas obstalował to, na co miał ochotę, a gdy przyniesiono zamówione napoje i potrawy, zacząłem swoje badanie:

– Czy jest w domu senior Enrico Gonzalez?

– Yes, sir! Życzy pan sobie widzieć się z nim? – brzmiała odpowiedź.

– Tak, jeśli wolno prosić.

Wkrótce podszedł do nas wysoki, poważny Hiszpan i przedstawił się jako senior Enrico.

– Chciałbym się dowiedzieć – zacząłem uprzejmie – czy mieszka jeszcze u was niejaki Allan Marshall.

– Nie wiem, senior. Nie znam go i nikogo zresztą, bo w ogóle nie zajmuję się nazwiskami moich gości. To należy do seniory.

– A czy z nią można pomówić?

---

[33] k w a k i e r (ang, *quaher)* – członek sekty religijnej "Stowarzyszenia Przyjaciół" założonej w połowie XVII wieku w Anglii, rozpowszechnionej w Ameryce Północnej

– Także nie wiem. Musicie o to spytać którąś z dziewcząt!

Po tych słowach odwrócił się od nas. Wydało mi się, że stosunek jego do swojej seniory był taki, jak stosunek don Fernanda do donii Eulalii, jej siostry. Powstałem więc i udałem się w kierunku, skąd na całe pomieszczenie rozchodził się przyjemny zapach pieczeni. Po drodze spotkałem małą, szczupłą kobietkę, która z jakimś przedmiotem w ręku chciała się właśnie koło mnie przemknąć. Pochwyciłem ją za rękę i zatrzymałem.

– Gdzie jest seniora, moja mała?

Ciemne jej oczy spojrzały na mnie z gniewem.

– Vous êtes un âne.[34]

"Aha, Francuzka" – pomyślałem sobie. Mała zaś wyrwała mi się wielce oburzona i uciekła. Powędrowałem dalej i przechodząc około stołu zetknąłem się z drugą Hebe[35].

– Mademoiselle[36] – zapytuję uprzejmie – czy można się widzieć z seniorą?

– I am not mademoiselle.[37]

Odprawiwszy mnie tym, odeszła obojętnie. Była to Amerykanka albo Angielka. Już zacząłem się kłopotać. że defilując tak przed przedstawicielami wszystkich narodowości, nawet do wieczora nie dostanę się do seniory, gdy po drugiej stronie sali ujrzałem śledzącą mnie oczyma osobę, której twarz wydała mi się znajomą. Z niemałą otuchą puściłem się prosto ku niej. Ale ona już z daleka klasnęła w ręce i zaraz skoczyła ku mnie tak gwałtownie, jakby mnie chciała stratować.

– Sąsiedzie, byłabym was nie poznała, taką zapuściliście brodę!

– Do pioruna! Guścia, Ebersbach Guścia. Jakże nadzwyczajnie pani wyrosła. W jaki sposób dostała się pani z Niemiec do Kalifornii?

– Matka moja umarła zaraz po pańskim wyjeździe. Wkrótce potem przyjechał agent emigracyjny i namówił ojca, żeby się tutaj przeniósł. Lecz nadzieje ojca się nie spełniły. Teraz jest z braćmi tam, gdzie podobno jest dużo złota, a mnie zostawił tutaj. Powodzi mi się dobrze, czekam więc tutaj, zanim moi nie wrócą.

– Pomówimy z sobą jeszcze później, ale teraz powiedz mi, pani, gdzie można znaleźć seniorę. Pytałem o to dwie pani koleżanki, ale zamiast odpowiedzi otrzymałem grubiaństwa.

– To zupełnie zrozumiałe, gdyż naszą panią wolno nazywać tylko donią, a najlepiej donią Elwirą.

– Zastosuję się do tego. A więc czy można mówić z donią Elwirą?

– Zaraz zobaczę. Gdzie pan siedzi?

– Tam, przy drugim stole.

– Wróć pan do swego stołu, a ja już pana zawiadomię.

Było to jeszcze jedno dziwne spotkanie, jakich miałem już tyle w czasie moich wędrówek. Ojciec owej Guści i mój mieszkali obok siebie i obaj byli sobie kumami. Teraz stary stolarz szukał szczęścia w kopalniach złota, jego synowie, z których starszy był moim kolegą, pomagali ojcu, a w pierwszym zajeździe, którego próg przestąpiłem w San Francisko, spotkałem się z najmłodszą ich latoroślą, Guścią. Kiedy ją jeszcze jako dziecko nosiłem na rękach, burzyła nieraz moją gęstą czuprynę, a potem śmiejąc się, łechtała mnie spiczastym noskiem po twarzy. Czy mogłem wtedy przypuścić, że po latach zobaczymy się w Kalifornii?

Wkrótce Guścia wróciła.

– Seniora przyjmie pańskie odwiedziny, chociaż teraz nie jest godzina audiencji.

– Jak to: godzina audiencji? U gospodyni?

---

[34] V o u s ę t e s u n â n e (franc.) – pan jest osłem

[35] H e b e – wg mitologii greckiej córka Zeusa i Hery, bogini młodości, która podczas uczt nalewała bogom olimpijskim nektar i ambrozję

[36] m a d e m o i s e l l e (franc.) – panna

[37] I a m n o t m a d e m o i s e l l e (ang.) – ja nie jestem mademoiselle

Guścia wzruszyła ramionami.

– Ona tego surowo przestrzega. Można z nią mówić tylko rano od jedenastej do dwunastej, a po południu od szóstej do siódmej. Kto nie przyjdzie w tym czasie, musi czekać, naturalnie, jeśli nie ma dobrych rekomendacji.

– Aha, dziękuję – roześmiałem się serdecznie. – Nikt by nie uwierzył, co warta dobra sąsiadka!

– Prawda? No, chodź pan!

Miałem wrażenie, że udaję się na audiencję do jakiejś politycznej czy też innej wielkości. Guścia wprowadziła mnie do przedpokoju i kazała tam czekać, dopóki za portierą nie odezwie się dzwonek.

Było to bardzo zajmujące, zwłaszcza że na dzwonek musiałem czekać dobre pół godziny. Wreszcie wszedłem do pokoju zapchanego najrozmaitszymi meblami i różnym sprzętem. Donia Elwira musiała oczywiście mieć pokój pięknie urządzony, nic tedy dziwnego, że na ścianach nie było ani jednego wolnego cala. Pani domu siedziała na sofie, oparłszy jedną rękę na mapie zwisającej z bocznej poręczy. Na jej kolanach leżała gitara, obok niej zaczęty haft, a przed nią stała sztaluga – oczywiście pomiędzy nią a oknem, tak że o świetle nie było mowy – a na przypiętym do niej arkuszu papieru dostrzegłem dwa szkice. Jeden z nich miał przedstawiać kocura albo głowę starej kobiety bez czepca, drugi zaś był na pewno zoologicznej natury, ale nie mogłem go bliżej zidentyfikować.

Złożyłem bardzo głęboki i uniżony ukłon. Zdawało się jednak, że donia Elwira tego nie zauważyła, bo patrzyła sztywno w jeden punkt sufitu, na którym ja zgoła nic nie widziałem. Nagle odwróciła głowę szybkim ruchem i zapytała:

– Jak daleko jest księżyc od ziemi?

To pytanie nie było dla mnie niespodzianką, gdyż oczekiwałem jakiegoś dziwactwa. Nie chciałem jej wszakże pozostać dłużnym i odwzajemniłem się podobnie:

– Pięćdziesiąt dwa tysiące mil w poniedziałek, ale w sobotę tylko pięćdziesiąt.

– Słusznie.

Teraz znowu zaczęła badać sufit, po czym nastąpiło drugie pytanko:

– Z czego się robi rodzynki?

– Z winogron.

– Całkiem słusznie.

Nieszczęsny punkt na suficie stał się znowu przedmiotem obserwacji. Po chwili padło pytanie:

– Co to jest poil de chevre?

– Materia po piętnaście łokci za eskudo d'oro, ale teraz mało kto jej używa.

– Słusznie. Teraz witam was, senior! Augusta wstawiła się u mnie za wami, a ja nie jestem rozrzutną w rozdawaniu łask i zwykłam każdego starającego się o moją przychylność poddawać egzaminowi. Jesteście znani z uczoności, więc wybrałam dla was najtrudniejsze pytania z różnych dziedzin. Odpowiedzieliście świetnie, chociaż bardziej wyglądacie na niedźwiedzia aniżeli na uczonego. Ale Augusta uprzedziła mię, że uczęszczaliście do wielu szkół i poznaliście wszystkie kraje i narody. Usiądźcie, senior!

– Dziękuję, donio Elwiro de Gonzalez! – odrzekłem siadając skromnie na krawędzi krzesła.

– Czy chcecie zamieszkać w moim domu?

– Właśnie.

– Zgadzam się na to, gdyż jesteście bardzo uprzejmym człowiekiem, a swój wygląd zewnętrzny możecie doprowadzić do lepszego stanu, gdy zadacie sobie trochę trudu. Czy byliście w Hiszpanii?

– Byłem.

– Jak wam się podoba ta namalowana przeze mnie mapa mojej ojczyzny?

Podała mi papier z nędzną kopią, narysowaną przez kalkę.

– Bardzo dokładna, donio Elwiro de Gonzalez.

Gospodyni przyjęła moją pochwalę obojętnie, sądząc zapewne, że się jej należała.

– Tak, my, kobiety, wyemancypowałyśmy się nareszcie, a największym naszym triumfem jest to, że wniknęłyśmy w głębiny wiedzy i wyprzedzamy mężczyzn w sztukach pięknych. Przypatrzcie się tym dwom malowidłom. Są niedoścignione w ogromie przedmiotu. A ta delikatność linii, to cieniowanie, ten refleks światła! Jesteście na pewno znawcą, ale mimo to muszę was wypróbować. Co to przedstawia?

Byłbym poniósł straszną klęskę jako znawca piękna, gdyby już sam „ogrom przedmiotu" nie dał mi jasnej wskazówki. Odpowiedziałem więc z dość bezczelną zuchwałością:

– Węża morskiego.

– Słusznie. Wprawdzie nikt go jeszcze nie widział wyraźnie, ale skoro badacz mierzy w myśli przestrzenie, do których nigdy nie dotarł, to oko artysty może także ujmować kształty, na jakie on sam jeszcze nigdy nie patrzył. A ten rysunek?

– To goryl sławnego du Chailly.

– Słusznie. Przekonywam się, że jesteście najuczeńszym z ludzi, jakich dotąd spotkałam, gdyż jeszcze nikt przed wami nie rozpoznał natychmiast węża morskiego ani goryla. Zasługujecie na najwyższe akademickie godności.

Duma. jaką poczułem z powodu tej pochwały, przyprawiła mnie o takie samo niemal wrażenie jak czosnek i cebula zacnej donii Eulalii. Genialna jej siostra wskazała teraz na stół, stojący u wejścia, mówiąc:

– Króluję także nad moim domem, chociaż nie wchodzę w bliższą styczność z materialną stroną gospodarstwa. Tam jest atrament, pióro i księga. Wpiszcie swoje nazwisko. Uczyniłem to i zapytałem:

– Czy wolno mi zapisać także od razu moich towarzyszy?

– Macie towarzyszy?

– Tak.

– Co to za jedni?

Zacząłem od kolorowych:

– Bob, mój czarny służący.

– Naturalnie! Człowiek, który od razu poznał mojego węża morskiego, jeździ tylko z lokajami. Tych się jednak nie zapisuje. Kto jeszcze jest z wami?

– Winnetou, wódz Apaczów.

Na to pani domu zrobiła ruch jak człowiek zaskoczony niespodzianką.

– Słynny Winnetou?

– On właśnie.

– Chciałabym go poznać. Musicie mi go później przedstawić, a na razie go zapiszcie.

– Dalej niejaki Sans-ear, który...

– Pogromca Indian?

– Tak.

– Zapiszcie go, zapiszcie. Podróżujecie, jak widzę, w niezwykłym towarzystwie. Czy wszystkich już wymieniliście?

– Czwarty i ostatni, to master Bernard Marshall, jubiler z Louisville w Kentucky.

Elwira omal nie zerwała się z miejsca.

– Co mówicie! Jubiler Marshall z Kentucky?

– Ma on brata imieniem Allan, który miał szczęście u was mieszkać, donio Elwiro de Gonzalez.

– A więc dobrze się domyślałam. Zapiszcie go, i to zaraz, senior. Wszyscy otrzymacie najlepsze pokoje do spania. Luksusowych apartamentów nie ma oczywiście w hotelu „Valladolid”, mimo to będziecie zadowoleni z mojego domu, a na dziś wieczór proszę was wszystkich do stołu, do mojego prywatnego pokoju!

– Dziękuję, donio Elwiro! Cenię sobie bardzo wysoko to niezwykłe wyróżnienie. Zarazem zaznaczam, że zwyczajem moim jest poczynione w podróży doświadczenia podawać do powszechnej wiadomości drukiem. Możecie być pewni, że gorąco polecę hotel „Valladolid”.

– Zróbcie to, senior, chociaż nie bardzo wyobrażam sobie was przy biurku. Jeśli macie jakąś prośbę, to wyjawcie ją śmiało, chętnie ją spełnię.

– Prośby nie mam żadnej, ale pozwoliłbym sobie o coś zapytać.

– O co?

– Czy Allan Marshall nie mieszka już u was?

– Nie. Opuścił mój dom przed trzema miesiącami.

– A dokąd się udał?

– Do kopalni nad Sacramento.

– Czy pisał do was od tego czasu?

– Tylko raz. Zawiadomił mnie, do kogo mam odsyłać jego listy, gdyby jakieś nadeszły.

– Czy przypominacie sobie jeszcze ten adres?

– Doskonale, gdyż jest to adres mego dobrego znajomego. Jest to niejaki mister Holfey, w Yellow-water-ground, kupiec, u którego poszukiwacze złota zaopatrują się we wszystko.

– Czy od odjazdu Allana przyszły tu do niego jakieś listy?

– Kilka. Odesłałam mu je najbliższą okazją. Oprócz tego byli tutaj niedawno dwaj jego znajomi, którzy pozostają z nim w stosunkach handlowych, i chcieli się z nim koniecznie rozmówić. Im także powiedziałam, gdzie go należy szukać.

– Kiedy oni odjechali?

– Zdaje mi się... a tak, na pewno wczoraj rano.

– Czy jeden z nich był starszy, a drugi młodszy?

– Tak. Byli zresztą bardzo do siebie podobni, a poleciła mi ich moja siostra, u której byli w gościnie.

– Czy może w ranczu don Fernanda de Venango e Colonna de Molynares de Gajalpa y Rostredo?

– Co, wy go znacie?

– Bardzo dobrze, zarówno jak waszą siostrę, donię Eulalię, u której wszyscy gościliśmy. Ja jednak nie prosiłem jej o list polecający do was.

– Czy to być może? Opowiedzcie mi coś o tym, senior, jestem bardzo ciekawa.

Zdałem jej sprawę z naszego pobytu u don Fernanda, mówiąc jednak tylko to, co uważałem za stosowne. Donia Elwira słuchała z wielkim zajęciem, a gdy skończyłem rzekła:

– Dziękuję wam, senior. Jesteście pierwszym Niemcem, który umie w należyty sposób zachować się wobec donii hiszpańskiej. Cieszę się, że będę was dziś gościła na wieczerzy, i każę was zawczasu uwiadomić o jej terminie. Adios.

Złożyłem jej pełen uszanowania ukłon, który pozostawał niewątpliwie w rażącej sprzeczności z moim wyglądem, i zniknąłem za portierą. Gdy wszedłem do izby gościnnej, oczy służby zwróciły się na mnie z widocznym szacunkiem. Guścia Ebersbach znalazła się też zaraz przy mnie.

– Panie sąsiedzie, jesteście chyba dzieckiem szczęścia. Nikt jeszcze nie był tak długo u naszej pani na audiencji. Widocznie bardzo się jej pan spodobał.

– Przeciwnie – odrzekłem śmiejąc się. – Zapowiedziała właśnie, że pozwoli mi tu zostać tylko pod tym warunkiem, że się poprawię. Oświadczyła mi bez ogródek, że wyglądam jak niedźwiedź.

– Niestety, jest w tym nieco słuszności. Ale ja wam pomogę. Zaprowadzę was na górę do mojej izdebki i postaram się o wszystko, co może wam być potrzebne: przybory do golenia, mydło, wodę, wszystko, wszystko!

– To nie będzie potrzebne, gdyż wkrótce mają wyznaczyć nam osobne pokoje.

– Nie wierz pan temu. Rozkazy dotyczące rozmieszczenia gości otrzymuję punktualnie o godzinie ósmej i ani sekundy wcześniej.

– Wedle zapewnień donii mamy dostać najlepsze pokoje. Gdzie to będzie?

– Wszystkie nasze pokoje dla przyjezdnych znajdują się na górze pod dachem. Otrzymacie więc zapewne pomieszczenia, w których będzie świeże powietrze. W tej chwili zabrzmiał głośny dzwonek.

– To ona, panie sąsiedzie. Muszę do niej pójść, gdyż jeśli dzwoni o tak niezwykłej godzinie, to pewnie chodzi również o coś niezwykłego.

Guścia pobiegła do swej pani, ja zaś usiadłem obok towarzyszy, którzy pomimo iż ukazanie się w San Francisko westmana lub Indianina jest czymś zwyczajnym, ściągali na siebie ciekawe spojrzenia wszystkich obecnych. Szczególnie majestatyczna postawa Winnetou i cały jego charakterystyczny wygląd budziły powszechną uwagę. Brak zaś uszu u małego Sama upewniał każdego, że ten człowiek przeżył niejedną przygodę, i to taką, jaką żaden z obecnych nie mógłby się pochwalić.

– No? – spytał Bernard.

– Odjechał jeszcze przed trzema miesiącami, a dał o sobie znać tylko raz z Yellow-waterground. Wasze listy pisane do niego zostały tam odesłane.

– Gdzie leży ta miejscowość?

– Jest to, jeśli sobie przypominam, boczna dolina Sacramento, w której znaleziono sporo złota. Dawniej roiło się tam po prostu od diggerów, teraz jednak przenieśli się dalej w górę rzeki.

– Czy Allan zdeponował coś tutaj?

– Nie pytałem o to donii Elwiry.

– To musicie to jeszcze zrobić.

– Wkrótce nadarzy się do tego sposobność. Jesteśmy wszyscy zaproszeni do niej na kolację.

– A, to świadczy o jej wielkiej uprzejmości dla nas. Zresztą dowiem się w domu bankowym, z którym utrzymywaliśmy stosunki, czy on tam był.

Teraz podeszła do nas moja dawna sąsiadka.

– Panie sąsiedzie, wołano mnie z waszego powodu. Kolacja będzie o dziesiątej, a pokoje mam wam wskazać już teraz.

– Pokoje? Słyszałem, że ich tu wcale nie ma.

– Z tyłu jest przybudówka obejmująca kilka pokoi. Dwóch z nich używa donia, kiedy gości swych krewnych.

– Tam pewnie mieszkała donia Alma?

– Tak, słyszałam o tym, chociaż wówczas nie było mnie tu jeszcze.

– Czy nie opowiadano pani przypadkiem, że ta donia znała niejakiego Allana Marshalla, który przebywał tu równocześnie?

– Coś mi o tym wiadomo. Wiele o tym mówiono i śmiano się z Almy, gdyż prześladowała po prostu tego pana tak, że nie mógł się opędzić od jej natarczywości. Ale proszę pójść za mną, już mam klucze.

Udaliśmy się za nią do owych pokoi, które były urządzone wręcz zbytkownie w porównaniu z resztą zajazdu. Jeden pokój otrzymał Winnetou z Sans-earem, drugi ja z Bernardem, a dla Boba wyznaczono osobną izdebkę.

Uprzejma córka mego dawnego sąsiada zaopatrzyła nas we wszystko, co mogło się przyczynić do nadania nam bardziej cywilizowanej powierzchowności. Niebawem też wyszliśmy

na miasto. Winnetou został w domu, duma jego bowiem nie pozwalała mu na to, żeby wystawiać się na widowisko ciekawskim wypełniającym ulice i place. Sans-ear także rozciągnął się na swoim łóżku.

– Po co ja. mam z wami iść? – rzekł. – Chodzić umiem i w tej umiejętności nie potrzebuję, na przykład, ćwiczyć się dopiero tutaj, a ludzi i domów dość już w życiu widziałem. Postarajcie się, żebyśmy co rychlej wydostali się z tego niespokojnego gniazda na wolne sawanny, bo mi tu jeszcze z nudów uszy wyrosną i będzie koniec z Sans-earem!

Poczciwy westman był tu zaledwie godzinę, a już odczuwał tęsknotę za wolną prerią. Cóż więc musi się dziać z „dzikimi", gdy zamyka się ich „dla poprawy" w ciasnych celach filadelfickiego lub aunburnskiego więzienia za to... że bronią się przed wyrzuceniem z ostępów, które są ich ojczyzną, żywią ich swoimi płodami i kryją mogiły ich ojców i braci?!

Udaliśmy się z Bernardem do bankiera, z którym Marshallowie pozostawali w stosunkach handlowych, i dowiedzieliśmy się tylko tyle, że Altan był u niego kilka razy, a potem, sprzedawszy wszystkie swoje papiery, wyjechał do kopalni, by zająć się skupem nuggetów.

Po tych bezowocnych odwiedzinach zaczęliśmy przechadzać się po ulicach. Bernard wciągnął mnie do sklepu, gdzie na wieszadłach wisiały ubrania rozmaitej wielkości, gatunku i rodzaju. Można tu było sobie wybrać zarówno najlepszy strój meksykański, jak i płócienną bluzę roboczą kulisa. Każdy rodzaj odzieży miał w sklepie swój osobny dział, a każde ubranie stanowiło komplet bez zarzutu.

Bez trudności odgadłem zamiar Bernarda. Ubrania nasze, choć sporządzone z mocnej materii, tak dalece ucierpiały w czasie długiej podróży, że wyglądaliśmy naprawdę jak obszarpańcy. Teraz byliśmy już ogoleni i przycięliśmy sobie nawzajem włosy, ale z naszą odzieżą było jeszcze bardzo źle. Przy zakupach zauważyłem, że poczciwy Bernard miał dobry smak. Kupił sobie na poły indiański, a na poły traperski strój, w którym było mu bardzo do twarzy. Tylko cena odpowiadała niestety stosunkom panującym w San Francisko.

– No, chodźcie, Charley. Wy także potrzebujecie ubrania – rzekł, gdy sam się we wszystko zaopatrzył. – Pomogę wam wybrać.

Wprawdzie porządne ubranie bardzo by mi się przydało, ale odstraszała mnie nieco wygórowana, jak na moją kieszeń, cena. Nie należałem nigdy do tych szczęśliwców, którzy gdziekolwiek sięgną, znajdują studolarówkę, a gdzie stąpną, potykają się o worek funtów. Mimo to zaliczam się do tych z kolei godnych zazdrości ludzi, którzy posiadają słodką pewność, że potrafią zarobić dziś tyle, ile im potrzeba na jutro. Dlatego też usłyszawszy zachętę Bernarda, zrobiłem minę, jak człowiek, który nie ma już nic do stracenia.

Ubranie, na które padł jego wybór, składało się z następujących części: koszula myśliwska z wygarbowanej na biało skóry jeleniej, wyhaftowana pięknie rękami Indianek w czerwony deseń; spodnie ze skóry jeleniej z frędzlami po bokach; wiatrówka myśliwska ze skóry bawolej, ale tak miękkiej jak futerko wiewiórcze; buty niedźwiedzie z cholewkami, które można było podciągnąć aż na uda, i z podeszwami z najmocniejszego materiału, bo ze skóry z ogona starego aligatora; wreszcie czapka bobrowa z denkiem z ozdobnie wyprawionej skóry grzechotnika. Bernard nalegał, żebym się zaraz przebrał, a kiedy wyszedłem z bocznej komórki, on już zapłacił za wszystko.

Powinienem był się trochę na niego za to pogniewać, lecz otwarcie mówiąc, nie potrafiłem.

– Dajcie pokój, Charley! Jestem wam winien jeszcze bardzo wiele, a jeśli nie chcecie się na to zgodzić, to wpiszę te rzeczy na wasz rachunek, który kiedyś później wyrównamy.

Bernard chciał kupić także niejedno dla Sama, lecz odradziłem mu to, znając przywiązanie małego westmana do swego prastarego ubrania, a również dlatego, że nasz Sam miał figurę, do której nie łatwo było cokolwiek dopasować.

Kiedyśmy wrócili do hotelu „Valladolid", największą uciechę z powodu mojej przemiany okazał Bob.

– O, massa bardzo pięknie wyglądać, tak pięknie jak Bob, gdy dostać nową bluzę i czapkę!

Podziękowałem mu wdzięcznym spojrzeniem za to łaskawe porównanie, wiedząc, że Murzyn wyraził w tej pochwale wszystko, co tylko mógł najlepszego.

Samowi widocznie po jakimś czasie zrobiło się za ciasno w jego pokoju, bo siedział już sam jeden przy siole w wielkiej izbie, a zobaczywszy mnie skinął, żebym zajął przy nim miejsce.

– Słuchajcie – szepnął – tu obok nas prowadzą rozmowę, która nas także zajmie, na przykład.

– O czym?

– W kopalniach złota zaszły wypadki, z których nie podobna się cieszyć. Jest tam mnóstwo „bravos", jednak nie Indian, lecz, jak się zdaje, białych, którzy rzucają się na powracających do domu poszukiwaczy złota, zabierają im majątek i w dodatku życie. Tu siedzi taki, który ledwo z życiem uszedł, i opowiada właśnie swoją przygodę. Słuchajcie!

Rzeczywiście, przy stole za nami zauważyłem kilku ludzi, po których widać było, że poznali niejedno niebezpieczeństwo i niejedno mieli za sobą ciężkie przejście. Jeden z nich opowiadał coś, czego siedzący dokoła słuchali z największym skupieniem.

– Well – mówił – jestem znad Ohio, to znaczy, że doświadczyłem już coś niecoś i na rzece, i na sawannach, na wodzie i na lądzie, w górach i w dolinach Zachodu. Poznałem korsarzy rzecznych na Missisipi i opryszków w Woodlandzie i nieraz toczyłem z nimi walkę. Uważam przeto za możliwe niejedno, o czym kto inny mógłby wątpić, ale żeby takie rzeczy mogły się dziać na tak ożywionym gościńcu, i to w biały dzień, to przechodzi już nawet możliwości mojej starej strzelby.

– A jednak nie wydaje się to prawdopodobne – rzekł drugi. – Było was piętnastu ludzi przeciwko ośmiu. Czyż to nie hańba dla was, gdyby się rzecz istotnie miała tak, jak przedstawiacie?

– Mówicie bardzo sprytnie i mądrze, ale przeżyjcie to wpierw sami, człowieku. Było nas wprawdzie piętnastu, to znaczy sześciu poganiaczy mułów i dziewięciu poszukiwaczy złota. Lecz po pierwsze, zrobiliśmy niestety wkrótce straszne odkrycie, że kto by chciał zaufać tym mulnikom, jest zgubiony, a po drugie, z owych dziewięciu poszukiwaczy złota trzech trapiła febra. Ledwie trzymali się na mułach, gorączka tak nimi trzęsła, że nie mogli ani pewnie wystrzelić, ani władać nożem. Czy było więc nas piętnastu?

– Teraz już rozumiem, że sprawa była ciężka. Ale przecież po gościńcu jeździ i chodzi tylu podróżnych, że ciągle jest w okolicy ktoś, na którego pomoc można liczyć.

– Tak wam się tylko zdaje. Któż bowiem zabroni tym szelmom zaczekać na taką właśnie chwilę, kiedy w pobliżu nie ma nikogo?

– Opowiedzcie więc wszystko po kolei, abyśmy sobie wyrobili jasny pogląd na tę sprawę.

– Dobrze, skoro sobie tego życzycie. Otóż nad Jeziorem Piramidowym znaleźliśmy złoże, jakich mało, i wierzcie mi, że w przeciągu ośmiu tygodni każdy z nas czterech miał po cetnarze złotego pyłu i nuggetów. Dalej nie można już było szukać, ponieważ złoże zostało całkiem wyczerpane, a dwóch z nas przeziębiło sobie nogi i ręce. Niełatwa to rzecz stać od rana do wieczora po pas w wodzie i potrząsać bateą[38]. Spakowaliśmy się zatem i wrócili do Yellow-water-ground, gdzie naszą zdobycz sprzedaliśmy pewnemu Jankesowi, który zapłacił znacznie więcej aniżeli ci łajdacy handlarze zamienni, u których za uncję złota dostaje się funt lichej mąki lub pół funta jeszcze gorszego tytoniu. Ale ten człowiek mimo to zrobił dobry interes. Nazywał się Marshall i pochodził gdzieś z Kentucky.

Na te słowa Bernard odwrócił się szybko i zapytał:

– Czy on jest tam jeszcze?

---

[38] b a t e a – naczynie służące do wypłukiwania złota z piasku

– Nie wiem. Nic mnie to zresztą nie obchodzi. Dajcie mi pokój z niepotrzebnymi pytaniami, gdyż jeśli mam opowiedzieć wszystko po kolei, jak mnie o to proszą, to nie trzeba mi przeszkadzać. A więc ten Marshall – zdaje się, że się nazywał Allan Marshall – odkupił od nas wszystko. Bylibyśmy najmądrzej postąpili, gdybyśmy ruszyli od razu w drogę, ale po pierwsze, chcieliśmy wypocząć po trudach, a po wtóre, nasi chorzy potrzebowali leczenia. Zresztą nie było nawet dobrej okazji do wyjazdu. Przebąkiwano o napadach rozbójniczych po drodze, wymieniano nawet nazwiska rozmaitych ludzi, którzy opuściwszy kopalnie nigdy już nie powrócili do Sacramento ani do San Francisko.

– Czy okazało się to prawdą?

– Zaraz o tym usłyszycie. Czekaliśmy więc przez kilka tygodni, wydając dużo na życie, ho strasznie jest tam ono drogie. Ponieważ wiedziano, niestety, że nasze kieszenie nie są puste, przeto pobyt nasz uprzyjemniało ustawiczne opędzanie się od szulerów i podobnego robactwa, które ciągle dokoła nas krążyło. Tymczasem naszym chorym towarzyszom znacznie się polepszyło, tak, że postanowiliśmy wybrać się w podróż, przyłączając się do pięciu ludzi, którym również sprzykrzyło się tam siedzieć. Było nas zatem dziewięciu. Wynajęliśmy muły i nasza gromadka powiększyła się o sześciu mulników. Uzbrojeni byliśmy wszyscy znakomicie, nawet mulnicy wyglądali tak, jakby żaden z nich nie bał się pójść w zawody z dziesięciu wrogami. Ruszyliśmy więc nareszcie w drogę i z początku wszystko szło dobrze. Niebawem jednak zaczęły padać ustawiczne deszcze i towarzyszom odnowiła się febra. Nadto woda tak rozmiękczyła grunt, że z trudem tylko posuwaliśmy się naprzód, robiąc zaledwie po osiem mil dziennie. Nawet w ciągu nocy w namiotach nie byliśmy bezpieczni przed upustami niebieskimi. To wzmogło jeszcze febrę naszych chorych tak, że musieliśmy biedaków poprzywiązywać do mułów.

– To diabelnie przykre! – przerwał jeden z siedzących bliżej. – Ja także zaznałem takich przyjemności, więc wiem, jak się człowiek wtedy czuje.

– Well. W ten sposób przebyliśmy trzy czwarte drogi i pewnego wieczora wyszukaliśmy miejsce na obóz. Rozniecilismy takie ognisko, że zrobiło się jasno jak w dzień, i zajęliśmy się rozbijaniem namiotów. Wtem ze wszystkich stron huknęły strzały. Ja klęczałem właśnie w cieniu namiotu, przywiązując sznur do kołka, dlatego mnie nie dostrzeżono. Zerwałem się czym prędzej i ujrzałem, że nasi mulnicy wsiadają na muły, by się rzucić do ucieczki. Czynili to jednak z takim spokojem, że napastnicy mogli ich doskonale wystrzelać co do nogi. Nie zrobili tego jednak. Miałem już zamiar podnieść strzelbę do strzału, lecz powstrzymał mnie od tego straszny widok, który się ukazał moim oczom. Oto ośmiu rozbójników wypaliło tak celnie, że pięciu moich zdrowych towarzyszy, zajętych pracą przy rozbijaniu obozu, leżało bez życia na ziemi, a trzech chorych zamordowano właśnie w chwili, kiedy chwyciłem za strzelbę. Zostałem więc przy życiu sam jeden. Co wy byście uczynili na moim miejscu, hę?

– Przekleństwo! Byłbym się na nich rzucił i starał wedle sił odpłacić im za wszystko! – rzekł jeden.

– Nie. Ja bym celnymi kulami zmiótł najprzód kilku z nich! – zapewniał drugi.

– Bardzo dobrze – odparł opowiadający. – Tak się to mówi, ale w rzeczywistości postąpilibyście podobnie jak ja. Rzucać się na nich było szaleństwem, a strzelać również nie bardzo mądrze, gdyż w takim razie zginąłbym i ja. Na pewno postaraliby się o to, żeby nie został przy życiu żaden świadek napadu. Ścigaliby mnie więc zawzięcie, a ja mogłem przecież zabić najwyżej jednego lub dwóch.

– Cóż więc zrobiliście?

– Pieniądze i papiery miałem w kieszeni, a mój muł stał nie opodal namiotu razem z innymi. Kiedy łotry przeszukiwały namioty, zakradłem się do zwierząt i odwiązałem go. Wtem jeden z rozbójników gwizdnął, a zaraz potem dał się słyszeć tętent. Jak myślicie – co się stało?

– No?

– Mulnicy wrócili. Wydali nas w ręce tych łotrów i przybyli teraz po swój udział w łupie. Było ich więc teraz razem czternastu. Wobec tego wsiadłem na muła i uciekłem, jak tylko mogłem najprędzej. Na szczęście było to zwierzę bardzo łagodne, a nie takie uparte bydlę, jakie się często spotyka między mułami. Rozległy się wprawdzie za mną głośne przekleństwa i wielki hałas, a potem nawet tętent, ale udało mi się szczęśliwie umknąć pod osłoną nocy.

– A potem?

– Potem? Przybyłem do San Francisko, a teraz cieszę się, że siedzę tutaj zdrów i popijam porter.

– Czy żadnego z rozbójników nie poznaliście?

– Mieli na twarzach czarne maski. Jeden tylko, jak się zdaje dowódca, wsadzając palec do ust, aby gwizdnąć, odsunął maskę z twarzy. Wtedy zobaczyłem jego fizjonomię. Poznałbym tego łotra od razu, gdyby mi się nasunął przed oczy. Był to Mulat i miał na twarzy bliznę, prawdopodobnie od noża.

– A mulnicy?

– Poznałbym wszystkich, ale za nic nie wrócę już do tego piekła, w którym diabeł gotuje i topi swoje złoto, aby niewinne dusze wabić na śmierć i zgubę.

– Jak się nazywał mulero[39]? Dobrze jest czasem znać nazwisko takiego dżentelmena?

– Wołano na niego Sanchez, ale dawniej niewątpliwie musiał mieć także i inne nazwiska. Sądzę, że większość tych łotrów należy do tych hounds[40], których San Francisko wypluło do wszystkich kopalni złota. Teraz rabują tam do spółki – różni agenci, mulnicy i zwykli zbóje. Byłoby najlepiej, gdyby kopalnie złota, podobnie jak w San Francisko, utworzyły straż, która zajęłaby się ściganiem i tępieniem tych band. Opowiedziałem wam już teraz wszystko. Skończyłem.

– Jeśli tak – rzekł Bernard – to pozwólcie, że zapytam jeszcze raz o owego Marshalla, o którym mówiliście poprzednio. Jest to bowiem mój brat.

– Wasz brat? Rzeczywiście, zdaje mi się, że jesteście nawet do niego podobni. Czego chcielibyście się o nim dowiedzieć?

– Wszystkiego, co o nim wiecie. Jak dawno widzieliście go po raz ostatni?

– Z pięć tygodni temu.

– Czy sądzicie, że jest jeszcze w Yellow-water-ground?

– Wątpię. W kopalniach złota jest człowiek dzisiaj tu, a jutro tam. chociażby nawet postanowił siedzieć w jednym miejscu.

– Dziwi mnie to, że nie odpisywał mi nigdy, chociaż wiem, że otrzymał moje listy.

– Tego nie możecie wiedzieć na pewno. Pomyślcie tylko o tym, co teraz opowiedziałem. Czy stąd idzie poczta do kopalni? Tak, idzie, ale to, co tutaj nazywają pocztą, pocztą nie jest. List błąka się często tam i z powrotem i nie dochodzi do rąk, które jedynie miałyby prawo go otworzyć. Wstępujecie tam na przykład do tawerny, a gospodarz należy do houndsów, wchodzicie do sklepu, a kupiec to także hound, gracie z trzema ludźmi w karty – dwóch z nich lub nawet wszyscy trzej są także hounds, pracujecie z kimś razem, a tymczasem i on jest hound, który albo sam wydrze wam wasz zarobek, albo za cenę części waszego mienia wyda was rozbójnikom. Wszędzie są hounds, czemużby nie mieli być także i na poczcie, zwłaszcza że może im na tym zależeć, żeby to lub owo nie doszło według adresu.

Ten obraz stosunków panujących w kopalniach wcale nie był ponętny.

– Czy jedziecie do brata?

– Właśnie.

---

[39] m u l e r o (hiszp.) – dowódca poganiaczy mułów

[40] h o u n d s (ang.) – psy, dawna nazwa gangsterów w San Francisko

– Well. W takim razie udzielę wam dobrej rady, a czy jej posłuchacie, to już wasza rzecz. Stąd prowadzą do rozmaitych kopalni dwie drogi. Jedna na południe, do pasma górskiego, zwanego New Almaden, gdzie znajdują się wielkie ilości rtęci i naturalnego cynobru. Druga prawie wprost na północ, z lekkim tylko odchyleniem ku wschodowi, wiedzie do słynnych ze złota okolic Sacramento. Czy wiecie, gdzie leży Yellow-water-grounci?

– Dotąd wiem tylko, że tworzy boczną dolinę Sacramento, i nic ponadto.

– Droga ciągnie się dokoła trzech czwartych zatoki San Francisko, a potem przez Rio San Joaguin w górę do doliny Sacramento. Gdy się tam udacie, każdy spotkany podróżny powie wam, gdzie macie szukać swego celu podróży. Jeśli jedziecie bez ciężkich pakunków, to dostaniecie się tam za pięć dni. Ale tą drogą nie radzę wam jechać.

– Czemu?

– Jest ona niewątpliwie wygodniejsza, ale nie krótsza, a nadto niebezpieczna właśnie z powodu tych hounds. Wolą oni wprawdzie napadać na tych, którzy wracają z kopalń, ale nie wiadomo, czy czasem nie czynią i przeciwnie. Wreszcie droga ta jest po prostu wybrukowana dolarami, wyciąganymi naiwnym podróżnym z kieszeni. W oberżach jest już na tyle kulturalnie, że się dostaje rachunki na piśmie, ale łatwiej je przeczytać aniżeli zapłacić. Płacicie tam: za pokój dolara – a śpicie na dziedzińcu; za łóżko dolara – a dostaniecie dwie garście słomy; za światło dolara – a macie księżyc zamiast latarni; za obsługę dolara – a nie widzicie nikogo; za miednicę dolara – a musicie umyć się w rzece; za ręcznik dolara – a obcieracie twarz bluzą. Jedyną pozycją zapłaconą, a otrzymaną rzeczywiście, jest rachunek – „za wystawienie rachunku – jeden dolar”. Jak wam się to podoba, master Marshall?

– Nieźle.

– Ja też tak sądzę. Dlatego wskażę wam inną, lepszą drogę, którą, jeśli macie dobrego konia, dostaniecie się do Yellow-water-ground w cztery dni. Trzeba przejechać przez zatokę promem, a dalej ruszyć wprost na San John. Następnie zwrócicie się na wschód, a gdy znajdziecie się już w Sacramento, to będziecie tak jakby u celu podróży, a przynajmniej bardzo blisko. Jest tam dość rzeczułek, które was zaprowadzą na miejsce.

– Dziękuję, sir. Pójdę za waszą radą.

– Well, a jeśli tam nad Sacramento spotkacie Mulata z blizną na twarzy, to poczęstujcie go nożem albo kulą. Zapewniam was, że spełnicie dobry uczynek.

Tymczasem nadeszła pora kolacji, o czym przyszła nas zawiadomić Guścia. Zaprowadziła nas do bocznego pokoju, w którym był stół nakryty tak, jakby mieli przy nim jeść grandowie hiszpańscy. Donia Elwira czekała już na nas, tylko gospodarza nie było widać. Przyjęł gości, których jej przedstawiłem, z odpowiednim dostojeństwem, z miną władczyni udzielającej łaskawie audiencji i robiła honory domu lepiej od niejednego maharadży. Ponieważ zależało jej na tym, żeby zadziwić gości swą uczonością, przeto rozmowa toczyła się z początku na tematy z zakresu nauki i sztuki. Potem jednak, kiedy się jej wydało, że już w dostatecznej mierze zdobyła sobie nasz szacunek dzięki swym wiadomościom naukowym, raczyła zająć się naszymi osobami i przeżyciami i z kolei my musieliśmy jej opowiedzieć o wszystkim, cośmy przeszli.

Po kolacji donia Elwira oświadczyła z dumą:

– Spodziewam się, seniores, że dowiodłam wam, jak dalece przenoszę was nad innych gości, oraz sądzę, że będziecie u mnie bawili dłuższy czas.

– Donio Elwiro – odpowiedziałem – dziękujemy za waszą niezwykłą dobroć. Zabawimy też na pewno dłużej w waszym gościnnym domu, ale nie teraz, gdyż już jutro rano musimy na krótko wyjechać.

– Dokąd, senior?

– Nad Sacramento, by odszukać Allana, którego także do was sprowadzimy.

– Zgoda, seniores. Weźcie sobie u mnie wszystko, czego potrzebujecie. Obliczymy się później, a jeśli będziecie mieli jeszcze jakieś życzenie, to zwróćcie się do Augusty. Tuszę oczywiście, że powiecie mi adios, zanim opuścicie jutro mój dom.

Wyszła szumiąc jedwabiami, a my podążyliśmy za nią, żeby zajrzeć do koni i udać się na spoczynek. Nazajutrz rano płynęliśmy promem przez zatokę na przeciwległy półwysep.

Potem pojechaliśmy dokładnie w kierunku, który nam wskazał poprzedniego dnia poszukiwacz złota, i wieczorem trzeciego dnia dotarliśmy do San John, po czym zwróciliśmy się na wschód. Następnego dnia w południe spuściliśmy się w dolinę rzeki Sacramento, napotykając na każdym kroku ślady gorączkowych poszukiwań owego śmiertelnego pyłu, który oślepia swym blaskiem oko i oszałamia zmysły i serca.

Tyle już o tym napisano i powiedziano, że powstrzymałbym się chętnie od wszelkich uwag, ale muszę przyznać, że gorączka złota porywa nawet najbardziej trzeźwego człowieka, skoro tylko wejdzie w te okolice. I przede wszystkim – skoro spotka ludzi, którzy z zapadłymi policzkami i odziani często tylko w łachmany niosą w ofierze zdrowie, a nawet życie, aby się szybko wzbogacić, a potem, gdy się nawet szczęście do nich uśmiechnie – równie prędko swoje bogactwo zmarnować. Pracują oni często miesiącami wytężając wszystkie siły bez godnego wzmianki wyniku. Każdemu ich poczynaniu towarzyszą przekleństwa, wyłania się przed nimi widmo głodu, nędzy i rozpaczy i już, już chcą cofnąć znużoną dłoń, kiedy rozchodzi się wieść o czyjejś nadzwyczajnej zdobyczy, a wtedy znowu przykładają rękę do batei i poddają się w niewolę potężnej i strasznej epidemii chciwości.

Wieczorem dotarliśmy do Yellow-water-ground, długiej i wąskiej doliny, którą płynął mdły potoczek, dopływ Sacramento. Dolina ta była skopana od góry do dołu, a miejsca te świadczyły wyraźnie, że wypłukiwano tu złoto. Ożywiał je szereg namiotów i chałup, ale na pierwszy rzut oka widać było, że najświetniejsza epoka tej kopalni należała już do przeszłości.

Mniej więcej w środku doliny stała niska, lecz szeroka i głęboka szopa z desek, a nad wejściem do niej wisiał napis: „Sklep towarów mieszanych i gospoda w Yellow-water-ground". Gospodarz tej szopy, w której się mieszkało, kupowało i piło, mógł nam udzielić najlepszych wiadomości. Zsiedliśmy więc z koni i zostawiwszy przy nich Boba, weszliśmy do środka.

Przy niedbale zbitych stołach siedzieli na ławach nędznie na ogół, a częściowo zawadiacko ubrani ludzie, którzy zaraz zaczęli się nam ciekawie przypatrywać.

– Czego panowie raczą się napić? – spytał gospodarz.

– Piwa – odpowiedział Bernard.

– Porter, czy ale[41]?

– Dajcie to, co lepsze.

– W takim razie weźcie ale. Prawdziwe ale z Burton w Staffordshire.

Zaciekawił mnie trochę ten napój, który, wyrabiany w Anglii, i to w miejscu słynnym z tego specjału na cały świat, dostał się aż do Sacramento. Gospodarz przyniósł pięć flaszek, z których jedną zaniosłem Bobowi. Murzyn wypróżnił ją za jednym haustem. Zaledwie jednak odjął ją od ust, wywrócił oczy, otworzył usta tak, że wypełniły mu pół twarzy, i wydał okrzyk jak rozbitek, który po raz ostatni pochyla się nad wodą.

– Co się stało? .– spytałem sądząc, że skaleczył sobie usta szkłem.

– Massa, och, ach, Bob umrzeć. Bob wypić truciznę.

– Truciznę? To nie trucizna, ale najprzedniejsze angielskie ale.

– To nie ale! Bob znać ale. Bob wypić truciznę, czuć w ustach i w żołądku arszenik i wilczą jagodę.

Nasz poczciwy Bob nie był smakoszem. Jakże to musiało działać na bardziej wyrafinowane podniebienie!

---

[41] a l e (ang.) – rodzaj piwa

Gdy wróciłem do izby, gospodarz zapytał:

– Czy możecie także zapłacić za piwo, moi panowie?

Bernard przybrał minę obrażonego i sięgnął do kieszeni.

– Stać, master Bernard – rzekł Sam. – Ten rachunek ja załatwię. Ile kosztuje piwo?

– Butelka po trzy dolary, razem piętnaście.

– To wcale niedrogo, mój człowieku, zwłaszcza jeśli można flaszki zabrać ze sobą. Prawda?

– Istotnie.

– My jednak zostawimy je wam, gdyż ludzie znający miejsca, w których złoto leży całymi pokładami, nie troszczą się o kawałek szkła. Przynieście wagę.

– Płacicie złotem?

– Tak.

Sam otworzył ładownicę i wyjął z niej kilka nuggetów, z których jeden był wielkości gołębiego jaja.

– Do pioruna, gdzie to znaleźliście?

– U siebie.

– A gdzie to jest?

– Gdzieś w Ameryce. Mam lichą pamięć i przypominam sobie zwykle takie miejsca wtedy, kiedy potrzebuję pieniędzy.

Gospodarz musiał tę uwagę schować do kieszeni, lecz oczy jego iskrzyły się od żądzy, gdy odważał nugget i wydawał resztę w pieniądzach. Kupił złoto po najniższej cenie, pomijając już to, że jego waga mogła mieć także wiadome właściwości. Sans-ear jednak schował pieniądze z miną człowieka, któremu nie zależy na tym, czy dostanie o jedną uncję mniej lub więcej. Nosił on pomiędzy kulami w ładownicy wcale pokaźną sumkę, i to tak, że nikt o tym nie wiedział. Teraz przypomniały mi się jego słowa, które wyrzekł przy naszym pierwszym spotkaniu, że potrafi znaleźć w górach dostatecznie wiele złota, by nim wzbogacić przyjaciela.

Teraz skosztowaliśmy piwa. Gdybyśmy tu przyszli prosto z sawanny, wypilibyśmy je zapewne, ponieważ jednak dzięki gościnności donii Elwiry w hotelu „Valladolid" odświeżyliśmy zrujnowane podniebienia, nie mogliśmy już tego przełknąć. Jasne było, że gospodarz sam gotował swoje piwo z ziół i innych domieszek i sprzedawał po trzy dolary za butelkę. Oto jeden z wielu przykładów, że w kopalniach może się wzbogacić nie tylko ten, kto sam szuka złota.

Gospodarz nie zadowolił się widocznie uwagą Sama dotyczącą nuggetów, bo usiadł koło nas i zapytał:

– Czy daleko stąd jest to miejsce, sir?

– Które? Znam ich cztery czy pięć.

– Aż tyle! Nie mogę w to uwierzyć. W takim razie nie przychodzilibyście do nędznego Yellow-water-ground, gdy już niemal nic nie można znaleźć.

– Czy uwierzycie w to, czy nie, to już, na przykład, wasza rzecz.

– I bierzecie z tego złota zawsze tylko tyle, ile wam w danej chwili potrzeba?

– Tak.

– Co za lekkomyślność, co za nieostrożność! A co będzie, gdy inni zabiorą to, że się tak wyrażę, coście mogli dla siebie zabezpieczyć?

– Do tego nie dojdzie, panie sprzedawco ale.

– Odkupiłbym od was jedno z tych złóż, sir.

– Nie zdołalibyście za nie zapłacić. Czy macie, na przykład, tyle, żeby pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt cetnarów złota wymienić na dolary albo banknoty?

– Do stu piorunów! Aż tyle? Trzeba by się postarać o wspólnika, a nawet o dwóch albo trzech. Hm, z takim towarzyszem jak Allan Marshall można by coś zrobić. Przybył tu z kilkoma tysiącami dolarów, a odjechał z prawdziwymi skarbami. On rozumiał się na interesach!

– Jak to?

– Marshall miał pomocnika, którego tu zostawił, ponieważ go okradł. Pomocnik ten opowiedział nam, że Marshall zmienił w Sacramento złoty pył i małe ziarnka na banknoty, a większe nuggety zakopał w swoim namiocie. Potem zniknął nagle nie wiadomo jak i nie wiadomo także, gdzie się podział.

– Czy miał jakieś zwierzęta?

– Tylko jednego konia. Zresztą szukano tu pana Marshalla onegdaj.

– Ach, kto taki?

– Trzej ludzie. Dwaj biali i jeden Mulat. Dopytywali się u mnie o niego, a i wy pewnie go znacie.

– Trochę, dlatego chcielibyśmy się z nim spotkać. Dokąd udali się ci trzej?

– Odszukali miejsce, w którym stał jego namiot, a wróciwszy tu, siedzieli długo nad papierem, który tam, zdaje się, znaleźli. Rzuciłem okiem na ten papier i spostrzegłem, że to jakaś mapa albo plan.

– A potem?

– Pytali o dolinę Short Rivulet[42]. Gdy im ją opisałem i wyjaśniłem, jaka droga do niej wiedzie, zaraz tam pojechali.

– Na podstawie samego opisu nie zdołają chyba dostać się do Short Rivulet?

– A wy znacie tę dolinę?

– Byłem tam raz. Ale czy nie moglibyście pokazać nam miejsca, w którym stał namiot Allana?

– Możecie je zobaczyć stąd. Leży po prawej stronie na zboczu, przy krzakach tarniny. Jeśli tam pójdziecie, zauważycie od razu stad po ognisku.

– A jak się nazywa człowiek, który był służącym Allana?

– Fred Buller. Pracuje w drugiej płuczkarni na lewo, jeśli się idzie z góry.

Skinąłem na Bernarda i wyszedłem z nim ze sklepu. Puściliśmy się w górę potoku i zatrzymaliśmy się na oznaczonym miejscu. Pracowali tam tylko dwaj ludzie.

– Dzień dobry, moi panowie! Który z was jest master Buller? – zapytałem.

– Ja! – odrzekł jeden z nich.

– Czy macie czas odpowiedzieć mi na kilka pytań?

– Jeśli mi się to opłaci. Wiecie, że przy tej pracy każda minuta kosztuje pieniądze.

– Ile chcecie za dziesięć minut?

– Trzy dolary.

– Macie! – rzekł Marshall podając mu pieniądze.

– Dziękuję, sir! Jesteście szczodrymi dżentelmenami.

– Skorzystacie jeszcze więcej z naszej szczodrości, jeśli szczerze odpowiecie na pytania! – rzuciłem mu na przynętę.

– Well, sir! Pytajcie!

Łotrostwo patrzyło mu z oczu. Jak miałem go zmusić do mówienia? Postanowiłem zagrać wobec niego rolę równego mu draba.

– Czy nie poszlibyście razem z nami cokolwiek na stronę?

– Do diabła, sir! Macie dobrą broń!

Aha, ten łotr ma widocznie nieczyste sumienie!

– Dobrą broń dla wrogów, a dobre pieniądze dla przyjaciół. Idziecie?

---

[42] S h o r t R i v u l e t (ang.) –Krótka Rzeczka

– A niech tam!

Wyszedł z wody i oddalił się z nami od brzegu.

– Byli u was przedwczoraj trzej ludzie?

– Tak.

– Dwaj biali i jeden Mulat?

– Istotnie, a dlaczego pytacie?

– Biali to byli ojciec i syn?

– Tak, a Mulat to mój i ich znajomy.

– Ach – nie wiem, skąd mi to przyszło nagle na myśl – tego Mulata ja znam także. Ma na prawym policzku ranę od noża?

– Rzeczywiście, znacie kap... znacie sir Shelleya? Gdzieżeście się z nim zetknęli?

– Swego czasu mieliśmy z sobą różne interesy, dlatego chciałbym się dowiedzieć, gdzie on się teraz znajduje.

– Nie wiem, sir!

Widać było po nim, że powiedział prawdę.

– Czego ci ludzie od was chcieli? – pytałem dalej.

– Sir, dziesięć minut upłynęło już chyba!

– Jeszcze nie. Ale ja wam powiem, że wypytywali was o waszego dawnego pryncypała master. Marshalla. Zresztą dostaniecie za dokończenie rozmowy z nami jeszcze pięć dolarów.

Bernard sięgnął do kieszeni i zapłacił.

– Dziękuje, sir! Jesteście zupełnie innymi ludźmi niż ci Morganowie i ten Shelley. Udzielę więc wam lepszych wskazówek aniżeli jemu. Skoro mieliście z nim interesy, to wiecie zapewne, jaki to sknera. Miał on towarzysza z Sid...

Utknął, przerażony niemal tym słowem, które zaczął wymawiać.

– Sidney Coves, chcieliście powiedzieć! Znam i to także.

– Tak? Sądzę zatem, że potraficie ocenić, co znaczą drobne przysługi. Gdzie są teraz ci trzej, tego nie wiem, ale wiem, że szukali tu czegoś długo i znaleźli w końcu jakiś papier. Gdyby sir Shelley inaczej ze mną rozmawiał, dostałby jeszcze i inne papiery.

– A jak należy z wami mówić, aby je dostać?

Na to on roześmiał się nikczemnie i dodał:

– Jak dotąd!

Miał więc na myśli rozmowę dolarami, szczwany drab!

– Jakież to są papiery?

– Listy.

– Od kogo i do kogo?

– Hm, sir, boję się zaczynać, skoro nie jestem pewny, czy pomówicie ze mną moim językiem!

– Oznaczcie cenę!

– Sto dolarów!

– Czy trochę nie za dużo? Podchwytujecie listy swego pryncypała, aby je sprzedać kapitanowi rozbójników, a gdy ten daje wam za nie zbyt mało, zatrzymujecie je sądząc, że to, o co się usilnie stara sir Shelley, może wam przynieść niezły dochód. Przestrzegam jednak, że możecie na tym źle wyjść! Czy nie zadowolilibyście się pięćdziesięcioma dolarami?

Wypowiedziałem przypuszczenie, które mi się nasunęło na podstawie tego, co dotychczas usłyszałem. Poznałem jednak natychmiast, że trafiłem w sedno, gdyż przystał od razu na moją cenę.

– Teraz widzę istotnie, że mieliście wspólne interesy z kapitanem, ponieważ wszystko wiecie. Nie będę już was naciskał i przyjmę pięćdziesiąt.

– Gdzie są te papiery?

– Chodźcie do naszego namiotu!

Wróciliśmy do tego „namiotu”, który w rzeczywistości składał się tylko z czterech ścian ziemnych i rozciągniętej nad nimi podziurawionej, pilśniowej dery. W każdym z czterech rogów znajdowała się jedna dziura. Dziury te widocznie służyły za schowki, bo Buller sięgnął ręką do jednej z nich i wydobył podartą chustkę, pełną rozmaitych przedmiotów. Rozwinąwszy chustkę wyciągnął dwa listy, które mi podał. Chciałem je wziąć, lecz on cofnął czym prędzej rękę i oświadczył:

– Za pozwoleniem, sir! Najpierw pieniądze!

– Nie, przedtem muszę przynajmniej przeczytać adres!

– Dobrze! Ja potrzymam listy, a wy się im przypatrzycie!

Potrzymał je istotnie przed nami, a my spojrzeliśmy na wypisane na kopertach słowa.

– Dobrze! – zawołałem. – Bernardzie, daj mu pieniądze!

Listy były adresowane do ojca Bernarda, ponieważ Allan. nie wiedział jeszcze, że go zamordowano. Bernard dobył pośpiesznie pieniądze, chociaż widać było, że wydało mu się to co najmniej osobliwym płacić taką sumę za umyślne, na jego szkodę nawet obliczone zagarnięcie cudzej własności. Buller zadowolony schował pieniądze i chciał już zawinąć chustkę, kiedy nagle błysnęło z niej coś złotego. Bernard sięgnął natychmiast i wyrwał mu z ręki zegarek w szczerozłotych kopertach.

– Dlaczego zabieracie się do mojego zegarka? – zapytał Buller.

– Żeby zobaczyć, która godzina – odrzekł Marshall.

– Nie nakręcony – odpowiedział Buller, skwapliwie wyciągając rękę. – Oddajcie, sir!

– Zaraz! – zawołałem przytrzymując jego rękę. – Jeśli nawet stoi, to dowiecie się przynajmniej, którą godzinę ostatnio wybił.

– Zegarek Allana! – zauważył Bernard zmieszany.

– Naprawdę? Skąd ten zegarek znalazł się w waszym ręku, człowieku? – zapytałem.

– Co was to obchodzi? – odburknął zuchwale.

– Nawet bardzo mnie to obchodzi, gdyż ten dżentelmen jest bratem dawnego właściciela zegarka. Skąd zatem macie zegarek master Marshalla?

Drab znalazł się w wielkim kłopocie.

– On mi go darował – rzekł.

– Kłamstwo! – odparł Bernard. – Popatrzcie na te kamienie, Charley! Zegarka za trzysta dolarów nie darowuje się służącemu.

– Well, Bernardzie. Przeszukajcie to miejsce, a ja tymczasem przytrzymam tego człowieka.

Chwyciłem Bullera za obie ręce. Próbował się wyrwać, lecz mu się to nie udawało.

– Kim jesteście i kto wam dał prawo przeszukiwania mojego namiotu? Wezwę towarzysza do pomocy i każę was zlinczować! – groził nam.

– Nie róbcie głupich żartów, człowieku, gdyż sędzia Lynch gotów się dobrać i do waszego gardła. Skoro tylko krzykniecie, przycisnę was mocniej – odrzekłem.

Trzymałem go lewą ręką za ramię, a prawą za kark. Rabuś zrozumiał, że będąc zupełnie w mojej mocy, musi się poddać.

– Nie ma tu nic więcej! – stwierdził Bernard skończywszy badanie.

– To puśćcie mnie teraz i oddajcie zegarek! – domagał się Buller.

– Powoli, powoli! – odrzekłem. – Przytrzymam was jeszcze, dopóki się nie naradzimy, co z wami zrobić. Jak sądzicie, Bernardzie?

– Ukradł zegarek – odpowiedział Bernard. – Oczywiście!

– Musi go zwrócić.

– Naturalnie.

– A kara?

– Postąpimy z nim łagodnie. Za zatrzymanie listów i kradzież odda nam za darmo zegarek i listy.

– Za darmo? Jak to?

– Po prostu tak: odda pięćdziesiąt osiem dolarów. Będzie to i tak bardzo łaskawie z naszej strony. Przeszukajcie śmiało jego kieszenie, ja go przytrzymam!

Mimo oporu Bullera odebraliśmy mu pieniądze, po czym go wypuściłem. Ledwie się to stało, wybiegł z namiotu i brzegiem wody popędził do oberży.

Poszliśmy za nim powoli i posłyszeliśmy już z dala wściekłe krzyki, wobec czego przyśpieszyliśmy kroku. Nasze konie stały nadal przed drzwiami, ale Boba nie było widać. Zajrzeliśmy szybko do wnętrza gospody i w sekundę znaleźliśmy się w środku walki. W jednym kącie izby stał Winnetou; chwyciwszy jedną ręką Bullera za gardło, drugą – wywijał odwróconą rusznicą. Obok niego Sans-ear odpierał ciosy kilku gości. W drugim kącie Bob bronił się dzielnie pięściami i nożem, gdyż strzelbę zdążono już mu odebrać. Buller, jak się później dowiedziałem, wezwał obecnych tu poszukiwaczy złota do pojmania mnie i Bernarda, a Sans-ear sprzeciwił się temu zamiarowi. Ponieważ gospodarz nabrał przekonania, że z Sans-earem nie zrobi interesu, nastąpił za jego zgodą napad, który moi towarzysze przypłaciliby życiem, gdybyśmy się nie zjawili na czas.

Sans-ear i Winnetou mogli się jeszcze sami bronić, ale przede wszystkim należało przyjść z odsieczą Bobowi.

– Strzelać tylko w ostatecznej konieczności! Bić kolbą, Bernardzie! – zawołałem.

Z tymi słowy rzuciłem się na poszukiwaczy złota i w niespełna minutę Murzyn dostał z powrotem swoją strzelbę i jak wypuszczony z klatki tygrys skoczył na wrogów, którzy na nasze szczęście nie mieli broni palnej.

– Ach, Charley! – westchnął z ulgą Sans-ear. – Teraz precz z kolbami i weźmy się do tomahawków, na przykład. Walić tylko płazem!

Posłuchaliśmy rady doświadczonego westmana. Ledwie błysnęły nasze wojenne topory i kilku przeciwników dostało porządnie po głowach – cała zgraja wybiegła przez drzwi, a my zostaliśmy sami z Bullerem i gospodarzem.

– Czy rzeczywiście ukradłeś temu człowiekowi zegarek i pieniądze, Charley? – zapytał żartobliwie Sans-ear.

– Pshaw! To on ukradł bratu Bernarda listy i zegarek.

– I wy puściliście go wolno! To mnie zresztą nic nie obchodzi. Ale obchodzi mnie trochę to, że poszczuł na nas tych kopaczy. Za to więc, na przykład, otrzyma nagrodę!

– Nie zabijesz go, Samie!

– Nie jest tego godzien! Uważaj, Winnetou!

Apacz zagrodził drabowi wyjście, by nie mógł uciec, a Sans-ear podniósł pięść i wymierzył.

– Tak, mój chłopcze! Niedobrze jest grozić linczem doświadczonym i uczciwym westmanom, bo wtedy naraża się samemu na niebezpieczeństwo. A co z naszym panem gospodarzem? O, tam stoi! Chodźcie no tutaj, kochani, i pokażcie się nam także bliżej!

Gospodarzowi nie przypadło widać do gustu to zaproszenie, bo ruszył tylko o krok.

– Przypuszczam – rzekł – dżentelmeni, że nie zapłacicie mi w ten sposób za moją gościnę!

– Gościnę? Nazywacie gościną to, że każecie sobie płacić po trzy dolary za pół litra trującej wody?

– Oddam wam natychmiast pieniądze!

– Zatrzymajcie je sobie i nie bójcie się! Któż warzyłby w tej dolinie porter i ale, gdybyśmy was unieszkodliwili? Ale teraz chodźmy stąd, bo ci kopacze gotowi nam jeszcze raz wsiąść na kark!

Ale Bob nie był z tego zadowolony.

– Massa chcieć iść? Och, ach, czemu nie ukarać przedtem gospodarza za truciznę? Murzyn Bob go ukarać!

Porwał rzeczywiście jedną flaszkę i podał gospodarzowi.

– Wypić flaszkę do żołądka. Prędko, bo Bob zastrzelić!

Gospodarz musiał spełnić rozkaz, ale ledwo się uporał z jedną flaszką, Bob podał mu drugą.

– Jeszcze pić jedną!

I tę gospodarz wypróżnił.

– Znowu pić jedną!

W ten sposób musiał nieszczęśliwy wypić pięć butelek, przy czym robił niesłychanie komiczne miny.

– Tak, och, ach, teraz gospodarz wypić pięć razy trzy dolary i mieć w brzuchu dużo trucizny!

Zrobiliśmy swoje. Winnetou puścił złodzieja, który dopóki był ściśnięty, nie mógł krzyczeć, ale teraz zaczął wyć tym głośniej. Wskoczywszy na konie, odjechaliśmy w samą porę, gdyż nie opodal domu gromadzili się już poszukiwacze złota ze strzelbami. Szczęściem, nie było ich jeszcze wszystkich, dlatego nie zaczepieni dostaliśmy się nad Sacramento.

– Gdzie leży Short Rivulet? – zapytał Bernard.

– Na razie pojedziemy w górę rzeki – odrzekł Sam. Ruszyliśmy wyciągniętym kłusem, nie zwalniając tempa, dopóki nie oddaliliśmy się od gospody o tyle, że pościg nie mógł już być dla nas groźny.

– Teraz się zatrzymamy! – zawołał Bernard. – Muszę przecież przeczytać listy!

Zeskoczyliśmy z koni i usiedliśmy na ziemi. Marshall rozpieczętował listy i wziął się do czytania.

– To dwa ostatnie – rzekł. – Allan skarży się, że mu nie odpowiadamy, a w ostatnim robi następującą ciekawą dla nas uwagę:

...zresztą interesy idą mi tu lepiej, niż sam przypuszczałem. Pył i ziarnka złota odesłałem przez pewnych ludzi do Sacramento i San Francisko, gdzie otrzymuje daleko wyższą cenę, aniżeli sam daje. W ten sposób podwoiłem sumę, którą z sobą wziąłem. Teraz jednak opuszczam Yeilow-water-ground. gdyż nie ma tu już ani czwartej części dawnej wydajności, a oprócz tego droga stała się tak niepewna, że nie mogę się już odważyć na żadną przesyłkę. Domyślam się nawet ze wszystkich oznak, że rabusie chcą odwiedzić mój namiot. Dlatego zniknę stąd niespodzianie, nie zostawiając po sobie śladu, gdyż ci zbóje gotowi mnie jeszcze ścigać. Wywiozę stąd więcej niż sto funtów nuggetów i udam się do doliny Short Rivulet, gdzie znaleziono obfite złoża złota. Tam niewątpliwie w ciągu jednego miesiąca zrobię lepszy interes niż tutaj w cztery. Stąd pojadę przez Lynn do Humboldhaven, a potem okrętem do San Francisko...

– A zatem nasze wiadomości o jego wyjeździe do doliny Short Rivulet potwierdzają się – odzwał się Sans-ear. – Czy to nie dziwne, Charley? Ale skąd ci Morganowie także o tym wiedzieli? Hę?

– Zapewne była o tym jakaś wzmianka w kartce znalezionej przez nich w namiocie.

– Być może – wtrącił Bernard. – Jest tu jeszcze parę słów, które nam to może wyjaśnią. Słuchajcie:

...zwłaszcza że nie potrzebuję licznego towarzystwa. Obchodzę się nawet bez przewodnika, gdyż narysowałem sobie wedle najnowszych map plan podróży, który mi całkowicie wystarczy.

– Czyżby ten właśnie plan Allan zgubił albo niebacznie wyrzucił jego brulion? – wtrąciłem.

– I to nie jest wykluczone – odparł Sam. – Allan nie jest westmanem i nie nauczył się jeszcze, że czasem od najdrobniejszej okoliczności zależy życie, na przykład. A jeśli dotarł szczęśliwie do celu podróży, to jeszcze pytanie, jak sobie poradzi z Szoszonami, którzy mają tam swoje wsie, a dalej ku Lewis Fork swoje tereny myśliwskie.

– Czyż oni są tacy źli jak Komancze? – zapytał Bernard z obawą.

– Oni są wszyscy jednacy, szlachetni dla przyjaciół, a straszni dla wrogów. My nie mamy powodu ich się obawiać, gdyż byłem u nich przez dłuższy czas i każdy Szoszon zna Sans-eara, jeśli nie osobiście, to z opowiadania.

– Szoszoni? – zapytał teraz Winnetou. – Wódz Apaczów zna Szoszonów, którzy są jego braćmi. Wojownicy Szoszonów są dzielni, waleczni i wierni. Ucieszą się widokiem Winnetou, który wielekroć palił z nimi fajkę pokoju.

W ten sposób spadły nam z serca dwie troski. Zarówno Winnetou, jak i Sama łączyły przyjazne stosunki z tamtejszymi Indianami i oczywiście obaj znali okolicę, w której należało szukać doliny Short Rivulet. Obaj więc poprowadzili nas dalej.

Teren, przez który musieliśmy teraz przejeżdżać, był przeważnie górzysty, gdyż opuściwszy dolinę Sacramento zmierzaliśmy w kierunku gór San Jose. Była to droga uciążliwa, lecz najprostsza i najkrótsza, dzięki czemu spodziewaliśmy się prześcignąć obu rozbójników. Wyprzedzili nas oni wprawdzie o dwa dni, ale obrali widocznie inną drogę, gdyż w przeciwnym razie natrafilibyśmy na ich trop.

Z gór San Jose skręciliśmy na północny wschód i w tydzień po wyjeździe z Yellow-water-ground dotarliśmy do podnóża potężnej góry o piętnastu milach średnicy, sterczącej ponad innymi górami jak ścięty stożek. U stóp jej rósł gęsty, liściasty las, zbocza zaś nieco wyżej pokryte były nieprzebytym borem szpilkowym. Na wierzchołku, na środku płaskowyżu leżało jezioro, zwane dla swego posępnego otoczenia „Czarne Oko". Do niego -wpada od zachodu Short Rivulet.

Skąd się tam wzięło złoto? Z wyższych miejsc nie mogła go spłukać woda, musiało więc chyba być pochodzenia „plutonicznego"[43]. Podziemne moce, wyrzucając w górę ten stożek, wyrzuciły widocznie zarazem złote skarby podziemnego królestwa, dlatego należało przypuszczać, że zamiast złotego piasku znajdują się tam cale żyły i złoża tego kruszcu, o wiele większe niż w dolinie Sacramento.

Wspinając się na górę znaleźliśmy się w takiej pierwotnej dziczy, że straciliśmy niemal odwagę, by przecisnąć się przez ten nieprzebyty chaos skał i drzew. Lecz im dalej, tym mniej napotykaliśmy trudności. Uciążliwe podszycie leśne stawało się coraz rzadsze, aż w końcu znaleźliśmy się jakby w olbrzymim tumie, którego sklepienie tworzył gąszcz gałęzi i konarów, wsparty na milionach kolumn tak grubych niekiedy, że zaledwie trzech ludzi zdołałoby objąć jedną z nich.

Tak wspinaliśmy się zwolna, lecz ciągle pod górę, dopóki nie wydostaliśmy się na równinę, po której było już łatwiej posuwać się naprzód. Pod wieczór dotarliśmy do południowego brzegu Czarnego Oka, którego głębokie, nieruchome wody błyszczały groźnym, fosforycznym blaskiem jak zagadka, której rozwiązanie sprowadzić może nieuniknioną śmierć.

W dolinie dawno nie było już słońca, tu jednak zmrok wieczorny dopiero zapadał, dzięki czemu mogliśmy jeszcze przeszukać część brzegów.

– Czy jedziemy dalej? – zapytał Marshall pragnąc jak najprędzej zobaczyć brata.

– Moi bracia rozłożą się tu obozem! – odrzekł Winnetou krótko i dobitnie, jak to było jego zwyczajem.

– Well – zgodził się Sans-ear. – Jest tu pyszny mech na łoża, a nad wodą trawa dla koni. Jeśli wyszukamy sobie teraz zakryte miejsce, do czego, na przykład, później nie starczyłoby

[43] P l u t o n – wg mitologii greckiej bóg podziemnego świata (Hadesu)

nam czasu, to możemy nawet rozniecić na sposób indiański małe ognisko, aby upiec indyka zastrzelonego przez Boba.

Tak, Bob dziś po raz pierwszy upolował coś do jedzenia i był wielce dumny z tego niezbitego dowodu, że jest pożytecznym członkiem naszej kompanii. Wkrótce znaleźliśmy miejsce, jakiego sobie Sans-ear życzył, i rozłożyliśmy się obozem.

Niebawem zapłonął ogień, a Bob zajął się gorliwie obdzieraniem z piór tego najbardziej charakterystycznego dla północnej Ameryki ptaka. Tymczasem zapadła czarna noc, a w migotliwym świetle ogniska majaczyły dziwacznie pnie, konary i gałęzie otaczającej nas puszczy. Upiekliśmy indyka i po tej wspaniałej uczcie spaliśmy spokojnie do rana.

O świcie ruszyliśmy dalej i dotarliśmy niebawem do doliny Short Rivulet. Jak wskazywała sama nazwa, potok ten przejmował tylko słabe dopływy z kilku niewielkich wzgórz i prawdopodobnie w porze gorącej zupełnie wysychał.

Zastaliśmy tu zburzone namioty, skopane złotodajne miejsca i wszędzie ślady gwałtownej walki.

Nie ulegało wątpliwości, że na poszukiwaczy złota napadli rozbójnicy. Nigdzie jednak nie zauważyliśmy trupów.

Po dłuższych poszukiwaniach zobaczyliśmy po drugiej stronie pod drzewami trochę większy namiot. Był on także podarty, pocięty i poszarpany, tak że ani jeden ślad czy najdrobniejszy przedmiot nie wyjaśniał, do kogo w swoim czasie należał.

Jakże rozczarował się Bernard! Miał nadzieję, że zastanie tu brata!

– Tu mieszkał Allan! – rzekł stanowczo. Przeczuwał to, a przeczucie mogło być słuszne. Objechaliśmy dokoła dolinę otoczoną puszczą i natrafiliśmy na tropy, które prowadziły zachodnim zboczem góry. Tamtędy niewątpliwie wyszli stąd rozbójnicy.

– Allan chciał się udać przez Lynn do Humboldshaven, a zbóje puścili się za nim – zauważył znowu Bernard.

– Zapewne, oczywiście jeżeli udało mu się umknąć – odrzekłem. – Ta okoliczność, że nie widać trupów, nie dowodzi jeszcze, że napadnięci uszli z życiem. Rozbójnicy mogli ich wrzucić do jeziora.

Głęboko pod wodami Czarnego Oka leżeli może teraz ludzie, którzy jeszcze niedawno marzyli o bogactwie, szczęściu i rozkoszach... Ciemny demon, zwany złotem, wyrwał ich z tych marzeń i wtrącił w objęcia śmierci.

– A kim byli mordercy? – zapytał groźnie Marshall.

– Mulat i obydwaj Morganowie. Tak długo nam umykali, pomimo że byliśmy tuż za nimi...

– Ale teraz już ich dostaniemy – rzekł Sans-ear – a wówczas Sam Hawerfield będzie miał prawo załatwić się z nimi, bo ma na tym koncie najdawniejsze rachunki.

– A zatem naprzód i za nimi!

Trop nie był tak wyraźny, żebyśmy mogli liczyć poszczególne ślady, a w lesie każdy jeździec jechał swoim torem. Naliczyliśmy w końcu ślady dwudziestu zwierząt. Przez długi czas przypatrywałem się dokładnie odciskom kopyt, a wynik obserwacji przedstawiłem towarzyszom:

– Było tu szesnastu jeźdźców i cztery objuczone muły. Kopyta mułów odcisnęły się ostrzej, a że to były te właśnie zwierzęta, można poznać po tym, iż często się narowiły. Rozbójnicy nie zdołają posuwać się prędko naprzód, jest więc nadzieja, że dogonimy ich, zanim oni doścignął Allana.

Po południu dotarliśmy do miejsca ich pierwszego noclegu. Po krótkim odpoczynku nie chcąc przerywać pochodu ruszyliśmy dalej i jechaliśmy do zmroku, dopóki trop był widoczny. Położyliśmy się spać tylko na kilka godzin, o świcie ruszyliśmy znowu dalej i już przed południem przybyliśmy na miejsce drugiego noclegu szajki, czyli że zbliżyliśmy się do nich o jeden dzień drogi.

Chcieliśmy już być wieczorem nad górnym Sacramento, spływającym tu z gór Shasta. Spodziewaliśmy się dopędzić zbójów nazajutrz. Tymczasem spotkała nas niemiła niespo-

dzianka. Oto dalej, w miejscu gdzie Sacramento tworzy wielki łuk, trop się podzielił. Trop mułów i sześciu jeźdźców skręcał na lewo, przecinając łuk, a reszta oddziału utrzymała poprzedni kierunek.

– Do wszystkich diabłów, to fatalne – zaklął Sans-ear. – Czy to podstęp wojenny, czy, na przykład, przypadek?

– Jeśli chodzi o nas – tylko przypadek – odrzekłem.

– Ale czemu oni się podzielili? – zapytał Bernard.

– To łatwo wytłumaczyć – odpowiedziałem. – Muły, niosące zdobycz znad Czarnego Oka, przeszkadzają rabusiom w szybkiej jeździe. Dlatego więc wysłali transport naprzód, a sami puścili się pośpiesznie w pogoń za Allanem. Gdy go obrabują, połączą się znowu gdzieś nad Sacramento.

– Well, zostawmy zatem i my te muły, na przykład, i jedźmy za rozbójnikami. Moja Tony od dawna już gniewa się na mnie za to, że posuwamy się naprzód jak ślimaki!

– Ej, czy to nie przesada! Zresztą należy tu rozważyć jeszcze jedno zagadnienie: którego z Morganów zastrzegasz sobie, Samie?

– Rany boskie! Jak możesz o to pytać, Charley? Oczywiście, że obu!

– Hm, to ci się nie uda!

– Dlaczego?

– Muły niosą złoto. Jeśli Fred Morgan je odsyła, to komu je powierzył?

– No?

– Rozumie się, że nikomu innemu tylko swemu synowi.

– Masz słuszność. Ale co czynić?

– Którego chciałbyś mieć prędzej?

– Starego.

– Tu dobrze, a więc naprzód prosto przed siebie! Przeprawiliśmy się rzeczywiście przez Sacramento zgodnie z oznaczonym zawczasu terminem i rozbiliśmy obóz po drugiej stronie rzeki. Nazajutrz rano ruszyliśmy dalej tropem, który był ciągle wyraźny. W południe wjechaliśmy w dolinę, gdzie ślady były tak świeże, że oddział nie mógł się znajdować dalej niż o pięć mil przed nami.

Teraz przynagliliśmy konie do szybszego tempa, gdyż musieliśmy zbliżyć się do ściganych o tyle, by móc podejść nocą ich obóz. Wszystkich nas ogarnęło gorączkowe podniecenie. Mieliśmy przed sobą morderców, których tak długo szukaliśmy daremnie! Mój kary ogier niósł mnie ciągle przodem, a tuż za nim biegł człapak Winnetou. Lecz co to? Nagle ujrzeliśmy mnóstwo śladów! Musiało je pozostawić co najmniej stu jeźdźców! Na ziemi widniały także ślady walki, a na jakiejś wielkolistnej roślinie ujrzałem nawet zakrzepłą krew!

Zbadaliśmy więc dokładnie całe to miejsce. W lewo prowadziły ku dolinie ślady trzech koni, a trop wielu kopyt wiódł prosto.

Ruszyliśmy więc co tchu tym tropem. Jeźdźcy byli na pewno Indianami, a ponieważ Allan niewiele ich wyprzedził, mógł łatwo wpaść w ich ręce. Ujechawszy może milę ujrzeliśmy przed sobą namioty indiańskiego obozu.

– Szoszoni! – rzekł Winnetou.

– Węże[44]! – potwierdził Sam, prowadząc nas prosto do obozu.

W samym jego środku stało przeszło stu Indian zgromadzonych dokoła wodza. Na nasz widok pochwycili za strzelby i tomahawki i otworzyli koło.

– Ko-tu-cho! – zawołał Winnetou, podjeżdżając do wodza tak gwałtownie, jak gdyby go chciał stratować, i osadził konia tuż przed nim.

---

[44] W ę ż e, czyli *Snake-Jndians* – angielska nazwa Szoszonów

Zagadnięty nie drgnął nawet na widok tej karkołomnej sztuczki Apacza, wyciągnął rękę i powitał przybyłego:

– Winnetou, wódz Apaczów! Radość zagościła wśród wojowników Szoszonów, a rozkosz w sercu ich wodza, gdyż Ko-tu-cho od dawna pragnął zobaczyć się z walecznym swym bratem Winnetou!

– A ze mną nie? – zapytał Sam. – Czyżby wódz Wężów zapomniał już o swym przyjacielu Sans-earze?

– Ko-tu-cho pamięta o wszystkich swoich przyjaciołach i braciach. Niechaj będą pozdrowieni w wigwamach jego wojowników!

Wtem przeszył powietrze przeraźliwy okrzyk. Obejrzawszy się zobaczyłem, że Bernard klęczy obok jakiejś postaci leżącej na ziemi. Podbiegłem ku niemu czym prędzej i przekonałem się, że człowiek leżący przy chacie już nie żył; kula przebiła mu piersi. Był to biały i tak podobny do Bernarda jak brat do brata. To podobieństwo odkryło mi straszną prawdę!

Reszta naszych towarzyszy podeszła także bliżej, lecz nikt nie przemówił ani słowa. Bernard klęczał w milczeniu nad zamordowanym, całował jego usta, czoło i policzki, odgarniał mu z twarzy powichrzone włosy i obejmował go rękoma za szyję. Potem podniósł się i zapytał:

– Kto go zabił?

Wódz odpowiedział:

– Ko-tu-cho wysłał wojowników, żeby ćwiczyli konie. Ci zobaczyli trzy blade twarze, a za nimi wielu prześladowców, również białych. Kiedy czternastu ludzi ściga trzech, to ścigający nie są ani dobrzy, ani waleczni. Toteż moi wojownicy pospieszyli tym trzem z pomocą.

Lecz wtedy tych czternastu wystrzeliło, a jedna kula ugodziła tę bladą twarz. Potem czerwoni wojownicy wzięli jedenastu ludzi do niewoli, a trzech uciekło. Ta blada twarz zmarła na ich rękach, a owi dwaj, którzy byli z nim razem, spoczywają na rogożach w wigwamie.

– Muszę ich widzieć w tej chwili! Ten zabity to mój brat, syn mojego ojca – dodał Bernard, przypomniawszy sobie inne jeszcze znaczenie słowa „brat” u czerwonoskórych.

– Mój biały brat przybył z Winnetou i Sans-earem, prayjaciółmi Szoszonów, Ko-tu-cho tedy uczyni, czego on żąda. Niech mój brat pójdzie za mną!

Zaprowadzono nas najpierw do wielkiego namiotu, gdzie leżeli jeńcy ze związanymi nogami i rękami. Mulat z blizną na prawym policzku był pośród nich. Nie było tylko obu Morganów.

– Co moi bracia zrobią z tymi bladymi twarzami? – zapytałem.

– Czy biały brat zna ich także?

– Znam. To rozbójnicy, którzy mają na sumieniu śmierć wielu ludzi.

– W takim razie niech biali bracia ich osądzą.

Porozumiałem się z towarzyszami spojrzeniem i odpowiedziałem:

– Zasłużyli na śmierć, lecz nie mamy czasu ich sądzić. Oddajemy ich naszym czerwonym braciom.

– Mój brat słusznie postąpił!

– Gdzie są ci biali, którzy byli przy zabitym?

– Niech moi bracia pójdą za mną!

Wprowadzono nas do drugiego namiotu, w którym spali dwaj ludzie ubrani jak mulnicy. Zbudzono ich, lecz z odpowiedzi ich wywnioskowaliśmy, że stosunek ich do Allana był czysto służbowej natury. Wyjaśnienia ich były też całkiem nieistotne. Wróciliśmy do zabitego.

Bernard przebył twardą szkodę w ostatnich miesiącach. Wzmocnił się na duchu i na ciele, ale ręce mu drżały, gdy przeszukiwał kieszenie tak długo szukanego brata. Zabrał z nich wszystko, co zawierały. Przypatrywał się z zajęciem dobrze znanym sobie przedmiotom, a

gdy otworzył notatnik i zobaczył ukochane pismo, jął całować kartki i wybuchnął gorzkim szlochaniem. Stałem obok niego i nie zdołałem także powstrzymać łez.

Szoszoni stali nie opodal, a po twarzy dowódcy przemknęło coś jakby pogarda dla naszej słabości. Winnetou, nie mogąc tego ścierpieć, wskazał na nas i rzekł:

– Niechaj wódz Szoszonów nie sądzi, że to są baby. Brat zabitego walczył ze stakemanami, z Komanczami i okazał waleczną dłoń, a tę drugą bladą twarz mój czerwony brat zna: to Old Shatterhand.

Lekki pomruk przebiegł szeregi Wężów, ich wódz zaś przystąpił bliżej i podał nam rękę.

– Dzień ten obchodzić będą uroczyście we wszystkich wigwamach Szoszonów. Bracia moi zatrzymają się w naszych chatach, będą jeść u nas mięso, pić dym przyjaźni i przypatrywać się zabawom naszych wojowników.

– Biali mężowie będą gośćmi czerwonych braci, ale jeszcze nie dzisiaj. Wrócą dopiero później. Zostawią zwłoki i mienie zabitego i popędzą natychmiast za mordercami – odrzekłem.

– Tak – potwierdził Bernard. – Zostawię tu Allana i jego służących i nie czekam ani minuty dłużej. Kto jedzie z nami?

– Wszyscy! – zapewniłem stroskanego towarzysza.

Winnetou i Sam przystąpili do swoich koni. Wódz Szoszonów wydał swoim kilka cichych rozkazów. Przyprowadzono mu pysznego, po indiańsku okulbaczonego rumaka.

– Ko-tu-cho pójdzie ze swoimi braćmi. Własność zmarłej bladej twarzy przechowa się w wigwamie wodza, a kobiety jego będą opłakiwały ze śpiewem zabitego.

Taki był skutek krótkich odwiedzin u Szoszonów – powiększyliśmy nasze siły potrzebne do pościgu za mordercami.

Ze stanu ich śladów, zupełnie dobrze widocznych, wynikało, że wyprzedzili nas o dwie godziny drogi, ale konie nasze, jak gdyby rozumiejąc nasz zamiar, gnały tak przez równinę, że krzesałyby iskry, gdyby grunt był kamienisty. Tylko gniadosz Boba okazywał pewne zmęczenie, ale Murzyn ciągle zachęcał go do pośpiechu, więc i on musiał dotrzymać nam kroku.

– Hoh-hih-hiih! – ryczał Bob. – Koń musieć biec, gnać, żeby Bob złapać zabójców massy Allana!

Minęło już pół popołudnia, a morderców należało doścignąć przed wieczorem. Po trzech godzinach szalonej jazdy zsiadłem z konia, aby dokładniej zbadać trop. Odciski były nadzwyczaj ostre: chociaż ziemię porastała gęsta, niska trawa, nie podniosło się jeszcze ani jedno źdźbło. Zbóje mogli więc być najwyżej milę przed nami.

Od czasu do czasu przykładałem do oczu lunetę, aby przeszukać widnokrąg, wreszcie ujrzałem trzy punkty posuwające się zwolna przed nami.

– Oto są! – rzekłem.

– Haloo! Na nich! – krzyknął Bernard i popędził konia.

– Powoli! – zawołałem. – To się nam na nic nie przyda. Musimy ich otoczyć. Mój ogier i koń wodza Szoszonów wytrzymają jeszcze szybką jazdę. Ja pojadę w prawo, Ko-tu-cho w lewo. W dwadzieścia minut prześcigniemy ich niepostrzeżenie, wtedy dopiero uderzycie na nich.

– Uff! – potwierdził wódz Szoszonów i jak strzała puścił się w lewą stronę.

Ja ruszyłem równie prędko w prawą, a w dziesięć minut potem straciłem z oczu towarzyszy, chociaż i oni posuwali się naprzód. Pomimo trudów tych ostatnich dni mój wierzchowiec nie okazywał znużenia. Nie miał ani płatka piany na pysku i ani śladu potu na gładkiej skórze, a sadził naprzód tak elastycznie, jak gdyby jego pięknie zbudowane ciało było z gumy.

Po piętnastu minutach zboczyłem w lewo i wkrótce, spojrzawszy przez lunetę, ujrzałem zbrodniarzy z boku za sobą, a wodza Wężów nieco w tyle poza mną, ale także przed nimi. Obaj zawróciliśmy teraz ku mordercom.

Ponieważ jechaliśmy z naprzeciwka, przeto wkrótce nas zauważyli. Spojrzeli poza siebie i spostrzegli, że stamtąd także ich ścigano. Pozostał im tylko jeden środek ucieczki: przebić się pomiędzy nami. Rzucili się więc ku Szoszonowi.

– Teraz pokaż, co umiesz, mój kary!

I wydawszy ostry, przeraźliwy okrzyk, który wytresowanego po indiańsku konia podnieca do wytężenia wszystkich sił, podniosłem się w strzemionach, aby mu jak najbardziej ulżyć i ułatwić oddychanie. Tak pędzi jeździec tylko wtedy, gdy za jego plecami szaleje pożar prerii.

Wtem jeden z morderców, w którym natychmiast rozpoznałem Freda Morgana, zatrzymał konia i przyłożył strzelbę do policzka. W chwili kiedy błysnął strzał, wódz Szoszonów runął razem z koniem, jakby rażony piorunem. Sądziłem, że albo on, albo rumak jego został zabity, i wydałem okrzyk wściekłości, lecz na szczęście pomyliłem się, gdyż Ku-tu-cho zerwał się w mgnieniu oka i rzucił na zbójów. Była to jedna ze sztuczek, których Indianie latami uczą swoje konie. Jego ogier wytresowany był w ten sposób, że na oznaczone słowo padał błyskawicznie na ziemię, a kula musiała przelecieć ponad nim.

Gdy wódz Szoszonów powalił tomahawkiem jednego zbója, ja wpadłem na Freda Morgana. Postanowiłem pochwycić go żywcem nie zważając na to, że skierował ku mnie strzelbę, w której miał jeszcze drugi nabój. Wypalił, lecz koń jego nie stał spokojnie i kula przebiła tylko rękaw mojej bluzy.

– Hura, tu Old Shatterhand! – zawołałem.

Świsnęło lasso, koń mój obrócił się i pocwałował wstecz, poczułem silne szarpnięcie i wówczas obejrzałem się za- siebie. Pętla przycisnęła Morganowi obie ręce do ciała i pociągnęła go za mną. Równocześnie ujrzałem, że Sans-ear z dwoma towarzyszami zdążył przygalopować na miejsce walki. Trzeci zbój wystrzelił do Bernarda, lecz w tej samej chwili położyły go trupem kula Sama i tomahawk wodza Szoszonów.

Zeskoczyłem z konia. Nareszcie mieliśmy w ręku Freda Morgana! Był ogłuszony upadkiem z konia. Zdjąłem z niego swoje lasso i związałem go jego własnym. Tymczasem nadciągnęli i inni. Bob pierwszy zsiadł z konia i dobył noża.

– Och! Ach! Murzyn Bob być tutaj z nożem i zakłuć powoli na śmierć złego zbója, mordercę!

– Stój! – zawołał Sam chwytając Murzyna za rękę. – Ten człowiek należy do mnie!

– Czy tamci nie żyją? – zapytałem.

– Obaj! – odrzekł Bernard, któremu krew płynęła z ramienia.

– Jesteś ranny?

– Tylko draśnięty.

– I to niedobrze, gdyż mamy przed sobą jeszcze daleką jazdę. Musimy dopędzić muły! Co zrobimy z Morganem?

– On jest mój! – powtórzył zawzięty Sam. – Ja mam o tym rozstrzygnąć. Powierzam go master Bernardowi i Bobowi, którzy go zawiozą do obozu Szoszonów i przypilnują tam, dopóki nie powrócimy z pogoni za mułami. Bernard, na przykład, jest ranny i musi się zająć zwłokami brata: Bob powinien być przy nim, a nas czterech, jak sądzę, wystarczy na sześciu ludzi z mułami.

– Plan dobry, a zatem do dzieła!

Morgana przywiązano starannie do konia, a Bernard i Bob wzięli go w środek i udali się do obozu Szoszonów. My zostaliśmy jeszcze na miejscu utarczki, aby dać koniom odsapnąć i trochę je popaść.

– Długo nie możemy tu bawić – zauważyłem. – Musimy jeszcze skorzystać z dnia, aby jechać dalej.

– Dokąd jadą moi bracia? – spytał Ko-tu-cho.

– Ku wodom Sacramento, pomiędzy górami San John i San Jose – odrzekł Sam.

– W takim razie niechaj moi bracia będą spokojni! Wódz Szoszonów zna każdą piędź drogi do tych wód. Mogą paść swoje konie, a potem jechać nocą.

– A jednak nie powinniśmy byli tak prędko odesłać Morgana – wtrącił Sam.

– Czemu?.

– Należało go przesłuchać.

– Uczynimy to później, a właściwie to wcale nie jest potrzebne. Wina jego jest stokroć dowiedziona.

– Ale mogliśmy się od niego dowiedzieć, gdzie miał się spotkać z mułami!

– Pshaw! Czy sądzisz naprawdę, że zdradziłby to?

– Przypuszczam!

– To się grubo mylisz. Nie wyda nam przecież pod nóż swego syna i zrabowanych skarbów, będąc zwłaszcza przekonanym, iż losu własnego już nie zmieni.

– Mój brat Szarlih ma słuszność! – potwierdził Winnetou. – Oczy czerwonych i białych myśliwców są dość bystre, by znaleźć ślady mułów.

Wódz Apaczów dobrze mówił, chociaż na pewno-oszczędzilibyśmy wiele czasu, gdybyśmy się mogli dowiedzieć o miejscu, gdzie miało nastąpić spotkanie Morgana z synem.

– Kogo moi bracia szukają? – zapytał Szoszon wbrew zwyczajowi czerwonoskórych, którzy nie okazują nigdy ciekawości wobec obcych. Tu jednak znajdował się wśród ludzi, których uważał za równych sobie, i dlatego mógł odstąpić od tej zasady.

– Towarzyszy morderców, których pojmali wojownicy Szoszonów – odpowiedziałem.

– Ilu ich jest?

– Sześciu.

– Tych potrafi zabić jeden z moich braci. Znajdziemy ich i sprowadzimy do tamtych.

Gdy zmrok zapadł, konie były już tak pokrzepione na siłach, że mogliśmy je popędzić na nowo. Wskoczywszy z nową otuchą na siodła, powierzyliśmy się przewodnictwu Ko-tu-cho. Wódz Szoszonów jechał przed nami przez cały wieczór i całą noc z ogromną pewnością siebie i przekonaliśmy się, że naprawdę zna każdą piędź tej drogi.

Preria leżała już od dawna za nami. Teraz przejeżdżaliśmy to przez góry, to znów przez doliny lub przez niewielkie przestrzenie leśne i sawanny. Odpocząwszy, nad ranem ruszyliśmy dalej w tym samym kierunku, aż wreszcie ujrzeliśmy przed sobą dolinę Sacramento.

Zjechaliśmy wprost ku miejscu, z którego w prawo i w lewo wrzynała się w góry boczna dolina. Ujrzeliśmy tam dom zbudowany z obitej deskami gliny. Nad drzwiami widniał napis: „Hotel”. Właściciel tego hotelu obrał dla swej siedziby świetny punkt. Dowodziła tego frekwencja,-jaką się ten zajazd cieszył, gdyż przed budynkiem stało mnóstwo wozów, koni wierzchowych i jucznych. Wnętrze zaś nie mogło widocznie wszystkich pomieścić, bo mnóstwo gości siedziało za stołami poustawianymi na dworze.

– Czy wstąpimy tam, aby się czegoś dowiedzieć? – spytał mnie Sam.

– A masz jeszcze nuggety na ale z Burtonu w Staffordshire? – odrzekłem, śmiejąc się.

– Znajdą się jeszcze!

– To wejdźmy!

– Tylko nie do środka, jeśli jesteś tak łaskawy, na przykład, gdyż mało co tak lubię, jak garść świeżego, czystego powietrza.

Podjechaliśmy przed dom, przywiązaliśmy konie i usiedliśmy w zbitej z desek szopie, na której uderzał w oczy dumny napis: „Weranda”.

– Co panowie pija? – spytał służący, który się zaraz zjawił.

– Piwo. A ile kosztuje? – odpowiedział Sam. Poczciwy westman był dzisiaj przezorniejszy niż w Yellow-water-ground.

– Porter pół dolara, ale tak samo.

– Prosimy o porter!

Służący przyniósł cztery flaszki, postawił przed nami i oddalił się czym prędzej. Mimo że się śpieszył, Sans-ear chciał go zatrzymać i rozpocząć rozmowę, gdy wtem rzuciłem okiem przez dziurę zastępującą okno od strony drogi i szybko dałem mu ręką znak, aby zamilkł.

Oto jedną z bocznych dolin zjeżdżało sześciu ludzi. Dwaj prowadzili za cugle cztery muły, a pierwszym z nich nie był nikt inny jak... Patrick Morgan. Stanęli przed hotelem, przywiązali swoje zwierzęta i zajęli miejsce przy jednym ze stołów pod naszym oknem. A więc zrobili tak, jak tylko mogliśmy sobie życzyć.

Dlaczego jednak muły ich nie były już, objuczone? Schowali zapewne zrabowane przedmioty w jakiejś kryjówce i wybrali się na schadzkę z towarzyszami.

Zamówili brandy i zaczęli rozmowę, z której rozumieliśmy każde słowo.

– Czy spotkamy niedługo waszego ojca j kapitana? – spytał jeden z nich,

– Być może – odrzekł Patrick. – Mogli jechać prędzej od nas, a z Marshallem załatwili się chyba bez trudu. Miał przecież tylko dwóch towarzyszy.

– To wysoce nierozważny człowiek, Wiózł takie skarby i odbywał podróż tylko samotnie.

– Tym lepiej dla nas! Był on, jak się zdaje, zawsze nieostrożny, gdyż inaczej nie wyrzuciłby w Yellow-water-ground planu podróży. Ale do wszystkich diabłów, co to?

– Co?

– Przypatrzcie się tamtym koniom!

– Troje pysznych zwierząt, ale czwarte, to prawdziwa osobliwość. Któryż rozumny człowiek siada na taką chabetę!

Sans-ear ścisnął pięści.

– Dam ja wam chabetę, że, na przykład, dusza wam w pięty pójdzie! – mruknął.

Tymczasem rozmowa przyjezdnych toczyła się dalej;

– Ten koń to rzeczywiście unikat. Jakkolwiek tak wygląda, to jednak jest to jeden z najsłynniejszych koni na Dzikim Zachodzie. Wiecie, czyj to wierzchowiec?

– No?

– Sans-eara.

– Do stu-piorunów! On podobno jeździ na takim capie!

– A więc i on musi tu być! Pijcie prędko i ruszajmy stąd! Miałem z nim raz pewne zajście i nie chciałbym, żeby mnie poznał.

– Nie uda ci się jednak tego uniknąć – mruknął Sans-ear.

Sześciu przybyłych wsiadło na koń i odjechało.

– Oto ludzie, których szukamy – wyjaśniłem Szoszonowi. – Moi czerwoni bracia prześcigną ich, a ja z Samem pojadę za nimi. Potem weźmiemy ich we dwa ognie.

– Uff! – odrzekł Ko-tu-cho i powstał.

Obaj z Winnetou dosiedli koni. Sans-ear zapłacił za porter, wcale zresztą niezły, po czym ruszyliśmy za Patrickiem, zachowując ciągle taką odległość, żeby nas nie dostrzegł.

Okolica stawała się coraz bardziej pusta, a gdy dostaliśmy się w teren, gdzie nie mogły nas już osłonić ani zarośla, ani zakręty, puściliśmy konie w cwał i dopędziliśmy tych obwiesiów, zanim się domyślili, że to o nich chodzi. Tuż przed nimi znajdowali się Winnetou i Ko-tu-cho.

– Dzień dobry, master Meercroft! – rzekł Sam. – Czy to ciągle jeszcze te konie, które ukradliście Komanczom?

– Przekleństwo! – zaklął zagadnięty i porwał za strzelbę, lecz zanim zdołał wypalić, leżał już na ziemi. To lasso Winnetou owinęło mu się dokoła ramion i ściągnęło go z siodła. W jednej chwili pięciu pozostałych bandytów rozproszyło się. Sans-ear i Szoszon wystrzelili do nich i popędzili za nimi.

– Stójcie, dajcie im pokój! – zawołałem. – Głównego łotra przecież mamy!

Nie usłuchali jednak. Huknęły jeszcze dwa strzały, a ostatniego z uciekających zrzucił z konia Ko-tu-cho.

– Cóż wy robicie? – złajałem Sama, – Ich trop zaprowadziłby nas na miejsce schadzki, a potem tam, gdzie ukryli swe skarby.

– Morgan będzie nam to musiał powiedzieć!

– Nie zechce!

Okazało się wkrótce, że miałem słuszność, gdyż pomimo gróźb Patrick nie odpowiedział na żadne z naszych pytań, Złoto, z powodu którego tylu ludzi musiało postradać życie, przepadło! „Śmiertelny pył!”

Przywiązaliśmy Patricka, jak przedtem jego ojca, do konia i, aby ominąć hotel, przeprawiliśmy się poprzez Sacramento, która tu nie była głęboka, i dotarliśmy do gór, nie zaczepieni przez nikogo.

Podczas całej dalszej jazdy nie można było także wydobyć z jeńca ani słowa. Dopiero gdy znalazłszy się przed obozem ujrzał wychodzącego naprzeciwko nas jubilera, mruknął przez zęby jakieś przekleństwo. Zabrałem Patricka do namiotu, gdzie znajdowała się reszta pojmanych, a między nimi jego ojciec.

– Mr. Morgan, przedstawiam wam syna, za którym pewnie bardzo się stęskniliście – rzekłem do niego.

Stary błysnął ku mnie wściekle oczyma, lecz nie wyrzekł ani słowa. Ponieważ zbliżał się wieczór, przeto sąd nad jeńcami trzeba było odłożyć do następnego dnia. Zjedliśmy wieczerzę w namiocie wodza jako jego goście i zapaliliśmy fajkę pokoju. Potem każdy z nas udał się do przeznaczonego dla niego namiotu.

Znużony wysiłkami ostatnich dni, spałem nadzwyczaj twardo, na co zresztą mogłem sobie tu, w obozie, pozwolić. Na prerii nie było to dopuszczalne. Czy śniłem, czy też była to prawda? Walczyłem z jakimiś dzikimi postaciami, które otaczały mnie zewsząd, by mi zadać śmierć. Waliłem dokoła siebie jak wściekły, lecz nieprzyjaciele wyrastali spod ziemi tuzinami. Pot spływał mi z czoła, czułem, że nadchodzi dla mnie ostatnia godzina, po raz pierwszy opanowało mnie śmiertelne przerażenie. Był to sen i strach zbudził mnie w końcu, lecz skoro tylko otworzyłem oczy, posłyszałem na dworze okropny zgiełk.

Zerwałem się natychmiast i nie ubrawszy się nawet całkowicie, pochwyciłem za broń i wybiegiem. Jeńcy zdołali się uwolnić w jakiś nigdy, nawet potem, nie wytłumaczony sposób, wymknęli się z namiotu i chcieli zaskoczyć liczne, na szczęście, straże.

Ze wszystkich namiotów wyskakiwały brązowe postacie Indian, jeden z nożem, drugi z tomahawkiem, trzeci ze strzelbą w ręku. Zaraz także nadbiegł Winnetou i jednym rzutem oka objął sytuację rozgrywającą się w świetle strażniczych ognisk,

– Dokoła obozu! – huknął w sam środek zbiegowiska i natychmiast blisko osiemdziesiąt postaci pomknęło pomiędzy namioty.

Z tego wszystkiego wywnioskowałem, że mój udział w walce nie jest konieczny, tym bardziej że jeńcy nie mieli broni palnej, a Indianie przewyższali ich dziesięciokrotnie liczbą; gdy ponadto usłyszałem w tej wrzawie głos Sama, uspokoiłem się zupełnie. I rzeczywiście, w niespełna dziesięć minut zabrzmiał krzyk przedśmiertny ostatniego bandyty. Zobaczyłem z daleka jego blade oblicze. Był to Fred Morgan, którego dosięgnął nóż Sans-eara.

Zwolna wyszedł mały westman spomiędzy namiotów, a dostrzegłszy mnie, zapytał:

– Charley, czemu nam nie pomagałeś?

– Sądziłem, że sami podołacie.

– Well, tak się też stało. Ale gdybym nie siedział przed namiotem, byliby, na przykład, uciekli. Leżałem tuż przy ścianie i usłyszałem wewnątrz szmer. Natychmiast zawiadomiłem straże, by lepiej uważały.

– Czy któryś z nich umknął?

– Nikt! Policzyłem ich dokładnie. Inaczej jednak wyobrażałem sobie porachunek z Morganami.

To rzekłszy, usiadł przede mną i zaczął na swojej strzelbie nacinać upragnione od dawna dwa karby.

– No, ci, których kochałem, są już pomszczeni, a teraz śmierć może przyjść po mnie choćby dziś albo jutro!

– Powinniśmy zakończyć tę przykrą sprawę słowami: niechaj Bóg będzie dla tych zbrodniarzy łaskawym sędzią!

– Well, Charley! Nad ich grobem ustaje moja nienawiść.

Odszedł zwolna i wsunął się do namiotu. Nazajutrz odbyła się smutna uroczystość; pochowano Allana. W braku trumny owinięto go kilkoma bawolimi skórami. Szoszoni zbudowali z kamieni czworobok, W którym złożono zwłoki, po czym wzniesiono nad tym piramidę. Na jej szczycie zatknąłem krzyż z gałęzi. Na prośbę Bernarda przemówiłem krótko a serdecznie nad grobem jego brata i pomodliłem się głośno za duszę zmarłego. Wszyscyśmy byli głęboko wzruszeni z powodu zgonu tego młodego, rokującego wielkie nadzieje człowieka, a nawet Szoszoni, stojący dokoła w poważnym milczeniu, złożyli za naszym przykładem ręce, łącząc się z nami w żałobie.

Po pogrzebie Szoszoni nie pozwolili Bernardowi oddać się boleści. Cały tydzień spędziliśmy u nich na łowach, zabawach wojennych i innych rozrywkach. Wreszcie pożegnawszy gościnnych Indian, powróciliśmy do San Francisko...

ROZDZIAŁ V
ZBÓJE KOLEJOWI

W jakiś czas później drobna sprawa pieniężna powołała mnie do Hamburga, gdzie spotkałem znajomego, którego widok ożywił we mnie wszystkie dawne wspomnienia. Znajomy ten pochodził z St. Louis i niejedną zwierzynę upolował ze mną w bagnach Missisipi. Po kilku słowach powitania, w których zawarły się także pytania o moje plany na przyszłość, ofiarował mi – jako człowiek nadzwyczaj bogaty – wolny przejazd, gdybym zechciał mu towarzyszyć do St. Louis. Na to ogarnęła mnie z całą mocą tęsknota za preriami. Postanowiłem skorzystać z jego uprzejmości, zażądałem telegraficznie z domu przysłania broni i innych przyborów, potrzebnych do takiej podróży, i w pięć dni po spotkaniu płynęliśmy już Elbą ku Morzu Północnemu i dalej ku Oceanowi.

Po przybyciu do Ameryki, zagłębiliśmy się na pewien czas w puszcze dolnej Missouri; potem znajomy mój musiał wrócić, ja zaś udałem się w górę rzeki do Omaha City, aby stąd dostać się wielką magistralą Pacific-Railwy dalej na Zachód.

Miałem określone powody do obrania tej drogi. Poznałem Góry Skaliste od źródeł rzeki Frazer aż do wąwozu Hill Gate i od Parku Północnego w dół aż do pustyni Mapimi, ale nie znałem jeszcze przestrzeni od wąwozu Hill Gate do Parku Północnego, a więc obszaru obejmującego sześć stopni szerokości geograficznej. A tam właśnie leżą najciekawsze partie gór: Trzy Tetony, góry Windriver, Wąwóz Południowy, a szczególnie żródliska Yellowstone, Rzeki Wieżowej i Kolumbii.

Nikt tam jeszcze nie dotarł oprócz Indian albo nielicznych zbiegłych traperów, toteż coś mnie po prostu ciągnęło, żeby spróbować wedrzeć się w owe niegościnne parowy i kaniony, zamieszkane według podań indiańskich przez złe duchy.

Nie było to oczywiście tak łatwą rzeczą, jakby się może zdawało. Ileż to przygotowań czyni turysta szwajcarski, zanim się wybierze w Alpy! Czym zaś jest jego przedsięwzięcie w porównaniu z zamiarem samotnego westmana, który tylko z wiarą we własne siły i w dobrą strzelbę porywa się na niebezpieczeństwa, o których europejski turysta nie może mieć nawet pojęcia? Te właśnie niebezpieczeństwa nęcą jednak i czarują. Mięśnie westmana są jak z żelaza, a ścięgna ze stali, ciało nie cofa się przed żadnymi wysiłkami i trudami, a umysł dzięki ustawicznemu ćwiczeniu zdobywa energię i bystrość, które w największej potrzebie pozwalają mu znaleźć środki ocalenia. Toteż nie pozostaje on nigdy długo w cywilizowanych okolicach, gdzie nie może ćwiczyć ani praktycznie stosować swoich zdolności. Westman tęskni za dzikimi sawannami i kryjącymi w sobie śmierć przepaściami górskimi, a im większe grożą mu niebezpieczeństwa, tym bardziej czuje się on w swoim żywiole, tym bardziej wzmaga się jego męstwo i zaufanie do samego siebie.

Co do mnie, byłem przygotowany na takie przedsięwzięcie. Brakowało mi tylko konia, bez którego trudno zapuszczać się w te „krainy nocy i krwi". Ale ten brak nie bardzo mnie trapił. Starego wałacha, który mnie na swym grzbiecie przyniósł aż do Omaha, sprzedałem i wsiadłem do wagonu kolejowego z nadzieją, że w razie potrzeby znajdę odpowiedniego wierzchowca.

Na niektórych odcinkach tamtejszej linii kolejowej ruch pociągów odbywał się jeszcze nieregularnie. W wielu miejscach widziało się robotników zajętych budową mostów i wiaduktów, bądź to nie dokończonych, bądź też już popsutych. Ludzie ci, jeśli nie pracowali w pobliżu osad wyrastających wzdłuż kolei jak grzyby po deszczu, zakładali sobie zazwyczaj obóz. Był to konieczny środek ostrożności z powodu Indian, którzy uważali budowę kolei za wdzie-

ranie się w ich prawa i usiłowali ją wszelkimi sposobami udaremnić albo przynajmniej utrudnić.

Ale i inni jeszcze wrogowie przeszkadzali w pracy, wrogowie groźniejsi od czerwonoskórych.

Po preriach włóczy się mnóstwo hołoty, którą tworzą żywioły wyparte przez cywilizowany Wschód. Są to moralnie i materialnie podupadłe jednostki, które nie spodziewają się od życia już niczego ponad to, co potrafią zdobyć w bandyckich wyprawach na Zachodzie. Ludzie ci łączą się w zbrodniczych celach w szajki, gorsze od najdzikszych hord indiańskich. Za czasów budowy kolei napadali oni głównie na obozy i małe osady powstałe wzdłuż linii kolejowej, nic też dziwnego, że te obozy trzeba było zaopatrywać we wszystko, co jest potrzebne do obrony, a mieszkańcy ich nawet podczas pracy byli uzbrojeni.

Z powodu tych napadów, których rozbójnicy dokonywali zwykle w ten sposób, że burzyli tor kolejowy, aby zmusić pociąg do zatrzymania się, nazywano ich railtroublerami, czyli burzycielami szyn. Strony napadane czuwały oczywiście dniem i nocą, wskutek czego po pewnym czasie rozbójnicy mogli urządzać wyprawy tylko wtedy, kiedy kilka band połączyło się razem. Zresztą panowało w związku z ich działalnością takie rozgoryczenie, że każdego schwytanego railtroublera czekała prawie zawsze niechybna śmierć. Bandy te mordowały wszystkich, bez względu na różnicę płci i wieku, przeto o łasce dla nich nie mogło być mowy.

Tak więc pewnej niedzieli po południu wyjechałem pociągiem z Omaha. Żaden z towarzyszy podróży nie zainteresował mnie, nawet przelotnie. Dopiero nazajutrz wsiadł we Fremont człowiek, którego powierzchowność zwróciła od razu moją uwagę. Usiadł koło mnie, więc miałem sposobność przypatrzyć mu się dokładnie.

Wygląd jego był właściwie tak śmieszny, że powierzchowny obserwator z trudem tylko powstrzymałby się od uśmiechu, ja jednak przywykłem do typów tego rodzaju o tyle, że zdołałem zachować powagę. Był to mężczyzna o niskiej postaci, lecz tak gruby, że można by go było toczyć jak beczkę. Miał na sobie kożuch barani, włożony lewą stroną na zewnątrz. Ta lewa strona była kiedyś na pewno pokryta wełną, teraz jednak wełna prawie całkowicie zniknęła, tylko tu i ówdzie widniały na nagiej skórze małe jej kępki jak oazy na Saharze. Niegdyś także kożuch ten pasował, być może, do figury swego właściciela, później jednak tak się widocznie skurczył pod wpływem śniegu i deszczu, gorąca i zimna, że teraz dolny jego brzeg nie dochodził do kolan, nie można go było zapiąć, a rękawy cofnęły się po łokcie. Pod tym kożuchem widać było kurtę z czerwonej flaneli i spodnie skórzane, ongiś prawdopodobnie czarne, ale teraz mieniące się wszystkimi barwami tęczy. Nadto zdawało się, że służyły właścicielowi za ścierkę, obrus i chustkę do nosa. Poniżej tych przedpotopowych spodni widać było nagie, sine od zimna kostki i parę zdolnych przetrwać całą wieczność trzewików. Były one resztką pozostałą po butach z cholewami ze skóry wołowej, o podeszwach nabitych tak grubymi gwoździami, że można by nimi rozdeptać krokodyla. Na głowie owego osobnika sterczał kapelusz z uszkodzonym dnem i również niecałymi kresami. Biodra okalał mu zamiast pasa stary, niestety, już spłowiały szal, a za nim tkwił prastary, kawaleryjski pistolet i nóż myśliwski. Tuż obok broni wisiał worek z kulami i z tytoniem, małe lusterko, opleciona manierka i cztery patentowane podkowy, które można nasadzać koniowi jak obuwie za pomocą śrub. Obok tego zauważyłem pokrowiec, którego zawartości na razie nie znalem – później dopiero dowiedziałem się, że mój sąsiad woził w nim wszystkie przybory do golenia, niepotrzebne, jak sadziłem, na prerii.

Najdziwaczniejsza jednak była twarz tego człowieka. Gładko ogolona, świeciła się, jak gdyby jej właściciel dopiero przed chwilą wyszedł od fryzjera. Pomiędzy nadzwyczaj grubymi i wystającymi policzkami niknął mały perkaty nosek, a piwne i żywe oczka z trudnością spoza nich wyzierały. Ilekroć otwarły się pełne wargi, ukazywały się dwa szeregi tak białych zębów, że skłaniałem się do podejrzenia, czy są prawdziwe. U dołu lewego policzka wyrastała ogór-

kowata narośl, która podnosiła śmieszność tego człowieka, jego samego jednak nie wprawiała w zakłopotanie.

Siedział przede mną, trzymając między słoniowatymi nogami strzelbę, podobną jak dwie krople wody do flinty mego starego przyjaciela Sama Hawkensa. Przypominał mi on w ogóle Hawkensa, i to bardziej jeszcze aniżeli Sans-ear.

Zajął w wagonie miejsce koło mnie, powitał krótkim „ dzień dobry, sir!", a potem zdawał się nie troszczyć o mnie wcale. Dopiero w godzinę później poprosił mnie o pozwolenie zapalenia fajki. Zastanowiło mnie to, gdyż prawdziwy, rzeczywisty traper lub nastawiacz sideł nie kłopocze się, czy to, co jemu dogadza, spodoba się innym.

– Palcie, ile chcecie, master! – odrzekłem. – Ja wam dotrzymam towarzystwa. Może przyjmiecie ode mnie cygaro?

– Dziękuję, sirt – odpowiedział. – To, co nazywają cygarami, jest dla mnie za wytworne. Wolę fajkę.

Krótką i brudną fajkę nosił zwyczajem traperskim na sznurku na szyi. Gdy ją napchał tytoniem, podałem mu zapałkę, on jednak potrząsnął przecząco głową i sięgnąwszy do kieszeni od kożucha, wydobył preriową zapalniczkę, zwaną punks, w której do zapalania służy próchno drzewne.

– Zapałki to także wytworny wynalazek, ale na prerii na nic się nie przydadzą – zauważył. – Nie należy się zbytecznie pieścić.

Na tym skończyła się krótka rozmowa, a nowej nie miał on widocznie ochoty rozpoczynać. Palił jakieś ziele, które wonią swoją przypominało mi liście orzecha włoskiego, a całą jego uwagę zajmowała przy tym okolica. Tak dojechaliśmy do stacji Nordplatte na zbiegu rzek Nord i Sudplatte. Tu gruby jegomość wysiadł na krótki czas, podszedł do przednich wagonów i zajrzał tani, zdaje się, do swego konia.

Wsiadłszy na powrót, milczał dalej jak przedtem i dopiero po południu, gdyśmy się zatrzymali w Cheyenne u stóp gór Black Hills, odezwał się w te słowa:

– Czy udajecie się stąd może linią kolejową do Kolorado ku Denver, sir?

Zaprzeczyłem.

– Well, więc zostaniemy nadal sąsiadami.

– Czy daleko jedziecie? – spytałem.

– Hm, tak i nie; jak mi się spodoba. A wy?

– Chciałbym się dostać do Ogden City.

– Aha, żeby zobaczyć miasto mormonów?

– Właśnie, a potem jadę w góry Windriver i w Tetony.

Grubas przypatrzył mi się z niedowierzaniem i rzekł:

– Tam? Tego dokazać może tylko bardzo śmiały westman. Czy macie towarzystwo?

– Nie.

Na to spojrzał na mnie małymi oczkami prawie rozbawiony.

– Sam? Tam w te Trzy Tetony? Między Siuksów i szare niedźwiedzie? Pshaw! Czy słyszeliście kiedy, co to znaczy Siuks lub szary niedźwiedź?

– Cośkolwiek.

– Aha! Hm! Czy wolno spytać, kim jesteście, sir?

– Jestem literatem.

– Literat? Pisarz? Więc piszecie książki?

– Tak.

Na to roześmiał się już na cały głos. Ubawiło go to ogromnie, jak niegdyś Sans-eara, że pisarz wybiera się w najniebezpieczniejszą część Gór Skalistych zdając się tylko na siebie.

– Pięknie! – rzekł śmiejąc się dalej. – Chcecie pewnie napisać książkę o Trzech Tetonach, czcigodny panie?

– Może.
– A widzieliście już kiedy jaką książkę z dobrym opisem Indianina albo niedźwiedzia?
– Rozumie się – odparłem poważnie.
– I teraz wam się zdaje, że także potraficie coś podobnego napisać?
– Właśnie.
– Macie pewnie także flintę zawiniętą w derkę!
– Tak.
– W takim razie posłuchajcie mojej dobrej rady, sir! Wysiądźcie czym prędzej i wracajcie do domu. Długi z was wprawdzie i mocny chłop, ale wątpię, czybyście wiewiórkę potrafili zastrzelić, a cóż dopiero niedźwiedzia. Książki zamroczyły wam głowę. Byłoby ogromnie szkoda waszego młodego życia, gdyby widok dzikiego kota miał was przyprawić o śmierć. Czytaliście Coopera?
– Czytałem.
– Tak i myślałem! Słyszeliście pewnie także o sławnych myśliwcach preriowych?!
– Tak! – odrzekłem znów skromnie.
– O Winnetou, Old Firehandzie, Old Shatterhandzie, grubym Walkerze i długim Hilbersie?!
– O wszystkich! – potwierdziłem.
Ten grubasek nie, przypuszczał, że bawił mnie co najmniej tak samo jak ja jego.
– Takie książki – ciągnął dalej – są niebezpieczne jak zaraza. Czyta się je wprawdzie przyjemnie, może nawet łatwo pisze, ale, master, nie weźcie mi tego za złe; żal mi was! Winnetou, to wódz Apaczów, gotów walczyć z tysiącem diabłów, Old Firehand ustrzeli każdą muchę w roju, którą sobie upatrzy, Old Shatterhand zaś jeszcze nigdy nie chybił, a jednym uderzeniem zdruzgoce najtęższego Indianina na miazgę. Gdy który z tych zuchów powiada, że udaje się do Trzech Tetonów, mogę to uważać za śmiałą sztukę, ale wolno mi też przypuszczać, że tego dokona. Natomiast wy, wyrabiacz książek! Pshaw! Gdzie wasz koń?
– Nie mam konia.
To go już zupełnie rozbroiło, bo roześmiał się na całe gardło.
– Hi, hi, hi, hi! Bez konia chce iść w Tetony! Czy zwariowaliście, sir?
– Zdaje mi się, że nie. Jeśli teraz nie mam konia, to go sobie kupię lub złowię.
– Gdzie?
– Gdzie będzie dogodnie.
– Sami chcecie tej sztuki dokazać?
– Spróbuję.
– Wcale chwalebny zamiar, sir! Uwiązaliście sobie wprawdzie lasso przez plecy, ale muchy nim nie złapiecie, a tym mniej dzikiego mustanga.
– Czemu?
– No, ja byłbym skłonny uważać was za niedzielnego strzelca, jak się tam w Starym Kraju wyrażają.
– Dlaczego?
– To przecież całkiem proste! Wszystko na was takie ładne i czyste. Przypatrzcie się kiedy tęgiemu westmanowi i porównajcie go z sobą! Wasze buty są nowe i wyczyszczone jak szkło, wasze spodnie ze skóry łosiowej, a koszula myśliwska to arcydzieło rąk Indianki. Wasz kapelusz kosztował przynajmniej ze dwanaście dolarów, a wasz nóż i rewolwery nie zrobiły pewnie jeszcze nikomu nic złego! Czy umiecie strzelać, sir?
– Cokolwiek. Byłem raz nawet królem kurkowym – odrzekłem z poważną miną.
– Królem kurkowym! Hm! Tak, tak! Strzelaliście do drewnianego ptaka i zostaliście królem kurkowym! Sir, proszę was serdecznie, wracajcie jak najrychlej, bo zginiecie!
– Zobaczymy! Gdzie teraz jest Old Shatterhand, o którym wspominaliście przed chwilą?

– Któż to wie! Kiedy po raz ostatni byłem nad Fox Head, spotkałem słynnego Sans-eara, który z nim dłuższy czas przebywał. Ten mi powiedział, że Old Shatterhand znowu pojechał do Afryki, w te głupie strony, które określono mianem pustyni Sahary. Tam rozbija się pewnie z Indianami, zwanymi Arabami. Temu człowiekowi dlatego nadano przydomek Shatterhanda, że z łatwością powala pięścią nieprzyjaciela, co też i bardzo często czynił. Przypatrzcie się natomiast swoim rączkom! Takie wątłe i białe jak ręce lady; od razu widać, że zarabiacie tylko pisaniem na papierze i nie znacie innej broni prócz gęsiego pióra. Weźcie sobie moją radę do serca i wracajcie do Starego Kraju. Nasz Zachód nie jest dla dżentelmenów waszego pokroju!

Ta przestroga zakończyła rozmowę, a ja nie starałem się jej ponownie nawiązać. Wiadomość o mojej podróży na Saharę, udzielona grubasowi przez Sans-eara, była zgodna z prawdą.

Minęliśmy stację Sherman, po czym znów zapadł wieczór. Pierwszą stacją, którą ujrzeliśmy nazajutrz o świcie, było Rawlins. Za tą miejscowością zaczyna się pusta, górska okolica, której jedyną roślinność stanowią krzaki artemizji. Ta olbrzymia, nieurodzajna kotlina, pozbawiona rzek i strumieni, jest to górska Sahara bez najmniejszej oazy. W jednym miejscu ziemia męczy znużone oczy swą białością, w innym znowu przytłacza swym posępnym, melancholijnym charakterem, wywołanym nagimi zboczami i strasznymi ścianami skał, poszarpanych przez burze, powodzie i pioruny.

W tej beznadziejnej okolicy leży stacja, która nazywa się “Gorzki Potok”, choć o prawdziwym potoku nie ma tu mowy – wodę trzeba sprowadzać z odległości siedemdziesięciu mil. Mimo to rozwinie się tu może kiedyś ruchliwe, wspaniałe życie, gdyż tu właśnie znajdują się niewyczerpane pokłady węgla, które zapewnią przyszłość tej pustyni.

Przejechaliśmy dalej stacje Carbon i Green River, położone o 846 mil od Omaha. Skończył się smutny krajobraz, zaczęła się ukazywać roślinność, a pasma wzgórz nabrały pogodnego, świeżego kolorytu. Mijaliśmy właśnie wspaniałą dolinę, kiedy nagle maszyna wydała kilka szybko po sobie następujących przeraźliwych świstów, które są zawsze oznaką grożącego niebezpieczeństwa. Równocześnie prawie zaskrzypiały hamulce, zgrzytnęły koła, pociąg stanął, a my wyskoczyliśmy z wagonów.

Ujrzeliśmy widok okropny. Napadnięto tu widocznie niedawno na pociąg z robotnikami i żywnością i cała przestrzeń pokryta była zwęglonymi lub na pół spalonymi szczątkami maszyny. Napad nastąpił nocą. Railtroublerzy wyrwali szyny, pociąg się wykoleił i spadł z wysokiego nasypu. Skutki tego nieszczęścia można sobie wyobrazić Z pociągu zostały tylko części żelazne, bo po ograbieniu wagonów podłożono pod nie ogień. W zgliszczach znaleźliśmy smutne szczątki zabitych bądź to podczas upadku, bądź też potem przez rozbójników. Wydawało się, że nikt nie uszedł z życiem.

Szczęściem było dla nas to, że dzięki otwartej okolicy maszynista zawczasu dostrzegł niebezpieczeństwo. Gdyby nie to i nasz pociąg spadłby z nasypu, gdyż lokomotywa zatrzymała się zaledwie o kilka łokci od miejsca zniszczenia.

Zdenerwowanie podróżnych i personelu kolejowego było takie, że nie podobna oddać tych złorzeczeń i okrzyków, jakie się dały słyszeć dokoła. Grzebano w zgliszczach, lecz nie było już nic do ocalenia. Po skonstatowaniu tego stanu rzeczy nie pozostało nam nic innego, jak czym prędzej naprawić tor, do czego każdy pociąg amerykański wiezie zawsze potrzebne narzędzia. Kierownik pociągu musiał się ograniczyć do zawiadomienia następnej stacji. Wszystko inne, a więc i ściganie przestępców, należało już do sądu, który niewątpliwie natychmiast się tam utworzył.

Kiedy inni podróżni grzebali niepotrzebnie w zgliszczach, uznałem za najlepsze rozejrzeć się za śladami railtroublerów. Teren stanowiła tu otwarta równina, porosła trawą i gdzieniegdzie kępami krzaków. Cofnąłem się dość daleko w tył po szynach i obszedłem potem z prawej

strony miejsce katastrofy, którego podstawę stanowiła linia toru. W ten sposób, nawet przy niewielkiej staranności, nic nie mogło ujść mojej uwagi.

W oddaleniu trzystu może kroków od miejsca katastrofy znalazłem zmiętą trawę, jak gdyby siedziała tu grupa ludzi, a ślady, dostrzegalne jeszcze na trawie, zaprowadziły mnie na inne miejsce, gdzie niedawno musiały być przywiązane konie. Te ślady, obejrzane dokładnie, pouczyły mnie o liczbie i jakości koni.

Gdy ruszyłem na dalsze badania, spotkałem się na torze z moim grubym sąsiadem, który, jak teraz zauważyłem, wiedziony tą samą myślą, przeszukał okolicę położoną po lewej stronie miejsca wypadku. Zobaczywszy mnie, zapytał ze zdziwieniem:

– Co tu robicie, sir?

– To, co czyni w podobnym położeniu każdy westman. Szukam śladów rozbójników.

– Wy! Aha! Dużo znajdziecie! To były sprytne draby i potrafiły zatrzeć za sobą ślady. Ja nie znalazłem nic. Cóż wobec tego odkryje taki greenhorn jak wy?

– Może ten greenhorn ma lepsze oczy niż wy, master – odpowiedziałem z uśmiechem. – Czemu szukacie śladów po lewej stronie? Chcecie uchodzić za starego, doświadczonego bywalca prerii, a nie widzicie, że teren po prawej stronie nadaje się o wiele lepiej na obozowisko i kryjówkę niż po lewej, gdzie nie widać ani jednego krzaka.

Grubas popatrzył na mnie, jakby zaskoczony moimi słowami, a potem rzekł:

– Hm, to niezłe przypuszczenie. Okazuje się, że i pisarczyk miewa czasem dobre myśli. Czy wpadło wam co w oko?

– Tak.

– Co?

– Obozowali za krzakami dzikiej czereśni, a tam, za leszczyną, stały ich konie.

– Ach! Muszę tam pójść, bo wy, nie mając odpowiednio wyćwiczonych oczu, nie potraficie określić, ile było koni.

– Dwadzieścia sześć.

Grubas znowu rzucił na mnie zdziwionym wzrokiem.

– Dwadzieścia sześć? – powtórzył z niedowierzaniem. – Po czym to poznaliście?

– Pewnie że nie po chmurach, sir! – roześmiałem się. – Z tego osiem koni było podkutych, a osiemnaście nie okutych. Wśród jeźdźców znajdowało się dwudziestu trzech białych i trzech Indian. Dowódcą bandy był biały, kulejący na prawą nogę, a koń jego to gniady mustang. Wódz Indian, który im towarzyszył, jeździ na karym ogierze, a przypuszczam, że to Siuks z plemienia Ogellallajów.

Wyraz twarzy grubasa stał się teraz nie do opisania. Usta mu się otwarły, a małe oczka patrzyły na mnie jak na widmo.

– Niech to wszyscy diabli! – zawołał w końcu. – Wam się to wszystko chyba przywidziało!

– Przekonajcie się sami! – odparłem sucho.

– Skąd wiecie, ilu było białych lub Indian, który koń był gniady, a który czarny, który jeździec kuleje i do jakiego szczepu należą Indianie?

– Proszę was, żebyście zobaczyli to sami, a potem okaże się, kto ma lepsze oczy: ja, greenhorn, czy wy, doświadczony westman.

– Well, pięknie! Idę, sir! Żeby też greenhorn mógł zgadnąć, kto byli ci hultaje!

Śmiejąc się, pośpieszył na oznaczone miejsce, a ja poszedłem za nim powoli.

Po chwili stanąłem prawie obok niego, ale tak był zajęty badaniem śladów, że nie zauważył mnie, i dopiero po dziesięciu minutach starannego badania zbliżył się do mnie i oświadczył:

– Istotnie macie słuszność. Było ich dwudziestu sześciu, a osiem koni podkutych. Ale inne wyniki, do których doszliście, to czysta niedorzeczność! Tutaj obozowali i w tym kierunku odjechali. Więcej nic rozpoznać nie można!

– To chodźcie, sir – rzekłem wtedy, – Pokażę wam, jakie niedorzeczności widzą oczy greenhorna.

– Well, jestem ciekawy! – odpowiedział kiwnąwszy głową żartobliwie.

– Przypatrzcie się tylko lepiej tym śladom końskim. Trzy konie trzymano na boku i nie spętano ich z przodu, lecz na krzyż; były to zatem konie indiańskie.

Grubas schylił się, aby dokładnie odmierzyć odstępy śladów. Ziemia, porosła w tym miejscu trawą, była wilgotna i wprawne oko łatwo mogło dojrzeć ślady.

– Na Boga, mówicie prawdę! – zawołał zdumiony.– To były szkapy indiańskie.

– A teraz chodźcie dalej, do tej małej kałuży! Tu Indianie myli sobie twarze i pomalowali je na nowo wojennymi farbami, rozrobionymi niedźwiedzim tłuszczem. Czy widzicie te małe, pierścieniowate wgłębienia w ziemi? Tutaj stały miseczki z barwnikami. Z powodu ciepła farby się rozpuściły i kapały. Patrzcie! Tu w trawie jest jedna czarna, jedna czerwona i dwie niebieskie krople!

– Tak! Rzeczywiście, to prawda!

– A czy czerwona, czarna i niebieska farba nie są wojennymi barwami Ogellallajów?

Grubas skinął tylko głową, ale w jego osłupiałej twarzy odbijało się to, o czym milczały usta.

– Chodźcie dalej! Gdy oddział tutaj przybył, zatrzymał się obok tej bagnistej kałuży. Dowodzą tego odciski kopyt, które napełniły się wodą. Tylko dwaj ludzie pojechali naprzód; prawdopodobnie dowódcy. Widocznie chcieli zbadać otoczenie, a reszta pozostała w tyle. Czy widzicie tu, w moczarze, ślad koński? Jeden koń był podkuty, a drugi nie, i ten uderzał ciężej tylnymi nogami, a więc siedział na nim Indianin. Natomiast drugim jeźdźcem był biały i koń jego stąpał przodem ciężej niż tyłem. Wiecie zapewne, jak siedzi na koniu biały, a jak Indianin?

– Sir, ciekaw jestem tylko, skąd wy...

– Dajcie temu na razie pokój! – przerwałem mu. – Uważajcie teraz dobrze! O sześć kroków dalej konie się pokąsały. Po tak długiej jeździe, jaką odbyli ci ludzie, mogły uczynić to tylko ogiery.

– Kto wam powiedział, że się kąsały?!

– Po pierwsze, czytam to z położenia śladów kopyt. Koń indiański skoczył tu na tamtego. To chyba przyznacie? Po wtóre zaś, przypatrzcie się tym włosom, które trzymam w ręce. Znalazłem je przedtem, badając ślady, zanim się z wami spotkałem. To są cztery włosy z kasztanowatej grzywy, wyrwane przez konia indiańskiego i upuszczone na ziemię. Ale dalej, na przedzie, wpadły mi w oko dwa czarne włosy z ogona. Ze śladów widzę dokładnie, że koń indiański ukąsił tamtego w grzywę, ale jeździec odciągnął go zaraz i popędził naprzód, po czym tamten koń sięgnął zębami za indiańskim i wyrwał mu te włosy z ogona. Wisiały mu one jakiś czas u pyska i spadły na ziemię dopiero po kilku krokach. A zatem koń Indianina jest kary, a białego – kasztan. Chodźcie dalej! Tutaj biały zsiadł z konia, aby się wydostać na nasyp. Siad jego został do dziś w miękkim piasku. Widać wyraźnie, że jedną nogą stąpał mocniej niż drugą. Z tego prosty wniosek: że kuleje. Zresztą ludzie ci byli bardzo nieostrożni. Nie starali się ani trochę zatrzeć swoich śladów. Widocznie czują się bardzo bezpieczni, a może się to zdarzyć tylko z dwóch powodów.

– Z jakich?

– Albo chcieli dziś jeszcze przebyć dużą przestrzeń oddzielić się od pogoni. To jednak wątpliwe, ponieważ widać ze śladów, że konie były bardzo zdrożone. Albo wiedzieli, że w pobliżu znajduje się wielka liczba ich ludzi, do których mogli się cofnąć. To drugie wydaje mi się bardziej prawdopodobne, gdyż w innych warunkach trzej Indianie nie przyłączyliby się do przeszło dwudziestu białych. Domyślam się więc, że należałoby szukać w kierunku północ-

nym licznego oddziału Ogellallajów, przy których znajduje się teraz owych dwudziestu trzech zbójców kolejowych.

Było to istotnie zabawne, z jaką miną grubasek mierzył mnie oczyma od czubka głowy do pięt.

– Człowiecze! – zawołał w końcu. – Kto wy jesteście właściwie?

– Już wam to powiedziałem.

– Pshaw! Nie jesteście greenhornem ani pismakiem, chociaż wasze świecące się buty i niedzielny rynsztunek pozwalają na takie przypuszczenie. Jesteście tak wylizani i czyści, że moglibyście się zaraz pokazać w jakiejś sztuce na scenie jako westman. Ale wśród stu westmanów znajdzie się zaledwie jeden, który by umiał tak czytać ślady jak wy. Na Boga, myślałem dotąd, że ja też coś potrafię, tymczasem nawet się do was nie umywam!

– Ja jednak rzeczywiście jestem pismakiem, ale nieraz już przemierzyłem tę prerię z północy na południe i ze wschodu na zachód. Stąd też znam się dość dobrze na śladach.

– I udajecie się istotnie w góry Windriver?

– Oczywiście.

– Ależ, sir, na to trzeba być czymś więcej niż tropicielem śladów. Tymczasem widzę u was pod innymi względami niemałe braki.

– Jakie?

– Kto ma przed sobą tak niebezpieczną drogę, nie leci przed siebie tak na ślepo jak wy, lecz stara się przede wszystkim o konia.

– Ja też to zrobię.

– Gdzie?

– Konia można kupić na każdej stacji. Może to być nawet stara szkapa. Skoro raz wsiądę na konia, to wybiorę sobie w jakiejś dzikiej trzodzie odpowiedniego mustanga,

– Wy? Ach! Czy jesteście aż takim jeźdźcem, że potrafilibyście opanować mustanga? A skąd wiecie, czy tam w ogóle będą konie?

– Zapominacie, że teraz właśnie jest pora wędrówek bawołów i mustangów na północ. Jestem pewien, że przed Tetonami natknę się na jakieś stado.

– Hm, jesteście więc dobrym jeźdźcem! A jak tam ze strzelaniem?

– Czy chcecie mnie egzaminować? – roześmiałem się.

– Do pewnego stopnia tak – potwierdził bardzo poważnie. – Czynię to w pewnym zamiarze.

– Czy można wiedzieć w jakim?

– To usłyszycie później. Najpierw musicie postrzelać. Przynieście swoją strzelbę!

To małe intermezzo dość mnie ubawiło. Mogłem oczywiście powiedzieć temu westmanowi po prostu, że jestem Old Shatterhandem, wolałem jednakże na razie o tym zamilczeć. Poszedłem więc do wagonu; gdzie zostawiłem moje strzelby zawinięte w koce. Inni podróżni zauważyli to i natychmiast otoczyli nas kołem. Amerykanin, a szczególnie mieszkaniec Zachodu, nie zaniedba nigdy żadnej sposobności, żeby przypatrzyć się strzelaniu.

Gdy odwinąłem koce, grubas zawołał:

– Tam do licha, sztucer Henry'ego! Prawdziwy sztucer od Henry'ego! Na ile strzałów, sir?

– Na dwadzieścia pięć.

– O, to dużo. To straszna broń, jeśli się strzela z bliska. Człowiecze, zazdroszczę wam tej strzelby!

– A ja wolę tę rusznicę.

Z tymi słowy wydobyłem z koca drugą broń.

– Pshaw! Gładka, błyszcząca jak szkło! – wyraził się grubas lekceważąco. – Dla mnie więcej warta zardzewiała kentucka rusznica albo ta moja stara pukawka!

– Może zobaczycie firmę, sir? – spytałem podając mu strzelbę,

Rzucił okiem na znak i odskoczył zdziwiony.

– Wybaczcie, sir – rzekł – to co innego. Takich strzelb jest już w ogóle niewiele. Słyszałem, że widziano taką u Old Shatterhanda. Ale skąd wy wzięliście to arcydzieło? A może ten znak jest podrobiony? Prawdopodobnie tak jest, gdyż ta strzelba nie wygląda na to, żeby z niej wiele razy strzelano!

– Spróbujemy. Pokażcie, do czego mam strzelać, sir!

– Nabijcie najpierw na nowo!

– To niepotrzebne. Naboje są suche.

– Well, to zastrzelcie mi najpierw śrutem tego ptaka tam na krzaku!

– To za daleko! – zauważył jeden z otaczających nas widzów.

– Zobaczymy! – odpowiedziałem.

Zacząłem powoli nakładać na nos binokle, na co grubas wybuchnął śmiechem.

– Cha! cha! cha! Okulary! Ten pismak przybywa na sawanny polować z binoklami na nosie! Cha! cha! cha!

Inni śmieli się także, ja zaś rzekłem poważnie:

– Z czego się śmiejecie, panowie? Jeśli się trzydzieści lat siedzi nad książką, to oczy na tym cierpią, lepiej więc strzelać dobrze w okularach aniżeli źle bez nich.

– To słuszne, sir – zaśmiał się grubas. – Chciałbym was jednak widzieć, gdyby was niespodzianie opadli czerwonoskórzy! Zanim wyczyścilibyście binokle i włożyli je na nos, oskalpowano by was dziesięć razy. Widzicie, nawet ptaka nie możecie teraz zastrzelić, bo już odleciał!

– To poszukajmy innego celu! – powiedziałem z taką samą zimną krwią jak przedtem.

Ów ptak siedział na krzaku w odległości może dwustu kroków, byłby to więc strzał dość zwyczajny. Posłyszałem jednak wysoko nad nami ćwierkanie skowronka i spojrzałem ku górze.

– Czy widzicie tam skowronka, panowie? – zapytałem. – Postaram się go stamtąd ściągnąć.

– To niemożliwe! – zawołał grubas. – Dajcie temu spokój, bo wystrzelicie tylko dziurę w niebie. Zresztą tego nie dokazałby nawet stary Sans-ear ani Old Firehand!

– Przekonamy się może o czymś przeciwnym! Podniosłem strzelbę i wypaliłem.

– Nie ma go! – rzekł grubas. – Przestraszony strzałem odleciał!

– Zaraz zobaczycie, na co się przydają okulary – oświadczyłem odkładając strzelbę. – Idźcie tam na nasyp. Skowronek spadł o jakieś osiemdziesiąt kroków stąd.

Wskazałem ręką miejsce, a wszyscy rzucili się w tym kierunku. Po chwili przynieśli zastrzelonego ptaszka. Grubas przypatrywał się długo to skowronkowi, to mnie, po czym zawołał:

– Trafiony, naprawdę trafiony, i to nie śrutem, lecz kulą!

– Chcielibyście śrutem strzelać na taką wysokość, sir? – zapytałem. – Prawdziwy myśliwiec preriowy wstydziłby się zresztą strzelać śrutem. To dobre dla dzieci.

– Ależ, sir, to strzał, jakiego jeszcze nie widziałem! – dziwił się grubas. – Może to był przypadek!

– Dajcie mi inny cel!

– Już wierzę, sir, wierzę! Uwzięliście się widocznie na to, żeby grać wobec mnie małą komedię! Nic nie szkodzi. Chodźcie no trochę na bok!

Odciągnął mnie od innych podróżnych na to miejsce, gdzie ślady końskie były najwyraźniejsze. Tam wydobył z kieszeni papier i przyłożył go do jednego śladu.

– Well, tak jest – rzekł w zamyśleniu. – Sir, czy jesteście panem swojego czasu, czy udajecie się prosto w Tetony, czy też moglibyście odbyć przedtem inny mały wypad?

– Mogę czynić, co mi się podoba.

– Well, w takim razie coś wam powiem. Czy słyszeliście już kiedy o grubym Fredzie Walkerze?

– Tak. Podobno to dzielny westman, jeden z najlepszych tropicieli ścieżek w górach, który włada kilkoma indiańskimi narzeczami.

– To ja nim jestem, sir!

– Przypuszczałem to. Oto moja ręka! Cieszę się z całego serca, że was spotkałem, sir.

– Rzeczywiście? No, to może poznamy się trochę lepiej. Mam bowiem kilka poważnych słów do powiedzenia niejakiemu Hallerowi. W ostatnich czasach był on dowódcą bushheaderów i koniokradów, nie licząc tego, czym już przedtem obciążył swoje sumienie. Ten papier jest dokładnym odbiciem tylnych kopyt jego konia i zgadza się zupełnie z tym śladem. Ponieważ Haller kuleje przy tym na prawą nogę, przeto jestem pewien, że dowódca tych rozbójników kolejowych i on, to jedna i ta sama osoba.

– Haller? – spytałem. – Jak mu na imię?

– Sam, Samuel, ale on przybiera różne imiona.

– Samuel Haller? Ach, słyszałem o nim. Czy nie był on buchalterem króla nafty Rallowa? Opowiadają o nim, że umknął, zabrawszy swojemu panu wielką sumę pieniędzy!

– Tak, to on. Nakłonił kasjera, żeby zabrał kasę i uciekł z nim razem, a potem go zastrzelił. Ścigany przez policję, zabił dwu konstablów, którzy go chcieli pochwycić, Pojmano go w Nowym Orleanie w chwili, kiedy wsiadał na okręt, lecz udało mu się uciec po zamordowaniu stróża więziennego. Potem przeniósł się na Zachód, gdyż nie pozostawało mu nic innego, skoro odebrano mu zdobycz. Od tego czasu dodawał zbrodnię do zbrodni i czas już, żeby się to skończyło.

– Chcecie go schwytać?

– Musi być mój, żywy albo martwy.

– Macie z nim osobiste porachunki?

Westman patrzył przez chwilę w ziemię, a potem odrzekł:

– Niezbyt chętnie o tym mówię, sir. Może wam jeszcze o tym opowiem, gdy poznamy się bliżej, co niewątpliwie wkrótce nastąpi. To dziwny przypadek, że znalazłem się właśnie w tym pociągu, ale mimo to byłbym jeszcze długo szukał Hallera, gdybyście nie zwrócili mojej uwagi na jego ślad. Bez was nie odgadłbym, że dowódca zbójów kolejowych kuleje i jeździ na kasztanowatym koniu, a to właśnie ma dla mnie w tej chwili największe znaczenie. Opuszczę więc tutaj pociąg i pójdę śladem Hallera. Może zechcecie mi towarzyszyć, sir?

– Taki greenhorn? – zastrzegłem się z uśmiechem.

– Pshaw! Nie powinniście mi brać za złe tego słowa, bo wasz wygląd świadczy o tym, że wasze właściwe miejsce jest w salonie, a nie na sawannach. Nigdy w życiu jeszcze nie widziałem człowieka, który z cwikierem na nosie staje na środku sawanny i strzela do odlatującego ptaka. To była z mojej strony pomyłka, za którą bardzo przepraszam. A zatem wysiadacie razem ze mną, sir?

– Hm! Może byłoby lepiej przyłączyć się do ludzi, którzy wkrótce przybędą tu z sąsiedniej stacji, aby wspólnie ścigać rozbójników?

– Nie mówcie mi o takiej pogoni. Jeden westman więcej tu znaczy aniżeli cała gromada różnej zbieraniny. Muszę, co prawda, przyznać, że trzeba odwagi, żeby ścigać takich zbrodniarzy, bo życie ścigających wisi ciągle na włosku. Sądzę jednak, że jesteście człowiekiem, który szuka przygód, a tym razem znajdziecie jedną z najbardziej interesujących.

– To słuszne – zauważyłem. – Ale nigdy nie lubiłem mieszać się do cudzych spraw. Ten Samuel Haller nic mnie nie obchodzi, a ponadto nie wiem, czy będę odpowiednim dla was towarzyszem.

Fred Walker łypnął szelmowsko małymi oczkami i rzekł:

– Myślicie chyba odwrotnie, to jest: czy ja dla was będę odpowiednim towarzyszem. A o tamto się już nie troszczcie! Gruby Walker nie zawiera koleżeństwa z pierwszym lepszym westmanem. Najchętniej pozostaję sam z sobą, gdy zaś się do kogoś przyłączam, to muszę mieć do tego człowieka zaufanie, a on także musi na to zaufanie zasługiwać. Zrozumieliście?

– Hołduję takim samym zapatrywaniom, gdyż rzeczywiście w wyborze towarzysza nigdy nie można być zbyt ostrożnym. Nieraz człowiek znajdzie miłego na pozór człowieka, kładzie się obok niego spokojnie spać, nazajutrz zaś już nie żyje, a kompan odjeżdża sobie zdrowo ze swoim łupem.

– Rany boskie! Czy uważacie mnie za takiego hultaja, sir?

– Nie – odparłem – po was widać, że jesteście uczciwi. Co więcej, należycie do policji, a wiadomo, że ta nie znosi w swych szeregach hultajów.

Mój gruby westman zląkł się i zmienił na twarzy.

– Sir! – zawołał. – Co wam na myśl przychodzi?

– Cicho, master Walker! Wasz wygląd nie jest wprawdzie bardzo policyjny, ale dlatego właśnie jesteście może dobrym detektywem. Uważaliście mnie za nowicjusza, a ja was przejrzałem. Bądźcie na przyszłość ostrożniejsi! Skoro w tych szerokościach geograficznych zaczną sobie opowiadać, że gruby Walker dlatego tylko włóczy się po prerii, żeby unieszkodliwić kilku zaginionych dżentelmenów, to niebawem strzelicie po raz ostatni.

– Mylicie się, sir! – starał się mnie uspokoić.

– Cicho! Uczestnictwo w waszej przygodzie odpowiada mi. Przyłączyłbym się natychmiast, aby spłatać figla tym railtroublerom; niebezpieczeństwo wcale mnie nie odstrasza, gdyż ono i tak czyha na nas, jak daleko sięga preria. Ale powstrzymuje mnie to, że ukrywaliście przede mną dotychczas wasze zamiary. Jeśli wybieram się w taką drogę, muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Fred Walker spojrzał w zamyśleniu na ziemię, po czym podniósł głowę i powiedział:

– Dobrze, sir, stanie się zadość waszemu życzeniu. Choć jesteście tak wystrojeni, mimo to jest w was coś, co w starym westmanie budzi zaufanie. Przypatrywałem się wam w wagonie i powiadam szczerze, że was polubiłem. Jestem zwykle samotny i nietowarzyski, chciałbym mieć was jednak trochę przy sobie, dlatego będę szczery. Istotnie, jestem urzędnikiem oddziału prywatnych detektywów doktora Suntera z St. Louis. Moim zadaniem jest śledzić zbiegłych osobników na Zachodzie; przykre to życie, ale mimo to poświęcam na to wszystkie moje siły. Dlaczego to czynię, opowiem później, gdy będziemy mieli na to więcej czasu. To smutna historia. A teraz pytam, sir, czy się do mnie przyłączycie?

– Macie moją rękę. Bądźmy wiernymi towarzyszami i dzielmy odtąd wspólnie wszelkie trudy i niebezpieczeństwa, master Walker!

Grubas wyciągnął do mnie rękę z radością w twarzy i rzekł:

– To jest uczciwe słowo, sir! Dziękuję za zgodę. Spodziewam się, że się z sobą zżyjemy. Zamiast „master Walker”, mówcie mi krótko i węzłowato: Fred, a ja już będę wiedział, do kogo to się odnosi. Czy wolno teraz Spytać, jak wy się nazywacie?

Powiedziałem mu moje imię i nazwisko i dodałem:

– Wołajcie mnie po prostu Charles – to wystarczy. Ale patrzcie, tor naprawiony. Niebawem ludzie wsiądą do pociągu i pojadą dalej.

– Wobec tego zabiorę mego Victory'ego; nie przestraszcie się go przypadkiem. Nie jest on właściwie piękny, ale nosił mnie przez dwanaście lat i nie zamieniłbym go na najlepszego wyścigowca. Czy macie co w wagonie?

– Nie. Czy powiedzieć tym ludziom, co zamierzamy zrobić?

– Nie. Im mniej będą o nas wiedzieli, tym będziemy bezpieczniejsi.

Grubas podszedł do wagonu, w którym znajdował się jego koń, i kazał otworzyć drzwi. Teren nie nadawał się bynajmniej do wyprowadzania konia, nadto nie było nawet do tego odpowiedniego pomostu, ale rzecz odbyła się inaczej, niż myślałem.

– Victory, chodź!

Na ten okrzyk stare konisko wystawiło najpierw łeb, aby się przypatrzyć terenowi, następnie położyło po sobie z namysłem długie uszy i wypadło jednym szalonym skokiem na nasyp. Wszyscy, którzy to widzieli, przyklasnęli, a koń, jakby to zrozumiał, machnął ogonem i zarżał głośno.

Z wyglądu koń ten nie zasługiwał żadną miarą na imię Victory, czyli zwycięzca. Chudy, cienkonogi, przynajmniej dwudziestoletni kasztan, nie miał już grzywy, a z ogona zwisało mu tylko kilka kłaków, uszy zaś przewyższały znacznie długość uszu królika. Mimo to od razu oceniłem go wysoko, zwłaszcza że zobaczyłem, jak kopie i kąsa, gdy ktokolwiek chciał go dotknąć ręką. Koń był osiodłany i miał uzdę. Fred dosiadł go i zjechał z nasypu, nie rzekłszy do nikogo ani słowa. Nikt się też o nas nie troszczył. Byliśmy dla nich obcy; z obojętnością więc przyjęto fakt, że opuściliśmy pociąg.

Na dole Walker zatrzymał się.

– Widzicie, Charles, jakby to było dobrze, gdybyście także mieli konia – powiedział.

– Wkrótce się o to postaram – odrzekłem.. – Na waszym Victory'm łatwo go schwytam.

– Wy? No, to ja musiałbym się tym zająć, bo daję słowo, że nie ujechalibyście na nim ani jednego kroku. Mój koń nie cierpi na sobie nikogo oprócz mnie.

– To się jeszcze okaże!

– Ależ zapewniam was, że tak jest. Moglibyśmy się czasem zmieniać na koniu, aby was chód nie męczył, a!e mój wierzchowiec zrzuci was na pewno i dlatego skazani jesteście na podróż piechotą, dopóki nie spotkamy stada mustangów. To bardzo przykre, szczególnie że wobec tego będziemy się poruszać powoli i stracimy dużo czasu. Ale patrzcie, ludzie wsiadają i pociąg rusza dalej.

Istotnie lokomotywa buchnęła parą, koła zaczęły się obracać i pociąg potoczył się dalej na Zachód. W kilka chwil zniknął nam z oczu.

– Powieście swoją ciężką strzelbę na moim siodle! – rzekł Walker.

Ja zaś odpowiedziałem:

– Dziękuję uprzejmie! Sądzę, że dobry strzelec nie powinien ani na chwilę rozstawać się ze swoją strzelbą. A zatem nie zatrzymujmy się dłużej!

– Muszę oczywiście ze względu na was jechać powoli.

– Możecie puścić Viktory'ego wyciągniętym stępem. Ja chodzę nieźle, więc nie zostanę w tyle.

– Well, wobec tego ruszamy!

Zarzuciwszy na siebie derkę, przewiesiłem sztucer przez ramię, a strzelbę przez plecy i rozpocząłem u boku Freda Walkera pogoń za zbójami.

Trop ich prowadził prawie prosto na północ, a był tak wyraźny, że nie potrzebowaliśmy zadawać sobie najmniejszego trudu z jego odszukaniem. Dopiero około południa przerwaliśmy pochód, by dać spocząć Viktory'emu. Sami skorzystaliśmy z tego postoju, by się cokolwiek posilić. Zjedliśmy więc to, cośmy mieli z sobą, gdyż nie przyszło nam na myśl zaopatrzyć się w zapasy z pociągu.

Dopóki bowiem myśliwiec preriowy rozporządza strzelba i amunicją, dopóty nie boi się głodu. Pod tym względem nie żywiłem żadnej obawy, gdyż miałem w ładownicy naboi pod dostatkiem.

Kraina, w której znajdowaliśmy się teraz, była pagórkowata i gęsto zalesiona, ślad ciągnął się w górę rzeczki, której brzegi były częściowo piaszczyste, częściowo zaś porosłe bujną trawą, dzięki czemu wszędzie widoczne były wyraźne odciski kopyt, pozostawione przez konie ściganych przez nas rozbójników. Po południu zastrzeliłem dość tłustego szopa, którego

mięso miało nam posłużyć za wieczerzę, a kiedy się ściemniło, stanęliśmy obozem w małym i lesistym parowie skalnym, gdzie bez obawy, żeby nas nie odkryto, mogliśmy rozniecić ogień i upiec upolowane mięso. W miejscu tym czuliśmy się tak bezpiecznie, że nawet nie odbywaliśmy straży, lecz położyliśmy się obydwaj spać, skoro tylko Fred zaopatrzył na noc swego konia.

Nazajutrz wyruszyliśmy znów bardzo wcześnie i już po południu dotarliśmy do miejsca, w którym rozbójnicy obozowali poprzedniej nocy. Ślady wskazywały na to, że rozniecili kilka ognisk, kpiąc sobie widocznie z wszelkiego pościgu. Jadąc dalej wzdłuż tej samej rzeczki, opuściliśmy pod wieczór równinę i skierowaliśmy się ku występowi utworzonemu wśród łąk przez puszczę. Mieliśmy ściganych prawie o dzień drogi przed sobą i czuliśmy się tym bezpieczniej, że w czasie wędrówki nie znaleźliśmy ani śladu człowieka. Dostawszy się do owego występu puszczy, chcieliśmy go właśnie objechać, kiedy nagle odskoczyliśmy obydwaj. Przed nami zatrzymał się gwałtownie Indianin, który w tejże chwili zamierzał tak samo objechać ten sam występ z drugiej strony. Siedział na karym wierzchowcu i prowadził obok siebie konia okulbaczonego jukami.

Skoro tylko nas spostrzegł, zsunął się błyskawicznie z konia, stanął za nim jak za zasłoną i wymierzył do nas ze strzelby. Ruchy te wykonał przy tym tak błyskawicznie, że ledwo zdążyłem dojrzeć zarys jego postaci, i to niedokładnie.

Fred również zeskoczył z konia, z tą samą zręcznością i zajął za nim stanowisko obronne, ja zaś rzuciłem się możliwie wielkim susem do lasu i skryłem się za grubym bukiem. Zaledwie jednak się tam dostałem, błysnęło ze strzelby Indianina i kula uderzyła w. pień mego buka. Gdybym się spóźnił o dziesiątą część sekundy, byłaby mnie przeszyła. Czerwonoskóry pojął widocznie od razu, że byłem dlań bardziej niebezpieczny niż Fred, ponieważ osłonięty drzewami mogłem obejść go i strzelać do niego z tyłu.

Już podczas skoku podniosłem do strzału strzelbę, teraz jednak, gdy kula uderzyła w drzewo, opuściłem ją. Czemu?

Doświadczony westman wie o tym, że każda strzelba ma swój odrębny głos. Niedoświadczonemu trudno jest rozróżnić huk dwu strzelb, ale życie na Zachodzie zaostrza zmysły do najwyższego stopnia, a kto często słyszy huk jednej strzelby, ten pozna ją pośród setek innych. Stąd pochodzi fakt, że myśliwcy, którzy spotykali się dawniej, a potem się przez długi czas nie widywali, z daleka rozpoznają się nawzajem po głosie swych strzelb.

Tak było w tej chwili i ze mną. Głosu strzelby, z której wystrzelił ten czerwonoskóry, nie zapomniałbym do końca życia. Od długiego już czasu nie obijał się o moje uszy jej ostry, dźwięczny ton, mimo to poznałem ją od razu. To była strzelba słynnego wodza Apaczów, Winnetou, mego przyjaciela i mistrza, który kierował moimi pierwszymi krokami w lasach i preriach Dzikiego Zachodu. Nasunęło mi się oczywiście pytanie, czy on sam dotąd ją nosi, czy też może strzelba przeszła już w inne ręce?

– Toselkhita, shi shteke – nie strzelaj, jestem twoim przyjacielem! – zawołałem spoza drzewa w narzeczu Apaczów.

– To tistsa, tá ti. Ni peniyil – nie wiem, kim jesteś. Wyjdź! – odpowiedział.

– Ni Winnetou, natan shis inté – jesteś Winnetou, wódz Apaczów? – spytałem dla pewności.

– Ha-au – jestem nim! – odrzekł.

Na te słowa wyskoczyłem zza drzewa i pobiegłem ku niemu.

– Szarlih! – odezwał się on pierwszy radośnie. Otworzył ramiona i padliśmy sobie w objęcia.

– Szarlih, shi stheke, shi nata-ye – Szarlih, mój przyjacielu, mój bracie! – powtarzał płacząc niemal ze wzruszenia. – Shi intá, ni intá, shi, itchi, ni itchi – moje oko jest twoim okiem, moje serce twoim sercem!

Ja także byłem tak przejęty tym zupełnie niespodzianym spotkaniem, że łzy mi się w oczach zakręciły. Winnetou przypatrywał mi się wzrokiem pełnym miłości, przyciskał mnie do piersi, aż wreszcie przypomniał sobie, że nie jesteśmy sami,

– Ti ti ute – kim jest ten człowiek? – zapytał wskazując na Walkera.

– Aguan ute shó, shi stheke ni stheke – to dobry człowiek, mój przyjaciel i twój przyjaciel – odpowiedziałem.

– Ti tenlyé aguan – jak się nazywa?

– The thick[45] Walker – podałem nazwisko towarzysza w angielskim brzmieniu.

Na to wyciągnął Apacz rękę do Freda i tak go pozdrowił:

– Przyjaciel mego brata jest zarazem moim przyjacielem! Omal nie postrzelaliśmy się, ale na szczęście Szarlih poznał głos mojej strzelby, jak i ja poznałbym glos jego strzelby. Co moi biali bracia tu robią?

– Ścigamy wrogów, których trop widzisz tu na trawie – odrzekłem.

– Spostrzegłem go dopiero przed chwilą. Przybywam nad tę wodę od wschodu. Jaką barwę mają ludzie, których chcecie schwycić?

– To biali i kilku Ogellallajów.

Na dźwięk tych słów brwi jego się ściągnęły. Położył dłoń na lśniącym tomahawku zatkniętym za pasem i oświadczył:

– Synowie Ogellallajów są jak ropuchy, kiedy wyjdą z nor swoich. Ja ich rozdepczę! Czy mogę pójść z moim bratem Szarlim, aby ich zobaczyć?

Nic nie mogło być dla mnie milszym od tego pytania. Mieć Winnetou za sprzymierzeńca znaczyło tyle, co rozporządzać dwudziestu westmanami. Nie wątpiłem wprawdzie, że nie opuściłby mnie po tak długiej rozłące, ale okoliczność, że sam ofiarował swoją pomoc, dowodziła także, że go nasza przygoda zainteresowała.

– Wielki wódz Apaczów – odpowiedziałem mu na to – przybywa do nas jak promień słońca w zimny poranek. Niechaj jego tomahawk będzie naszym!

– Moja ręka jest waszą ręką, a moje życie, waszym życiem. Howgh!

Po Fredzie Walkerze widać było, że Apacz wywarł na nim potężne wrażenie. Nic dziwnego. To samo stałoby się z każdym, gdyż Winnetou był naprawdę wspaniałym człowiekiem, a widok jego musiał zachwycić każdego westmana.

Niezbyt wysoki, ale mocno zbudowany, zgrabny i sprężysty, gibkością ruchów zadziwiał najsilniejszych i najdoświadczeńszych traperów. Był teraz tak samo ubrany jak ongiś, kiedyśmy się spotkali nad Rio Pecos, a potem rozstali u Wężów. Takiego, jak stał teraz przed nami, widywałem go zawsze: zgrabny, schludny zewnętrznie, rycerski i wspaniały w zachowaniu, w każdym calu mężczyzna i bohater.

Grubego Freda zaskoczyło przede wszystkim to, że wszystko na Indianinie lśniło i połyskiwało, że nie było na nim ani śladu plamy. Spojrzenia jego małych oczek biegały ode mnie do Winnetou, z czego odgadłem, że porównywał nas ze sobą.

– Niechaj moi bracia usiądą i wypalą ze mną fajkę pokoju! – rzekł Apacz.

Następnie usiadł, tam gdzie stał, i wydobył zza pasa trochę tytoniu, zmieszanego z liśćmi dzikich konopi, po czym napełnił nim ozdobioną piórami fajkę. My zajęliśmy miejsca obok niego. Uroczystość zapalenia fajki pokoju była nieodzowna, gdyż zatwierdzała niejako zawarte przymierze. Bez tego Winnetou nie powiedziałby z pewnością ani słowa o naszym planie.

Zapaliwszy, wypuścił dym prosto ku niebu, a potem równie prosto ku ziemi. Następnie wstał, skłonił się kolejno w cztery strony świata, a pociągnąwszy z fajki cztery razy, wy-

[45] t h i c k (ang.) – gruby

dmuchnął dym w tych czterech kierunkach. Wreszcie usiadł na powrót i podał mi fajkę, mówiąc:

– Wielki Duch słyszy moją przysięgę: moi bracia są jako ja, ja zaś jako oni. Jesteśmy przyjaciółmi!

Wziąłem fajkę z jego ręki, wstałem, powtórzyłem dokładnie cały obrzęd i oświadczyłem:

– Wielki Manitou, którego czcimy, rządzi ziemią i gwiazdami. On jest moim ojcem i twoim, jesteśmy braćmi i dopomożemy sobie w każdym niebezpieczeństwie. Fajka pokoju odnowiła nasze przymierze!

Teraz podałem fajkę Walkerowi, który, zrobiwszy to samo co my, ślubował:

– Widzę wielkiego Winnetou, najwspanialszego wodza Mescalerów, Mimbreniów i Apaczów, piję dym z jego fajki i jestem jego bratem. Jego przyjaciele są moimi przyjaciółmi, a jego wrogowie moimi wrogami. Ten sojusz niechaj nigdy nie będzie złamany!

Po tych słowach usiadł i oddał fajkę Apaczowi, który palił ją dalej. Po spełnieniu uroczystego obrzędu mogliśmy przystąpić do omówienia dalszego planu pościgu.

– Niech mi mój brat Szarlih opowie, co przeżył od czasu rozstania ze mną! – poprosił Winnetou.

Opowiedziałem mu wszystko jak najzwięźlej i zapytałem nawzajem:

– Może mój brat Winnetou powie mi, co przeżył od czasu, kiedy go widziałem, i dlaczego przebywa w ostępach Siuksów, tak daleko od wigwamu swych ojców?

Apacz pociągnął sporo dymu, jakby się namyślał, i odpowiedział;

– Deszcze strącają wodę z chmur, a słońce wznosi ją znowu. Tak jest i z życiem człowieka. Dni nadchodzą i nikną. Po co zresztą będzie Winnetou długo opowiadał o słońcach, które minęły? Obraził mnie wódz Siuksów Dakota. Poszedłem więc za nim i zabrałem mu skalp. Jego ludzie ścigali mnie, lecz zniszczyłem moje ślady, wróciłem do ich wigwamów i zabrałem znaki zwycięstwa, którymi objuczyłem konia wodza. Oto tam stoi ten koń!

W tych niewielu zwięzłych słowach Winnetou przedstawił swój bohaterski czyn, na co kto inny zużyłby długie godziny. Od brzegów Rio Grande na południu aż do Milk River na północy, miesiącami szukał wroga w puszczy i prerii, zwyciężył go ostatecznie w otwartej walce, zakradł się śmiało w sam środek obozu nieprzyjaciół i zabrał im najcenniejsze trofea. Tego nie dokazałby nikt inny niż Winnetou, a jakże skromnie o tym opowiadał!

– Moi bracia – mówił dalej – ścigają Ogellallajów i białych, zwanych railtroublerami. Do tego potrzeba dobrych koni. Czy mój przyjaciel Szarlih pojedzie na koniu Siuksa Dakoty? Ten koń przeszedł doskonałą indiańską tresurę, a mój brat rozumie się na tym lepiej niż każda inna blada twarz.

Winnetou darował mi już dawniej wspaniałego mustanga, nie chciałem więc teraz przyjąć jeszcze jednego jego daru i odrzekłem:

– Mój brat pozwoli, że sam sobie konia złowię. Koń Dakoty musi nieść zdobycz.

Lecz Apacz potrząsnął głową i odparł:

– Czemu mój brat zapomina, że do niego należy wszystko, co jest moje? Dlaczego chce tracić czas na chwytanie konia? Wszak to polowanie może nas zdradzić przed Ogellallajami? Mój brat zna Winnetou i wie dobrze, że nie będzie on woził zdobyczy z sobą idąc śladem Siuksów. Winnetou ją zakopie, a koń będzie wolny. Howgh!

Nie mogłem się już dłużej sprzeciwiać i musiałem dar przyjąć. Zresztą od dłuższego już czasu przypatrywałem się temu koniowi z podziwem. Był to ciemny szpak, zwięzły, lekko a silnie zbudowany i miał takie ścięgna, że przyjemnie było nań spojrzeć. Pełna grzywa zwisała mu poniżej szyi, a ogon dotykał prawie ziemi, Wnętrze nozdrzy było zabarwione czerwono, co Indianie wysoko cenią, a duże oczy, pełne ognia a zarazem odwagi, pozwalały przypuszczać, że dobry jeździec będzie mógł zaufać temu koniowi!

– Ale siodła nie ma! – zauważył Fred. Nie pojedziecie chyba na jucznym, Charles!

– To najmniejsze – odrzekłem. – Nie widzieliście, jak Indianin przystosowuje siodło juczne do jazdy ani jak zręczny myśliwiec robi sobie znośne siodło z dymiącej jeszcze skóry zabitej zwierzyny? Jutro już będę miał siodło, którego mi pozazdrościcie!

Apacz skinął twierdząco głową i rzekł:

– Winnetou odkrył niedaleko stąd nad wodą świeży ślad wielkiego wilka. Nim słońce zajdzie, dostaniemy jego skórę i żebra, z czego sporządzimy dobre siodło. Czy moi bracia mają mięso do jedzenia?

– Mamy.

– W takim razie ruszajmy po tego wilka i wyszukajmy miejsce na obóz, gdziebym mógł zakopać zdobycz. Gdy słońce wzejdzie, pójdziemy śladem railtroublerów. Oni zniszczyli wozy ognistego konia, ograbili białych braci, zabili ich i spalili. Wielki Duch gniewa się na nich za to i wyda ich w nasze ręce, gdyż wedle prawa sawannów zasłużyli na karę śmierci.

Opuściliśmy to miejsce dziwnego, lecz przede wszystkim szczęśliwego spotkania i niebawem znaleźliśmy legowisko wilka. Łatwo zabiliśmy to zwierzę należące do gatunku kujotów i wkrótce siedzieliśmy już przy ognisku, zajęci robotą przy nowym siodle. Nazajutrz zakopaliśmy zdobycz Winnetou, która składała się z broni indiańskiej i talizmanów, i oznaczyliśmy to miejsce, żeby móc je rozpoznać. Potem puściliśmy się dalej za mordercami, którzy śmieliby się niewątpliwie, gdyby wiedzieli, że odważa się pociągać ich do odpowiedzialności trzech zaledwie łudzi...

ROZDZIAŁ VI

OSADA HELLDORF

Kiedy wyruszyliśmy rankiem w dalszą drogę, przekonałem się, że koń, którego mi odstąpił Winnetou, jest doskonałym wierzchowcem. Jeździec nie znający indiańskiego sposobu tresowania koni nie utrzymałby się na nim ani chwili, ale ze mną mój wierzchowiec pogodził się w bardzo krótkim czasie. Przez to, że tak łatwo opanowałem konia, zyskałem znów bardzo na powadze w oczach grubego Freda. Mierzył mnie on od czasu do czasu szczególnym wzrokiem, nie mógł bowiem także zrozumieć poważania, jakim mnie darzył Winnetou. Ta nadzwyczajna przyjaźń słynnego Apacza do nieznanego myśliwca wydawała mu się zapewne prawdziwym cudem.

Stary Victory trzymał się bardzo dobrze, posuwaliśmy się więc naprzód dość szybko. Już około południa dotarliśmy do ostatniego postoju rozbójników, czyli że dzieliło nas jeszcze od nich pół dnia drogi.

Ślady, które nam były drogowskazem, opuściły tymczasem rzeczkę i przeniosły się do długiej bocznej doliny, którą sączył się mały potok. Winnetou badał odtąd ślady znacznie uważniej, a oczy jego starały się przeniknąć skraj lasu, wypełniającego zbocze aż do dna doliny.

W końcu wódz Apaczów zatrzymał się nawet i zwrócił się do mnie, jechaliśmy bowiem jeden za drugim, a on był pierwszy.

– Uff! – zawołał. – Co mój brat Szarlih sądzi o tej drodze?

– Ona poprowadzi nas aż na grzbiet wzgórz.

– A potem?

– Po drugiej stronie będzie się znajdował ostateczny cel jazdy railtroublerów.

– Jaki cel?

– Pastwiska Ogellallajów.

Skinął głową na znak potwierdzenia, dodając do tego jeszcze pochwałę:

– Mój brat Szarlih wciąż jeszcze ma oko orła, a spryt lisa, bo odgadł bardzo dobrze.

– Jak to? – zapytał Walker. – Rozbójnicy udali się na pastwiska Ogellallajów?

Ja zaś odpowiedziałem:

– Już przedtem zwróciłem waszą uwagę na to, że trzej Indianie nie połączyliby się z taką gromadą białych bez szczególnych powodów. Na Dzikim Zachodzie więcej jest ludzi czerwonych niż białych. Tak też jest i w naszym wypadku.

– Pshaw! Nie rozumiem was, Charles!

– Ci trzej Ogellallajowie zostali przydzieleni zbójcom, że tak powiem, jako eskorta.

– Jak to? Przez kogo?

– Hm! Nie weźcie mi tego za złe, kochany Fredzie, ale zdaje mi się, że zamieniliśmy nasze role; dziś ja mógłbym was nazwać greenhornem.

– Oho! A to czemu?

– Czy sądzicie, że banda złożona z dwudziestu białych drabów odważyłaby się sama grasować w tych stronach?

– Oczywiście że nie!

– Co więc będą musieli zrobić biali?

– Hm, udać się pod opiekę czerwonoskórych.

– Słusznie! Czy dostaną tę opiekę za darmo?

– Nie, będą musieli za nią zapłacić.

– Czym?

– Rozumie się, że łupem, który z sobą wiozą,

– Pięknie! Teraz już pojmujecie, co Winnetou i ja sądzimy?

– A więc to tak się rzecz przedstawia! Biali ograbili pociąg, aby mieć z czego zapłacić haracz, a ci trzej Ogllallajowie są jakby ich egzekutorami?

– Może jest tak, a może inaczej. Nie ulega jednak wątpliwości, że nasi czcigodni biali bracia połączą się wkrótce z większym oddziałem czerwonych. To powiedziałem już, gdyśmy byli przy torze kolejowym. Ale nie koniec na tym. Czy sądzicie, że biali i czerwoni sprzymierzyli się tylko po to, żeby sobie nawzajem dogadzać i wylegiwać się na skórach niedźwiedzich?

– Z pewnością nie w tym celu.

– I ja tak sądzę. Wierzcie mi, że rychło uknują znów coś szatańskiego, zwłaszcza że ostatni napad tak dobrze im się udał.

– Cóż by nowego zamierzali?

– Hm, ja domyślam się czegoś.

– No, to dokazalibyście nadzwyczajnej rzeczy, gdybyście przewidzieli, co uczynią ludzie, których jeszcze wcale nie znacie. W ostatnich czasach nabrałem dla was do pewnego stopnia szacunku, ale z waszego przewidywania w tym wypadku, zdaje się, nic nie będzie!

– Zobaczymy! Dość nauwijałem się pośród Indian i znane mi są ich zwyczaje. A wiecie, jak można najlepiej odgadnąć, co człowiek zrobi?

– No?

– Należy sobie wyobrazić żywo jego położenie i uwzględnić przy tym jego charakter. Czy mam być tak zuchwałym i postarać się odgadnąć, co oni zrobią?

– Naprawdę, zaciekawiacie mnie!

– Zastanówmy się więc nad tym, komu nasz personel kolejowy doniósł najpierw o zburzeniu toru i zniszczeniu pociągu?

– Chyba najbliższej stacji.

– Stamtąd więc zapewne wyślą ludzi w celu zbadania miejsca wypadku i ścigania sprawców.

– Prawdopodobnie.

– Ale przez to stacja zostanie ogołocona z ludzi i można będzie na nią napaść bez wielkiego niebezpieczeństwa.

– Tam do licha! Teraz się domyślam, do czego zmierzacie!

– Prawda? Ale stacje są tu na razie jeszcze tymczasowe, więc trzeba wziąć pod uwagę takie miejsce, w którym znajduje się dość ludzi, by można się było obejść bez jednego ochronnego oddziału. Moim zdaniem będzie to Echo Canyon.

– Charles, to jest bardzo możliwe. Rozbójnicy i Indianie mogą tak samo jak my wiedzieć, że ta miejscowość zostanie ogołocona z ochrony.

– Jeżeli nadto Siuksowie wykopali swoje strzały wojenne i pomalowali się wojennymi barwami, to znaczy, że noszą się z nieprzyjaznymi zamiarami, a wtedy nie ulega prawie wątpliwości, że napadną na Echo Canyon. Ale popatrzcie, oto źródło potoku! Dalej droga pnie się stromo pod górę, nie mamy więc czasu na dalszą pogawędkę!

Wspinaliśmy się teraz po stoku wzgórza wśród wysokich drzew, więc musieliśmy uważać. Wzgórze rozszerzało się potem na kształt płaskowyżu i opadało znów ku dolinie, gdzie wydostaliśmy się znowu na brzeg rzeczki płynącej na wschód.

Tutaj ścigani przez nas odpoczywali w południe, a następnie zwrócili się wzdłuż wody ku północy. Przejechaliśmy więc jeszcze przez kilka dolin i parowów. Ślady stawały się coraz świeższe i trzeba było zachowywać coraz większą ostrożność. Wreszcie dotarliśmy pod wieczór do szczytu wydłużonego grzbietu górskiego i już mieliśmy zjechać w dół po drugiej stro-

nie, kiedy prowadzący nasz pochód Winnetou zatrzymał się nagle, wskazał ręką przed siebie i głosem stłumionym zawołał:

– Uff!

Stanęliśmy również i spojrzeliśmy w oznaczonym kierunku.

Po prawej stronie rozciągała się głęboko pod nami niewielka kotlina; miała ona w obwodzie z godzinę drogi, była otwarta i porosła trawą. Widać w niej było znaczną ilość indiańskich namiotów, a wśród nich ruchliwe życie. Konie pasły się brodząc w bujnej zieloności, a dokoła krzątali się liczni mężczyźni, przygotowując mięso. Poza namiotami leżały szkielety kilku bawołów, a na tyłach rozpięto długie sznury, na których rozwieszono cienkie płaty bawolego mięsa.

– Ogellallajowie! – odezwał się pierwszy Fred.

– A zatem miałem słuszność – powiedziałem.

– Trzydzieści dwa namioty – dodał znowu Fred. Winnetou zwrócił oczy w dół i rzekł potem:

– Naki gutesnontin nagoiya – dwustu wojowników!

– I biali są z nimi – zauważyłem. – Policzmy konie, to będzie najpewniejsze.

Całą kotlinę można było objąć okiem, przeto bez trudności naliczyliśmy dwieście pięć koni. Jak na wyprawę myśliwską, Indianie przygotowali za małą ilość mięsa, a kotlina ta nie nadawała się przecież do łowów na bawoły. Musieli zatem wybierać się na jakąś wyprawę, wojenną, dowodziły tego także tarcze, które na polowaniu zawadzałyby tylko myśliwym. Największy namiot stał trochę na uboczu, a zdobiące go orle pióra wskazywały na to, że był to namiot wodza.

– Jak myśli mój brat Szarlih, czy te ropuchy Ogellallajowie długo tu jeszcze pozostaną? – spytał Winnetou.

– Nie.

– Skąd to przypuszczenie, Charles? – badał ze zdziwieniem Fred. – To trudne i zbyt ważne dla nas pytanie, żeby na nie od razu odpowiedzieć.

– Przypatrzcie się szkieletom bawołów, Fredzie! One dokładnie wyjaśnią wam wszystko.

– Ach! Jak to?

– Kości są już białe, bawoły leżą więc już ze cztery do pięciu dni na słońcu. Z tego można wnosić, że mięso jest już dość suche. Czy nie wydaje wam się, że to rozumowanie jest słuszne?

– Owszem, przyznaję wam zupełną słuszność!

– W takim razie możemy wnosić, że Indianie nie mają zamiaru zostawać tu na kilka partyjek szachów lub warcabów, lecz wkrótce wyruszą.

– Robicie się uszczypliwym, sir. Chciałem tylko usłyszeć wasze zdanie. Patrzcie, jeden z nich wychodzi z namiotu. Kto to może być?

Apacz sięgnął do kieszeni i wydobył lunetę. Na widok tego osobliwego przyrządu w ręku Indianina Fred Walker zdumiał się niemało. Sprawa była prosta: Winnetou przebywał ongiś w miastach wschodnich i kupił sobie tam lunetę. Teraz rozciągnął ją i przyłożył do oka, by spojrzeć na Indianina, o którym mówił Fred. Gdy się mu już przypatrzył, oddał mi lunetę, a po twarzy przeleciała mu błyskawica gniewu.

– To Koi-tse, kłamca i zdrajca! – mruknął. – Winnetou ugodzi go tomahawkiem w czaszkę!

Spojrzałem z wielkim zaciekawieniem na Ogellallaja. Koi-tse znaczy „Ogniste Usta". Właściciel tego nazwiska był dobrym mówcą, bardzo zuchwałym wojownikiem i nieubłaganym wrogiem białych, znanym na sawannach i w górach. W razie zetknięcia się z nim, należało mieć się na baczności.

Podałem lunetę Walkerowi i rzekłem:

– Musimy się ukryć. Widać daleko więcej koni niż ludzi, a chociaż wielu z nich może leżeć w namiotach, to jednak nie jest wykluczone, że niektórzy włóczą się jeszcze po okolicy.

– Niech moi bracia zaczekają! –zauważył Apacz. – Winnetou wyszuka miejsce, gdzie będzie się mógł skryć wraz z przyjaciółmi.

Zniknął między drzewami i wrócił dopiero po dłuższym czasie. Potem sprowadził nas wzdłuż grzbietu górskiego na miejsce tak gęsto podszyte, że ledwo zdołaliśmy się doń przecisnąć. W tym gąszczu było jednak dość miejsca dla nas i dla naszych koni, które przywiązaliśmy do drzew zamiast je pętać. Tymczasem Winnetou poszedł, by pozacierać nasze ślady.

Tu leżeliśmy aż do zmierzchu, w głębokiej, wonnej trawie, gotowi zerwać się za najlżejszym szmerem i pozatykać koniom nozdrza, by nie zdradziło nas ich parskanie. Kiedy się już zupełnie ściemniło, Winnetou poczołgał się ku obozowi Ogellallajów i przyniósł niebawem wieść, że na dole zapalono kilka ognisk.

– Ci ludzie czują się całkiem bezpieczni – rzekł Fred. – Ale gdyby wiedzieli, że jesteśmy tak blisko...

– Niewątpliwie domyślają się, że się ich ściga – odpowiedziałem. – Jeśli więc dziś jeszcze nie zachowują większej ostrożności, czynią to jedynie w przekonaniu, że ludzie ze stacji nie mogli tu jeszcze zdążyć. Z tego wnioskuję, że wyruszą stąd dopiero jutro. Warto by się czegoś dowiedzieć o ich zamiarze.

– Winnetou podejmie się tego zadania – rzekł Apacz.

– Ja także – dodałem. – A Fred niech zostanie przy koniach. Pójdźmy bez strzelb, gdyż zawadzałyby nam. Nóż i tomahawk wystarczą, a w ostateczności użyjemy rewolwerów.

Nasz gruby przyjaciel zgodził się natychmiast. Odwagi pewnie mu nie brakło, lecz nie lubił bez konieczności wystawiać swego życia na szwank, a zejście w kotlinę było połączone z wielkim niebezpieczeństwem, bo ten, kogo by odkryli i pochwycili Ogellallajowie, nie uszedłby z życiem.

Było to na kilka dni przed nowiem. Na zachmurzonym niebie nie widać było ani jednej gwiazdy; noc więc nadawała się do naszego przedsięwzięcia. Wygramoliliśmy się dość prędko z gęstwiny aż na to miejsce, w którym zatrzymaliśmy się po południu.

– Winnetou pójdzie na prawo, a mój brat Szarlih na lewo – szepnął Apacz i w następnej chwili zniknął bez szmeru w leśnych ciemnościach.

Usłuchałem przyjaciela i poczołgałem się lewą stroną zbocza. Przemykając się niedosłyszalnie pomiędzy krzakami i drzewami, dostałem się na dno kotliny i ujrzałem przed sobą ogniska obozowe. Tu wziąłem nóż w zęby, położyłem się na ziemi i popełzłem zwolna ku namiotowi wodza, który stał w odległości kilkuset kroków ode mnie. Płonęło tam wprawdzie ognisko, ale namiot rzucał cień w moją stronę.

Cal za calem posuwałem się naprzód. Wiatr wiał ku mnie, więc nie obawiałem się koni, które zwykle zdradzają głośnym chrapaniem zbliżanie się obcego. Pod tym względem Winnetou był narażony na większe trudności niż ja.

Upłynęło przeszło pół godziny, zanim przebyłem tych dwieście kroków. Wreszcie znalazłem się tuż za namiotem wodza, a siedzących przy ogniu ludzi dzieliła ode mnie przestrzeń co najwyżej ośmiu .łokci. Rozmawiali bardzo żywo po angielsku. Gdy zdziwiony tym ośmieliłem się wychylić nieco głowę, żeby ich ujrzeć, zobaczyłem pięciu białych i trzech Indian.

Czerwonoskórzy zachowywali się spokojnie. Przy ognisku obozowym tylko biały staje się głośny, ostrożny zaś Indianin woli rozmawiać znakami. Ogień palii się także jasno, nie na sposób indiański.

Jednym z białych był wysoki, brodaty mężczyzna z blizną na czole, pochodzącą niewątpliwie od noża. Widoczne było, że on kierował wszystkim, a stosunek reszty do niego wskazywał, że jest to człowiek szanowany. Leżałem tak blisko nich, że mogłem dosłyszeć każde słowo.

– A jak daleko stąd do Echo Canyon? – zapytał jeden z nich.

– Około stu mil – odrzekł drugi. – Można się tam łatwo dostać w trzy dni.

– A co będzie, jeśli nasz plan okaże się mylny, jeśli nas wcale nie ścigano i załoga obozu jest w komplecie?

Wysoki drab roześmiał się pogardliwie i odrzekł:

– Głupstwa gadasz. Na pewno nas ścigają. Przecież zostawiliśmy im wyraźny trop. W pociągu zginęło około trzydziestu ludzi, po których odziedziczyliśmy niezły spadek. Tego nie mogą nam puścić płazem i przynajmniej spróbują nas ścigać.

– Jeśli tak, to sztuczka musi się udać – zauważył tamten. – Ile ludzi jest w Echo Canyon, Rollins?

– Około stu pięćdziesięciu – odpowiedział wezwany. – Oprócz tego jest tam kilka dobrze wyposażonych sklepów i kilka barów, no i kasa zarządu budowy kolei. Słyszałem, że z tej kasy płaci się wszystkie wydatki na przestrzeni od Green River do Promontory. Ta przestrzeń wynosi dwieście trzydzieści mil, można się więc spodziewać, że wpadnie nam w ręce sporo tysięcy.

– Dobra nasza! Oby się to spełniło! Czy sądzisz, że pogoń nie puści się za nami, gdy zobaczy, żeśmy z tego miejsca zawrócili?

– O to się nie troszczmy! Liczę, że będą tu jutro po południu. My zaś wyruszymy o świcie, skierujemy się najpierw trochę na północ, a potem rozdzielimy się na wszystkie strony w tylu oddziałach, że nasi prześladowcy nie będą wiedzieli, którym tropem się udać. Później każdy oddział zatrze dokładnie swe ślady, a połączymy się znów dopiero na dole nad Green Fork, Na razie trzeba unikać wszelkich otwartych miejsc, a od dziś za cztery dni będziemy w Echo Canyon.

– Czy wyślemy naprzód zwiadowców?

– Oczywiście! Pójdą jutro rano wprost do Echo Canyon i będą nas oczekiwali pod Painterhill. Wszystko przewidziałem. Nawet gdyby robotnicy Echo Canyon znajdowali się w pełnym składzie, to i tak nie potrzebujemy się niczego obawiać. Mamy nad nimi przewagę i zanim zdążą pochwycić za broń, większa ich część zginie.

Istotnie, lepszej chwili do podsłuchania nie mogłem sobie znaleźć. Usłyszałem daleko więcej, aniżeli się spodziewałem. Nie ulegało wątpliwości, że już nic ciekawego się nie dowiem, natomiast najdrobniejsza okoliczność mogła zdradzić moją obecność. Uwzględniwszy jedno i drugie, cofnąłem się powoli od namiotu.

Posuwałem się wstecz w pochylonej postawie, gdyż równocześnie musiałem zacierać swoje ślady, aby ich jutro nie dostrzeżono. Była to praca trudna i pochłaniająca dużo czasu, gdyż zdany tylko na wyczucie, musiałem dotykać każdego źdźbła trawy. Trwało też z godzinę, zanim wydostałem się na skraj lasu, gdzie mi już nie groziło niebezpieczeństwo.

Tu przyłożyłem ręce do ust – na kształt muszli – i zaskrzeczałem, naśladując glos dużej, zielonej ropuchy. Był to umówiony z Winnetou znak do odwrotu. Byłem pewien, że go dosłyszy i że go posłucha. Nie bałem się również tego, że Indianie powezmą jakieś podejrzenie, gdyż w wysokiej, wilgotnej trawie mogła się znajdować ropucha. Oprócz tego był to wieczór, a wiadomo, że żaby najchętniej odzywają się wieczorem.

Uważałem za stosowne dać ten znak, gdyż Apacz leżał pod wiatr, wskutek czego łatwo mogli go czerwonoskórzy odkryć. Zresztą to, czego się dowiedziałem, wystarczało zupełnie, należało więc zawiadomić Winnetou, że cel został osiągnięty.

Wspinając się pod górę, musiałem w dalszym ciągu zacierać swoje ślady. Toteż odetchnąłem z ulgą, gdy dotarłem wreszcie do gęstwiny.

– No, jakże się wam powiodło? – zapytał Fred.

– Zaczekajcie, dopóki Winnetou nie nadejdzie.

– Dlaczego? Palę się z ciekawości!

– To się palcie! Nikt nie mówi chętnie dwa razy tego samego, a ja musiałbym powtarzać moje sprawozdanie Apaczowi.

Mój gruby towarzysz musiał się tym zadowolić, chociaż minęło sporo czasu, zanim wrócił Winnetou.

Usiadłszy przy mnie, zapytał:

– Mój brat Szarlih dał mi znak?

– Dałem.

– Mój brat miał szczęście?

– Rzeczywiście, Jaką wiadomość przynosi wódz Apaczów?

– Winnetou niestety niczego się nie dowiedział! Zużył dużo czasu na przejście obok koni, a gdy dostał się do pierwszego ogniska, usłyszał wołanie ropuchy. Potem musiał zacierać ślady, a tymczasem, zanim mógł wrócić, gwiazdy posunęły się wyżej. Co mój brat widział?

– Wszystko, czego nam do naszych celów potrzeba.

– Mój biały brat zawsze ma szczęście, gdy podsłuchuje nieprzyjaciela. Niechaj o tym opowie!

Zdałem sprawę z mojej wycieczki, a gdy skończyłem, Fred zauważył:

– Słusznie więc przypuszczaliście i dobrze odgadliście ich zamiary co do napadu na Canyon.

– To nie było trudne!

– A jak ten wysoki drab wygląda? Czy ma bliznę na czole?

– Tak.

– I dużą brodę?

– Tak.

– To on, chociaż dawniej nie nosił brody. To cięcie otrzymał podczas napadu na pewną farmę obok Leawenworth. A jak go zwano?

– Rollins.

– Trzeba to sobie zapamiętać. To już czwarte fałszywe nazwisko, jakie słyszę. Ale, co robić, sir? Dziś go nie dostaniemy!

– To niemożliwe. Zresztą nie powinno wam zależeć na ukaraniu tylko jego. Tamci railtroublerzy nie są od niego lepsi. Powiem wam, Fredzie, że w czasie wszystkich moich wypraw starałem się nie zabijać ludzi, gdyż krew ludzka jest płynem bardzo cennym. Niejednokrotnie wolałem ponieść szkodę niż uciekać się do zabójstwa., a ilekroć posługiwałem się tym środkiem obrony, to zawsze tylko w ostatecznej potrzebie. W niejednym wypadku wolałem uczynić wroga niezdolnym do walki aniżeli odbierać mu życie.

– Ach – rzekł grubas – to jesteście zupełnie podobni pod tym względem do Old Shatterhanda. Opowiadają, że on także zabija Indianina tylko w razie konieczności. Zwierzynę trafia celnie, ale gdy nieprzyjaciel zmusi go do obrony, to roztrzaska mu najwyżej prawą nogę lub prawą rękę albo po prostu palnie go pięścią w głowę, tak że napastnik przewróci się i leży nieprzytomny przez wiele godzin.

– Uff!

Ten przytłumiony okrzyk wydał Winnetou, który teraz dopiero dowiedział się, że Walker nie miał pojęcia o tym, iż to ja właśnie jestem Old Shatterhandem. Ja zaś nie zwróciłem na to uwagi i mówiłem dalej:

– Mimo to ani mi się śni puszczać wolno takiego łotra, a tym mniej całą zgraję! Równałoby się to współwinie w napadzie tej szajki na zacnych ludzi. Dziś nie możemy jeszcze dostać w ręce tego Hallera, choć nie było dla mnie nic łatwiejszego, jak zastrzelić go. Ale nie chcę być skrytobójcą, a wobec tego, co on narobił, taka szybka śmierć byłaby dla niego niemal nagrodą. Sądzę raczej, że musimy pochwycić także jego wspólników, może się to stać tylko wówczas, gdy pozwolimy im spokojnie udać się do Echo Canyon.

– A my?

– Nie rozumiem, o co ty pytasz? Wyprzedzimy ich i ostrzeżemy ludzi, których chcą napaść.

– Well! Ta myśl mi się podoba. Może zdołamy pochwycić żywcem całą tę bandę. Ale czy nie za wielu ich na nasze możliwości?

– Bez obawy wyruszyliśmy w pogoń za nimi we trzech, a więc tym bardziej nie potrzebujemy się bać teraz, gdy w Echo Canyon znajdziemy sprzymierzeńców.

– Niewielu ich tam zastaniemy. Większość wyruszyła przecież w pościg.

– Postaramy się o to, żeby ich zawiadomić o sytuacji, a wtedy powrócą czym prędzej.

– W jaki sposób?

– Napiszę kartkę i przyczepię ją do drzewa, obok którego prowadzi trop.

– A czy temu uwierzą? Przecież mógłby to być podstęp railtroublerów, aby ich odwieść od pościgu.

– Słyszeli niewątpliwie od naszego personelu kolejowego, że dwaj podróżni wysiedli. Znaleźli też zapewne nasze ślady. Zresztą napiszę ostrzeżenie, tak że będą musieli uwierzyć. Nadto poproszę ich, żeby ominęli Green Fork i Painterhill, ponieważ w Green Fork mają się spotkać Siuksowie, a w Painterhill – zwiadowcy, którzy także nie powinni zauważyć powracających kolejarzy. Dodam także wskazówkę, że powrót do Canyon musi nastąpić od strony południowej.

– Uff! – rzekł Winnetou. – Niechaj moi biali bracia wyruszają już w drogę!

– Zaraz? – spytał Walker.

– Gdy słońce wzejdzie, musi nas zobaczyć daleko stąd.

– A jeśli jutro rano odkryją nasze ślady?

– Te psy Ogellallajowie skierują się od razu na północ, więc żaden z nich nie wejdzie na wzgórze. Howgh!

Apacz powstał i podszedł do swego konia, by go odwiązać. Zrobiliśmy to samo i wkrótce, wyprowadziwszy konie z gęstwiny, ruszyliśmy z powrotem tą samą drogą, która nas tu przywiodła. O spoczynku oczywiście nie było mowy.

Ciągle jeszcze panowała nieprzebyta ciemność. O takiej porze tylko doświadczony westman odważy się wyruszyć konno przez puszczę, i to za nieuchwytnym tropem. Europejski jeździec zsiadłby w takiej ciemności z konia i prowadziłby .go za sobą. Mieszkaniec Zachodu wie jednak, że koń lepiej widzi od człowieka. Tutaj Winnetou pokazał, co umie. Prowadził nasz pochód przez potoki i skały i ani przez chwilę nie miał wątpliwości co do kierunku. Mój szpak trzymał się znakomicie, a stary Victory zachrapał czasem gniewnie, lecz nie pozostawał nigdy w tyle.

Kiedy zaczęło szarzeć, znajdowaliśmy się już o dziewięć mil angielskich na południe od obozu Ogellallajów. Tu zatrzymaliśmy się na chwilę. Wyrwałem kartkę z notesu, napisałem na niej wskazówki dla ludzi z Echo Canyon i przybiłem zaostrzonym kołkiem do kory drzewa, tak że musiała wpaść w oko każdemu nadchodzącemu z południa. Potem zwróciliśmy się bardziej ku południowemu zachodowi.

W południe przeprawiliśmy się przez Green Fork, oczywiście z dala od punktu, w którym miały się spotkać oddziały Ogellallajów. Indianie musieli unikać wszelkich otwartych miejsc i jechać puszczą, my zaś mogliśmy trzymać się najkrótszej drogi. Nie daliśmy też koniom spocząć, zanim słońce nie zaczęło chylić się ku zachodowi.

Od rana przebyliśmy pewnie ze czterdzieści mil angielskich, dziwne więc było, że stary Victory nie okazywał zmęczenia. Droga nasza prowadziła teraz pomiędzy dwoma wąsko schodzącymi się wzgórzami. Tutaj właśnie chcieliśmy poszukać sobie miejsca na nocleg, gdy wtem rozstąpiły się przed nami wzgórza, odsłaniając większą kotlinę, w której środku lśnił staw. Staw ten zasilała woda z rzeczki płynącej ze wschodu. Na ten widok zatrzymaliśmy

konie. Ale nie tylko sama kotlina sprawiła nam niespodziankę. Otóż przeciwległe wzgórze było wykarczowane i pokryte uprawnymi polami, na dole pasły się konie, krowy, owce i kozy, u stóp wzgórza stało kilka chat z okrąglaków z przybudówkami, podobnych do europejskich zagród chłopskich.

Obok chat zauważyliśmy kilka osób, one jednak nie spostrzegły nas widocznie. Wszyscy patrzyli ku zachodowi. Kula słoneczna opadała coraz niżej, a gdy zdawała się dosięgać powierzchni rzeczki zabarwionej najwspanialszymi kolorami, zabrzmiał z góry srebrny głos dzwonka.

– Ti ti – co to? – zapytał Apacz.

– Osada oczywiście – odpowiedział bardzo mądrze Walker.

– Uff! Winnetou widzi osadę, ale co to za dźwięk?

– To dzwonek na Anioł Pański. Dzwoni teraz Ave Maria!

– Uff! – rzekł Apacz zdumiony. – Co to jest Anioł Pański i co to jest Ave Maria?

– To właśnie – odrzekłem, gdyż ucichł dzwonek i zabrzmiał czterogłosowy śpiew pieśni. Kiedy przebrzmiały ostatnie tony pieśni, zerwałem z pleców rusznicę, wypaliłem w powietrze szybko z jednej i drugiej lufy i ścisnąłem mojego szpaka ostrogami. Przegalopowałem przez dolinę, wparłem konia w rzeczkę, wyskoczyłem na drugi brzeg i popędziłem ku chatom, nie oglądając się poza siebie, czy towarzysze podążają za mną.

Oba wystrzały zbudziły w dolinie nie tylko echo, lecz także życie. W drzwiach chat ukazali się wystraszeni ludzie, nie wiedząc, co ta strzelanina miała oznaczać. Ujrzawszy wszakże białego w dość cywilizowanym odzieniu, uspokoili się i wyszli naprzeciwko mnie pełni oczekiwania.

Przed drzwiami najbliższej chaty stała jakaś schludnie odziana staruszka. Cały jej wygląd dowodził, że spędziła życie na skrzętnej pracy. Na twarzy obramowanej białymi jak śnieg włosami widniał wyraz spokoju.

– Dobry wieczór, babuniu! Proszę się nie lękać, jesteśmy ludzie uczciwi! Czy wolno nam tu zsiąść z koni?

Skinęła głową z uśmiechem i odrzekła:

– Prosimy, sir! Zsiadajcie w imię Boże! Człowiek uczciwy zawsze jest u nas mile widziany. Oto mój stary Hillman i syn Willy; oni wam pomogą.

Strzały moje zwróciły uwagę gromadki osiedleńców, którzy z rześkim starcem i wspaniałym młodzieńcem na czele schodzili właśnie ze wzgórza ku chatom. Oprócz tych dwóch było jeszcze między nimi sześciu starszych i młodszych mężczyzn i chłopców. Wszyscy mieli na sobie mocny i trwały strój, używany na Dzikim Zachodzie. Wkrótce podeszli do nas także i inni, których widziałem przed domami. Stary z dobroduszną twarzą wyciągnął do mnie rękę i pozdrowił:

– Witam, sir, w osadzie Helldorf! Co za radość zobaczyć tu ludzi! Witam jeszcze raz!

Zeskoczyłem z konia i oddałem mu pozdrowienie:

– Dziękuję wam, sir! Nie ma piękniejszego widoku w życiu nad uprzejme ludzkie oblicze. Czy znalazłoby się u was miejsce na nocleg dla trzech znużonych jeźdźców?

– Zawsze mamy miejsce dla ludzi, którzy są naszymi miłymi gośćmi.

Tymczasem dojechali także Winnetou i Walker. Na widok czerwonoskórego ludzie się cokolwiek zaniepokoili, lecz wnet rozproszyłem ich obawy.

– To mój przyjaciel z sawannów, myśliwiec Walker, a to Winnetou, słynny wódz Apaczów, którego nie potrzebujecie się obawiać.

– Winnetou? Czy to być może? – pytał stary Hillman, – Słyszałem o nim sto razy, i to same dobre rzeczy. Cóż za niespodzianka! To zaszczyt dla nas, panie, bo tego męża czczą i szanują bardziej niż niejednego księcia w Starym Kraju.

Zdjął czapkę z osiwiałej głowy, podał rękę Apaczowi i rzekł po angielsku:

– Jestem waszym sługą, sir!

Przyznaję, że ten uniżony zwrot wobec Indianina pobudził mnie do uśmiechu, ale powiedziany był szczerze. Winnetou rozumiał i mówił po angielsku bardzo dobrze, skinął więc uprzejmie głową, uścisnął dłoń starego i odpowiedział:

– Winnetou jest waszym przyjacielem. On miłuje białych, jeśli są dobrzy.

Teraz rozpoczęło się coś w rodzaju przyjaznej sprzeczki o to, kto ma przyjąć gości. Dopiero Hiliman położył jej kres tym oto wyrokiem:

– Zsiedli przed moim domem, wszyscy trzej zatem należą do mnie. Abyście jednak nie uważali siebie za pokrzywdzonych, to proszę was wszystkich na dzisiejszy wieczór do siebie. A teraz dajcie spokój tym panom, bo pewnie są znużeni!

Sąsiedzi Hilimana poddali się temu wyrokowi. Konie nasze zaprowadzono do jednej z szop, my zaś weszliśmy do domu, gdzie przyjęła nas ładna i młoda żona Willy'ego. Otoczono nas wszelkimi wygodami, a podczas małej przekąski przed wieczerzą, która dzisiaj miała być ucztą, dowiedzieliśmy się o stosunkach panujących w małej osadzie.

Wszyscy osadnicy mieszkali przedtem w Chicago, a pochodzili z okolic Bawarii, gdzie było dużo kamieniarzy. Przybywszy do Ameryki, trzymali się wiernie razem i pracowali pilnie, aby zdobyć pieniądze na wybudowanie farmy, co się też wszystkim pięciu rodzinom szczęśliwie udało. Kiedy się zastanawiali nad tym, gdzie założyć nową ojczyznę, wybór okazał się trudny. Pewnego razu pewien stary westman opowiedział im o Tetonach i nagromadzonych tam skarbach. Przysięgał, że w okolicach tych ciągną się całe pola chalcedonów, opali i agatów oraz innych półszlachetnych kamieni. Hiliman był z zawodu kamieniarzem i to opowiadanie go zachwyciło. Jego zapał udzielił się innym, toteż uchwalili przenieść się w te strony. Byli jednak na tyle rozważni, że nie liczyli jedynie na owe bogactwa. Postanowili wybrać w pobliżu gór miejsce odpowiednie na farmę, osiedlić się tam jako skwaterzy[46] i dopiero po zagospodarowaniu farmy wziąć się do poszukiwania drogich kamieni. Hillman i dwaj jeszcze mężczyźni wyruszyli pierwsi, aby zbadać te okolice, i znaleźli wspaniałą kotlinę z jeziorem. To miejsce doskonale nadało się do urzeczywistnienia ich zamiarów, sprowadzono więc resztę wspólników i po trzech latach pracy zacni ci ludzie mogli pędzić spokojne życie.

– A byliście już kiedy w Tetonach? – spytałem.

– Mój Willy i Bili Meinert próbowali dostać się tam ubiegłej jesieni. Ale dotarli tylko do Jeziora Jonna Graya. Dalej było dla nich zbyt górzysto i dziko, toteż zawrócili.

– Ale źle zrobili – zauważyłem. – Widać nie są westmanami.

– A jednak zdaje mi się, panie, że jesteśmy! – bronił się Willy.

– Nie weźcie mi tego za złe, że mimo to pozostanę przy moim mniemaniu. Nawet po trzyletnim użyźnianiu puszczy jest się tylko osadnikiem, ale nie westmanem. Chcieliście dostać się stąd do Tetonów jadąc w prostym kierunku, a westman wie dobrze o tym, że to jest niemożliwe. Tak samo nie będzie to możliwe i za pot tysiąca lat, a tym mniej teraz, kiedy wszystko jest jeszcze tak bardzo dzikie. Jakże chcieliście przebyć gęste puszcze, zamieszkane przez niedźwiedzie i wilki, pokonać przepaście i parowy, gdzie stopa nie ma się o co oprzeć, kaniony, gdzie za każdą skałą może czyhać wróg? Powinniście byli próbować dotrzeć stąd do John Gray's River albo do Salt River, które niedaleko od siebie wpadają do Snake River. Potem dopiero należało ruszyć w górę, wzdłuż tej ostatniej rzeki. Po lewej ręce mielibyście Snake River Mountains, następnie Tetońską Przełęcz, a za nią całe pasmo Tetonów, długości pięćdziesięciu mil angielskich. Ale we dwóch nie podobna odbyć tak trudnej i niebezpiecznej podróży. Czy znaleźliście jakieś szlachetne kamienie?

– Kilka agatów; nic więcej.

---

[46] s k w a t e r (ang. *squater]* – osadnik zajmujący nie obrobioną działkę ziemi w okresie kolonizacji w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Australii i Nowej Zelandii

– Przynieście je tu! Winnetou zna każdy kąt Gór Skalistych. Poproszę go, by oznaczył, skąd mogą pochodzić te kamienie.

Wiedziałem, że Indianin niechętnie mówi o złocie i innych skarbach Zachodu, dlatego też zapytałem go o to w języku Apaczów. Byłem jednak pewien, że nie da na to odpowiedzi.

– Czy mój brat Szarlih chce szukać złota i kamieni? – powiedział poważnie.

Gdy mu wyjaśniłem całą sprawę, patrzył długo przed siebie, potem spojrzał swymi ciemnymi oczyma na obecnych i w końcu spytał:

– Czy ci ludzie spełnią jedno życzenie Apacza?

– Jakie?

– Jeśli mi jeszcze raz zaśpiewają to, co Winnetou słyszał przed zejściem do doliny, to powie im, gdzie leżą takie kamienie.

Było to dla mnie ogromną niespodzianką. Czyżby piękno pieśni tak potężnie podziałało na Indianina, że w zamian za śpiew zgodził się zdradzić górskie tajemnice?

– Zaśpiewają! – odpowiedziałem.

– W takim razie niech szukają w Górach Ventre. Tam jest mnóstwo ziaren złotych, a w dolinie rzeki Beaverdam, wpadającej do południowego krańca jeziora Yellowstone, dużo takich kamieni, o jakie chodzi tym mężom.

Kiedy powtarzałem osadnikom te informacje i objaśniałem położenie wymienionych miejsc, stawili się pierwsi sąsiedzi, wobec czego musieliśmy przerwać rozmowę.

Zwolna zapełniło się mieszkanie i nastąpił wieczór tak uroczysty, jakiego na Zachodzie dotąd nie zaznałem. Mężczyźni pamiętali jeszcze wszystkie pieśni, które ongiś śpiewali w ojczyźnie i w Chicago. Nawet stary Hillman basował całkiem znośnie, toteż przerwy w rozmowie wypełniły pieśni ludowe.

Indianin przysłuchiwał się w milczeniu, a potem spytał:

– Kiedy ci ludzie dotrzymają słowa?

Przypomniałem Hillmanowi przyrzeczenie dane Winnetou, a wtedy zebrani rozpoczęli pieśń Ave Maria. Ale już po kilku słowach wyciągnął Apacz przecząco rękę i zawołał:

– W domu to nie brzmi dobrze. Winnetou chce to słyszeć na górze.

– On ma słuszność – rzekł Bili Meinert. – Tę pieśń trzeba śpiewać na dworze. Chodźmy!

Śpiewacy podeszli nieco w górę, a my zostaliśmy na dole. Winnetou stał z początku obok mnie, lecz wkrótce zniknął. Z góry, w ciemności rozległy się piękne, lekko płynące tony pieśni.

W milczeniu wsłuchiwaliśmy się w melodyjne dźwięki. Ciemność zakryła śpiewaków i miejsce, na którym stali. Zdawało się, że tony płyną z głębi lasów i gór. Prostota ich i harmonia tak porywały, że serca nasze nie mogły się im oprzeć.

Pieśń już dawno przebrzmiała, a my staliśmy ciągle w tym samym miejscu i dopiero powracający śpiewacy przypomnieli nam, że czas udać się do domu. Winnetou jednak nie było. Minęła godzina i półtorej, a on nie nadchodził. Zewsząd otaczała nas puszcza. W obawie, czy mu się nie zdarzyło coś złego, zarzuciłem strzelbę na plecy i wyszedłem. Przedtem jednak poprosiłem, żeby nikt za mną .nie szedł, chyba gdyby usłyszano wystrzał. Domyślałem się, co zatrzymało Apacza w samotności.

Idąc w kierunku, w którym zniknął, zbliżyłem się do jeziora. Nad ciemną wodą wystawała nieco wzniesiona płyta skalna, a na niej siedział Winnetou, bez ruchu, jak posąg. Podszedłem ku niemu bezszelestnie i usiadłem obok, nie przerywając uroczystego milczenia.

Minął długi, długi czas, a on się nie poruszał. Wreszcie podniósł powoli rękę, wskazał na wodę i rzekł jakby pod wpływem głębokiej, wypełniającej go całkowicie myśli:

– Ti pa-apu shi itchi – to jezioro jest jak moje serce.

Nie odpowiedziałem nic, on zaś pogrążył się z powrotem w milczeniu i odezwał się dopiero po długiej chwili:

– Ntch-nha Manitou nsho; shi aguan t'enese – Wielki Manitou jest dobry i ja go miłuję!

Wiedziałem, że gdybym coś odpowiedział, przeszkodziłbym mu tylko. Milczałem więc dalej, on zaś znowu przemówił:

– Czemu wszyscy biali mężowie nie są tacy jak mój brat Szarlih? Gdyby byli tacy jak on, Winnetou uwierzyłby ich kapłanom!

– Czemu wszyscy czerwoni mężowie nie są tacy jak mój brat Winnetou? – odrzekłem. – Są dobrzy i źli wśród czerwonoskórych i białych. Ziemia ma przeszło tysiąc dni drogi długości i tyleż szerokości. Mój przyjaciel zna tylko małą jej część. Wszędzie panują biali, ale tu, gdzie żyje mój brat, w dzikich sawannach kryją się złe blade twarze, które musiały uciekać przed prawem dobrych. Dlatego Winnetou sądzi, że tylu jest złych między białymi. Mój brat chodzi samotnie po górach, poluje na bizona i zabija swoich wrogów. Z czego mój brat może się cieszyć? Czy za każdym krzakiem i drzewem śmierć na niego nie czyha? Czyż całe jego życie nie było pracą, troską, czujnością i złudzeniem? Czy znajduje on spokój, pociechę i orzeźwienie dla swej duszy znużonej pośród skalpów w wigwamach albo w zdradzieckim obozie na dzikiej prerii?

Apacz schylił głowę i odezwał się dopiero po chwili:

– Mój brat Szarlih powiedział słusznie. A Winnetou nie miłował nikogo prócz niego; Winnetou ufał tylko swemu przyjacielowi, który jest bladą twarzą i chrześcijaninem. Mój brat zna wszystkie kraje ziemi i ich mieszkańców, zna księgi białych, jest dzielny w walce, mądry przy ognisku rady, a łagodny dla wrogów. Miłuje czerwonych mężów i pragnie dla nich dobra. Wiara czerwonych mężów uczy nienawiści i śmierci, a wiara białych – miłości i życia. Winnetou namyśli się nad tym, co wybrać – śmierć, czy życie? Niech będą dzięki mojemu bratu! Howgh!

Powróciliśmy do chaty, gdzie się już o nas niepokojono. Rozmowa toczyła się o rozbójnikach i o Ogellallajach. Zwróciłem uwagę osadnikom, że powinni swoją osadę, jako wysuniętą naprzód placówkę, umocnić. Uznali to i postanowili wkrótce dotychczasowe niedopatrzenie usunąć. Nie ulegało wątpliwości, że osada ich tylko dzięki swemu ukryciu uszła oczu dzikich, bo gdyby choć jeden z nich znalazł się w pobliżu, byłoby po osadnikach. Tych czternastu mężczyzn zaopatrzyło się wprawdzie w dobrą broń i dostateczną ilość amunicji, a kobiety i dzieci miały dość odwagi i wprawy, aby strzelać skutecznie, ale cóż by to znaczyło wobec hordy dzikich, którzy mogli się tu zjawić całymi setkami? Ja nie budowałbym domów na otwartym, nieobronnym miejscu, lecz tuż nad jeziorem, żeby można było przypuścić atak tylko od strony lądu.

Szlak, który obrali rozbójnicy, przechodził wprawdzie w pewnym oddaleniu stąd, mimo to poradziłem osadnikom, żeby się mieli na baczności i wzmocnili zbyt słabe częstokoły.

Późno już było, kiedy po odejściu gości udaliśmy się na spoczynek. Przespaliśmy się na miękkich posłaniach, których nam gościnnie użyczył Hillman. Nazajutrz rano rozstaliśmy się z zacnymi ludźmi, dziękując im serdecznie za gościnne przyjęcie. Odprowadzili nas jeszcze kawałek i wymusili przyrzeczenie, że kiedyś jeszcze wstąpimy do nich, gdyby nam droga wypadła w pobliżu ich osady.

Przed samym pożegnaniem zeszło się jeszcze raz ośmiu śpiewaków, aby zaśpiewać Apaczowi Ave Maria. Kiedy skończyli, podał on wszystkim rękę i powiedział:

– Winnetou nigdy nie zapomni śpiewu swych białych przyjaciół. Poprzysiągł on nie zabrać już nigdy skalpu białego męża, gdyż biali są synami Wielkiego Manitou, który miłuje także czerwonych mężów!

Konie nasze wypoczęły zupełnie po wczorajszej uciążliwej jeździe, ruszyły więc z kopyta, aż się serce radowało. Mieszkańcy osady Helldorf bywali często w Echo Canyon i opisali nam dokładnie najkrótszą drogę, wiodącą do tej stacji, tak że wobec szybkości naszych koni spodziewaliśmy się dotrzeć tam jeszcze tego samego dnia wieczorem.

Winnetou stał się jeszcze bardziej milczący niż zwykle. Wyjeżdżał co jakiś czas daleko naprzód i wtedy, zdaje się, sądząc, że go nikt nie słyszy, powtarzał sobie, mrucząc z cicha, melodię Ave Maria. Uderzyło mnie to tym bardziej, że Indianie prawie bez wyjątku są niemuzykalni.

Po południu zarysy gór stały się śmielsze, potężniejsze i bardziej strome. Wjechaliśmy w labirynt dziwnie ciasnych i poplątanych parowów, aż w końcu przed wieczorem ujrzeliśmy z wierzchołka stromej wyżyny cel naszej drogi – Echo Canyon z torem kolejowym i pogrążonym w błogim spokoju obozem robotniczym, który postanowiliśmy ocalić.

ROZDZIAŁ VII

U STÓP GÓRY HANCOCK

Wyrazem “canyon” oznacza Amerykanin głęboki, skalisty parów. Nazwa więc Echo Canyon daje od razu obraz miejscowości, do którejśmy teraz dotarli. Kolej prowadziła tamtędy już dawno, ale tor był tylko tymczasowy. Budowa nastręczała tyle trudności, że do pokonania ich potrzeba było wielu robotników.

Małym, bocznym wąwozem zjechaliśmy na dół i tam zaraz spotkaliśmy zajętych rozsadzaniem skały robotników, którzy obrzucili nas pełnym zdziwienia spojrzeniem. Widok dwóch obcych białych i Indianina, uzbrojonych od stóp do głów, tak ich zaniepokoił, że odłożyli narzędzia i chwycili za broń.

Dałem ręką znak, by się nie bali, i podjechałem ku nim galopem.

– Dzień dobry! – pozdrowiłem ich. – Odłóżcie strzelby! Jesteśmy waszymi przyjaciółmi.

– Ale coście za jedni? – spytał jeden z nich.

– Jesteśmy myśliwymi i przybywamy do was z bardzo ważną wieścią. Kto dowodzi w Echo Canyon?

– Właściwie inżynier pułkownik Rudge. Nie ma go jednak teraz, więc musicie się zwrócić do płatniczego mr. Ohlersa.

– Gdzie jest pułkownik Rudge?

– Wyruszył w pogoń za bandą railtroublerów, która zniszczyła pociąg.

– A więc tak! Gdzie jest mr. Ohlers?

– W obozie, w największej chacie.

Pojechaliśmy w oznaczonym kierunku, śledzeni ciekawym wzrokiem robotników. Już po pięciu minutach byliśmy na miejscu. Obóz składał się z domów rozmaitej wielkości oraz dwóch podłużnych murowańców zbudowanych z nie ociosanych kamieni. Dookoła ciągnął się mur z takich samych głazów, dość mocny i wysoki na pięć stóp. Potężna brama była otwarta.

Ponieważ nie zauważyłem żadnej chaty, przeto zapytałem zajętego poprawianiem muru robotnika o płatniczego. Robotnik wskazał mi duży, kamienny dom. W obozie zastaliśmy niewielu ludzi. Ci, których spotkaliśmy, zdejmowali właśnie szyny z wozu.

Zsiadłszy z koni weszliśmy do budynku, którego wnętrze składało się z jednej tylko izby. Leżało tam mnóstwo pak, beczek i worów, co dowodziło, że był to skład żywności. Na jednej ze skrzyń siedział jakiś mały, chudy człowieczek, który podniósł się na nasz widok.

– Czego tu chcecie? – zapytał cienkim głosem, po czym odskoczył ujrzawszy Winnetou. – Indianin! Wszelki duch Pana Boga chwali!

– Nie bójcie się, sir! – rzekłem. – Szukamy płatniczego mr. Ohlersa.

– To ja nim jestem – odparł patrząc trwożliwie spoza stalowych okularów.

– Właściwie chcieliśmy się widzieć z pułkownikiem Rudge, ale ponieważ go nie ma, a wy go zastępujecie, to pozwolicie, że wam wyłożę następującą sprawę.

– Słucham! – rzekł z tęsknym spojrzeniem skierowanym ku drzwiom.

– Czy pułkownik puścił się w pogoń za zgrają railtroublerów?

– Tak.

– Ile ludzi wziął z sobą?

– Czy musicie to wiedzieć?

– Konieczne to nie jest. Ale ile ludzi macie jeszcze tutaj?

– Czy i to musicie wiedzieć?

Podczas tego pytania przysunął się bliżej do drzwi.

– Właściwie teraz jeszcze nie potrzebuję tej informacji – odpowiedziałem. – Kiedy pułkownik wyruszył?

– Czy to także musicie wiedzieć? – pytał coraz trwożliwiej.

– Zaraz wam objaśnię dlaczego...

Zatrzymałem się przy ostatnim słowie, gdyż nie miałem już do kogo mówić. Mały master Ohlers, wysoce przerażony, przebiegł obok nas w kilku niezwykłych skokach, wyleciał za drzwi i zatrzasnął je za sobą. Zgrzytnęły żelazne sztaby, szczęknęła zasuwa w potężnym zamku, jednym słowem – zostaliśmy pojmani.

Obejrzałem się i popatrzyłem na obu towarzyszy. Poważny zawsze Winnetou ukazał wszystkie swoje, białe jak kość słoniowa, zęby, gruby Fred zrobił minę, jak gdyby połknął cukier z ałunem, a ja roześmiałem się głośno i serdecznie z powodu tej niespodzianki.

– A więc jesteśmy w więzieniu, choć nie w oddzielnych celach! – zawołał Walker. – Ten człowiek uważa nas za opryszków!

Na dworze zabrzmiał głos świstawki sygnałowej, a kiedy podszedłem do okna podobnego do strzelnicy, ujrzałem wpadających przez bramę robotników. Bramę tę natychmiast za nimi zamknięto. Naliczyłem szesnastu ludzi, którzy stali przez chwilę z płatniczym i przyjmowali jakieś rozkazy, po czym rozbiegli się do domów, prawdopodobnie po strzelby,

– Wkrótce zacznie się egzekucja – oznajmiłem towarzyszom. – Co będziemy robili do tego czasu?

– Zapalimy cygaro – rzekł Fred.

Sięgnął do otwartego pudełka z cygarami, leżącego na jednym z tobołów, wyjął jedno cygaro i zapalił. Ja poszedłem za jego przykładem, tylko Winnetou odmówił sobie tej przyjemności.

Niebawem otworzono ostrożnie drzwi, a cienki głos płatniczego ostrzegł nas z daleka:

– Nie strzelajcie, draby, bo was zastrzelimy!

Potem wszedł na czele swoich ludzi, którzy ze strzelbami, gotowymi do strzału, zatrzymali się w drzwiach, on sam zaś stanął za potężną beczką i spoza tej warowni pokazał nam groźnie swoją długą flintę.

– Coście za jedni? – spytał głosem człowieka pewnego siebie, myśląc zapewne, że pod osłoną swoich ludzi i beczki jest nienaruszalny.

– Co za głupota! – roześmiał się Walker. – Przedtem nazwaliście nas drabami, a teraz pytacie, kim jesteśmy. Wyleźcie zza tej beczki, to z wami pomówimy!

– Ani mi się śni! Ale coście za jedni?

– Myśliwi z prerii.

Ponieważ Walker widocznie postanowił odpowiadać w naszym imieniu, przeto ja zachowywałem milczenie. Płatniczy pytał dalej:

– Jak się nazywacie?

– To nie należy do rzeczy!

– Nie chcecie mówić! Już ja wam rozwiążę języki! Możecie być tego pewni! Czego chcecie w Echo Canyon?

– Ostrzec was.

– Ostrzec? Ach! Przed kim?

– Przed Indianami i railtroublerami, którzy postanowili napaść na Echo Canyon.

– Pshaw! Nie bądźcie śmieszni! Wy sami należycie do zbójów kolejowych i chcecie nas podejść. Ale źle się z tym wybraliście!

Zwróciwszy się zaś do swoich ludzi, dodał:

– Pochwyćcie ich i zwiążcie!

– Zaczekajcie jeszcze chwilkę! – rzekł Fred. Równocześnie sięgnął do kieszeni. Domyślając się, że wyjmie swoją legitymację, zauważyłem:

– To niepotrzebne, Fredzie! Zobaczymy, czy siedemnastu kolejarzy ośmieli się zrobić cokolwiek trzem westmanom. Kto tylko odważy się tknąć nas palcem, będzie trupem!

Zrobiłem najgroźniejszą minę, na jaką mnie było stać, zarzuciłem strzelbę na plecy, wziąłem do każdej ręki po jednym rewolwerze i ruszyłem ku wyjściu, a Winnetou i Walker za mną. W chwilę po tej demonstracji waleczny płatniczy zniknął. Schował się za beczkę tak głęboko, że tylko koniec jego strzelby wskazywał, gdzie w razie potrzeby należy szukać mr. Ohlersa.

Na kolejarzy widocznie podziałał przykład dowódcy, bo utworzyli szpaler i pozwolili nam przejść bez przeszkód.

Tacy to byli ludzie, którzy mieli stawić opór Ogellallajom i rozbójnikom! Widoki zatem na dni najbliższe wcale nie były pocieszające,

Odwróciłem się i oświadczyłem kolejarzom:

– Teraz my moglibyśmy was tu zamknąć, panowie, ale nie uczynimy tego. Wydobądźcie zza beczki swego mr. Ohlersa, ażebyśmy się mogli z nim należycie porozumieć. To jest konieczne, jeżeli nie chcecie, żeby was sprzątnęli Siuksowie!

Z pewnym trudem udało im się wreszcie wydobyć płatniczego na światło dzienne. Opowiedziałem wówczas o wszystkim, co się wydarzyło. Kiedy skończyłem, Ohlers stał się blady, jak kreda, z przerażenia, znieruchomiał dosłownie na głazie, na którym uprzednio usiadł, po czym przemówił niepewnym głosem:

– Sir, teraz wam wierzę, gdyż opowiadano nam, że na miejscu nieszczęścia wysiedli jacyś dwaj ludzie i strzelali do skowronka. A więc ten dżentelmen to master Winnetou? Jestem wielce zaszczycony, sir! – ukłonił się nisko Apaczowi. – A ten drugi master to mr. Walker, którego nazywają grubym Walkerem? Jestem również wielce zaszczycony, sir! A teraz chciałbym także poznać wasze nazwisko!

Podałem mu oczywiście swoje nazwisko rodowe, a nie preriowe.

– Wielce zaszczycony, sir! – rzekł także z ukłonem. – Sądzicie zatem, że pułkownik zobaczy kartkę i czym prędzej powróci?

– Przypuszczam.

– Bardzo by mnie to ucieszyło, możecie mi wierzyć!

Wierzyłem mu bez zapewnienia i przysięgi.

– Rozporządzam tylko czterdziestoma ludźmi – mówił dalej – a większa ich część jest teraz zajęta na torze. Czy nie byłoby najlepiej opuścić zaraz Echo Canyon i cofnąć się do najbliższej stacji?

– Co wam strzeliło do głowy, sir? Czy jesteście zającem? Co pomyśleliby o was wasi przełożeni? Utracilibyście natychmiast posadę!

– Wiecie co, sir? Dla mnie życie jest więcej warte niż stanowisko. Rozumiecie?

– Rozumiem, rozumiem. Ale ile ludzi ma pułkownik?

– Stu, i to najdzielniejszych.

– O tym zdążyłem się już przekonać.

– A ilu było Indian?

– Przeszło dwustu z railtroublerami.

– Biada! Oni nas wystrzelają co do nogi! Nie widzę innego środka prócz ucieczki.

– Pshaw! Która z pobliskich stacji ma największą załogę?

– Promontory. Jest tam teraz około trzystu robotników.

– To zatelegrafujcie i każcie sobie przysłać stamtąd stu uzbrojonych ludzi!

Płatniczy wytrzeszczył na mnie oczy i otworzył usta, a potem zerwał się, klasnął radośnie w dłonie i zawołał;

– Doprawdy! To dziwne, że dotychczas o tym nie pomyślałem!

– Jesteście, jak widzę, wielkim geniuszem strategicznym. Niech ci ludzie przywiozą z sobą także żywność i amunicję na wypadek, gdyby wam jej zabrakło. A pamiętajcie, że wszystko musi się odbyć w największej tajemnicy, żeby czerwonoskórzy zwiadowcy nie zauważyli, że ich zdradzono. Zawiadomcie też o tym ludzi z tamtej stacji. Jak daleko stąd do Promontory?

– Dziewięćdziesiąt jeden mil.

– Czy jest tam lokomotywa z wagonami?

– Jest zawsze.

– Jeśli więc teraz zatelegrafujecie, możecie mieć posiłki już jutro o świcie. Jutro wieczorem zaś nadejdą indiańscy zwiadowcy, a do tego czasu zdołamy zabezpieczyć obóz. Wasi robotnicy niech się teraz zabiorą do pracy nad podniesieniem muru otaczającego obóz. Jutro pomogą w tej robocie ludzie z Promontory. Należy mur wyprowadzić tak wysoko, żeby Indianie nie mogli zajrzeć i przekonać się, ile mamy ludzi.

– Zobaczą to z wierzchołka góry, sir!

– Nic nie zobaczą! Wyjadę naprzeciw zwiadowców ogellallajskich, a gdy ich spostrzegę, dam wam znać. Wtedy robotnicy poukrywają się w domkach i Indianie będą sądzili, że mają do czynienia tylko z niewieloma ludźmi. Dziś jeszcze powbijamy pod murem pale, a na nich wzniesiemy deski, na których staną nasi ludzie, żeby móc strzelać podczas napadu. Jeśli dobrze przewiduję, to już jutro w południe wróci pułkownik ze swoim oddziałem, a wtedy będzie nas razem z ludźmi z Promontory dwustu czterdziestu przeciwko dwustu nieprzyjaciołom. Poza tym my będziemy ukryci za murem, a czerwonoskórzy będą bez osłony i – co ważniejsze – nie spodziewają się spotkać z obroną. Byłoby więc rzeczą nie do wiary, gdybyśmy ich od razu pierwszą salwą tak nie odprawili, żeby im się odechciało do nas wracać.

– A potem puścimy się za nimi w pogoń! – cieszył się płatniczy, jakby moje zarządzenia zrobiły już z niego bohatera.

– To się dopiero okaże! A teraz śpieszcie się, bo musicie jeszcze postarać się dla nas o przekąskę i nocleg, zatelegrafować do Promontory i postawić swoich ludzi przy budowie muru.

– Wszystko natychmiast wypełnię, sir! Ani myślę umykać przed Indianami. A wy zaraz dostaniecie wieczerzę, z której na pewno będziecie zadowoleni. Ja sam byłem kiedyś kucharzem. Rozumiecie?

Wszystkie moje zarządzenia wykonano dokładnie. Konie nasze dostały dobrą paszę, a nas uraczył master Ohlers, widocznie lepiej obeznany z patelnią aniżeli z flintą. Ludzie pracowali nad murem jak cyklopi, nie odpoczywając nawet w nocy. Kiedy rano wstałem i zobaczyłem robotę, zdumiałem się nad jej postępami.

Ohlers oprócz depeszy posłał zatrzymującym się tu nocnym pociągiem ustne wiadomości do Promontory, ale jego depesza wywarła widać skutek już przedtem, gdyż wprawdzie nie w nocy, ale już wczesnym rankiem przybyło owych stu ludzi, wioząc z sobą potrzebną broń, amunicję i żywność.

Teraz wspólnymi siłami zabrano się do roboty i około południa mur był zupełnie gotów. Za moją radą napełniono wszystkie beczki wodą i postawiono je pod murem. Tyle ludzi musiało zaspokajać pragnienie, a nie wiadomo było także, czy nie trzeba będzie przebyć małego oblężenia lub gasić ognia.

O zamierzonym napadzie dano znać sąsiednim stacjom, ale pociągi miały kursować regularnie, aby nie zwracać uwagi nieprzyjaciół.

Po obiedzie Winnetou, Walker i ja opuściliśmy obóz, aby wypatrywać nieprzyjacielskich zwiadowców. Podjęliśmy się tego, ponieważ najbardziej ufaliśmy samym sobie, a zresztą nikt z kolejarzy nie zgłosił się na tę niebezpieczną wycieczkę. Ułożyliśmy się w ten sposób, że kto by ich ujrzał, miał wrócić do obozu i dać znać reszcie wystrzałem petardy. Musieliśmy się

bowiem podzielić. Indianie mieli nadejść z północy, a stamtąd, wedle objaśnień płatniczego, prowadziły przez prerię trzy szlaki. Ja podjąłem się śledzić zachodnią prerię, Winnetou środkową, a Walker wschodnią, którą przybyliśmy do Echo Canyon.

Wspiąwszy się na stromą ścianę skalną, wszedłem w puszczę i podążyłem na północ brzegiem bocznego parowu. Po trzech kwadransach znalazłem miejsce, które się nadawało do mego celu. Rósł tam na szczycie wzniesienia olbrzymi dąb, a obok niego wysmukla jodła. Wylazłszy na jodłę, przeskoczyłem ostrożnie na gruby konar dębu i usiadłem na nim, przytuliwszy się do pnia. Stałem się więc zupełnie niewidoczny. Z dołu nie podobna było mnie dostrzec, przed moimi zaś oczami roztaczała się cała okolica, tak wyraźna i otwarta, że z łatwością rozróżniałem jaśniejsze, pokryte trawą polany i ciemniejsze – morze wierzchołków drzew.

Siedziałem tak na straży kilka godzin i nie zauważyłem nic szczególnego, ale czujność moja się nie zmniejszyła. Wreszcie ujrzałem na północy stadko gawronów zrywających się z drzew. Mógł to być wprawdzie przypadek, ale ptaki nie wzniosły się zwartą gromadą, aby polecieć do jakiegoś obranego punktu, lecz rozproszyły się w powietrzu, potem krążyły bezradnie przez pewien czas. nad wierzchołkami drzew i opadły ostrożnie nieco dalej. Widocznie ktoś je spłoszył.

Wkrótce to dziwne zachowanie powtórzyło się jeszcze parokrotnie. Teraz już wiedziałem na pewno, że ktoś skrada się przez las, i to niemal prosto ku mojemu stanowisku. Zlazłem pospiesznie z drzewa i pomknąłem w tym kierunku, zacierając za sobą ślady.

Dostałem się przy tym w bukową gęstwinę, która mi się wydała nieprzebytą. Położywszy się tam na ziemi:, czekałem. Niebawem obok mojej kryjówki przeszło, niedosłyszalnie jak widma, sześciu Indian nie dotykając nogą ani jednej leżącej na ziemi suchej gałązki, której złamanie mogłoby wywołać szelest.

Byli to zwiadowcy z wojennymi barwami na twarzach.

Zaledwie mnie minęli, wyskoczyłem z gęstwiny. Ogellallajowie musieli dalej przemykać się ukradkiem i posuwać się krok za krokiem, ja natomiast mogłem iść prosto, przez otwarte miejsca, nie obawiając się, żeby mnie odkryto. Dlatego też zdołałem ich znacznie wyprzedzić. Wróciłem szybkim biegiem i w niespełna kwadrans zesunąłem się po stromej ścianie skalnej ku obozowi.

Wrzało tam życie jeszcze ruchliwsze niż przedtem. Zauważyłem także od razu, że przybyli nowi ludzie. Idąc torem dalej, zobaczyłem ku swemu wielkiemu zdumieniu Winnetou schodzącego z góry. Zaczekałem nań i zapytałem, gdy się do mnie zbliżył:

– Mój czerwony brat przybywa razem ze mną. Czy widział co?

– Winnetou wraca już – odrzekł Apacz – gdyż mój brat Szarlih odkrył już zwiadowców.

– Skąd Winnetou wie o tym?

– Winnetou siedział na drzewie i przez lunetę zobaczył daleko na zachodzie drugie drzewo. Wiedząc, że mój brat jest mądry, Winnetou był pewny, że Szarlih na nim siedzi. W jakiś czas potem ujrzał Winnetou dużo punktów na niebie. Były to ptaki uciekające przed zwiadowcami. Mój brat niewątpliwie także to zauważył i wyśledził zwiadowców. Wódz Apaczów powrócił przeto do obozu.

Był to nowy dowód bystrej orientacji Indianina. Zanim weszliśmy do obozu, spotkaliśmy człowieka, którego nie widzieliśmy tu przedtem.

– Ach, sir, wracacie z poszukiwań? – zapytał. – Moi ludzie spostrzegli was, gdyście schodzili ze skały, i donieśli mi o tym. Nazwisko moje jest wam na pewno znane. Jestem pułkownik Rudge i pragnę złożyć wam gorące podziękowanie.

– Na to jeszcze czas, sir – odrzekłem. – Teraz należy przede wszystkim wystrzelić petardę, żeby ostrzec naszego trzeciego towarzysza. Wydajcie także rozkaz, żeby ludzie się ukryli, gdyż już za kwadrans zwiadowcy Ogellallajów będą przypatrywali się z góry obozowi.

– Well, wszystko będzie zrobione! Wejdźcie tymczasem do obozu, a i ja zaraz się tam zjawię.

W kilka chwil potem zagrzmiał wybuch tak silny, że Walker musiał go usłyszeć. Następnie robotnicy weszli do domów, a tylko kilku, zajętych pozornie pracą, krzątało się koło toru.

Rudge przyszedł do nas, do magazynu prowiantowego.

– Cóżeście widzieli, sir? – zapytał.

– Sześciu Ogellallajów, szpiegów.

– Well, postaramy się o to, żeby się zawiedli w swoich nadziejach! Wszyscy, jak jesteśmy tutaj, winniśmy wam i waszym towarzyszom największą wdzięczność. Powiedzcie, jak mamy ją wam okazać!

– W ten sposób, że wcale nie będziecie o niej mówili, sir. Czy znaleźliście moją kartkę?

– Znalazłem.

– I posłuchaliście przestrogi?

– Zawróciliśmy natychmiast. W przeciwnym razie przecież nie moglibyśmy jeszcze być tutaj. Sądzę, że przybyliśmy do obozu w samą porę. Kiedy spodziewacie się railtroublerów i Ogellallajów?

– Uderzą na nas jutro w nocy.

– No, to mamy jeszcze czas, żeby lepiej się poznać, sir – roześmiał się Rudge. – Chodźcie wraz ze swoim czerwonoskórym przyjacielem! Będziecie miłymi gośćmi!

Zaprowadził mnie i Winnetou do innego budynku, podzielonego na kilka izb, z których jedna stanowiła jego mieszkanie. Miejsca było tam pod dostatkiem. Pułkownik Rudge był to dzielny człowiek, któremu łatwo można było uwierzyć, że nie boi się Indian. Wnet nabraliśmy nawzajem do siebie zaufania, a Winnetou, którego pułkownik znał z imienia od dawna, także z przyjemnością spędzał czas w jego towarzystwie.

– Chodźcie, panowie, ukręcimy szyjkę jakiejś butelce, skoro nie możemy na razie ugościć tych czerwonoskórych zbójców – rzekł inżynier. – Rozgośćcie się swobodnie i niech wam się zdaje, że jesteście u siebie. A gdy nadejdzie wasz towarzysz, gruby Walker, niech zasiądzie tu także z nami.

Byliśmy pewni, że od dawna śledzono ze skał nasze ruchy, toteż zachowywaliśmy się odpowiednio. Niebawem powrócił Fred. Nie widział on nic, ale sygnał usłyszał wyraźnie.

Przez cały dzień nie mieliśmy nic do roboty, ale czas nam się nie dłużył. Rudge dużo przeżył i umiał dobrze opowiadać. Gdy nadszedł wieczór i Indianie nie mogli nas już dojrzeć, ukończono przygotowania obronne, za których zarządzenie pułkownik pochwalił mnie ku memu wielkiemu zadowoleniu.

Tak przeszła noc i dzień następny.

Było to w czasie nowiu. Zmierzch wieczorny zasłaniał zwolna parów ciemnością, potem zaczęły błyszczeć gwiazdy, rozjaśniając okolicę na tyle, że można było objąć wzrokiem dość szeroki pierścień dokoła muru.

Każdy z ludzi uzbrojony był w strzelbę i nóż, a wielu oprócz tego w rewolwery. Ponieważ Indianie urządzają zwykle napady po północy, najchętniej na krótko przed świtem, przeto kilku tylko robotników stało przy murze, a reszta leżała w trawie, rozmawiając po cichu.

Na dworze nie drgał najlżejszy powiew wietrzyka, panowała niezmącona cisza, ale był to spokój zwodniczy. O północy wszyscy wzięli strzelby i zajęli wyznaczone im miejsca na blankach muru. Ja stałem z Winnetou przy bramie, trzymając w ręku sztucer Henry'ego.

Rozdzieliliśmy się równomiernie na wszystkie cztery strony muru. Było nas dwustu dziesięciu ludzi, ponieważ trzydziestu wysłano do osobnej kryjówki, gdzie mieli pilnować koni.

Czas wlókł się powoli jak ślimak. Niejeden zapewne z obrońców pomyślał, że obawy nasze były płonne, gdy wtem dało się słyszeć coś, jakby uderzenie kamyczka o szynę. Zaraz po-

tem wpadł mi w ucho ów prawie niedosłyszalny szmer, który człowiek niewprawny mógłby wziąć za powiew lekkiego wietrzyka. To nadchodzili Indianie.

– Baczność! – szepnąłem memu sąsiadowi. On podał to słowo dalej i w przeciągu minuty wszyscy byli ostrzeżeni. Niemal niewidoczne, do zjaw podobne, cienie bezszelestnie pomykały w ciemności na prawo i na lewo. Naprzeciwko nas utworzył się front, który wydłużał się coraz bardziej, aż w końcu otoczył cały obóz. W następnej chwili powinien był rozpocząć się szturm.

Cienie zbliżały się coraz bardziej. Gdy znajdowały się w odległości może sześciu kroków od muru, zabrzmiał w ciemnościach silny, donośny głos:

– Selkhi! Ogellallah! Ntsage'sisi Winnetou natan Apaches! Shne ko! – Śmierć Ogellallajom! Tu stoi Winnetou, wódz Apaczów! Ognia!

Wypowiedziawszy to podniósł swoją srebrem obitą rusznicę i wypalił. Wówczas zajaśniało nagle dokoła całego obozu. Huknęło równocześnie przeszło dwieście wystrzałów, tylko ja nie wystrzeliłem, chcąc zaczekać na skutek salwy, która tak zaskoczyła nieprzyjaciół. Przez długą chwilę panowała jeszcze głęboka cisza, a potem ozwało się owo okropne wycie, które, zda się, zdolne jest stargać nerwy i zmiażdżyć kości. Z początku nasza niespodziewana salwa odebrała niemal Ogellallajom mowę, ale teraz rozległo się przez cały Canyon wycie, jakby wydobyte z tysiąca szatańskich gardzieli.

– Jeszcze raz ognia! – zakomenderował pułkownik, którego głos słychać było nawet wśród tego diabelskiego ryku.

Huknęła druga salwa, a potem Rudge zawołał;

– Dalej za mur i kolbami!

W jednej chwili wszyscy poprzeskakiwali przez mur. Jeśli ktoś nawet bał się poprzednio, teraz poczuł w sobie odwagę lwa. Ani jeden Indianin nie spróbował przedostać się przez mur.

Ja nie ruszałem się nigdzie z mojego stanowiska. Przed murem rozwinęła się zażarta walka, która nie mogła jednak trwać długo, gdyż szeregi przeciwników były tak strasznie przerzedzone, że jako jedyny środek ocalenia pozostawała im ucieczka. Koło mnie przemykały się ciemne postacie. Najpierw jeden, potem drugi, a za nimi coraz nowi railtroublerzy uciekali z tamtej strony obozu.

Teraz dopiero przydał mi się sztucer, z którego mogłem strzelać dwadzieścia pięć razy bez nabijania. Posłałem jednak za napastnikami tylko osiem kul, gdyż więcej celów już nie było. Nie trafieni nieprzyjaciele uszli, a reszta leżała na ziemi lub usiłowała wlec się dalej. Nie udało im się to jednak, gdyż niebawem ich otoczono.

Wkrótce potem zapłonęły pod murem liczne ogniska i oświetliły miejsce okropnego żniwa śmierci. Nie chciałem na to patrzeć. Odwróciłem się i poszedłem do mieszkania pułkownika. Ledwie usiadłem, zjawił się Winnetou. Spojrzałem nań ze zdumieniem, mówiąc:

– Mój czerwony brat przyszedł bez skalpów swoich wrogów, Siuksów-Ogellallajów?

– Winnetou nie weźmie już ani jednego skalpu – odpowiedział. – Od czasu kiedy słyszał muzykę z góry, będzie zabijał wrogów, lecz nie będzie obcinał im skalpów. Howgh!

– Ilu padło z twej ręki?

– Winnetou nie będzie już liczył głów poległych. Po cóż ma liczyć, skoro mój brat nie chciał zabić nikogo?

– Skąd wiesz o tym?

– Czemu milczała strzelba mojego brata, dopóki biali mężowie nie przebiegli obok niego? A dlaczego mierzył im tylko w nogi? Tych jedynie Winnetou zliczył. Jest ich ośmiu; leżą teraz na dworze pojmani, ponieważ nie zdołali umknąć.

Liczba ta odpowiadała prawdzie. Trafiłem zatem dobrze i osiągnąłem swój cel; chciałem dostać tych zbójów żywcem, licząc na to, że może wśród nich znajdzie się także Haller.

Niebawem wszedł Walker.

– Charles, Winnetou, wyjdźcie! Mamy go! – zawołał z radością.
– Kogo? – spytałem.
– Hallera!
– Ach! Kto go pochwycił?
– Nikt. Z powodu rany nie mógł się ruszać. To dziwne! Ośmiu railtroublerów jest rannych, a wszyscy w to samo miejsce, w lędźwia. Wszyscy upadli i zostali na miejscu.
– To istotnie dziwne, Fredzie!
– Ani jeden z rannych Ogellallajów nie chciał się poddać, a tych ośmiu białych prosiło o łaskę.
– Czy rany ich są niebezpieczne?
– Nie wiadomo. Nie było jeszcze czasu ich zbadać. Dlaczego siedzicie tutaj? Wyjdźcie! Sądzę, że najwyżej z osiemdziesięciu nieprzyjaciołom udało się ujść z życiem!
– To straszne! Ale czy zasłużyli na coś lepszego? Otrzymali przynajmniej nauczkę, o której pewnie przez długie lata będzie się pamiętać w ich szczepie.
Po południu przybył koleją lekarz, który opatrzył rannych. Dla Hallera nie było ratunku. On sam dowiedziawszy się, że rana jego jest śmiertelna, nie okazał najmniejszej skruchy. Walker, który był przy badaniu Hallera, wpadł do mnie i zawołał głosem pełnym przerażenia:
– Charles, wstawaj! Trzeba zaraz wyruszać!
– Dokąd?
– Do osady Helldorf. To słowo mnie przeraziło.
– Po co? – spytałem.
– Ogellallajowie mają tam napaść.
– Boże! Czy to możliwe? Skąd wiecie o tym?
– Haller to powiedział. Siedząc przy nim, rozmawiałem z pułkownikiem i wspomniałem o wieczorze spędzonym w osadzie Helldorf. Na to Haller roześmiał się szyderczo, wyrażając przypuszczenie, że osadnicy nie doczekają już drugiego takiego wieczoru. Gdy go przyparłem do muru pytaniami, wyznał, że Indianie chcą napaść na tę osadę.
– Boże drogi! Fredzie, przyprowadźcie prędzej Winnetou i konie! A ja tymczasem pójdę jeszcze do Hallera.
Nie widziałem dotychczas tego człowieka w naszym obozie. Gdy wszedłem do domu, w którym znajdowali się jeńcy, stał przy nim właśnie pułkownik. Ranny leżał śmiertelnie blady na skrwawionym kocu i patrzył na mnie zuchwałym wzrokiem.
– Jesteście Rollins, czy Haller? – spytałem.
– Co was to obchodzi?
– Więcej, aniżeli sądzicie! – rzekłem.
Byłem właściwie pewien, że nie odpowie na pytanie, dlatego trzeba było zacząć inaczej.
– Nie pytajcie mnie o nic i wynoście się! – zawołał.
– Nikt może nie ma tyle prawa do odwiedzenia was co ja – powiedziałem. – Kula, która was życia pozbawia, pochodzi ode mnie.
Na to oczy mu się rozszerzyły, krew uderzyła do twarzy, aż napęczniała stara blizna.
– Psie! Czy mówisz prawdę?! – krzyknął.
– Tak.
Teraz ryknął słowo, którego nie podobna powtórzyć, ja jednak zachowałem spokój.
– Chciałem was tylko zranić – odparłem na to – a usłyszawszy, że czeka was niechybna śmierć, żal mi się was zrobiło i czyniłem sobie wyrzuty. Ale teraz, widząc, jaki z was łotr, jestem zupełnie spokojny, nabrałem bowiem przekonania, że wyświadczyłem światu dobrodziejstwo, zadawszy wam śmiertelną ranę. Wy ani wasi Ogellallajowie nie wyrządzą już nikomu krzywdy!

– Tak ci się zdaje? – zapytał, błyskając długimi zębami jak drapieżny zwierz. – Idź no do osady Helldorf, hę!

– Pshaw! Tam jest wszystko dobrze zabezpieczone!

– Zabezpieczone? Tam nie ma już kamienia na kamieniu. Ja sam zbadałem dokładnie tę miejscowość i postanowiliśmy zdobyć naprzód Echo Canyon, a następnie Helldorf. Tu nam się nie poszczęściło, ale za to tam uda się lepiej, a osadnicy tysiącem mąk zapłacą za to, co wy wyrządziliście moim ludziom i Ogellallajom!

– Tego właśnie chciałem się dowiedzieć! Panie Haller, jesteście zatwardziałym, ale także bardzo głupim grzesznikiem. Jedziemy zaraz do Helldorf, aby uratować, co tam jest jeszcze do uratowania, a jeśli Ogellallajowie zabrali ze sobą osadników, to ich oswobodzimy, czego nie moglibyśmy dokonać, gdybyście umieli milczeć.

– Diabła tam oswobodzicie, a nie osadników! – zawołał ze złością w głosie.

Na to podniósł głowę jego towarzysz i sąsiad, który nieustannie się we mnie wpatrywał, i rzekł:

– Wierz mi, Rollinsie! On ich uwolni. Znam go. To Old Shatterhand!

– Old Shatterhand! – zawołał ranny. – Niech to wszyscy diabli! Teraz rozumiem, skąd się wzięło osiem takich strzałów. Wobec tego pragnę gorąco, aby...

Odwróciłem się szybko i odszedłem, by nie słyszeć przekleństw złoczyńcy. Pułkownik poszedł za mną i zapytał z wielkim zdumieniem;

– Czy to prawda, że jesteście Old Shatterhand?

– Tak. Ten człowiek spotkał mnie na jednej z wypraw myśliwskich. Przystępuję jednak od razu do rzeczy i proszę was, żebyście mi wypożyczyli swoich ludzi. Muszę pójść na pomoc osadzie Helldorf.

– Hm, czcigodny sir, to jest niemożliwe. Najchętniej sam poprowadziłbym tam wszystkich moich ludzi, ale jestem urzędnikiem kolejowym i moje obowiązki nie pozwalają mi na to.

– Ależ, sir, więc ci biedni osadnicy mają zginąć? Jakbyście się potem usprawiedliwili, gdyby się to stało wskutek waszego zaniedbania?

– Posłuchajcie, sir! Nie wolno mi opuścić mego obozu, chyba że idzie o jego dobro. Nie mogę także nakazać moim robotnikom, żeby z wami poszli. Mogę uczynić tylko jedno. Zgadzam się na to, żebyście wy sami pomówili z moimi ludźmi. Kto z nich zechce porzucić na ten czas pracę i przyłączyć się do was, tego nie będę zatrzymywał. Konie, broń, amunicję i żywność dostaniecie także pod warunkiem, że konie i broń otrzymam później z powrotem.

– Dziękuję wam, sir! Jestem przekonany, że to jest wszystko, co możecie w tym wypadku uczynić. Nie gniewajcie się, że wam odciągam ludzi od pracy, ale to jest konieczne.

W dwie godziny potem pędziłem na czele oddziału złożonego z czterdziestu dobrze uzbrojonych ludzi drogą, którą tak niedawno przybyliśmy z Helldorf.

Winnetou nie powiedział ani słowa, lecz ogień, gorejący w jego oczach, mówił więcej od słów. Jeśli rzeczywiście Ogellallajowie napadli na tę młodą osadę, wówczas biada sprawcom napadu!

Znając drogę, nie zatrzymywaliśmy się nawet w nocy. Zdaje mi się, że podczas tej jazdy nie zamieniłem z towarzyszami nawet kilkudziesięciu słów.

Nazajutrz po południu stanęliśmy na krawędzi kotliny, w której leżała osada Helldorf. Pierwszy rzut oka przekonał nas, że Haller nie kłamał. Przybyliśmy niestety za późno,

– Uff! – zawołał Winnetou i wskazał na puste wzgórze. – Rozszarpię te wilki, Ogellallajów!

Rzeczywiście spalono i zburzono także kapliczkę, a krzyż zrzucono z góry. Pojechaliśmy co tchu ku gruzom i zsiedliśmy z koni. Tu kazałem robotnikom stanąć, żeby mi nie popsuli tropu. Pomimo poszukiwań nie zdołałem odkryć ani śladu żywej istoty. Wtedy zwołałem lu-

dzi, by mi pomogli przerzucić zgliszcza. Nie znaleźliśmy szczątków ludzkich i to nas nieco pocieszyło.

Skoro tylko Winnetou zsiadł z konia, wspiął się po zboczu na górę, a po chwili powrócił niosąc w ręce znaleziony dzwonek.

– Wódz Apaczów znalazł głos z góry – rzekł – i zakopie go tu, dopóki nie powróci jako zwycięzca.

Zbadałem pośpiesznie razem z Walkerem brzegi jeziora, aby zobaczyć, czy przypadkiem nie potopiono osadników, lecz przekonaliśmy się, że nic takiego się nie stało. Nadto poszukiwania nasze dowiodły, że na osadę napadnięto w nocy. Zwycięzcy pojmali mieszkańców bez walki, a potem udali się z łupem i z jeńcami ku granicy Idaho i Wyomingu.

– Słuchajcie, ludzie, nie wolno nam tracić ani chwili! – zawołałem. – Musimy iść za tropem bez wytchnienia, a dopiero w nocy rozbijemy obóz. Naprzód!

Z tymi słowy dosiadłem znowu mojego szpaka, a towarzysze poszli za moim przykładem. Apacz jechał na czele, nie odrywając wzroku od tropu. Prędzej można go było zabić niż odciągnąć od tych śladów, takie ogarnęło go wzburzenie. Było nas czterdziestu przeciwko osiemdziesięciu, ale w takim nastroju nie pamięta się o liczbie przeciwników.

Mieliśmy jeszcze pełne trzy godziny dnia i przebyliśmy przez ten czas tyle drogi, że zadowoleni z wyczynu naszych koni mogliśmy pozwolić sobie na zasłużony odpoczynek.

Nazajutrz okazało się, że Ogellallajowie znajdują się o trzy czwarte dnia przed nami, a potem zauważyliśmy, że nie przerywali oni pochodu przez całą noc. Powód tego pośpiechu łatwo było odgadnąć. Oto podczas napadu na Echo Canyon Winnetou wykrzyknął w ciemnościach nocy swoje imię, czym wzbudził w nich obawę, że będą ścigani. Ogellallajowie wiedzieli, że Apacz wraz z robotnikami idzie za ich tropem, a to była wystarczająca przyczyna do pośpiechu.

Ponieważ konie nasze dokazały dotąd nadzwyczajnych rzeczy, przeto nie mogliśmy ich w dalszym ciągu zbytnio przynaglać i postanowiliśmy oszczędzać ich sił. Wskutek tego jednak w ciągu pierwszych dwóch dni nie zbliżyliśmy się do Ogellallajów.

– Czas mija – rzekł Walker. – Spóźnimy się!

– Nie spóźnimy się – odpowiedziałem. – Jeńcom przeznaczono śmierć przy palu męczeńskim, a los ten spotka ich dopiero wtedy, gdy Ogellallajowie przybędą do swoich wsi.

– Gdzie te wsie się znajdują?

– W Quacking-aspridge – odparł Winnetou. – Dopędzimy jednak tych rozbójników znacznie wcześniej.

Trzeciego dnia natrafiliśmy na niemałą przeszkodę: trop się rozdzielił. Część śladów biegła wprost ku północy, druga zbaczała na zachód. Pierwsza była liczniejsza.

– Chcą nas zatrzymać! – rzekł Fred.

– Niechaj biali mężowie staną – rozkazał Winnetou. – Tego śladu nie wolno nikomu zadeptać!

Następnie dał mi znak, który natychmiast zrozumiałem. Oto ja miałem się przypatrzyć dokładnie tropowi prowadzącemu prosto, on zaś temu, który skręcał na lewo. Udaliśmy się więc konno obydwaj, każdy w swoim kierunku, a towarzysze mieli na nas zaczekać.

Jechałem kwadrans. Trudno mi było oznaczyć liczbę koni, które tędy szły, gdyż jeźdźcy podążali w szeregu jeden za drugim. Z głębokości i z kształtu odcisków kopyt wnosiłem, że było ich niewiele ponad dwudziestu. Podczas badań zauważyłem w piasku klika małych, ciemnych, okrągłych plamek, obok zaś, po obu stronach, szczególny układ suchych ziaren piasku. Przed tymi znakami widniało miejsce, które wyglądało tak, jak gdyby wleczono po piasku jakiś szeroki przedmiot. Powróciłem natychmiast cwałem. Winnetou czekał już na mnie.

– Co mój brat widział? – zapytałem go.

– Nic, oprócz tropu jeźdźców.

– Naprzód tedy! – zawołałem do towarzyszy, skręciłem konia i pośpieszyłem przodem.

– Uff! – zawołał Apacz.

Dziwił się mojej pewności i poznał po niej, że znalazłem informację, w którym kierunku powleczono jeńców. Przybywszy na to miejsce, które zwróciło moją uwagę, zatrzymałem się i spytałem grubasa:

– Mr. Walker, wy jesteście dobrym westmanem. Przypatrzcie się temu śladowi i powiedzcie, co on może znaczyć!

– Ślad? – spytał. – Gdzie?

– Tu!

– Ach! Cóż to za ślad! To wiatr przeszedł po piasku!

– Pięknie! Przejdzie on chyba jeszcze nieraz po tej ziemi. Założę się z wami, że Winnetou z tych ledwie dostrzegalnych znaków wywnioskuje to samo co ja. Niechaj mój czerwony brat przyjrzy się dokładnie!

Apacz zsiadł z konia, schylił się, rzucił na ziemię badawcze spojrzenie i oświadczył:

– Mój brat Szarlih obrał dobrą drogę, gdyż tędy przejechali jeńcy.

– Po czym to można poznać? – spytał Fred na pół z niedowierzaniem, a na pół z gniewem, że mu nie dopisała bystrość spojrzenia.

– Niech się mój brat dobrze przypatrzy! – powiedział. – Te krople to krew; tu na prawo i na lewo leżały ręce, a ku przodowi ciało dziecka...

– Które – wtrąciłem – spadło z konia tak, że mu krew poszła z nosa!

– Ach! – zawołał grubas.

– To nie trudno było odgadnąć, ale na pewno zaraz się przekonamy, że bywają trudniejsze zagadki. Naprzód!

Miałem słuszność. Może po dziesięciu minutach przybyliśmy na skalisty grunt, gdzie nie było śladów.

Wszyscy musieli się zatrzymać, aby nam nie utrudniać dalszych poszukiwań. Nagle Apacz wydał radosny okrzyk i przyniósł mi grubą, żółto zabarwioną nitkę.

– Cóż wy na to, Fredzie? – spytałem.

– To nitka z koca.

– Słusznie! Przypatrzcie się jej ostrym końcom. Czerwonoskórzy porozcinali koce i owinęli koniom kopyta, aby nie zostawiały śladów. Musimy teraz napiąć naszą uwagę do ostateczności!

Szukając dalej, znalazłem na trawie, rosnącej już na piaszczystym gruncie, źle zatarty ślad indiańskiego mokasyna. Położenie stopy wskazało nam dalszy kierunek.

Po pewnym czasie zauważyliśmy inne jeszcze znaki, a w końcu doszliśmy do przekonania, że Indianie posuwali się tu bardzo powoli. Po jakimś czasie ślady znów stały się wyraźne. Koniom zdjęto z kopyt koce, a obok śladów końskich biegły odciski nóg ludzkich, co dowodziło, że Ogellallajowie szli odtąd pieszo.

To mnie zastanowiło. Jechałem dalej, zamyślony, gdy wtem Winnetou zatrzymał konia, spojrzał w dal i zrobił ruch, jak gdyby coś sobie przypomniał.

– Uff! – zawołał. – Jaskinia w górze, zwanej przez białych Hancock.

– Dlaczego ci ona przyszła na myśl? – zapytałem.

– Winnetou wie już teraz wszystko! W tej jaskini Siuksowie ofiarowują swoich jeńców Wielkiemu Duchowi. Ogellallajowie się rozdzielili. Większa ich część pojechała na prawo, aby zwołać rozproszone siły plemienia, a mniejsza prowadzi jeńców do jaskini. Posadzono ich po kilku na jednym koniu, a Ogellallajowie idą obok.

– Jak daleko stąd do tej góry?

– Moi bracia dostaną się tam wieczorem.

– To niemożliwe! Góra Hancock leży pomiędzy górnym Snake River a Yellowstone River!
– Niechaj mój brat zważy, że są dwie góry Hancock!
– Czy Winnetou zna właściwą?
– Tak.
– I jaskinię?
– Tak. Winnefou zawarł w tej jaskini przymierze z ojcem wodza Koi-tse, ale ten Ogellallaj złamał je potem. Moi bracia opuszczą teraz trop i zawierzą wodzowi Apaczów!

Będąc pewnym siebie, dał koniowi ostrogę i popędził cwałem, a my za nim. Jechaliśmy przez długi czas dolinami i parowami, aż nagle góry się rozstąpiły, a przed nami ukazała się zarosła trawą równina, otoczona tylko na widnokręgu górami.

– To jest I-akom-akono, to znaczy „krwawa preria", zwana tak w języku szczepu Tehua – objaśnił Winnetou nie zwalniając szybkiej jazdy.

A więc to była ta straszna, krwawa preria, o której tyle słyszałem! Tutaj to plemiona Dakoty sprowadzały jeńców, puszczały ich i szczuły – na śmierć. Tutaj zginęły tysiące niewinnych przy palu, w ogniu, od noża i pogrzebania żywcem. Tu nie zapuszczał się obcy Indianin, a tym mniej biały, my zaś zdążaliśmy przez tę równinę tak swobodnie, jak gdybyśmy się znajdowali w najspokojniejszej okolicy. Tylko Winnetou mógł tutaj być naszym przewodnikiem.

Konie zaczynały się już męczyć tą gonitwą. Wtem wynurzyła się przed nami odosobniona grupa kilku jakby zsuniętych ku sobie gór. U ich stóp, zarosłych lasem i krzakami, pozwoliliśmy spocząć koniom.

– To jest góra Hancock – rzekł Winnetou.
– A jaskinia? – spytałem.
– Jest po drugiej stronie góry. Za godzinę mój brat ją zobaczy. Niech mój brat pójdzie za mną, lecz niech zostawi swoją broń.
– Ja sam mam iść?
– Tak. Jesteśmy na miejscu śmierci. Tylko dzielny mąż tu wytrzyma. Niechaj nasi bracia ukryją się pod drzewami i czekają!

Góra, u której stóp stanęliśmy teraz, była pochodzenia wulkanicznego, a miała szerokości trzy kwadranse drogi. Odłożyłem rusznicę i sztucer i poszedłem za Winnetou, który zaczął piąć się na zachodnie zbocze góry, zmierzając zygzakiem ku szczytowi. Sama droga była już uciążliwa, a przewodnik mój odbywał ją przy tym z taką ostrożnością, jak gdyby za każdym krzakiem spodziewał się nieprzyjaciela. Trwało to rzeczywiście z godzinę, zanim wydostaliśmy się na górę.

– Niech mój brat zachowuje się całkiem cicho! – szepnął Winnetou.

Potem położywszy się na brzuchu, zaczął się czołgać powoli przez zarośla.

Poszedłem za jego przykładem, lecz omal nie cofnąłem się z przestrachu, gdyż zaledwie wychyliłem głowę spomiędzy gałęzi, ujrzałem stromą, lejkowatą przepaść krateru. Była tak blisko, że mogłem dosięgnąć jej krawędzi ręką. Otchłań tę, głęboką prawie na sto pięćdziesiąt stóp, porastały tylko z rzadka krzaki, na dole tworzyła ona płaszczyznę obejmującą około czterdziestu stóp szerokości. Tam leżeli poszukiwani przez nas mieszkańcy osady Helldorf z powiązanymi nogami i rękami. Z trudem opanowałem wrażenie, jakie na mnie wywarła ta straszna niespodzianka. Policzyłem nieszczęśliwych. Nie brakowało nikogo, ale pilnowała ich liczna straż Ogellallajów.

Zbadałem cały obwód wygasłego krateru, czy nie dałoby się zejść na dół. Było to możliwe, gdybyśmy mieli mocny sznur. Sterczało tam kilka wyskoków skalnych, do których można by go przyczepić. Należało tylko wymyślić sposób unieszkodliwienia straży.

Winnetou cofnął się, uczyniłem to samo.

– Czy to jest ta jaskinia? – spytałem.
– Tak.

– A gdzie jest właściwe wejście?

– Po wschodniej stronie góry, ale tamtędy nikt się nie dostanie.

– To zejdziemy tędy. Mamy lassa, a nasi robotnicy kolejowi zaopatrzeni są w dostateczną ilość sznurów.

Winnetou skinął głową, po czym zaczęliśmy schodzić. Nie rozumiałem zupełnie, dlaczego Indianie nie strzegli zachodniej strony góry, a jasne było, że nie strzegli, bo inaczej nie moglibyśmy zbliżyć się tam nie zauważeni.

Gdyśmy się znaleźli z powrotem przy towarzyszach, słońce zapadało już za widnokręgiem. Zaraz też zaczęliśmy się przygotowywać do walki. Wszystkie sznury spleciono w jedną linę. Winnetou wybrał dwudziestu najzwinniejszych ludzi, a resztę przeznaczył do strzeżenia koni. Dwóm z pozostałych polecił w trzy kwadranse po naszym odejściu wskoczyć na konie, objechać górę od wschodu i daleko na prerii rozniecić kilka ognisk, potem czym prędzej powrócić. Te ogniska miały odwrócić uwagę Indian od nas, a skierować na prerię.

Słońce wreszcie zniknęło zupełnie, zachód zabarwił się Jaskrawą czerwienią, która stopniowo przeszła w głęboką purpurę, potem pobladła i zamieniła się w szarość wieczorną. Winnetou opuścił miejsce, na którym znajdowaliśmy się dotąd. Wydał mi się on w ciągu ostatnich godzin zupełnie inny niż zwykle. Blask jego silnego i pewnego spojrzenia zmienił się w niespokojne migotanie. Na gładkim zazwyczaj czole ukazały się zmarszczki, świadczące o jakiejś obawie czy też o tym, że jakieś poważne myśli zburzyły jego, zawsze tak podziwianą przeze mnie, równowagę umysłu. Coś go gnębiło. Wydało mi się więc, że mam nie tylko prawo, lecz i obowiązek spytać go o przyczynę tych zmian. Poszedłem więc, by go poszukać.

Winnetou stał na skraju lasu, oparty o drzewo i patrzył nieruchomo ku zachodowi, na sunące nisko nad samym horyzontem chmury, których wyzłocone brzegi bladły coraz bardziej. Jakkolwiek stąpałem bardzo cicho, a on był pogrążony w zadumie, nie tylko usłyszał moje kroki, lecz poznał od razu, kto się do niego zbliża. Nie oglądając się ku mnie, rzekł:

– Mój brat Szarlih szuka swego przyjaciela. Dobrze robi, gdyż niebawem go już nie ujrzy.

Położyłem mu rękę na ramieniu, mówiąc:

– Czy duszę mego brata Winnetou opanowały jakieś cienie? Niech je odpędzi!

On zaś podniósł rękę i wskazał na zachód.

– Tam płonął ogień i żar życia, a teraz wszystko to znikło i robi się ciemno. Idź tam! Czy zdołasz odpędzić kładące się cienie?

– Nie, lecz światło wczesnym rankiem powróci i wstanie nowy dzień.

– Dla góry Hancock zaświta jutro nowy dzień, ale nie zaświta on dla Winnetou. Słońce jego zgaśnie, jak zgasło tamto, i nie wzejdzie już nigdy. Najbliższa jutrzenka uśmiechnie się doń już na tamtym świecie.

– To są przeczucia śmierci, którym się mój kochany brat Winnetou nie powinien poddawać! Prawda, dzisiejszy wieczór będzie dla nas bardzo niebezpieczny; lecz ileż to razy patrzyliśmy już śmierci w oczy i przecież, ilekroć wyciągnęła po nas rękę, cofała się zawsze przed naszym pogodnym i silnym spojrzeniem! Odpędź smutek, który cię trapi! Powód jego leży tylko w fizycznych i duchowych wysiłkach ostatnich dni.

– Winnetou nie pokonają żadne wysiłki i żadne znużenie nie odbierze mu pogody ducha. Brat mój Old Shatterhand zna mnie i wie, że zawsze pragnąłem wody poznania i wiedzy. Ty mi ją podałeś i piłem z niej do woli. Wiele się nauczyłem, więcej aniżeli moi bracia, pozostałem jednak czerwonym mężem. Biały podobny jest do uczonego domowego zwierzęcia, którego instynkt może się zmienić, Indianin natomiast – do zwierzęcia dzikiego, które nie tylko zachowało swoje bystre zmysły, lecz także duszą słyszy i czuje. Dzikie zwierzę nie tylko przeczuwa, lecz wie dobrze, kiedy śmierć się zbliża, i kryje się wówczas w największej gęstwinie leśnej, aby tam skonać samotnie. To przeczucie, tę świadomość, która nigdy nie zwodzi, ma Winnetou w tej chwili.

Przycisnąwszy go do serca, powiedziałem:

– A mimo to przeczucie twoje cię zwodzi. Czy przeżywałeś już kiedyś coś podobnego?

– Nie.

– A zatem to dziś po raz pierwszy?

– Tak.

– Jak więc możesz je poznać? Skąd wnosisz, że to przeczucie śmierci?

– Ach, ono jest takie wyraźne, takie wyraźne! Ono mi szepcze, że Winnetou zginie od kuli, która ugrzęźnie w jego piersi, albowiem tylko kula może mnie powalić. Przed nożem lub tomahawkiem obroniłby się wódz Apaczów z łatwością. Niechaj mi mój brat wierzy: dziś odchodzę do wiecznych ostę...

Utknął w połowie ostatniego wyrazu. Chciał powiedzieć: „do wiecznych ostępów", stosownie do wierzeń indiańskich. Cóż go wstrzymało od wypowiedzenia tych słów? Objął mnie teraz ramieniem i po chwili tak mówił dalej:

– Odejdę dzisiaj tam, gdzie wstąpił ongiś Syn dobrego Manitou, aby nam przygotować mieszkania w domu Ojca, i gdzie za mną przyjdzie kiedyś mój brat Old Shatterhand. Tam się znów zobaczymy. Nie będzie wtedy już żadnej różnicy pomiędzy białymi a czerwonymi dziećmi jednego Ojca, który wszystkie jednaką otacza miłością. Zapanuje wieczny pokój, ustanie mordowanie i dławienie ludzi, którzy byli dobrzy i w pokoju przyjmowali białych, za co ich potem wytępiono. Dobry Manitou weźmie wagę w swoje ręce, by odważyć uczynki białych i czerwonych oraz krew, która popłynęła niewinne. Winnetou zaś stanie przy nim i prosić będzie o łaskę i miłosierdzie dla morderców swojego narodu i swoich braci.

Przycisnął mnie do serca i zamilkł. Byłem głęboko wzruszony, gdyż i mnie jakiś głos mówił, że instynkt go nie zwodzi, że tym razem jego przeczucie jest prawdziwe. Mimo to starałem się inaczej wyjaśnić powody jego obecnego stanu:

– Mój brat Winnetou uważa się za silniejszego, aniżeli jest. Jest najdzielniejszym wojownikiem swojego szczepu, ale jest przecież tylko człowiekiem. Nie widziałem, by kiedy osłabł, ale dziś jest znużony, gdyż zbyt wiele wysiłków zrobiliśmy w ciągu ubiegłych dni i nocy. To przygniata duszę i osłabia wiarę we własne siły, powstają posępne myśli, które znikną, skoro tylko ustąpi znużenie. Niech mój brat spocznie, niech położy się obok tych, którzy mają czekać u stóp góry! On zaś potrząsnął zwolna głową i odrzekł:

– Brat Szarlih nie mówi tego poważnie.

– Owszem! Widziałem jaskinię i zmierzyłem ją dokładnie okiem. Wystarczy, gdy sam poprowadzę naszych ludzi.

– A ja nie mam być przy tym? – zapytał, a oczy jego nagle nabrały blasku.

– Zrobiłeś dość, teraz powinieneś wypocząć.

– A czy ty nie zdziałałeś jeszcze więcej, o wiele więcej aniżeli ja i inni? Nie zostanę!

– Nawet gdy cię o to poproszę, kiedy zażądam tego jako ofiary na rzecz naszej przyjaźni?

– I wtedy nie! Czy ma mi potem ktoś zarzucić, że Winnetou, wódz Apaczów, obawiał się śmierci?

– Nikt nie poważy się tego powiedzieć.

– Jeśliby nawet wszyscy zamilkli i nie policzyli mi tego jako tchórzostwa, zostałby przecież jeden człowiek, którego wyrzut okryłby mnie rumieńcem.

– Któż taki?

– Ja sam! Takiemu Winnetou, który by spoczywał wtedy, kiedy jego brat Szarlih walczy gardząc śmiercią, krzyczałbym nieustannie w uszy, że przystał do tchórzów i że nie jest już godzien nazwy wojownika i wodza walecznego narodu. Nie, ja nie chcę słyszeć o tym, żebym miał zostać. Czy mój brat Shatterhand ma po cichu zaliczyć mnie między kujoty? Czy Winnetou ma pogardzać samym sobą? Nie, po dziesięćkroć, po stokroć i po tysiąckroć wolę śmierć!

Ten ostatni argument nakazał mi oczywiście milczenie. Winnetou nie mógłby przeżyć tego, gdyby samemu sobie musiał zarzucić tchórzostwo. Po chwili mówił dalej:

– Tyle razy znajdowaliśmy się w obliczu śmierci i mój brat był zawsze na nią przygotowany. Nawet zapisał w swej książeczce, co ja powinienem zrobić, jeśliby on zginął w walce, Mam wziąć jego książkę, przeczytać i wykonać. Blade twarze nazywają to testamentem. Winnetou sporządził także testament. Nic jeszcze o tym dotąd nie wspomniał, ale dziś musi to uczynić przeczuwając bliskość śmierci. Czy chcesz być jego wykonawcą?

– Tak, choć mocno pragnę, żeby twoje przeczucie się nie sprawdziło, żebyś jeszcze wiele, wiele słońc widział na ziemi. Gdybyś jednak miał kiedyś umrzeć, a ja znałbym twoją ostatnią wolę, wykonanie jej byłoby moim najświętszym obowiązkiem.

– Nawet gdyby to było bardzo trudne i połączone z wielkimi niebezpieczeństwami?

– Chyba Winnetou nie pyta tak naprawdę? Poślij mnie w objęcia śmierci, a pójdę!

– Wiem to, Szarlih! Dla mnie wskoczyłbyś w otwartą paszczę śmierci. Wiem, że zrobisz to, o co cię poproszę. Tylko ty jeden potrafisz tego dokonać. Czy przypominasz sobie, że ongiś, kiedy nie znałem cię tak dobrze jak dzisiaj, rozmawialiśmy o bogactwie?

– Bardzo dokładnie to pamiętam.

– Czułem wtedy po twoim głosie, że inaczej myślałeś, aniżeli mówiłeś. Złoto miało wielką wartość dla ciebie. Nieprawdaż?

– Istotnie, niezupełnie się pomyliłeś.

– A teraz? Wyznaj prawdę!

– Każdy biały ceni wartość mienia, ja nie pożądam martwych skarbów i powierzchownych uciech. Prawdziwe szczęście opiera się jedynie na skarbach zebranych w sercu,

– Wiedziałem, że dziś tak powiesz. Wiadomo ci, że ja znałem i znam wiele miejsc, gdzie znajduje się złoto w żyłach jako nuggety i jako piasek. Wystarczyłoby wskazać ci jedno z nich, a zostałbyś człowiekiem bogatym, nawet bardzo bogatym, lecz nie osiągnąłbyś szczęścia. Dobry, biały Manitou nie stworzył ciebie do bezczynnego rozkoszowania się bogactwem. Twoje silne ciało i twoja dusza są przeznaczone do czegoś lepszego. Jesteś mężem i winieneś nim pozostać. Dlatego zawsze trwałem przy postanowieniu, żeby nie powiedzieć ci o żadnym złożu złota. Czy gniewasz się na mnie za to?

– Nie – odrzekłem, zgodnie z prawdą. Stałem wobec najlepszego z przyjaciół, on zaś - widział przed sobą śmierć i powierzał mi swoją ostatnią wolę. Jakże mógłbym w tej chwili okazać niską żądzę złota?

– A przecież zobaczysz jeszcze złoto, dużo złota – mówił dalej – lecz ono nie jest przeznaczone dla ciebie. Jeśli umrę, odszukaj mogiłę mego ojca. Wiesz, gdzie ona jest. Kopiąc u jej stóp od strony zachodniej, znajdziesz testament Winnetou, którego wtedy już przy tobie nie będzie. Tam zapisałem moje ostatnie życzenia, a ty je spełnisz.

– Słowo moje jest jako przysięga! – zapewniłem go ze łzami w oczach. – Żadne niebezpieczeństwo, chociażby największe, nie powstrzyma mnie od wykonania tego, co tam napisałeś!

– Dziękuję ci! Rozmowa nasza skończona, nadszedł czas do natarcia. Wiem, że nie przeżyję tej walki, pożegnajmy się więc, mój drogi, kochany bracie! Dobry Manitou niechaj cię wynagrodzi za to, czym dla mnie byłeś. Serce moje czuje więcej, aniżeli mogą wyrazić słowa! Nie płaczmy, bo jesteśmy mężami! Pochowaj mnie w górach Gros Ventre nad brzegiem rzeki Metsur, na koniu, w pełnym uzbrojeniu i z moją srebrzystą strzelbą, która nie powinna przejść w niczyje ręce. A jeśli potem wrócisz do ludzi, z których żaden nie będzie cię tak kochał, jak ja cię kocham, to pomyśl czasem o swoim przyjacielu i bracie Winnetou, który cię błogosławi, ponieważ ty byłeś dlań błogosławieństwem!

Słyszałem, jak z trudem powstrzymywał szlochanie. Przyciągnąłem go oburącz do siebie i wybuchnąłem płacząc:

– Winnetou, mój Winnetou, to tylko przeczucie, cień, który przeminie. Musisz zostać przy mnie, nie możesz odejść!

– A jednak odchodzę – odrzekł cicho, ale stanowczo, wyrwał się z moich objęć i zawrócił ku obozowi.

Idąc za nim, na próżno szukałem w myśli środka, który by go nakłonił do powstrzymania się od udziału iv czekającej nas walce.

Nie wymyśliłem żadnego, bo żadnego nie było, Co bym był dał wtenczas i dziś jeszcze za to, gdybym mógł znaleźć jakieś wyjście!

Byłem do głębi wzruszony, a on także, pomimo wielkiej władzy nad sobą, nie mógł opanować wzruszenia. Głos drżał mu jeszcze, gdy wzywał ludzi:

– Już całkiem ciemno. Ruszajmy! Niech moi bracia idą za mną!

Wspięliśmy się jeden za drugim pod górę, tą samą drogą, którą Winnetou odbył ze mną. Ciche wdrapywanie się było teraz, w ciemności, o wiele trudniejsze aniżeli przedtem i godziny upłynęły, zanim dostaliśmy się do krateru. W dole płonęło olbrzymie ognisko, a przy jego świetle ujrzeliśmy jeńców i ich dozorców. Ani jedno słowo, ani jeden dźwięk nie dochodził do nas na górę.

Przymocowaliśmy najpierw linę do głazu i czekaliśmy na pojawienie się naszych ognisk. Wkrótce ukazało się na wschodzie pięć płomieni, podobnych do ognisk obozowych. Z zaciekawieniem popatrzyliśmy w głąb kotła. Nie pomyliliśmy się, gdyż niebawem wyszedł ze szczeliny jeden z dzikich i powiedział coś do pozostałych. Na to zerwali się oni natychmiast i udali się za nim do szczeliny, aby się przyjrzeć ogniom.

Nasza godzina wybiła. Chwyciłem początek liny, aby być pierwszym, ale Winnetou wyjął mi go z ręki.

– Wódz Apaczów prowadzi – rzekł. – Niech mój brat idzie za nim!

Umówiliśmy się, że nasi wyruszą za nami w takich odstępach, żeby, gdy lina dosięgnie ziemi, znajdowało się na niej tylko po czterech na raz. Winnetou pierwszy uczepił się liny. Zaczekałem, aż dotarł do pierwszego występu skalnego, i zsunąłem się za nim, za mną Fred. Spuszczaliśmy się w dół o wiele prędzej, aniżeli sądziliśmy pierwotnie, gdyż ledwie mogliśmy się utrzymać. Na szczęście lina była mocna i nie groziło jej urwanie.

Oczywiście strąciliśmy z sobą mnóstwo kamieni, czego, z powodu ciemności, nie podobna było uniknąć. Zdaje się, że kamień uderzył jedno z dzieci, gdyż zaczęło krzyczeć. Natychmiast ukazała się w szczelinie, oświetlonej ogniskiem, głowa Indianina. Usłyszał widocznie, że spadają kamienie, bo spojrzał w górę i wydał głośny okrzyk ostrzegawczy.

– Naprzód, Winnetou! – zawołałem - inaczej wszystko przepadło!

Nasi towarzysze, znajdujący się na górze, zauważyli, co się na dole dzieje, i czym prędzej spuścili linę. W pół minuty potem byliśmy już na ziemi, ale równocześnie błysnęły ze szczeliny dwa strzały. Winnetou runął na ziemię.

Stanąłem, nie mogąc zrobić kroku z przerażenia.

– Winnetou, mój przyjacielu – zawołałem – czy cię kula trafiła?!

– Winnetou umiera – odparł z bólem Apacz,

Na to porwała mnie wściekłość, której nie zdołałem się oprzeć. W tej chwili właśnie schodził za mną Walker.

– Winnetou umiera! – rzekłem doń. – Dalej na nich!

Nie tracąc czasu na zdejmowanie sztucera z pleców ani na pochwycenie noża lub rewolweru rzuciłem się z podniesionymi pięściami na pięciu Indian, którzy tymczasem wypadli ze szczeliny. Pierwszy z nich był wodzem. Poznałem go natychmiast.

– Koi-tse, giń! – krzyknąłem.

Palnąłem go pięścią w skroń, a on padł na ziemię jak kłoda. Stojący obok niego dziki podniósł już na mnie tomahawk. Wtem blask ognia oświetlił moją twarz, a on opuścił z przerażeniem topór wojenny.

– Ka-ut-skamasti – Old Shatterhand, – krzyknął.

– Tak, tu jest Old Shatterhand, giń! – odpowiedziałem.

Nie poznawałem samego siebie. Za drugim uderzeniem padł drugi Indianin.

– Ka-ut-skamasti! – powtórzyli przerażeni Indianie.

– Old Shatterhand, to wy, Charles? – zawołał także Walker. – O, teraz pojmuję wszystko. Wygraliśmy! Naprzód!

Dostałem nożem w ramię, ale nie czułem tego. Dwaj dzicy padli od strzałów Freda, a trzeciego ja powaliłem. Tymczasem schodziło coraz więcej naszych, mogłem więc im pozostawić resztę Indian. Sam zbliżyłem się do Winnetou i ukląkłem obok niego na ziemi.

– Gdzie mego brata ugodziła kula? – spytałem.

– Ntsage tche – tu w pierś – odrzekł cicho, kładąc lewą rękę na prawej stronie piersi ociekającej krwią.

Wydobyłem zza pasa nóż i rozciąłem koszulę, która podsunęła mu się wysoko pod brodę. Tak, kula weszła do płuc. Porwał mnie ból, jakiego nie doznałem przez całe życie.

– Jest jeszcze nadzieja, mój bracie – pocieszałem go.

– Niechaj mnie mój brat weźmie na swoje kolana, żebym się mógł przypatrzeć walce! – prosił.

Spełniłem jego prośbę. A on siedząc w tej postawie, patrzył, jak każdego Indianina, który się tylko pokazał w szczelinie, braliśmy w nasze ręce. Zwolna zeszli na dół wszyscy nasi ludzie. Jeńcy uwolnieni z więzów zaczęli głośno okazywać swą radość i wdzięczność. Lecz ja nie zważałem na to wszystko; patrzyłem tylko na umierającego przyjaciela. Krew przestała mu już płynąć z rany. Przeczuwałem, że teraz nastąpi wewnętrzny krwotok.

– Czy mój brat ma jeszcze jakieś życzenie? – zapytałem.

Winnetou zamknął oczy i nic nie odpowiedział, ja zaś trzymałem w rękach jego głowę, nie ważąc się zrobić najmniejszego ruchu.

Stary Hillman i inni wyswobodzeni osadnicy pochwycili rozrzuconą dokoła broń i wtargnęli do szczeliny. Lecz i to mnie nie obchodziło, gdyż wzrok mój spoczywał na rysach twarzy jakby odlanych z brązu i zamkniętych oczach Apacza. Później podszedł do mnie Walker, także zakrwawiony, i oznajmił:

– Wszyscy już wykończeni.

– I on gaśnie! – odrzekłem. – Tamci wszyscy nic nie znaczą wobec jego jednego!

Apacz leżał ciągle jeszcze bez ruchu. Zacni i dzielni kolejarze i osadnicy stali dokoła głęboko wzruszeni. Nareszcie Winnetou otworzył oczy.

– Czy mój brat ma jeszcze jakieś życzenie? – powtórzyłem.

On zaś skinął głową i rzekł z cicha:

– Niech mój brat Szarlih zaprowadzi tych ludzi w góry Gros Ventre. Nad rzeczką Metsur znajdą drogie kamienie, Oni na to zasłużyli.

– Może coś jeszcze polecisz?

– Niechaj mój brat nie zapomni Apacza i modli się za niego do wielkiego, dobrego Manitou. Czy osadnicy mogliby mimo pokaleczenia wspiąć się na górę?

Potwierdziłem to pytanie, chociaż widziałem, że ich ręce i nogi ucierpiały bardzo od więzów.

– Winnetou prosi ich, żeby mu zaśpiewali jego pieśń...

Osadnicy usłyszeli te słowa. Nie czekając mej prośby stary Hillman dał znak. Wdrapali się więc na wyskok skalny tuż nad głową Winnetou, aby spełnić ostatnią wolę mego przyjaciela.

Oczy jego poszły za nimi i zamknęły się, gdy stanęli na górze. Umierający ujął mnie za obie ręce i zaczął nadsłuchiwać pieśni.

Potem przycisnął ręce moje do swej zranionej piersi, chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz już. nie zdołał. Przyłożyłem ucho prawie do samych jego ust, on zaś wyszeptał ostatnim wysiłkiem niknącego życia:

– Szarlih... Winnetou jest chrześcijaninem. Bądź zdrów!...

Przedśmiertne drżenie przebiegło po jego ciele, strumień krwi wypłynął z ust. Wódz Apaczów uścisnął jeszcze raz moje ręce i wyprężył się cały. Palce jego otwarły się, uścisk na rękach zelżał... mój przyjaciel nie żył.

Cóż mogę jeszcze o tym opowiedzieć? Prawdziwy smutek nie zna słów! Oby rychło nadszedł czas, w którym takie krwawe dzieje opowiadano by już tylko jako przebrzmiałe legendy!

Staliśmy niejednokrotnie oko w oko ze śmiercią. Dziki Zachód nakazuje być w każdej chwili przygotowanym na nagły koniec. A jednak na widok trupa najlepszego, najwierniejszego z przyjaciół, jakiego kiedykolwiek miałem, omal mi serce nie pękło. Mój stan duchowy nie da się opisać. Jak niezwykły był z niego człowiek! A teraz zgasł, zgasł tak nagle! Tak samo wygaśnie wkrótce cała jego rasa, której on był najszlachetniejszym synem.

Nie spałem przez całą noc, nie mówiąc do nikogo ani słowa. Oczy moje gorzały, choć nie potoczyła się z nich ani jedna łza. Winnetou leżał na moich kolanach, tak jak umarł. O czym wtedy myślałem, co czułem? Któż by się o to pytał? Gdyby to było możliwe, jakżeż chętnie podzieliłbym się z nim dalszym moim życiem! Tak jak on teraz na moich, tak na jego kolanach umarł Kleki-Petra, a potem siostra jego Nszo-czi.

Nie zawiodło go zatem przeczucie śmierci. Przewidując ją, oznaczył miejsce, w którym chciał być pochowany. Ponieważ osadnicy spodziewali się tam znaleźć półszlachetne kamienie, przeto chętnie zgodzili się mi towarzyszyć, co ułatwiło przeniesienie zwłok mego ukochanego zmarłego,

Nazajutrz rano opuściliśmy górę, gdyż lada chwila mogli wrócić dzicy. Zwłoki Apacza-owinięto w koc i przymocowano do konia. Stąd do gór Gros Ventre były tylko dwa dni drogi. Skierowaliśmy się tam jak najostrożniej, żeby Indianie nie odkryli naszych śladów.

Wieczorem drugiego dnia dojechaliśmy do rzeczki Metsur. Tam złożyliśmy Indianina na wieczny spoczynek z honorami, należnymi tak wielkiemu wodzowi. Siedzi on na zastrzelonym w tym celu koniu w pełnym uzbrojeniu wojennym wewnątrz usypanego nad nim kurhanu. Nad kurhanem tym nie powiewają skalpy zabitych nieprzyjaciół, jak się to zwykle widzi na grobowcach wodzów, lecz widnieje nad nim krzyż.

W dolinie znalazły się nie tylko obiecane kamienie, lecz w jednym miejscu nawet złoże złotego piasku, które robotnikom kolejowym wynagrodziło sowicie pogoń za Ogellallajami. Część robotników postanowiła zostać tu razem z Hillmanem i jego towarzyszami i założyć osadę pod nazwą Helldorf. Reszta powróciła do Echo Canyon, gdzie się dowiedzieli, że herszt rozbójników Haller umarł z powodu rany. Innych pojmanych razem z nim napastników ukarano.

ROZDZIAŁ VIII

TESTAMENT APACZA

Winnetou nie żyje! Te trzy słowa wystarczą na określenie nastroju, w jakim się wówczas znajdowałem. Myślałem, że nie zdołam rozłączyć się z jego mogiłą. Kilka pierwszych dni siedziałem przy niej w milczeniu, przypatrując się ożywionemu ruchowi ludzi zakładających nową osadę. Powiadam, że się przypatrywałem, ale nic właściwie nie widziałem. Dochodziły mnie ich głosy, ale nic nie słyszałem. Byłem nieobecny duchem. Mój stan podobny był do stanu człowieka, który na wpół ogłuszony z powodu uderzenia w głowę, słyszy wszystko jakby z daleka i widzi jak przez matową szybę. Było to prawdziwe szczęście, że czerwonoskórzy nie znaleźli naszych śladów i miejsca obecnego pobytu. Teraz nie sprostałbym im w walce. A może takie niebezpieczeństwo wyrwałoby mnie z mojego odrętwienia?

Zacni osadnicy usiłowali zająć mnie swoimi czynnościami, lecz wynik ich starań był bardzo mizerny. Minęło kilka dni, zanim się trochę opamiętałem i zacząłem im pomagać. Dobroczynne działanie tej zmiany nie kazało długo na siebie czekać. Musiano wprawdzie przemocą wydobywać ze mnie każde słowo, lecz wnet wróciła mi dawna energia i niebawem znów byłem tym, którego rada i zdanie kierowały innymi.

Trwało to dwa tygodnie, po czym powiedziałem sobie, że nie mogę pozostać tu dłużej. Testament przyjacielu ciągnął mnie pod Nugget-tsil, gdzie pochowaliśmy Inczu-czunę i jego piękną córkę. Było też moim obowiązkiem pojechać nad Rio Pecos i zawiadomić Apaczów o śmierci najsłynniejszego i najlepszego z ich wodzów. Wiedziałem wprawdzie, jak szybko biegnie zwykle przez prerię wieść o takim zdarzeniu – mogła tam dojść nawet przede mną – musiałem jednak udać się tam, jako świadek tego smutnego wypadku i najpewniejszy sprawozdawca. Osadnicy nie potrzebowali mnie koniecznie, tym bardziej że Walker postanowił zabawić u nich przez pewien czas. Zacni towarzysze zgotowali mi serdeczne pożegnanie i wyruszyłem na moim szpaku w daleką drogę. Kto inny może na moim miejscu starałby się o ile możności jechać przez okolice zamieszkane. Ja postąpiłem odwrotnie – unikałem takich miejsc, nie chcąc widzieć nikogo, pragnąc być sam na sam ze swoim smutkiem.

Udawało mi się to aż do skrzyżowania Beaver Creek z północnym Canadianem. Tam przeżyłem niebezpieczne spotkanie z wodzem Komanczów, To-kej-chunem, któremu niegdyś uszliśmy tak szczęśliwie. Kiedy walczyliśmy z Siuksami na północy, Komancze wykopali znowu topór wojenny, a To-kej-chun poprowadził siedemdziesięciu wojowników do grobów wodzów na Świętej Żółtej Górze, aby wykonać tam taniec wojenny i odprawić czary. Podczas tego wpadło mu w ręce kilku białych, których przeznaczył na śmierć męczeńską przy palu. Udało mi się jednak ich uwolnić. Pomijam tu tę przygodę, ponieważ nie pozostaje w związku z Winnetou. Opowiem ją przy innej sposobności. Odprowadziłem wyswobodzonych białych aż do granicy Nowego Meksyku, gdzie im już nic nie groziło. Stamtąd mogłem się udać wprost nad Rio Pecos, ale testament Winnetou był przecież najważniejszy! Nie mogłem zbyt długo pozostawać w niepewności co do jego losów. Skierowałem się więc na południowy wschód, aby się najpierw dostać do Nugget-tsil.

Była to droga niebezpieczna, ponieważ wiodła przez kraj nieprzyjaznych mi Komanczów i Keiowehów, którym tym bardziej nie powinienem był się pokazywać. Napotykałem rozmaite tropy i ślady, byłem nadzwyczaj ostrożny i niepostrzeżony przez nikogo przybyłem szczęśliwie w pobliże rzeki Canadian. Tam natrafiłem na odciski kopyt prowadzące w tym samym kierunku, w którym jechałem. Nie chcąc się zetknąć z czerwonoskórymi ani zadawać się z

białymi, powinienem był zboczyć z tego szlaku, lecz wtedy musiałbym ogromnie nadrobić drogi, poza tym było to ważne, żeby się przekonać, czy to ślady Indian, czy białych. Pojechałem więc za tym tropem, który pozostawiono najwyżej przed godziną.

Niebawem stwierdziłem, że byli to trzej jeźdźcy, a wkrótce potem przybyłem na miejsce, gdzie się prawdopodobnie zatrzymali. Jeden z nich, jak mi się zdawało, zsiadł z konia, aby podciągnąć rozluźniony popręg. Ślad wskazywał na to, że jeździec miał buty. Był to więc biały, a ponieważ nie miałem powodów do przypuszczenia, żeby jeden biały jechał w towarzystwie dwóch Indian, przeto wywnioskowałem z łatwością, że wyprzedzały mnie trzy blade twarze.

Ani mi przez myśl nie przeszło zbaczać dla nich z mej dotychczasowej drogi. W razie spotkania nie musiałem się też do nich przyłączać. Jechali powoli, bo już w dwie godziny później ujrzałem ich przed sobą. Równocześnie zauważyłem wzgórza, miedzy którymi przewijała się rzeka.

Było to już pod wieczór, dlatego postanowiłem przenocować nad rzeką. Oni prawdopodobnie myśleli o tym samym, ale ja nie miałem zamiaru dotrzymywać im towarzystwa. Gdy zniknęli w krzakach, które pokrywały pagórki, pojechałem tam także, a kiedy wydostałem się nad rzekę, oni zdejmowali właśnie siodła z koni. Mieli wprawdzie dobre konie i broń, ale ich wygląd nie budził wielkiego zaufania.

Zlękli się spostrzegłszy mnie niespodzianie, uspokoili się jednak rychło, odpowiedzieli na moje powitanie, a gdy zatrzymałem się opodal, nie zbliżając się do nich, sami podeszli ku mnie.

– Toście nas przestraszyli! – rzekł jeden z nich.

– Czy trapi was nieczyste sumienie, że mój widok tak was przeraził? – spytałem.

– Pshaw! Sumienie nie przeszkadza nam spać, ale Zachód to niebezpieczna rzecz. Gdy tak znienacka wynurzy się obcy, to ręka mimo woli chwyta za nóż. Czy wolno spytać, skąd jedziecie?

– Od Beaver Fork.

– A dokąd dążycie?

– Nad Rio Pecos.

– To dalej niż my. My jedziemy tylko do Mugworthills.

To zwróciło moją uwagę, gdyż Mugworthills to ta sama grupa gór, którą Winnetou i jego ojciec nazywali Nugget-tsil. Czego chcieli tam ci trzej ludzie? Ja tam także podążałem, więc trzeba było się dowiedzieć, jakie ich wiodły zamiary.

– Mugworthilis? – zapytałem. – Cóż to za okolica?

– Bardzo piękna. Rośnie tam mnóstwo dzikiej bylicy, a bylica znaczy właśnie mugwort. Ale można tam znaleźć także co innego.

– Co?

– Hm! Tego wam nie powiem, bo zaraz byście zechcieli udać się do Mugworthilis.

– Papla! – huknął nań drugi. – Nie gadajże tak głupio!

– Pshaw! O czym się chętnie myśli, to się ciśnie na język. Kto wy właściwie jesteście, panie nieznajomy?

Łatwo sobie wyobrazić, że to, co usłyszałem, bardzo mnie uderzyło. Mówił rzeczywiście o Nugget-tsil – ja sam widziałem tam podówczas dużo bylicy. Słowa jego brzmiały tak tajemniczo, że postanowiłem zostać z nimi nie wyjawiając kim jestem. Odpowiedziałem zatem na ostatnie pytanie:

– Jestem traperem, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– Nie mamy nic przeciwko temu. A wasze nazwisko? A może wolicie je zataić?

– Nie. Śmiało mogę je każdemu wymienić. Jestem Jones.

– Rzadkie nazwisko, nader rzadkie!–zaśmiał się. – Czy też zdołamy je zapamiętać! Gdzie wasze sidła?

– Odebrali mi je Komancze razem z tym, co przez dwa miesiące upolowałem.

– O, to szczęście nie było dla was łaskawe!

– Niestety! Cieszę się jednak, że przynajmniej uszedłem z życiem.

– Wierzę. Nie oszczędzają oni białych, zwłaszcza teraz!

– Czy Keiowehowie nie są tacy sami?

– Jeszcze gorsi.

– A mimo to wy zapuszczacie się do ich kraju?

– To co innego. My się ich nie boimy, bo mamy dobrą opiekę. Nasz towarzysz, mr. Santer, jest przyjacielem ich wodza Tanguy.

Santer! Można sobie wyobrazić, że mnie to nazwisko po prostu zelektryzowało. Z trudem tylko ukryłem swoje zdumienie pod maską obojętnej miny. Ci ludzie znali Santera! Teraz było już pewne, że się do nich przyłączę, gdyż oni mogli mieć na myśli tylko jednego Santera. Tego, który się nam kilka razy wymknął i który był właśnie przyjacielem Tanguy.

– Czy to wpływowy człowiek ten Santer? – pytałem dalej.

– Niewątpliwie! Przynajmniej u Keiowehów. Ale może zsiądziecie z konia? Wieczór nadchodzi, najlepiej więc przenocować nad rzeką, gdzie jest woda i pasza dla konia.

– Hm! Ja was nie znam, a wy sami powiedzieliście przed chwilą, że należy być ostrożnym.

– Czy wyglądamy na złych ludzi?

– Nie, ale zapytywaliście mnie o nazwisko, sami zaś nie powiedzieliście, kim jesteście.

– Zaraz się dowiecie. Jesteśmy westmanami, a trudnimy się raz tym, raz owym. Żywi się człowiek jak może. Ja nazywam się Gates, ten obok mnie mr. Clay, a trzeci mr. Summer. Czy wam to wystarcza?

– Tak!

– To zsiądźcie nareszcie albo jedźcie dalej! Nie krępujcie się nami zupełnie!

– Jeśli pozwolicie, to zostanę z wami. W tych stronach zawsze lepiej przebywać w kilku.

– Well! Z nami będziecie bezpieczni. Nazwisko Santera chroni nas wszystkich.

– Co to właściwie za dżentelmen ten Santer? – pytałem dalej, zsiadłszy z konia.

– Dżentelmen w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Zaskarbi sobie naszą wdzięczność, jeśli spełni to, co nam przyrzekł.

– Znacie go już od dawna?

– Nie. Dopiero niedawno spotkaliśmy się z nim po raz pierwszy.

– Gdzie?

– W forcie Arkanzas. Ale czemu tak o niego pytacie? Czy to wasz znajomy?

– Czy pytałbym o znajomego, panie Gates?

– Hm! To całkiem słuszne!

– Twierdzicie, że jego nazwisko zapewnia wam bezpieczeństwo, a ponieważ ja jestem z wami, przeto korzystam także z jego ochrony. Musi mnie więc zajmować. Nieprawdaż?

– Tak! Siądźcie tu z nami i rozgośćcie się! Macie co do jedzenia?

– Kawałek mięsa.

– My mamy więcej. Jeśli wam nie wystarczy, dostaniecie od nas.

Z początku uważałem ich za włóczęgów, teraz jednak, przypatrzywszy się im lepiej, gotów byłem wziąć ich za ludzi uczciwych, oczywiście wedle pojęcia panującego na Zachodzie, gdzie obowiązuje inna miara moralności. Zaczerpnęliśmy sobie wody z rzeki i jedliśmy mięso. Oni oglądali mnie ciekawie od stóp do głów. Wreszcie przemówił Gates, który, jak się zdawało, występował w imieniu wszystkich.

– A zatem postradaliście futra i sidła? To szkoda. Jakże wyżywicie się teraz?

– Na razie będę polował.

– A jak z waszymi strzelbami? Widzę, że macie aż dwie.

– Z tego starego grzmotu strzelam kulami, a z tej małej strzelby – śrutem.

Sztucer wiozłem ze sobą w futerale. Gdybym wymienił nazwy obu strzelb, poznaliby od razu, kim jestem.

– Dziwny z was człowiek. Włóczycie z sobą dwie strzelby, jedną na kule, a drugą na śrut. Wszak na to jest dubeltówka, z jedną lufą na kule, a drugą na śrut!

– To słuszne, ale ja przywykłem do tej starej pukawki.

– A co będziecie robić nad Rio Pecos, mr. Jones?

– Nic szczególnego. Podobno łatwiej tam polować niż tu.

– Jeśli sądzicie, że Apacze pozwolą wam u siebie polować, to was źle poinformowano. Nie wierzcie w to! Tu zabrano wam tylko futra i sidła, a tam możecie łatwo postradać własną skórę. Czy koniecznie musicie tam jechać?

– Wcale nie.

– To chodźcie z nami!

– Z wami? – udałem zdziwionego.

– Tak.

– Do Mugworthills?

– Tak.

– A po co?

– Hm! Nie wiem, czy mogę wam to powiedzieć. Co wy na to, Clay i Summer?

Obaj zapytani spojrzeli na siebie, po czym Clay odpowiedział:

– Nie wiem. Mr. Santer zakazał nam o tym mówić, ale dodał przy tym, że zdałaby mu się do tej roboty więcej odpowiednich ludzi. Rób, jak uważasz!

– Well! – potwierdził Gates. – Skoro mr. Santer stara się jeszcze o innych ludzi, to my możemy także kogoś dla niego zwerbować. A więc nic was teraz nie wiąże, mr. Jones?

– Nie – odrzekłem.

– A .macie czas?

– Aż za wiele!

– Czy wzięlibyście udział w robocie, która może przynieść dużo, dużo pieniędzy?

– Czemu nie? Każdy chętnie zarabia, a jeśli ma być tego nawet dużo, nie wiem, dlaczego miałbym odmawiać. Muszę jednak wiedzieć, o co idzie.

– Oczywiście! To jest właściwie tajemnica, ale wasza rzetelna i dobroduszna twarz świadczy o tym, że nie bylibyście zdolni nabrać nas ani oszukać.

– Na tyle jestem uczciwy; możecie być pewni.

– Wierzę! Udajemy się więc do Mugworthills, aby szukać nuggetów.

– Nuggetów! – zawołałem. – A są tam?

– Nie krzyczcie tak! Prawda, że was to nęci? Tak, tam są nuggety.

– Od kogo o tym wiecie?

– Właśnie od mr. Santera.

– Czy on je widział?

– Nie, bo w takim razie nie brałby nas z sobą, lecz zachowałby całe złoże dla siebie.

– A więc nie widział? Przypuszcza tylko? Hm!

– On jest pewny, że one tam są, tylko nie zna dokładnie miejsca.

– To szczególne.

– Szczególne, a jednak prawdziwe. Wytłumaczę wam to jasno, tak jak on nam to przedstawił. Czy słyszeliście kiedy o niejakim Winnetou?

– O wodzu Apaczów? Tak..

– A znacie niejakiego Old Shatterhanda?

– Opowiadano mi o nim,

– Ci dwaj żyją z sobą w wielkiej pżyjażni i byli raz dawniej pod Mugworthills z ojcem Winnetou oraz innymi czerwonoskórymi i białymi. Mr. Santer podsłuchał, że Winnetou udaje się z ojcem w góry po nuggety, doszedł więc do przekonania, że złoto leży tam chyba masami, skoro Indianie biorą stamtąd, ile chcą i kiedy chcą. Sądzę, że dobrze wywnioskował.

– Bez wątpienia.

– Słuchajcie dalej. Mr. Santer stanął na czatach, aby pójść za obydwoma Apaczami i odnaleźć to miejsce. Nie można mu tego brać za złe, bo w końcu co tym czerwonoskórym po złocie, którego nie potrzebują? Nie znają się zresztą na tym.

– Czy mu się udało?

– Niestety, niezupełnie. Poszedł on za nimi (a była z nimi także siostra Winnetou), kierując się ich śladami, a na tym, jak wiecie, traci się zawsze sporo czasu. Kiedy się zbliżył do tego miejsca, oni już stamtąd wracali.

Powiedzcie teraz, czy to nie paskudna historia!

– Wcale nie paskudna!

– Nie? Jak to?

– Mógł ich spokojnie przepuścić obok siebie, a potem pójść dalej ich śladem, który zaprowadziłby go do nuggetów.

– Do stu piorunów! To prawda! Niezły z was ptak, jak widzę. Możecie się nam przydać. Stało się niestety inaczej. On sądził, i to całkiem słusznie, że oni mają dużą część nuggetów przy sobie, i strzelił do nich, aby im je odebrać.

– Czy trafił dobrze?

– Tylko stary i dziewczyna padli nieżywi. Tam też znajdują się ich groby. Santer byłby przeszył także kulą Winnetou, ale musiał uciekać, gdyż nagle przybył na pomoc swojemu przyjacielowi Old Shatterhand, który potem ścigał Santera z białymi i czerwonoskórymi i zapędził go aż do Keiowehów. Santer zaprzyjaźnił się z ich wodzem. Nieraz potem wracał jeszcze do Mugworthills, mało sobie oczu nie wypatrzył, ale nic nigdy nie znalazł. Teraz dopiero wpadł na dobrą myśl, żeby zwerbować ludzi do pomocy w poszukiwaniach. Kilku zobaczy zawsze więcej aniżeli jeden. My trzej właśnie mamy mu pomóc, a jeśli chcecie, to możecie i wy z nami pojechać.

– Czy spodziewacie się powodzenia?

– Nawet bardzo. Czerwonoskórzy tak prędko powrócili wtedy ze złotodajnego miejsca, że nie może ono leżeć daleko od punktu, w którym mr. Santer ich spotkał. Należy więc przeszukać tylko małą przestrzeń. Jeślibyśmy i wtedy złota nie znaleźli, to chybaby się diabeł w to wdał. Czasu nam przecież nie braknie. Będziemy szukali tygodniami i miesiącami, gdyż nikt nas stamtąd nie wypędzi. Cóż wy na to wszystko?

– Hm! Właściwie nie podoba mi się ta cała sprawa.

– Dlaczego?

– Przylgnęła do niej krew.

– Nie bądźcie głupi. Czy to wy albo my przelaliśmy tę krew? Czy to nasza wina? Bynajmniej! Zresztą o co chodzi? O dwóch zastrzelonych dzikich? I tak wszyscy oni będą wytępieni i zmieceni z powierzchni ziemi. Co się przedtem stało, to nas nic nie obchodzi. My szukamy złota. Jeśli znajdziemy, podzielimy się i będziemy żyli jak milionerzy.

Dowiedziałem się zatem od razu, jakich ludzi miałem przed sobą. Nie należeli oni do wyrzutków społeczeństwa, jakich często już spotykałem, ale życie Indianina nie przedstawiało dla nich wartości większej od życia zwierzyny łownej, którą każdy może zastrzelić. Nie byli jeszcze starzy i nie postępowali też jak doświadczeni, ostrożni ludzie, gdyż nie powierzyliby mi tak prędko swej tajemnicy i nie zaofiarowali koleżeństwa tylko z powodu mej uczciwej twarzy.

Nie potrzebuję chyba podkreślać, jaką. niespodziankę sprawiło mi to spotkanie i jak mi było ono na rękę. Znowu mogłem mieć Santera na oku! Ale miałem nadzieję, że już tym razem nie ujdzie z moich rąk. Nie okazałem jednak po sobie niczego, pokręciłem głową w jedną i w drugą stronę jakby pod wpływem wątpliwości i odpowiedziałem na wywód Gatesa:

– Chciałbym zdobyć nuggety, ale zdaje mi się, że ich nie dostaniemy, choćbyśmy je nawet znaleźli.

– Co wygadujecie! Skoro je znajdziemy, to będziemy je mieli.

– Ale jak długo?

– Dopóki nam się spodoba. Chyba nikomu z nas nie przyjdzie na myśl je wyrzucić!

– A jeśli nam je odbiorą?

– Kto taki?

– Santer.

– Co? Wy chyba sami nie wierzycie w to, co mówicie!

– Czy wy go dobrze znacie?

– Pod tym względem tak!

– A poznaliście go dopiero niedawno!

– To porządny człowiek. Kto nań spojrzy, nie może wątpić o jego uczciwości. A zresztą wszyscy go chwalą, kogo tylko pytaliśmy o niego w forcie.

– A gdzie on jest teraz?

– Rozstał się z nami wczoraj, by pojechać nad Salt Fork, gdzie znajduje się wieś Tanguy, wodza Keiowehów. My tymczasem mamy udać się do Mugworthills.

– Czego Santer tam szuka?

– Wiezie Tanguie bardzo ważną i przyjemną dla niego wiadomość, że Winnetou już nie żyje.

– Jak to? Winnetou umarł?

– Tak. Siuksowie go zastrzelili. Tangua, który był śmiertelnym wrogiem Winnetou, nie będzie się posiadał z radości na tę wieść. Mr. Santer zboczył więc umyślnie z naszej drogi, a spotkamy się znowu pod Mugworthills. To czcigodny dżentelmen, który pragnie naszego dobra. Z pewnością i wam się także spodoba, gdy go tylko ujrzycie.

– Miejmy nadzieję, ale radzę, żebyśmy byli ostrożni!

– Wobec niego?

– Tak.

– Mówię wam, że nie ma najmniejszego powodu do nieufności!

– A ja wam mówię, że wprawdzie gotów jestem przyłączyć się do was, lecz oczy będę miał szeroko otwarte. Kto dla kilku nuggetów strzela do dwojga ludzi, którzy nie zrobili mu nic złego, po tym można się spodziewać, że i nas zamorduje, aby posiąść całe złoto, gdy je znajdziemy.

– Mr. Jones, co... co... wy?...

Gates nie skończył zdania i wytrzeszczył z przerażeniem oczy. Clay i Summer zrobili też przestraszone miny,

– Tak – mówiłem dalej – to nie tylko możliwe, lecz nawet prawdopodobne, że Santer wezwał was na pomoc z tym silnym postanowieniem, iż was potem w niegodziwy sposób usunie, skoro tylko skarb się znajdzie.

– To tylko wasze urojenia!

– Wcale nie urojenia! Jeśli rozważycie rzecz dobrze i bez uprzedzeń co do moich słów, to musicie dojść do tego samego wniosku. Po pierwsze, wyobraźcie sobie, że ten człowiek jest przyjacielem Tanguy, znanego jako największy i najbardziej nieubłagany wróg wszystkich bladych twarzy! W jaki sposób mógł on posiąść jego przyjaźń?

– Tego nie wiem.

– Tego nie trzeba wiedzieć, to można sobie bardzo łatwo wyobrazić.

– A cóż wy sobie wyobraziliście, mr. Jones?

– Kto jest przyjacielem wroga wszystkich białych, ten musiał dowieść, że także nie dba o życie białych, a to jest dostateczny powód, żeby być wobec Santera bardzo ostrożnym. Mam słuszność, czy nie?

– To przynajmniej brzmi tak, że można tego słuchać. Cóż jeszcze do tego dodacie?

– To, co już raz powiedziałem.

– Że zabił dwóch dzikich?

– Tak.

– Tego nie biorę mu za złe. W moich oczach to jeszcze nie jest powód, żeby komuś nie ufać i uważać go za złoczyńcę.

– Czy nie czujecie, że przez takie stanowisko sami sobie wystawiacie niedobre świadectwo?

– Nie. Indianie to łotry, których należy tępić.

– Oni są także ludźmi i mają swoje prawa, które my winniśmy uszanować!

– Mówicie bardzo humanitarnie! Ale gdyby nawet słuszność była po waszej stronie, to nie rozumiem, dlaczego śmierć dwóch dzikich miałaby być czymś nie do przebaczenia.

– Nie?...

– Nie. Wszystko należy brać ze strony praktycznej. Chyba zdajecie sobie sprawę z tego, że Indianie zostaną wytępieni,

– Niestety, nie mogę temu zaprzeczyć.

– Skoro więc wszyscy muszą zniknąć z powierzchni ziemi, to obojętną jest rzeczą, czy dwaj z nich zginą o kilka dni prędzej, niż im to było przeznaczone. Z tego punktu widzenia człowiek, który ich śmierć sprowadził, nie jest mordercą: uprzedził tylko cokolwiek przeznaczenie.

– Szczególna jest ta wasza praktyczna moralności Czy tego nie widzicie?

– Może jest ona i szczególna, ale nie zaszkodziłoby wam, gdybyście ją sobie trochę przyswoili.

– Well, zobaczymy, jak się cała ta sprawa przedstawia z waszego stanowiska. Więc sądzicie, że mr. Santer nie zasługuje na potępienie?

– Pewnie, że nie.

– A zatem to, że zastrzelił wodza Apaczów i jego córkę, nie jest podłością? Przypuśćmy, że i moje zdanie jest takie, ale teraz nasuwa się bardzo praktyczne pytanie: dlaczego ich zastrzelił?

– Aby się dowiedzieć o miejscu, w którym ukrywali złoto.

– Nie. Nie dlatego!

– Nie dlatego? A więc dlaczego?

– Aby się dowiedzieć o tym miejscu, nie musiał jeszcze pozbawiać ich życia. Gdyby ich puścił z życiem, a po ich odejściu zbadał, gdzie byli, znalazłby prawdopodobnie to, czego szukał. Wszak powiedział wam, że bardzo prędko wrócili. Wobec tej szybkości i pośpiechu nie zdążyli chyba zatrzeć tak dokładnie śladów, żeby ich nie można już było zobaczyć. Nie byli też zapewne zbyt ostrożni, gdyż zdawało im się, że są w Mugworthills zupełnie sami.

– Ale to niczego nie zmienia. Przyznam się otwarcie, że nie wiem, jak zamierzacie tym obalić moje zdanie, mr. Jones!

– Zaraz to usłyszycie. Santer nie zastrzelił obojga Indian po to, aby odkryć złotodajne miejsce, lecz aby dostać nuggety, które oni mieli przy sobie.

– To i cóż z tego! To jedno i to samo!

– Tak – dla niego i dla zastrzelonych, ale nie dla nas.

– Czemu nie?

– Jak sądzicie, mało, czy dużo było złota w kryjówce?

– Dużo, pewnie, że dużol Nie zdołam wprawdzie tego dowieść, lecz wyobrażam sobie, że dużo.

– A ja potrafię to udowodnić.

– Wy? – zapytał zdziwiony.

– Tak. Wystarczy trochę pomyśleć. Jeśli się nawet nie zna Mugworihills, to można przypuścić, że nie ma tam naturalnych złóż złota, lecz że musiano je tam zgromadzić. Ilekroć zaś Indianie zadają sobie tak wiele trudu, by taki skarb zgromadzić, nie czynią tego nigdy dla byle głupstwa.

– To słuszne!

– Było więc tam dużo, bardzo dużo złota. To, co zabrali Winnetou i jego ojciec, było tylko małą cząstką, prawda?

– Macie słuszność.

– I dla takiego głupstwa zabił mr. Santer dwoje ludzi!

– Hm, tak, ale to było praktyczne. Chciał zdobyć i tę małą sumę.

– Czyż jeszcze nie pojmujecie, do czego zmierzam? Ta praktyczność, którą tak usprawiedliwiacie, może się stać dla nas wysoce niebezpieczna.

– Niebezpieczna? Jak to?

– Wyobraźcie sobie, że udajemy się do Mugworthills i znajdujemy cały skarb; potem...

– Potem dzielimy go natychmiast między siebie – wtrącił prędko mój rozmówca przerywając mi w pół zdania.

– Tak, dzielimy. Jak sądzicie, Ile otrzyma każdy z nas?

– Któż to może przewidzieć? Trzeba wprzód wiedzieć, ile tam jest tego złota.

– Nic by to nie pomogło, gdyż mr. Santer zażąda dla siebie lwiej części, a nam przyzna tylko tyle, ile mu się spodoba.

– Nie, tego on nie uczyni. Mylicie się stanowczo!

– A ja jednak trwam przy swoim twierdzeniu.

– Podział będzie bardzo uczciwy, nikt nie otrzyma więcej niż pozostali.

– Nawet Santer nie?

– Nie.

– Czy on wam to powiedział?

– Tak. Nie tylko powiedział, lecz nawet potwierdził uściskiem ręki.

– I wydał wam się przy tym szlachetnym?

– Oczywiście! To najporządniejszy i najwytworniejszy człowiek, jakiego sobie można wyobrazić!

– A wy jesteście najbardziej dziecinnymi z ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem.

– Jak to?

– Bo wierzycie temu przyrzeczeniu.

– Cóż w tym dziwnego?

– Czy trzeba wam to dopiero tłumaczyć?

– Pewnie, że tak!

– Człowiek, który dla kilku nuggetów zabija dwoje ludzi, jest tak opanowany żądzą złota, że nawet mu nie przyjdzie na myśl dzielić się z wami w ten sposób.

– To było dwoje dzikich!

– Ale w każdym razie dwoje ludzi, którzy nie wyrządzili mu nic złego! Nie ulega wątpliwości, że gdyby to byli biali, to także sprzątnąłby ich z drogi bez wahania.

– Hm! – mruknął Gates z niedowierzaniem.

– Ja tak twierdzę, a nawet idę dalej w swoich przypuszczeniach. Santer obiecał wam, że dostaniecie tyle,. co i on, a ja sądzę...

– Ze dotrzyma słowa i odda nam część, która nam się będzie należała – wtrącił Gates.

– Być może, że nam coś da, będąc przekonany, że otrzyma to wszystko z powrotem.

– Drogą rabunku?

– Tak. Przecież część przypadająca na każdego z nas będzie w każdym razie sto lub więcej razy większa od tego, co mieli wówczas przy sobie Indianie. Jeśli ich zastrzelił z chciwości, to przysiągłbym, że od chwili, w której my staniemy się posiadaczami złota, nie będziemy ani minuty pewni własnego życia!

– Poczekajcie, mr. Jones!

– Pewnie, że zaczekam.

– To wielka różnica, czy się strzela do Indian, czy do białych!

– Dla człowieka, którego porwała gorączka złota, ta różnica już nie istnieje,

– Hm! Nie mogę wam przyznać słuszności w tym wypadku, gdyż mr. Santer jest dżentelmenem w całym tego słowa znaczeniu.

– Cieszyłbym się, gdybyście się nie mylili!

– Założę się z wami, o co chcecie, mr. Jones! Przypatrzcie się tylko mr. Santerowi, a przekonacie się zaraz, że on w pełni zasługuje na zaufanie.

– Well! Jestem bardzo ciekawy chwili, w której go ujrzę.

– Jesteście tak pełni wątpliwości i podejrzeń jak kałuża ropuch i kijanek. Jeśli sądzicie, że grozi wam niebezpieczeństwo, to łatwo możecie go uniknąć.

– Jeśli nie pojadę do Mugworthills?

– Tak. Wszak nie musicie się przyłączać. W ogóle nie wiem, czy mr. Santer ucieszy się z tego, że was z sobą przyprowadzimy. Myślałem, że oddaję wam przysługę.

Powiedział to niemal odpychającym tonem, rozdrażniony, że nie zgadzam się z jego zdaniem na temat Santera. Ja zaś odparłem mu na to:

– Ja też uważam to za przysługę i dziękuję wam za nią.

– Okażcie więc swoją wdzięczność w inny sposób niż przez oczernianie dżentelmena, którego nie widzieliście jeszcze na oczy! Nie sprzeczajmy się dłużej, lecz zostawmy te rzeczy ich kolei.

Na tym zakończyliśmy ten temat i zaczęliśmy mówić o czym innym, przy czym udało mi się rozproszyć złe wrażenie, które sprawiła moja nieufność.

Jakżeż łatwo przyznaliby mi słuszność, gdybym mógł im powiedzieć, kim jestem. Ale nie mogłem tego ryzykować. Byli to niedoświadczeni i łatwowierni ludzie. Obawiałem się, że gdybym ich we wszystko wtajemniczył, byliby mi raczej zaszkodzili, aniżeli przydali się na coś.

Później udaliśmy się na spoczynek. Wprawdzie miejsce, w którym się znajdowaliśmy, uważałem za bezpieczne, mimo to przeszukałem starannie całe otoczenie, a nie znalazłszy nic podejrzanego zaniechałem czuwania. Oni zaś byli tacy naiwni, że wcale o potrzebie straży nie myśleli.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy razem do Mugworthills. Oni oczywiście nie wyobrażali sobie, że był to także cel mojej podróży.

Dzień przeszedł mi wśród ustawicznego niepokoju i troski. Oni jechali pewni siebie, bo byli przekonani, że przy spotkaniu z Keiowehami wystarczy, iż podadzą nazwisko Santera, tymczasem ja dobrze wiedziałem, że mnie ci czerwonoskórzy od razu poznają. Towarzysze moi uważali zatem wszelkie środki ostrożności za zbyteczne, ja zaś nie mogłem im się sprzeciwiać, nie chcąc wzbudzić podejrzenia ani ściągać na siebie ich gniewu. Szczęściem przez cały ten dzień nie spotkaliśmy żywej duszy.

Wieczorem rozłożyliśmy się obozem na otwartej prerii. Oni chcieli rozniecić ogień, lecz nie znaleźli opalu, co mnie w duchu ucieszyło. Zresztą nie było zimno i nie mieliśmy nic do pieczenia. Nazajutrz rano zjedliśmy przed wyruszeniem ostatek suszonego mięsa i odtąd mo-

gliśmy liczyć tylko na to, co upolujemy. Na ten temat zrobił Gates uwagę, z której uśmiałem się w duchu:

– Jesteście traperem, ale nie myśliwym, mr. Jones. Powiedzieliście wprawdzie, że umiecie strzelać, ale kto wie, czego byście w tym względzie dokazali. Czy traficie na odległość stu kroków do preriowego zająca?

– Stu kroków? – odrzekłem. – Hm! To trochę daleko!

– Od razu przypuszczałem, że nie trafilibyście. Wobec tego na próżno w ogóle dźwigacie ten stary grzmot. Z niego można by wieżę zestrzelić, a nie drobną zwierzynę, Ale nie troszczcie się o to, już my się postaramy o mięso.

– Trafiacie widać lepiej ode mnie?

– Tak nam się zdaje. Jesteśmy myśliwymi z prerii, prawdziwymi westmanami!

– To nie wystarcza.

– Tak? A czegóż jeszcze potrzeba?

– Zwierzyny. Umiejcie sobie strzelać, jak chcecie, jeśli tu nie ma zwierzyny, to i tak będziemy musieli cierpieć głód.

– Nie bójcie się o to! Już my ją znajdziemy!

– Tu, na sawannie? Tu są tylko antylopy, które nie dopuszczą nas na odległość strzału.

– Mądrze mówicie i trafiliście prawie w sedno. Ale w Mugworthills jest las, będzie więc i zwierzyna. Tak powiedział mr. Santer.

– Kiedyż tam dojedziemy?

– Może koło południa, jeśli, jak przypuszczam, dobrze jechaliśmy.

Nikt nie wiedział lepiej ode mnie, że jechaliśmy dobrze i że przed południem dostaniemy się do Nugget-tsil. Prowadziłem ich właściwie, choć tego dotąd nie zauważyli. Oni jechali ze mną, a nie ja z nimi.

Słońce nie doszło jeszcze do szczytu swej codziennej wędrówki, kiedy ujrzeliśmy na południu wznoszące się wśród równiny zalesione wzgórza, ku którym zdążaliśmy.

– Czy to są Mugworthills? – zapytał Clay.

– Tak – odparł Gates. – Mr. Santer opisał nam dokładnie, jak wyglądają od północy, a to, co tutaj widzimy, zgadza się z tym opisem. Za pół godziny będziemy u celu.

– Jeszcze nie – zaprzeczył Clay.

– Jak to?

– Zapomniałeś, że Mugworthills są od północy niedostępne dla jeźdźców.

– Wiem o tym dobrze. Miałem na myśli tylko to, że będziemy tam za pół godziny. Potem objedziemy Mugworthills dokoła i od południa wjedziemy w dolinę, która je przedziela.

Usłyszawszy, że Santer opisał im dokładnie teren, chciałem się przekonać, jak daleko sięgała ta dokładność, i zapytałem:

– Pewnie w tej dolinie spotka się Santer z wami, mr. Gates?

– Nie w dolinie, lecz na górze.

– Czy mamy się tam wydostać z końmi?

– Tak.

– A jest tam droga?

– Właściwej drogi nie ma, tylko łożysko rzeki. Jechać tamtędy nie można, trzeba się wspinać, a konie prowadzić za sobą.

– Po co? Czy trzeba koniecznie tam się wydostać? A na dole zostać nie można?

– Nie, gdyż miejsce poszukiwań znajduje się na górze.

– To należałoby przynajmniej konie zostawić na dole. To byłoby w każdym razie lepsze.

– Niedorzeczność! Widać, że jesteście traperem. Może całe tygodnie upłyną, zanim znajdziemy na górze to, czego szukamy. Czy na tak długi czas można zostawić konie na dole?

Ktoś musiałby być przy nich stale na straży, na górze zaś będziemy je zawsze mieli przy sobie i nie będzie potrzeba osobnego dozorcy. Czy tego nie pojmujecie?

– I owszem! Kto jednak nie zna okolic, może tak zapytać.

– Zresztą w górze jest wiele do zobaczenia, gdyż, jak wam to już powiedziałem, wznoszą się tam mogiły wodza Apaczów i jego córki.

– I przy tych mogiłach rozbijemy nasz obóz?

– Tak.

– Na noc także?

Zapytałem w ten sposób z ważnego powodu, gdyż po to, aby wejść w posiadanie testamentu Winnetou, musiałem kopać pod grobem Inczu-czuny, a do tego świadkowie byli zupełnie zbyteczni. Tymczasem usłyszałem, że tam właśnie mamy urządzić obóz. Przyszło mi na myśl, że może ten naturalny lęk, jaki ogarnia zwykłych ludzi przed grobami, skłoni moich towarzyszy, aby przynajmniej w nocy omijali pobliże mogił. Lecz i to nawet, gdyby się tak stało, nie mogło mi wystarczyć. Nie widząc dobrze w nocy, mogłem łatwo się pomylić, a poza tym po ciemku nie zdołałbym zasypać wykopanego dołu tak, żeby rano nie było śladów.

– Dlaczego chcecie wiedzieć, czy także w nocy będziemy tam przebywali? – zapytał Gates.

– Hm! Nie każdy lubi spać koło grobów – odpowiedziałem.

– Ach! Wy się boicie?

– To nie!

– Ej, chyba! Słyszycie, Clay i Summer? Mr. Jones boi się zmarłych! Lęka się tych obojga czerwonoskórych. Myśli, że wstaną z grobu i wskoczą mu na plecy, cha, cha, cha, cha!

Zaśmiał się na całe gardło, a tamci obaj mu zawtórowali. Milczałem, chcąc zostawić ich w mniemaniu, że jestem taki bojaźliwy, gdyż inaczej dopatrzyliby się może w moich pytaniach jakichś szczególnych powodów, a od tego właśnie starałem się ich odwieść,

– Jesteście tacy zabobonni, sir? – mówił dalej Gates z przekąsem, – To wielka głupota! Umarli nie wstają, więc i tych dwoje nie porzuci wiecznych ostępów myśliwskich, gdzie żyją w błogim nieróbstwie przy jeleniej i bawolej pieczeni. Gdyby się wam jednak ukazali, co naturalnie nie jest całkiem wykluczone, to zawołajcie nas tylko na pomoc, a my ich już odpędzimy.

– Sam dałbym sobie z nimi radę, mr. Gates. A chociaż nie boję się niczego, to jednak nie uważam za stosowne spać koło mogił, skoro można gdzie indziej.

Podczas tej sprzeczki zbliżyliśmy się do gór i musieliśmy zboczyć na zachód, by je objechać. Przybywszy na stronę południową, dojechaliśmy do przedzielającej je doliny i ruszyliśmy nią dalej. Później otworzył się przed nami wspomniany już niejednokrotnie boczny parów, którym podążyliśmy w górę, dopóki się nie rozwidlił. Zsiadłszy tutaj, zaczęliśmy wspinać się po kamienistym gruncie aż do ostrej krawędzi na górze, przez którą trzeba było się przedostać. Konie prowadziliśmy ze sobą.

Jechałem umyślnie na ostatku, a Gates na przedzie. Stawał on kilka razy, by sobie przypomnieć opis drogi, podany mu przez Santera. Orientował się dobrze; widocznie miał niezłą pamięć. Następnie zjechaliśmy na dół, na przełaj przez las, dopóki drzewa się nie rozstąpiły. Tu Gates zatrzymał się i zawołał:

– Dobrze, całkiem dobrze! Oto są obie mogiły! Widzicie? Jesteśmy już na miejscu. Teraz tylko trzeba, żeby się tu zjawił mr. Santer.

Tak, byliśmy rzeczywiście na miejscu. Tu stał grobowiec Inczu-czuny, niegdyś wodza Apaczów. We wnętrzu tego kopca, obłożonego skorupą z kamieni, spoczywał, siedząc na swoim koniu w pełnym rynsztunku z wyjątkiem srebrzystej strzelby i woreczka z lekami. Obok wznosiła się piramida z kamieni ze sterczącym z niej szczytem drzewa, o którego pień oparta spała snem wiecznym Nszo-czi. Byłem tu z Winnetou kilka razy podczas naszych pielgrzymek dla uczczenia pamięci zmarłych, a teraz witałem te groby bez niego, bo on także

rozstał się ze mną na zawsze. Winnetou odwiedzał także i beze mnie to tak drogie dla niego miejsce, kiedy ja przebywałem w innych krajach. Jakie myśli mogły wówczas mieszkać pod jego czołem, jakie uczucia targać jego sercem? Santer i zemsta! Ten człowiek i żądza odwetu na nim wypełniały niegdyś całą jego istotę. Czy tak było i później?

Nie udało się wodzowi Apaczów pochwycić mordercy i wymierzyć mu kary. A teraz ja stałem tutaj i czekałem na tego człowieka. Czyż nie byłem uprawnionym spadkobiercą przyjaciela i dziedzicem jego zemsty? Czy nie żyło i we mnie gorące życzenie odwetu? Czy nie byłoby to przestępstwem wobec zmarłych, gdybym oszczędził Santera? Wtem usłyszałem w duszy głos przyjaciela:

„Winnetou jest chrześcijaninem". Niestety równocześnie doszedł mych uszu jeszcze inny głos, głos Gatesa, który wołał:

– Cóż tak stoicie wpatrzeni w te dwie kupy ziemi? Czy widzicie już może upiory, których się tak lękacie? Jeśli się to dzieje z wami w biały dzień, to co dopiero będzie w nocy?

Nie odpowiedziawszy mu nic, zaprowadziłem konia na polanę, rozkiełznałem go i puściłem na paszę. Sam udałem się swoim zwyczajem na badanie okolicy. Kiedy wróciłem, trzej moi towarzysze rozgościli się już zupełnie. Siedzieli pod grobem wodza, i to w tym właśnie miejscu, gdzie miałem kopać.

– Gdzie wy się włóczycie? – zapytał Gates. – Może szukaliście już nuggetów? Dajcie temu pokój! Podejmiemy się tego wspólnie, ażeby jeden nie mógł przed drugim zataić miejsca, gdzie leży skarb.

Ten ton mi się nie podobał. Wprawdzie oni nie wiedzieli, kim jestem, ale mimo to nie mogłem pozwolić, żeby przemawiali do mnie w ten sposób. Toteż odpowiedziałem jak najostrzej, ale zarazem tak, żeby go nie obrazić:

– Czy pytacie tylko z ciekawości, czy w przekonaniu, że macie prawo mi rozkazywać? Z jakichkolwiek pobudek to czynicie, to zwracam wam uwagę, że wyszedłem już z lat uczniowskich.

– Uczniowskich? Mr. Jones, co chcecie przez to powiedzieć?

– Że uważam siebie za człowieka w pełni niezależnego.

– Właśnie, że nim nie jesteście. Od chwili przyłączenia się do nas staliście się członkiem naszej spółki, a żadna część jakiejś całości nie może się nazywać niezależną.

– Nie musi się jednak poddawać bezwzględnie rozkazom.

– Ale przyznacie, że powinien być na czele jeden człowiek, do którego reszta musiałaby się stosować.

– Czy uważacie siebie za takiego?

– Tak.

– To jesteście w błędzie. Nie zapominajcie, że ja nie przyjąłem jeszcze służby u Santera, nie jestem więc członkiem waszej spółki.

– W takim razie nie węszcie tutaj! Nie macie do tego prawa, skoro do nas nie należycie.

– Nie sprzeczajmy się o to, sir! Będę chodził, gdzie-mi się spodoba! Na razie oddaliłem się, by zobaczyć, czy jesteśmy tu bezpieczni. Jeśli rzeczywiście jesteście tak dzielnymi westmanami, jak powiadacie, to musicie wiedzieć, że nie obozuje się w lesie nie wiedząc, czy nie ma w nim jeszcze kogoś. Ponieważ nie dopilnowaliście tego, zrobiłem to sam i zasługuję raczej na wasze uznanie niż na ton, na jaki sobie wobec mnie pozwalacie.

– Ach! Szukaliście śladów?

– Tak.

– Czy umiecie je odnajdywać?

– Prawdopodobnie!

– A ja sądziłem, że szukaliście już nuggetów.

– Nie jestem taki głupi.

– Dlaczego miałoby to być niemądre?

– Czyż wiem, po której stronie i w jakim kierunku należy ich szukać? O tym wie tylko Santer, jeśli złoto w ogóle się tu znajduje, o czym śmiem wątpić.

– Zdaje mi się, że składacie się z samych wątpliwości, podejrzeń i nieufności. Byłoby rzeczywiście lepiej, gdybyśmy was zostawili waszemu losowi.

– Tak? A może ja właśnie jestem tym jedynym, który by potrafił znaleźć złoto, gdyby ono tu było. Ale złota już nie ma...

– Nie ma? Kto to powiedział?

– Ja to mówię.

– Dlaczego? Skąd możecie to wiedzieć?

– Zdrowy rozum mi to dyktuje. To dziwne zaiste, że, jako doświadczeni westmani, nie wpadliście na to już dawno!

– Nie mówcie zagadkami. Powiedzcie wyraźnie! Czy było tutaj złoto?

– Na to się godzę.

– Ale któż by je mógł zabrać?

– Winnetou.

– Skąd wam ta myśl przyszła do głowy?

– Raczej ja powinienem zapytać, jak wy mogliście nie wpaść na nią. Wiem o Winnetou, że był to nie tylko najwaleczniejszy, lecz także najmędrszy i najchytrzejszy ze wszystkich Indian.

– No, o tym wie każdy, nie tylko wy.

– To bądźcie tak dobrzy i pomyślcie! Winnetou przybył tutaj po złoto. Napadnięto nań, a on, jako człowiek mądry, poznał od razu, że ktoś śledził jego tajemnicę. Musiał zatem wziąć pod uwagę, że Santer, który mu umknął, powróci później i będzie szukał skarbu. Co wy uczynilibyście na jego miejscu, mr. Gates? Czy zostawilibyście tutaj złoto?

– Do wszystkich diabłów! – wybuchnął niespodzianie.

– No, odpowiedzcież!

– To jest wprawdzie jakaś myśl, ale nędzna i podła!

– Jeśli uważaliście Winnetou za głupca, to szukajcie nuggetów, lecz nie posądzajcie mnie, że ich szukam za waszymi plecami. Nie pozwolę, żebyście mnie posądzali o taką głupotę.

– Twierdzicie więc, że nic tu nie znajdziemy?

– Jestem tego pewien.

– To po co przyjechaliście tutaj?

Nie mogąc powiedzieć mu prawdy, odrzekłem;

– Ponieważ myśl, którą się właśnie z wami podzieliłem, przyszła mi do głowy dopiero teraz.

– Aha, dotychczas więc byliście tak samo głupi jak my? Przyznaję, że w waszym zapatrywaniu jest trochę słuszności, ale równie wiele, a nawet więcej można przytoczyć przeciwko niemu.

– Co?

– Powiem tylko jedno. Kryjówka jest tak dobra, że Winnetou nie obawiał się, żeby ją ktokolwiek odnalazł. Czy to niemożliwe?

– I owszem!

– Pięknie! Mógłbym przytoczyć jeszcze więcej racji przeciwko wam, lecz rezygnuję. Zaczekamy, dopóki nie przybędzie mr. Santer. Zobaczymy, co on na to powie.

– Kiedy się go.spodziewacie?

– Dziś jeszcze nie, ale jutro.

– Jutro? To niemożliwe. Znam przypadkowo Salt Fork, dokąd on się udał. Jeśli będzie się śpieszył, to może tu przybyć najwcześniej pojutrze wieczorem. Czym zajmiemy się do tego czasu?

– Polowaniem. Potrzebujemy przecież mięsa.

– Hm! Czy ja mam także polować z wami?

Zadałem umyślnie to pytanie w nadziei, że wszyscy pójdą na polowanie, a mnie zostawią tu samego. Niestety zawiodłem się, gdyż Gates odpowiedział:

– Wy popsulibyście nam prawdopodobnie wszystko. Obejdzie się więc bez was. Ja pójdę z Clayem i przypuszczam, że coś zastrzelę, a wy możecie zostać tutaj z Summerem.

Po czym obaj zabrali strzelby i oddalili się. Czyżby Gates trzymał się skrycie polityki nie zostawiania mnie tu samego? W takim razie musiałby mnie w rzeczywistości uważać za bardzo sprytnego. Tymczasem dotąd okazywał raczej lekceważenie w stosunku do mojej osoby. Jeśli sądził, że mu popsuję polowanie, to znaczy, że miał o mnie bardzo niskie wyobrażenie i nie czuł, jak wielki popełnia tym błąd. Słowo „traper" wymawiał zawsze z pogardą. To samo dowodziło już braku wszelkiego doświadczenia, bo powinien był wiedzieć, że traper musi być równocześnie dobrym strzelcem, no i w ogóle dzielnym westmanem.

Gates z Clayem uganiali przez całe popołudnie po lesie, a wieczorem przynieśli jako owoc swych trudów biednego zajączka, którego mięsem tylko z biedą mogły się posilić cztery osoby. Nazajutrz rano Gates poszedł na polowanie z Summerem, a całą ich zdobycz stanowiło kilka dzikich gołębi, tak starych, że ledwie je można było ugryźć.

– Nie mamy szczęścia – tłumaczył się przede mną. – Żadna zwierzyna się nie pokazuje!

– Gdyby wasz brak powodzenia można było upiec i spożyć, to nie potrzebowalibyśmy narzekać – odparłem. – Te ptaki żyły już pewnie za czasów Matuzalema, a i tak ogromna szkoda, że musiały zginąć w tak młodym wieku.

– Czy chcecie drwić ze mnie, sir?

– Wcale nie, gdyż łatwo możecie sobie wyobrazić, że i memu żołądkowi nie zbiera się na żarty.

– To zróbcie lepiej, jeśli zdołacie!

– Well, przyniosę wam pieczeń.

– Śmiem wątpić.

– Zająca lub przedpotopowego ptaka znajdę w każdym razie.

Wziąłem obie strzelby i poszedłem. Gdy się powoli oddalałem, słyszałem, jak śmiejąc się, wołał za mną:

– Patrzcie go, jak idzie z tym olbrzymim grzmotem. Zastrzeli kilka starych drzew, ale nie trafi ani włosa, ani pióra!

Więcej już nie słyszałem. Gdybym tak wówczas przystanął, żeby ich podsłuchać! Byłbym usłyszał więcej, i to nawet coś bardzo dla mnie ważnego. Później dowiedziałem się, że byli rzeczywiście przekonani, że nic nie upoluję. Chcąc mnie zawstydzić i raz jeszcze spróbować szczęścia – aby gdy nic nie przyniosę, pokazać mi bogatą zdobycz i do woli wyśmiać – udali się wszyscy trzej do lasu zaraz po mnie. Wiadome miejsce było opuszczone i mogłem wykopać testament Winnetou, a potem jeszcze swobodnie zabić jakąś zwierzynę. Ale niestety – tak być nie miało!

Wczoraj i dziś wychodzili oni na polowanie tą samą drogą, którą przyszliśmy tutaj. Domyślając się więc, że w tej stronie, a więc ku południowi, wypłoszyli już wszelką zwierzynę, skierowałem się na północ, ku nizinie i na łąkę, przez którą niegdyś zwabiliśmy Keiowehów, aby w przeciwległym ciasnym parowie urządzić na nich zasadzkę. Nie było tam pewnie nikogo od szeregu lat, dlatego mogłem liczyć na łatwy strzał. Ponieważ jednak zbliżało się właśnie południe, a więc czas niekorzystny, przeto gdy po upływie godziny zabiłem dwie tłuste indyczki, powróciłem do obozu.

Lecz towarzyszy moich tam nie zastałem. Zacząłem się zastanawiać, gdzie się mogli znajdować. Czy wymknęli się tylko dla żartu, aby skrycie podpatrzyć, co przyniosę, czy też udali się jeszcze raz na polowanie? Wołałem na nich, lecz nie otrzymałem odpowiedzi.

Ach, gdyby tak odeszli naprawdę! Ale trzeba było i tak zachować ostrożność. Przeszukałem pośpiesznie całe miejsce dokoła. Przekonawszy się, że rzeczywiście się oddalili, zabrałem się czym prędzej do roboty.

Dobywszy noża, wykroiłem po zachodniej stronie mogiły wodza, tuż u jej krawędzi, kawał murawy, który należało potem znowu położyć tak, żeby nie było znaku, że tam kopano. Ale grudek ziemi także nie mogłem zostawić. W tym celu rozłożyłem obok siebie na ziemi mój koc i kładłem nań ostrożnie wykopaną ziemię, aby nią potem znowu zapełnić otwór.

Pracowałem z gorączkowym pośpiechem, gdyż każdej chwili mogli nadejść wszyscy trzej. Nadsłuchiwałem od czasu do czasu, czy nie odezwą się ich kroki lub głosy. Łatwo pojąć, że wskutek podniecenia, w jakim się znajdowałem, słuch mój nie był tak bystry jak zwykle.

Dziura pogłębiała się z każdą chwilą. Kiedy głębokość jej dosięgła może jednego łokcia, nóż mój uderzył o kamień. Wydobyłem ten kamień, potem drugi, leżący pod nim, i ujrzałem mały, sześcienny, całkiem suchy otwór ze ścianami z gładkich kamieni. Na dnie jego leżała gruba, złożona skóra... testament mego przyjaciela, Winnetou. W następnej chwili był on już w mojej kieszeni, po czym zacząłem szybko zapełniać dziurę. Szło to o wiele prędzej niż jej wykopywanie. Wsypałem ziemię z koca, przybiłem ją dobrze pięścią i położyłem na wierzchu wycięty kawał murawy. Zrobiłem wszystko tak dokładnie, że nikt by nie zauważył, że tam ktoś kopał.

Dzięki Bogu! Przedsięwzięcie się powiodło, przynajmniej tak mi się zdawało. Nadsłuchiwałem. Ponieważ znikąd nie dolatywał najmniejszy szmer, przeto wziąłem się do rozwijania skóry. Złożona była rogami do środka jak koperta, a w niej leżała druga, której rogi Winnetou zeszył ścięgnem jelenim. Gdy i tę rozciąłem, ujrzałem testament, spisany na kilku kartkach papieru.

Czy schować go, czy też przeczytać? Lecz po cóż miałbym się z tym kryć? Wszak gdy moi towarzysze zobaczą mnie czytającego, nie będą mieli nic przeciwko temu. A zresztą czyż mogli wiedzieć, co to było? Mógł to być list lub jakieś pismo, które od dawna nosiłem przy sobie. Nie mieli nawet prawa pytać o ten papier. A gdyby nawet zapytali, to przecież mogę odpowiedzieć, co zechcę. A tymczasem oczy moje rwały się do tego, co Winnetou napisał. Tak, napisał, bo Winnetou umiał pisać. Kleki-Petra, jak w wielu innych rzeczach, tak i pod tym względem był jego nauczycielem. Niezrównany Apacz miał jednak za mało sposobności do wyćwiczenia cię w tej sztuce. Zapisywał często uwagi w moim notatniku, tak że znałem jego charakter pisma; nie był piękny ani wyrobiony, ale wysoce oryginalny. Przypominał pismo czternastoletniego ucznia, starającego się pisać kaligraficznie.

Nie mogąc stłumić w sobie chęci przeczytania testamentu usiadłem i rozłożyłem kartki. Rzeczywiście – to było pismo Winnetou. Litery wszystkie jednakowo długie i w tym samym położeniu, jedna oddzielnie od drugiej, wyglądały nie jak pisane, lecz starannie rysowane i malowane. Gdzie on mógł napisać tyle wierszy i ile stracił na to czasu? Oczy zaszły mi łzami, gdy czytałem słowa nieodżałowanego przyjaciela:

Mój kochany, dobry Bracie!

Ty żyjesz, a Winnetou, który Cię kochał, już umarł. Ale dusza jego bawi przy Tobie. Ty trzymasz ją w ręku, gdyż napisana jest na tych kartkach. Niechaj spocznie na Twoim sercu!

Dowiedz się o ostatnim życzeniu swego czerwonego brata i przeczytaj wiele słów jego, których nigdy nie zapomnisz. Lecz najpierw powie Ci to. co najpotrzebniejsze. Nie jest to jedyny testament Winnetou, gdyż drugi testament włożył on w uszy swoich czerwonych wojowników. Ten, który czytasz, przeznaczony jest tylko dla Ciebie.

Zobaczysz bardzo wiele złota i zrobisz z nim to, co Ci teraz duch mój powie. Leżało ono w Nugget-tsil, ale pożądał go morderca Santer, dlatego Winnetou zabrał je do Deklil-to[47]*, gdzie*

[47] D e k l i l-t o (ind.) – Ciemna Woda

byłeś niegdyś z nim razem. Pojedziesz w górę przez Indelcze-czil[48] *aż do Tse-szosz*[49] *nad spadającą wodę. Tam zsiadziesz z konia i wdrapiesz się...*

Tu utknąłem, bo nagle zabrzmiał za mną jakiś głos:

– Dzień dobry, mr. Shatterhand! Ćwiczycie się w sylabizowaniu?

Oglądnąwszy się w tej chwili przekonałem się, że popełniłem największe głupstwo w mym życiu. Oba zabite ptaki i strzelby położyłem może o dziesięć kroków od siebie i siedziałem oparty o grobowiec nie plecami, lecz prawym bokiem, a więc tyłem do drogi, która prowadziła z doliny. Tę nieostrożność spowodowała chęć poznania ostatniej woli Winnetou. Zajęty czytaniem, nie zauważyłem, że człowiek, który do mnie teraz mówił, podszedł niepostrzeżenie aż do moich strzelb i zagrodził mi drogę do broni. Stał tam teraz i mierzył do mnie ze swojej flinty. Zerwałem się na równe nogi, gdyż przybyszem był nie kto inny, tylko – Santer!!!

W następnej chwili sięgnąłem już obiema rękami do pasa po rewolwery. Lecz niestety! Kiedy klęcząc kopałem dziurę, odpiąłem pas z całym rynsztunkiem i odłożyłem na ziemię, ponieważ przeszkadzał mi w robocie. Myślałem, że nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, Byłem zatem chwilowo bezbronny, a Santer zauważywszy mój ruch, zaśmiał się szyderczo i zagroził:

– Ani kroku z miejsca, ani jednego ruchu po broń, bo wystrzelę natychmiast. Przestrzegam, że nie żartuję!

Złowrogi blask jego oczu świadczył, że istotnie był gotów posłać mi kulę. O ile jego nagłe zjawienie zaskoczyło mnie w pierwszej chwili, o tyle teraz zapanowałem już zupełnie nad sobą. Stałem bez ruchu i patrzyłem mu z zimną krwią w oczy.

– Nareszcie wpadłeś w moje ręce! – mówił dalej. – Widzisz palec na cynglu? Za najlżejszym dotknięciem wpakuję ci kulę w łeb! Wierz mi. Nie ruszaj się więc, bo pójdziesz do diabła! Z tobą trzeba się mieć na baczności. Prawda, że się mnie nie spodziewałeś?

– Nie – odrzekłem spokojnie.

– Obliczyłeś sobie, za ja przybędę dopiero jutro wieczorem, ale twoja kalkulacja była fałszywa.

Skoro o tym wiedział, to niewątpliwie rozmawiał z moimi towarzyszami. Na próżno szukałem ich wzrokiem. Obecność ich uspokoiłaby mnie. Za morderców w każdym razie ich nie uważałem i nie obawiałem się, by Santer zabił mnie w ich oczach. Należało tylko nie drażnić go teraz. Zachowałem więc nadal nieruchomą postawę, on zaś mówił z wyrazem nieubłaganej nienawiści;

– Chciałem się udać nad Salt Fork, aby donieść Tanguie, że ten pies Apacz zginął nareszcie. Przypadkiem jednak spotkałem oddział Keiowehów i przybyłem tu wcześniej. Na dole zobaczyłem się z Gatesem, który mi powiedział, że przyprowadził tu z sobą niejakiego mr. Jonesa. Gdy usłyszałem, że mr. Jones ma dwie strzelby, wielką i małą, od razu powziąłem podejrzenie. Gdy zaś Gates opisał mi tego draba dokładnie, wiedziałem, czego się mam trzymać; chociaż udawał bardzo głupiego, nie mógł to być nikt inny jak Old Shatterhand. Wyszedłem na górę, aby się tu ukryć i pochwycić go podczas jego powrotu z polowania, lecz on już był tutaj. Kopałeś dziurę, a myśmy się temu przypatrywali. Co to za papier masz w ręku?

– Rachunek od krawca.

– Psie, nie sądź, że możesz sobie drwić ze mnie! Co to takiego?

– Rachunek od krawca. Przyjdźcie i zobaczcie!

– Teraz tego nie zrobię! Muszę cię najpierw obezwładnić. Co robisz teraz w Mugworthills, które Apacz nazywał Nugget-tsil?

– Szukam skarbów.

– Tego się domyślałem!

---

[48] I n d e l c z e-c z i l (ind.) – Świerkowy Las

[49] T s e-s z o s z (ind,) – Skała Niedźwiedzia

– Ale znajduję tylko krawieckie rachunki.

– Już ja się im dokładnie przypatrzę. Ciebie diabeł przynosi wszędzie, gdzie cię najmniej potrzeba, ale tym razem dobrze zrobił. Nareszcie będzie po tobie!

– Albo po was, gdyż jednego z nas to czeka nieodwołalnie.

– Ty kundlu zuchwały! Taki pies jeszcze przed śmiercią warczy! Ale to bezsilne zgrzytanie zębami nic ci nie pomoże. Powtarzam, że już po tobie. A złote kości, które tu chciałeś wykopać, weźmiemy sobie my!

– Weźcie i połamcie sobie na nich zęby!

– Nie szydź! Powiedziałeś wprawdzie, że tu nic nie ma, ale ten papier da nam wskazówki!

– To przyjdź po niego.

– Dostanę go i tak. Zaraz się o tym przekonasz. Uważaj, co ci powiem! Za najlżejszym niedozwolonym ruchem, za najmniejszym oporem wypalę. Wobec kogo innego nie wykonałbym może tej groźby, ale ty jesteś tak niebezpieczny łotr, że względem ciebie muszę postępować stanowczo!

– Sam wiem o tym dobrze!

– Ładnie, że to przyznajesz! Chodźcie i zwiążcie go!

Gates, Clay i Summer stali ukryci za drzewami. Na jego wezwanie wszyscy trzej wyszli i podeszli do mnie zwolna. Pierwszy z nich, wyciągając rzemień z kieszeni, uważał za stosowne niejako usprawiedliwić się wobec mnie z tego zachowania.

– Sir, usłyszeliśmy ku naszemu zdumieniu, że nie nazywacie się Jones, lecz Old Shatterhand. Dlaczegoście nas okłamali? Chcieliście nas oszukać, a teraz my musimy was związać. Nie próbujcie się opierać! Nic by to wam nie pomogło, gdyż mr. Santer wystrzeli natychmiast. Bądźcie pewni!

– Po co tyle gadania! – zawołał Santer i zwracając się do mnie, rozkazał: – Rzuć papier na ziemię i podaj mu ręce!

Santer nie wątpił, że ma mnie całkowicie w swojej władzy, tymczasem ja wiedziałem już, że nie ja jemu, lecz on mnie ulegnie. Należało tylko szybko i energicznie wykorzystać sytuację.

– No, już? Nie ociągaj się, bo strzelam! – zagroził znowu. Upuściłem papier na ziemię.

– Podaj mu ręce! Z pozornym posłuszeństwem wyciągnąłem ręce do Gatesa, lecz tak, że chcąc je związać, musiał stanąć pomiędzy mną a Santerem.

– Precz stamtąd, precz! – zawołał. – Stajecie mi przed strzelbą! Gdy zechcę strzelić, to...

Nie dokończył, gdyż ja przerwałem mu bardzo niedelikatnie. Zamiast się dać związać, pochwyciłem Gatesa wpół i rzuciłem go na Santera. Łotr starał się wprawdzie uskoczyć na bok, ale za późno, bo runął na ziemię, a strzelba wypadła mu z rąk. W tej chwili znalazłem się przy nim i ukląkłem mu na piersiach. Ogłuszywszy go uderzeniem pięścią, zerwałem się równie szybko i huknąłem na tamtych trzech:

– Oto dowód, że jestem rzeczywiście Old Shatterhand! Chcieliście mnie skrępować, a teraz zabieracie się do broni! Precz z bronią, bo strzelam. Rzućcie ją! Ja mówię także na serio!

Wyrwałem Santerowi rewolwer zza pasa i wymierzyłem zeń do tych trzech „prawdziwych westmanów”. Usłuchali mnie natychmiast.

– Usiądźcie tam przy grobie córki wodza! Prędzej! Poszli i usiedli. Wyznaczyłem im to miejsce dlatego, że nie było tam w pobliżu broni.

– A teraz siedźcie spokojnie! Nic wam się nie stanie, ponieważ was oszukano. Ale próbę ucieczki lub oporu przypłacicie życiem.

– To straszne, to okropne! – skarżył się Gates rozcierając sobie członki. – Leciałem w powietrzu jak piłka. Zdaje mi się, że połamaliście mi niektóre kości!

– Wasza w tym wina. Starajcie się, żeby nie było gorzej. Skąd wzięliście ten rzemień?

– Od mr. Santera.

– A macie ich więcej?
– Tak.
– To dajcie je tu!
Gates wyciągnął rzemienie z kieszeni i podał mi je. Skrępowałem nimi nogi Santera, a ręce związałem mu na plecach.
– Ten już jest unieruchomiony – rzekłem z uśmiechem. – Czy mam i was związać?
– Dziękuję, sir! – zastrzegł się Gates. – Mam już dosyć za swoje, zupełnie dosyć. Będę tu siedział spokojnie, dopóki mi każecie.
– Dobrze zrobicie. Przekonaliście się, że nie lubię żartować!
– Dziękuję w ogóle za wszelkie żarty! Dziwię się, że mogłem uważać was za trapera!
– Wcale mnie wasza pomyłka nie dziwi, gdyż nie wyobrażacie sobie nawet, co to jest prawdziwy traper. Jakże się wam powiodło na polowaniu? Czy zastrzeliliście co?
– Absolutnie nic.
– To przypatrzcie się tym dwom kurkom, które ja przyniosłem. Jeśli zachowacie się dobrze, będziecie je mogli upiec i zjeść razem ze mną. Zobaczycie prawdopodobnie wkrótce, że Santer tylko wydawał się wam uczciwym człowiekiem. Ja twierdzę, że nie ma większego łotra pod słońcem od niego. Zaraz się o tym przekonacie, bo widzę, że przychodzi do siebie.
Santer oprzytomniał, otworzył oczy i zaczął się ruszać. Zobaczywszy, że stoję nad nim i zapinam na sobie pas, a potem ujrzawszy swoich trzech towarzyszy siedzących przy grobie Indianki, zapytał:
– Co to jest?.. Ja... ja... jestem związany?
– Tak, jesteście związani – potwierdziłem, – Położenie zmieniło się cokolwiek. Sądzę, że nie macie nic przeciwko temu.
– Psie! – zgrzytnął wściekle.
– Pst! Nie pogarszajcie swego losu!
– Niech cię diabli porwą, łotrze!
– Ostrzegam was raz jeszcze! Przedtem znosiłem żeście do mnie mówili: „ty”, gdyż nakazywał mi to mój rozum. Wam również przydałoby się okazać wobec mnie trochę więcej uprzejmości.
Santer spojrzał badawczo na towarzyszy i zawołał:
– Czyście co wypaplali?
– Nie – odrzekł Gates.
– No, nie radziłbym wam?
– Czego nie mieli wypaplać? – zapytałem.
– Niczego!
– Oho! Przyznajcie się zaraz, bo wam usta otworzę!
– O złocie – odpowiedział z przymusem, jak mi się zdawało.
– Jak to: o złocie?
– Gdzie leży. Wyjawiłem przed nimi swoje przypuszczenia i myślałem, że się wygadali.
– Czy to prawda? – spytałem Gatesa.
– Tak – brzmiała odpowiedź.
– Czy istotnie Santer nic innego nie ma na myśli?
– Nie.
– Nie ukrywajcie nic przede mną! Zwracam waszą uwagę, że kłamstwem lub podstępem nie wyrządzicie szkody mnie, lecz sobie.
Gates zawahał się chwilę, a potem rzekł głosem, z którego przebijała szczerość:
– Wierzcie mi, sir, że to nie kłamstwo. On rzeczywiście miał tylko złoto na myśli.

– Ja jednak nie wierzę. Wasza otwartość jest obłudna, a w jego twarzy czai się podstęp. Ale w ten sposób nic nie osiągnięcie. Wzywam was, mr. Gates, po raz wtóry: powiedzcie prawdę! Czy Santer wspomniał coś o Keiowehach, kiedy spotkał się z wami w dolinie?

– Tak.

– Czy był sam?

– Tak.

– Czy istotnie spotkał czerwonoskórych?

– Tak.

– I nie był nad Salt Fork?

– Nie był.

– Jak wielki to był oddział?

– Sześćdziesięciu wojowników.

– Kto nimi dowodził?

– Pida, syn wodza Tanguy.

– Gdzie oni są teraz?

– Wrócili do swojej wsi.

– A może wy kłamiecie?

– Mówię prawdę, sir!

– Pamiętajcie, mr. Gates, o tym, że wolna wola człowieka to jego królestwo, lecz często także jego piekło.

Jeśli mnie oszukacie, to pożałujecie tego później. Co do złota, to na darmo jechaliście tutaj, gdyż w tych stronach złota nie ma.

Teraz dopiero podniosłem testament Winnetou z ziemi, a włożywszy go w obydwie skórzane koperty, schowałem do kieszeni.

– Zdaje się, że mr. Santer wie to lepiej od was – odpowiedział Gates.

– On wie mniej niż nic.

– A wy wiecie, gdzie leży złoto?

– Może.

– To powiedzcie nam!

– Tego mi nie wolno.

– Zatem słusznie obawialiśmy się, że wy nam tylko zaszkodzicie zamiast pomóc.

– Złoto nie jest wasze.

– Ale stanie się naszym, gdyż mr. Santer pokaże nam je i podzieli się z nami.

– On, mój obecny jeniec?

– Cóż wy mu możecie zrobić? Prędzej czy później odzyska wolność.

– To będzie trudne! Raczej zapłaci życiem za swoje postępki.

Na to dał się słyszeć szyderczy śmiech Santera. Odwróciłem się więc do niego i oświadczyłem:

– Wkrótce odechce się wam śmiać. Jak sądzicie, co ja z wami zrobię?

– Nic – odparł z grymasem.

– Któż zabroni mi wpakować wam kulę w łeb?

– Wy sami. Każdy wie, że Old Shatterhand boi się zabić człowieka.

– To słuszne, nie jestem mordercą. Wy zasłużyliście na śmierć wielokrotnie. Jeszcze przed kilku tygodniami byłbym was bezwarunkowo zastrzelił, gdybym was tylko spotkał. Ale Winnetou już nie żyje, wraz z jego ciałem pochowałem jego zemstę.

– Nie wygłaszajcie tu pięknych mów! Nie możecie zabić mnie, i basta!

Była to niesłychana bezczelność. Tłumaczyłem ją sobie tylko jego zawziętością, nie wiedząc tego, o czym on wiedział. Mówiłem więc dalej głosem spokojnym:

– Lżyjcie sobie dalej! Człowiek waszego pokroju nie zdoła mnie rozgniewać. Słyszeliście już, że moja chęć zemsty spoczęła w grobie razem z Winnetou, ale między zemstą a karą jest różnica. Po zbrodni musi nastąpić pokuta. Nie zemszczę się więc na was, lecz mimo to nie umkniecie kary.

– Pshaw! Nazywajcie to sobie karą czy zemstą, to na jedno wychodzi. Nie chcecie się mścić, ale postanawiacie mnie ukarać, prawdopodobnie zamordować. Morderstwo jest zawsze morderstwem. Nie chełpcie się zbytnio swoją sprawiedliwością.

– Mylicie się bardzo w swoich przypuszczeniach. Ani mi przez myśl nie przeszło porywać się na wasze życie. Zaprowadzę was do najbliższego fortu i oddam sędziemu.

– Ach! Naprawdę?

– Tak.

– Jak sobie z tym poradzicie, sir?

– To moja rzecz.

– Chyba i moja, gdyż i ja tu odgrywam pewną rolę. Sądzę, że stanie się odwrotnie, to znaczy, że ja was zaprowadzę, a nie wy mnie. A ponieważ nie jestem takim przykładnym chrześcijaninem jak wy, przeto ani mi się śni wyrzekać zemsty. Ona już jest tu! Patrzcie, oto nadchodzi!

Wykrzyknął te słowa głośno i radośnie, a triumf jego nie był bezpodstawny, gdyż w tej chwili zabrzmiało ze wszystkich stron straszne wycie. Równocześnie wynurzyły się z przodu i z tyłu, z prawej i z lewej strony liczne czerwone postacie, pomalowane barwami wojennymi Keiowehów i w wężowych ruchach podbiegły ku mnie, otaczając dookoła.

A więc Gates mnie okłamał: Santer sprowadził Keiowehów do Nugget-tsil. Czerwonoskórzy, dowiedziawszy się od niego o śmierci Winnetou, postanowili uczcić uroczyście to radosne zdarzenie tam właśnie, gdzie byli pochowani jego ojciec i siostra. Było to prawdziwie po indiańskiu i odpowiadało zamiarom mordercy, który chciał doznać jeszcze tej radości, że mnie – przyjaciela Winnetou – dostanie w ręce właśnie pod Mugworthills.

Napad, mimo że był tak nagły, nie wyprowadził mnie z równowagi. W pierwszej chwili postanowiłem się bronić i wydobyłem nawet rewolwer, ujrzawszy jednak, że jestem otoczony-przez sześćdziesięciu wojowników, schowałem go na powrót. Ucieczka była niemożliwa, a opór daremny. Uczyniłem dla swej obrony na razie tylko to, że tych, którzy byli najbliżej i wyciągnęli już po mnie ręce, odepchnąłem i zawołałem donośnym głosem:

– Old Shatterhand poddaje się wojownikom Keiowehów. Czy jest tu ich młody wódz? Tylko jemu sam dobrowolnie się oddam.

Czerwonoskórzy odstąpili ode mnie i zaczęli się oglądać za Pidą, który nie brał udziału w napadzie, lecz czekał, stojąc pod drzewem.

– Dobrowolnie? – szydził Santer, któremu towarzysze rozwiązali więzy. – Ten drab, który górnolotnie nazywa siebie Old Shatterhandem, nie ma co mówić o wolnej woli. Musi się poddać, bo w przeciwnym razie zginie. Dalej na niego!

Ale sam nie odważył się rzucić na mnie. Keiowehowie posłuszni jego rozkazowi natarli znowu, ale nie bronią, lecz gołymi rękami, gdyż chcieli mnie pochwycić żywcem. Broniłem się, ile mi sił starczyło, i powaliłem kilku na ziemię, nie oparłbym się jednak przemocy, gdyby Pida nie wydał rozkazu:

– Stać, odstąpcie od niego! On chce się mnie poddać, atak wasz jest zatem niepotrzebny.

Wojownicy Keiowehów cofnęli się, a Santer krzyknął z gniewem:

– Po co go oszczędzać? Niech dostanie tyle uderzeń i pchnięć, ile jest rąk i pięści. Dalej na niego! Ja rozkazuję!

Na to przystąpił doń młody wódz i rzekł zrobiwszy ręką ruch, który nie świadczył o zbyt wielkim szacunku:

– Ty tu chcesz rozkazywać? A czy nie wiesz, kto jest dowódcą tych wojowników^

–Ty.

– A czym ty jesteś?

– Przyjacielem Keiowehów, którego wola także chyba coś znaczy!

– Przyjacielem? Kto ci to powiedział?

– Twój ojciec.

– To nieprawda. Wódz Keiowehów, Tangua, nigdy nie użył wobec ciebie słowa: „przyjaciel”. Jesteś tylko bladą twarzą, którą znosimy u siebie.

Chętnie skorzystałbym z tej krótkiej chwili, by się przebić przez krąg wojowników i uciec. Byłoby mi się to może nawet udało, ale wtedy musiałbym zostawić swoje strzelby, a tego nie chciałem zrobić. Pida podszedł do mnie i rzekł:

– Old Shatterhand chce być moim jeńcem. Czy odda dobrowolnie wszystko, co ma przy sobie?

– Tak – odpowiedziałem.

– I pozwoli się związać?

– Tak.

– Więc oddaj mi swoją broń.

Ucieszyłem się w duchu, że mnie w ten sposób pytał, gdyż było to oznaką szacunku. Wręczyłem mu nóż i rewolwery. Gdy Santer wziął moją strzelbę i sztucer, Pida spytał go:

– Czemu bierzesz te strzelby? Połóż je na powrót!

– Ani mi się śni! One są moje!

– One do mnie należą!

– Nie, do mnie!

– Old Shatterhand mnie się poddał, przeto jego broń stała się moją własnością.

– Komu zawdzięczasz, że go pojmałeś? Tylko mnie! On był już w mojej mocy, a zatem jego osoba i wszystko, co posiada, należy do mnie! Nie wyrzeknę się więc ani jego samego, ani słynnego sztucera Henry’ego. Na to Pida podniósł groźnie rękę i rozkazał:

– Połóż je w tej chwili!

– Nie!

– Odbierzcie mu je! – zawołał Pida do swoich ludzi.

– Chcecie porwać się na mnie? – spytał Santer przybierając postawę, jakby się gotował do obrony.

– Odbierzcie mu je! – powtórzył Pida. Santer widząc, ile rąk wyciągnęło się do niego, rzucił broń na ziemię i oświadczył:

– Oto są! Oddaję je, lecz nie na zawsze! Poskarżą się przed Tanguą!

– Uczyń to! – rzekł Pida z wyraźną pogardą. Przyniesiono mu obie strzelby, po czym musiałem dać im ręce, żeby mi je związano. Podczas tego podszedł znowu Santer i powiedział:

– Zatrzymajcie sobie, do diabła, strzelby, lecz wszystko inne, co ma przy sobie, będzie moim. Szczególnie to, co tu...

To mówiąc zamierzył się ręką do mej kieszeni, w której schowałem testament Winnetou.

– Precz! – huknąłem nań.

Odskoczył przestraszony okrzykiem, lecz opanował się rychło i zaśmiał się szyderczo:

– Do stu piorunów, ten drab jest strasznie zuchwały! Jest pojmany, wie, że już długo nie pociągnie, a wpada na mnie jeszcze jak brytan! To ci nic nie pomoże. Chcę wiedzieć, co wykopałeś i co czytałeś przedtem.

– Spróbuj mi to odebrać!

– Pewnie, że to uczynię! Rozumiem, że cię to niewątpliwie martwi, iż dostanę ten skarb w swoje ręce, ale będziesz musiał się na to zgodzić.

Podszedł znowu bliżej i sięgnął ku mnie obiema rękami. Moje ręce nie były jeszcze całkowicie związane, tylko jedną okalał rzemień. Wobec tego szybkim ruchem pochwyciłem Santera lewą ręką za pierś, a prawą uderzyłem go w głowę tam mocno, że runął na ziemię jak kloc.

– Uff, uff, uff! – zawołali dokoła czerwonoskórzy.

– Teraz zwiążcie mnie znowu – rzekłem podając im obie ręce.

– Imię Old Shatterhanda potwierdzają jego czyny – pochwalił mnie młody wódz. – Co to za rzecz, której się Santer od ciebie domaga?

– Papier zapisany – odpowiedziałem nie mogąc przyznać się otwarcie, co to właściwie było.

– On mówił o jakimś skarbie!

– Pshaw! Przecież on nie wie nawet, co jest napisane na tym papierze. Czyim jeńcem jestem właściwie – twoim, czy jego?

– Moim.

– Dlaczegoż więc pozwalasz mu porywać się na mnie, skoro chce mnie obrabować?

– Czerwoni wojownicy pragną tylko twej broni. Wszystko inne nie jest im potrzebne.

– Czy to powód, żeby to wszystko inne oddawać temu drabowi? Czy Old Shatterhand jest chłopcem, któremu pierwszy lepszy hultaj może wypróżniać kieszenie? Tobie się poddałem i uczciłem cię tym, jako wojownika i wodza. Czemu tedy zapominasz, że ja jestem także wojownikiem, który tego Santera powinien by co najwyżej kopnąć?

Indianin szanuje odwagę i dumę nawet w największym wrogu. Czerwonoskórzy znali mnie z tych zalet i musieli pamiętać, że wówczas, kiedy uprowadziłem Pidę, aby ocalić Sama, darowałem życie młodemu Keiowehowi. Na to teraz liczyłem i nie zawiodłem się, gdyż Pida odpowiedział, rzuciwszy na mnie przychylne spojrzenie:

– Old Shatterhand jest najwaleczniejszym ze wszystkich białych wojowników. Natomiast ten, którego powaliłeś, ma dwa języki, odmiennie mówiące, i dwie twarze, które wyglądają raz tak, raz inaczej. Nie będzie mu wolno sięgać do twej kieszeni.

– Dziękuję ci! Godzien jesteś być wodzem i będziesz kiedyś należał do najsłynniejszych wojowników Keiowehów. Szlachetny wojownik zabija nieprzyjaciela, lecz go nie poniża.

Widziałem, jaką dumą napełniły go te słowa. Odpowiedział na nie głosem, w którym nieomal czuć było litość dla mnie:

– Tak, Pida zabija nieprzyjaciela. Old Shatterhand będzie musiał umrzeć, i nie tylko zwyczajnie umrzeć, ale poniesie on wielkie męczarnie.

– Męczcie mnie i zabijcie! Skargi z ust moich nie usłyszycie, ale tego draba trzymajcie z dala ode mnie!

Po związaniu rąk kazano mi się położyć i skrępowano mi kostki rzemieniami. Tymczasem Santer odzyskał przytomność, podniósł się z ziemi, podszedł do mnie, kopnął mnie, a potem krzyknął:

– Uderzyłeś mnie, psie! Ciężko to odpokutujesz: ja cię zaduszę!

I pochylił się, by mnie chwycić za gardło.

– Stój, nie dotykaj go! – zawołał Pida. – Ja ci zabraniam!

– Ty nie masz prawa mi zabraniać. Ten pies to mój wróg śmiertelny i poważył się mnie uderzyć. Za to przekona się teraz jak...

Nie skończył, gdyż ja skurczyłem niespodzianie nogi i pchnąłem go tak potężnie, że odleciał daleko i runął na wznak na ziemię. Ryknął ze złości jak dzikie zwierzę, chciał się zerwać czym prędzej, lecz mu się to nie udało. Obolały, wstał powoli, lecz nie wyrzekł się zemsty, bo wydobywszy rewolwer, wymierzył do mnie i wrzasnął:

– Nadeszła twoja ostatnia godzina, ty psie! Ruszaj do piekła, gdzie czeka na ciebie miejsce!

Lecz stojący najbliżej Indianin pochwycił go za rękę, tak że strzał chybił.

– Dlaczego mi przeszkadzasz? – huknął na czerwonoskórego Santer. – Wolno mi czynić, co mi się podoba, a ten pies uderzył mnie najpierw, a potem kopnął. On musi zginąć!

– Nie, nie wolno ci czynić, co zechcesz – oświadczył Pida przystępując do niego i kładąc mu ostrzegawczo rękę na ramieniu. – Old Shatterhand należy do mnie i nikt inny nie śmie go dotknąć. Życie jego jest moją własnością, nikt mu go nie może odebrać.

– Ja dawno poprzysiągłem mu zemstę!

– To mnie nic nie obchodzi. Ojciec mój, któremu wyświadczyłeś kilka przysług, zgodził się na to, żebyś u nas przebywał. Ale na więcej sobie nie pozwalaj! Pamiętaj, że zginiesz z mojej ręki, jeśli się porwiesz na Old Shatterhanda.

– Cóż właściwie ma się z nim stać? – zapytał zbity z tropu.

– Nad tym naradzimy się jeszcze.

– Nad czym się tu naradzać?! To przecież jasne, co należy z nim uczynić!

– Co?

– Zabić go!

– To się stanie.

– Ale kiedy? Przybyliście tutaj, by odprawić radosną uroczystość z powodu śmierci największego waszego wroga, Winnetou. Czy nie zrobilibyście najlepiej, gdybyście teraz w tym właśnie miejscu zamęczyli na śmierć jego najlepszego przyjaciela Old Shatterhanda?

– Tego nam uczynić nie wolno.

– Czemu nie?

– Ponieważ musimy go zabrać do naszej wsi.

– Och, do waszej wsi! Po cóż to?

– Aby go zaprowadzić do mego ojca, Tanguy, któremu Old Shatterhand strzaskał kiedyś oba kolana. Tangua postanowi, w jaki sposób ma on za to zginąć.

– To niedorzeczność wieźć go najpierw do waszej wsi! To wprost największa w świecie głupota!

– Milcz! Pida, młody wódz Keiowehów, nie popełnia głupstw!

– To jednak będzie głupstwem! Czy nie widzisz, dlaczego?

– Nie.

– Czy nie słyszałeś, ile razy Old Shatterhand był już pojmany? A zawsze udało mu się podstępnie umknąć.

Jeśli zaraz go nie zabijecie i będziecie go ze sobą włóczyli, umknie wam wkrótce.

– On nam nie umknie. Będziemy się z nim obchodzili tak, jak na to zasługuje słynny wojownik, lecz zarazem będziemy tak czujni, że nam uciec nie zdoła.

– A, do wszystkich diabłów! Chcecie jeszcze obchodzić się z nim jak ze słynnym człowiekiem! Może jeszcze owiniecie go girlandami, a pierś obwiesicie orderami?

– Pida nie rozumie, co to są girlandy i ordery, wie jednak, że wobec Old Shatterhanda musimy być inni, aniżeli byśmy byli wobec ciebie, gdybyś był naszym jeńcem.

– Dobrze, dobrze! Pojmuję już, o co idzie. Ja mam także prawo do niego, nawet wielkie prawo, którego chciałem się właśnie zrzec na waszą korzyść. Zamierzałem wam darować jego życie, ale teraz sądzę inaczej. On należy do mnie tak samo jak do was, a chociaż obiecujecie, że będziecie się z nim obchodzić jak ze „słynnym człowiekiem", to ja postaram się o to, żeby mu się nie działo zbyt dobrze. Was by oszukał i uciekł. Ale ja będę czuwał nad tym, żeby dostał nagrodę za to wszystko, co mnie i wielu innym wyrządził. Skoro zabieracie go do wsi, to i ja z wami tam pojadę.

– Tego nie mogę ci zabronić, ale powtarzam, co już powiedziałem. Jeśli się porwiesz na niego, poniesiesz śmierć z mojej ręki! A teraz naradzimy się nad tym, co dalej robić.

– Nie ma się nad czym naradzać, bo ja mogę wam to zaraz powiedzieć.

– Nie potrzebujemy twojego głosu, gdyż nie należysz do rady naszych starych i mądrych mężów.

Młody wódz odwrócił się i podszedł do najstarszego ze swych wojowników, po czym usiadł z nim na uboczu, by się naradzić. Reszta zajęła miejsca dokoła mnie, rozmawiając z sobą tak cicho, że nic nie mogłem zrozumieć. Wszyscy cieszyli się bardzo i byli dumni z tego, że pojmali Old Shatterhanda, gdyż zamęczenie mnie na śmierć stanowiłoby dla nich wielki zaszczyt i przyniosło sławę, jakiej pozazdrościć im mogło każde plemię.

Udawałem, że na nich wcale nie zważam, ale mimo to starałem się wybadać z ich twarzy, co o mnie myślą. Nie było w nich zawziętej i namiętnej wrogości. Wówczas kiedy jeszcze nie miałem tak słynnego nazwiska i zraniłem ciężko ich wodza, tak że uczyniłem zeń kalekę, wściekłość ich na mnie nie miała granic. Od tego czasu jednak upłynęło wiele lat i dawna zawziętość straciła na sile. Stałem się znanym i dowiodłem niejednokrotnie, że cenię człowieka czerwonego tak samo jak i białego. Niewątpliwie jednak Tangua nienawidził mnie nadal zawzięcie, co było naturalnym wynikiem ułomności, o którą go przyprawiłem. Tego bowiem, że sam był temu winien, chyba nie przyznał do dziś.

Ale fakt, że pojmałem wówczas Pidę i pomimo dzielącej nas wrogości obchodziłem się z nim po ludzku, musiał zaważyć na szali na moją korzyść. Byłem więc teraz dla Keiowehów bardziej Old Shatterhandem aniżeli zwykłą bladą twarzą, którą ich wódz zmusił, by przestrzeliła mu kolana. Widziałem to po rzucanych na mnie spojrzeniach, niemal pełnych szacunku. Nie łudziłem się jednak z tego powodu żadnymi nadziejami, Keiowehowie mogli mnie szanować, lecz łaski spodziewać się z ich strony byłoby daremne. Co więcej, prędzej puściliby na wolność każdego innego człowieka aniżeli mnie, którego pojmania i zabicia miały im zazdrościć wszystkie plemiona czerwonoskórych. W ich oczach zasługiwałem na śmierć męczeńską. Podobnie jak biały, który z najwyższym zaciekawieniem idzie do teatru, gdy grane jest dzieło wielkiego poety lub muzyka, tak samo, a nawet jeszcze bardziej, żądni byli oni widoku, jak się zachowa Old Shatterhand podczas mąk, które go czekały.

Jakkolwiek przedstawiałem sobie swój przyszły los– nie obawiałem się go; nie czułem nawet żadnego niepokoju. Jakich to ja już niebezpieczeństw uniknąłem! I teraz nie myślałem, że wszystko już przepadło. Człowiek nie powinien tracić nadziei, aż do ostatniej chwili, ale także, o ile możności, powinien przyczyniać się do spełnienia tej nadziei. Kto tego nie robi, ten oczywiście jest zgubiony.

Santer przysiadł się do swoich trzech towarzyszy i wyjaśniał im coś bardzo energicznie. Domyślałem się, co było przedmiotem tej rozmowy. Oni słyszeli także często o Old Shatterhandzie, wiedzieli, że nie jestem łotrem, i dlatego zapewne zachowanie Santera wywarło na nich niekorzystne wrażenie. Do tego należało dodać ciche wyrzuty, jakie niewątpliwie sobie robili. Bo oto na jego rozkaz nie tylko mnie okłamali, lecz także zataili winę za to, że mnie pojmano, co z pewnością ich niepokoiło, gdyż nie byli to zupełnie źli ludzie. Santer starał się im całą sprawę oświetlić tak, żeby nie mogli mu nic zarzucić.

Narada nie trwała długo. Indianie, którzy brali w niej udział, powstali z miejsc, a Pida zapowiedział swoim ludziom:

– Wojownicy Keiowehów nie zostaną tutaj, lecz zaraz po jedzeniu wyruszą do wsi. Niechaj się więc przygotują do rychłego odjazdu!

Spodziewałem się tego, Santer zaś, nie znając tak dobrze zwyczajów Indian, sądził inaczej. Zerwał się więc, zbliżył się do Pidy i zapytał:

– Chcecie odjeżdżać? Przecie postanowiono, że zabawimy tu przez kilka dni!

– Nieraz już coś postanowiono, a potem stało się inaczej – odrzekł wódz.

– Chcieliście uczcić wiadomość o śmierci Winnetou!

– Uczynimy to, ale nie dzisiaj.

– A kiedy?

– O tym dowiemy się od Tanguy.

– Z jakiego powodu zmieniacie tak nagle postanowienie?

– Nie potrzebujemy wprawdzie tłumaczyć się z tego przed tobą, ale mimo to powiem ci, ponieważ Old Shatterhand także słucha.

Następnie zwrócił się do mnie i mówił dalej:

– Kiedy przyszliśmy tutaj, aby uradować się śmiercią Winnetou, wodza tych psów, Apaczów, nie przypuszczaliśmy, że wpadnie nam w ręce jego przyjaciel i brat, Old Shatterhand. Ten ważny wypadek podwaja naszą radość. Winnetou był naszym wrogiem, lecz w każdym razie czerwonoskórym, Old Shatterhand jest wrogiem, a w dodatku bladą twarzą. Śmierć jego wywoła jeszcze większą radość aniżeli śmierć Winnetou i synowie, i córki Keiowehów obchodzić będą równocześnie śmierć dwóch najsławniejszych przeciwników swego narodu. Tu stoi tylko mała część wojowników, ja zaś jestem zbyt młody na to, by rozstrzygnąć, w jaki sposób ma umrzeć Old Shatterhand. Na to powinno się zejść całe plemię, a Tangua, najstarszy i największy z wodzów, musi zabrać głos i wydać wyrok na Old Shatterhanda. Dlatego nie zostajemy tutaj i śpieszymy do domu, gdyż pragniemy, żeby nasi bracia i siostry jak najprędzej się dowiedzieli, co się stało.

– Ależ nie ma odpowiedniejszego miejsca do zamęczenia Old Shatterhanda jak to, na którym się teraz znajdujemy. On jest waszym wrogiem, niechże zginie przy grobach tych, z powodu których stał się waszym wrogiem.

– I ja wiem o tym, ale czyż postanowiono, że ma on zginąć gdzie indziej? Czyż nie możemy potem tutaj powrócić?

– To będzie trudno, ponieważ Tangua, który musi być przy tym, nie może jeździć.

– To każe się przywieźć na dwóch koniach. Niechaj postanowi, co sam zechce. W każdym razie Old Shatterhand będzie tu pochowany.

– Jeśli nawet zginie nad Salt Fork?

– Nawet wtedy.

– Przywieziecie go tutaj?

– Tak.

– A kto się tego podejmie?

– Ja.

– To dla mnie niepojęte! Jaki powód może skłaniać rozsądnego czerwonoskórego wojownika do tego, żeby się trudził z trupem nieżywego białego psa?

– Powiem ci to, byś lepiej poznał Pidę, młodego wodza Keiowehów, oraz żeby Old Shatterhand wiedział, jak podziękuję mu za to, że mnie kiedyś nie zabił, lecz wymienił za bladą twarz.

Znowu zwrócił się do mnie i oświadczył:

– Old Shatterhand jest wprawdzie naszym wrogiem, lecz wrogiem szlachetnym. Mógł nad Rio Pecos zastrzelić Tanguę, a nie uczynił tego, tylko go okulawił. Old Shatterhand postępował tak zawsze, o tym wiedzą czerwoni mężowie i szanują go za to. On musi umrzeć, lecz umrze śmiercią wielkiego bohatera i dowiedzie nam, że wskutek mąk, jakich nikt jeszcze dotąd nie cierpiał, nie wyrwie się z ust jego okrzyk boleści. Gdy zaś umrze, ciała jego nie pożrą ryby w rzece ani wilki i sępy na prerii. Prawdziwy wódz, jakim on jest, musi mieć grób, bo to uczci także nas, którzyśmy go zwyciężyli. A gdzie będzie ten grób? Pida słyszał, że niegdyś Nszo-czi, piękna córa Apaczów, darowała mu swoją duszę, dlatego zwłoki jego spoczną obok niej, aby duch jego mógł się w wiecznych ostępach połączyć z jej duchem. Takie będzie podziękowanie Pidy dla tego, który mu darował życie. Moi czerwoni bracia słyszeli moje słowa. Czy zgadzają się z nimi?

Spojrzał przy tym pytająco dokoła.

– Howgh! howgh! howgh! – zabrzmiały zewsząd okrzyki zgody.

Zaiste ten młody Keioweh był człowiekiem niezwykłym i jak na dzikiego Indianina szlachetnym! Stanowcza jego zapowiedź mojej męczeńskiej śmierci nie dotknęła mnie wcale, ale

wszak za to, że ta śmierć miała być tak straszna, a więc dla mnie pełna chwały, powinienem – zgodnie z ich obyczajem – być mu wdzięczny. To zaś, że chciał mnie pochować obok Inczuczuny i Nszo-czi, było dowodem delikatności uczuć, jakiej się zazwyczaj nie spotyka u dzikich. Gdy czerwoni wojownicy wygłaszali swoje „howgh”, Santer zaśmiał się głośno i zawołał do mnie:

– Słuchaj, drabie, składam ci życzenia z powodu twego wesela w wiecznych ostępach z piękną Indianką! Nie każdemu przypada takie szczęście w udziale. Chciałbym być przynajmniej gościem na twym weselu, skoro nie mogę być panem młodym. Czy mnie zaprosisz?

Nie powinienem był wyrządzać mu tego zaszczytu i odpowiadać, ale mimo to odrzekłem:

– Nie potrzeba zaproszenia, gdyż ty będziesz tam prędzej ode mnie.

– Ach, naprawdę? Myślisz zatem o ucieczce? Dobrze, że mówisz tak otwarcie. Już ja ci uciec nie pozwolę. Możesz mi wierzyć!

Indianie udali się tymczasem do doliny, gdzie znajdowały się ich konie. Nogi zostawiono mi wolne, lecz przywiązano mnie do dwóch Indian, między którymi miałem iść. Pida zarzucił sobie na plecy obie moje strzelby, a Santer szedł ze swymi trzema towarzyszami, którzy prowadzili za sobą konie. Mego konia wiódł za cugle jeden z Keiowehów.

Przybywszy na dół, rozłożyliśmy się znowu obozem. Indianie rozniecili kilka ognisk i zabrali się do pieczenia dziczyzny, którą przynieśli z sobą. Oprócz tego mieli w workach przy siodłach suszone mięso. Dostałem tak duży kawał wyśmienitej pieczeni, że ledwie go zjadłem, ale nie zostawiłem nic, gdyż zależało mi na tym, żeby nie utracić sił. Do jedzenia musiano mi rozwiązać ręce, lecz przez ten krótki czas pilnowano mnie tak dobrze, iż nie mogłem pomyśleć nawet o ucieczce. Po posiłku przywiązano mnie do mego konia i ruszyliśmy do wsi Keiowehów.

Wyjechawszy za dolinę obejrzałem się, aby rzucić jeszcze raz okiem na Nugget-tsil. Nasunęło mi się przy tym smutne pytanie, czy też ujrzę jeszcze kiedy w życiu mogiły Inczu-czuny i jego córki, bo przywieziony tu z powrotem jako trup już nie mogłem ich przecie zobaczyć!

Droga od Nugget-tsil do wsi nad Salt Fork była mi już znana, a w czasie naszej jazdy nie stało się nic godnego wzmianki. Czerwonoskórzy strzegli mnie bardzo surowo, a gdyby nawet tego nie czynili, umknąć nie było można, gdyż Santer dotrzymywał słowa, starając się o to, żebym nie znalazł najmniejszej sposobności do ucieczki. Usiłował utrudnić mi jazdę, jak tylko mógł, i wyrządzał mi różne przykrości, żeby mnie doprowadzić do gniewu. Niestety, nie udawało mu się to, gdyż ani mi było w głowie reagować na szydercze przemowy, jakie do mnie wygłaszał! Zachowywałem wobec niego zimną krew i ani razu nie sprawiłem mu tej przyjemności, żeby mu odpowiedzieć. Inne jego próby dokuczania udaremniał Pida.

Na Gatesa, Claya i Summera Indianie nie zwracali wcale uwagi; musieli oni stosować się we wszystkim do Santera. Zauważyłem niebawem, że chętnie by ze mną porozmawiali, a Pida zapewne by im tego nie zabronił, lecz Santer potrafił temu zawsze przeszkodzić. Zależało mu oczywiście na tym, żebym nie miał sposobności wyjaśnić im sprawy złota w Nugget-tsil. Zresztą nie obchodził się on z nimi bynajmniej jak z kolegami. Mieli mu dopomóc w szukaniu złota i byłem całkiem pewien, że po znalezieniu skarbu pozbyłby się ich i nie cofnął nawet przed potrójnym morderstwem, gdyby nie dało się inaczej. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Niewątpliwie trzej jego towarzysze uwiadomili go o moim przypuszczeniu, iż Winnetou zabrał stamtąd nuggety, a kartki, które widział w moim ręku, musiały być w jego oczach dowodem słuszności mego zdania. Jeśli jednak złota nie było, to poszukiwania byłyby daremne, Santer nie potrzebował więc już nikogo do pomocy. Toteż Gates, Clay i Summer stali się dlań teraz tylko ciężarem, którego najchętniej by się pozbył. Ale jak? Czy mógł ich po prostu odesłać? Nie. Musiał ich z sobą zabrać, ale z zamiarem pożegnania się z nimi jak najprędzej.

Nie trudno sobie wyobrazić, że wszystkie jego starania i zabiegi zwróciły się teraz ku moim papierom. Gorąco pragnął dostać je w swoje ręce. Zabrać mi ich otwarcie jednak nie

mógł z powodu Pidy. Pozostały mu tylko dwie drogi do ich zdobycia: albo ukraść je podczas snu, albo zaczekać na przybycie do wsi i nakłonić Tanguę, żeby mu je przyznał. Ani jedno, ani drugie nie było dlań zbyt trudne. Papiery ciągle jeszcze znajdowały się w tej samej kieszeni. Gdzież mogłem je schować? Najwyżej w innym miejscu ubrania. Musiałoby się to jednak stać po kryjomu, a więc tak, żeby nikogo wtenczas koło mnie nie było, tymczasem ciągle byłem skrępowany i otoczony przez strażników. Santer w swoim czasie wyświadczył Tanguie kilka przysług, za które ten winien mu był wdzięczność. Jakże łatwo mógł on nakłonić wodza, by odebrał mi te kartki i oddał je jemu! To niepokoiło mnie mocno. O siebie i własne życie nie troszczyłem się już, ale tym bardziej dbałem o spuściznę po moim Winnetou,

Wieś Keiowehów leżała w tym samym miejscu, co dawniej, a więc nad ujściem Salt Fork do Red River. Przeprawiliśmy się przez tę rzekę w płytkim miejscu, a potem z odległości dwóch godzin drogi od wsi Pida wysłał naprzód dwóch jeźdźców z wiadomością, że przybywamy. Jakąż radość i wrażenie musiała wywołać wieść, że prowadzą pojmanego Old Shatterhanda!

Znajdowaliśmy się jeszcze na otwartej prerii, daleko od lasu rosnącego nad brzegiem obu rzek, kiedy ujrzeliśmy pędzących ku nam jeźdźców. Byli to Keiowehowie, z których każdy chciał pierwszy zobaczyć Old Shatterhanda.

Wszyscy witali nas głośnymi, przeraźliwymi okrzykami, rzucali na mnie krótkie spojrzenia i przyłączali się z tyłu do naszego orszaku. Nie podziwiano mnie ani nie gapiono się na mnie, co by się na pewno zdarzyło w kraju cywilizowanym. Duma nie pozwala Indianom okazywać zbytniego zainteresowania czy wzruszenia z jakiegokolwiek powodu.

W ten sposób nasz oddział powiększał się z każdą chwilą, nikt jednak mi się nie naprzykrzał. Kiedy wreszcie znaleźliśmy się blisko lasu, tworzącego wąski pas nad Salt Fork, otaczało mnie około stu dorosłych indiańskich wojowników. Z tego wnioskowałem, że wieś Tanguy widocznie rozrosła się i powiększyła w minionych latach.

Pod drzewami stały namioty, w których nie było teraz chyba ani jednego człowieka, gdyż wszystko, co żyło, wybiegło na nasze spotkanie. Były więc tam kobiety stare i młode, dorastający chłopcy, dziewczęta i dzieci. Młode pokolenie nie potrzebowało być tak powściągliwe jak dorośli, poważni wojownicy, robiło więc z tej wolności taki użytek, że zatkałbym sobie uszy, gdyby nie więzy, które krępowały mi ręce. Krzyczeli, ryczeli, śmiali się i piszczeli, słowem, robili niesłychany harmider, wszystko to na dowód, jak bardzo cieszą się z mojego przybycia.

Wtem Pida, jadący na przedzie, podniósł rękę i zrobił krótki, poziomy ruch, po czym hałas ustał natychmiast. Na dalszy znak wodza gromada jeźdźców utworzyła półkole, biorąc mnie w środek. Obok stał Pida i dwaj Indianie, których jedynym zadaniem było nie odstępować mnie ani na krok. Santer starał się przecisnąć także, ale młody wódz udał, że go nie widzi.

Podjechaliśmy ku wielkiemu namiotowi, którego szczyt ozdobiony był piórami. Przed wejściem znajdował się Tangua w postawie pół siedzącej, a pół leżącej. Postarzał się ogromnie i wychudł jak szkielet. Z głębi oczodołów ugodził we mnie wzrok ostry jak nóż, a nieubłagany jak... jak... sam Tangua. Długie włosy pobielały mu jak śnieg.

Pida zeskoczył z konia, jego jeźdźcy uczynili to samo i wszyscy skupili się dokoła nas. Każdy chciał słyszeć słowa, którymi przyjmie mnie Tangua. Odwiązano mnie od konia i uwolniono nogi, żebym mógł stać. Bardzo byłem ciekaw pierwszych słów starca, lecz musiałem czekać na nie dość długo.

Tangua przypatrzył mi się od góry do dołu i od dołu do góry, raz i drugi, wzrokiem, którego można się było przestraszyć, po czym zamknął oczy. Nikt nie rzekł ani słowa, zapanowała głęboka cisza, przerywana tylko tupotem koni. Zrobiło mi się nieprzyjemnie i chciałem już pierwszy przerwać milczenie, kiedy powoli i uroczyście, nie otwierając oczu, sędziwy wódz zaczął mówić:

– Kwiat spodziewa się rosy, ale rosa nie spada, a kwiat pochyla głowę i więdnie; już, już ma zginąć, kiedy wreszcie rosa nadchodzi!

Zamilkł na chwilę, po czym zaczął na nowo:

– Bawół grzebie nogą w śniegu, lecz nie znajduje pod nim ani źdźbła trawy. Rycząc z głodu, przyzywa wiosny, ale wiosna bawi gdzieś daleko; bawół chudnie, garb mu zanika, siły jego słabną i już ma zginąć. Wtem nadciąga ciepły wiatr i bawół tuż przed śmiercią ogląda wiosnę!

Nastąpiła znów przerwa.

Jak dziwnym, niepojętym stworzeniem jest jednak człowiek! Ten Indianin dokuczał mi, obrażał mnie i wyszydzał jak nikt przedtem, nienawidził mnie, prześladował i godził na moje życie, a ja odpłaciłem mu za to wyrozumiałością. Zamiast go zastrzelić, przebiłem mu tylko nogi kulą, i to z konieczności. A teraz, kiedy leżał przede mną, jako ruina wojownika, ze skórą nawleczoną na chrzęszczące kości, z głosem bezdźwięcznym, dobywającym się jak przez sen lub jak z grobu, poczułem litość dla niego. Zacząłem żałować, że wówczas do niego strzeliłem. Żal mi go teraz było, chociaż wiedziałem, że pragnął zemsty, że oczy miał teraz zamknięte tylko z nadmiaru radości i zachwytu, iż nareszcie będzie mógł ugasić pragnienie mojej krwi. Tak, człowiek to osobliwe stworzenie!

Poruszyły się bezkrwiste wargi, Tangua znów przemówił:

– Tangua był tym kwiatem i tym głodnym bawołem. Tęsknił i ryczał za zemstą, lecz ona się nie zjawiała. Ginął z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień i z dnia na dzień; lecz zemsta się ociągała. Już miał umrzeć ze starości, kiedy oto przecież zawitała!

Otworzył nagle szeroko oczy, wyprostował się, o ile nogi mu na to pozwalały, wyciągnął do mnie chude ręce z rozstawionymi palcami i krzyknął przerywanym głosem:

– Tak, nadchodzi zemsta, nadchodzi! Jest, jest już tutaj! Widzę ją, widzę tuż przed sobą! Psie, psie, ach, w jak strasznych, w jak okropnych mękach ty umrzesz!

Opadł zmęczony i znów przymknął oczy. Nikt nie śmiał przerywać tej ciszy: milczał nawet syn jego, Pida.

Dopiero po dłuższej chwili starzec znowu podniósł powieki i zapytał:

– Jak ta śmierdząca ropucha wpadła wam w ręce? Chcę wiedzieć.

Santer podchwycił tę sposobność natychmiast. Nie czekając na odpowiedź Pidy, odezwał się czym prędzej:

– Ja wiem najlepiej. Czy mam opowiedzieć?

– Mów!

Santer zaczął opowiadać, przy czym nie omieszkał jak najkorzystnej przedstawić własną zasługę. Nikt mu nie przerywał. Pida był na to za dumny, a mnie było obojętne samochwalstwo tego draba. Przedstawiwszy całe zdarzenie, Santer dodał na końcu:

– Każdy łatwo pojmie, że tylko dzięki mnie możecie zemścić się na nim. Czy zgadzasz się z tym?

Starzec potwierdził pytanie.

– Czy wyrządziłbyś mi za to przysługę?

– Jeśli będę mógł.

– Możesz.

– Czego więc sobie życzysz?

– Old Shatterhand ma w kieszeni mówiący papier, który chciałbym posiadać.

– Czy ci go zabrał?

– Nie.

– Czyj więc jest ten papier?

– Nie jego, bo on go tylko znalazł. Ja właśnie pojechałem do Mugworthills, aby go odszukać; niestety, on przybył pierwszy.

– Niech będzie twoim. Odbierz mu go!

Santer ucieszył się z wyniku swoich starań i zbliżył się do mnie. Nie odezwałem się ani słowem, nawet się nie poruszyłem, spojrzałem mu tylko groźnie w twarz. Santer zląkł się i nie ośmielił się na mnie porwać.

– Słyszeliście, co wódz nakazał, sir – rzekł do mnie.

Tym razem nie powiedział „ty", lecz nawet „sir". Gdy i na to nie odpowiedziałem, dodał:

– Mr. Shatterhand, lepiej się nie opierajcie! Zgódźcie się na to! Sięgnę teraz do waszej kieszeni.

Podszedł jeszcze bliżej i wyciągnął ręce. Wtedy uderzyłem go obiema związanymi rękami pod brodę tak silnie, że runął na wznak na ziemię.

– Uff! – zawołało kilku czerwonoskórych z widocznym zadowoleniem.

Tangua jednak był innego zdania, gdyż zawołał:

– Ten pies broni się, chociaż jest skrępowany! Zwiążcie go tak, żeby się nie mógł ruszyć, i wyjmijcie mu potem z kieszeni mówiący papier!

Na to wreszcie po raz pierwszy zabrał głos syn jego, Pida:

– Ojciec mój, wielki wódz Keiowehów, jest mądry i sprawiedliwy, wysłucha on słów swojego syna.

Dotychczas stary mówił tak, jakby był nieobecny duchem, w stanie jakiegoś zamroczenia – teraz jego oczy rozjaśniły się. Spojrzał pogodnie na Pidę, a kiedy odpowiedział, głos jego nie brzmiał już tak ponuro:

– Czemu syn mój mówi te słowa? Czy to niesłuszne, czego żądała blada twarz, Santer?

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie Santer zwyciężył Old Shatterhanda, lecz my. Old Shatterhand zaniechał wszelkiej obrony, nie skaleczył nikogo z nas, lecz poddał się mnie dobrowolnie. Czyim zatem jest jeńcem?

– Twoim.

– Do kogo tedy należy koń jego, broń i wszystko, co miał przy sobie?

– Do ciebie.

– Tak, do mnie! Pozyskałem wielką i cenną zdobycz. Wobec tego, jak może Santer żądać mówiącego papieru?

– Ponieważ ten papier jest jego.

– Czy potrafi to udowodnić?

– Tak jest. On pojechał do Mugworthills, aby go znaleźć, ale Old Shatterhand go uprzedził.

– Skoro go szukał, to musi wiedzieć, co zawiera. Niechaj ojciec mój powie, czy to jest słuszne, czy nie!.

– To jest słuszne.

– W takim razie niechaj Santer nam wyjaśni, jakie słowa są na tym papierze.

– Tak, niech to uczyni. Jeśli mu się to uda, papier będzie jego.

To wezwanie, zwrócone do Santera, wprawiło .go w niemały kłopot. Wprawdzie mógł się domyślać, że treść kartek odnosiła się do złota, schowanego w Nugget-tsil, ale jeśliby tak powiedział, a okazało się, że jest inaczej, zarzucono by mu kłamstwo. A gdyby rzeczywiście tak było, to czyż mógł to wyjawić? Zależało mu przecież na tym, żeby pozostać jedynym i wyłącznym właścicielem tajemnicy. Spróbował tedy wykrętu:

– To, co zawiera mówiący papier, ma znaczenie tylko dla mnie. Ze jest mój, dowiodłem tym, że pojechałem specjalnie po niego do Mugworthills. A to, że Old Shatterhand znalazł go przede mną, to jest czysty przypadek.

– Rozumnie powiedział – oświadczył Tangua. – Mówiący papier jest jego własnością.

Teraz nadszedł czas na moje słowa, gdyż z wyrazu twarzy Pidy wywnioskowałem, że jest skłonny zaniechać dalszego oporu,

– Tak, to rozumne – rzekłem – lecz nieprawdziwe. Santer nie przybył do Mugworthills dla tego papieru.

Stary wódz drgnął na dźwięk mojego głosu jak człowiek nagle zagrożony niebezpieczeństwem i syknął do mnie zjadliwie:

– Ten pies śmierdzący znowu zaczyna szczekać, ale to mu nic nie pomoże!

– Pida, młody i waleczny wódz Keiowehów, zaznaczył przedtem, że Tangua jest mądry i sprawiedliwy – prowadziłem rzecz dalej. – Jeśli to prawda, to nie postąpi stronniczo.

– To jest prawda.

– Powiedz tedy, czy podejrzewasz mnie o kłamstwo?

– Nie. Old Shatterhand jest najniebezpieczniejszą z bladych twarzy i moim najgorszym wrogiem, lecz nigdy nie był on dwujęzyczny.

– To przyjmij do wiadomości, że nikt inny oprócz mnie nie mógł wiedzieć, gdzie ten papier leżał. Santer nie miał o tym pojęcia i nie ja, lecz on był przypadkowo przy tym, gdy go znalazłem. Spodziewam się, że mi uwierzysz.

– Tangua przypuszcza, że Old Shatterhand nie kłamie, lecz Santer twierdzi także, że powiedział prawdę, Jak mam rozstrzygnąć, ażeby postąpić sprawiedliwie?

– Dobrze jest, kiedy sprawiedliwość połączy się z rozumem. Santer bywał często w Mugworthills; szukał tam złota, ale nie znalazł; Tangua wie o tym, gdyż sam pozwolił mu szukać. On i tym razem był tam tylko dla złota.

– To kłamstwo! – huknął na mnie Santer.

– To prawda – odparłem. – Niechaj Tangua spyta tamte trzy blade twarze! Santer sprowadził ich, żeby mu pomogli w poszukiwaniach.

Na wezwanie starego wodza Gates, Clay i Summer potwierdzili moje słowa.

Wtedy Santer uczynił ostatnią próbę:

– A mimo to ja byłem tam z powodu tego papieru! Prawda, że chciałem także poszukać przy tej sposobności nuggetów i sprowadziłem sobie tych trzech ludzi do pomocy, lecz o papierze nic im nie wspominałem, gdyż tylko mnie wolno było o tym wiedzieć.

Teraz stary wódz znowu zmienił swe zapatrywanie i zawołał niechętnie:

– W takim razie obaj mają słuszność! Cóż mam począć.

– Posłuchać swego rozumu – odrzekłem. – Niechaj Santer nam powie, czy ten papier ma dla niego wartość, czy nie!

– Oczywiście, że ma wartość – oświadczył. – Musi być dla mnie bardzo ważny, w przeciwnym razie nie upierałbym się przy swoim żądaniu.

– Dobrze! Czy to jeden papier, czy więcej?

– Więcej – odpowiedział. Obserwując mnie przy grobie widział w moim ręku kilka kartek.

– Ile? Dwa... trzy... cztery... pięć?

Santer milczał. Jeśliby teraz nie odgadł, jego kłamstwo musiałoby wyjść na jaw.

– Widzicie, że milczy! – rzekłem. – Nie wie.

– Zapomniałem. Któż bowiem zdoła zapamiętać coś takiego dokładnie?

– Skoro te papiery są dla niego tak ważne, to powinien wiedzieć, ile jest kartek. Jeśli zaś nawet wiedział przedtem, a potem wypadło mu to z pamięci, to powie przynajmniej, czy zapisane są atramentem, czy ołówkiem. Przypuszczam jednak, że i teraz nie będzie wiedział.

Ostatnie słowa wymówiłem z wyraźnym przekąsem, aby go skłonić do szybkiej odpowiedzi. Spodziewałem się, że nie odgadnie prawdy, gdyż na Dzikim Zachodzie atrament znajduje się tylko w fortach, daleko łatwiej zaś mieć przy sobie ołówek. Nie przeliczyłem się. Santer odrzekł nieoględnie, lecz takim tonem, jakby był najzupełniej pewny siebie:

– Oczywiście, że wiem. Tego się nie zapomina. Papiery są zapisane ołówkiem.

– Może się mylicie? – spytałem jeszcze raz dla pewności.

– Są na pewno zapisane ołówkiem, a nie atramentem.

– Dobrze! Kto z obecnych wojowników, który widział mówiące papiery bladych twarzy, potrafi odróżnić ołówek od atramentu?

Zgłosiło się kilku ludzi. Zresztą byli tu także Gates, Clay i Summer. Wezwałem zatem Pidę.

– Niech młody wódz Keiowehów wyjmie z mej kieszeni papiery i da je zbadać, nie pokazując ich jednak Santerowi.

Pida zrobił to, starając się, żeby biali zobaczyli pismo, lecz nie przeczytali go przy tej sposobności. Oświadczyli oni, że pisane było atramentem, a Tangua i Pida potwierdzili to, choć niewiele się na tym rozumieli.

– Głupcy! – ofuknął Santer Gatesa. – Szkoda, że w ogóle się z wami zadawałem. Nie wiecie nawet, co atrament, a co ołówek.

– No, tacy głupi nie jesteśmy – odrzekł Gates. – To jest atrament i atramentem pozostanie.

– Tak, a wy siedzicie w tym atramencie i niełatwo z niego wyleziecie!

Nie mógł im oczywiście powiedzieć, że powinni byli skłamać. Schowawszy kartki do skórzanej koperty, Pida zwrócił się do ojca:

– Old Shatterhand pokonał swego przeciwnika. Ojciec mój wie już teraz, czy Santer ma prawo do tych papierów.

– Nie był jego, lecz Old Shatterhanda – zawyrokował stary.

– Teraz więc są moją własnością, gdyż Old Shatterhand jest moim jeńcem. Skoro ci dwaj ludzie sprzeczają się o nie, to są z pewnością bardzo ważne. Dlatego schowam, je dobrze w mym woreczku z „lekami”.

I rzeczywiście włożył papiery do woreczka na szyi. Było to z jednej strony nad wyraz fatalne, a z drugiej przyjemne. Fatalne, ponieważ zależało mi na tym, żeby zostały u mnie. Jakże je teraz wydostać w razie ucieczki? Przyjemne zaś było to o tyle, że nie dowierzałem Santerowi. Gdyby mi pozwolili zatrzymać papiery u siebie, próbowałby na pewno zabrać mi je, jeśli nie podczas mego snu, to przemocą. Wobec tego może i lepiej się stało, że wziął je młody wódz, na którego Santer nie ważyłby się porwać. Teraz nawet zwrócił się on do Pidy tonem, jak gdyby ich się całkiem wyrzekał:

– Tak, zatrzymaj je sobie! Na nic ci się one nie przydadzą, ponieważ nie umiesz czytać. Wprawdzie ja chciałem je mieć, gdyż są dla mnie istotnie ważne, ale mogę się też obejść bez nich, gdyż znam ich treść. Chodźmy, panowie! Nie mamy tu już nic do roboty.

Po czym oddalił się wraz z Gatesem, Clayem i Summerem. Nikomu nie przyszło na myśl ich zatrzymywać. Sprawa z papierami została rozstrzygnięta, teraz należało oczekiwać, że Indianie zajmą się moją osobą. Istotnie, przypuszczenie moje się sprawdziło, przedtem jednak wódz spytał syna:

– Old Shatterhand miał mówiące kartki przy sobie. Dlaczego nie wypróżniliście mu dotychczas kieszeni?

– Nie wypróżniliśmy – odrzekł Pida – bo to wielki wojownik. Zabijemy go wprawdzie, lecz nie chcemy przeszukiwaniem jego kieszeni znieważać jego imienia i waleczności. Mamy jego broń i to nam wystarczy; wszystko inne zostawi mnie, kiedy umrze.

Zdawało mi się, że stary nie zgodzi się na to, ale omyliłem się, gdyż rzuciwszy na syna dumne spojrzenie rzekł:

– Pida, młody wódz Keiowehów, jest szlachetnym wojownikiem; oszczędza swoich najgorszych nieprzyjaciół; zabija ich wprawdzie, lecz nie lży ich i nie znieważa. Imię jego będzie jeszcze większe i słynniejsze niż imię Winnetou, tego psa Apacza. W nagrodę za to pozwolę mu utopić nóż w sercu Old Shatterhanda, kiedy będzie już tak zmęczony, że życie zeń zacznie umykać. Pida będzie mógł z chwałą powiedzieć o sobie, że z jego ręki zginęła największa,

najniebezpieczniejsza i najsławniejsza spośród bladych twarzy. Teraz zwołajcie starszych! Naradzimy się, w jaki sposób ten złośliwy biały pies ma zginąć. Tymczasem przywiązać go do drzewa śmierci!

Zawleczono mnie do grubego na dwie stopy świerka, dokoła którego wbite były grube pale, po cztery z każdej strony. Przeznaczenie tych pali poznałem dopiero wieczorem. Świerk ten nazywał się drzewem śmierci, ponieważ przywiązywano doń jeńców skazanych na śmierć męczeńską. Na dolnej gałęzi wisiały rzemienie. Przywiązano mnie do tego drzewa tak jak ongiś Winnetou i jego ojca, kiedy dostali się w ręce Keiowehów, Dwaj wojownicy usiedli po mojej prawej i lewej stronie. Tymczasem przed namiotem wodza starsi wojownicy utworzyli półkole, aby naradzić się nad moim losem albo raczej – nad rodzajem śmierci. Zanim rozpoczęli naradę, przyszedł Pida i zbadał moje rzemienie. Ponieważ były strasznie mocno ściągnięte, rozluźnił je cokolwiek i rzekł do pilnujących mnie strażników:

– Uważajcie na niego pilnie, ale nie dręczcie go! To wielki wódz białych myśliwców, który nigdy nie zadał czerwonym wojownikom niepotrzebnych cierpień.

Potem oddalił się, by wziąć udział w naradzie.

Stałem przywiązany do drzewa plecami. Mnóstwo kobiet, dziewcząt i dzieci przychodziło, by mi się przypatrzyć. Wojownicy trzymali się z dala; nawet chłopcy, z wyjątkiem zupełnie małych, byli zbyt dumni, aby mi się naprzykrzać swoją ciekawością. Nie dojrzałem w żadnej twarzy nienawiści, tylko ciekawość połączoną z szacunkiem. Chcieli obejrzeć białego myśliwca, o którym tyle słyszeli i którego śmierć miała im sprawić widowisko tak podniecające, jakiego jeszcze nie zaznali.

Pośród nich zwróciła moją uwagę młoda Indianka, która zapewne nie była jeszcze niczyją żoną. Spłoszona moim wzrokiem odeszła na bok, stanęła tam w odosobnieniu i rzucała na mnie tylko ukradkowe spojrzenia, jak gdyby wstydziła się tego, że znalazła się przedtem wśród zwyczajnych gapiów. Nie była piękna, lecz było w niej coś urzekającego. Miękkim jej rysom dodawały piękności duże czarne oczy. Oczy te przypominały mi żywo Nszo-czi, chociaż poza tym nie była podobna do siostry Apacza. Odruchowo skinąłem jej przyjaźnie głową. Zarumieniła się aż po włosy, odwróciła się i odeszła. Potem zatrzymała się, spojrzała jeszcze raz i w końcu zniknęła w jednym z większych i lepszych namiotów.

– Kto jest ta młoda córa Keiowehów, która teraz odeszła? – spytałem moich dozorców.

Nie zabroniono im ze mną rozmawiać, toteż jeden z nich odpowiedział:

– To była Kakho-oto[50], córka Sus-homaszy[51], który jeszcze jako chłopiec zdobył sobie prawo noszenia jednego pióra we włosach. Czy ona ci się podoba?

– Tak – odrzekłem, choć wobec mojego położenia to pytanie w ustach czerwonoskórego brzmiało dość dziwnie.

– Skwaw naszego młodego wodza jest jej siostrą – dodał strażnik.

– Skwaw Pidy?

– Tak.

– Jest więc krewną Pidy!

– Tak. Ten wojownik z wielkim piórem we włosach przy naradzie to jej ojciec.

Na tym skończyła się ta krótka rozmowa, której ważnych następstw nie mogłem wtedy w żaden sposób przewidzieć.

Narada trwała długo, bo przeszło godzinę, po czym sprowadzono mnie, bym wysłuchał wyroku. Posypały się długie mowy o zbrodniach popełnionych przez wszystkich białych i przeze mnie. Tangua bez końca zdawał sprawę z naszej dawnej wrogości, która skończyła się obezwładnieniem mu obu nóg. Wspomniano oczywiście także o tym, że uwolniłem Hawkensa

[50] K a k h o - o t o (ind.) – Ciemny Włos
[51] S u s-h o m a s z a (ind.) – Jedno Pióro

i porwałem się na Pidę, słowem wyliczono mi tyle przewinień, że mowy być nie mogło o łasce. Jeszcze dłuższy był spis mąk, które mnie czekały. Mogłem być zeń dumny, gdyż oznaczał miarę szacunku, jakim mnie zaszczycali ci mili ludzie. Jedyną pociechą było to, że nie przystąpili od razu do wykonania wyroku, gdyż nie było we wsi jednego oddziału Keiowehów. Nie chcąc pozbawiać towarzyszy przyjemności zobaczenia śmierci Old Shatterhanda, czekano na ich powrót.

Podczas ogłoszenia wyroku zachowałem się jak człowiek, który nie boi się śmierci. Powiedziałem jednak to, co uważałem za stosowne, starając się przy tym nie obrazić moich czerwonoskórych sędziów.

Trzymałem się więc w tym wypadku innej zasady niż Indianie. U nich za dowód odwagi uchodzi to, że skazany usiłuje wszelkimi sposobami rozwścieczyć swoich katów. Ja zaniechałem tego obyczaju ze względu na Pidę, który obszedł się ze mną tak wielkodusznie, i wobec tego, że Keiowehowie przyjęli mnie całkiem inaczej, niż się sam tego mogłem spodziewać, jako przyjaciel Apaczów, odwiecznych ich wrogów. O to, żeby mój spokój wzięli za tchórzostwo, mógł się obawiać każdy, tylko nie ja.

Gdy mnie odprowadzano na powrót do drzewa, przechodziliśmy obok namiotu należącego do Jednego Pióra. W drzwiach stała jego córka. Nie myśląc nic szczególnego, zatrzymałem się i zapytałem:

– Moja młoda czerwona siostra cieszy się pewnie także, że pochwycono niedobrego Old Shatterhanda?

Poczerwieniała jak przedtem, kiedy zrobiłem jej przyjazny znak głową, zawahała się przez chwilę i odrzekła:

– Old Shatterhand nie jest niedobry.

– Skąd wiesz o tym?

– To wszyscy wiedzą.

– A dlaczego chcecie mnie zabić?

– Ty okaleczyłeś Tanguę i nie jesteś już bladą twarzą, lecz Apaczem.

– Jestem bladą twarzą i zostanę nią.

– Inczu-czuna przyjął cię do plemienia Apaczów i zrobił cię nawet wodzem. Czy nie piłeś krwi Winnetou, a on twojej?

– Istotnie uczyniliśmy to, ale nikt z Keiowehów nie doznał ode mnie krzywdy, chyba że sam mnie zmusił do tego. Niechaj Ciemny Włos o tym nie zapomina!

– Jak to? Old Shatterhand zna moje imię?

– Zapytałem o nie, widząc, że jesteś córką wielkiego i dostojnego wojownika. Obyś przeżyła więcej pięknych słońc, aniżeli mnie pozostaje godzin życia!

Poszedłem dalej. Moi dozorcy nie sprzeciwili się tej rozmowie. Nie ulega jednak wątpliwości, że nie obchodziliby się tak z żadnym innym jeńcem. Było to nie tylko skutkiem sposobu postępowania Pidy i jego stosunku do mnie, lecz także tej okoliczności, że i jego ojciec stał się nieco inny. Zmiany tej nie wywołał jedynie starczy wiek, usposabiający zwykle łagodnej i odbierający energię, lecz zachowanie się syna, który miał wpływ na ojca. Nowy szczep nadaje staremu pniowi nową wartość i lepsze soki.

Gdy przywiązano mnie znowu do drzewa śmierci, wszyscy trzymali się już z dala, nie tylko wojownicy, lecz także kobiety j dzieci. Wydano, jak się zdaje, taki rozkaz. Było mi z tym dobrze, gdyż wcale to nie jest miłe wisieć bezsilnie u pnia i być podziwianym jako rzadki okaz, choćby tylko przez dzieci.

Później zobaczyłem Ciemny Włos wychodzącą z namiotu. Trzymała w ręku płytkie, gliniane naczynie i podeszła z nim do mnie.

– Mój ojciec pozwolił mi podać ci jedzenie. Czy przyjmiesz? – zapytała.

– Chętnie – odrzekłem. – Nie mogę jednak użyć rąk, gdyż jestem przywiązany,

– Nie trzeba cię odwiązywać, ja będę twoją służebnicą.

Przyniosła pieczone i pokrajane mięso bawole. Trzymając nóż w ręku, nabijała nań po kawałku i wkładała mi do ust. Old Shatterhand karmiony jak dziecko przez młodą Indiankę! Byłbym się może, pomimo mego nie wzbudzającego zazdrości położenia, roześmiał, ale wstydzić się na szczęście nie potrzebowałem. Dla tej dziewczyny, która okazała mi się tak pomocną, podobne wypadki żywienia skazańca nie były niczym nadzwyczajnym.

Obaj dozorcy przypatrywali się poważnie tej czynności, lecz wydało mi się, że z trudem tylko powstrzymują się od śmiechu. Gdy zjadłem ostatni kawałek mięsa, jeden z nich uważał za stosowne wynagrodzić dobrą dziewczynę w ten sposób, że zaczął jej o mnie opowiadać:

– Old Shatterhand powiedział, że Ciemny Włos mu się podoba.

Dziewczyna spojrzała na mnie tak badawczo, że poczerwieniałem niemal jak ona, po czym odwróciła się, żeby odejść. Ale już po kilku krokach zatrzymała się i spytała:

– Czy ten wojownik powiedział prawdę?

– Zapytał mnie, czy mi się podobasz, a ja potwierdziłem – odrzekłem zgodnie z prawdą.

Odeszła, a ja zganiłem mego strażnika za jego paplaninę, co zresztą nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

Późno po południu ujrzałem Gatesa włóczącego się pomiędzy namiotami.

– Czy mogę pomówić z tą bladą twarzą? – spytałem moich dozorców.

– Tak – brzmiała korzystna dla mnie odpowiedź.– Ale nie wolno wam mówić o ucieczce.

– O to niech mój czerwony brat będzie spokojny!

Gdy zawołałem Gatesa do siebie, podszedł powoli ł z wahaniem, jak człowiek, który nie wie, czy wolno mu to uczynić.

– No bliżej! – wezwałem go. – A może zabroniono wam ze mną mówić?

– Mr. Santer źle na to patrzy – przyznał.

– Czy powiedział to wyraźnie?

– Tak.

– Wierzę. Boi się, że go wam zbyt dokładnie przedstawię.

– Ciągle jeszcze mylicie się co do jego osoby.

– Nie ja, lecz wy.

– To dżentelmen!

– Tego mi nie udowodnicie, a ja potrafię was przekonać o czymś zupełnie przeciwnym.

– Nie chcę tego wcale słuchać, gdyż wiem, że jesteście doń wrogo usposobieni.

– Zaiste, tak wrogo, że ma on wszelkie powody, żeby mieć się przede mną na baczności.

– Przed wami? Hm! Sir, nie bierzcie mi tego za złe, ale przed wami nikt już nie potrzebuje się mieć na baczności.

– Czy dlatego, że jestem skazany na śmierć?

– Tak.

– Między wyrokiem śmierci a śmiercią jest wielka różnica. Miałem już nieraz umrzeć, a nie zabito mnie jeszcze! Czy wierzycie istotnie, że Old Shatterhand jest takim drabem, jak twierdzi Santer?

– Muszę uwierzyć we wszystko albo w nic. Jesteście wrogami. A kto ma słuszność – czy on, czy wy, to mnie nic nie obchodzi.

– Nie powinniście mnie byli przynajmniej oszukiwać i okłamywać!

– Kiedy to uczyniłem?

– W Mugworthills, gdy zatailiście przede mną obecność Keiowehów, Gdybyście byli uczciwi, nie stałbym tu teraz jako jeniec.

– A czy wy byliście wobec mnie szczersi?

– Czy okłamałem was lub oszukałem?

– Tak.

– Kiedy i jak?
– Nazwaliście siebie Jonesem!
– To jest oszustwo?
– Naturalnie!
– Oszustwo jest bezprawnym przywłaszczeniem sobie korzyści, a między nami nic podobnego nie zaszło. Zatajenia nazwiska nie określiłbym nawet jako podstęp; to była wprost konieczność. Santer jest wielokrotnym mordercą, niezwykłym oszustem i wyjątkowo niebezpiecznym człowiekiem, który godził na moje życie. A wy byliście jego towarzyszami. Czy mogłem wam wobec tego powiedzieć, kim jestem i że udaję się do Mugworthills?
– Hm! – mruknął.
– Hm? Nie bierzcie mi tego za złe, mr. Gates, ale skoro teraz jeszcze żywicie jakieś wątpliwości co do tego, czy ja mam słuszność, czy on, to was nie pojmuję.
– Mimo wszystko powinniście byli postąpić z nami otwarcie. To nam się należało!
– Nic się wam nie należało. Zrozumiano? Jesteście ludźmi niedoświadczonymi, przynajmniej w porównaniu z takim westmanem, jakim ja jestem. Musiałem więc zachować wobec was pewną ostrożność i powściągliwość. Poza tym wiedziałem, że wynajął was Santer. Wychwalaliście go pod niebiosa. Konieczne więc było, żebym zataił swoje nazwisko.
– Gdybyście je wówczas wymienili, uwierzylibyśmy wam!
– Nie!
– Tak!
– Nie! Mogę wam to udowodnić.
– W jaki sposób?
– Czy wierzycie mi teraz, jakkolwiek wiecie, że jestem Old Shatterhandem?
– Sami jesteście temu winni, ponieważ początkowo okłamaliście nas i podeszli!
– To wykręt! Wiecie teraz, kim jestem i dlaczego musiałem ukryć swoje nazwisko, a co najgłówniejsze, przekonaliście się, jak Santer ze mną postępuje.
– On nie chce wam zrobić nic złego.
– Kto to powiedział?
– On sam.
– Kiedy?
– Niedawno.
– Santer stara się was obałamucić, a pali się do tego, żeby mnie pozbawić życia.
– Nie, on nie kłamie!
– Widzicie więc, że teraz jeszcze stoicie po jego stronie, a mnie nie ufacie! Wobec tego, nic by nie pomogło, gdybym w Mugworthills powiedział, kim jestem.
Usiłowałem dowieść wam, że Santer nie ma uczciwych zamiarów. Nie wierzycie temu jeszcze teraz, kiedy wyraźnym waszym obowiązkiem jest go opuścić, aby dopomóc mnie, jeńcowi, którego postanowiono nędznie zamordować.
– Santer wyraził się, że chce was ocalić.
– Kłamstwo, nic tylko kłamstwo! Widzę, że nie da się was przekonać. Santer was usidlił i zmądrzejecie dopiero po szkodzie.
– O szkodzie nie ma mowy. Wobec was może być inny, gdyż wy ścigaliście go i godziliście na jego życie, ale przeciw nam on nic złego nie knuje.
– Wciąż jeszcze spodziewacie się złota?
– Tak.
– W Mugworthills już go nie ma!
– Ale jest gdzie indziej.
– Gdzie?
– O tym dopiero się dowiemy.

– Od kogo?
– Santer ma nam to wyjawić.
– W jaki sposób? Czy wam to powiedział?
– Nie.
– Macie więc znów dowód, że nie jest wobec was uczciwy i szczery!
– Przecież nie może nam powiedzieć tego, czego sam jeszcze nie wie!
– On wie, wie nawet dokładnie, w jaki sposób może znaleźć miejsce, w którym teraz znajdują się nuggety.
– Skoro tak mówicie, to pewnie także to wiecie.
– Oczywiście.
– To podzielcie się ze mną tą wiadomością!
– To niemożliwe.
– Aha! Widzicie, że wy właśnie nie jesteście uczciwi! Jakże wobec tego stanąć po waszej stronie?
– Powiedziałbym wam wszystko, gdybym mógł wam zaufać. Nie możecie mi nic zarzucać, gdyż sami zmuszacie mnie do milczenia. Gdzie znaleźliście pomieszczenie?
– Mieszkamy razem w jednym namiocie, który wybrał dla nas Santer.
– I on mieszka z wami?
– Tak.
– A gdzie stoi ten namiot?
– Obok namiotu Pidy.
– To dziwne! I Santer sam go wybrał?
– Tak. Tangua pozwolił mu zamieszkać, gdziekolwiek zechce.
– A on usadowił się właśnie obok Pidy, który nie otacza go bynajmniej taką łaskawością jak jego ojciec. Hm! Miejcie się na baczności, bo możliwe, że Santer nagie zniknie, a was zostawi tu samych, a wówczas usposobienie Indian w stosunku do was może się także nagle zmienić!
– Jak to?
– Teraz znoszą waszą obecność, a później będą was uważali za wrogów, A czy ja potem potrafię wam pomóc, to. wątpliwe.
– Wy... nam... pomóc? – wyjąkał zdumiony. – Mówicie tak, jak gdybyście byli na wolnej stopie i cieszyli się przyjaźnią Keiowehów.
– Mam do tego powody, gdyż...
– Do stu piorunów! – przerwał mi nagle. – Teraz on zobaczy, że koło was stoję.
Santer wyszedł właśnie spomiędzy namiotów, zauważył Gatesa i podszedł prędko.
– Widocznie strasznie się boicie tego draba, któremu podobno tak bardzo ufacie! – rzekłem z przekąsem.
– Nie boimy się, lecz on nie chce, żebyśmy do was chodzili.
– To uciekajcie i proście go o przebaczenie i łaskę, mr. Gates!
– Czego tutaj szukacie, Gates?! – zawołał Santer już z daleka. – Kto wam pozwolił rozmawiać z tym człowiekiem?
– Przechodziłem przypadkiem koło niego, a on do mnie przemówił – odparł zagadnięty.
– Tu nie może być żadnego przypadku. Zabierajcie się stąd! Pójdziecie ze mną!
– Ależ, mr. Santer, nie jestem dzieckiem...
– Milczcie i chodźcie ze mną! Naprzód!
Ujął go za rękę i pociągnął za sobą. Musiał zdrowo nakłamać tym trzem niedoświadczonym ludziom, skoro tak się go trzymali, a co gorsza, nie próbowali nawet stawiać oporu wobec jego grubiańskiego postępowania.

Oczywiście dano mi takich dozorców, którzy rozumieli od biedy po angielsku. Słyszeli oni moją rozmowę z Gatesem i wkrótce przekonałem się jeszcze raz, że poważali mnie o wiele bardziej aniżeli Santera. Jeden z nich, który zawsze odpowiadał na moje pytania, tak odezwał się po odejściu Santera z Gatesem:

– To owce idące za wilkiem; on pożre je, gdy będzie głodny. Czemu nie wierzą przestrodze Old Shatterhanda, który im przecież dobrze życzy?

Wkrótce potem nadszedł Pida, aby zbadać moje więzy i przekonać się zarazem, czy nie uskarżam się na nic. Wskazał na wbite nie opodal słupy i rzekł;

– Old Shatterhand znużył się zapewne długim staniem. Przez całą noc będzie leżał pomiędzy tymi palami. Może położyłby się już teraz?

– Nie. Mogę jeszcze wytrzymać – odpowiedziałem.

– To niech to zrobi po wieczerzy. Czy biały myśliwiec ma jakieś życzenie?

– Tak, mam prośbę.

– Powiedz ją; jeśli będę mógł, chętnie ją spełnię.

– Chciałbym cię ostrzec przed Santerem.

– Przed nim? To robak wobec Pidy, syna wodza Tanguy.

– Bardzo słusznie! Ale na robactwo także trzeba zważać, skoro się usiłuje zagnieździć. Słyszałem, że teraz mieszka obok ciebie.

– Tak, ten namiot był wolny.

– Pilnuj, żeby nie wszedł do twego! Ma widocznie taki zamiar.

– To go wyrzucę!

– Możesz to uczynić, gdy przyjdzie otwarcie. A co będzie, jeśli zakradnie się po kryjomu, a ty tego nie spostrzeżesz?

– To nie uszłoby mojej uwagi!

– Nawet gdyby cię nie było w namiocie?

– Będzie w nim moja skwaw i wypędzi go.

– On chce koniecznie posiąść ten mówiący papier, który ode mnie wziąłeś

– Nie dostanie go.

– Tak, ty mu go nie oddasz, ale czy zdołasz przeszkodzić kradzieży?

– Gdyby mu się nawet udało przyjść skrycie do namiotu, nie znalazłby papieru, gdyż schowany jest nadzwyczaj dobrze.

– Spodziewałem się tego. Czy pozwoliłbyś mi jeszcze raz popatrzeć na ten papier?

– Widziałeś go już i przeczytałeś.

– Nie cały.

– Zobaczysz go, ale nie teraz, bo już robi się ciemno. Przyniosę ci go jutro rano, gdy będzie jasno.

– Dziękuję ci! I jeszcze jedno: Santer pożąda nie tylko mówiącego papieru, lecz i moich znakomitych strzelb. W czyich rękach są one teraz?

– W moich.

– To schowaj je dobrze!

– Są doskonale ukryte. Gdyby nawet zdołał wejść do mego namiotu w biały dzień, nie mógłby ich zobaczyć. Owinąłem je w dwa koce i wsunąłem pod moje łoże, żeby nie przeszły wilgocią. One są moje. Ja będę twoim następcą w sławie posiadania tego sztucera, Old Shatterhand spełni więc jedną moją prośbę.

– Bardzo chętnie, jeśli będę mógł.

– Przypatrzyłem się dobrze obu strzelbom. Z tej wielkiej strzelby umiem strzelać, ale ze sztucera nie. Czy pokazałbyś mi przed śmiercią, jak się go nabija i jak się z niego strzela?

– Owszem.

– Dziękuję ci tym bardziej, że mógłbyś nie wyjawiać mi tej tajemnicy. Jeślibyś mi tego nie powiedział, sztucer nie przydałby mi się na nic. Za to, że to zrobisz, postaram się, żeby aż do chwili, kiedy się zaczną twoje męki, niczego ci nie brakło.

Po czym odszedł, nie wiedząc nawet, jaką wzbudził we mnie nadzieję.

Otwarcie mówiąc, do tej chwili spodziewałem się skorzystać z ebecności Gatesa, Claya i Summera. Chociaż nawet nie chcieli być moimi przyjaciółmi, to przecież, jako biali, mieli obowiązek mi pomóc. Jeśliby okazali najmniejszą gotowość udzielenia mi pomocy, to musiałaby się już nadarzyć jakaś sposobność do odwiązania mnie od drzewa śmierci. Gdybym się pozbył więzów na rękach, nikt nie zdołałby mnie zatrzymać. Niestety, musiałem tę myśl porzucić. Zachowanie Gatesa dowiodło że nie mogłem liczyć ani na niego, ani na jego towarzyszy.

Byłem więc zdany na samego siebie, lecz mimo to nie opanowało mnie zwątpienie. Jakiś sposób uniknięcia męczeńskiej śmierci musiał się przecież znaleźć! Gdybym choć jedną rękę miał wolną, a w niej nóż! Nie było to wszak niemożliwe! Dotychczas nie przyszło mi to na myśl, ale teraz przypomniałem sobie Ciemny Włos. Dziewczyna współczuła mi w widoczny sposób, a wiedziałem dobrze, ilu białym udało się już wyzyskać takie współczucie, by uciec. Choćby nie wiem co, muszę się wydostać z niewoli! Nawet gdybym, w ostatniej chwili przed przywiązaniem mnie do pala, miał chwycić się najbardziej rozpaczliwego środka!

I oto gdy byłem zaprzątnięty takimi właśnie myślami, przyszedł Pida i prosił o wyjaśnienie, jak się strzela ze sztucera. Lepszego zbiegu okoliczności nie mogłem sobie wyobrazić. Jeśli miałem mu pokazać, jak się tę strzelbę nabija i w ogóle, co się z nią robi, to musiał mnie rozwiązać. Jednym chwytem za jego nóż, który miał za pasem, i jednym cięciem po rzemieniu na nogach mogłem się uwolnić od więzów, a nadto trzymałbym w ręku sztucer nabity tylu kulami. Wprawdzie szansa była niewielka, ale ryzykowałem tylko to życie, które i tak bym utracił.

Byłoby oczywiście lepiej, gdyby się nadarzyła sposobność do ucieczki ukradkiem, bez narażania się na kule czerwonoskórych. Nic takiego jednak nie wpadło mi dotychczas do głowy. Liczyłem na to, że wymyślę coś może później, wszak czas nie naglił.

Na noc miałem się zatem położyć! Dokoła drzewa śmierci sterczało z ziemi szesnaście pali, po cztery z każdej strony. Mogło się tam pomieścić czterech jeńców. Z porządku, w jakim pale były ustawione, domyśliłem się, w jaki sposób ich używano. Zapewne kładziono jeńca pomiędzy nimi i rozkrzyżowawszy mu ręce i nogi przywiązywano po jednej do każdego pala. Oczywiście trudno było spać w tym położeniu, ale Indianom dawało to pewność, że im jeniec nawet bez pilnowania nie umknie.

Tymczasem zrobiło się ciemno, a przed namiotami zamigotały ogniska. Indianki przygotowywały wieczerzę. Ciemny Włos przyniosła mi znowu posiłek. Musiała skłonić ojca, by wyprosił dla niej od starego wodza pozwolenie. Tym razem nie rozmawialiśmy z sobą, podziękowałem jej tylko i odeszła. Następnie opuścili mnie dotychczasowi moi dozorcy, zastąpieni przez dwóch innych, którzy zachowywali się wobec mnie niemniej przychylnie. Spytałem ich, kiedy będę mógł się położyć, oni zaś odpowiedzieli, że Pida przyjdzie sam, aby być przy tym.

Wcześniej jednak, zamiast młodego wodza, zjawił się ktoś inny – Jedno Pióro, ojciec mojej żywicielki. Stanął przede mną, przypatrywał mi się przez chwilę, a potem wydał rozkaz dozorcom:

– Niech moi bracia oddalą się, dopóki ich nie zawołam. Chcę pomówić z tą bladą twarzą.

Posłuchali natychmiast, z czego wywnioskowałem, że cieszył się on w plemieniu wielkim szacunkiem, choć nie był wodzem. Gdy odeszli, usiadł przede mną i znów upłynęła chwila, zanim odezwał się uroczystym głosem:

– Blade twarze mieszkały po tamtej stronie Wielkiej Wody. Jakkolwiek miały tam dość ziemi, przeprawiły się przez wodę, by nam zabrać nasze góry i doliny.

Następnie zamilkł. Słowa jego stanowiły zwykły w przemowach indiańskich wstęp, z którego domyśliłem się, że zamierza mi oświadczyć coś ważnego. Co to mogło być? Zaczęła mi świtać jakaś nadzieja. On chwilę czekał na moją odpowiedź, lecz ponieważ milczałem, po chwili znowu zabrał głos:

– Czerwoni mężowie przyjęli białych gościnnie, oni zaś zapłacili im za to grabieżą i mordem. I znów nastąpiła przerwa.

– I dziś jeszcze myślą tylko nad tym, żeby nas oszukać i odegnać jak najdalej. Ilekroć nie udaje im się dokonać tego podstępem, używają przemocy.

Tu znów przerwał.

– Ilekroć czerwony mąż zobaczy białego, może być pewien, że ma przed sobą śmiertelnego wroga. Czy są wśród bladych twarzy takie, które by nie były naszymi nieprzyjaciółmi?

Teraz dopiero zrozumiałem cel całego tego wstępu. Chodziło o moją osobę. Kiedy i teraz jeszcze ociągałem się z odpowiedzią, zapytał wprost:

– Czy Old Shatterhand nie chce mi odpowiedzieć? Czy biali nie postępowali z nami w ten sposób?

– Jedno Pióro ma słuszność – przyznałem.

– Czy nie są więc naszymi nieprzyjaciółmi?

– Są.

– Czy są pośród nich tacy, którzy by nie byli usposobieni tak wrogo jak inni?

– Są.

– Niechaj Old Shatterhand wymieni choćby jednego!

– Mógłbym ci podać nawet wiele nazwisk, lecz zaniecham tego. Jeśli jednak otworzysz oczy, ujrzysz jednego z nich przed sobą.

– Widzę tylko Old Shatterhanda.

– Jego to mam na myśli.

– To znaczy, że uważasz siebie za takiego, który nie odnosi się do nas tak wrogo jak inni?

– Nie.

– Nie? – zapytał przeciągle pełen zdumienia, gdyż to „nie” popsuło mu rachuby.

– Mój czerwony brat użył słów, które nie oznaczają rzeczy zupełnie właściwie.

– Jakich słów?

– Że nie odnoszę się do was tak wrogo jak inni biali. Ja w ogóle nie jestem wrogiem czerwonoskórych.

– Czy nie zabiłeś ani nie raniłeś żadnego?

– Robiłem to tylko wtenczas, kiedy mnie do tego zmusili. Ja nie jestem ani trochę wrogiem Indian. Nie jestem też obojętnym obserwatorem, lecz szczerym przyjacielem wszystkich czerwonoskórych. Dowiodłem tego nieraz. Gdzie tylko mogłem, niosłem pomoc czerwonym przeciwko białym i broniłem ich przed nadużyciami białych. Jeśli jesteś sprawiedliwy, musisz to przyznać.

– Jestem sprawiedliwy.

– Pomyśl o Winnetou! Byliśmy sobie przyjaciółmi i braćmi! Czy Winnetou nie był czerwonym mężem?

– Był nim, choć to nasz wróg.

– On nie chciał być waszym wrogiem, lecz wy zrobiliście zeń swojego wroga. Jak kochał swoich Apaczów, tak samo miłował wszystkich Indian. Starał się żyć w zgodzie ze wszystkimi, oni jednak woleli rozszarpywać się i tępić nawzajem. To go smuciło, to go trapiło przez całe życie. Jak on czuł i myślał, tak samo i ja myślałem i czułem. Wszystkie nasze czyny wypływały z miłości i współczucia dla czerwonego narodu.

Umyślnie mówiłem tak samo powoli i uroczyście jak on. Gdy umilkłem, Jedno Pióro spuścił głowę i siedział cicho przez kilka minut. Następnie podniósł ją i zaczął znowu:

– Old Shatterhand powiedział prawdę. Jedno Pióro jest sprawiedliwy i potrafi przyznać słuszność nawet swoim wrogom, jeśli im się to należy. Gdyby wszyscy czerwoni byli tacy jak Winnetou, a biali jak Old Shatterhand, czerwone i białe narody żyłyby obok siebie jak bracia, kochałyby się, dopomagałyby sobie, a na ziemi znalazłoby się dość miejsca dla wszystkich ich synów i córek. Ale niebezpiecznie jest dawać przykład, za którym nikt nie pójdzie. Winnetou zginął od kuli, a Old Shatterhanda czeka śmierć męczeńska.

Teraz rozmowa doszła widocznie do pożądanego przezeń punktu. Postanowiłem jednak nie wyprzedzać jego myśli i milczałem. Mówił więc dalej:

– Old Shatterhand jest bohaterem i będzie musiał wycierpieć dużo strasznych mąk. Czy zrobi on swoim dręczycielom tę przyjemność, żeby ujrzeli go słabym?

– Nie. Jeśli będę musiał umrzeć, to pójdę na śmierć jako mąż, któremu wznoszą mogiłę chwały.

– Mówisz: „jeśli będę musiał umrzeć!” Czy to oznacza, że uważasz śmierć swoją za wątpliwą?

– Tak.

– Jesteś bardzo szczery!

– Czy wolisz, żebym cię okłamywał?

– Nie, ale wygłaszanie tej prawdy jest wielką śmiałością z twojej strony.

– Old Shatterhand nie był nigdy tchórzem.

– A więc masz jeszcze nadzieję, że uciekniesz?

– Tak.

Moja szczerość wprawiła go w jeszcze większe zdumienie niż przedtem.

– Uff, uff! – wybuchnął podnosząc ręce. – Dotąd postępowano z tobą bardzo względnie, teraz trzeba będzie większej surowości!

– Nie boję się surowości, ona mnie nie przeraża. Jestem raczej dumny z tego, że powiedziałem ci prawdę. Tego nie zrobiłby nikt inny.

– Old Shatterhand ma słuszność, tylko on może być tak śmiałym, żeby przyznać rzetelnie, iż będzie się starał umknąć. To nie tylko śmiałość, to zuchwalstwo!

– Nie. Zuchwalec działa albo bez zrozumienia tego, co robi, albo dlatego, że nie ma już nic do stracenia. Moja otwartość ma świadomą przyczynę i wyraźny cel.

– Jaki?

– Tego nie mogę ci powiedzieć, ale ty powinieneś się sam domyślić.

Nie mogłem mu bowiem powiedzieć otwarcie, że wiem, po co tu przybył: aby mnie ocalić oddając mi swoją córkę za żonę. Gdybym się na to zgodził, nie zabito by mnie, otrzymałbym wolność razem z moją młodą żoną, lecz musiałbym zostać Keiowehem. Do tego jednak postanowiłem nie dopuścić. Trzeba było odrzucić propozycję Jednego Pióra, czym nie tylko sprawiłbym mu nadzwyczajną przykrość, lecz także wzbudziłbym pragnienie zemsty. Aby tomu zapobiec, wyznałem mu otwarcie, że nie uważam mojej śmierci za pewną. Miało to znaczyć: nie ofiarowuj mi swojej córki, gdyż ja potrafię ocalić się sam bez małżeństwa z Indianką. Jeśliby Jedno Pióro to zrozumiał, uniknąłby przykrości, a ja jego nienawiści i zemsty. Zadumał się też istotnie, ale, niestety, nie domyślił się, o co mi chodzi, i rzekł tonem chytrej wyższości:

– Old Shatterhand chce w nas tylko wzbudzić niepokój co do swojej osoby, choć wie, że uciec nie może. Przyznać się, że jest zgubiony – to poniża widocznie jego godność. Ale Jedno Pióro nie da się tym wywieść w pole. Ty wiesz dobrze, że jesteś zgubiony.

– Wiem dobrze, że ucieknę!

– Zamęczą cię tutaj na śmierć!

– Ucieknę!

– Ucieczka jest niemożliwa. Gdybym bowiem uważał ją za możliwą, sam usiadłbym tutaj, by cię pilnować. Nie uciekniesz więc, ale śmierci możesz uniknąć.

– Jak? – zapytałem, skoro nie podobna już było odwieść go od tego, co chciał powiedzieć.

– Przy mojej pomocy.

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy!

– Jesteś o wiele dumniejszy, aniżeli sądziłem. Któż odrzuca pomoc, gdy chodzi o ocalenie życia?!

– Ten, kto jej nie potrzebuje, bo sam potrafi się ocalić.

– Zostań przy swojej dumie, która woli, byś zginął, aniżeli zaciągnął dług wdzięczności. Ale ja wdzięczności nie żądam. Chcę po prostu widzieć cię wolnym- Wiesz, że Ciemny Włos była u ciebie?

– Tak.

– To moja córka, Czuje wielką litość nad tobą.

– To znaczy, że Old Shatterhand nie jest widocznie walecznym wojownikiem, lecz tylko człowiekiem godnym litości i pożałowania! Litość to obelga!

Użyłem naumyślnie tego szorstkiego wyrazu, aby skłonić go do porzucenia jego zamiaru, lecz i to mi się nie udało.

Indianin odpowiedział łagodnie:

– Nie chciałem ciebie obrazić. Zanim jeszcze córka moja cię widziała, dużo słyszała o tobie. Ona wie, że Old Shatterhand jest największym białym wojownikiem, i chciałaby go ocalić.

– To dowód, że Ciemny Włos ma dobre serce, ale żeby mnie mogła ocalić, to niepodobieństwo.

– To nawet łatwe.

– Mylisz się.

– Nie. Ty znasz wszystkie zwyczaje czerwonych ludzi, lecz jeden jest ci widocznie obcy. Poznasz go i przyjmiesz, gdyż oświadczyłeś Ciemnemu Włosowi, że ci się podoba.

– To znów omyłka. Jej tego nie powiedziałem.

– Ależ ona mi się do tego przyznała! Moja córka jeszcze nigdy nie powiedziała nieprawdy.

– W takim razie zaszło tu jakieś nieporozumienie. Twoja córka przyniosła mi jedzenie. Wtedy jeden z moich dozorców zapytał mnie, czy ona mi się podoba, a ja mu odpowiedziałem, że tak.

– To wychodzi na to samo; ona ci się spodobała. Czy wiesz, że kto pojmie za żonę córkę szczepu, może być doń przyjęty?

– Wiem.

– Chociażby był przedtem wrogiem lub jeńcem?

– I o tym mi wiadomo.

– I że wtedy odpuszcza mu się jego winę i darowuje życie?

– Wiem również i o tym.

– Uff! Wobec tego rozumiesz, o co mi chodzi.

– Tak, rozumiem cię.

– Moja córka podoba się tobie, a ty jej. Czy chcesz ją pojąć za skwaw?

– Nie.

Nastąpiła głęboka cisza. Tego się czerwonoskóry nie spodziewał. Ja byłem skazany na śmierć, a ona była jedną z najgodniejszych pożądania dziewcząt, córką najbardziej poważanego wojownika, a mimo to ją odrzucałem. Czy mogło to być możliwe?

Wreszcie Jedno Pióro zapytał, tym razem krótko:

– Dlaczego nie?

Czy miałem mu wyjawić właściwe powody i oświadczyć bez ogródek, że wykształcony Europejczyk musi przekreślić całe swoje życie, żeniąc się z prostą czerwonoskórą dziewczyną? Że małżeństwo to nie może mu dać tego, co dać powinno? Czy miałem mu powiedzieć, że Old Shatterhand nie należy do hultajów, którzy biorą sobie czerwoną skwaw, by ją potem porzucić, i mają często w każdym plemieniu indiańskim inną żonę? Tego wszystkiego nie mogłem mu wyznać, bo nie pojąłby mnie. Musiałem więc znaleźć jakiś zrozumiały dla niego powód i odrzekłem:

– Mój czerwony brat twierdzi, że uważa Old Shatterhanda za wielkiego wojownika. Ale to nie jest widocznie prawda.

– To prawda!

– A jednak chcesz, żebym przyjął życie z ręki kobiety. Czy ty mógłbyś to uczynić?

– Uff! – zawołał i zamilkł. Ten powód był dla niego widocznie bardziej zrozumiały. Po chwili spytał:

– Czy chcesz być moim przyjacielem?

– Bardzo chętnie.

– A co sądzisz o Ciemnym Włosie, mojej najmłodszej córce?

– Że jest to najmilszy i najlepszy kwiat wśród cór Keiowehów.

– Czy jest godna męża?

– Każdy wojownik, któremu pozwolisz pojąć ją za skwaw, powinien być z tego dumny.

– Nie odrzucasz jej zatem z pogardy dla mnie lub dla niej?

– Daleki jestem od tego, ale Old Shatterhand chce sam bronić swojego życia i walczyć o nie, nie może więc przyjąć go z ręki kobiety.

– Uff, uff! – potwierdził.

– Czy Old Shatterhand ma uczynić coś, na co uśmiechałby się każdy, kto opowiadałby o nim przy obozowym ognisku?

– Nie.

– Czy mają mówić potem o Old Shatterhandzie: uciekł przed śmiercią w objęcia młodej i ładnej kobiety?

– Nie.

– Czy nie mam obowiązku strzec mojej czci i sławy, nawet gdybym przez to miał życie utracić?

– Jesteś do tego zobowiązany.

– Teraz więc rozumiesz, dlaczego powiedziałem ci: ‚nie”. Dziękuję tobie i twej pięknej córce za życzliwość. Pragnąłbym podziękować wam jeszcze inaczej aniżeli tylko słowami.

– Uff, uff, uff! Old Shatterhand jest prawdziwym mężczyzną. Szkoda, że musi umrzeć. Przedstawiłem mu jedyny środek ocalenia, widzę jednak, że, jako dzielny wojownik, przyjąć go nie może. Gdy powiem to mojej córce, to i ona nie będzie się na niego gniewała.

– Tak, powiedz jej to! Byłoby mi bardzo przykro, gdyby sądziła, że nie biorę jej za skwaw z powodu niej samej.

– Będzie cię jeszcze bardziej kochała i czciła niż teraz, a gdy będziesz na mękach, a wszyscy inni będą się temu przypatrywali, ona zasiądzie w najgłębszym i najciemniejszym kącie namiotu i zasłoni sobie oblicze. Howgh!

Po tych słowach Jedno Pióro podniósł się i odszedł. Po jego odejściu dozorcy zajęli znów swoje dawne miejsca.

Dzięki Bogu wyszedłem z tego zwycięsko! Była to rafa, o którą mogła się rozbić cała moja nadzieja ocalenia. Gdybym bowiem uczynił z niego nieprzyjaciela i wywołał w nim żądzę zemsty, czujność jego byłaby dla mnie groźniejsza niż wszystko inne.

Wkrótce potem nadszedł Pida i pozwolił mi położyć się na noc. Z szeroko rozłożonymi rękoma i nogami przywiązano mnie do czterech pali, a zamiast poduszki dano mi pod głowę zwinięty koc.

Zaledwie Pida się oddalił, odwiedził mnie nowy gość, którym ucieszyłem się nadzwyczaj. Był to mój szpak, który pasł się w pobliżu nie przyłączając się do innych koni. Obwąchawszy mnie pieszczotliwie, położył się obok mnie, czemu dozorcy nie przeszkadzali, gdyż koń nie mógł mnie przecież odwiązać ani uprowadzić.

Ta wierność konia była dla mnie teraz bardzo ważna. Gdyby bowiem ucieczka mi się udała, nie musiałbym troszczyć się o innego wierzchowca, zadowalać gorszym i tracić czas na niebezpieczne poszukiwania.

Stało się, jak przypuszczałem; nie mogłem spać. Rozkrzyżowane ręce i nogi zaczęły boleć i ścierpły. Budziłem się co chwila. Kiedy nadszedł dzień i znowu przywiązano mnie do drzewa śmierci, zdawało mi się, że jestem zbawiony.

Gdyby tak miało trwać jeszcze przez kilka nocy, musiałbym, pomimo dobrego odżywiania, podupaść na siłach. Ale nie mogłem nic powiedzieć, gdyż Old Shatterhand ściągnąłby na siebie wstyd i pogardę, gdyby się uskarżał na bezsenność.

Byłem ciekaw, kto mi przyniesie śniadanie. Czy Ciemny Włos? Chyba nie, gdyż odprawiłem z niczym jej ojca. A jednak przyszła. Nie powiedziała ani słowa, ale z jej oczu wyczytałem, że nie gniewała się na mnie. Była raczej smutna.

Gdy odwiedził mnie Pida, oznajmił mi w rozmowie, że wyjeżdża z oddziałem wojowników na polowanie i wróci dopiero po południu. Istotnie wkrótce ujrzałem ich pędzących przez prerię.

W kilka godzin potem zobaczyłem Santera przechodzącego pomiędzy drzewami. Szedł ze strzelbą na ramieniu, prowadząc osiodłanego konia. Zatrzymał się przede mną i rzekł:

– Ja także wyruszam na polowanie i uważam za swój obowiązek donieść wam o tym. Prawdopodobnie spotkam się tam z Pidą, który jest wam tak przychylny, a mnie nie znosi.

Czekał widocznie na odpowiedź, lecz udałem, że ani go nie widzę, ani nie słyszę.

– Czy ogłuchliście, hę? Milczałem dalej.

– Przykro mi bardzo, i to nie tylko ze względu na was, lecz także ze względu na siebie.

Pogłaskał mnie po ramieniu z pieszczotliwym szyderstwem.

– Precz, łotrze! – huknąłem nań.

– O, mówić to umiecie, lecz słuchać nie. Szkoda, ogromna szkoda! Chciałem was o niejedno zapytać.

Spojrzał mi w twarz bezczelnie. Z jego oblicza przebijał przy tym szczególny, jakby diabelsko triumfujący wyraz. Było pewne, że nosił się z jakimś niecnym zamiarem.

– Chciałem was o coś zapytać – powtórzył. – Na pewno by was to zainteresowało, mr. Shatterhand.

Patrzył na mnie z wyczekiwaniem, czy odpowiem. Gdy to nie nastąpiło, roześmiał się.

– Cha cha, cha, cha, cha! Jak to wygląda! Słynny Old Shatterhand pod drzewem śmierci, a łotr Santer na wolności! Ale nadejdzie jeszcze coś lepszego, coś o wiele lepszego, sir! Czy nie znacie przypadkiem pewnego zagajnika, czegoś w rodzaju lasu jodłowego albo Indel-cze-czil?

To słowo mnie zastanowiło, Było ono w testamencie Winnetou. Czułem, że wzrokiem przebijam na wylot Santera.

– Ach! Patrzy na mnie, jakby w głowie zamiast oczu miał szable! – roześmiał się. – Tak, tak, podobno takie lasy istnieją!

– Skąd się o tym dowiedziałeś, łotrze? – spytałem.

– Stamtąd, skąd wiem także o Tse-szosz. Znasz to może?

– Do stu piorunów!... Ja... ja...

– Zaczekaj no, zaczekaj! – przerwał mi. – Co to za szczególna rzecz – Deklil-to, czy jak się to nazywa. Chciałbym...

– Łotrze! – wrzasnąłem. Nie, ryknąłem. – Papiery, które dałem...

– Tak, ja je mam! – wtrącił z szyderczym triumfem.

– Okradłeś Pidę?

– Okradłem? Niedorzeczność, głupota! Zabrałem tylko to, co było moje. Czy to jest kradzież? Mam papiery, mam wraz z całym opakowaniem!

Przy tych słowach uderzył się w piersi w okolicy kieszeni.

– Trzymajcie go, pochwyćcie go! – krzyknąłem do dozorców.

– Mnie? – zaśmiał się, dosiadając czym prędzej konia. – Spróbujcie tylko!

– Nie puszczajcie go! – ryczałem. – On okradł Pidę, on nie powinien umknąć, on...

Dalsze słowa uwięzły mi w gardle wskutek wysiłku, jaki uczyniłem, aby się oderwać od drzewa. Santer odjechał tymczasem cwałem, a dozorcy zerwali się wprawdzie, ale nie zrobili nic; wytrzeszczyli tylko bezmyślnie oczy. Testament Winnetoul Ukradziono ostatnią wolę mego brata Winnetou! Tam, przez wolną prerię pędził z testamentem złodziej i nikt nie myślał go ścigać!

Nie posiadałem się z wściekłości. Ze wszystkich sił naciągnąłem rzemień trzymając ręce blisko przy drzewie. Nie myślałem nad tym, że przerwać go – to niemal niemożliwe, że gdyby nawet pękł, to i tak nie mógłbym się ruszyć z miejsca. Nie czułem także bólu, jaki musiało spowodować werżnięcie się rzemienia w rękę. Naprężałem go i krzyczałem. Wtem padłem twarzą na ziemię: rzemień się przerwał.

– Uff, uff! – zawołali dozorcy. – Oderwał się, oderwał się! Podbiegli do mnie, aby mnie zatrzymać.

– Puśćcie mnie, puśćcie! – ryczałem. – Ja przecież nie uciekam, chcę tylko pochwycić Santera. On okradł waszego wodza, Pidę!

Krzyki moje poruszyły oczywiście całą wieś. Wszystko śpieszyło, by mnie zatrzymać. Było to łatwe, gdyż nogi miałem jeszcze ciągle przywiązane do drzewa, a wyciągnęło się ku mnie sto rąk. Nie obeszło się jednak bez ciosów i pchnięć z mojej ręki, a szram i sińców z ich strony, zanim nie przywiązano mnie znowu do drzewa.

Czerwonoskórzy rozcierali sobie miejsca, w które ich uderzyłem, nie wyglądali jednak na zbyt rozgniewanych i wyrażali tylko swoje nadzwyczajne zdumienie, że udało mi się przerwać rzemień.

– Uff, uff, uff... oderwał się... Bawół aie przerwałby tego... Nikt by nie uwierzył!

Takie i podobne okrzyki podziwu brzmiały dokoła i teraz dopiero poczułem ból w rękach, z których sączyła się krew. Rzemień, zanim się przerwał, poprzerzynał mi mięśnie prawie do kości.

– Czego tutaj stoicie i gapicie się na mnie! – krzyknąłem do nich. – Czy nie zrozumieliście, co powiedziałem? Santer okradł Pidę! Prędzej na koń i sprowadźcie go na powrót!

Ale nikt mnie nie posłuchał. Nareszcie nadszedł ktoś rozumniejszy: wojownik Jedno Pióro. Rozepchnął innych, przystąpił do mnie i zapytał, co się stało. Jemu tedy opowiedziałem całą rzecz.

– A więc papier mówiący należał do Pidy? – pytał aż do znudzenia.

– Naturalnie, naturalnie! Wszak byłeś przy tym, kiedy mu go przyznano!

– Ty wiesz dobrze, że Santer uciekł z nim i nie zamierza powrócić?

– Tak, tak!

– Wobec tego musimy spytać Tanguę, co należy zrobić, gdyż on jest wodzem.

– A pytajcie go sobie, pytajcie! Ale nie ociągajcie się, śpieszcie, śpieszcie!

On jednak wahał się jeszcze, przypatrywał się rozerwanemu przeze mnie rzemieniowi, podniósł go z ziemi, potrząsnął głową i zapytał stojącego najbliżej Indianina:

– Czy to jest rzemień, który on rozerwał?

– Tak.

– Uff, uff! On jest rzeczywiście Shatterhand. I taki człowiek musi umrzeć! Czemu on nie jest czerwonym wojownikiem, Keiowehem, lecz bladą twarzą?

Teraz dopiero się oddalił, zabierając ze sobą rzemień. Wszyscy za wyjątkiem moich dozorców poszli za nim.

Czekałem z napięciem i niepokojem, kiedy zacznie się pościg za złodziejem. Lecz nie zauważyłem ani śladu przygotowań do wyprawy. Niebawem spokojne życie wsi potoczyło się dalej swoim torem. Doprowadzało mnie to do szaleństwa. Poprosiłem dozorców, żeby się dowiedzieli, co się dzieje, lecz nie wolno im było odejść. Zawołali innego Indianina, który przyniósł wiadomość, że Tangua nie wydał rozkazu ścigania Santera, gdyż na mówiących papierach nikomu nie zależy, a Pida nie umie czytać. Można sobie wyobrazić moje wzburzenie i rozdrażnienie, wprost wściekłość. Zgrzytałem zębami tak, że dozorcy patrzyli na mnie z niepokojem, i byłbym się może znowu wyrwał pomimo cierpień, jakie mi to sprawiło, ale – po co? Czy przydałoby się to na coś? Na nic, zupełnie na nic! Musiałem się poddać losowi. Pogodziłem się z tym w końcu i starałem się zachować spokój, jeśli nie wewnętrznie, to przynajmniej na zewnątrz. Postanowiłem jednak bezwarunkowo skorzystać z pierwszej sposobności do ucieczki, chociażby nie wiem jakie nastręczała trudności.

Tak upłynęły ze trzy godziny, kiedy usłyszałem nagle głośny okrzyk kobiety. Widziałem przedtem, lecz nie zważałem na to, że Ciemny Włos wyszła ze swojego namiotu i oddaliła się. Teraz nadbiegła pośpiesznie krzycząc donośnie, zniknęła w namiocie i ukazała się potem z ojcem, który też gdzieś z nią popędził wołając głośno. Wszyscy, którzy znajdowali się blisko nich, pośpieszyli za nimi. Z tego wywnioskowałem, że stało się coś ważnego. Może miało to jakiś związek z kradzieżą papierów?

Niebawem zjawił się Jedno Pióro. Przybiegł wprost do miejsca, gdzie stałem pod drzewem, i zawołał:

– Old Shatterhand wszystko umie. Czy jest także lekarzem?

– Tak – odrzekłem w nadziei, że zaprowadzą mnie do chorego i będą musieli rozwiązać.

– Umiesz więc leczyć chorych?

– Tak.

– Ale zmarłych nie wskrzeszasz?

– Czy umarł kto?

– Moja córka.

– Twoja córka? Ciemny Włos? – spytałem przerażony.

– Nie, jej siostra, skwaw młodego wodza Pidy. Leżała skrępowana na ziemi bez ruchu. Nasz czarownik zbadał ją i powiedział, że umarła, zabita przez Santera, który ukradł mówiący papier. Czy Old Shatterhand pójdzie przywrócić jej życie?

– Zaprowadźcie mnie do niej!

Odwiązano mnie od drzewa i związawszy ręce oraz spętawszy luźno nogi poprowadzono przez wieś do namiotu Pidy. Bardzo mi to było na rękę, że mogłem teraz poznać położenie tego namiotu, gdyż, jak wiadomo, znajdowały się tam moje strzelby. Przed wejściem roiło się od czerwonoskórych mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy rozstąpili się z uszanowaniem, zostawiając mi wolne przejście.

Wszedłem z Jednym Piórem do namiotu, gdzie obok leżącej na ziemi rzekomo zmarłej siedziała Ciemny Włos i jakiś brzydki stary mężczyzna. Był to czarownik. Ujrzawszy mnie, wstali oboje. Jednym rzutem oka objąłem całe wnętrze namiotu. Po lewej stronie zauważyłem swoje siodło razem z derką, a na jednej z bocznych tyk zawieszone rewolwery i nóż. Przedmioty te znajdowały się teraz tutaj, ponieważ gospodarz namiotu miał zostać ich właścicielem. Łatwo sobie wyobrazić, jak się tym ucieszyłem.

– Niechaj Old Shatterhand przypatrzy się umarłej, czy będzie ją mógł ożywić! – poprosił mnie Jedno Pióro.

Ukląkłszy zacząłem ją badać związanymi rękoma. Dopiero po dłuższym czasie wyczułem, że krew krąży jeszcze w jej żyłach. Ojciec i siostra utkwili we mnie oczy pełne niepokoju.

– Ona nie żyje i nikt jej nie wskrzesi – oświadczył czarownik.

– Old Shatterhand to potrafi – stwierdziłem.

– Potrafisz to? Rzeczywiście? – spytał Jedno Pióro skwapliwie i radośnie.

– Zbudź ją, zbudź ją! – błagała Ciemny Włos, kładąc obie ręce na moim ramieniu.

– Tak, potrafię i uczynię to – rzekłem. – Jeśli jednak życie jej ma wrócić, nikt oprócz mnie nie śmie być przy zmarłej.

– Musimy więc wszyscy wyjść?– zapytał ojciec.

– Tak.

– Uff! Czy ty wiesz, czego żądasz?

– Czego? – spytałem, choć wiedziałem o tym dobrze.

– Tu jest twoja broń. Gdybyś ją dostał, byłbyś wolny. Czy przyrzekasz, że jej nie dotkniesz?

Jak ciężko przyszło mi na to odpowiedzieć! Nożem mogłem rozciąć więzy. Gdybym zaś miał sztucer i rewolwery, chciałbym zobaczyć śmiałka, który by się porwał na mnie. Ale nie! Rozpoczęłaby się walka, której należało unikać. Oprócz tego wstrętnym mi się wydało korzystanie w takim celu z omdlenia kobiety. Na skórze, która służyła do robót kobiecych, ujrzałem igły, świdry i rozmaite inne rzemieślnicze narzędzia, a obok tego dwa czy trzy małe noże, jakich Indianki używają do rozcinania silnych żylastych szwów. Te małe, cienkie klingi bywają nieraz bardzo ostre. Za pomocą takiego noża mogłem się też uwolnić, toteż odpowiedziałem śmiało:

– Przyrzekam. Jeśli chcecie upewnić się co do tego, możecie zabrać stąd moją broń.

– To niepotrzebne. Wiemy, że Old Shatterhand przyrzeczenia dotrzyma. Ale to nie wystarczy.

– Czegóż jeszcze żądacie?

– Ponieważ jesteś odwiązany od drzewa, to mógłbyś także bez broni próbować ucieczki. Czy przyrzekasz mi, że teraz tego nic zrobisz?

– Tak.

– I że potem wrócisz do drzewa i pozwolisz się tam przywiązać?

– Daję ci na to moje słowo!

– To wyjdźcie! Old Shatterhand nie jest kłamcą jak Santer, jemu możemy zaufać.

Skoro tylko wyszli z namiotu i zostałem sam, schowałem jeden z noży do spiętego rękawa od koszuli, a potem dopiero zająłem się chorą.

Mąż jej był na polowaniu, a Santer skorzystał z tego, aby wedrzeć się do namiotu. Od tej chwili upłynęło już tyle czasu, a ona leżała ciągle bez przytomności. Mogło to być nie tylko omdlenie wywołane przestrachem, lecz także ogłuszenie. Dotknąwszy jej głowy, poczułem, że szczyt czaszki jest silnie opuchnięty. Gdy nacisnąłem to miejsce, kobieta boleśnie westchnęła. Nacisnąłem po raz drugi i trzeci, dopóki nie otworzyła oczu i nie popatrzyła na mnie. Wzrok jej był z początku bezmyślny, potem jednak wyszeptała moje nazwisko: „Old Shatterhand”.

– Czy znasz mnie? – zapytałem.

– Tak.

– Oprzytomnij! Nie zemdlej na nowo, bo umrzesz! Co się z tobą stało?

Groźba śmierci poskutkowała. Przy mojej pomocy Indianka usiadła prosto, położyła ręce na bolącej głowie i rzekła:

– Byłam sama, gdy on wszedł i zażądał woreczka z lekami. Gdy mu odmówiłam, uderzył mnie.

– Gdzie był ten woreczek? Czy go już nie ma? Spojrzała w górę ku jednej z tyk i zawołała stłumionym ze strachu głosem:

– Uff! Nie ma go, on go zabrał! Uderzona upadłam i nic więcej nie pamiętam.

Teraz dopiero przypomniały mi się zapewnienia Pidy, że schował papiery bardzo starannie... w woreczku zawierającym „leki". A dzisiaj Santer przed odjazdem chełpił się, że ma te papiery wraz z całym opakowaniem. Zabrał je więc, a zarazem ukradł wodzowi „leki", czyli: wyrządził mu szkodę niemal niepowetowaną. Pida musiał natychmiast puścić się w pogoń za złodziejem, by wszystko odzyskać.

– Czy jesteś już dość silna, aby nie zemdleć, czy może znowu upadniesz? – zapytałem.

– Nie upadnę – oświadczyła. – Ty powróciłeś mi życie. Dziękuję ci!

Odchyliłem zasłonę namiotu. Ojciec i siostra stali tuż za nią, a reszta mieszkańców wsi nieco dalej.

– Wejdźcie! – wezwałem oboje. – Zmarła ożyła.

Jaką radość wywołały moje słowa, tego chyba mówić nie trzeba. Ojciec i córka, a wraz z nimi wszyscy Keiowehowie, byli pewni, że dokonałem cudu, ja zaś nie miałem powodu pozbawiać ich tego przekonania. Zarządziłem okłady na głowę i pokazałem, jak się je robi. Równie wielką jak ta radość była także wściekłość z powodu zniknięcia woreczka z „lekami". Musiano oczywiście donieść o tym Tanguie, który wyprawił zaraz oddział wojowników w pogoń za złodziejem, a równocześnie kilku posłańców, by odszukali Pidę. Jedno Pióro zaprowadził mnie na powrót do drzewa śmierci i tam przywiązał. Nie skąpił mi przy tym pochwał i rozpływał się z wdzięczności, oczywiście na sposób indiański.

– Sprawimy ci jeszcze większe męki przy palu, aniżeli to pierwotnie postanowiono – zapewniał. – Nikt jeszcze dotychczas tak nie cierpiał! Uczynimy to po to, ażebyś w wiecznych ostępach myśliwskich był największą i najdostojniejszą z bladych twarzy, którym będzie wolno tam wejść.

„Dziękuję!" – pomyślałem sobie w duchu, a głośno powiedziałem:

– Gdybyście puścili się w pogoń za Santerem zaraz, jak tego żądałem, byłby już w waszych rękach, a teraz prawdopodobnie wam ujdzie.

– Pochwycimy go! Ślad jego będzie można wyraźnie odczytać.

– Tak, gdybym ja go mógł ścigać!

– Wszak możesz.

– Ja? Przecież jestem w niewoli i skrępowany!

– Pozwolimy ci pojechać z Pidą, jeśli zobowiążesz się z nim powrócić, aby się dać zamęczyć. Czy to uczynisz?

– Nie. Skoro już mam umrzeć, to wolę jak najprędzej. Nie mogę się już tego doczekać.

– Tak, ty jesteś bohater. Wiedziałem to już dawniej, ale teraz znowu to widzę, gdyż tylko bohater zdolny jest wyrzec takie słowa. Wszyscy żałujemy, że nie jesteś Keiowehem!

Odszedł, ja zaś byłem na tyle uprzejmy, że nie powiedziałem mu, iż jego żal nie znajduje w moim nieczułym sercu oddźwięku. Żywiłem nawet zamiar opuścić wszystkich, którzy mnie tak podziwiali, już następnej nocy, i to nie żegnając się z nikim.

Pidę rychło odnaleziono. Wpadł on do wsi na spienionym koniu, udał się oczywiście najpierw do namiotu, potem do ojca, a w końcu przyszedł do mnie. Wyglądał spokojnie, lecz zadawał sobie wiele trudu, aby zapanować nad wzruszeniem.

– Old Shatterhand ocalił od śmierci moją skwaw, którą miłuję, i ożywił ją na nowo – rzekł. – Dziękuję mu! Czy Old Shatterhand wie o wszystkim, co się stało?

– Tak. Jak się ma twoja żona?

– Głowa ją boli, lecz woda zmniejsza cierpienia. Wkrótce będzie już zdrowa. Ale dusza moja jest chora i nie wyleczy się dopóty, dopóki nie odzyskam moich „leków”.

– Czemu nie zważaliście na moją przestrogę?

– Old Shatterhand ma zawsze słuszność. Gdyby nasi wojownicy usłuchali go przynajmniej dzisiaj i puścili się w pogoń za złodziejem, byłby on już tu z powrotem.

– Czy Pida będzie go ścigał?

– Tak. Spieszę właśnie i przyszedłem do ciebie tylko, by się pożegnać. Śmierć twoja znów się odwlecze, chociaż ty pragniesz umrzeć jak najrychlej – tak twierdzi Jedno Pióro. Musisz jednak zaczekać, dopóki ja nie wrócę.

– Zaczekam chętnie!

Powiedziałem to całkiem szczerze, on jednak zrozumiał to ze swojego stanowiska i starał się mnie pocieszyć.

– Przykro jest mieć tak długo śmierć przed oczyma. Dlatego rozkazałem, żeby ci ten czas o ile możności uprzyjemniano. Jeszcze lżej jednak upłynęłyby ci te godziny, gdybyś uczynił to, o co cię teraz poproszę.

– O co ci chodzi?

– Czy pojechałbyś ze mną?

– Owszem.

– Uff! To dobrze, gdyż w takim razie na pewno schwytamy złodzieja! Odwiążę cię natychmiast i oddam ci twoją broń.

– Stój! Ja stawiam jeden warunek.

– Słucham,

– Że pojadę jako człowiek wolny.

– Uff! To niemożliwe.

– Wobec tego zostaję.

– Będziesz wolny, dopóki nie powrócimy, ale potem będziesz znów naszym jeńcem. Żądamy od ciebie tylko tego, żebyś nam nie umknął po drodze.

– Zabieracie mnie więc z sobą dlatego tylko, że żaden trop nie ujdzie mojej uwagi? Dziękuję! Zostaję tutaj! Old Shatterhand nie jest psem do tropienia!

– Czy nie zmienisz swego postanowienia?

– Nie.

– Zważ dobrze, że w takim razie możemy nie pochwycić złodzieja moich „leków”.

– Mnie by on nie uszedł, jeślibym tylko zechciał, lecz niechaj każdy odbiera sobie sam, co mu skradziono.

Pida nie rozumiejąc, o co mi chodzi, potrząsnął z rozczarowaniem głową.

– Wziąłbym cię chętnie ze sobą – rzekł – aby ci podziękować za to, że przywróciłeś do życia moją skwaw. Nie jestem winien temu, że się na to nie zgadzasz.

– Jeśli mi chcesz podziękować naprawdę, to spełnij jedno moje życzenie.

– Jakie?

– Dziwnie mnie niepokoi myśl o tych trzech bladych twarzach, które przyjechały z Santerem. Gdzie znajdują się teraz?

– W swoim namiocie.

– Wolni?

– Nie, skrępowani, gdyż byli przyjaciółmi złodzieja moich „leków”.

– Oni są niewinni.

– Oni tak twierdzą, lecz Santer jest teraz naszym wrogiem, a przyjaciele wroga są także naszymi wrogami. Zostaną przywiązani do drzewa śmierci i umrą razem z tobą.

– A ja cię zapewniam, że oni nie wiedzieli o czynie Santera!

– To nas nic nie obchodzi! Powinni byli ciebie usłuchać! Wiem, że ich ostrzegałeś.

– Niechaj młody, szlachetny i dzielny wódz Keiowehów posłucha, co mu powiem. Mam umrzeć śmiercią męczeńską. O siebie nie prosiłem, ale proszę o nich.

– Uff! Jak brzmi twoja prośba?

– Wróć im wolność!

– Mam ich wypuścić z końmi i bronią? Czyż mógłbym to uczynić?

– Puść ich ze względu na swoją skwaw, którą miłujesz, jak mi powiedziałeś.

Odwrócił się ode mnie. W jego duszy wrzała walka. Potem spojrzał znów na mnie i oświadczył:

– Old Shatlerhand nie jest jak inne blade twarze, jak inni ludzie. Nie podobna go pojąć i zrozumieć! Gdyby prosił o siebie, byłbym mu może dał sposobność do uniknięcia śmierci. Pozwolilibyśmy mu walczyć o życie z naszymi najdzielniejszymi i .najsilniejszymi wojownikami. On jednak nie chce niczego w darze i wstawia się za innymi.

– Powtarzam swą prośbę!

– Zgoda, lecz także pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Tobie samemu nie darujemy teraz nic, zupełnie nic! Za ocalenie mojej skwaw nie masz już prawa żądać wdzięczności. Rachunki nasze są wyrównane.

– Dobrze! Zupełnie wyrównane.

– Puszczę ich na wolność, ale niech się przynajmniej zawstydzą. Za to, że ci nie wierzyli i nie słuchali ciebie, niech ci teraz przyjdą podziękować Howgh!

Potem udał się do namiotu ojca, któremu musiał oznajmić, co mi obiecał. Wkrótce wyszedł i zniknął między drzewami. Po chwili wyjechali za nim stamtąd trzej biali na koniach. Wysłał ich do mnie, lecz sam nie przyszedł.

Gates, Clay i Summer wyglądali jak skazańcy.

– Mr. Shatterhand – rzekł pierwszy, gdy stanęli przede mną – słyszeliśmy, co się stało. Czy to coś strasznego, gdy się zgubi stary worek z „lekami”?

– To wasze pytanie utwierdza mnie w dotychczasowym przekonaniu, że nic nie wiecie o Dzikim Zachodzie. Zgubić „leki” to największe nieszczęście, jakie może się zdarzyć indiańskiemu wojownikowi. O tym powinniście wiedzieć!

– Well! Dlatego to Pida był aż tak zawzięty, że nas kazał skrępowaćl No, teraz będzie źle z Santerem, jeśli go złapią!

– Zasłużył sobie na to! Czy wierzycie już teraz, że chciał was podejść?

– Nas? Co nas mogą obchodzić „leki”, z którymi umknął?

– Nawet bardzo! W worku z „lekami” znajdują się papiery, których tak pragnął Santer.

– A co nas obchodzą te papiery?

– Zawierają dokładny opis miejsca, gdzie są schowane nuggety.

– A, do wszystkich diabłów! Czy to prawda?

– Najprawdziwsza!

– A może się mylicie?

– Nie. Czytałem te papiery.

– To znacie także owo miejsce?

– Oczywiście.

– To wymieńcie nam je, mr. Shatterhand, wymieńcie!!! My pojedziemy za tym złodziejem i zabierzemy mu złoto sprzed nosa.

– Wy tego nie potraficie, a zresztą nie wierzyliście mnie dotychczas, to i nadal nie wierzcie. Santer najął was tylko jak psy do tropienia złota, potem byłby was powystrzelał. Teraz może się bez was obejść i nie dba o to, co się z wami stanie, chociaż wie, że czerwonoskórzy będą was uważali za jego towarzyszy i tak z wami postąpią, jak właśnie postąpili.

– Do stu piorunów! My właściwie wam tylko zawdzięczamy życie! Tak mówił Pida.

– Tak też jest. Przeznaczone wam było umrzeć ze mną przy palu.

– I wyście się za nami wstawili? A nie za sobą samym? Cóż będzie z wami?

– Zamęczą mnie, i nic więcej.

– Na śmierć?

– Tak.

– Żal nam was, bardzo żal, sir! Czy nie dałoby się dopomóc wam w jakiś sposób?

– Dziękuję, mr. Gates! Mnie już żadna pomoc nie wybawi. Jedźcie śmiało, a gdy się dostaniecie do ludzi, powiedzcie, że Old Shatterhand już nie żyje, lecz zginął śmiercią męczeńską u Keiowehów.

– Smutna to wieść, diabelnie smutna! Wolałbym donieść co innego.

– Wszystko stałoby się inaczej, gdybyście mnie nie okłamali w Mugworthills. Gdybyście byli szczerzy, Keiowehowie na pewno by mnie nie schwytali. Wy jesteście winni mej śmierci, która będzie okrutna i straszna. Czynię wam ten zarzut i życzę, żeby on was zawsze budził ze snu. A teraz zabierajcie się stąd!

Gates z zakłopotania nie wiedział, co odpowiedzieć. Clay i Summer, którzy nie odezwali się ani słowem, tym bardziej nie wiedzieli, jak się zachować. Woleli więc odejść. Żaden z nich nie podziękował mi właściwie, ale gdy już przejechali pewną przestrzeń, obejrzeli się ze smutkiem.

Jeszcze nie zniknęli za widnokręgiem, kiedy opuścił wieś Pida. Nie popatrzył jednak nawet na mnie, gdyż rachunki między nami były załatwione. Zresztą on spodziewał się zastać mnie tu jeszcze po swoim powrocie przywiązanego do drzewa, ja zaś byłem pewien, że zobaczę się z nim na tropie Santera gdzieś nad Rio Pecos albo dalej, w Sierra Rita. Przyszłość miała pokazać, który z nas nie zawiedzie się w swoich rachubach.

Gdy Ciemny Włos przyniosła mi w południe jedzenie, zapytałem ją o zdrowie siostry. Odpowiedziała mi, że ból już prawie całkiem ustąpił. Poczciwa dziewczyna przyniosła tyle mięsa, że nie mogłem zjeść wszystkiego, a zanim odeszła, popatrzyła na mnie z żalem wilgotnymi oczami. Widać było, że ma coś na sercu, lecz obawia się przyznać do tego bez mojego wezwania. Toteż zachęciłem ją:

– Moja młoda siostra chce mnie o czymś uwiadomić. Pragnę wiedzieć, co to takiego.

– Old Shatterhand postąpił niesłusznie – rzekła z widocznym wahaniem.

– Dlaczego?

– Że nie pojechał z Pidą.

– Nie miałem żadnego powodu, aby jechać.

– Powód byłby, nawet ważny. Wielki to zaszczyt umrzeć bez skargi przy palu, lecz Ciemny Włos sądzi, że lepiej jest żyć zaszczytnie.

– Tak, lecz ja miałem powrócić do niewoli, aby tu umrzeć.

– Pida musiał tego żądać, ale stałoby się na pewno inaczej. Może Pida pozwoliłby Old Shatterhandowi zostać jego przyjacielem i bratem i wypalić z nim fajkę pokoju.

– Tak, a przyjaciela i brata, z którym paliło się fajkę pokoju, nie zabija się przy palu. Czy to chciałaś powiedzieć?

–- Tak.

– Masz słuszność, lecz ja mam ją także. Czy chciałabyś, żebym został przy życiu?

– Tak – przyznała szczerze. – Wszak wróciłeś życie mej siostrze!

– Nie troszcz się o mnie zbytnio! Old Shatterhand zawsze dobrze wie, co czyni.

Popatrzyła przed siebie w zadumie, rzuciła skryte spojrzenie na dozorców i zrobiła ręką ruch zniecierpliwienia. Zrozumiałem, że chciała ze mną mówić o ucieczce i czuła, że – nie wolno. Kiedy potem znów podniosła-na mnie oczy, skinąłem jej głową z uśmiechem i powiedziałem:

– Oko mojej siostry jest przezroczyste i jasne. Old Shatterhand może przez nie zajrzeć aż do jej serca. On zna jej myśli.

– Czy rzeczywiście?

– Tak, i one się spełnią.

– Kiedy?

– Niebawem.

– Niech się stanie, jak mówisz. Ciemny Włos bardzo się tym ucieszy!

Ta krótka rozmowa ulżyła jej i zwiększyła odwagę. Podczas wieczerzy ośmieliła się na więcej. O tej porze płonęły już ogniska, ale pod drzewami było ciemno. Podając mi na nożu kawałki mięsa, stała blisko mnie.

Wtem nastąpiła mi w znaczący sposób na nogę, aby zwrócić moją uwagę na następujące słowa:

– Zostało już tylko kilka kawałków mięsa, a Old Shatterhand jeszcze się nie najadł. Czy przynieść mu jeszcze coś? Przyniosę mu, czego zażąda.

Dozorcy nie przypisywali tym słowom żadnego znaczenia, ja jednakże zrozumiałem, co dziewczyna miała na myśli. Chodziło jej o to, żebym dał odpowiedź odnoszącą się do jedzenia, a przy tym wymienił przedmiot, który by umożliwił ucieczkę. W ten sposób dała mi do zrozumienia, że go dostarczy.

– Moja siostra jest bardzo dobra – odrzekłem – ale dziękuję jej. Jestem syty i mam wszystko, czego mi potrzeba. Jak się czuje skwaw młodego wodza Keiowehów?

– Ból znika, lecz wodę ciągle się przykłada.

– To dobrze, jej potrzeba pielęgnacji. A kto jest przy niej?

– Ja.

– I tego wieczora także?

– Także.

– W nocy musi ktoś także być przy niej.

– Ja zostanę aż do rana.

Głos jej zadrżał; zrozumiała mnie.

– Aż do rana? Więc do widzenia!

– Tak, do widzenia!

Odeszła. Dozorcy nie zauważyli dwuznacznego sensu naszej rozmowy.

Musiałem udać się do namiotu Pidy, by zabrać stamtąd swoje rzeczy. Po tej rozmowie byłem pewien, że zastanę tam Ciemny Włos. Cieszyło mnie to, lecz budziło zarazem pewne wątpliwości. Jeślibym wziął swą broń w obecności sióstr, spotkałyby je nazajutrz najcięższe zarzuty. By mnie nie zdradzić, musiałyby zachowywać się cicho, a przecież obowiązkiem ich było wołać o pomoc. Jakie znaleźć wyjście z tej trudnej sytuacji? Nic innego, jak tylko to, żeby obie dobrowolnie pozwoliły się związać. Po moim wyjściu mogłyby krzyczeć, ile by tylko chciały, a potem opowiedzieć, że zjawiłem się nagle w namiocie i powaliłem je pięścią. Uwierzono by temu, gdyż Keiowehowie znali mnie pod tym względem. Czy siostra Ciemnego Włosa się zgodzi, o to się nie troszczyłem. Uważała mnie przecież za swego zbawcę.

Ale jeszcze jedna myśl nie dawała mi spokoju. Oto nie wiedziałem, czy mój sztucer jest jeszcze w namiocie. Ponieważ Pida znał wartość tej strzelby, przeto mógł zabrać ją z sobą. „Z drugiej strony – myślałem – nie umiał się z nią obchodzić, zażądałby więc chyba przed odjazdem, żebym go tego nauczył”. Jak ta sprawa wyglądała w rzeczywistości, miało się dopiero okazać. Jeśli zabrał sztucer, to oczywiście powinienem był najpierw starać się go odzyskać, a dopiero potem udać się za Santerem.

Nastąpiła wreszcie zmiana straży, której dokonał Jedno Pióro. Był poważny, lecz przy tym uprzejmy i sam mnie odwiązał, sądząc, że dozorcy gotowi nie zwrócić dostatecznej uwagi na moje rany sięgające aż do kości. Położyłem się więc między czterema palami i wyjąłem przy

tym niespostrzeżenie prawą ręką nożyk z lewego rękawa. Następnie podałem lewą rękę, żeby mi na nią założyli pętlę. Gdy się to stało i gdy mieli już przywiązać rękę do pala, udałem, ze rzemień nadwerężył mi ranę, i jak to się zwykle czyni z bólu, przytknąłem ją pośpiesznie do ust. Przy tym wsunąłem prawą ręką nóż między przegub a rzemień tak, że go prawie przeciąłem.

– Uważaj! – ofuknął Jedno Pióro Indianina. – Dotknąłeś rany. Old Shatterhanda będziemy męczyli później, nie teraz!

Następnie upuściłem nóż na ziemię tak, żebym go później mógł lewą ręką dostać. Potem przywiązano mi prawą rękę, a w końcu przyszła kolej na nogi. Dostałem znowu dwa koce, jeden pod głowę, drugi jako przykrycie. Po załatwieniu wszystkiego Jedno Pióro wypowiedział bardzo miłą dla mnie uwagę:

– Kiedy jak kiedy, ale dziś Old Shatterhand uciec nie może. Z takimi ranami na rękach nie rozerwie rzemieni...

Po tych słowach oddalił się, a obydwaj dozorcy przykucnęli u moich stóp.

Są ludzie, którzy w ważnych chwilach nie umieją opanować zdenerwowania, ja natomiast jestem wówczas nawet spokojniejszy. Upłynęła jedna godzina, potem druga, ogniska pogasły, tylko jedno jeszcze błyszczało przed namiotem wodza. Zrobiło się chłodno i dozorcy przyciągnęli kolana do piersi. Ponieważ jednak było im niewygodnie, przeto położyli się na ziemi, głowami do mnie. Nadszedł czas. Jednym powolnym, ale silnym szarpnięciem przerwałem nadcięty rzemień i uwolniłem jedną rękę. Przysunąłem ją do siebie i zacząłem szukać noża. Znalazłem go, Odwróciłem się cały na prawą stronę, przyłożyłem pod kocem lewą rękę do prawej i odciąłem krępujący ją rzemień. Teraz miałem obie ręce wolne! Czułem się już ocalony.

Chodziło jeszcze o nogi. Jak to zrobić? Aby rękami dosięgnąć aż do nóg, musiałem nie tylko usiąść, lecz posunąć się w dół, znalazłbym się wówczas tuż za głowami dozorców. Należało spróbować, czy bardzo pilnie czuwają. Poruszyłem się kilka razy. Leżeli cicho. Może spali?

Niech się dzieje, co chce, zawsze lepiej działać szybko niż pomału! Zsunąłem z siebie koc, usiadłem i pochyliłem się na dół. Rzeczywiście – obydwaj spali. Jeszcze dwa cięcia i byłem wolny. Dwoma szybkimi uderzeniami pięści w głowy ogłuszyłem dozorców. Związałem ich czterema kawałkami rzemienia, a następnie odciąłem dwa rogi koca i wsunąłem im w usta, żeby nie mogli krzyczeć. Trzeba tu wspomnieć, że mój koń był znowu w pobliżu.

Wstałem i wyprostowałem członki. Jak mi to dobrze zrobiło! Gdy ręce odzyskały swoją sprawność, położyłem się znowu i zacząłem się czołgać od namiotu do namiotu. Nikt nie poruszył się we wsi, dzięki czemu dostałem się szczęśliwie do namiotu młodego wodza. Już miałem odchylić po cichu zasłonę w drzwiach, kiedy usłyszałem szmer po lewej stronie. Zacząłem nadsłuchiwać. Doszedł mnie odgłos lekkich kroków i po chwili ktoś stanął przede mną, nie spostrzegłszy mnie.

– Ciemny Włos! – rzekłem z cicha.

– Old Shatterhand! – odpowiedziała.

Podniosłem się i zapytałem;

– Nie jesteś w namiocie? Dlaczego?

– Tam nie ma nikogo, ażeby nam nie czyniono wyrzutów. Moja siostra jest chora, ja muszę ją pielęgnować, dlatego zabrałam ją do namiotu ojca.

O chytrości kobieca!

– Ale moja broń jeszcze tam jest? – spytałem.

– Tak samo jak za dnia.

– To widziałem, ale strzelby?

– Pod łożem Pidy. Czy Old Shatterhand ma swego konia?

– Czeka na mnie. Byłaś dla mnie taka dobra; jestem ci winien wdzięczność!

– Old Shatterhand jest dobry dla wszystkich ludzi, Czy jeszcze kiedy do nas powróci?

– Tak sądzę. Powrócę z Pidą, który będzie wtedy moim przyjacielem i bratem.

– Czy jedziesz za nim?

– Tak, chcę go spotkać.

– To nie mów nic o mnie! O tym, co uczyniłam, nie śmie wiedzieć nikt oprócz mojej siostry.

– Jestem pewien, że uczyniłabyś jeszcze więcej. Podaj mi rękę, gdyż pragnę ci podziękować!

Indianka podała mi rękę, mówiąc:

– Oby ci się ucieczka udała aż do końca! Muszę już odejść, siostra niepokoi się o mnie.

Po tych słowach znikła. Stałem przez chwilę słuchając odgłosu jej kroków. Dobre, czerwone dziecko!

Następnie wszedłem do namiotu i zacząłem po omacku szukać łoża. Pod nim znalazłem strzelby owinięte w koc. Wyjąłem je i zarzuciłem na plecy. Rewolwery, nóż i siodło z torbami znalazłem także. Nie upłynęło pięciu minut, kiedy opuściłem namiot i wróciłem do drzewa śmierci, by osiodłać mego konia. Gdy się z tym uporałem, pochyliłem się nad dozorcami i zobaczyłem, że się już ocknęli.

– Wojownicy Keiowehów nie mają szczęścia do Old Shatterhanda – rzekłem do nich przytłumionym głosem. – Nie zobaczą go przy palu męczeńskim. Jadę za Pidą, ażeby pomóc mu w schwytaniu Santera. Obejdę się z Pidą jak z przyjacielem i bratem. Może wrócę z nim do was. Powiedzcie waszemu staremu wodzowi, żeby się nie obawiał o syna, gdyż będę go chronił. Synowie i córy Keiowehów byli dla mnie dobrzy, podziękujcie im i powiedzcie, że im tego nigdy nie zapomnę. Howgh!

Wziąłem szpaka za cugle i poprowadziłem go. Jechać jeszcze nie mogłem, by nikogo nie obudzić. Dopiero dość daleko wsiadłem na siodło, które zdaniem Keiowehów nigdy mnie już nie miało nosić, i pojechałem prerią na południe.

Na południe bowiem wiodła moja droga. Nie mogłem wprawdzie rozpoznać w ciemności śladów Santera ani ścigających go Keiowehów, ale nie były mi one potrzebne. Nie miałem w ogóle zamiaru kierować się według nich. Wiedziałem, że Santer udał się ku Rio Pecos, i to mi wystarczało.

Kto mi jednak powiedział, że on obrał ten kierunek? Testament Winnetou.

Znajdowały się w nim – tyle zdążyłem przeczytać – trzy wyrazy w języku Apaczów. Jeden z nich, Indelcze-czil, Santer pewnie zrozumiał, ale nazwy Tse-szosz i De-klil-to były mu obce. A gdyby nawet pojął ich znaczenie, nie wiedziałby, gdzie należy szukać owej "Skały Niedźwiedziej" i „Ciemnej Wody". Leżały one daleko w Sierra Rita, gdzie raz tylko byłem z Winnetou. My właśnie nadaliśmy tej skale i wodzie owe nazwy, nikt więc nie mógł ich znać oprócz mnie i dwóch Apaczów, którzy nam wówczas towarzyszyli. Byli oni już starzy i nie wychodzili z puebla nad Rio Pecos. Santer musiałby się więc przede wszystkim zwrócić do nich.

Ale kto by mu poradził, żeby się do nich właśnie udać? Każdy Apacz, którego by spytał o Deklil-to i Tse-szosz. Cały szczep znał te nazwy i wiedział, co tam przeżyliśmy, cały szczep pamiętał, że byli tam z nami ci dwaj starcy. Na pewno Santer dowiadywał się o to, gdyż inaczej nie mógłby znaleźć poszukiwanego miejsca. Tak, wiadomości mógł zasięgnąć jedynie u Apaczów, a każdy z nich spytany o te nazwy odesłałby go do puebla.

Ale wśród Apaczów byli także tacy, którzy znali go jako wroga Winnetou, jako mordercę Inczu-czuny i Nszo-czi! Czy wobec tego śmiałby udać się do puebla?

Czemu nie? Taki człowiek, jak on, dla złota odważy się na wszystko. W ostateczności miał wytłumaczenie. Testament mógł mu posłużyć za żelazny list, ponieważ na okładce wycięty był totem Winnetou.

Postanowiłem dostać się do puebla Apaczów przed Santerem, ostrzec ich i pojmać go zaraz po przybyciu. To było najlepsze ze wszystkiego, co mogłem uczynić, zwłaszcza że koń mój był dobrym biegaczem, łatwo mi więc było Santera przegonić. Ten plan uwalniał mnie zarazem od trudu szukania śladów i straty czasu na ich odczytywanie.

Niestety, mój szpak okulał. Długo nie mogłem znaleźć przyczyny. Dopiero na trzeci dzień przekonałem się, że było to zapalenie z powodu długiego, ostrego kolca; kolec natychmiast wyjąłem, to jednak znacznie opóźniło jazdę, tak że prawdopodobnie nie wyprzedziłem Santera, lecz zostałem raczej w tyle.

Nie dotarłem jeszcze do Rio Pecos i znajdowałem się na sawannach pokrytych skąpo trawą, kiedy przede mną wynurzyli się dwaj jeźdźcy. Byli to Indianie. Ponieważ byłem sam, nie bali się podjechać ku mnie. Kiedy zbliżyliśmy się do siebie, jeden z nich podniósł do góry strzelbę, wykrzyknął moje nazwisko i popędził ku mnie cwałem. Był to Yato-ka[52], jeden ze znajomych mi wojowników Apaczów. Drugiego nie znałem. Po wzajemnym pozdrowieniu zapytałem:

– Moi bracia nie są na wyprawie wojennej ani myśliwskiej. Dokąd tedy dążą?

– Na północ, w góry Gros Ventre, aby uczcić grób naszego wodza Winnetou – odrzekł Yato-ka.

– Więc wiecie już, że nie żyje?

– Dowiedzieliśmy się przed kilku dniami i płacz wielki podniósł się po wszystkich górach i dolinach.

– Czy moi bracia wiedzą, że byłem przy jego śmierci?

– Tak. Old Shatterhand nam to opowie i będzie naszym dowódcą, gdy wyruszymy pomścić śmierć słynnego wodza Apaczów.

– O tym pomówimy później. Ale chyba nie wyruszyliście tylko we dwóch tak daleko na północ?

– Nie. Jedziemy przodem na zwiady, ponieważ te psy Komancze znów wykopali topór wojenny. Reszta jest daleko za nami.

– Ilu wojowników?

– Pięć razy po dziesięć.

– Kto ich prowadzi?

– Till-lata[53], którego wybrano w tym celu.

– Znam go. On się do tego najlepiej nadaje. Czy widzieliście jakichś obcych jeźdźców?

– Jednego.

– Kiedy?

– Wczoraj. Była to blada twarz, która pytała o Tse-szosz. Poradziliśmy mu udać się do puebla do starego Inty.

– Uff! Ja szukam tego człowieka. To morderca Inczu-czuny.

– Uff, uff! – zawołali obydwaj i zesztywnieli z przerażenia. – To morderca? A my nie wiedzieliśmy o tym i nie zatrzymaliśmy go.

– To nic! Wystarczy, żeście go widzieli. Nie możecie teraz jechać dalej, lecz musicie zawrócić. Ja was później sam poprowadzę w góry Gros Ventre. Jedźcie!

I sam też ruszyłem naprzód.

– Tak, zawracamy – zgodził się Yato-ka. – Musimy dostać mordercę w nasze ręce!

---

[52] Y a t o-k a (ind.) – Szybkonogi

[53] T i l l -l a t a (md.) – Krwawa Ręka

W kilka godzin potem stanęliśmy nad Rio Pecos, a przeprawiwszy się, ruszyliśmy dalej drugim brzegiem. Po drodze opowiedziałem obu Apaczom o moim spotkaniu pod Nugget-tsil i o tym, co następnie przeżyłem we wsi Kedowehów.

– A więc młody wódz Pida puścił się w pogoń za mordercą?

– Tak.

– Sam?

– Udał się w ślad za wojownikami, wysłanymi przez jego ojca, i pewnie ich rychło dopędził.

– Czy wiesz, ilu ich było?

– Widziałem ich, gdy odjeżdżali, i zliczyłem. Było dziesięciu, a z Pidą jedenastu.

– Tak mało?

– Dla pochwycenia jednego zbiega jedenastu wojowników nie jest za mało, lecz raczej za wiele.

– Uff! Synowie Apaczów dożyją wielkiej radości, gdy pochwycą Pidę i jego wojowników i przywiążą ich do pali męczeńskich.

– Nie! – odparłem krótko.

– Nie? Czy sądzisz, że nam ujdą? Morderca Santer udał się do naszego puebla, a oni go ścigają. Muszą zatem udać się także do puebla i wpadną nam w ręce.

– Tego jestem pewien, ale wiem, że nie zginą przy palu.

– Nie? Wszakże są naszymi nieprzyjaciółmi i ciebie mieli także zabić.

– Obchodzili się ze mną dobrze, a Pida, pomimo że należał do tych, którzy skazali mnie na śmierć, jest teraz moim przyjacielem.

– Uff! – zawołał zdumiony Yato-ka. – Old Shatterhand wciąż jeszcze jest dziwnym wojownikiem, który broni swoich wrogów. Ale czy Till-lata zgodzi się na to?

– Z pewnością!

– Zważ, że zawsze był walecznym wojownikiem, a teraz został wodzem. Otrzymawszy takie dostojeństwo musi okazać się tego godnym. Jemu nie wolno znać litości dla wroga.

– Czyż ja nie jestem także wodzem Apaczów?

– Tak, Old Shatterhand jest nim.

– Czy nie zostałem wodzem wcześniej od niego?

– Wiele słońc wcześniej.

– A zatem on powinien mnie słuchać. Jeśli Keiowehowie wpadną mu w ręce, nic im nie zrobi, gdyż taka jest moja wola.

Mój rozmówca byłby może jeszcze coś przytoczył na potwierdzenie swego zdania, lecz uwagę naszą zajął w tej chwili trop biegnący przez płytkie miejsca rzeki, a potem prawym brzegiem Rio Pecos. Zsiedliśmy oczywiście z koni, aby go zbadać. Ludzie, którzy zostawili te ślady, jechali gęsiego, aby zataić swą liczbę, co czyni się zawsze, ilekroć trzeba być ostrożnym. Widać owi jeźdźcy zachowywali się jak w kraju nieprzyjacielskim, przypuszczałem więc, że to będzie Pida z Keiowehami, chociaż nie zdołałem określić liczby jeźdźców.

Wkrótce potem dotarliśmy do miejsca, gdzie zatrzymali się na odpoczynek. Tu udało mi się rozpoznać odciski kopyt jedenastu koni. Nie omyliłem się zatem! Spytałem Yato-ka:

– Czy wasi wojownicy nadciągną tędy w górę rzeki?

– Tak. I pięć razy po dziesięć Apaczów spotka się z jedenastoma Keiowehami.

– Jak daleko stąd znajdują się wasi?

– Kiedyśmy się z tobą zetknęli, byli o pół dnia drogi za nami.

– A Keiowehowie, jak to widzę z ich śladów, są tylko o pół godziny przed nami. Spieszmy się, ażeby ich doścignąć, zanim spotkają się z Apaczami!

Puściłem konia cwałem, gdyż spotkanie obu oddziałów, które chciałem zamienić w przyjazne, mogło nastąpić każdej chwili. Pida zasłużył na to, żeby go obronić.

Wkrótce przybyliśmy do miejsca, w którym rzeka zataczała duży łuk. Keiowehowie znali je widocznie, gdyż nie pojechali wzdłuż, lecz przecięli łuk na wprost.

Uczyniliśmy to samo i spostrzegliśmy ich niebawem na równinie jadących tak, że jeden koń wstępował w ślady drugiego. Widocznie nas nie zauważyli, gdyż żaden z nich się nie obejrzał.

Wtem zatrzymali się nagle i czym prędzej zawrócili. Wówczas zauważyli nas, zatrzymali się znowu na chwilę i ruszyli w dalszym ciągu w naszym kierunku skręciwszy nieco w bok.

– Czemu oni wracają? – zapytał Yato-ka.

– Zobaczyli naszych wojowników i spostrzegli, że tamci mają przewagę. Nas jednak jest tylko trzech, sądzą więc, że nie potrzebują się obawiać.

– Tak, to nadciągają Apacze. Czy widzisz ich? Dostrzegli Keiowehów i pędzą ku nim cwałem.

– Wyjedźcie obaj naprzeciw nich i powiedzcie Krwawej Ręce, żeby się zatrzymał, dopóki ja nie podjadę.

– Dlaczego nie jedziesz z nami?

– Muszę pomówić z Pidą. Naprzód, prędzej! Usłuchali mego wezwania, ja zaś udałem się w lewą stronę, którą wybrali Keiowehowie, żeby nas ominąć. Byli jeszcze zbyt daleko, żeby mnie poznać. Kiedy zaś się do nich zbliżyłem, Pida krzyknął przeraźliwie ze strachu i podpędził konia. Ja jednak zwróciłem mego w ten sposób, że nie mógł mnie ominąć, i zawołałem:

– Niech Pida stanie! Ja obronię go przed Apaczami! Pomimo przestrachu, jakiego doznał w pierwszej chwili, czuł widocznie do mnie wielkie zaufanie, gdyż osadził konia i kazał swoim uczynić to samo. Jego wojownicy, którzy zostali nieco w tyle, wykonali ten rozkaz i podjechali bliżej. Jakkolwiek każdy czerwony wojownik, nawet w najgorszym położeniu, zachowuje na zewnątrz całkowitą obojętność, zauważyłem, że Pida z trudem tylko opanował wrażenie, jakie na nim wywarło moje nagłe pojawienie się. Jego towarzysze nie zdołali natomiast ukryć wielkiego zdumienia.

– Old Shatterhand! – zawołał Pida. – Old Shatterhand wolny! Kto cię wypuścił?

– Nikt – odpowiedziałem. – Sam się uwolniłem.

– Uff, uff, uff! To było niemożliwe!

– Nie dla mnie. Byłem pewny, że się wydobędę. Dlatego nie pojechałem z tobą, nie chcąc przyjąć od ciebie wolności w podarunku, i oświadczyłem, że każdy powinien sam odebrać to, co mu skradziono. Teraz się mnie nie lękaj! Jestem twoim przyjacielem i postaram się, żeby Apacze nic ci nie zrobili.

– Uff! Czy chcesz to uczynić naprawdę?

– Tak. Daję ci na to słowo.

– Wierzę temu, co mówi Old Shatterhand.

– Śmiało możesz wierzyć. Spojrzyj za siebie. Apacze, do których wysłałem moich towarzyszy, zatrzymali się. Zsiedli z koni i czekają, dopóki nie powrócimy. Czy widzieliście ślad Santera?

– Tak, lecz nie mogliśmy go doścignąć.

– Udał się do puebla Apaczów.

– Tak sądziliśmy dążąc jego śladem.

– To wielka odwaga z waszej strony! Każde spotkanie z Apaczami przyprawiłoby was o pewną śmierć.

– Wiedzieliśmy o tym, lecz Pida narazi życie, by odzyskać „leki”. Chcieliśmy czatować dookoła puebla w nadziei, że uda nam się schwycić Santera.

– Teraz uda się wam to łatwiej, ponieważ odwrócę od was niebezpieczeństwo. Mogę was jednak obronić tylko wtedy, jeśli będziesz moim przyjacielem i bratem. Zsiadaj! Wypalimy fajkę pokoju.

– Uff! Czy wielki wojownik Old Shatterhand, który bez wszelkiej pomocy umknął z naszej niewoli, uważa Pidę za godnego swej przyjaźni i braterstwa?

– Tak, ale spiesz się, żeby wojownicy Apaczów nie stracili cierpliwości!

Zsiadłszy z koni wypaliliśmy fajkę pokoju z zachowaniem całego ceremoniału. Kazałem Pidzie zostać na miejscu i czekać na moje skinienie. Następnie znów dosiadłem konia i podjechałem ku Apaczom, którym tymczasem Yato-ka opowiedział o naszym spotkaniu i o moich zamiarach. Trzymając konie za uzdy, utworzyli oni koło, w którym stał Till-lata.

Znałem dobrze tego Apacza. Był wprawdzie ambitny, ale zawsze darzył mnie przychylnością, liczyłem więc na to, że nie natrafię u niego na opór w sprawie Pidy. Podałem mu rękę, pozdrowiłem uprzejmie i zacząłem układy:

– Old Shatterhand przybywa sam bez wodza Apaczów, Winnetou. Moi czerwoni bracia zechcą zapewne dowiedzieć się czegoś bliższego o śmierci tego słynnego wojownika, a ja im wszystko opowiem. Teraz jednak pragnę z nimi pomówić o Keiowehach, od których przybywam.

– Wiem od Yato-ka, czego Old Shatterhand żąda – odrzekł Krwawa Ręka.

– I cóż ty na to?

– Old Shatterhand jest wodzem Apaczów, a oni szanują jego wolę. Niechaj tych dziesięciu wojowników powróci natychmiast do swojej wsi, a my nie uczynimy im nic złego.

– A ich młody wódz Pida?

– Widziałem, że palił z Old Shatterhandem fajkę pokoju. Niech jedzie z nami i będzie naszym gościem, dopóki sobie tego życzy, a potem będzie znów naszym wrogiem.

– Dobrze! Zgadzam się na to. Wojownicy Apaczów powrócą ze mną, by pochwycić mordercę Inczu-czuny i jego córki. Gdy się to stanie, zaprowadzę ich do grobu zmarłego wodza Winnetou.

– Howgh! – odpowiedział Till-lata, kładąc swoją prawą rękę na mojej.

Wobec tego skinąłem na Pidę, który przyjął warunek Till-laty i odesłał swoich Keiowehów. Następnie ruszyliśmy w dalszą drogę w dół Rio Pecos, a pod wieczór rozłożyliśmy się obozem.

Ponieważ znajdowaliśmy się na terytorium Apaczów, przeto mogliśmy rozniecić ognisko. Usiadłszy dokoła niego zjedliśmy wieczerzę, po czym ja opowiedziałem obszernie o śmierci Winnetou. Opowiadanie wywarło ogromne wrażenie na słuchaczach. Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, a potem zaczęli z żalem wspominać niektóre wydarzenia z życia ukochanego i uwielbianego wodza. Zdawało mi się przy tym, że jeszcze raz przeżywam śmierć Winnetou. Kiedy wszyscy już spali, leżałem jeszcze długo, nie mogąc zasnąć. Myślałem o jego testamencie i o tym złocie, o którym była w nim mowa. Potem przyśniło mi się to złoto, a sen był straszny. Połyskliwy kruszec leżał wysoko nad krawędzią głębokiej przepaści, a Santer zsypywał go na dół. Chciałem go powstrzymać, starałem się skarb ocalić, walczyłem z Santerem, lecz nie mogłem go pokonać. Wtem ziemia zatrzeszczała pod nami; ja odskoczyłem, a Santer runął razem ze złotem w zionącą otchłań. Zbudziłem się mokry od potu i przez cały następny dzień nie mogłem się pozbyć uczucia, że to nie był zwykły sen. A jednak łatwo go było wytłumaczyć.

Jechaliśmy bardzo szybko i zatrzymaliśmy się tylko na krótko koło południa. Chcieliśmy jak najszybciej przybyć do puebla, gdyż byliśmy pewni, że nie zabawi tam zbyt długo.

Późno po południu zbliżyliśmy się do puebla. Po prawej stronie stał grób Kleki-Petry, a nad nim tkwił krzyż. Na lewo znajdowało się owo miejsce w rzece, gdzie ongiś musiałem wywalczyć sobie życie pływaniem. Ileż to razy stałem później tutaj z Winnetou, rozmawiając o tamtych dniach.

Następnie skręciliśmy na prawo, gdzie w bocznej dolinie ukazało się przed nami pueblo. Wieczór zapadał, a dym wznoszący się z rozmaitych pięter dowodził, że mieszkańcy byli za-

jęci przygotowywaniem wieczerzy. Ujrzano nas zaraz, ale pomimo to Till-lata przyłożył dłonie do ust i zawołał:

– Old Shatterhand przybywa, Old Shatterhand! Spieszcie, wojownicy, na jego spotkanie!

Na wszystkich piętrach powstał wielki zgiełk, spuszczono drabiny, a kiedy zsiadłszy z koni zaczęliśmy się wspinać na górę, zewsząd wyciągały się duże i małe dłonie, by nas powitać. Smutne to było powitanie, gdyż po raz pierwszy wracałem bez Winnetou, który nie miał już nigdy zobaczyć swej ukochanej siedziby.

Jak już przedtem nadmieniłem, tylko mała część plemienia mieszkała w pueblu. Byli tam jednak ci, których Winnetou najbardziej kochał, łatwo więc sobie wyobrazić, że zaraz po powitaniu zarzucono mnie tysiącem pytań. Nie odpowiedziałem na nie od razu, lecz przede wszystkim spytałem:

– Czy jest tu Inta? Muszę z nim pomówić.

– Jest w swojej izbie – odpowiedziano mi. – Zawołamy go zaraz.

– Inta jest stary i osłabiony. Raczej więc ja pójdę do niego.

Zaprowadzono mnie do małej izby wykutej w skale. Starzec zląkł się i ucieszył równocześnie na mój widok i zaczął do mnie długą przemowę, którą przerwałem pytaniem:

– Czy była tutaj jaka blada twarz?

– Tak – odpowiedział

– Kiedy?

– Wczoraj.

– Czy wyjawił swoje nazwisko?

– Nie. Twierdził, że mu tego zakazał Winnetou.

– Czy już odszedł?

– Tak.

– Jak długo tutaj zabawił?

– Taki mniej więcej czas, jaki blade twarze nazywają godziną.

– Czy sam przyszedł do ciebie?

– Tak, prosił, żeby go do mnie przyprowadzono, pokazał mi na skórze totem Winnetou, mówiąc, że ma wykonać jego ostatnie polecenie.

– Czego żądał od ciebie?

– Opisu jeziora, które wtedy nazwaliście Deklil-to.

– A ty mu go dałeś?

– Musiałem, bo taka była wola Winnetou.

– Czy opisałeś mu dokładnie okolicę?

– I drogę stąd, i tamte strony.

– Las świerkowy, skałę i wodospad?

– Wszystko.

– Czy i drogę na zwisającą skałę?

– I drogę. Pokrzepiło to moją duszę, że mogłem mówić z nim o miejscach, w których byłem kiedyś z Old Shatterhandem i wodzem Apaczów, Winnetou. Z Winnetou, który nas opuścił i odszedł do wiecznych ostępów, gdzie go wkrótce zobaczę.

Starcowi nie można było nic zarzucić. Usłuchał Santera tylko dlatego, że ten pokazał mu totem ukochanego wodza. Zapytałem go jeszcze:

– Czy koń bladej twarzy był bardzo zmęczony?

– Wcale nie. Kiedy biały odjeżdżał na nim, szedł tak żwawo, jak gdyby długo wypoczywał.

– Czy biały jadł co tutaj?

– Tak, lecz niewiele, gdyż nie miał czasu. Pytał o nici do lontu.

– Och! I dostał je?

– Tak.

– Na co ich potrzebował?
– Tego nie powiedział. Musieliśmy mu dać także dużo prochu.
– Do strzelania?
– Nie, do rozsadzania skał.
– Czy widziałeś, gdzie schował totem?
– Do worka z „lekami”, co mnie zdziwiło, bo wiem, że blade twarze nie noszą „leków”.
– Uff! – zawołał stojący obok mnie Pida. – A więc on go ma jeszcze. To moje „leki”, on mi je ukradł.
– Ukradł? – zapytał zdziwiony Inta. – Czy to był złodziej?
– Jeszcze gorzej,
– Przecież miał totem Winnetou!
– Ukradł go. To był Santer, który zamordował Inczu-czunę i Nszo-czi.
Starzec skamieniał. Zostawiliśmy go razem z jego przestrachem i odeszliśmy.
Nie udało nam się zatem doścignąć Santera, nie zdołaliśmy nawet nadrobić części drogi, o którą nas wyprzedził. To rozgniewało Krwawą Rękę, toteż zaproponował:
– Nie zatrzymujmy się tu i jedźmy zaraz dalej. Może dopędzimy go, zanim dotrze do Ciemnej Wody.
– Czy sądzisz, że można to uczynić bez odpoczynku? Księżyc świeci, moglibyśmy przeto jechać nocą.
– Mnie nie potrzeba spoczynku.
– A Pida?
– Ja nie spocznę, dopóki nie odzyskam „leków”.
– Dobrze! To zjedzmy coś i weźmy świeże konie! Mego szpaka zostawię tutaj. Ja także nie mogę zwlekać. To, że Santer wziął ze sobą proch i lont, wskazuje, że ma zamiar spowodować jakiś wybuch, a tym mógłby pokrzyżować wszystkie moje zamiary. Musimy się śpieszyć!
Mieszkańcy puebla prosili nas bardzo, żebyśmy się jeszcze zatrzymali, bym mógł im opowiedzieć o tym, co przeżyliśmy obaj z Winnetou, i o jego śmierci. Pocieszyłem ich obietnicą rychłego powrotu i już w dwie godziny po przybyciu jechaliśmy na świeżych koniach zaopatrzeni obficie w żywność – ja, Till-lata, Pida i dwudziestu Apaczów. Krwawa Ręka domagał się tak licznego oddziału, chociaż właściwie nie był on nam potrzebny, bo kraj, przez który mieliśmy jechać, należał do pokrewnych Apaczom Mimbreniów. Nie groziło nam więc żadne niebezpieczeństwo.
Aby się z puebla dostać do jeziora Ciemnej Wody, musieliśmy przebyć co najmniej sześćdziesiąt mil, a ostatnią część drogi stanowił uciążliwy, skalisty teren. Licząc po pięć mil na dzień, czekało nas dwanaście dni drogi.
Ani nam przez myśl nie przeszło szukać śladów Santera i tracić na to czas. Jechaliśmy prosto drogą, którą poznałem podczas jazdy z Winnetou. Przypuszczaliśmy, że Santer także nią jechał, gdyż stary Inta nie mógł mu wskazać innej. Gdyby Santer z niej zboczył, byłoby to tylko na naszą korzyść.
W czasie drogi nie stało się nic godnego wzmianki, dopiero jedenastego dnia mieliśmy małe spotkanie z dwoma czerwonoskórymi – ojcem i synem. Pierwszego z nich znałem. Był to Mimbrenio, który ongiś zaopatrzył nas w mięso. On mnie także poznał natychmiast, zatrzymał konia i zawołał:
– Old Shatterhand, co widzę! Ty żyjesz, ty nie zginąłeś?
– Czy słyszałeś, jakobym umarł?
– Tak, zastrzelony przez Siuksów.
Domyśliłem się od razu, że widział się z Santerem.
– Kto ci to powiedział? – zapytałem.

– Blada twarz, która opowiedziała nam, w jaki sposób utracili życie Old Shatterhand i sławny Winnetou. Musiałem mu wierzyć, gdyż posiadał totem Winnetou i jego „leki”.

– A jednak było to kłamstwo, ponieważ widzisz mnie przed sobą żywego.

– Więc i Winnetou także nie zginął?

– On, niestety, nie żyje. Jak zetknąłeś się z tym białym?

– W naszym obozie. Chciał wymienić znużonego konia i prosił o przewodnika do Deklilto. To nazwa fałszywa, gdyż u nas nazywa się to Szisz-tu[54]. Zaproponował mi w zamian „leki” Winnetou, więc przystałem na to, dałem mu świeżego konia i zaprowadziłem go z tym oto moim synem do Szisz-tu, w którym rozpoznał natychmiast poszukiwane przez siebie miejsce.

– On cię oszukał. Ty masz ten woreczek z „lekami”?

– Tak, tutaj.

– Pokaż go nam!

Mimbrenio wyciągnął woreczek z torby przy siodle. Pida wydał okrzyk radości i zaraz sięgnął po niego. Lecz Mimbrenio nie chciał mu go zwrócić, skutkiem czego wywiązała się krótka sprzeczka. Zakończyłem ją oświadczeniem:

– Ten worek należy do młodego wodza Keiowehów; Winnetou nie miał go nigdy w ręku.

– Mylisz się! – zawołał Mimbrenio.

– Wiem to na pewno.

– Przecież ja tylko za te cenne „leki” odbyłem z bladą twarzą tak daleką drogę i dałem jej lepszego konia.

– On potrzebował świeżego konia, bo wiedział, że go ścigają. A okłamał cię tak strasznie dlatego, żeby cię nakłonić do zamiany.

– Gdyby nie mówił tego Old Shatterhand, nie uwierzyłbym. Czy mam to oddać?

– Tak.

– Dobrze! Ale za to wrócę z wami i odbiorę życie kłamcy i oszustowi!

– Jedź z nami, ponieważ i my postanowiliśmy schwytać go żywcem.

Zgodził się i ruszył z nami. Gdy opowiedzieliśmy mu pokrótce, kim był Santer i co miał na sumieniu, oszukany Indianin strasznie żałował, że zamianą koni dopomógł mordercy.

Pida był oczywiście uszczęśliwiony odzyskaniem swego talizmanu. On osiągnął już cel swojej podróży. O, gdybym i ja mógł to powiedzieć o sobie!

Nazajutrz dotarliśmy do jeziora, lecz dopiero nad wieczorem, kiedy nic już nie można było zdziałać. Ułożyliśmy się cicho pod drzewami, by nie zdradzić naszej obecności przed Santerem. Nie wyjawił on przed Mimbreniem, czego tu chciał, a po przyjeździe na miejsce nakłonił go do natychmiastowego powrotu.

Droga wiodła nas znad Rio Pecos skośnie przez południowo-wschodni róg Nowego Meksyku. Teraz znajdowaliśmy się w Arizonie, gdzie stykają się terytoria Gileniów i Mimbreniów; Gileniowie są także Apaczami. Strony to puste i smutne. Skały, nic tylko skały! Gdzie jest choć trochę wody, tam rozwija się bujna roślinność, najczęściej jednak tylko w wąskich pasmach wzdłuż koryta rzeki. Słońce wszystko wypala. Lasów jest tu bardzo mało.

Tam jednak gdzie znaleźliśmy się teraz, przyroda uczyniła wyjątek.

Była to kotlina zasilana kilku źródłami, które wypełniły wklęsłość terenu i utworzyły jezioro. Woda wypływała zeń na zachód, my byliśmy na brzegu wschodnim.

Gęsto zalesione zbocza kotliny piętrzyły się wysoko i nadawały niezgłębionemu jezioru ową ponurą barwę, która skłoniła nas do nazwania go „Ciemną Wodą”, a Mimbreniów – „Czarnym Jeziorem”. Północna ściana kotliny była najwyższa. Ze zbocza wznosiła się ku górze naga skała w kształcie słupa, z której wypływał wodospad. To woda z wyższego wzgórza

[54] S z i s z-t u (ind.) – Czarne Jezioro

wydrążyła sobie w skale otwór, którym spadała do jeziora z wysokości stu stóp. To była owa „Spadająca Woda” wspomniana w testamencie Winnetou. Wprost nad wodospadem widać było jaskinię, do której podczas naszej pierwszej wędrówki z Winnetou nie mogliśmy się dostać, lecz widocznie Winnetou znalazł potem jakieś dojście. Nad tą jaskinią zwisała najwyższa część skały w kształcie dachu lub wysuniętej w powietrze platformy, tak że dziwnym się zdawało, iż dawno nie runęła w przepaść.

Na prawo od tej skały sterczała druga, jakby do niej przyparta. Tam zabiliśmy ongiś z Winnetou szarego niedźwiedzia i dlatego Winnetou nazwał ją „Skałą Niedźwiedzią”.

Nadszedł więc moment ostatecznego rozstrzygnięcia. Nie mogłem spać. Ledwie się zrobiło szaro, zabraliśmy się do szukania śladów Santera, ale nic nie znaleźliśmy. Postanowiłem zatem wspiąć się na górę. Wziąłem z sobą tylko Till-latę i Pidę. Pojechaliśmy wspomianym w testamencie Winnetou lasem w górę i zatrzymaliśmy się na Skale Niedźwiedziej. „Tam zsiądziesz z konia i wdrapiesz się...” – dalej nie zdołałem przeczytać testamentu. Dokąd się wdrapać? Prawdopodobnie na tę oto górę. Trzeba spróbować. Zbocze było strome i wznosiło się wyżej i wyżej, dopóki nie znaleźliśmy się nie opodal jaskini. Dalej nie można było zrobić już ani kroku. Jeśli istotnie ze Skały Niedźwiedziej wiodła tu jakaś droga, to zabłądziliśmy, bo nie posiadałem opisu zrobionego przez Winnetou. Chciałem właśnie zawrócić, kiedy padł strzał i kula uderzyła tuż obok nas o kamienie. Potem ktoś z góry krzyknął:

– Psie, ty znów jesteś wolny! Myślałem, że ścigają mnie tylko Keiowehowie. Idź do piekła!

Padł drugi strzał, ale także nie trafił. Spojrzeliśmy w górę i ujrzeliśmy Santera stojącego u wylotu jaskini.

– Czy przyszedłeś zabrać testament Winnetou i jego skarb?–śmiał się szyderczo z góry. – Za późno, bratku! Jestem już tutaj i lont jest już zapalony. Nie dostaniesz nic, nic, a szaleńcze zapisy i dary Winnetou także sobie zabiorę!

Przerwał śmiejąc się dziwacznie i mówił dalej:

– Nie znasz drogi, jak widzę. Czy i tej drugiej, która prowadzi również z góry, nie znasz? Zniosę tamtędy złoto, a wy nie zdołacie mi w tym przeszkodzić. Nadaremnie odbywaliście tę długą podróż. Tym razem ja zwyciężyłem, cha, cha, cha!

Co począć? On był na górze przy skarbie, a my nie mogliśmy się tam wydostać. Może znaleźlibyśmy jeszcze drogę, ale wtedy nie byłoby już tam ani jego, ani jego zdobyczy. Wszak Santer mówił coś o drugiej drodze. Nie było się nad czym namyślać, musiałem bezwarunkowo posłać mu kulę. Trudno jednak było strzelać w górę z naszego stanowiska, zeszedłem więc ukosem trochę niżej i przygotowałem sztucer do strzału.

– Och, ten pies chce strzelać! – zawołał. – Tu nie tak łatwo. Muszę ci się lepiej ustawić.

Zniknął, lecz wkrótce znów się ukazał, tym razem wysoko na platformie. Postąpił bliżej naprzód, potem jeszcze bliżej, aż stanął nad samą krawędzią. Na ten widok dostałem niemal zawrotu głowy. W ręku trzymał coś białego.

– Popatrzcie! – krzyknął. – Oto testament. Umiem go już na pamięć i nie potrzebuję. Niechaj go wchłonie jezioro! Wy go nie dostaniecie!

Podarł kartki, a strzępy rzucił w powietrze tak, że, kręcąc się powoli, pospadały do wody. Tak zniszczony został cenny dla mnie testament! Uczucie, które mnie w tej chwili opanowało, nie było ani gniewem, ani wściekłością, po prostu wszystko we mie kipiało.

– Drabie! – ryknąłem. – Posłuchaj mnie tylko chwilę!

– Dobrze? Słucham cię tak chętnie! – odpowiedział z góry.

– Inczu-czuna cię pozdrawia!

– Dziękuję!

– Nszo-czi także!

– Dziękuję, bardzo dziękuję!

– A w imię Winnetou posyłam ci tę kulę. Podziękowanie zbyteczne!

Tym razem wymierzyłem z rusznicy, ponieważ strzał był pewniejszy. Nie wątpiłem, że trafię. Mierzenie zabiera mi zwykle tylko chwilę czasu, lecz teraz – cóż to takiego? Czy ręka mi drgnęła, czy Santer się poruszył, czy też... zachwiała się skała? Nie mogłem go wziąć na cel i odłożyłem rusznicę, żeby się przypatrzyć swobodnie, co się stało.

Wielki Boże! Skała zaczęła się chwiać w jedną i w drugą stronę. Naraz dał się słyszeć ciężki, głuchy huk, z jaskini wydobył się dym, a skała, jakby pchnięta niewidzialną pięścią olbrzyma, zaczęła się chylić coraz głębiej i głębiej. Santer stał wciąż na platformie. Podniósłszy w górę ręce zaryczał o pomoc. Wtem zachwiała się równowaga wiszącej platformy skalnej i wszystko runęło z hukiem, trzaskiem i grzmotem na dno jeziora. W górze na krawędzi obłamanej skały unosiły się tylko małe obłoczki dymu.

Stałem przerażony, nie mogąc przemówić.

– Uff! – zawołał Pida podnosząc ręce do góry. – Wielki Duch go osądził i przewrócił pod nim skałę.

Till-lata wskazał na pieniące się nurty jeziora, które podobne było teraz do olbrzymiego kotła z wrzącą wodą, i rzekł, pobladłszy:

– Zły duch go ściągnął we wrzącą wodę i nie odda go aż do końca wszechrzeczy. On jest przeklęty!

Nie mogłem nic powiedzieć. Mój sen, mój sen, mój sen! Złoto runęło w otchłań. Jak strasznie skończył Santer! W ostatniej chwili zaoszczędzono mi posłania mu kuli. Sam się osądził albo raczej sam wykonał na sobie wyrok. Stał się swym własnym katem, ponieważ sam zapalił lont.

Na dole, nad brzegiem jeziora, biegali Apacze. Obaj wodzowie podbiegli, by zobaczyć, czy coś zostało z Santera. Nadaremnie! Skały rzuciły go w wodę, pochowały na dnie jeziora i przykryły.

Wtedy mnie, człowiekowi silnemu, którego nic nie zdołało nigdy wyprowadzić z równowagi, zrobiło się nagle słabo, tak że musiałem usiąść. W głowie mi się zakręciło i zamknąłem oczy, a mimo to widziałem przed sobą ciągle chwiejącą się skałę i słyszałem wołania Santera o pomoc.

Jak się to stało? Pewnie skutkiem jakiegoś zapobiegawczego środka ostrożności Winnetou. Mnie by się to nie wydarzyło! Opis kryjówki i sposób zachowania się przy niej był zapewne tak zredagowany, że tylko ja mogłem go zrozumieć, a każdy inny człowiek musiał popełnić błąd. Może Winnetou założył minę, by każdy niewtajemniczony musiał spowodować wybuch na własną zgubę. Ale co się stało ze skarbem? Czy złoto było jeszcze na górze, czy też leżało teraz na dnie Ciemnej Wody, odebrane ludziom przez skalne zwaliska?

Jeżeli złoto leżało na dnie jeziora, to niech sobie tam leży, ale to, że pismo mego zmarłego brata rozleciało się podarte na strzępy, było dla mnie stratą niepowetowaną. Myśl o testamencie przywróciła mi osłabioną chwilowo energię. Zerwałem się i zszedłem czym prędzej z góry, aby ocalić przynajmniej kilka kawałków. Ze środka jeziora połyskiwało coś białego jakby papier. Zdjąwszy ubranie, wskoczyłem do wody i dopłynąłem do tego miejsca. Tak, to był strzęp rozdartego testamentu. Przepłynąłem jezioro w kilku kierunkach i znalazłem jeszcze trzy inne strzępy. Położyłem wszystkie kawałki na słońcu, żeby wyschły, i starałem się odczytać zalane i zamazane litery. Związku między nimi oczywiście nie udało mi się odtworzyć, po długich wysiłkach przeczytałem tylko... „połowę otrzymać... ubóstwo... skały pękną... Chrześcijanin... rozdzielić... nie zemsta„.”

To było wszystko, a więc nic prawie, a jednak dość, aby się domyślić przynajmniej części testamentu. Zachowałem te małe kawałki papieru jak świętość.

Później, gdy odzyskałem równowagę wewnętrzną, rozpoczęły się szczegółowe poszukiwania. Część Apaczów wysłałem wokół jeziora, aby odszukali konia Santera. Niewątpliwie zwierzę było gdzieś niedaleko i mogło zdechnąć z głodu, jeśli było przywiązane. Reszta ludzi

poszła ze mną na górę, by poszukać drogi do jaskini, której już teraz nie było. Trudziliśmy się daremnie przez kilka godzin, dopóki słowo za słowem nie rozważyłem sobie jeszcze raz tego, co przeczytałem w testamencie. Ostatnie zdanie brzmiało: „Tam zsiądziesz z konia i wdrapiesz się..." Uderzyło mnie słowo „wdrapiesz się". Wprawdzie wdrapujemy się i na góry, jeśli są bardzo strome, zazwyczaj jednak używamy tego słowa w innym znaczeniu. Czyżby odnosiło się to do jakiegoś drzewa? Rozejrzawszy się znaleźliśmy istotnie dość grubą, wysoką jodłę rosnącą skośnie tuż przy samej skale, tak że w górze dotykała do jej krawędzi. To musiało być tu. Wdrapałem się gorączkowo na drzewo. Krawędź była szersza, niż się to wydawało z dołu, Wstąpiłem na nią i poszedłem aż do załomu skały. Rzeczywiście! Tu była właściwa droga. Ujrzałem przed sobą na trzy łokcie szeroki, łatwo dostępny występ prowadzący łagodnie w górę i kończący się tam, gdzie skała się odłamała, a więc na nowoutworzonej tam teraz platformie. Stałem przed kupą większych i mniejszych głazów, lecz mogłem jeszcze dokładnie rozróżnić dno zburzonej jaskini. Jeśli złoto nie było ukryte na dnie pieczary, lecz w jej bocznych ścianach lub jeszcze wyżej, to leżało teraz w jeziorze.

Zawołałem Apaczów na górę, żeby mi pomogli szukać. Przewracaliśmy każdy głaz i kamyczek, ale nie znaleźliśmy nic – żadnej wskazówki, żadnego śladu. Wszyscy umieliśmy wysnuwać właściwe wnioski z najmniejszych oznak, tutaj jednak wszelki wysiłek był daremny, wszelki spryt bezskuteczny. Gdy pod wieczór zeszliśmy nad jezioro, aby tam przenocować, powrócili także Apacze wysłani po konia, którego znaleźli i przyprowadzili z sobą. Przeszukałem torby przy siodle, ale nic w nich nie było.

Nad Ciemną Wodą zabawiliśmy pełne cztery dni. Wytężaliśmy wszystkie nasze badawcze zdolności. Jestem pewien, że gdyby złoto znajdowało się jeszcze na górze lub w skale – znaleźlibyśmy je. Leżało ono jednak na dole w głębi jeziora obok tego, który niemal je odkrył i który z nim razem został pochowany. Powróciliśmy więc do puebla nad Rio Pecos bez niego, zabierając z sobą tylko pewność, że Inczu-czuna i Nszo-czi nareszcie doczekali się pomsty.

Tak oto zginął testament Apacza, podobnie jak zginął on sam i jak niebawem zginie cała czerwona rasa. Chociaż bogato wyposażona, nie osiągnie ona swego wielkiego celu i nie spełni swej wielkiej misji. Jak skrawki testamentu rozproszone w powietrzu, tak samo bez oparcia i chwili spokoju tułają się i błąkają czerwonoskórzy wojownicy. Tułają się po dalekich równinach. które ongiś stanowiły ich własność.

Kto jednak w górach Gros Ventre nad rzeką Metsur stanie nad mogiłą Apacza, ten powie: „Tu spoczywa Winnetou, wielki czerwonoskóry człowiek". A gdy kiedyś szczątki ostatniego z Indian zgniją w zaroślach i w wodzie, wtedy szlachetnie myślące i czujące pokolenie stanie przed sawannami i górami Zachodu i zawoła:

„Tu spoczywa czerwona rasa; nie stała się ona wielką, gdyż nie dano jej osiągnąć wielkości."

KONIEC